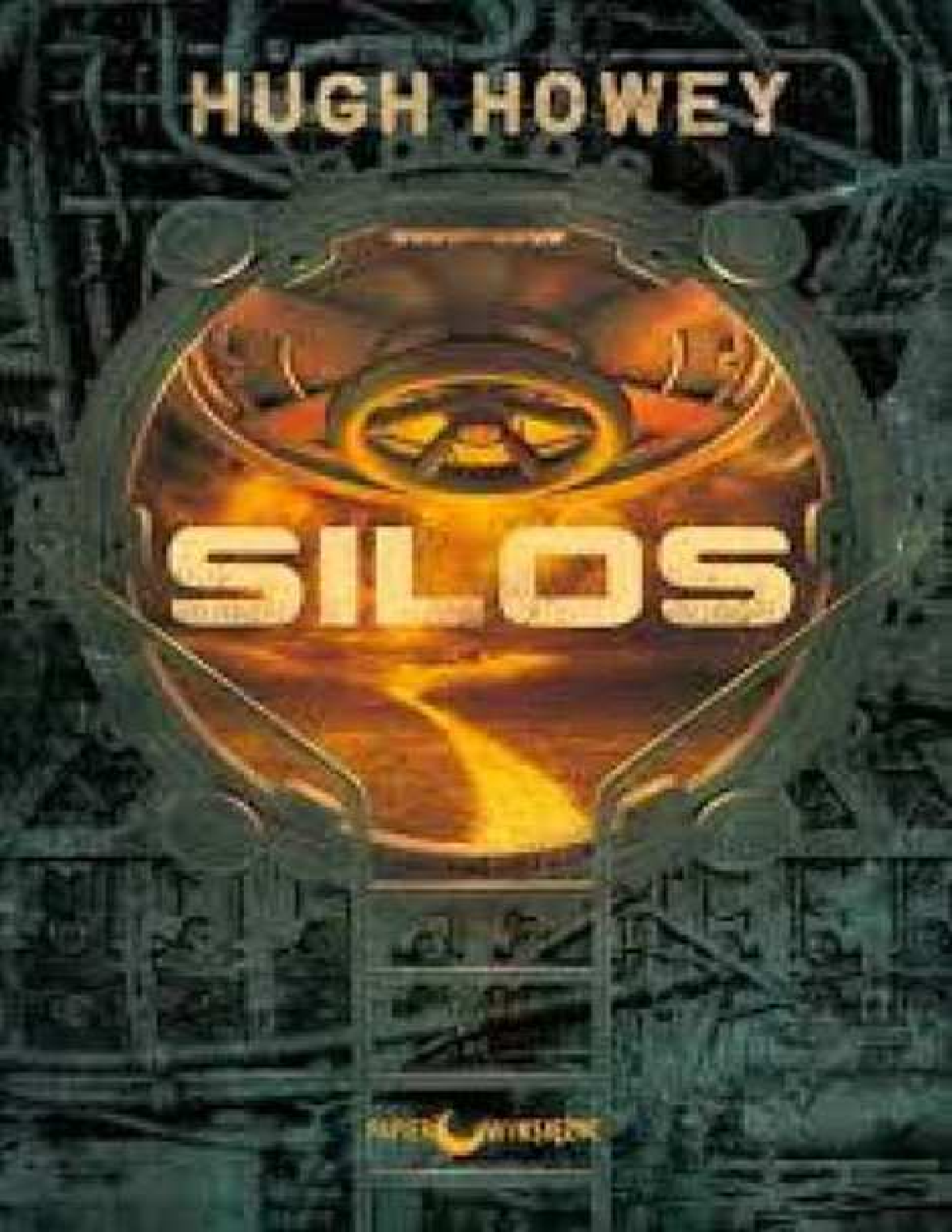
HUGH HOWEY
SILOS

Hugh Howey

Silos

Wool

Przekład Marcin Kiszela

Część 1 – Holston

1

Gdy Holston wspinał się ku swojej śmierci, dzieci bawiły się w najlepsze. Słyszał ich piski i wiedział, że tylko szczęśliwe dzieciaki potrafią tak piszczeć. Hałasowały dziko na górze, Holston tymczasem nieśpiesznie, jakby zastanawiając się nad każdym ociężałym krokiem, pokonywał spiralne schody, uderzając podeszwami starych butów o metalowe stopnie.

Stopnie, podobnie jak buty jego ojca, nosiły ślady wieloletniego używania. Płaty farby dało się zauważyć tylko w rogach i pod stopniami, gdzie nie zagrażały im ludzkie stopy. Odległy ruch wzbijał w powietrze chmury pyłu. Holston czuł wibracje barierki, startej aż do lśniącego metalu. Zawsze go to zadziwiało: jak niszczy się metal, przez stulecia dotykany dłońmi i stopami. Przypuszczał, że dzieje się to cząsteczka po cząsteczce. Pojedyncze życie może zniszczyć pojedynczą warstwę, nawet jeśli silos zniszczy to życie w całości.

Każdy stopień giął się od stąpających po nim pokoleń, krawędzie stawały się coraz mocniej zaokrąglone. Na powierzchni nie było już niemal śladów diamencików, dzięki którym stopnie niegdyś zapewniały dobrą przyczepność. O ich obecności można było wnioskować wyłącznie z charakterystycznego wzoru po bokach – niewielkich piramidowych wybrzuszeniach, które wznosiły się nieco ponad poziom stali, pokryte cętkami farby o postrzępionych krawędziach.

Holston uniósł stary but nad stary stopień i z namaszczeniem postawił stopę, a potem zrobił to znowu. Zatracił się w myśli o tym, co niezliczone lata zrobiły z tym miejscem: znikanie cząsteczek i żyć, warstwa po warstwie, aż zostanie proch. I nie po raz pierwszy doszedł do wniosku, że ani te schody ani niczyje życie nie nadawały się do takiej egzystencji. Ciasne ramy tej niekończącej się spirali schodów, pnącej się w górę silosu jak słomka w butelce, nie zostały zbudowane, by aż tak często z nich korzystać. Zresztą tak jak cały ich cylindryczny dom, zdawały się być stworzone dla innych celów, innych – już dawno zapomnianych – funkcji. To, z czego obecnie korzystały tysiące ludzi, idących to w dół, to w górę podczas powtarzanego codziennie cyklu, z punktu widzenia Holstona bardziej nadawało się do użytku jedynie w nagłych wypadkach, ewentualnie częściej, ale dla nie więcej niż kilkudziesięciu osób.

Minął kolejne piętro, na którym znajdowały się sypialnie. Kiedy Holston pokonywał kilka ostatnich kondygnacji, kończąc ostatnią w swoim życiu wspinaczkę, z góry dobiegły go jeszcze głośniejsze dziecięce piski. To był czysty śmiech młodości, radość dusz, które jeszcze nie do końca pojęły, gdzie tak naprawdę żyją, które nie odczuły naporu otaczającej ich ze wszystkich stron ziemi, które nie myślały o tym, że są tutaj pogrzebane, a tylko, że po prostu żyją. Żyły, a ich radosne głosy niosły się echem po klatce schodowej – to wesołe trele zupełnie nie pasowało do tego, co właśnie robił Holston, do podjętej przez niego decyzji i determinacji, by wydostać się stąd na zewnątrz.

Gdy docierał już na najwyższy poziom, jeden z głosów zabrzmiał wyraźniej niż pozostałe. Holston przypomniał sobie wtedy, jak to było być dzieckiem w silosie – oczami wyobraźni zobaczył szkołę, przypomniał sobie wszystkie zabawy. Wtedy jeszcze ten duszny betonowy cylinder, z tyloma piętrami mieszkań, warsztatów, oplecionych rurami ogrodów hydroponicznych i oczyszczalni, zdawał się być przepastnym wszechświatem, prawdziwym bezmiarem, którego nikt nie będzie mógł do końca poznać, labiryntem, w którym on i jego przyjaciele będą mogli się zgubić na zawsze.

Ale od tamtych dni minęło już ponad trzydzieści lat. Dzieciństwo Holstona wydawało się być tak odległe, jakby dzieliły je od niego dwa bądź nawet trzy życia, i miał wrażenie, jakby przeżył je nie on, a ktoś zupełnie inny. Spędził całe życie będąc szeryfem i to odgradzało go od przeszłości. Niedawno zaś wkroczył w nowy, trzeci etap – wiódł sekretne życie, zawieszone gdzieś pomiędzy byciem dzieckiem a pełnieniem funkcji szeryfa. Wtedy właśnie zaczął stopniowo obracać się w proch – przez te trzy lata, spędzone w oczekiwaniu na coś, co nigdy nie nadejdzie, gdy każdy dzień zdawał się dłuższy niż całe miesiące jego poprzedniego, szczęśliwego życia.

Dotarłszy do szczytu spiralnych schodów, Holston oderwał dłoń od poręczy. Zakrzywiona stalowa poręcz urwała się w miejscu, gdzie klatka schodowa przechodziła w najobszerniejsze pomieszczenia całego silosu: stołówkę i przylegający do niej bar. Teraz właśnie znalazł się na kondygnacji, skąd dochodziły radosne dziecięce popiskiwania. Pomiędzy rozrzuconymi niedbale krzesłami przemykały jasne kształty – dzieci bawiły się w ganianego. Kilkoro dorosłych starało się jakoś okiełznać ten chaos. Holston zauważył Donnę, zbierającą pokruszone kawałki kredy

i świecowych kredek z podłogi. Jej mąż, Ciarkę, siedział za stołem, na którym stały kubki z sokiem i miski z kruchymi ciasteczkami. Pomachał do Holstona z drugiego końca sali.

Holston nie zamierzał mu odmachiwać – nie miał ani sił, ani ochoty. Oderwał wzrok od dorosłych i bawiących się dzieci, i popatrzył na rozmyty widok za ich plecami, wyświetlony na ścianie stołówki. To był największa panorama ich niegościnnego świata. Poranna sceneria: blade światło świtu otulało jałowe wzgórza, które od dzieciństwa Holstona właściwie się nie zmieniły. Trwały niewzruszenie, jak zawsze, gdy tymczasem on z pełnego życia chłopca ganiającego pośród stołów przekształcił się w tę pustą skorupę, którą jest teraz. Za majestatycznie pofalowanymi szczytami wzgórz dostrzegał znajomą linię horyzontu, odsłaniającą niemrawe rozbłyski pierwszych promieni słońca. Starożytne szkło i stal odległych budowli, w których – jak podejrzewano – kiedyś żyli ludzie.

Jedno z dzieci odbiegło od grupy i wpadło na Holstona, uderzając go w kolana. Mężczyzna spuścił wzrok i spróbował pogłaskać dzieciaka – syna Susan – lecz ten znów, niczym kometa, wystrzelił w swoją stronę, wracając w końcu na orbitę, gdzie bawili się pozostali.

Nagle Holston przypomniał sobie o loterii, którą on i Allison kiedyś wygrali. To był także rok jej śmierci. Nadal miał „szczęśliwy” los, wszędzie go ze sobą nosił. Jedno z tych maleństw – może nawet miałoby dziś już jakieś dwa lata i biegało tutaj z pozostałymi – mogło być ich dzieckiem. Jak wszyscy rodzice, on i Allison także marzyli, że trafią im się bliźnięta. Naprawdę się starali, to oczywiste. Kiedy wyjęto jej implant, każdej nocy próbowali zamienić ten los na nagrodę. Pozostali rodzice życzyli im szczęścia, ci zaś, którzy nadal liczyli na własną wygraną, modlili się po cichu, by ten rok minął jak najszybciej.

Wiedząc, że mają niewiele czasu, on i jego żona zaczęli wierzyć zabobonom, szukając wszystkiego, co mogłoby im pomóc. Zawieszanie czosnku nad łóżkiem – podobno poprawiające płodność – wkładanie pod materac dwóch monet, by mieć bliźniaki, różowa wstążka we włosach Allison, niebieska farba pod oczami Holstona – wszystkie te rozpaczliwe próby, komiczne i tragiczne zarazem, sprawiały im niekłamaną radość. Większym szaleństwem byłoby chyba tylko nie próbować wszystkiego, nie przetestować każdej z tych durnych opowieści.

Jednak nie było im to pisane. Jeszcze zanim tamten rok dobiegł końca, loteria przeniosła się na inną parę. Nie chodziło o to, że przestali

próbować – raczej, że zabrakło im czasu. Bo nagle po prostu stracił swoją żonę.

Holston odwrócił się od bawiących się dzieciaków i od niewyraźnej panoramy świata zewnętrznego, a potem pomaszerował w stronę swojego biura, znajdującego się pomiędzy stołówką a wejściem do śluzy. Idąc w tamtym kierunku, w myślach roztrząsał to wszystko, co kiedyś się tam wydarzyło, wspominał walkę z duchami, którą podczas minionych trzech lat musiał toczyć dosłownie każdego dnia. Wiedział też, że gdyby teraz się odwrócił i spojrzał na wyświetlony na ścianie krajobraz, gdyby zdołał zmrużyć oczy na tyle, by za pośrednictwem brudnych obiektywów kamer przebić się przez wiszącą w powietrzu sadzę i wychwycić odpowiednie miejsce na wzgórzu, a potem podążyć wzrokiem za tą ciemną linią wznoszącą się na sam szczyt, tą zmarszczką, która wiodła przez błotniste wydmy aż do leżącego w oddali miasta, dostrzegłby w końcu słabo widoczną ludzką sylwetkę. Właśnie tam, na tym wzgórzu, znajdowała się obecnie jego żona. Leżała niczym głaz, z rękami pod głową, a toksyczne powietrze i porywiste wiatry wżerały się w nią stopniowo.

Być może.

Trudno to było teraz zauważyć. Ciężko to było dostrzec nawet wtedy, gdy obraz był znacznie bardziej wyraźny. Poza tym, niewielu rzeczom widocznym przez brudny obiektyw można było wierzyć. Tak naprawdę istnienie wielu kształtów na wzgórzu należało poddać w wątpliwość. Więc Holston wolał się nie przyglądać. Minął miejsce, skąd widać było widmową walkę jego żony ze światem, zostawiając za plecami obraz uwieczniający najgorsze z jego wspomnień: efekt jej nagłego szaleństwa; i wszedł do swojego biura.

– Ależ z ciebie ranny ptaszek – rzucił Marnes, uśmiechając się.

Zastępca Holstona zasunął metalową szufladę szafy kartotekowej, skrzypiącej niemiłosiernie, podniósł kubek z parującym napojem i dopiero wtedy zauważył ponurą minę przyjaciela. – Dobrze się czujesz, szefie?

Holston skinął głową. Wskazał pęk kluczy wiszący na haku za biurkiem. – Cela – powiedział.

Uśmiech zastępcy szeryfa zmienił się w grymas dezorientacji. Odstawił kubek i sięgnął po klucze. Kiedy był odwrócony tyłem, Holston po raz ostatni dotknął chłodnej stali swojej odznaki, a potem położył ją na blacie. Marnes odwrócił się, wyciągając przed siebie klucz. Holston wziął go od niego.

– Chcesz, żebym przyniósł ci mopa? – Marnes wskazał kciukiem stołówkę. Jeśli na posterunku nie siedział ktoś w kajdankach, chodzili do celi tylko po to, by ją sprzątać.

– Nie – odparł Holston. Skinął głową w stronę celi, zachęcając zastępcę, by podążył za nim.

Gdy Marnes wstał, by dołączyć do szefa, jego fotel jęknął głośno, jakby wyrażał ulgę, że wreszcie pozbył się ciężaru. Holston ruszył przed siebie. Klucz gładko wsunął się do zamka. Solidnie skonstruowane i często oliwione tryby wydały z siebie ostry klekot. Rozległ się stłumiony zgrzyt zawiasów. Potem jeszcze kilka pełnych determinacji kroków Holstona, odsunięcie kraty, a na koniec kolejny klekot. I wreszcie jego męka dobiegła końca.

– Szefie?

Holston trzymał klucze pomiędzy kratami. Marnes gapił się na nie, zdezorientowany, ale w końcu chwycił klucze w dłoń.

– O co chodzi, szefie?

– Wezwij panią burmistrz – odparł Holston. A potem westchnął ciężko, jakby zrzucał z barków ciężar, który wisiał na nich przez ostatnie trzy lata.

– Powiedz jej, że chcę wyjść na zewnątrz.

2

Widok roztaczający się z celi aresztu nie był tak rozmazany jak ten w stołówce i Holston spędził swój ostatni dzień w silosie zastanawiając się nad tym faktem. Czy chodziło o to, że kamera po tej stronie była osłonięta przed toksycznym wiatrem? Czy może każdy ze skazanych na śmierć czyścicieli najwięcej uwagi poświęcał temu, by zachować widok, który podziwiał w ostatnim dniu swego życia? A może był to swego rodzaju prezent dla kolejnego czyściciela, który miał spędzić swe ostatnie godziny w tej samej celi?

Ostatnia możliwość najbardziej Holstonowi odpowiadała. Przez to znów z tęsknotą pomyślał o swej żonie. Przypomniało mu się, czemu tutaj trafił, czemu na własne życzenie znalazł się po złej stronie krat.

Jego myśli wciąż orbitowały wokół Allison, kiedy siedział wpatrzony w martwy świat na zewnątrz, świat porzucony przez jakichś ludzi żyjących w zamierzchłych czasach. To nie był może najlepszy widok w całym ich schronie, ale nie był też najgorszy. W oddali wznosiły się niskie, pofalowane wzgórza, mające miły dla oka odcień brązu, przywodzący na myśl kawę wymieszaną z odpowiednią ilością świńskiego mleka. Niebo nad wzgórzami wciąż było tak samo nudne i szare, jak w jego dzieciństwie, dzieciństwie jego ojca czy też dziadka. Jedynym ruchomym elementem krajobrazu były chmury. Ciemne obłoki wisiały ciężko nad wzgórzami. Wędrowały powoli, jak stada bestii z dziecięcych książeczek z obrazkami.

Widok martwego świata zajmował całą ścianę jego celi, jak i zresztą wszystkich ścian na najwyższym poziomie silosu – na każdej znajdował się inny fragment coraz mniej wyraźnego pustkowia. Ten niewielki wycinek, który miał przed sobą Holston, sięgał od rogu jego łóżka po sufit, aż do drugiej ściany i w dół, ku sedesowi. Mimo lekkiego rozmycia – jakby obiektyw natarto olejem – krajobraz zdawał się na tyle rzeczywisty, że można było zapomnieć, że to tylko ekran, a nie dziura w ścianie, umiejscowiona po drugiej stronie krat. Aż chciało się przez nią przejść i wyjść na zewnątrz...

Jednak ta iluzja była przekonująca tylko z dystansu. Kiedy Holston nachylił się nieco, dostrzegł na gigantycznym wyświetlaczu kilka martwych pikseli. Bielały wyraźnie na tle brązowych i szarych odcieni. Świecąc z dziką intensywnością, każdy martwy piksel (Allison nazywała je

„zblokowanymi” pikselami) był niczym kwadratowe okno do jakiegoś jaśniejszego miejsca, niczym dziura szerokości ludzkiego włosa, która zdawała się przyciągać ku innej, rażąco jasnej rzeczywistości. Patrząc z bliższa, Holston zauważył, że takich pikseli były całe dziesiątki. Zaczął się zastanawiać, czy ktokolwiek w Silosie wiedział, jak je naprawić, czy w ogóle mieli narzędzia potrzebne do wykonania tak delikatnej operacji. A może te piksele już na zawsze pozostaną martwe, zupełnie jak Allison? Czy koniec końców wszystkie piksele nie staną się właśnie takie? Holston pomyślał o dniu, gdy połowa pikseli na ekranie będzie całkiem biała, i całe pokolenia później, gdy zostanie już ledwie kilka szarych i brązowych i świat zewnętrzny przyjmie zupełnie inną postać, a ludzie wewnątrz silosu pomyślą, że tam wszystko płonie, bo jedyne „żywe” piksele zostaną pomylone z tymi martwymi.

A może tak właśnie myślą teraz Holston i jego ludzie?

Ktoś za jego plecami odchrząknął głośno. Holston odwrócił się. Po drugiej stronie krat zobaczył panią burmistrz Jahns, stojącą z założonymi rękami. Z ponurą miną skinęła głową wskazując pryczę.

– Nocami, gdy cela jest pusta, a ty i Marnes nie jesteście na służbie, niekiedy siadam tu sobie i podziwiam ten widok.

Holston odwrócił się, by znów spojrzeć na ciemny, martwy krajobraz. W porównaniu z obrazkami z książek dla dzieci był wyjątkowo przygnębiający. Żadne inne książki nie przetrwały powstania. Większość ludzi nie do końca wierzyła kolorom na ilustracjach, tak jak nie wierzyło się w istnienie fioletowych słoni czy różowych ptaków, lecz Holston czuł, że było w nich coś bardziej prawdziwego niż w tym, co teraz widział. On – zresztą nie sam jeden – przeczuwał że coś pierwotnego i głębokiego kryje się na zniszczonych kartkach pełnych zieleni i błękitu. Właściwie jeśli porównać ją z dusznym wnętrzem silosu, nawet błotnista szarość świata zewnętrznego wydawała się wyzwoleniem – to właśnie tam, na otwartej przestrzeni, powinni żyć ludzie.

– Tu widok jest trochę bardziej wyraźny – zauważyła Jahns.

Holston nadal milczał. Obserwował jak pofalowany strzęp chmury odłącza się od reszty i zaczyna płynąć się w nowym kierunku, a czerń i szarość powoli mieszają się ze sobą.

– Wybierz sobie posiłek – powiedziała pani burmistrz. – Taką mamy tradycję, że...

– Nie musisz mi tego tłumaczyć – przerwał jej Holston. – Ledwie trzy lata temu sam podawałem Allison jej ostatni posiłek. – Z przyzwyczajenia spróbował obrócić na palcu miedzianą obrączkę, zapominając, że zostawił ją na kredensie kilka godzin wcześniej.

– Nie mogę uwierzyć, że minęło już tyle czasu – wymamrotała sama do siebie Jahns. Holston odwrócił się i zobaczył, że kobieta mruży oczy, gapiąc się na chmury wyświetlone na ściennym ekranie.

– Co, tęsknisz za nią? – spytał cierpko Holston. – A może nie podoba ci się to, że od tamtej pory widok jeszcze bardziej się rozmazał?

Jahns przez chwilę patrzyła na niego, potem spuściła wzrok. – Wiesz, że wcale tego nie chcę, obojętne, jaki by ten widok nie był. Ale zasady to zasady...

– Nie o nie chodzi – odparł, starając się pohamować złość. – Znam te zasady lepiej niż większość mieszkańców. – Sięgnął w stronę odznaki, której już jednak nie miał, podobnie jak obrączki. – Cholera, przez niemal całe życie starałem się je egzekwować, choć wiedziałem, jakie są bzdurne.

Jahns odchrząknęła. – Cóż, nie będę pytać, czemu się na to zdecydowałeś. Założę, że byłeś tutaj nieszczęśliwy.

Holston spojrzał jej w oczy, dostrzegając zbierające się w nich łzy, które jednak zniknęły, gdy kobieta zamrugała. Jahns wydawała się dziś szczuplejsza niż zazwyczaj, wyglądała wręcz komicznie w swoim szerokim kombinezonie. Zmarszczki na jej szyi i te rozchodzące się promieniście od kącików oczu zdawały się głębsze niż pamiętał. I ciemniejsze. Doszedł do wniosku, że w tym jej łamiącym się głosie może kryć się rzeczywisty żal, że nie jest to tylko efekt starości czy wpływ używania tytoniu.

Nagle Holston dostrzegł w oczach burmistrz Jahns siebie samego: pokonany mężczyzna, siedzący na wysłużonej pryczy, blada skóra odbijająca blady blask martwego świata. Od tego widoku aż zakręciło mu się w głowie. Starał się znaleźć w pobliżu coś, czego mógłby się złapać, szukał tej jednej rzeczy, która miałaby jakikolwiek sens. To wszystko było niczym sen, jego życie stało się nieprzerwaną kaźnią. Minione trzy lata zdawały się wręcz nierzeczywiste. Aż w końcu doszedł do punktu, w którym już nic nie wydawało się prawdziwe.

Znów spojrzał na wzgórze. Zdawało mu się, że kątem oka dostrzegł kolejny ginący piksel, przebarwiający się na biało. Otworzyło się kolejne maleńkie okienko, kolejne oczko w gęstej sieci iluzji, w którą zaczynał wątpić.

Jutro nadejdzie moje zbawienie, pomyślał Holston. Nawet jeśli mam tam umrzeć.

– Zbyt długo już byłam burmistrzem – stwierdziła nagle Jahns.

Holston obejrzał się za siebie. Kobieta zaciskała pomarszczone dłonie na zimnych, stalowych kratach.

– Nasze zapisy, jak sam wiesz, nie sięgają aż do samych początków. Zaczynają się już po powstaniu, które miało miejsce półtora wieku temu. I od tamtych czasów żaden burmistrz nie posłał do czyszczenia aż tylu ludzi, co ja.

– Przepraszam, że stałem się dla ciebie ciężarem – odparł ozięble Holston.

– Mówię tylko, że to dla mnie żadna przyjemność. Naprawdę.

Holston machnął dłonią w kierunku potężnego ekranu. – Ale jutrzejszego wieczoru to ty pierwsza będziesz mogła zobaczyć zachód słońca w całej okazałości, prawda? – Nie spodobało mu się brzmienie własnego głosu. Nie był wściekły z powodu swojej nieuchronnie zbliżającej się śmierci, swego życia, czy tego, co wydarzy się jutro, ale nadal czuł głęboki żal na myśl o losie, jaki spotkał Allison. Nieuniknione zdarzenia z przeszłości wciąż zdawały mu się czymś, co można było powstrzymać – odnosił takie wrażenie nawet na długo po tym, jak już miały miejsce. – Jutrzejszy widok zachwyci was wszystkich – rzekł, bardziej do siebie niż do pani burmistrz.

– To niesprawiedliwe – odparła Jahns. – Prawo jest prawem. Złamałeś je. Dobrze wiedziałeś, co robisz.

Holston gapił się na swoje stopy.

Obydwoje milczeli. W końcu to burmistrz Jahns odezwała się jako pierwsza.

– Nie zacząłeś jeszcze grozić, że tego nie zrobisz. Niektórzy mieszkańcy denerwują się, że możesz naprawdę nie wyczyścić obiektywów, skoro nawet nie udajesz, że się buntujesz.

Holston parsknął śmiechem. – Poczuliby się lepiej, gdybym się uparł, że tego nie zrobię? – Pokręcił głową, słysząc tak pokrętną logikę.

– Wszyscy, którzy siedzą w celi, powtarzają, że nie mają zamiaru czyścić – odparła Jahns. – Ale w końcu i tak to robią. Więc w końcu zaczęliśmy właśnie takiej reakcji oczekiwać...

– Allison nigdy nie groziła, że tego nie zrobi – przypomniał jej Holston, wiedząc jednak, co Jahns ma na myśli. Sam też był przekonany, że

Allison nie wytrze obiektywów. A teraz miał wrażenie, że wreszcie zrozumiał, przez co przechodziła, siedząc wtedy na tej samej ławce. Były istotniejsze sprawy niż samo czyszczenie. Większość z tych, których wysyłano na zewnątrz, została na czymś przyłapana i byli zszokowani, że siedzą w tej celi, a ich los ma się dopełnić w ciągu kilku godzin. Pragnęli się zemścić i dlatego twierdzili, że nie przystąpią do czyszczenia. Ale Allison i Holston mieli większe zmartwienia. Czy będą czyścić, czy nie, było bez znaczenia. Trafili przecież tutaj, bo właśnie tego chcieli, zależało im – w ich szaleństwie – by trafić dokładnie do tej celi. Pozostała im tylko ciekawość tego, co znajduje się poza ścianami silosu. Zastanawiali się, jak naprawdę może wyglądać świat ukryty za zasłoną tworzoną przez obraz projektora.

– Zatem masz zamiar to zrobić, czy nie? – spytała wprost, nie kryjąc już swojej desperacji.

– Sama sobie odpowiedziałaś. – Holston wzruszył ramionami. – Wszyscy w końcu to robią. Musi istnieć jakiś powód, prawda?

Udawał, że mu nie zależy, że wcale nie interesuje go odpowiedź na pytanie: dlaczego trzeba czyścić?; jednak większą część życia, a szczególnie trzy ostatnie lata, spędził zastanawiając się wyłącznie nad tym faktem. To pytanie doprowadzało go do obłędu. A jeśli jego opory, by odpowiedzieć Jahns, wywoływała ból tych, którzy kiedyś zamordowali jego żonę, nie będzie się tym specjalnie przejmować.

Zdenerwowana Jahns przesuwała dłonie wzdłuż krat. – Zatem mogę im powiedzieć, że jednak to zrobisz? – zapytała.

– Albo że tego nie zrobię. Wszystko mi jedno. Wygląda na to, że obie odpowiedzi mają dla nich identyczne znaczenie.

Jahns zamilkła. Holston spojrzał na nią i pani burmistrz w końcu skinęła głową.

– Jeśli zmienisz zdanie co do posiłku, daj znać zastępcy Marnesowi. Jak zawsze będzie przez całą noc siedział za biurkiem...

Nie musiała mu tego tłumaczyć. Kiedy Holston przypomniał sobie o swoich dawnych obowiązkach w tym zakresie, do oczu napłynęły mu łzy. Zasiadł za tym biurkiem przed dwunastu laty, kiedy Donna Parkins została wysłana do czyszczenia i osiem lat temu, kiedy przyszła pora na Jacka Brenta. Spędził kiedyś całą noc, trzymając się tych krat, leżąc na tej podłodze, kompletnie zdruzgotany. To było przed trzema laty, gdy nadeszła kolej jego żony.

Burmistrz Jahns odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

– Raczej szeryfowi – wymamrotał Holston, kiedy jeszcze była w stanie to usłyszeć.

– Proszę? – Jahns nachyliła się nad kratami, a jej gęste, siwe brwi uniosły się nieco.

– Teraz to już szeryf Marnes – przypomniał jej Holston. – Nie zastępca.

Jahns stuknęła kłykciami w kratę. – Zjedz coś – poradziła mu. – Nie będę nawet obrażać cię sugestią, żebyś się też trochę zdrzemnął.

3

Trzy lata wcześniej

– Chyba sobie kpicie – powiedziała Allison. – Kochanie, musisz tego posłuchać. Nie uwierzysz. Wiesz, że było więcej niż jedno powstanie?

Holston podniósł wzrok znad rozłożonej na kolanach teczki. Wokół walały się sterty papieru, nakrywające łóżko niczym kołdra – rozmaite stare akta i nowe skargi, które dopiero musiał rozpatrzyć. Allison siedziała w nogach łóżka, przy swoim niewielkim biurku. Mieszkali razem w jednym z mieszkań silosu, które w minionych dekadach zostało podzielone ledwie dwukrotnie. Zostało im więc dość miejsca na luksusy w rodzaju biurka czy szerokiego, niepiętrowego łóżka.

– Skąd niby miałbym o tym wiedzieć? – zapytał.

Żona odwróciła się, zaczesując sobie za ucho kosmyk włosów. Holston wskazał teczką monitor. – Cały dzień odkrywasz tajemnice sprzed stuleci, a ja niby mam coś o nich wiedzieć przed tobą?

Wystawiła język. – To tylko takie wyrażenie. W ten sposób daję ci o czymś znać. Czemu nie jesteś bardziej ciekawski? Nie słyszałeś tego, co właśnie powiedziałam?

Holston wzruszył ramionami. – Nigdy nie zakładałem, że to powstanie, o którym wiemy, było pierwsze; po prostu wydarzyło się relatywnie niedawno. W mojej pracy dowiedziałem się jednej rzeczy: żadne przestępstwo, żaden ogarnięty szaleństwem tłum nie jest czymś całkowicie nowym, całkowicie oryginalnym. – Podniósł akta z kolan. – Myślisz, że to pierwszy złodziej w silosie, kradnący wodę? Albo ostatni?

Krzesło Allison skrzypnęło, gdy odwróciła się w stronę męża. Za nią, na biurku, monitor mrugał strzępami danych, które kobieta zdołała wygrzebać ze starych serwerów silosu – resztkami informacji albo dawno pokasowanych, albo wielokrotnie nadpisywanych. Holston nadal nie pojmował jak działało odzyskiwanie danych, ani czemu ktoś na tyle bystry, by sobie z tym poradzić, był jednocześnie na tyle głupi, by go pokochać – jednak dobrze wiedział, że to były fakty.

– Lubię składać do kupy różne stare raporty – odparła. – Jeśli to prawda, wynika z tego, że kiedyś powstania wybuchały regularnie. Mniej więcej raz na pokolenie.

– Niewiele wiemy na temat dawnych czasów,– stwierdził Holston. Potarł oczy i pomyślał o papierkowej robocie, którą teraz powinien odwalać. – Może wtedy nie mieli systemu czyszczenia obiektywów? Pewnie obrazy na ekranach stawały się coraz bardziej rozmazane, aż w końcu ludziom odbijało, wzniecali rewoltę, czy coś w tym stylu, a potem kilka osób wysyłano na zewnątrz, żeby wszystko naprostowali. A może to był jakiś sposób na kontrolowanie liczebności populacji, no wiesz, jeszcze zanim powstała loteria.

Allison pokręciła głową. – Nie wydaje mi się. Zaczynam myśleć, że... – Przerwała i spojrzała na papiery rozrzucone wokół Holstona. Widok wszystkich zarejestrowanych przestępstw kazał jej przemyśleć to, co miała teraz zamiar powiedzieć. – Nie wydaję żadnych opinii, nie mówię, czy ktoś miał rację, czy jej nie miał. Sugeruję tylko, że może serwery wcale nie zostały wyczyszczone przez rebeliantów w trakcie powstania. A przynajmniej, że nie wyglądało to tak, jak nam wmówiono.

Jej słowa wreszcie zwróciły uwagę Holstona. Tajemnica wyczyszczonych serwerów, wymazana przeszłość wcześniejszych mieszkańców silosu – myśli na ten temat nawiedzały ich wszystkich. Zamknął teczkę, nad którą pracował, i odłożył ją na bok. – Co twoim zdaniem mogło to spowodować? – zapytał żony. – Sądzisz, że miał miejsce jakiś wypadek? Pożar? Może awaria zasilania? – Powtórzył tylko najbardziej powszechne teorie.

Allison zmarszczyła brwi. – Nie – odparła. Ściszyła głos, rozglądając się nerwowo dookoła. – Myślę, że to my wyczyściliśmy twarde dyski. To znaczy nasi przodkowie, nie zaś rebelianci. – Odwróciła się i nachyliła w stronę monitora, przesuwając palcem po kolumnie liczb, których Holston, siedząc na łóżku, nie mógł odczytać. – Dwadzieścia lat – rzekła. – Osiemnaście. Dwadzieścia cztery. – Palec przesuwał się po ekranie z cichym piskiem. – Dwadzieścia osiem. Szesnaście. Piętnaście.

Holston, idąc w stronę biurka, zrobił sobie ścieżkę pomiędzy leżącymi u jego stóp papierami, odkładając teczki przyporządkowane im na sterty. Usiadł w nogach łóżka, położył dłoń na szyi żony i znad jej ramienia wpatrywał się w monitor.

– To są daty?

Skinęła głową. – Mniej więcej co dwie dekady wybucha wielka rewolta. Ten raport je kataloguje. Był w jednym z plików skasowanych podczas ostatniego powstania. Naszego powstania.

Powiedziała „naszego” jakby oni albo ich przyjaciele żyli w czasie tych zajść. Jednak Holston wiedział, co miała na myśli. Chodziło o zdarzenie, w cieniu którego byli wychowywani – wielki konflikt wiszący nad ich dzieciństwem, ciążący nad ich rodzicami i dziadkami. To było powstanie, o którym mówiono szeptem, które kazało wszystkim rozglądać się wokół siebie kątem oka.

– Czemu sądzisz, że to my, czyli ci dobrzy, wyczyściliśmy serwery?

Odwróciła się nieznacznie, ponuro uśmiechnięta. – A kto twierdzi, że to my jesteśmy ci dobrzy?

Holston aż zesztywniał. Zdjął rękę z szyi Allison. – Nawet nie zaczynaj. Nie mów czegoś, co...

– Tylko żartuję – odparła, choć nie było tu z czego żartować. Była teraz dwa kroki od zdrady, za którą czekałaby ją kara czyszczenia. – Mam taką teorię – dodała pośpiesznie, kładąc nacisk na słowo „teoria”. – Istnieje konflikt pokoleń, prawda? Od stu lat, a może i dłużej. To jest niczym mechanizm. – Wskazała na daty. – Ale z drugiej strony, jedynej, jaką dotąd znaliśmy, ktoś przecież wyczyścił w czasie rebelii te serwery. Co, mogę ci zaświadczyć, nie polega tylko na wciśnięciu paru guzików czy wywołania pożaru. Na tę czynność składa się wiele skomplikowanych procesów. Trzeba by się było naprawdę postarać, nie wystarczy wypadek, pośpieszne działanie czy zwykły sabotaż...

– Ale to ci nie mówi, kto jest odpowiedzialny – zauważył Holston. Przy komputerze jego żona potrafiła czarować, bez wątpienia, lecz śledztwa nie były jej konikiem, tylko jego.

– Za to mówi mi o tym – ciągnęła – że wcześniej w każdym pokoleniu zdarzała się rewolta, ale od czasu naszego powstania nie było żadnej. – Allison przygryzła wargę.

Holston usiadł prosto. Rozejrzał się po pokoju i czekał, aż jej spostrzeżenie w pełni do niego dotrze. Nagle wyobraził sobie, jak żona wyrywa mu jego policyjną torbę i zaczyna z nią uciekać.

– Więc próbujesz mi powiedzieć... – Podrapał się w brodę, raz jeszcze starając się całą sprawę przemyśleć. – Próbujesz powiedzieć, że ktoś wykasował całą naszą historię tylko po to, byśmy jej nie powtórzyli?

– Albo i gorzej. – Chwyciła obiema dłońmi jego rękę. Jej twarz nie wyrażała już tylko powagi, lecz coś znacznie bardziej srogiego. – Co jeśli powód tych wszystkich rewolt znajdował się właśnie na tych twardych dyskach? Co jeśli jakaś część znanej nam historii, albo jakieś dane

z zewnątrz, a może wiedza o czymś, co dawno dawno temu kazało ludziom się tutaj przenieść... co jeśli ta informacja wywołuje taki rodzaj presji, że mieszkańcy w końcu tracą zmysły, popadają w szaleństwo, albo po prostu nieodparcie pragną wydostać się na zewnątrz?

Holston pokręcił głową. – Nie chcę nawet, żebyś tak myślała – ostrzegł ją.

– Nie twierdzę, że mieli prawo ześwirować – wyjaśniła mu, znów starając się ważyć słowa. – Ale z tego, co udało mi się posklejać, taką właśnie można wysnuć teorię.

Holston zerknął niepewnie na monitor. – Może nie powinnaś tego robić – odparł. – Nie jestem nawet pewien, jak to robisz, i może wcale nie powinnaś.

– Kochanie, wszystkie dane już tutaj są. Jeśli ja ich teraz nie poskładam do kupy, ktoś kiedyś to zrobi. Ten dżin nie wróci do swojej butelki.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Już opublikowałam dokument na temat tego, jak odzyskiwać skasowane bądź nadpisane pliki. Reszta wydziału IT wszędzie go rozsyła, żeby pomóc ludziom, którzy skasowali niechcący coś, co było im potrzebne.

– Nadal uważam, że powinnaś przestać – odpowiedział. – To naprawdę nie najlepszy pomysł. Nie widzę, żeby miało z tego wyniknąć cokolwiek dobrego...

– Nic dobrego nie wyniknie z prawdy? Poznanie prawdy zawsze jest dobre! I chyba lepiej, że odkrywamy ją my, niż miałby to być ktoś inny, no nie?

Holston spojrzał na swoje akta. Minęło już pięć lat, odkąd ostatni raz wysłano kogoś do czyszczenia. Ich widok na świat zewnętrzny był z każdym dniem coraz mniej wyraźny, a on czuł presję, by, jako szeryf, wreszcie kogoś znaleźć. To stawało się coraz potężniejsze, niczym zwiększające się w silosie ciśnienie, które w końcu doprowadzi do wybuchu. Czując, że ten czas już się zbliża, mieszkańcy stawali się nerwowi. To było jak jedna z tych samospełniających się przepowiedni, kiedy podenerwowanie sprawiało, że ktoś w końcu pękał, naskakiwał na kogoś albo mówił coś, czego potem żałował, a w końcu trafiał do celi, obserwując swój ostatni, zamazany zachód słońca.

Holston uporządkował rozrzucone wokół teczki, żałując, że niczego w nich nie ma. Gdyby to miało zmniejszyć ciśnienie, nawet jutro mógłby posłać kogoś na śmierć. Jego żona stukała igłą w potężny, napięty balon, Holston zaś chciał spuścić z niego powietrze, zanim Allison posunie się za daleko.

4

Czasy obecne

Holston siedział na stalowej ławce wewnątrz śluzy. Przez braku snu i z powodu nieuchronności tego, co go czekało, czuł się kompletnie otępiały. Nelson, szef laboratorium czyszczenia, klęczał przed nim, zakładając na nogi Holstona dół białego kombinezonu ochronnego.

– Pobawiliśmy się trochę, plombując złącza, dodaliśmy też podwójną warstwę spreju – tłumaczył Nelson. – Dzięki temu będziesz miał więcej czasu niż ktokolwiek wcześniej.

Holston momentalnie przypomniał sobie swoją żonę, gdy też miała iść na czyszczenie. Najwyższe piętro silosu, z jego ogromnymi ekranami, z reguły było na czas czyszczenia opróżniane. Ludzie wewnątrz nie mogli znieść widoku tego, co robili – a może po prostu chcieli wejść na górę i cieszyć się pięknym widokiem nie wiedząc jednocześnie, jakiego poświęcenia wymaga jego uzyskanie. Ale Holston chciał patrzeć, nie miał nawet cienia wątpliwości w tej kwestii. Nie mógł dostrzec twarzy Allison, skrytej za srebrną osłoną hełmu, nie widział przez gruby kombinezon jej szczupłych ramion, gdy bez końca szorowała obiektywy zewnętrznych kamer swymi wełnianymi padami polerskimi, jednak dobrze znał jej chód, wszystkie te drobne manieryzmy jej zachowań. Obserwował, jak kończy pracę, nie śpiesząc się i wykonując ją starannie, a potem cofa się, po raz ostatni patrząc w obiektyw kamery, kiwając ręką, wreszcie odwracając się i odchodząc. Tak jak wszyscy jej poprzednicy, ruszyła w stronę najbliższego wzgórza i zaczęła wspinaczkę, z trudem maszerując w kierunku obróconych w ruinę budowli starożytnego miasta widocznego na horyzoncie. Przez cały ten czas Holston nawet nie drgnął. Nawet gdy upadła na zboczu, próbując zdjąć z siebie hełm. Nawet gdy wiła się z bólu, a toksyny zżerały najpierw warstwę ochronną, potem kombinezon, a w końcu ją samą... Nawet się nie poruszył.

– Druga noga.

Nelson klepnął go w kostkę. Holston uniósł stopę i pozwolił mężczyźnie założyć sobie nogawki kombinezonu na golenie. Patrząc na swoje dłonie, na czarny, węglowy ocieplacz, założony na gołą skórę, Holston wyobraził sobie, jak to wszystko rozpuszcza się i spływa z jego

ciała, zupełnie jak smar z rur generatora. Wyobrażał sobie, jak z porów jego skóry tryska krew i wypełnia kombinezon.

– Jeśli złapiesz barierkę i wstaniesz...

Nelson pomagał mu przejść przez procedurę, której świadkiem Holston był już wcześniej dwukrotnie. Raz z Jackiem Brentem, który od początku do końca zachowywał się agresywnie, a on, jako szeryf, musiał cały czas mieć go na oku i stać tuż przy ławce. Drugi raz ze swoją żoną, której przygotowaniom przyglądał się przez niewielki iluminator w drzwiach śluzy Po tych obserwacjach Holston doskonale wiedział, co ma robić, nadal jednak musieli mu o tym mówić. Myślami błądził gdzie indziej. Wyciągając ręce w górę, złapał wiszącą nad głową poręcz i wstał. Nelson złapał skraj kombinezonu i podniósł go Holstonowi aż do wysokości pasa. Puste rękawy zwisały po bokach.

– Lewa ręka tutaj.

Holston niemrawo wykonał polecenie. To wszystko zdawało mu się wręcz surrealistyczne: bycie po drugiej stronie tego całego procesu, mechanicznego marszu skazanych ku śmierci. Często zastanawiał się, czemu ludzie w ogóle się na to zgadzali, czemu po prostu robili to, co im rozkazano. Nawet Jack Brent zastosował się do żądań, mimo że w trakcie przygotowań był bardzo napastliwy i ordynarny. Allison była cicha, tak jak ja teraz, pomyślał, wsuwając dłonie w rękawy. Założyli mu kombinezon i wtedy doszedł do wniosku, że ludzie pewnie nie protestowali, bo nie mogli uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. To wszystko nie wydawało się na tyle realne, by się przeciw temu buntować. Zwierzęca część jego umysłu nie była przygotowana na spokojny marsz ku śmierci – z pełną świadomością tego, co ją czeka.

– Obróć się.

Tak też zrobił.

Poczuł szarpnięcie na wysokości krzyża, a potem głośny zgrzyt zamka zmierzający ku jego szyi. Kolejne szarpnięcie, kolejny zamek. Dwie warstwy marności. Chrzęst rzepów na górze. Poklepywania i powtórne sprawdzanie wszystkiego. Holston usłyszał, jak pusty hełm ześlizguje się z półki; wyprostował palce w grubych rękawicach, a Nelson zaczął sprawdzać wnętrze hełmu.

– Jeszcze raz powtórzmy sobie całą procedurę.

– To nie będzie konieczne – odparł cicho Holston.

Nelson zerknął ku prowadzącym z powrotem do silosu drzwiom śluzy. Holston nie musiał nawet patrzeć, by zgadnąć, że ktoś pewnie ich obserwuje. – Bądźże cierpliwy – rzekł Nelson. – Muszę to przecież zrobić zgodnie z wytycznymi.

Holston skinął głową, wiedział jednak, że żadnych wytycznych nie było. Z wszystkich mistycznych tradycji przekazywanych ustnie z pokolenia na pokolenie, żadna nie mogła się równać z wręcz sekciarskim podejściem twórców kombinezonów i speców od czyszczenia. Wszyscy musieli im ustępować. Być może czyściciele fizycznie dokonywali samego aktu, jednak robili to dzięki staraniom techników. To oni właśnie dbali o zachowanie widoku na świat zewnętrzny, znajdujący się poza ścianami silosu.

Nelson położył hełm na ławce. – Tutaj masz swoje skrobaczki. – Poklepał pady do polerowania, przyczepione z przodu skafandra.

Holston oderwał jeden z cichym trzaskiem, a potem bacznie przyjrzał się warstwom szorstkiego materiału, w końcu przyczepiając go na miejsce.

– Zanim zaczniesz czyścić, psikasz dwa razy płynem z butelki, potem osuszasz ręcznikiem, a na końcu nakładasz osłonę ablacyjną. – Poklepał kieszenie w odpowiedniej kolejności, mimo faktu, że i tak były oznaczone i ponumerowane – numery nadrukowano do góry nogami, by Holston mógł je odczytać – i jeszcze oznaczone odpowiednimi kolorami.

Holston skinął głową, po raz pierwszy patrząc w oczy technika. Ze zdziwieniem dostrzegł w nich strach, który nauczył się dostrzegać w trakcie własnej pracy. Niemal zapytał Nelsona, o co chodzi, nim dotarło do niego: facet bał się, że wszystkie te instrukcje na nic się zdadzą, jeśli Holston po prostu wyjdzie na zewnątrz – mieszkańcy silosu posądzali o to wszystkich wychodzących – i nie wypełni swojego obowiązku. Nie będzie niczego czyścił dla ludzi, których zasady, uderzające w tych, co śnili o lepszym miejscu, sprowadziły na niego zagładę. A może Nelson martwił się, że kosztowny i trudny w produkcji sprzęt – stworzony przez niego i jego kolegów przy użyciu sekretów i technik pochodzących z czasów poprzedzających powstanie – znajdzie się poza silosem i będzie się tam bezcelowo rozkładał.

– Wszystko dobrze? – zapytał Nelson. – Nie jest za ciasny?

Holston rozejrzał się po wnętrzu śluzy. Chciał odpowiedzieć, że całe jego życie stało się za ciasne. Moja skóra jest za ciasna. Ściany też.

Ale tylko pokręcił głową.

– Jestem gotowy – wyszeptał.

To była prawda. Co najdziwniejsze, Holston już naprawdę był gotowy do wyjścia.

I nagle przypomniało mu się, że jego żona czuła dokładnie to samo.

5

Trzy lata wcześniej

– Chcę wyjść na zewnątrz. Chcę wyjść na zewnątrz. Chcęwyjśćnazewnątrz.

Holston przybiegł do stołówki. Jego radio nadal skrzeczało donośnie – zastępca Marnes wrzeszczał coś o Allison. Holston nie tracił nawet czasu na odpowiedź, po prostu pokonał pędem trzy kondygnacje, żeby jak najszybciej znaleźć się na miejscu.

– Co się dzieje? – zapytał. Przedarł się przez tłum i zobaczył swoją żonę wijącą się na podłodze. Conor i dwóch pracowników stołówki starało się ją przytrzymać. – Puśćcie ją! – Uderzył ich po rękach, którymi trzymali łydki jego żony, niemal dostał od niej butem w podbródek. – Uspokój się – powiedział. Sięgnął ku jej nadgarstkom, które wciąż wykręcała nerwowo, by wyrwać się z uchwytu mężczyzn. – Kochanie, co do diabła się dzieje?

– Biegła w stronę śluzy – wyjaśnił Conor, pochrząkując z wysiłku. Percy objął jej wierzgające stopy, a Holston tym razem go nie powstrzymywał. Teraz pojął, czemu ci trzej mężczyźni byli tu potrzebni. Nachylił się nad Allison, żeby na pewno go dostrzegła. Oczy miała mokre, zerkając na niego zza zasłony rozczochranych włosów.

– Allison, skarbie, musisz się uspokoić.

– Chcę wyjść na zewnątrz. Chcę wyjść na zewnątrz. – Jej głos nieco ucichł, ale nadal wypowiadała te przerażające słowa.

– Nie mów tak – rozkazał jej Holston. Na dźwięk wypowiadanego przez nią raz po raz zdania, ciało przeszywały mu dreszcze. Chwycił ją za policzki. – Kochanie, nie mów tak!

Ale w przebłysku zrozumienia jakaś jego część wiedziała już, co to znaczyło. Wiedział, że jest za późno. Inni też to usłyszeli. Wszyscy to usłyszeli. Jego żona właśnie wydała na siebie wyrok śmierci.

Całe pomieszczenie wokół Holstona wirowało szaleńczo, gdy błagał Allison, by wreszcie się uciszyła. Było tak, jakby znalazł się na miejscu jakiegoś potwornego wypadku – na przykład jakiejś tragedii w warsztacie – i odkrył, że osoba, którą kocha została ciężko ranna. Przybył na miejsce i wie, że ukochana jeszcze żyje, chwilowo ma się nawet całkiem nieźle, ale już na pierwszy rzut oka widać, że ta rana jest śmiertelna.

Holston czuł jak ciepłe łzy spływają mu po policzkach. Próbował odgarnąć Allison włosy z twarzy. W końcu spojrzała mu w oczy, przestała się wić i z pełną świadomością skupiła wyłącznie na nim. I przez chwilę, ledwie przez sekundę, zanim zdążył pomyśleć, czy przypadkiem nie odurzono jej lekami albo w jakikolwiek inny sposób nie skrzywdzono, dostrzegł w jej spojrzeniu iskrę przytomności, błysk zdrowego rozsądku, chłodną kalkulację. Po chwili, ledwie mrugnęła, jej oczy znów zrobiły się dzikie. Znów zaczęła błagać, by ją wypuszczono, raz za razem, w nieskończoność.

– Podnieście ją – nakazał Holston. Oczy miał pełne łez, ale musiał teraz przyjąć wreszcie postawę właściwą szeryfowi i zainterweniować. Nie pozostało nic innego jak umieścić Allison za kratami, mimo że on sam pragnął już tylko krzyczeć. – Tędy – zwrócił się do Conora, który trzymał kobietę za ramiona. Skinął głową w stronę ich biura i znajdującej się za nim celi aresztu. Nieco dalej, na samym końcu korytarza, wręcz biła po oczach jasnożółta farba drzwi prowadzących do śluzy – barwa spokojna i groźna zarazem, cicha i oczekująca.

Kiedy już znaleźli się w celi, Allison momentalnie się uspokoiła. Usiadła na ławce, nie walcząc już i nie bełkocząc, jak gdyby zatrzymała się w tym miejscu ledwie na chwilę, by podziwiać widok. Teraz to Holston był wijącym się wrakiem człowieka. Wędrował nerwowo przed kratami i szlochając zadawał pytania, które nie doczekiwały się odpowiedzi. W tym czasie jego zastępca, Marnes, oraz burmistrz zajmowali się formalnościami. Oboje traktowali zarówno Holstona jak i jego żonę niczym pacjentów. I nawet gdy umysł Holstona szalał, rozważając wydarzenia minionych trzydziestu minut czystej grozy, gdzieś tam na tyłach jego mózgu szeryfa, w tej jego części, która zawsze rozmyślała o wzrastającym w silosie napięciu, był mgliście świadomy zarówno powszechnego szoku, jak też plotek przenikających przez ściany z betonu i prętów zbrojeniowych. Gigantyczne ciśnienie panujące w silosie teraz wraz z nerwowymi szeptami unosiło się z sykiem przez wszystkie szpary w spojeniach.

– Kochanie, musisz ze mną porozmawiać – błagał raz za razem. Przestał maszerować w tę i we w tę przed celą i teraz wykręcał już tylko zaciśnięte na kratach dłonie. Allison wciąż siedziała tyłem do niego. Gapiła się na ścienny ekran, na brązowe wzgórza, szare niebo i ciemne chmury. Od czasu do czasu podnosiła dłoń, by odgarnąć sobie włosy z twarzy, ale poza tym nie poruszała się ani nie odzywała. Jedynie raz, gdy Holston wsunął

klucz do zamka, niedługo po tym jak wsadził ją do celi i zamknął drzwi, zdołała wydusić pojedyncze „nie”, odwodzące go od tego pomysłu.

Kiedy on ją błagał, a ona ignorowała jego prośby, po silosie roznosiły się już plotki dotyczące nadchodzącego czyszczenia. Technicy popędzili korytarzem, by ściągnąć miarę i przygotować kombinezon. Wewnątrz śluzy szykowano już sprzęt do czyszczenia. Gdzieś tam syknął kanister, gdy przelewano argon do komór spłukujących. Od czasu do czasu to zamieszanie docierało do celi, przed którą stał Holston, gapiąc się na żonę. Rozgadani technicy przeciskając się obok, całkowicie zamilkli, jakby bali się nawet oddychać w obecności szeryfa.

Mijały kolejne godziny, a Allison wciąż nie chciała się odezwać – to zachowanie też narobiło niezłego zamieszania w silosie. Holston przez cały dzień płakał za kratami, mózg mu płonął z rozpaczy i niedowierzania To wydarzyło się w jednej chwili, niszcząc wszystko, co znał. Próbował skupić się na tym, co zrobiła Allison, gdy ona tymczasem siedziała spokojnie w celi, wpatrując się w posępny krajobraz. Na pierwszy rzut oka wydawała się zadowolona z uzyskania statusu czyściciela.

Dopiero po zmroku po raz pierwszy się odezwała, wcześniej odmówiwszy ostatniego posiłku. W końcu technicy skończyli przygotowania wewnątrz śluzy, zamknęli żółte drzwi i udali się na spoczynek, który tak naprawdę mógł wcale nie nadejść. Odezwała się niedługo po tym, jak zastępca Holstona opuścił posterunek, dwukrotnie klepiąc go po ramieniu. Zdawało się że od tamtej chwili minęło już wiele godzin, i gdy Holston niemal już tracił przytomność, zmęczony łkaniem i ochrypłymi błaganiami, długo po tym jak zamglone słońce zniknęło za wzgórzami, widocznymi ze stołówki i holu – wzgórzami, za którymi kryła się reszta odległego, obróconego w ruinę miasta – w półmroku celi Allison wyszeptała coś niemal niesłyszalnego: To nie jest prawdziwe.

A przynajmniej Holstonowi wydawało się, że te właśnie słowa usłyszał. Poruszył się nerwowo.

– Skarbie? – Ścisnął kraty i podniósł się z kolan. – Kochanie? – wyszeptał, ścierając zaschnięte łzy z policzków.

Odwróciła się. I było tak, jakby słońce zmieniło zdanie i znów wyłoniło się zza wzgórz. Zauważyła go i to dało Holstonowi nadzieję. Kompletnie go zatkało i doszedł do wniosku, że to była tylko choroba, gorączka, coś, co lekarz będzie w stanie bez trudu zdiagnozować, ratując ją

przed karą. Ona tego nie chciała. Otrząsnęła się już, była zatem ocalona, a Holston także był ocalony widząc, że żona się do niego odwraca.

– Nic, co widzisz, nie jest prawdziwe – powiedziała cicho. Jej ciało zdawało się zupełnie spokojne, mimo że szaleństwo trwało nadal, każąc Allison wypowiadać zakazane słowa.

– Porozmawiaj ze mną – poprosił Holston, kiwając do niej zza krat.

Allison pokręciła głową. Poklepała cienki materac leżący na pryczy.

Holston sprawdził zegar. Godziny odwiedzin już dawno minęły. Za to, co zamierzał teraz zrobić, mogą i jego wysłać do czyszczenia.

Bez wahania jednak wsunął klucz do zamka.

Metaliczne szczęknięcie zabrzmiało wyjątkowo donośnie.

Holston wszedł do celi i usiadł przy żonie. Przeżywał istną agonię, nie mogąc jej dotknąć, przytulić albo zabrać w jakieś bezpieczne miejsce, z powrotem do łóżka, żeby mogli udawać, że to był tylko zły sen.

Ale nie śmiał się ruszyć. Usiadł i splótł dłonie, gdy ona nie przestawała szeptać:

– To nie musi być prawdziwe. Nawet w najmniejszym stopniu. Zupełnie. – Patrzyła na ekran.

Holston nachylił się na tyle blisko, że mógł poczuć woń wyschniętego potu po tym całym ciężkim dniu. – Kochanie, co się dzieje?

Jej włosy zadrżały od towarzyszącego tym słowom oddechu. Wyciągnęła dłoń i potarła ciemniejący wyświetlacz, dotykając pikseli.

– W tej chwili może być już rano, a my się nie dowiemy. Na zewnątrz mogą znajdować się ludzie. – Odwróciła się i spojrzała na niego. – Mogą nas obserwować – dodała, uśmiechając się złowieszczo.

Holston nie odwrócił wzroku. Wcale nie wydawała się szalona, nie w taki sposób, co wcześniej. Jej słowa były szalone, lecz ona wcale się taka nie wydawała. – Skąd ten pomysł? – zapytał. Wydawało mu się, że wie, ale i tak wolał spytać. – Znalazłaś coś na twardych dyskach? – Słyszał wcześniej, że pobiegła w stronę śluzy prosto ze swojego laboratorium, ogarnięta nagłym szaleństwem. Coś musiało się wydarzyć, kiedy była w pracy. – Co takiego odkryłaś?

– Pokasowali nie tylko rzeczy dotyczące powstania – wyszeptała. – To było oczywiste. Wszystko pokasowali. Także bieżące dane. – Parsknęła śmiechem. Nagle jej głos stał się głośniejszy, a oczy zaszły mgłą. – E-maile, których mi nigdy nie wysłałeś, mogę się założyć!

– Skarbie. – Holston odważył się chwycić jej dłonie, a ona się nie odsunęła. Trzymał je w mocnym uścisku. – Co takiego odnalazłaś? To był jakiś e-mail? Od kogo?

Pokręciła głową. – Nie. Znalazłam programy, których używają. To dzięki nim obrazy na ekranie wydają się takie rzeczywiste. – Obejrzała się na zapadający zmierzch. – Dział IT – powiedziała. – Nasi informatycy, to właśnie oni. Oni wiedzą. Ten sekret znają tylko oni. – Pokręciła głową.

– Jaki sekret? – Holston nie potrafił stwierdzić, czy to zwykłe bzdury, czy coś ważnego. Wiedział tylko, że wreszcie zaczęła mówić.

– Ale teraz ja też wiem. I ty też będziesz wiedział. Wrócę po ciebie, przysięgam. Tym razem będzie inaczej. Przełamiemy ten cykl, ty i ja. Wrócę i razem przejdziemy przez to wzgórze. – Zaśmiała się. – Jeśli ono tam jest – dodała podniesionym głosem. – Jeśli to wzgórze tam stoi i jest zielone, razem przejdziemy na drugą stronę.

Odwróciła się do niego.

– Nie ma tak naprawdę żadnej rewolty, to tylko stopniowy wyciek. Ludzie, którzy wiedzą, i chcą się wydostać na zewnątrz. – Uśmiechnęła się. – Więc wychodzą. Dostają to, o co proszą. Wiem, czemu czyszczą, czemu mówią, że tego nie zrobią, a i tak się za to biorą. Wiem. Wiem doskonale. I nigdy nie wracają. Czekają, czekają i czekają, ale ja nie będę czekać. Ja tutaj wrócę. Tym razem będzie inaczej.

Holston ścisnął jej dłonie. Po policzkach płynęły mu łzy. – Kochanie, czemu to robisz? – Czuł, że teraz, gdy w silosie pogaszono światła i zostali całkiem sami, chciała się usprawiedliwić.

– Wiem już wszystko na temat powstań – odpowiedziała.

Holston skinął głową. – Rozumiem. Mówiłaś mi. Były też inne...

– Nie. – Allison odsunęła się od niego, ale zrobiła to tylko po to, by móc spojrzeć mu prosto w oczy. W jej spojrzeniu nie było już tej dzikości, co poprzednio.

– Holston, ja wiem dlaczego te powstania miały miejsce. Wiem dlaczego.

Allison przygryzła dolną wargę. Holston czekał, ciało miał napięte.

– Zawsze powodem były wątpliwości i podejrzenia, że na zewnątrz wcale nie jest tak źle, jak może się wydawać. Też to czułeś, prawda? Że możemy być gdziekolwiek, ale żyjemy w kłamstwie?

Wiedział, że nie należy na to pytanie odpowiadać, nie można ani drgnąć. Poruszanie tego tematu oznaczało natychmiastowe czyszczenie.

Siedział jak skamieniały i czekał.

– To mogły być młodsze pokolenia – ciągnęła Allison. – Mniej więcej co dwie dekady. Wydaje mi się, że pragnęli iść naprzód, odkrywać nowe rzeczy. Nie miałeś nigdy takiej potrzeby? Nawet jak byłeś młodszy? – Jej oczy znów zaszły mgłą. – A może chodziło o pary, o nowożeńców, których do szaleństwa doprowadzała myśl, że w tym naszym przeklętym, ograniczonym świecie nie będą nawet mogli mieć dzieci. Może dla zyskania takiej szansy, byli gotowi postawić wszystko a jedną kartę...

Wbiła wzrok w coś odległego. Może wyobrażała sobie teraz ten los, którego nie wykorzystali i już nigdy nie wykorzystają. Znów spojrzała na Holstona. Zastanawiał się, czy za milczenie też mogą go wysłać na czyszczenie – za to, że nie nawrzeszczał na nią, gdy wymawiała zakazane słowa.

– Mogło też chodzić o starszych mieszkańców – dodała. – Stłoczeni tu przez zbyt długi czas, na stare lata już się nie bali; pewnie chcieli się wynieść i zrobić miejsce dla pozostałych, dla tych kilkorga bezcennych wnuków. Ktokolwiek to był, powodem każdego powstania była ta myśl, to uczucie, że miejsce, w którym żyjemy, jest dla nas po prostu złe. – Rozejrzała się po celi.

– Nie wolno ci tak mówić – szepnął Holston. – To jedno z największych wykroczeń...

Allison skinęła głową. – Wyrażanie chęci wyjścia. Owszem. Wielkie wykroczenie. Nie widzisz, czemu tak jest? Czemu jest to aż tak zakazane? Właśnie dlatego, że od tej chęci zaczęła się każda rewolta.

– Dostajesz to, o co prosisz – Holston wyrecytował słowa wyryte w jego umyśle już od wczesnej młodości. Rodzice ostrzegali go – ich jedyne, ukochane dziecko – by nigdy nie zapragnął wyjść z silosu. Żeby nigdy nawet o tym nie myślał. Żeby mu to nie przyszło do głowy. To oznaczało natychmiastową śmierć. Wystarczyła sama myśl, żeby utracili swojego najdroższego jedynaka.

Znowu spojrzał na żonę. Nadal nie mógł pojąć szaleństwa, które kazało jej podjąć taką właśnie decyzję... A zatem odnalazła pokasowane programy, dzięki którym obraz na ekranach mógł zdawać się wyjątkowo rzeczywisty. Co to znaczyło? I dlaczego tak się zachowała?

– Czemu? – pytał ją. – Czemu tak postąpiłaś? Czemu nie przyszłaś do mnie? Na pewno był jakiś lepszy sposób, by sprawdzić, co się dzieje.

Mogliśmy opowiedzieć ludziom o tym, co odnalazłaś na tych twardych dyskach...

– I wzniecić kolejną rewolucję? – Allison parsknęła śmiechem. Nadal dostrzegał jej obłęd, a może była to tylko rosnąca frustracja i wrzący gniew. Może wielka, trwająca od pokoleń zdrada pchnęła ją na skraj przepaści. – Nie, dziękuję – odparła, tłumiąc śmiech. – Wyczyściłam wszystko, co odnalazłam. Nie chcę, żeby się dowiedzieli. Skoro chcą tutaj zostać, niech będą przeklęci. Wrócę tu tylko po ciebie.

– Już nie wrócisz – stwierdził ze złością Holston. – Wydaje ci się, że wygnani nadal gdzieś tam są? Myślisz, że nie chcą wracać, bo czują się przez nas oszukani?

– A myślisz, że czemu czyszczą obiektywy? – zapytała Allison. – Czemu podnoszą swoje pady i bez wahania przystępują do pracy?

Holston westchnął. Czuł, że jego gniew słabnie. – Nikt nie wie czemu – odparł.

– Ale co ty o tym sądzisz?

– Już o tym rozmawialiśmy – powiedział. – Ile razy już dyskutowaliśmy o tej sprawie? – Był przekonany, że wszystkie pary omawiały ten problem, gdy nikt nie mógł ich usłyszeć. Przypomniał sobie, jak sami też to robili. Popatrzył na ścienny ekran i odszukał wzrokiem księżyc, z jego położenia odczytując godzinę. Mieli niewiele czasu. Jutro jego żony już tu nie będzie. Ta myśl raz po raz rozświetlała jego umysł, jak błyskawica pośród burzowych chmur.

– Każdy ma jakieś teorie – rzekł. – Wiele razy o tym gadaliśmy. Po prostu...

– Ale teraz dowiedziałeś się czegoś nowego – powiedziała mu Allison. Puściła jego dłoń i odgarnęła włosy z twarzy. – Ty i ja dowiedzieliśmy się czegoś nowego i teraz wszystko nabrało sensu. A jutro będę wiedziała już w stu procentach. – Allison uśmiechnęła się. Poklepała dłoń Holstona, jakby był dzieckiem. – I pewnego dnia, kochany, ty też będziesz wiedział.

6

Czasy obecne

Przez pierwszy rok bez Allison, Holston czekał, wciąż uczestnicząc w jej szaleństwie, nie dowierzając widokowi jej zwłok leżących na wzgórzu, nadal mając nadzieję, że wróci. Pierwszą rocznicę śmierci spędził czyszcząc celę, myjąc żółte drzwi śluzy, nasłuchując dźwięku, może jakiegoś pukania, które będzie oznaczać, że duch żony powrócił, by go wyzwolić.

Skoro do tego nie doszło, zaczął rozważać alternatywę: podążenie za żoną. Spędził już dość dni, tygodni i miesięcy przeglądając pliki w jej komputerze – czytając to, co zdołała poskładać, rozumiejąc ledwie połowę – by samemu również postradać zmysły. Jego świat był oparty na kłamstwie, w które sam wierzył, a bez Allison nie miał po co żyć, nawet jeśli to kłamstwo miałoby okazać się prawdą.

Druga rocznica jej odejścia zwieńczyła rok jego tchórzostwa. Chodził do pracy, w ustach miał już zatrute słowa – związane z pragnieniem wyjścia na zewnątrz – lecz przełykał je zawsze w ostatnim momencie. On i zastępca Marnes poszli tamtego dnia na patrol, a sekret dotyczący tego, jak blisko śmierci się znalazł, dosłownie płonął w jego umyśle. To był długi rok tchórzostwa, bezustanne rozczarowywanie własnej żony. Jeśli ten pierwszy rok był jej porażką, drugi był z kolei jego. Ale to się skończy.

Teraz, rok później, siedząc samotnie wewnątrz śluzy, w kombinezonie czyściciela, pełen był wątpliwości i przekonań. Zamknięto za nim wejście silosu, zatrzaśnięto grube żółte drzwi, a Holston uświadomił sobie, że nigdy nie sądził, że umrze w taki sposób, że nigdy nie myślał, że czeka go taki właśnie los. Podejrzewał, że już na zawsze pozostanie w silosie, a jego prochy trafią tam, gdzie prochy jego rodziców – użyźnią glebę na farmach ósmego piętra. Jednak ta ewentualność zdawała się odległa o całe życie, istniała w czasach, gdy jeszcze śnił o rodzinie, o własnym dziecku, fantazjował nawet o posiadaniu bliźniaków, może kolejnej wygranej na loterii, o żonie, z którą się zestarzeje...

Po drugiej stronie żółtych drzwi rozległ się dźwięk klaksonu, ostrzegający wszystkich z wyjątkiem jego. On miał tutaj zostać. Nie było żadnego innego miejsca, w które mógłby się udać.

Pojemniki z argonem zasyczały, wpompowując gaz do pomieszczenia. Po minucie Holston mógł już poczuć ciśnienie powietrza, marszczące jego kombinezon. Oddychał cyrkulującym wewnątrz hełmu tlenem, stojąc przed drugimi drzwiami – tymi zakazanymi wrotami do okropnego świata istniejącego na zewnątrz. Czekał.

Z głębi ścian dobiegł metaliczny jęk tłoków. Plastikowe kurtyny osłaniające wnętrze śluzy powyginały się pod wpływem wzrastającego stężenia argonu w powietrzu. W czasie gdy Holston będzie czyścił, te kurtyny zostaną spalone. Jeszcze przed nastaniem nocy całe to pomieszczenie zostanie wyszorowane i będzie czekało na następne czyszczenie.

Wielkie metalowe drzwi przed nim zadrżały, a potem pojawiła się szpara, z każdą sekundą rozszerzająca się bardziej. Nie otworzą się do końca, nie tak, jak kiedyś zostały zaprojektowane – trzeba było zminimalizować ryzyko napływu toksycznego powietrza.

Strumień argonu z sykiem popłynął przez szparę na zewnątrz, rycząc coraz głośniej. Holston przykucnął, tak samo przerażony brakiem oporu ze swojej strony, jak kiedyś bywał zaskoczony zachowaniem innych czyścicieli. Lepiej wyjść na zewnątrz, choć raz zobaczyć świat na własne oczy, niż spłonąć żywcem tutaj, tak jak spłoną kurtyny. Lepiej przetrwać tych kilka dodatkowych chwil.

Gdy tylko wyjście zrobiło się wystarczająco szerokie, Holston przecisnął się przez nie, zaczepiając i ocierając się kombinezonem o drzwi. Otaczał go welon mgły – argon gęstniał w atmosferze o niższym ciśnieniu. Holston potoczył się przed siebie na ślepo, przedzierając się przez miękką chmurę.

Nadal tkwiąc w tej mgle, usłyszał jęk zewnętrznych drzwi, które właśnie zaczęły się zamykać. Z tyłu zawył klakson, a jego dźwięk został zduszony przez nacisk grubej stali na grubą stal, odcinających Holstona i toksyny, gdy w tym czasie wewnątrz śluzy zaczęły już szaleć płomienie, niszcząc wszelkie skażenie, jakie zdołało się wedrzeć do środka.

Holston stał na dole betonowej rampy, rampy, która prowadziła na górę. Miał niewiele czasu – gdzieś z tyłu czaszki nieustannie słyszał wołanie: pośpiesz się, pośpiesz! Jego życie dobiegało końca. Wdrapał się na rampę, zaskoczony, że nie od razu trafił na powierzchnię, przyzwyczajony do widoku świata i horyzontu z wnętrza stołówki i hallu, które przecież znajdowały się na tym samym poziomie, co śluza.

Podążał powoli wąską rampą, po bokach mając betonowe ściany, a jego wizjer jaśniał mylącym, rażącym światłem. Dotarłszy na szczyt, Holston ujrzał raj, na który skazano go za zwykły grzech posiadania nadziei. Obrócił się wokół własnej osi, lustrując wzrokiem horyzont. Aż zakręciło mu się w głowie od nadmiaru zieleni!

Zielone wzgórza, zielona trawa, zielony dywan pod nogami. Holston wydał okrzyk radości. Napawał się tym widokiem. A nad całym tym zielonym bezmiarem wisiało niebo mające dokładnie taką barwę, jak to w książkach dla dzieci – pełne czystych białych chmur i żywych stworzeń frunących w przestworzach.

Holston obracał się bezustannie, starając się to wszystko ogarnąć. Nagle przypomniał sobie, że jego żona robiła dokładnie to samo. Patrzył na nią zakłopotany, jak obraca się dookoła, jakby się zgubiła, albo nie wiedziała, czy tak naprawdę ma przystąpić do czyszczenia.

Czyszczenie!

Holston oderwał z klatki piersiowej wełniany krążek. Czyszczenie! Teraz już wiedział, w budzącym zawroty głowy przypływie świadomości, strumieniu zrozumienia, wiedział dlaczego, dlaczego. Dlaczego!

Obejrzał się w kierunku, gdzie spodziewał się znaleźć wysoką, okrągłą ścianę silosu, ale oczywiście ściana była zakopana. Przed nim znajdował się jedynie niewielki betonowy kopiec, nie wyższy niż na osiem czy dziewięć stóp. Po jednej stronie znajdowała się metalowa drabina, na szczycie zaś sterczała antena. Gdziekolwiek nie spojrzał, wszędzie dostrzegał szerokie obiektywy wielkich kamer silosu.

Holston wyciągnął przed siebie wełniany pad i podszedł do pierwszego. Wyobraził sobie, jak teraz musi wyglądać z wnętrza stołówki, chwiejnie idąc naprzód, na ekranie stając się coraz większy. Trzy lata temu obserwował, jak jego żona robiła dokładnie to samo. Pamiętał, jak kiwała ręką – wtedy podejrzewał, że dla zachowania równowagi, ale może próbowała mu w ten sposób coś powiedzieć? Czy też szczerzyła się w uśmiechu jak idiotka, mając twarz ukrytą za srebrną przesłoną? Czy serce waliło jej z głupią nadzieją, gdy pryskała sprayem, tarła, wycierała i nakładała osłonę ablacyjną? Holston wiedział, że stołówka jest teraz pusta – nikt go nie kochał na tyle, by się jego czyszczeniu przyglądać – ale i tak machał ręką. I nie czuł wcale wściekłości, o którą wcześniej podejrzewał wielu czyścicieli. Nie chodziło o świadomość, że to ci w silosie są w rzeczywistości skazani, a ci skazani przez nich zostali puszczeni wolno,

ani poczucie zdrady wprawiające w wirowy ruch trzymany w dłoni krążek polerski. To był żal. Czysty żal, ale też zarazem bezgraniczna radość.

Świat zaczął się rozmazywać, ale w dobry sposób, bo Holstonowi do oczu napłynęły łzy. Jego żona miała rację: widok na ekranach był kłamstwem. Wzgórza były takie same – po tylu latach życia w ich cieniu, rozpoznał je na pierwszy rzut oka – ale kolory się nie zgadzały. Ekrany wewnątrz silosu, kontrolowane przez programy odkryte przez jego żonę – one w jakiś sposób sprawiały, że jaskrawa zieleń wydawała się szarością, w jakiś sposób usuwały z pola widzenia wszelkie ślady życia. Niezwykłego życia!

Holston ścierał sadzę z obiektywu, zastanawiając się, czy postępujące rozmazanie widoku było w ogóle rzeczywiste. Bo sadza na pewno była prawdziwa. Widział ją wyraźnie, przecierając obiektywy. Ale czy był to zwykły brud, czy jakaś toksyczna, przenoszona drogą powietrzną substancja? Czy odkryty przez Allison program zmieniał tylko to, co było widoczne? Umysł Holstona wirował od tylu zadziwiających pomysłów i faktów. Był jak dorosłe dziecko, rzucone w wielki świat – głowa niemal pękała on namiaru informacji.

W końcu, ścierając ostatnie smugi z drugiego obiektywu, zdecydował, że zamazany widok na ekranach jest prawdziwy. Warstwa sadzy utrudniała zobaczenie, co kryje się na zewnątrz silosu, podobnie jak fałszywe szarości i brązy, które stosował program komputerowy, chcąc ukryć zieleń pól i niebieskie niebo pełne białych obłoków. Ukrywano przed nimi świat tak piękny, że Holston ledwie się powstrzymywał przed zamarciem bez ruchu w niemym zachwycie i podziwianiem wszystkiego, co go otaczało.

Pracując nad drugą z czterech kamer, rozmyślał nad ściennymi ekranami znajdującymi się poniżej, zmieniającymi to, co rejestrowały. Był ciekaw, ile osób w silosie wiedziało o tym procederze. Czy ktokolwiek wiedział? Jakiego fanatyzmu potrzeba było, by podtrzymywać równie przygnębiającą iluzję? A może to był sekret jeszcze z czasów poprzedzających ostatnie powstanie? Czy mieliśmy do czynienia z zapomnianym kłamstwem, kontynuowanym przez kolejne pokolenia – zestawem kłamliwych programów, które działały na komputerach w silosie bez niczyjej wiedzy? Lecz jeśli ktoś o tym wiedział, jeśli mógł na ekranie wyświetlić cokolwiek, czemu nie wyświetlał czegoś pięknego?

Powstania! Może robiono to, żeby zapobiegać kolejnym rewoltom. Holston nałożył osłonę na drugi czujnik i zacząć się zastanawiać, czy to odrażające kłamstwo na temat niegościnności zewnętrznego świata nie zostało wymyślone, by ludzie bali się wychodzić na zewnątrz. Czyżby ktoś zdecydował, że prawda jest znacznie gorsza niż utrata kontroli i władzy nad ludźmi? Czy też chodziło o coś głębszego, znacznie bardziej złowieszczego? O lęk przed brakiem wstydu, wolnością posiadania tylu dzieci, ile się tylko chciało? Tak wiele przerażających możliwości.

A co z Allison? Gdzie się podziewała? Holston podreptał za róg betonowej wieży, w stronę trzeciego obiektywu, i na horyzoncie dostrzegł znajome, lecz zarazem dziwne wieżowce odległego miasta. Było tam znacznie więcej budynków niż zazwyczaj. Niektóre stały po obu stronach, a jeden, wcześniej nieznany, wyłaniał się na pierwszym planie. Pozostałe, te które znał na pamięć, zdawały się teraz lśniące i nienaruszone, choć wcześniej – widziane ze środka – były doszczętnie zrujnowane. Holston spojrzał ponad szczyty zielonych wzgórz i wyobraził sobie, że lada chwila wyłoni się zza nich Allison. Lecz to by przecież było niedorzeczne. Skąd niby miałaby wiedzieć, że właśnie teraz go wygnano? Czy pamiętała o ich rocznicy? Mimo tego, że Holston nie zjawił się tu podczas dwóch poprzednich? Przeklinał swoje wcześniejsze tchórzostwo, zmarnowane lata. Zdecydował, że musi dotrzeć do żony.

Nagle poczuł impuls, by to zrobić: zedrzeć z głowy hełm, zedrzeć kombinezon i pognać na wzgórza jedynie w węglowym ocieplaczu, wciągając w płuca rześkie powietrze i śmiejąc się do Allison, czekającej na niego gdzieś w rozległym, prawdziwym mieście pełnym ludzi i ich popiskujących radośnie dzieci.

Nie zrobił tego jednak, musiał podtrzymywać iluzję, zachować pozory. Nie był pewien, dlaczego, lecz właśnie to uczyniła wcześniej jego żona, tak jak i wszyscy czyściciele przed nim. Holston należał teraz do tego klubu, był członkiem zewnętrznej grupy. Na jego barkach spoczywała cała historia podejmowanych przez poprzednich czyścicieli działań. Oni wszyscy dokładnie wiedzieli, co czynią. Skończy swój występ dla grupy uwięzionej wewnątrz. Nie był pewien, czemu to robi, ale jego poprzednicy zrobili to samo. Znał też sekret, który wspólnie dzielili. I ten sekret był niczym potężny narkotyk. Holston mógł tylko robić to, co mu kazano, podążać za numerami na swoich kieszeniach, mechanicznie czyścić obiektyw za obiektywem, w myślach rozważając niesamowite

konsekwencje istnienia świata zewnętrznego – tak wielkiego, że nikt w czasie swojego życia nie zdoła zwiedzić go całego, nie zużyje całego powietrza, nie wypije wody, nie zje jedzenia.

Holston marzył o tych rzeczach, szorując trzeci obiektyw, wycierając go, pryskając sprayem, a potem ruszył do ostatniego. Serce dudniło mu w uszach, klatka piersiowa podskakiwała pod grubą warstwą kombinezonu. Już niedługo, naprawdę niedługo, powtarzał sobie. Użył drugiego krążka polerskiego, ścierając sadzę z obiektywu. Po raz ostatni prysnął sprayem, potem odłożył wszystko na swoje miejsca – do ponumerowanych kieszeni, nie chcąc zanieczyszczać cudownej i zdrowej gleby odpadami. Zrobione. Holston cofnął się od krok, po raz ostatni rzucił okiem w stronę nikogo, nie obserwującego go teraz na ekranach stołówki i hallu. A potem obrócił się plecami do tych wszystkich, którzy odwrócili się od Allison i tylu innych. Istniała przyczyna, że nikt nie wracał po ludzi zamkniętych w silosie, pomyślał Holston, tak jak i była przyczyna, dla której każdy w końcu czyścił obiektywy, mimo że wcześniej się przed tym wzbraniał. Był wolny, wkrótce dołączy do pozostałych. Ruszył w stronę ciemnej ścieżki biegnącej zboczem wzgórza, podążając śladem swojej żony, świadomy tego znajomego głazu, od dawna uśpionego, którego teraz już nie było w tym miejscu widać. A więc nawet to było tylko kolejne ulepione z pikseli kłamstwo, pomyślał.

7

Holston wspinał się na wzgórze, nadal nie mogąc nadziwić się jasnej trawie pod stopami i jaskrawemu niebu nad głową. Nagle jego żołądkiem wstrząsnęły torsje. To był gwałtowny skurcz, jakby nagle mężczyzna poczuł się niewiarygodnie głodny. W pierwszym momencie zmartwił się, że może szedł zbyt szybko – najpierw energicznie czyścił obiektywy, a teraz pędził przed siebie w tym ciężkim kombinezonie. Nie chciał go zdejmować przed dotarciem na szczyt wzgórza i zniknięciem z pola widzenia, żeby nie burzyć iluzji, którą pokazywał ścienny ekran stołówki. Skupił wzrok na odległych szczytach wieżowców i postanowił nieco zwolnić kroku,– by trochę się uspokoić. Bez pośpiechu. Po tylu latach pokonywania trzydziestu kondygnacji spiralnych schodów, to nie powinno być aż takie trudne.

Przeszył go kolejny skurcz, tym razem silniejszy. Holston skrzywił się i stanął w miejscu, czekając aż mu przejdzie. Kiedy ostatnio coś jadł? Wczoraj niczego nie tknął. Idiota. A kiedy ostatnio był w toalecie? Znów nie potrafił sobie przypomnieć. Może będzie musiał zrzucić kombinezon wcześniej niż planował. Gdy mdłości minęły, zrobił kilka kolejnych kroków naprzód, licząc, że dotrze na szczyt przed kolejnym atakiem. Po ledwie dwunastu krokach to znów go dopadło – z jeszcze większą mocą – i było gorsze niż jakakolwiek choroba, której dotąd doświadczył. Zebrało mu się na wymioty. Teraz wiedział, że pusty żołądek był błogosławieństwem. Złapał się za podbrzusze, zrobiło mu się miękko w kolanach. Padł na ziemię i jęknął. Żołądek mu płonął, klatka piersiowa też stanęła w ogniu. Zdołał się przeczołgać parę metrów. Pot ściekał mu po czole, kapiąc na wnętrze hełmu. Na przesłonie nagle rozbłysły iskry i cały świat zaczął raz po raz błyskać bielą, jak podczas burzy z piorunami. Zdezorientowany i półprzytomny, Holston nadal czołgał się w górę, mozolnie prąc naprzód. Jego umysł skupił się na tym ostatnim celu: dotrzeć na szczyt.

Wizjer wciąż migotał, rozbłyskując jasnym światłem. Trudno było przez niego patrzeć. Holston potknął się o coś, ugiął rękę i zwalił się ciężko na ziemię. Zamrugał a potem spojrzał przed siebie, w górę zbocza, czekając aż będzie mógł dostrzec, co się tam znajduje. Widział jednak tylko zieloną trawę.

I wtedy wizjer zgasł. Wszystko zrobiło się czarne. Holston próbował wbić palce w przesłonę, czując jak jego żołądek znów zwija się w supeł. Od

strony wizjera docierał do jego oczu lekki blask, więc był pewien, że nie oślepł całkiem. Jednak migotanie zdawało się docierać z wnętrza hełmu. Więc to jego wizjer oślepł, a nie on sam.

Holston wymacał zatrzaski z tyłu hełmu. Był ciekaw, czy już zużył cały zapas tlenu. Czyżby zaczął się dusić? Otruły go jego własne wyziewy? Oczywiście! Po co mieliby mu dawać więcej powietrza, niż potrzeba na czyszczenie? Wymacał grubymi rękawicami zatrzaski powyżej karku. Rękawice ewidentnie nie były do tego przeznaczone. Stanowiły część kombinezonu: jednoczęściowego i zapinanego z tyłu na dwa zamki, a do tego jeszcze dochodziły jeszcze rzepy. Nie dało się go z siebie ściągnąć, a już na pewno nie bez czyjejś pomocy. Holston umrze w środku. Zatruje się, udławi własnymi wyziewami. Nagle dotarło do niego prawdziwe znaczenie słowa skażenie, prawdziwe znaczenie bycia uwięzionym. W porównaniu z tym silos to nie było nic wielkiego! Miotał się dziko w swojej szytej na miarę trumnie. Uderzał w zatrzaski, lecz usztywnione palce rękawic były zbyt wielkie. Co gorsza kompletnie nic nie widział. Czuł się uwięziony, dusił się. Znów zwinął się z bólu. Zgiął się w pół, opierając ręce na ziemi. Nagle wyczuł pod rękawicą coś ostrego.

Obmacał obiekt: ostry kamień. Jego narzędzie. Próbował się uspokoić. Przez całe lata wymuszał spokój, uspokajał innych, porządkował chaos – teraz to wszystko do niego wracało. Ostrożnie chwycił kamień, przerażony, że przez swoją ślepotę może go zgubić. Podniósł go na wysokość hełmu. Przez głowę przemknął mu pomysł, żeby przeciąć ostrą krawędzią rękawice, nie był jednak pewny, czy starczy mu tlenu, albo chociaż trzeźwości umysłu. Stuknął kamieniem w punkt, gdzie powinien znajdować się zatrzask. Usłyszał trzaśnięcie. Trzask, trzask. Zrobił przerwę, by sprawdzić palcami efekt swoich działań. Znowu miał mdłości. Za drugim razem Holston postanowił wycelować dokładniej. Zamiast trzasku usłyszał kliknięcie. Przez szparę z jednej strony wizjera do hełmu wlało się światło. Dusząc się własnymi wyziewami, zużytym powietrzem, które go zatruwało, Holston przełożył kamień do drugiej ręki i wycelował w drugi zatrzask. Dwa razy trzasnęło, ale w końcu trafił i hełm zeskoczył mu z karku.

Holston wreszcie mógł widzieć. Oczy płonęły mu z wysiłku, nie był w stanie oddychać, ale chociaż coś widział. Zamrugał kilkukrotnie, by powstrzymać łzy, a potem spróbował odetchnąć rześkim, ożywczym powietrzem.

Poczuł się jednak tak, jakby ktoś walnął go z całych sił w klatkę piersiową. Holston się zadławił. Zwymiotował śliną i kwasem żołądkowym, bo przecież niczego nie jadł. Świat wokół nagle zrobił się brunatny. Brunatna trawa, nad nią szare niebo. Żadnej zieleni. Żadnego błękitu. Żadnego życia.

Upadł na bok, lądując na ramieniu. Hełm leżał przed nim – z czarnym, zgasłym wizjerem. Przez taką przesłonę nie dało się nic zobaczyć. Holston sięgnął po hełm, zdezorientowany. Z jednej strony był srebrny, z drugiej nie miał nic. Żadnego szkła. Tylko szorstka powierzchnia. Wystające kable. Zepsuty wyświetlacz. Martwe piksele.

Znowu zwymiotował. Apatycznie ocierając usta, powiódł wzrokiem po zboczu i na własne oczy zobaczył świat taki, jakim był naprawdę – i jakim też był od zawsze. Świat ponury i bezludny. Upuścił hełm, pozbywając się kłamstwa, które wyniósł ze sobą z silosu. Umierał. Toksyny zżerały go od środka. Spojrzał na sunące w górze czarne chmury, wędrujące po niebie niczym dzikie bestie. Odwrócił się, by sprawdzić, jak daleko udało mu się zajść, ile zostało mu jeszcze do szczytu. Wtedy dostrzegł to, o co się potknął. Uśpiony głaz. Nie było go widać przez wizjer, bo nie był częścią wyświetlanego na niewielkim ekranie kłamstwa, nie był elementem jednego z odkrytych przez Allison programów.

Holston wyciągnął ręce przed siebie i dotknął tego obiektu. Biały kombinezon kruszył się niczym zwietrzała skała. Holston nie był już nawet w stanie utrzymać głowy prosto. Zwinął się z bólu, czując, jak śmierć zaczyna go pokonywać. Leżał na boku, obejmując szczątki swojej żony i wydając ostatnie tchnienie zastanawiał się, jak ta śmierć musi wyglądać dla tych, którzy ją widzą na ekranie: ludzki kształt zmieniający się w nieruchomą, czarną skałę na zboczu brunatnego wzgórza, na tle ruin miasta, milczącego i wyludnionego, górującego nad nim.

Co zobaczą ci, którzy zdecydowali się obserwować jego zagładę?

Część 2 – Właściwa miara

8

Jej druty leżały parami w skórzanej sakiewce, dwa pasujące kawałki drewna, jeden obok drugiego, niczym kruche kości nadgarstka zawinięte w wyschniętą, pomarszczoną powłokę. Drewno i skóra. Artefakty jak wskazówki przekazywane z pokolenia na pokolenie, nieszkodliwe puszczenie oka przez przodków, niegroźne rzeczy w rodzaju książek dla dzieci czy drewnianych rzeźb, które zdołały przetrwać powstanie i czystkę. Każda wskazówka była dla Jahns dowodem istnienia świata innego niż jej własny, świata, w którym budynki stały nad ziemią, tak jak te kruszejące ruiny widziane za szczytami szarych, jałowych wzgórz.

Po długim namyśle, burmistrz Jahns wybrała wreszcie parę drutów. Zawsze wybierała rozważnie, bo właściwy rozmiar był rzeczą najważniejszą. Za mała igła, a szycie stanie się zbyt gęste, w efekcie powstanie sweter zbyt ciasny i krępujący ruchy. Zbyt duża z kolei stworzy strój pełen dziur. Szycie będzie zbyt luźne. Będzie można patrzeć przez nie na wylot.

Dokonawszy wyboru i wyjąwszy drewniane kości ze skórzanej sakiewki, Jahns sięgnęła po duży kłębek bawełny. Ważąc ten zwitek włókien ciężko było uwierzyć, że jej palce są w stanie zrobić z niego coś uporządkowanego i użytecznego. Próbując wyłowić koniec nici, zastanawiała się, jak to ma wyglądać. W tym momencie jej sweter nie był niczym więcej jak plątaniną włóczki, zwykłą ideą. Cofając się myślami w czasie, wiedziała, że kiedyś te włókna były bawełną rosnącą na farmach, wyszarpywane, oczyszczane i zawijane w długie pasma. A jeszcze wcześniej substancję pochodzącą z bawełny można było powiązać z duszami tych, którzy spoczęli w ziemi, karmiąc sobą korzenie roślin kwitnących w blasku lamp grzewczych.

Jahns pokręciła głową, dumając nad własną śmiertelnością. Im starsza była, tym szybciej jej myśli kierowały się ku śmierci. I koniec końców zawsze zaczynała właśnie o niej rozmyślać.

Z wyćwiczoną precyzją przeciągnęła przędzę przez oczko jednej z igieł i ułożyła palcami trójkątną sieć. Koniec igły tańczył wewnątrz trójkąta, nakładając przędzę. To była jej ulubiona część pracy. Lubiła początki. Pierwszy rząd. Nagle z niczego powstaje coś. Jej dłonie wiedziały, co robić, więc mogła zerkać na ekran, gdzie poranny wiatr gonił pył po zboczu wzgórza. Dziś chmury wisiały bardzo nisko na niebie. Niczym

zatroskani rodzice górowały nad tymi mniejszymi, szybszymi chmurami wzbitego w powietrze piachu, które potykały się jak roześmiane dzieci, kręcąc się i przewracając, podążając za zagłębieniami i dolinami, zmierzając w stronę wielkiej bruzdy w miejscu, gdzie dwa wzgórza zderzały się ze sobą, stając się jednym. Jahns obserwowała jak pył uderza w parę martwych ciał, a piaskowe bliźnięta znikają, stając się duchami, jak rozbawione pociechy znów powracające do świata snów i mgieł.

Burmistrz Jahns rozsiadła się w swoim wypłowiałym fotelu i śledziła wzrokiem zmienne wiatry szalejące po zakazanym świecie zewnętrznym. Jej dłonie automatycznie dziergały kolejne rzędy tkaniny, co wymagało tylko rzucenia okiem od czasu do czasu. Często ściany piachu i pyłu dolatywały aż do obiektywów silosu, a kobieta krzywiła się wtedy, jakby oczekiwała, że na własnej skórze poczuje cios fali uderzeniowej. Te ataki, za każdym razem zostawiające po sobie warstwę zamazującej widok sadzy, zwykle i tak ciężko było jej oglądać, lecz dzisiaj, dzień po czyszczeniu, wydawały się czymś szczególnie dotkliwym. Każdy podmuch, zostawiający pył na obiektywach, stanowił wykroczenie. Tak jakby brudas obmacywał nieskazitelnie czysty przedmiot. Jahns doskonale pamiętała, jakie to uczucie. I po upływie sześćdziesięciu lat zastanawiała się niekiedy, czy sadza osiadająca na szkle – szczególnie biorąc pod uwagę poświęcenie czyjegoś życia, konieczne do utrzymania go w czystości – nie stała się dla niej czymś wręcz niemożliwym do zniesienia.

– Proszę pani?

Burmistrz Jahns odwróciła oczy od widoku martwych wzgórz, tulących jej niedawno zmarłego szeryfa. Obok niej stał już zastępca Marnes.

– Tak, Marnes?

– Prosiła pani o nie.

Na stołówkowym stoliku mężczyzna położył trzy szare teczki i przesunął je w stronę Jahns, nie zważając na okruchy i plamy po soku pozostałe po wczorajszym świętowaniu udanego czyszczenia. Jahns odłożyła na bok druty, niechętnie sięgając po dokumenty. Tak naprawdę wolałaby nieco dłużej pobyć sama, żeby mieć czas na wydzierganie czegoś konkretnego. Chciała nacieszyć się ciszą i spokojem, obserwując czysty wschód słońca, zanim na obiektywach osiądzie sadza, zanim rozmaże go upływ lat, odpoczywać, czekając aż obudzi się reszta mieszkańców silosu,

ścierając sen z oczu i plamy ze swych sumień, i przyjdą tu tłumnie ze swoimi plastikowymi krzesłami i dopiero wtedy to wszystko do nich dotrze.

Ale obowiązki wzywały: została wybrana burmistrzem, a silos potrzebował teraz szeryfa. Więc Jahns musiała odsunąć na bok swoje pragnienia i położyć teczki na kolanach. Dotykając okładki pierwszej z nich, patrzyła na swoje dłonie z mieszaniną bólu i akceptacji. Ich grzbiety zdawały się tak wyschnięte i pomarszczone jak wystający z teczek papier. Zerknęła na Marnesa, którego siwe wąsy miejscami wciąż jeszcze były ciemne. Pamiętała czasy, gdy te kolory miały odwrotne proporcje, kiedy jego wysoka, szczupła sylwetka oznaczała bardziej młodość i żywotność niż chudość i kruchość. Nadal był przystojny, ale tylko dlatego, że pamiętała go z dawnych czasów, tylko dlatego, że jej stare oczy wciąż pamiętały.

– Wiesz – zwróciła się do Marnesa. – Tym razem możemy to zrobić inaczej. Mogę ciebie awansować na szeryfa, zatrudnisz sobie zastępcę i będzie po sprawie.

Marnes parsknął śmiechem. – Byłem zastępcą prawie tak długo jak ty jesteś burmistrzem. Nie liczyłem już na nic, może z wyjątkiem śmierci.

Jahns skinęła głową. Jedną z rzeczy, które uwielbiała u Marnesa, było to, że przy jego czarnowidztwie sama wypadała blado. – Obawiam się, że ta opcja z każdym dniem jest dla nas coraz bardziej prawdopodobna.

– Masz świętą rację. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że przeżyję tak wielu. A już z pewnością nie przypuszczałem, że przeżyję ciebie. – Potarł wąsy i zaczął kontemplować widok na ściennym ekranie.

Jahns uśmiechnęła się do niego, otworzyła pierwszą teczkę z wierzchu i wczytała się w pierwszy biogram.

– Trzech przyzwoitych kandydatów – rzekł Marnes. – Tak jak prosiłaś. Będę szczęśliwy, mogąc pracować dla któregokolwiek z nich. Juliette, ta środkowa, byłaby moim pierwszym wyborem. Pracuje w Maszynowni. Nieczęsto wychodzi na górę, ale ja i Holston... – Przerwał i odchrząknął.

Jahns podniosła wzrok i zobaczyła, że zastępca zerka w stronę tej ciemnej krzywizny na zboczu. Zakrył usta pięścią, udając, że kaszle.

– Przepraszam – powiedział. – Tak jak mówiłem, szeryf i ja prowadziliśmy tam parę lat temu dochodzenie w sprawie czyjejś śmierci. Ta Juliette – chyba tak na dobrą sprawę woli, by nazywać ją Jules – okazała się prawdziwym skarbem. Kobieta z głową na karku. Bardzo nam pomogła

przy tamtej sprawie, zauważała każdy szczegół, radziła sobie z ludźmi – zarazem dyplomatyczna, lecz i twarda. Nie wydaje mi się, żeby często wychodziła powyżej osiemdziesiątego piętra. Zatwardziała głębinówka, bez wątpienia, ale dawno nikogo takiego tu nie mieliśmy.

Jahns przejrzała teczkę Juliette, sprawdzając jej drzewo genealogiczne, historię wykorzystanych bonów i jej obecne wynagrodzenie. Była wpisana jako kierowniczka zmiany, cieszyła się dobrą opinią. Nie brała dotąd udziału w loterii.

– Nie była mężatką? – zapytała Jahns.

– Nie. To taka trochę chłopczyca. Pani mechanik, sama rozumiesz. Siedzieliśmy tam przez tydzień i widzieliśmy, że faceci się nią interesują. Mogła w nich przebierać, ale nawet nie chciała. Jest chyba jedną z takich osób, które robią na wszystkich wrażenie, ale wolą być same.

– Wygląda mi na to, że tobie bardzo mocno zapadła w pamięć – odparowała Jahns, od razy tego żałując. Nie spodobała jej się zazdrość, którą dało się usłyszeć w wypowiedzianej właśnie kwestii.

Marnes przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. – Cóż, dobrze mnie znasz. Zawsze szukam odpowiednich kandydatów. Byle tylko samemu nie dostać awansu.

Jahns uśmiechnęła się. – A pozostała dwójka? – Sprawdziła nazwiska, zastanawiając się, czy osoba z głębin to na pewno dobry pomysł. A może martwiła się, że Marnes się zabujał. Rozpoznała nazwisko na pierwszej teczce od góry. Peter Billings. Pracował kilka pięter niżej, w Wydziale Sądowym – jako urzędnik, czy może raczej cień sędziego.

– Szczerze? To tylko wypełniacze, żeby wybór wyglądał uczciwie. Tak jak mówiłem, będę z nimi pracował, jednak uważam, że to właśnie Jules jest pani kandydatką. Minęło dużo czasu, odkąd mieliśmy dziewczynę na stanowisku szeryfa. Idą wybory, a taka decyzja z pewnością zwiększy twoją popularność.

– Nie będziemy nikogo wybierali na takiej podstawie – odparła Jahns. – Na kogokolwiek się zdecydujemy, prawdopodobnie będzie pełnił tę funkcję jeszcze po naszej śmierci... – Zamilkła, przypominając sobie, że to samo mówiła przecież o Holstonie, kiedy został mianowany.

Jahns zamknęła teczkę i znów spojrzała na ścienny ekran. U podnóża wzgórz uformowało się niewielkie tornado, wsysające piach i ciskające nim szaleńczo dookoła. Ten niewielki wir urósł nieco, przekształcając się w większy stożek, wirując i wirując na chwiejnej

końcówce niczym dziecięcy bączek, i pędząc w stronę obiektywów, które wciąż lśniły w bladych promieniach wschodzącego słońca.

– Myślę, że powinniśmy się z nią spotkać – stwierdziła w końcu Jahns. Trzymała teczki na kolanach, palce przywodzące na myśl zrolowany pergamin skubały krawędzie ręcznie robionego papieru.

– Proszę pani? Wolałbym, żebyśmy wezwali ją tutaj. Przeprowadzili rozmowę w pani biurze, tak jak zawsze. Na dół długa droga, a z powrotem jeszcze dłuższa.

– Doceniam twoją troskę, naprawdę. Ale minęło sporo czasu, odkąd schodziłam poniżej czterdziestego. Powinnam częściej odwiedzać ludzi, a nie szukać wymówki w słabych kolanach... – Pani burmistrz zamilkła. Tornado zachwiało się, zawróciło i ruszyło prosto na nich. Wir rósł i rósł – szeroki kąt obiektywów zmieniał go w potwora znacznie większego i bardziej dzikiego niż w rzeczywistości. I nagle przeleciał przez czujniki, a cała stołówka na moment zatonęła w półmroku. Jaśniej zrobiło się dopiero gdy wiatr odbił, wycofując się w głąb wiszącego w hallu ekranu i zostawiając za sobą obraz świata przyprószony cienką warstwą sadzy.

– Co za cholerstwo – wycedził przez zaciśnięte zęby Marnes. Stara skóra jego kabury jęknęła, gdy oparł dłoń pistolecie. A Jahns wyobraziła sobie, jak stary zastępca wybiega teraz na zewnątrz, goni wiatr na tych chudych nogach, posyłając kule w chmurę blaknącego pyłu.

Obydwoje zamilkli na chwilę, oceniając straty. W końcu to Jahns się odezwała.

– W tej wycieczce nie chodzi wcale o wybory, Marnes. Ani o zdobywanie głosów. Z tego co wiem, znów nie będę miała żadnej opozycji. Więc nie róbmy z tego wielkiej sprawy, wybierzmy się tam po cichu. Chcę widzieć moich ludzi, ale nie chcę, żeby oni mnie widzieli. – Spojrzała na niego i dotarło do niej, że bacznie się jej przyglądał. – Zrobimy to dla mnie, Marnes. Taka mała ucieczka.

Odwróciła się w stronę panoramy.

– Czasami... Czasami wydaje mi się, że jestem tu już zbyt długo. Że obydwoje jesteśmy. Że wszędzie byliśmy już od zbyt dawna.

Tupot porannych kroków na spiralnych schodach dał jej czas na zrobienie przerwy. Obydwoje zwrócili się w stronę nadciągających odgłosów życia, odgłosów budzącego się dnia. Jahns wiedziała, że przyszła już pora wyrzucić z głowy obrazy martwych rzeczy. Albo przynajmniej zakopać je na jakiś czas.

– Zejdziemy na dół i zdejmiemy właściwą miarę z tej Juliette, ty i ja. Bo czasami, siedzenie tutaj i patrzenie, do czego zmusza nas ten świat... to mnie wręcz przeszywa Marnes. To przeszywa mnie na wylot.

* * *

Spotkali się po śniadaniu, w biurze Holstona. Jahns nadal w myślach właśnie tak je nazywała, nawet następnego dnia po śmierci szeryfa. Wciąż było za wcześnie, by to pomieszczenie mogło w jej oczach należeć do kogoś innego. Stała za podwójnym biurkiem i starymi szafami na akta, zerkając do pustej celi, gdy tymczasem zastępca Marnes dawał ostatnie instrukcje Terryemu, przysadzistemu ochroniarzowi z działu IT, który przejmował dowodzenie kiedy Marnes i Holston prowadzili gdzieś jakąś sprawę. Za Terrym karnie stała nastolatka imieniem Marcha, dziewczyna o ciemnych włosach i bystrych oczach, która przyuczała się do pracy w IT. Była cieniem Terryego – mniej więcej połowa pracowników w silosie miała u boku kogoś do podszkolenia. Cienie zazwyczaj byli w wieku od dwunastu do dwudziestu lat, niczym nie odstępujące swoich przełożonych nawet na krok ludzkie gąbki, wchłaniające lekcje i techniki pozwalające silosowi przetrwać przynajmniej przez kolejne pokolenie.

Zastępca Marnes przypomniał Terryemu, że ludzie lubią się awanturować po czyszczeniu. Gdy napięcie zostaje rozładowane, każdy chce trochę poszaleć. Przez kilka miesięcy wydaje im się, że wszystko im wolno.

Nie trzeba było nawet mówić tego głośno – hałaśliwą zabawę w sąsiedniej sali słychać było przez zamknięte drzwi. Coraz więcej mieszkańców górnej czterdziestki już schodziło się do hallu i stołówki. Setki kolejnych, ze środkowych kondygnacji i głębin, przybłąka się tu w ciągu dnia – prosząc o wolne w pracy, albo nawet wykorzystując urlopowy bon – żeby zobaczyć w dużej mierze wyraźną panoramę świata zewnętrznego. Dla wielu to było niczym pielgrzymka. Zjawiali się na górze raz na kilka lat, stali tu przez godzinę mamrocząc, że wygląda to dokładnie tak samo, jak zapamiętali, a potem przeganiali swoje dzieci schodami na dół, walcząc z tłumami walącymi na górę.

Terry dostał klucze i tymczasową odznakę. Marnes sprawdził baterie w radiu na biodrze, upewnił się, że urządzenie jest wystarczająco pogłośnione, na koniec zaś sprawdził swoją broń. Uścisnął dłoń Terryego, życząc mu szczęścia. Jahns wyczuła, że już na nich czas, więc odwróciła się

od pustej celi. Pożegnała się z Terrym, skinęła głową do Marchy, a potem ruszyła za Marnesem przez drzwi.

– Dobrze się czujesz, opuszczając komisariat tuż po czyszczeniu? – zapytała, gdy tylko wyszli na stołówkę. Wiedziała, jak tłoczno będzie tu w nocy, jak gniewny zrobi się zgromadzony w tym miejscu tłum. To był najgorszy czas na odciąganie zastępcy szeryfa od obowiązków przez własną samolubną zachciankę.

– Żartujesz? Tego mi trzeba. Muszę choć na chwilę stąd uciec. – Zerknął na ścienny ekran, częściowo zasłonięty przez tłum gapiów. – Nadal nie wiem, co Holston sobie wyobrażał... Nie mam pojęcia, czemu nigdy mi nie powiedział, co dzieje się w jego głowie. Może gdy tu wrócimy, nie będę już czuł w biurze jego obecności. Bo teraz ledwie mogę tam oddychać.

Jahns rozmyślała o tym, gdy przedzierali się przez zatłoczoną stołówkę. Na stołach porozstawiano plastikowe kubki z owocowym sokiem, ale kobieta wyczuła też w powietrzu woń alkoholu domowej roboty. Zignorowała to jednak Ludzie dobrze jej życzyli, prosili, by była ostrożna, obiecywali, że będą na nią głosować. Wiadomości o tej wyprawie rozniosły się z zastraszającą szybkością, mimo że właściwie nikomu o niej nie wspominali. Większość miała wrażenie, że to część kampanii, mającej na celu ponowne zwycięstwo w wyborach. Młodsi mieszkańcy silosu, którzy pamiętali jednego tylko szeryfa – Holstona, już salutowali Marnesowi, przyznając w myślach mu ten zaszczytny tytuł. Jednak ci, którzy mieli już zmarszczki wokół oczu, wiedzieli lepiej. Gdy ta para mijała ich w stołówce, kiwali głowami i życzyli im innego rodzaju powodzenia. Zapewnijcie nam godny byt, mówiły ich oczy. Zróbcie coś, by nasze dziecko żyło tak długo, jak my. Nie pozwólcie, by to wszystko się skończyło, jeszcze nie.

Jahns każdego dnia czuła tę presję, ciężkie brzemię osłabiające nie tylko jej kolana. Milczała, kiedy przedzierali się przez tłum ku głównej klatce schodowej. Kilkoro ludzi chciało nakłonić ją na przemówienie, ale te pojedyncze głosy nie znalazły posłuchu. Ku jej uldze, nie zaczęto skandować. Co miałaby im powiedzieć? Że nie ma pojęcia, jak to wszystko trzyma się w kupie? Że nie potrafi pojąć nawet własnego szydełkowania, jak to jest, że kiedy robi się dobre węzły, reszta sama się układa? Czy powiedziałaby im, że wystarczy jedno cięcie, a wszystko się rozpruje? Jedno cięcie, i można ciągnąć i ciągnąć, aż w końcu strój zmieni się z powrotem w stertę skłębionej włóczki. Czy naprawdę oczekiwali, że to

pojmie, skoro potrafiła jedynie przestrzegać zasad i jakimś sposobem wszystko się układało, rok za rokiem?

Nie miała bladego pojęcia, czemu tak się działo. I nie potrafiła zrozumieć ich obecnego nastroju, tego całego świętowania. Czy pili i wydzierali się, bo czuli się bezpieczni? Bo los ich oszczędził, nie musieli udać się na czyszczenie? Jej ludzie wiwatowali, a tymczasem dobry człowiek, jej przyjaciel, jej partner we wspólnym działaniu dla dobra silosu, leżał martwy na zboczu, obok swojej żony. Gdyby zaczęła przemowę, która nie składałaby się z wielu zakazanych słów, brzmiałaby ona w ten sposób: skoro jeszcze nigdy para równie dobrych ludzi nie zginęła z własnej woli podczas czyszczenia, co powiedzieć o tych, którzy tu pozostali?

To nie był czas na przemówienia. Ani na picie. Ani na radość. Nadeszły godziny cichych rozmyślań i właśnie z tego powodu Jahns chciała stąd uciec. Wiele się zmieniło. Nie w ciągu dnia, lecz w ciągu długich lat. Już ona wiedziała o tym najlepiej. Może stara pani McNeil z Zaopatrzenia też wiedziała, też czuła, co się zbliża. Trzeba było długiego życia, by mieć pewność, ale ona była już pewna. I maszerując tak przed siebie, dźwigając na barkach cały swój świat i idąc szybciej, niż była w stanie ruszać nogami, burmistrz Jahns wiedziała, że wkrótce zostanie w tyle. A jej ogromny lęk, niewyrażony lecz odczuwalny każdego dnia, dotyczył tego, że ten świat bez niej zbyt długo nie przetrwa.

9

Laska Jahns stukała głośno o każdy metalowy stopień. Wkrótce stała się metronomem wyznaczającym tempo ich powolnego schodzenia, odmierzającym muzykę schodów, pełnych ludzi i wibrujących energią po ostatnim czyszczeniu. Z wyjątkiem tych dwojga, cały ruch zdawał się kierować ku górze. Musieli więc walczyć z napierającymi masami, uderzeniami łokci, okrzykami „Hej, pani burmistrz!”, po których następowało zawsze skinienie głowy skierowane do Marnesa. Jahns dostrzegała to w ich twarzach: pokusa, by nazwać go szeryfem, którą hamowała jedynie myśl o tym, w jak koszmarnych okolicznościach dostał on ten domniemany awans.

– Ile pięter planujesz teraz pokonać? – zapytał Marnes.

– A co, już się zmęczyłeś? – Jahns obejrzała się na niego przez ramię, posyłając mu złośliwy uśmieszek. Pod jego gęstymi wąsami też dostrzegła uśmiech.

– Schodzenie w dół to dla mnie żaden problem. Ale wracania na górę po prostu nie znoszę.

Ich dłonie zderzyły się na zakręconej poręczy spiralnych schodów: dłoń Jahns pozostawała zwykle nieco w tyle, gdy tymczasem Marnes wyciągał swoją jak najdalej przed siebie. Miała ochotę powiedzieć mu, że wcale nie jest zmęczona, lecz nagle ogarnęło ją znużenie, będące bardziej słabością psychiczną, niż fizyczną. Miała w głowie dziecinną wizję z ich młodszych lat i wyobraziła sobie, jak Marnes bierze ją w ramiona a potem znosi na dół. To byłaby cudowna ulga, chwilowe uwolnienie się od odpowiedzialności, poleganie na czyjejś sile, bez konieczności symulowania własnej. Marzenie to nie było jednak wspomnieniem z przeszłości – raczej myślą o przyszłości, która nigdy się nie wydarzy. Jahns czuła się winna, że w ogóle o tym myśli. Miała wrażenie, że jej mąż idzie tuż obok, a jego duch jest zaniepokojony jej postawą...

– Pani burmistrz? Ile pięter chcesz pokonać?

Zatrzymali się, przyciskając się do barierki, gdy wyminął ich wbiegający na górę tragarz. Jahns rozpoznała tego chłopca, miał na imię Conner, był jeszcze nastolatkiem, ale miał mocne plecy i pewny krok. Niósł powiązane ze sobą pakunki, balansujące mu na ramionach. Jego szyderczy uśmiech nie brał się z bólu czy wysiłku, lecz rozdrażnienia. Czemu nagle ci wszyscy ludzie łazili po jego schodach? Skąd się brali ci wszyscy turyści?

Jahns zastanawiała się, co powiedzieć, by pocieszyć chłopca, dać niewielką werbalną nagrodę tym wszystkim ludziom, którzy wykonywali pracę,– na którą jej nie pozwalały słabe kolana, ale zanim się odezwała już ich minął, dźwigając jedzenie i zapasy z dolnych pięter, spowalniany jedynie przez nagły ruch ze strony tych, którzy pragnęli zerknąć na świat zewnętrzny.

Ona i Marnes mogli przynajmniej złapać oddech między kondygnacjami. Marnes podał jej menażkę. Napiła się z czystej uprzejmości, a potem mu ją oddała.

– Chciałabym pokonać dzisiaj połowę drogi – odpowiedziała w końcu. – Ale będę musiała się kilka razy zatrzymać.

Marnes pociągnął łyk wody, a potem założył nakrętkę z powrotem. – Wizyty domowe?

– Coś w tym rodzaju. Chcę iść do żłobka na dwudziestym.

Marnes się zaśmiał. – Całowanie dzieciaczków? Pani burmistrz, bez obaw, nikt z nich przeciw pani nie zagłosuje. Nie w pani wieku.

Jahns zachowała powagę. – Dzięki – odparła, krzywiąc się w udawanym bólu. – Ale nie, nie mam zamiaru całować dzieci. – Odwróciła się i ponowiła marsz, Marnes zaś ruszył za nią. – Nie chodzi wcale o to, że nie ufam twojej opinii na temat tej całej Jules. Odkąd jestem burmistrzem, nigdy jeszcze nie popełniłeś błędu.

– Nawet z...? – zdziwił się Marnes.

– Z nim szczególnie – odparła Jahns, doskonale wiedząc, kogo miał na myśli. – Był dobrym człowiekiem, tyle że miał złamane serce. To potrafi zniszczyć nawet najlepszych.

Marnes zgodził się z tym mrukliwie. – Zatem po co idziemy do żłobka? Juliette nie urodziła się na dwudziestym z tego co pamiętam...

– Nie, ale jej ojciec teraz tam pracuje. Pomyślałam, że skoro tamtędy przechodzimy, możemy do niego wpaść, dowiedzieć się czegoś na temat jego córki.

– Ojciec ma potwierdzić jej reputację? – Marnes parsknął śmiechem. – To raczej nie będzie obiektywna ocena.

– Myślę, że będziesz zaskoczony – odparła Jahns. – Gdy ja się pakowałam, Alice posprawdzała parę rzeczy. I odkryła coś interesującego.

– Tak?

– Ta cała Juliette zachowała wszystkie bony urlopowe, jakie uzyskała.

– W Maszynowni to dość częste – stwierdził Marnes. – Wyrabiają sporo nadgodzin.

– Nie dość, że nigdy stamtąd nie wychodzi, to jeszcze nikt jej nie odwiedza.

– Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

Jahns poczekała, aż wyminie ich jakaś rodzina. Chłopiec, sześcio- może siedmioletni, siedział ojcu na barana, schylając głowę, by nie uderzyć o spód stopni z wyższej kondygnacji. Matka szła za nimi, dźwigając na jednym z ramion torbę podróżną, w drugim zaś niemowlę w powijakach. Idealna rodzina, pomyślała Jahns. Oddają to, co dostali. Dwoje za dwoje. Taki był właśnie cel loterii, niekiedy osiągany.

– Dobrze, wyjaśnię ci, do czego zmierzam – zwróciła się do Marnesa. – Chcę odnaleźć ojca dziewczyny, spojrzeć mu w oczy i zapytać, dlaczego przez ostatnie dwadzieścia lat, gdy jego córka tkwiła w Maszynowni, nie odwiedził jej. Nawet raz.

Obejrzała się na Marnesa i zauważyła, jak się skrzywił.

– I dlaczego ona ani razu nie wyszła na górę, żeby się z nim spotkać – dodała jeszcze.

* * *

Ruch nieco zelżał, gdy zmierzając na dół wymijali górne apartamenty. Z każdym kolejnym stopniem, Jahns lękała się tych kilku dodatkowych cali, na które potem będą musieli się wspiąć. To ta łatwiejsza część, upominała samą siebie. Schodzenie było tylko poddawaniem się sile grawitacji, ciągnącej ich w dół. Przypominało Jahns koszmary, w których tonęła. Idiotyczne koszmary, skoro kobieta nigdy nie widziała wystarczającej ilości wody, by nawet mogła się w niej zanurzyć, a co dopiero nie móc się z niej wynurzyć, by zaczerpnąć powietrza. Ale te sny pojawiały się okazjonalnie, tak jak sny o spadaniu z wielkiej wysokości – musiały stanowić jakieś dziedzictwo z odległych czasów, okruchy tkwiące w ich umysłach i sugerujące: Nie powinniśmy żyć w ten sposób.

I tak też schodzenie po prowadzącej w dół spirali schodów, przypominało tonięcie, które dręczyło ją po nocach. Ruch zdawał się niepowstrzymany i zarazem niemożliwy do opanowania. Niczym ogromny ciężar, ciągnący ją w dół, połączony zarazem z dobijającą świadomością, że nigdy nie będzie mogła z powrotem wspiąć się na górę.

Następnie minęli fabryki ubrań, skąd pochodziły zarówno wielobarwne kombinezony robocze, jak też należące do Jahns kłęby włóczki. Zapach barwników i innych chemikaliów unosił się nad całą kondygnacją. Wciśnięte między zakrzywione pustaki okno ukazywało wnętrze niewielkiego sklepu spożywczego, położonego na skraju dystryktu. Został doszczętnie splądrowany przez tłum, turyści zmierzający na górę po czyszczeniu sami wyczyścili wszystkie półki. Kilku dźwigających ciężkie ładunki tragarzy pałętało się przy schodach, robiąc, co tylko byli w stanie, by sprostać żądaniom klientów, a Jahns pojęła okropną prawdę na temat wczorajszego czyszczenia: ten barbarzyński zwyczaj przynosił coś więcej niż psychologiczną ulgę, więcej niż tylko wyraźną panoramę świata zewnętrznego – wzmacniał także ekonomię w silosie. Nagle pojawił się powód, by ruszyć w podróż. Powód do handlowania. I – jak wieść niosła – rodziny oraz starzy przyjaciele znów się spotykali, po miesiącach a nawet latach; cały silos dostawał zastrzyk nowej energii. Jakby stare ciało rozciągało swoje stawy, a w jego kończynach zaczynała płynąć krew. Niedołężny, konający starzec nagle wracał do pełni sił.

– Pani burmistrz!

Odwróciła się i zauważyła, że Marnes niemal zniknął jej z oczu na spiralnych schodach. Zatrzymała się, żeby mógł ją dogonić. Bacznie obserwowała, jak pośpiesznie przebiera nogami.

– Powoli – powiedział. – Nie nadążę, jeśli będzie pani tak pędzić.

Jahns przeprosiła go. Nie była świadoma, że przyspieszyła kroku.

Gdy dotarli do drugiego poziomu mieszkań, tuż poniżej szesnastego piętra, Jahns uświadomiła sobie, że znajduje się teraz na obszarze, którego nie odwiedzała niemal od roku. Na schodach niósł się tupot młodych stóp, współbrzmiący z powolnym krokiem starszych wspinaczy. Szkoła podstawowa górnych kondygnacji znajdowała się tuż nad żłobkiem. Słysząc ten ruch i tyle różnych hałasów, można było się domyślić, że dziś lekcje odwołano. Jahns pomyślała, że z jednej strony wiedziano, jak niewielu uczniów pojawi się w klasach (skoro rodzice zabierali dzieci na górę), a z drugiej nauczyciele robili przecież dokładnie to samo. Minęli szkolną kondygnację, gdzie podeszwy tych, którzy spieszyli na górę, porozmazywały ślady kredy po niedawnej grze w klasy. Dzieciaki przysiadały na poręczach, majtając nogami w powietrzu, wystawiając nagie kolana. W obecności dorosłych gwizdy milkły, a krzyki ściszały się do szeptów.

– Dobrze, że jesteśmy już prawie na miejscu; muszę odpocząć – stwierdził Marnes, kiedy pokonywali schody prowadzące do żłobka. – Mam tylko nadzieję, że będziemy mogli się z tym facetem zobaczyć.

– Będziemy – odparła Jahns. – Alice wysłała mu z mojego biura telegram, że się do niego wybieramy.

Przebili się przez zgromadzony przed żłobkiem tłum, a potem zatrzymali się, by nieco odsapnąć. Kiedy Marnes wyjął menażkę, Jahns pociągnęła solidny łyk, a następnie przyjrzała się swojemu odbiciu we wgniecionej powierzchni menażki.

– Dobrze wyglądasz – rzekł Marnes.

– Burmistrzowsko?

Parsknął śmiechem. – Nawet lepiej.

Jahns odniosła wrażenie, że dostrzegła błysk w jego starych oczach, ale to pewnie było tylko światło odbite od menażki, którą właśnie unosił do ust.

– Dwadzieścia pięter w nieco ponad dwie godziny. Nie zalecałbym nikomu takiego pośpiechu, ale z drugiej strony cieszę się, że już zaszliśmy tak daleko. – Otarł wąsy i spróbował schować sobie menażkę do plecaka.

– Pomogę ci – zaproponowała Jahns. Zabrała mu menażkę i wsadziła do tylnej kieszeni. – Pozwól, że ja zajmę się rozmową – przypomniała mu.

Marnes uniósł tylko ręce w obronnym geście, jakby inna możliwość nawet nie przychodziła mu na myśl. Wyminął kobietę i otworzył ciężkie metalowe drzwi; nie było słychać zwyczajowego jęku zardzewiałych zawiasów. Ta niespodziewana cisza wystraszyła Jahns. Była przyzwyczajona do zgrzytu starych drzwi, rozbrzmiewającego na każdym piętrze klatki schodowej. To był swego rodzaju odpowiednik odgłosów zwierząt żyjących na farmach silosu. Jednak te zawiasy zostały naoliwione, wydać było, że bardzo o nie dbano. Weszli do środka. Znaki na ścianach poczekalni wymuszały zwrócenie na nie uwagi. Wytłuszczonymi literami domagały się zachowania ciszy, czemu towarzyszyły obrazki z palcami na wargach i znaki zakazu przekreślające otwarte usta. W żłobku zachowanie ciszy i spokoju traktowano bardzo poważnie.

– Nie pamiętam, żeby podczas mojej ostatniej wizyty było tu aż tyle tych znaków – szepnął Marnes.

– Może ciągle tylko gadałeś i nie zwróciłeś uwagi.

Pielęgniarka spojrzała na nich zza szyby, a Jahns szturchnęła Marnesa łokciem.

– Burmistrz Jahns – przedstawiła się. – Chcę się widzieć z Peterem Nicholsem.

Tamta nawet nie mrugnęła. – Wiem, kim pani jest. Głosowałam na panią.

– Ach, oczywiście. Cóż, w takim razie dziękuję.

– Proszę wejść. – Kobieta wdusiła przycisk na biurku i drzwi obok zabrzęczały cicho. Marnes pchnął je, a Jahns ruszyła za nim.

– Proszę je założyć.

Pielęgniarka – Margaret, jak wynikało z napisu na kołnierzyku – wyciągnęła przed siebie dwa schludnie poskładane białe szlafroki. Jahns wzięła je i podała jeden Marnesowi.

– Torby można zostawić u mnie.

Margaret nie przyjmowała odmowy. Jahns nagle poczuła, że trafiła do świata znacznie młodszej kobiety i gdy tylko przeszła przez brzęczące drzwi stała się jej podwładną. Oparła laskę o ścianę, zdjęła plecak i postawiła go na podłodze, a potem założyła szlafrok. Marnes sobie nie radził, więc Margaret w końcu mu pomogła, przytrzymując jeden z rękawów. Założył szlafrok na jeansową koszulę, ale nie przewiązał go sobie w pasie, jakby to było ponad jego możliwości. Przyglądał się, jak Jahns wiązała swój, a wreszcie zdołał przewiązać swój na tyle, by nie spadł mu z ramion.

– Co? – zapytał, widząc, że Jahns mu się przygląda. – Właśnie po to mam kajdanki. Nigdy nie nauczyłem się robić węzłów, no i co z tego?

– Nie nauczyłeś się? Przez sześćdziesiąt lat? – zdziwiła się Jahns.

Margaret wdusiła kolejny przycisk na biurku, a potem wskazała na korytarz. – Doktor Nichols jest w żłobku. Już dałam mu znać, że idziecie.

Jahns ruszyła przodem. Marnes podążył za nią, pytając. – Czemu tak ciężko ci w to uwierzyć?

– Myślę, że to urocze, naprawdę.

Marnes prychnął. – Mężczyźnie w moim wieku nie da się chyba powiedzieć niczego gorszego.

Jahns uśmiechnęła się do siebie. Przy końcu korytarza zatrzymała się na moment przed podwójnymi drzwiami, zanim zdecydowała się je uchylić. Światło wewnątrz było przygaszone. Otworzyła drzwi szerzej, a potem weszli z Marnesem do niewielkiej lecz czystej poczekalni.

Przypomniała sobie podobną, położoną na środkowych poziomach, gdzie kiedyś czekała z przyjaciółką, chcącą odebrać swoje dziecka. Za przeszkloną ścianą było widać kilka kołysek i łóżeczek. Jahns wsparła dłoń na biodrze. Pomacała twardą bryłę bezużytecznego już implantu, który założono jej po tuż urodzeniu i którego nigdy, nawet jeden raz, nie wyjęła. Wizyta w żłobku przypomniała jej o wszystkim, co poświęcając się wyłącznie pracy musiała utracić. Poświęcając całą siebie swoim duchom.

W środku było za ciemno, by dało się zauważyć, czy w którymkolwiek z łóżeczek śpi jakieś dziecko. Rzecz jasna jako burmistrz była informowana o każdych narodzinach. Podpisywała listy z gratulacjami oraz akty urodzenia, lecz z biegiem dni kolejne imiona zlewały jej się ze sobą. Ledwie mogła zapamiętać, na którym poziomie żyją rodzice i czy to ich pierwsze, czy może drugie dziecko. Przyznawała to ze smutkiem, ale te dokumenty stały się tylko częścią zwykłej roboty papierkowej, kolejnym wykonywanym mechanicznie obowiązkiem.

Wśród kołysek przemykał cień dorosłej sylwetki; połyskiwała czasem klamra podkładki do pisania bądź metalowy długopis, odbijające światło z poczekalni.

Cień należał do kogoś wysokiego. Po chodzie i budowie można było przypuszczać, że tym kimś jest starszy mężczyzna. Nie spieszył się, notując coś i nachylając się nad łóżeczkiem. Metalowa podkładka i długopis raz po raz błyskały w ciemnościach. Kiedy skończył, przemierzył salę i przez szerokie drzwi wszedł do poczekalni, gdzie zastał Marnesa oraz Jahns.

Burmistrz zauważyła, że Peter Nichols był imponującym mężczyzną. Wysoki i smukły, ale nie w typie Marnesa, który zdawał się nerwowy i niepewny własnych ruchów Peter poruszał się jak ktoś, kto regularnie trenuje, niczym kilku tragarzy, których znała Jahns, a którzy mogli wchodzić po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz i miało się wrażenie, jakby byli do tego morderczego tempa stworzeni. Wzrost dodawał mu tylko pewności siebie. Jahns odczuła to wyraźnie, ściskając wyciągniętą dłoń Petera.

– Jesteście – powiedział tak po prostu Nichols. Zwykłe spostrzeżenie, rzucone chłodnym tonem. Ledwie dało się dostrzec u niego jakiekolwiek zaskoczenie. Uścisnął dłoń Marnesa, ale nie odrywał wzroku na Jahns. – Tłumaczyłem waszej sekretarce, że na niewiele się przydam. Obawiam się, że nie widziałem się z Juliette odkąd została cieniem, a to było przed dwudziestu laty.

– Cóż, właśnie o tym chciałam z panem pomówić. – Jahns spojrzała na ławki z poduszkami. Wyobraziła sobie, że właśnie na nich siadali nerwowi dziadkowie, ciotki oraz wujkowie, kiedy rodzice przychodzili odbierać dzieci. – Możemy usiąść?

Doktor Nichols skinął głową i wskazał im gestem odpowiednie miejsce.

– Każde z moich spotkań traktuję bardzo poważnie – wyjaśniła Jahns, siadając naprzeciw doktora. – W moim wieku mogę oczekiwać, że większość sędziów i stróżów prawa, których powołuję, mnie przeżyje, więc muszę wybierać ich z należną rozwagą.

– Ale nie zawsze tak się dzieje, prawda? – Nichols potrząsnął głową, jednak jego starannie ogolona twarz wciąż była pozbawiona wyrazu. – To znaczy oni nie zawsze żyją dłużej od pani.

Jahns przełknęła ślinę. Siedzący obok Marnes zaczął się wiercić.

– Musi pan wysoko cenić instytucję rodziny – stwierdziła Jahns, zmieniając temat i uświadamiając sobie, że to była tylko jego drobna uwaga, nie miał wcale zamiaru ich zawstydzać. – Tyle lat bycia cieniem, a potem jeszcze tak wymagająca praca.

Nichols skinął głową.

– Czemu pan i Juliette nigdy się nie widujecie? To znaczy: ani razu przez ostatnie dwadzieścia lat. Ona jest przecież pana jedynym dzieckiem.

Nichols nieznacznie odwrócił głowę, kierując wzrok ku ścianie. Uwagę Jahns momentalnie odwrócił widok kogoś przechadzającego się za szybą, zapewne robiącej obchód pielęgniarki. Kolejne drzwi, jak przypuszczała Jahns, prowadziły do izby porodowej, gdzie teraz właśnie wracająca do pełni sił młoda matka czekała pewnie, aż będzie mogła wziąć w ramiona swój najcenniejszy skarb.

– Miałem też syna – odparł Nichols.

Jahns chciała sięgnąć do torby, żeby wyciągnąć z niej teczki, ale torby nie było obok. Przeoczyła ten rodzinny szczegół: brat.

– Nie mogła pani wiedzieć – rzekł Nichols, zauważając szok malujący się na twarzy pani burmistrz. – Nie przeżył. Technicznie rzecz biorąc nawet się nie narodził. Loteria toczyła się dalej.

– Przykro mi...

Musiała powstrzymać chęć chwycenia Marnesa za rękę. Minęły już dekady, odkąd ostatni raz celowo się dotknęli – nawet niewinnie – lecz

przytłaczająca atmosfera smutku, która nagle wypełniła pomieszczenie, sprawiła, że odpowiedni moment minął bezpowrotnie.

– Miał mieć na imię Nicholas, jak ojciec mojego ojca. Urodził się zbyt wcześnie. Ważył ledwie funta i osiem uncji. [678 gramów]

Kliniczna precyzja pobrzmiewająca w jego głosie zdawała się kryć znacznie głębszy smutek, niż gdyby tym słowom towarzyszył spodziewany wybuch emocji.

– Intubowali go, przenieśli do inkubatora, ale wystąpiły... powikłania. – Doktor Nichols spuścił wzrok. – Juliette miała wtedy trzynaście lat. Była tak podekscytowana jak i my, może to pani sobie wyobrazić, mieć brata w drodze. Była ledwie rok od zostania cieniem swojej matki, która pracowała jako położna. – Nichols podniósł wzrok. – Nie w tym żłobku, tylko w tym na środkowym poziomie, gdzie obydwoje wtedy pracowaliśmy. Wtedy byłem jeszcze stażystą.

– A Juliette? – Burmistrz Jahns nadal nie widziała związku.

– Zepsuł się inkubator. Kiedy Nicholas... – Znów odwrócił głowę i uniósł dłoń do oczu, ale zdołał się opanować. – Przepraszam. Nadal go tak nazywam.

– W porządku.

Jahns trzymała Marnesa za rękę. Nie wiedziała, kiedy i jak chwyciła go za dłoń. Doktor albo tego nie zauważył, albo go to nie obchodziło.

– Biedna Juliette. – Pokręcił głową. – Była zrozpaczona. Na początku obwiniała Rhodę, doświadczoną położną, która tak naprawdę za wszelka cenę chciała chłopca uratować. Wyjaśniłem jej to. I myślę, że Juliette wiedziała. Po prostu musiała po tym wszystkim kogoś znienawidzić. – Skinął na Jahns. – Wie pani, jakie są dziewczyny w tym wieku.

– Może pan wierzyć lub nie, ale świetnie to pamiętam. – Jahns zmusiła się do uśmiechu, więc Nichols też się uśmiechnął. Poczuła jak Marnes mocniej ściska jej rękę.

– Dopiero po śmierci matki zaczęła obwiniać zepsuty inkubator. Cóż, może nie sam inkubator, ale fakt, że był w tak kiepskim stanie. A był w stanie rozkładu, jak i wszystkie inne urządzenia.

– Żona zmarła od powikłań? – Kolejny szczegół, którego Jahns nie znalazła w dokumentach.

– Moja żona zabiła się tydzień później.

Znów ten kliniczny dystans. Jahns zastanawiała się, czy to był mechanizm obronny, który pozwolił mu przetrwać te wydarzenia, czy cecha osobowości, którą posiadał już wcześniej.

– Wydaje mi się, że bym to zapamiętał – odparł zastępca Marnes, odzywając się po raz pierwszy od momentu, kiedy przedstawił się doktorowi.

– Cóż, sam napisałem świadectwo zgonu. Mogłem wstawić taką przyczynę, na jaką miałem ochotę...

– I przyznaje się pan do tego? – Marnes był już gotowy zerwać się z ławki. Jahns nie miała pojęcia, co niby miałby zrobić. Ścisnęła go za ramię, by został na miejscu.

– Biorąc pod uwagę przepisy o przedawnieniu? Oczywiście. Przyznaję się. To i tak było bezwartościowe kłamstwo. Juliette była wystarczająco bystra, mimo młodego wieku. I właśnie przez to... – Zamilkł nagle.

– Co przez to? – spytała burmistrz. – Oszalała?

– Nie. – Nichols pokręcił głową. – Nie to chciałem powiedzieć. Przez to odeszła. Zgłosiła się do zmiany zawodu. Zażądała przeniesienia do Maszynowni, by tam być czyimś cieniem. Była zdecydowanie za młoda na to miejsce, ale zgodziłem się. Podpisałem, co trzeba. Pomyślałem, że trochę tam posiedzi, a potem wróci. Ależ byłem naiwny. Myślałem, że wolność dobrze jej zrobi.

– Od tamtej pory jej pan nie widział?

– Tylko raz. Na pogrzebie jej matki, kilka dni później. Przyszła całkiem sama, pojawiła się podczas pochówku, uścisnęła mnie, a potem wróciła na dół. Zeszła bez chwili odpoczynku, z tego co słyszałem. Staram się regularnie dowiadywać, co u niej. Mam znajomego w żłobku na dolnym poziomie, który od czasu do czasu przysyła telegram z najświeższymi informacjami. Ale u niej tylko ciągłe skupienie, skupienie i skupienie.

Nichols przerwał i parsknął śmiechem.

– Kiedy była młoda, widziałem w niej tylko odbicie matki. Lecz teraz bardziej przypomina mnie.

– Czy wie pan o czymś, co uniemożliwiłoby jej uzyskanie posady szeryfa? Zdaje pan sobie sprawę, z czym wiąże się ta praca, prawda?

– Owszem. – Nichols spojrzał na Marnesa, a jego wzrok zawędrował ku wystającej spod szlafroka odznace i wybrzuszeniu broni na

biodrze. – Wszyscy ci mali Stróże prawa rozsiani po całym silosie potrzebują kogoś na górze, kto będzie im dawał rozkazy, prawda?

– Mniej więcej – odparła Jahns.

– Czemu akurat ona?

Marnes odchrząknął. – Kiedyś pomogła nam przy śledztwie...

– Jules? Była tam u was na górze?

– Nie. To my zeszliśmy na dół.

– Nie ma żadnej wprawy.

– Żadne z nas nie miało – odparł Marnes. – To bardziej... praca biurowa. Trwanie na posterunku.

– Ona się nigdy na to nie zgodzi.

– Czemu? – zapytała Jahns.

Nichols wzruszył ramionami. – Sami zresztą zobaczycie – odparł, wstając. – Chciałbym mieć dla was więcej czasu, ale naprawdę powinienem już wracać. – Zerknął na podwójne drzwi. – Niedługo wprowadzamy tu rodzinę...

– Rozumiem. – Jahns też wstała i uścisnęła jego dłoń. – Doceniam to, że się pan z nami spotkał.

Mężczyzna parsknął śmiechem. – A miałem jakiś wybór?

– Oczywiście.

– No to szkoda, że o tym nie wiedziałem.

Uśmiechnął się, a do Jahns dotarło, że próbował zażartować. Gdy się rozdzielili i pomaszerowali przez korytarz, by odebrać swoje rzeczy i zwrócić szlafroki, Jahns była coraz mocniej zaintrygowana tą właśnie nominacją ze strony Marnesa. To nie było w jego stylu, wybrać kobietę z głębin. Osobę z bagażem. Była ciekawa, czy jego osąd nie został zamglony przez inne czynniki. Kiedy przytrzymywał dla niej drzwi, burmistrz Jahns, wchodząc do poczekalni, zastanawiała się, czy nie przyszła z nim tutaj dlatego, że także jej osąd był zamglony.

10

Nadeszła pora lunchu, ale żadne z nich nie było bardzo głodne. Jahns skubała po drodze baton kukurydziany, dumna z tego, że je w czasie marszu, zupełnie jak tragarze. Bezustannie mijali tych mężczyzn, a Jahns szacowała, że wykonawców tej profesji przybywa z każdym rokiem. Miała dziwne wyrzuty sumienia, że schodzi na dół z tak niewielkim ładunkiem, gdy tamci muszą dźwigać tak dużo. I jednocześnie poruszali się tak szybko. Ona i Marnes przywarli do poręczy, robiąc miejsce pędzącemu na dół tragarzowi. Jego cień – dziewczyna piętnasto- może szesnastoletnia – biegła tuż za nim, obładowana czymś, co wyglądało jak worki śmieci dla centrum recyklingu. Jahns obserwowała, jak dziewczyna w szybkim tempie znika im z widoku – jej gładkie, umięśnione nogi, wystające spod szortów, zdawały się mieć całe mile długości. Nagle poczuła się koszmarnie stara i okropnie zmęczona.

Udało im się w końcu osiągnąć w marszu równy, rytmiczny krok. Chodziło o pewien rodzaj poddania się grawitacji, poddania się swobodnemu opadaniu nóg, ślizganiu się dłoni na metalowej poręczy, wyciągania przed siebie laski, a następnie powtarzania całej czynności na nowo. W okolicach trzydziestego piętra do umysłu Jahns wdarło się zwątpienie. To, co wcześniej, o wschodzie słońca, wydawało się ciekawą przygodą, teraz zdawało się gigantycznym i karkołomnym przedsięwzięciem.

Minęli zakład hydroterapii na trzydziestym drugim, i Jahns uświadomiła sobie, że widzi części silosu, które były dla niej zupełnie nowe. Wstyd przyznać, ale już od lat nie schodziła tak nisko. I od tamtego czasu sporo się tu zmieniło. Wciąż trwały jakieś naprawy i budowy. Ściany miały teraz inny kolor, niż pamiętała. Ale z drugiej strony trudno było ufać własnej pamięci.

Przy piętrach zajmowanych przez informatyków ruch na schodach nieco zelżał. Dział IT to były najsłabiej zaludnione kondygnacje w silosie, mniej niż dwa tuziny kobiet i mężczyzn – głównie jednak mężczyzn – żyjących wewnątrz swojego małego królestwa. Serwery silosu zajmowały niemal całe piętro – maszyny, wyczyszczone kompletnie po powstaniu, powoli zapisywały na dyskach bieżącą historię. Dostęp do nich był ściśle ograniczony, i kiedy Jahns mijała kondygnację trzydziestą trzecią, mogłaby przysiąc, że słyszy potężne brzęczenie pochłanianej przez to piętro

elektryczności. Czymkolwiek był silos, do czegokolwiek był pierwotnie przeznaczony, wiedziała bez pytania że te maszyny zapewniały pewnego rodzaju supremację. Podczas spotkań dotyczących budżetu ich moc zawsze stanowiła kwestię sporną. Jednak konieczność czyszczenia, strach nawet przed mówieniem o tym, co na zewnątrz, i wszystkie wiążące się z tym tematy tabu, dawały ludziom z IT niesamowitą swobodę. Posiadali laboratoria produkujące kombinezony – każdy był szyty na miarę dla osoby siedzącej w celi – i już samo to odgradzało ich od całej reszty mieszkańców.

Nie, powiedziała sobie Jahns, nie chodziło tylko o tabu dotyczące czyszczenia, czy strach przed światem zewnętrznym. Chodziło o nadzieję. O tę niewypowiedzianą, śmiercionośną nadzieję każdego mieszkańca silosu. Komiczną, dziwaczną nadzieję. Że może nie oni, ale może ich dzieci, albo wnuki, że może dla nich życie na zewnątrz znów stanie się możliwe i to właśnie dzięki pracy IT, dzięki tym grubym kombinezonom robionym w ich laboratoriach te nadzieje się ziszczą.

Na samą myśl Jahns przeszedł dreszcz. Warunkowanie z czasów dzieciństwa było aż tak silne. Może Bóg usłyszy jej myśli i na nią doniesie. Wyobraziła sobie siebie w kombinezonie czyściciela – zdecydowanie zbyt powszechna myśl, umiejscawianie siebie w giętkiej trumnie, na którą skazała tak wielu.

Na trzydziestym czwartym usiadła na podłodze. Marnes zrobił to samo, trzymając w dłoni menażkę. Jahns uświadomiła sobie, że przez cały dzień pije z jego menażki, a jej nadal znajduje się w tylnej kieszeni plecaka. Było w tym coś dziecinnego i romantycznego zarazem, ale też – nie da się ukryć – praktycznego. Trudniej było sięgnąć po własną wodę, niż wziąć tę z plecaka towarzysza.

– Potrzebujesz odpoczynku? – Podał jej menażkę, w której zostało jeszcze wody na dwa łyki. Jahns wypiła jeden.

– To nasz kolejny przystanek – odparła.

Marnes spojrzał na zamazany numer odbity nad drzwiami. Musiał przecież wiedzieć, na którym są teraz piętrze, ale chyba chciał się upewnić.

Jahns oddała mu menażkę. – W przeszłości zawsze kontaktowałam się z nimi, by uzyskać zgodę co do swojej nominacji. Przede mną robił to także burmistrz Humphries, a wcześniej Jeffers. – Wzruszyła ramionami. – Tak jest ten świat urządzony.

– Nie miałem pojęcia, że czekali na czyjąś zgodę. – Pociągnął ostatni łyk i poklepał Jahns po plecach, kręcąc pokazując jej palcem, żeby

się odwróciła.

– Cóż, nigdy jeszcze nie odrzucili żadnej z moich nominacji. – Jahns czuła, jak wyjmował jej menażkę, na to miejsce wkładając swoją. Plecak wydawał się teraz nieco lżejszy. Uświadomiła sobie, że Marnes chciał nieść jej wodę i dzielić się z nią, aż opróżnią kolejną menażkę. – Myślę, że to niepisana zasada, żebyśmy starannie rozważyli kandydaturę każdego sędziego i każdego stróża prawa, wiedząc, że ktoś sprawuje nad tym nieformalny nadzór.

– A więc teraz chcesz to zrobić osobiście.

Odwróciła się i spojrzała w oczy zastępcy. – Pomyślałam, że skoro i tak tędy przechodzimy... – Zamilkła, widząc młodą parę przebiegającą po schodach; trzymali się za ręce i przeskakiwali co dwa stopnie. – Bo czy nie byłoby podejrzane, jakbyśmy ich nie odwiedzili i się nie zameldowali, skoro i tak tędy przechodzimy?

– Zameldowali – powtórzył Marnes. Jahns niemal spodziewała się, że splunie zaraz z odrazą przez barierkę, przynajmniej na to wskazywał ton jego głosu. Nagle poczuła, że ujawniła kolejną ze swoich słabości.

– Pomyśl o tym jak o misji politycznej – powiedziała, odwracając się w stronę drzwi.

– Będę to raczej uważał za misję rozpoznawczą – wymamrotał Marnes, ruszając za kobietą.

* * *

Jahns widziała wyraźnie, że tym razem nie będzie tak jak w żłobku: nie otworzą im i tak po prostu nie wpuszczą w tajemnicze otchłanie działu informatyki. Kiedy czekali, aż ktoś zwróci na nich uwagę, przyglądała się jak nawet pracownicy działu, nieodróżnialni przez swoje czerwone kombinezony, byli oklepywani i przeszukiwani przed opuszczeniem skrzydła i wyjściem na schody. Mężczyzna z różdżką wykrywacza metali – członek wewnętrznej ochrony IT – sprawdzał każdego, kto przechodził przez metalową bramkę. Spotkana wcześniej recepcjonistka była dość przyjemna i chyba się cieszyła, że pani burmistrz przyszła z wizytą. Wyraziła kondolencje z powodu niedawnego czyszczenia, co było dziwne, choć Jahns żałowała, że nie słyszy tych słów częściej. Poprowadzono ich do niewielkiej sali konferencyjnej, przylegającej do głównego foyer – to w tym miejscu, jak się zdawało, mogli się spotykać ludzie z różnych działów, nie musząc kłopotać się przechodzeniem przez bramki bezpieczeństwa.

– Patrz ile tu mają przestrzeni – szepnął Marnes, kiedy zostali sami w pokoju. – Widziałaś rozmiary hallu wejściowego?

Jahns skinęła głową. Rozejrzała się po suficie i ścianach, szukając otworu do podglądania, co potwierdziłoby jej przerażające wrażenie bycia obserwowaną. Odłożyła torbę i laskę, a potem opadła ciężko na pluszowy fotel. Poruszył się i wtedy dotarło do niej, że to fotel na kółkach. Na dodatek dobrze naoliwionych.

– Zawsze chciałem tu zajrzeć – stwierdził Marnes. Wyglądał przez szybę wychodzącą na foyer. – Zawsze gdy mijałem to miejsce, a było tak chyba z tuzin razy, byłem ciekawy, co mają tu w środku.

Jahns niemal go poprosiła, by przestał tyle gadać, ale nie chciała urazić jego uczuć.

– Rany, ależ mu się śpieszy. To pewnie przez ciebie.

Jahns odwróciła się i zobaczyła, że w ich stronę zmierza Bernard Holland. Podchodząc do drzwi, zniknął im na chwilę z pola widzenia, potem klamka poruszyła się i niski człowieczek, który dbał o to, by dział IT zawsze pracował sprawnie, wparował do pomieszczenia.

– Pani burmistrz.

Wyszczerzył się w udawanym uśmiechu, zęby miał krzywe. Jego rzadkie wąsy nie były w stanie ukryć wady zgryzu. Niski, tęgi, na małym nosie miał okulary i wyglądał jak ilustracja do definicji technicznego eksperta. Jednak dla Jahns wyglądał przede wszystkim na kogoś bystrego.

Kiedy wstawała z fotela, wyciągnął ku niej dłoń, ale niewiele brakowało a fotel ujechałby jej spod nóg.

– Ostrożnie – powiedział Bernard, łapiąc kobietę za łokieć, by nie straciła równowagi. – Panie zastępco. – Skinął w stronę Marnesa. – To zaszczyt mieć was tutaj. Wiem, że rzadko podróżujecie.

– Dziękuję, że zechciał się pan z nami spotkać, mimo że przyszliśmy bez uprzedzenia.

– Oczywiście. Proszę czuć się jak u siebie. – Przetarł dłonią lakierowany stół konferencyjny. Był ładniejszy od tego, który stał w gabinecie pani burmistrz, choć Jahns pocieszyła się, że pewnie lśnił tak dlatego, bo był rzadziej używany. Zmęczona rozsiadła się w fotelu, a potem sięgnęła po torbę i wyciągnęła z niej teczki.

– Od razu do sedna, jak zawsze – stwierdził Bernard, siadając obok. Poprawił sobie na nosie niewielkie okulary o okrągłych szkłach, i pochylił się w fotelu, a jego okrągły brzuch zetknął się z krawędzią biurka. – Zawsze

to mi się w pani podobało. Jak pewnie pani się domyśla, po wczorajszych nieszczęśliwych wydarzenia jesteśmy bardzo zajęci. Przepływa mnóstwo danych.

– I jak sobie z tym radzicie? – zapytała Jahns, układając przed sobą dokumenty.

– Jak zawsze, są plusy i minusy. Poprawiły się odczyty z niektórych czujników. Poziom stężenia ośmiu znanych toksyn w powietrzu opadł, ale tylko nieznacznie. W przypadku dwóch innych się podniósł. Reszta bez zmian. – Machnął ręką. – Dużo nudnych technicznych rzeczy, ale to wszystko trafi do mojego raportu. Powinien się pojawić zanim wróci pani do biura.

– Byłoby dobrze – odparła Jahns. Chciała powiedzieć coś jeszcze, by docenić ciężką pracę jego działu, dać mu znać, że kolejne czyszczenie zakończyło się sukcesem, Bóg raczy wiedzieć czemu. Ale tym razem czyścicielem został Holston, który dla niej był niemal kimś w rodzaju jej osobistego cienia. I zarazem był jedynym mężczyzną, którego widziała na swoim stanowisku po własnej śmierci, kiedy jej prochy będą już karmić korzenie drzew owocowych. Minęło zbyt mało czasu, by o tym mówić, a co dopiero się z tego cieszyć.

– Zazwyczaj wysyłam takie rzeczy telegramem – powiedziała. – Ale skoro i tak tędy przechodzimy, a nie będzie pana na kolejnym spotkaniu komitetu, przez ile – najbliższe trzy miesiące?

– Ależ te lata lecą – zauważył Bernard.

– Doszłam więc do wniosku, że możemy ustalić wszystko teraz, żebym mogła zaoferować naszego najlepszego kandydata na stanowisko szeryfa. – Spojrzała na Marnesa. – Gdy ona już się zgodzi, skończymy robotę papierkową w drodze na górę, jeśli to panu nie przeszkadza. – Przesunęła teczkę w stronę Bernarda. Zaskoczona zauważyła, że wyciągnął własną, zamiast zaakceptować tę, którą mu dała.

– Cóż, rzućmy na to okiem – odparł. Otworzył swoją teczkę, polizał kciuk i przewrócił kilka kartek papieru o wysokiej jakości. – Dostaliśmy wiadomość o pani wizycie, ale lista pani kandydatów trafiła na moje biurko dopiero dziś rano. W innym wypadku oszczędziłbym pani tej wycieczki. – Wyciągnął kartkę pozbawioną zagięć. Nie wyglądała nawet na wybielaną. Jahns zastanawiała się, skąd IT brało takie rzeczy, kiedy jej biuro musiało sobie radzić z pastą kukurydzianą. – Sądzę że z trzech wymienionych tu nazwisk, powinien to być Billings.

– Możemy wziąć go pod uwagę w następnej kolejności... – zaczął Marnes.

– Myślę, że powinniśmy zrobić to właśnie teraz. – Podał Jahns jakiś dokument. To była umowa akceptacji kandydata. Na dole znajdowały się już podpisy. Jedno pole było puste, pod nim znajdowało się wydrukowane nazwisko pani burmistrz.

Musiała złapać oddech.

– Skontaktował się już pan w tej sprawie z Billingsem?

– Zgodził się. Sędziowska toga byłaby na niego zbyt sztywna; jest to człowiek młody i pełen energii. Sądzę, że był dobrym wyborem dla roli sędziego, ale do pracy szeryfa nadaje się nawet lepiej.

Jahns przypomniała sobie proces nominacji sędziowskiej dla Petera. To był jeden z tych razów, gdy zgodziła się z sugestią Bernarda, sądząc, że kolejnego wyboru będzie mogła dokonać samodzielnie. Studiowała jego podpis, rozpoznając w nim znaną jej rękę Petera – w imieniu sędziego Wilsona, któremu cieniował, często przesyłał do nich rozmaite pisma. Wyobraziła sobie jednego z tragarzy, który tego dnia minął ich na schodach, przepraszając w biegu... może biegł z tym właśnie dokumentem.

– Obawiam się, że Peter jest obecnie trzeci na naszej liście – powiedziała w końcu burmistrz Jahns. W jej głosie słychać było znużenie. Zdawał się słaby i delikatny, szczególnie w przepastnej przestrzeni tej niewystarczająco wykorzystywanej i zbyt wielkiej sali konferencyjnej. Popatrzyła na Marnesa, który wbił wzrok w umowę, raz po raz zaciskając szczęki.

– Cóż, chyba wszyscy wiemy, że nazwisko Murphyego jest tutaj wyłącznie po to, by mu się przypochlebić. Jest zbyt stary na tę posadę i...

– Jest młodszy ode mnie – przerwał Marnes. – A ja trzymam się całkiem nieźle.

Bernard potrząsnął głową. – Tak, oczywiście, tylko obawiam się, że wasz pierwszy wybór też się nie nadaje.

– A niby czemu? – zapytała Jahns.

– Nie jestem pewien czy dość... gruntownie sprawdziła pani tę osobę. My jednak mieliśmy z nią tyle kłopotów, że od razu rozpoznałem jej nazwisko. Chociaż jest pracownikiem fizycznym.

Ostatnio słowo wypowiedział jakby było gwoździem, który musiał wypluć.

– Jakie mieliście z nią problemy? – dopytywał się Marnes.

Jahns spiorunowała go wzrokiem.

– Nic, o czym trzeba by było donosić – zwrócił się do Marnesa Bernard. W jego małych oczach widać było czystą nienawiść względem zastępcy, a może tylko względem gwiazdy szeryfa na jego piersi. – Nic do czego trzeba by angażować stróżów prawa. Ale zdarzały się... dziwne sytuacje z nią związane. Przedmioty znikające od nas, a trafiające do Maszynowni, rekwizycje, niewłaściwe żądania pierwszeństwa i tak dalej. – Zaczerpnął oddechu i złożył ręce na leżącej przed nim teczce. – Nie nazwałbym tego wprawdzie kradzieżą *per se*, ale złożyliśmy skargi do Deagana Knoxa, szefa Maszynowni, by go o tych zaszłościach poinformować.

– To wszystko? – ryknął Marnes. – Rekwizycje?

Bernard zmarszczył brwi. Rozłożył ręce. – Wszystko? Słuchał mnie pan? Kobieta właściwie nas okradała, przywłaszczyła sobie przedmioty z mojego działu. Nie jest jasne, czy one nadają się w ogóle do użycia w silosie. Mogła to robić dla osobistych korzyści. Bóg raczy wiedzieć, czy ta kobieta nie zużywa też więcej prądu niż wynosi jej przydział. Może wymienia się za bony...

– Czy to formalne oskarżenie? – zapytał Marnes. Pokazowo wyjął z kieszeni notes i nacisnął długopis.

– Ależ nie. Jak mówiłem, nie chcemy kłopotać biura szeryfa. Ale, jak pan widzi, to nie jest osoba, która mogłaby robić u was karierę. Od mechanika nie można oczekiwać więcej i, szczerze mówiąc, właśnie tam, w Maszynowni, powinna pozostać. – Poklepał teczkę, jakby chciał dać już tej sprawie spokój.

– To pańska sugestia – odparła burmistrz Jahns.

– Och, tak. I sądzę, że skoro mamy tak dobrego kandydata, który chce się poświęcić, a na dodatek mieszka już na górze, to...

– Wezmę pana sugestię pod uwagę. – Jahns zabrała umowę ze stołu i celowo złożyła ją na pół, gładząc zgięcie paznokciami. W końcu wetknęła papier do jednej z teczek. Bernard patrzył na to z przerażeniem w oczach.

– A skoro nie złożył pan formalnej skargi co do naszej pierwszej kandydatki, potraktuję to jako milczące przyzwolenie, by porozmawiać z nią na temat pracy. – Jahns wstała, podnosząc swoją torbę. Wsunęła teczki do kieszeni, zamknęła ją, a potem chwyciła opartą o stół konferencyjny laskę. – Dziękuję, że się pan z nami spotkał.

– Tak, ale... – Bernard szybko odsunął się od stołu i popędził za Jahns, która zmierzała już ku drzwiom. Marnes wstał i ruszył za nią, uśmiechając się.

– Co ja powiem Peterowi? On jest przekonany, że w każdej chwili może zacząć pracę!

– Nie powinien pan mu o niczym mówić – odparła Jahns. Zatrzymała się w foyer i zmierzyła Bernarda wzrokiem. – Przekazałam panu moją listę w zaufaniu. A pan tego zaufania nadużył. Doceniam to, co pan robi dla silosu. Pan i ja mamy za sobą długą historię spokojnej współpracy, nadzorując silos w najbardziej pomyślnych czasach, jakich zaznali jego mieszkańcy.

– I właśnie dlatego... – zaczął Bernard.

– Właśnie dlatego wybaczę panu to przekroczenie uprawnień – odparła pani burmistrz. – To moja praca. Moi ludzie. Wybrali mnie, więc to ja będę podejmować takie decyzje. Ja i zastępca Marnes ruszamy teraz w dalszą drogę. Przeprowadzimy uczciwą rozmowę z wyselekcjonowaną kandydatką. A w drodze powrotnej na pewno tu wstąpię, jeśli będzie trzeba coś podpisać.

Bernard rozłożył ręce, uznając swoją porażkę. – Dobrze więc – powiedział. – Przepraszam. Chciałem jedynie przyspieszyć ten proces. Proszę sobie chwilę odpocząć, w końcu jesteście naszymi gośćmi. Przyniosę wam jakieś jedzenie, może owoce?

– Będziemy się już zbierać – odparła Jahns.

– W porządku. – Skinął głową. – Może chociaż chcecie trochę wody? Napełnić wam menażki?

Jahns przypomniała sobie, że jedna z nich była już pusta, a muszą pokonać jeszcze kilka pięter.

– To byłoby miłe – odparła. Dała znać Marnesowi, żeby się odwrócił, by mogła wyjąć menażkę z jego plecaka. Potem odwróciła się, żeby on mógł wyjąć też jej menażkę. Bernard machnął do jednego ze swoich pracowników, by napełnił je, ale cały czas przyglądał się tej niezwykłej, wręcz intymnej wymianie.

11

Docierali już niemal do pięćdziesiątego piętra, nim Jahns odzyskała trzeźwość umysłu. Miała wrażenie, że w swoim plecaku czuje ciężar umowy Petera Billingsa. Marnes, pozostający kilka kroków w tyle, skarżył się na coś pod nosem, narzekając na Bernarda i zarazem starając się dotrzymać jej kroku. Jahns uświadomiła sobie, że zaczyna wariować. Zmęczenie w udach i łydkach połączyło się z poczuciem, że ta wycieczka była więcej niż tylko pomyłką: była też prawdopodobne daremna. Ojciec Juliette ostrzegał przecież, że jego córka nie przyjmie tej posady. Do tego naciski ze strony IT, by wybrać kogoś innego. Teraz z każdym krokiem wzrastał w niej nowy lęk. Lęk i zarazem pewność, że Juliette świetnie się nada do tej roboty. Będą tylko musieli przekonać tę pracownicę Maszynowni, choćby po to, by udowodnić coś Bernardowi, by nie uznać tej żmudnej wyprawy za kompletną stratę czasu.

Jahns była stara, funkcję burmistrza pełniła już od bardzo dawna, po części dlatego, że wiedziała, jak się załatwia rozmaite sprawy, po części dlatego, bo dzięki niej nie zdarzały się gorsze rzeczy, ale głównie chodziło o to, że rzadko kiedy wywoływała zamieszanie. Czuła, że już najwyższy czas – teraz, gdy była już na tyle wiekowa, że konsekwencje nie miały dla niej żadnego znaczenia. Obejrzała się na Marnesa i była pewna, że to odnosi się też do niego. Ich czas dobiegał końca. Najlepszą, najważniejszą rzeczą, jaką mogli zrobić dla silosu było upewnić się, że ich dziedzictwo przetrwa. Nie będzie żadnych powstań. Żadnego nadużywania władzy. Właśnie dlatego w kilku ostatnich wyborach nie miała kontrkandydatów. Lecz teraz czuła, że zbliża się już do swego kresu, a młodsi i silniejsi szykują się do przejęcia władzy. Ilu sędziów zwolniła na życzenie Bernarda? Teraz także szeryf miał być z jego nominacji? Ile czasu minie, aż Bernard będzie burmistrzem? Albo i gorzej: władcą marionetek, którego sznurki ciągną się jak silos długi i szeroki.

– Wolniej – sapał Marnes.

Jahns zauważyła wreszcie, że idzie za szybko. Zwolniła kroku.

– Ten skurwiel nieźle cię wkurzył.

– Więc i ty mnie nie denerwuj – syknęła.

– Minęliśmy ogrody.

Jahns sprawdziła numer kondygnacji i zobaczyła, że mężczyzna ma rację. Gdyby bardziej uważała, wyczułaby ogrody po samym zapachu.

Kiedy otworzyły się drzwi prowadzące na kolejne piętro, ze środka wybiegł tragarz z workami owoców na ramionach, a wokół rozniosła się mocna woń roślin i wilgoci.

Minęła już pora obiadu, a zapach pobudzał apetyt. Tragarz, mimo że przeładowany, zauważył, że przechodzą z klatki schodowej na piętro i przytrzymał im drzwi nogą – ramiona naprężyły mu się pod ciężarem worków.

– Pani burmistrz – powiedział, kłaniając się jej i Marnesowi.

Jahns podziękowała mu. Większość tragarzy wydawała jej się znajoma: widziała ich raz po raz, biegających z dostawami po całym silosie. Nigdy nie zostawali w jednym miejscu na tyle długo, żeby mogła ich dogonić i zapamiętać imię, a zwykle takie rzeczy zapamiętywała doskonale. Kiedy razem z Marnesem wchodzili na farmy hydroponiczne, zastanawiała się, czy tragarze każdej nocy wracali do domów, żeby być z rodzinami. Czy w ogóle mieli jakieś rodziny? A może żyli jak księża? Była zbyt stara i zbyt ciekawska, by tego nie wiedzieć. Z drugiej strony, może trzeba było spędzić cały dzień na klatce schodowej, żeby w pełni ich dostrzec i docenić ich pracę. Tragarze byli niczym powietrze, którym oddychała: zawsze wokół, zawsze do dyspozycji, tak konieczni i wszechobecni, że nigdy się ich nie doceniało. Ale zmęczenie długim marszem otworzyło jej oczy na ich rolę. To było niczym nagły spadek ilości tlenu w otoczeniu, dające jej wreszcie bodziec do zauważenia ich ciężkiej pracy.

– Powąchaj te pomarańcze – zachęcił Marnes, przerywając Jahns jej rozmyślania., Kiedy mijali niskie bramy ogrodu, wciągnęła nosem powietrze.

Ubrany w zielony kombinezon pracownik przywołał ich machnięciem ręki. – Proszę położyć torby tutaj, pani burmistrz – powiedział, pokazując w większości puste kwadratowe regały, sporadycznie wypełnione pakunkami i torbami na ramię.

Jahns zastosowała się do jego rady, zostawiając swój ekwipunek w wolnym miejscu. Marnes zrobił to samo, kładąc swój plecak tuż obok. Czy chciał oszczędzić miejsce, czy tylko odezwał się jego instynkt opiekuńczy – Jahns wydało się to równie słodkie jak unoszący się w ogrodach zapach.

– Mamy rezerwację na wieczór – wyjaśniła pracownikowi Jahns.

Skinął głową. – Pokoje są piętro niżej. Chyba jeszcze nie skończyli szykować tych waszych. Jesteście tu z wizytą, czy chcecie coś zjeść?

– I jedno, i drugie.

Młody mężczyzna uśmiechnął się. – Cóż, zanim skończycie jeść, wasze pokoje będą już gotowe.

Pokoje, pomyślała Jahns. Podziękowała młodzieńcowi i ruszyła za Marnesem przez ogrody.

– Kiedy ostatnio tutaj byłeś? – zapytała go.

– Oj! Dosyć dawno. Minęły chyba ze cztery lata.

– A, prawda – Jahns się zaśmiała. – Jak mogłam zapomnieć? Skok stulecia.

– Dobrze, że wciąż cię to bawi – odparł Marnes.

Na końcu korytarza kręcona spirala ogrodów hydroponicznych zaczynała się rozgałęziać. Główny tunel przemykał przez dwa poziomy silosu, tworząc coś na kształt labiryntu, sięgającego aż do odległych, betonowych ścian. Głos kapiącej z rur wody był dziwnie kojący, pod niskim sufitem niosło się łagodne echo pluskania. Z obu stron tunel był otwarty – widać było zielone krzewy, warzywa i niewielkie drzewka rosnące pośród białych plastikowych rur tworzących kratki. Rozpięte wszędzie sznury dawały oparcie łodygom i ciągnącym się pnączom winorośli. Mężczyźni i kobiety wraz z młodymi cieniami – wszyscy ubrani w zielone kombinezony – doglądali roślin. Z ich szyj zwisały worki, pełne owoców. Trzymane w dłoniach przycinacze klekotały niczym kleszcze, jakby były z nimi trwale zrośnięte. Przycinanie hipnotyzowało, robili to z takim sprytem i bez najmniejszego wysiłku. Była to jednak z tych umiejętności, których nabywało się po latach ciągłej praktyki.

– Czy to nie ty pierwszy sugerowałeś, że ta kradzież była robotą wewnętrzną? – zapytała Jahns, nadal się śmiejąc. Ona i Marnes podążali za znajdującymi się na ścianach wskazówkami, zmierzając do sal degustacyjnych i jadalnianych.

– Naprawdę będziemy teraz o tym gadać?

– Nie wiem, czemu się tego tak wstydzisz. Powinieneś się śmiać.

– Z czasem tak będzie. – Zatrzymał się i wyjrzał za siatkę otaczającą gałązki z pomidorami. Gdy tylko poczuła ich mocny zapach, Jahns momentalnie zaczęło burczeć w brzuchu.

– W tamtym czasie byliśmy podekscytowani, że kogoś przymkniemy – stwierdził cicho Marnes. – Holston ledwo się trzymał. Co noc wysyłał mi telegramy z prośbą o najświeższe wieści. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby chciał aż tak bardzo kogoś przyskrzynić. Jakby tego

potrzebował, rozumiesz? – Objął palcami kratkę ochronną i gapił się gdzieś w przestrzeń ponad warzywami, jakby spoglądał w głębię minionych lat.. – Patrząc wstecz, wyglądało na to, jakby przeczuwał, że z Allison coś jest nie w porządku. Jakby już widział jej nadciągające szaleństwo. – Marnes odwrócił się do Jahns. – Pamiętasz jak było przed jej czyszczeniem? Minęło tyle czasu. Wszyscy staliśmy wtedy pod ścianą.

Jahns już chwilę wcześniej przestała się uśmiechać. Stanęła blisko Marnesa. Znów odwrócił się w stronę roślin, obserwując, jak mężczyzna odcina dojrzałego czerwonego pomidora i wkłada go do koszyka.

– Wydaje mi się, że Holston chciał spuścić trochę ciśnienia z silosu. Chyba miał ochotę zejść na dół i osobiście zająć się dochodzeniem. Każdego dnia pisał do mnie, prosząc o raporty, jakby od tego zależało czyjeś życie.

– Przepraszam, że o tym wspomniałam – odparła Jahns, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Marnes odwrócił się i spojrzał na jej rękę. Pod jego wąsami dało się dostrzec tylko dolną wargę. Jahns wyobraziła sobie, jak całuje jej dłoń. Odsunęła się.

– W porządku – powiedział. – Gdyby nie ten cały dodatkowy bagaż, to by mogło być zabawne. – Znów się odwrócił i ruszył naprzód korytarzem.

– Udało im się wyjaśnić, jak on tutaj dotarł?

– Schodami – odparł Marnes. – Tak musiało być. Chociaż słyszałem, jak ktoś sugerował, że dziecko mogło go ukraść i przez pewien czas trzymać jako zwierzątko domowe. A na koniec wypuścić tutaj.

Jahns znów zaczęła się śmiać. Nie dała rady się powstrzymać. – Jeden królik – rzekła. – Zmylił największego z naszych stróżów prawa i zwinął roczny zapas sałaty.

Marnes pokręcił głową, chichocząc. – Wcale nie największego. Nigdy taki nie byłem. – Odchrząknął i popatrzył przez korytarz. Jahns dobrze wiedziała, o kim teraz myśli.

* * *

Po obfitym i sycącym posiłku zeszli piętro niżej, do pokoi gościnnych. Jahns podejrzewała, że podjęto jakieś dodatkowe starania, by przygotować dla nich pokoje. Wszystkie pokoje gościnne były przecież obładowane, wiele zarezerwowano podwójnie, nawet potrójnie. A skoro

czyszczenie zostało zaplanowane jeszcze przed podjęciem decyzji o ich wyprawie, sądziła że te dwa pokoje opróżniono specjalnie dla nich. Sam fakt, że dostali dwa oddzielne, a pani burmistrz na dodatek – pokój z dwoma łóżkami... sam ten fakt sprawiał, że czuła się z tym jeszcze gorzej. Nie było to tylko zwykłe marnowanie przestrzeni, było to marnowanie jej z premedytacją. Jahns wolałaby nawet, żeby było jej bardziej... niewygodnie.

Marnes miał zresztą podobne zdanie. Skoro zostało im jeszcze parę godzin, nim położą się spać, a oboje byli ożywieni po sytym posiłku i mocnym winie, zaprosił ją do swojego pokoiku, żeby mogli trochę pogadać, zanim w ogrodach się uspokoi.

Jego pokój był przytulny, z jednym tylko podwójnym łóżkiem, lecz dogodnie ustawionym. Wyższe ogrody stanowiły tylko jedno z tuzina dużych prywatnych przedsięwzięć w całym silosie. Wszystkie koszty ich pobytu zostaną pokryte z budżetu biura, a te pieniądze – wraz z tym, co wpłacali inni podróżni – pomagały zarządcom kupować rzeczy lepszej jakości, takie jak ładne prześcieradła, czy materace, które nie skrzypiały.

Jahns usiadła w nogach łóżka. Marnes odpiął swoją kaburę, położył ją na kredensie i opadł ciężko na stojącą nieopodal ławkę. Kiedy ona zdjęła buty i zaczęła masować obolałe stopy, on zaczął gadać o jedzeniu oraz marnowaniu miejsca przy rozdzielaniu im dwóch oddzielnych pokoi. Mówiąc, raz po raz gładził wąsy.

Jahns wbijała kciuki w obolałe pięty. – Wydaje mi się, że jak już będziemy na dole, będę potrzebowała co najmniej tygodniowego odpoczynku przed wspinaczką powrotną – stwierdziła, gdy Marnes zamilkł na dłużej.

– Nie jest aż tak źle – odparł. – Tylko patrz. Rano będziesz obolała, ale jak już zaczniesz się ruszać, stwierdzisz, że masz znacznie więcej sił niż dzisiaj. A przecież w drodze powrotnej jest dokładnie tak samo. Wchodzisz stopień za stopniem i zanim się zorientujesz, już jesteś domu.

– Mam nadzieję, że masz rację.

– Poza tym, zrobimy to w ciągu dwóch dni, a nie czterech. Myśl o tym, jak o przygodzie.

– Już tak myślę, możesz mi wierzyć.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, Jahns położyła się na poduszkach, Marnes zaś gapił się przed siebie. Zdziwiło ją, jak kojące i normalne zarazem się to wydawało: być z nim w jednym pokoju, sam na sam.

Rozmowa nie była konieczna. Mogli po prostu tu być. Żadnej odznaki, żadnego biura. Dwoje zwykłych ludzi.

– Nie będziesz brała księdza, prawda? – zapytał w końcu Marnes.

– Nie – pokręciła głową. – A ty?

– Też nie. Ale zastanawiałem się nad tym.

– Przez Holstona?

– Po części. – Schylił się i pomasował dłońmi uda, jakby chciał wycisnąć z nich cały ból. – Chciałbym wiedzieć, gdzie zdaniem księdza podziała się jego dusza.

– Wciąż jest z nami – odparła Jahns. – Przynajmniej tak twierdzą oni.

– A ty w co wierzysz?

– Ja? – Podniosła się z poduszek i wsparła na łokciu, patrząc jak Marnes się jej przygląda. – Tak naprawdę to nie wiem. Jestem zbyt zajęta, by o tym rozmyślać.

– Nie wydaje ci się, że dusza Donalda wciąż jest z nami?

Jahns przeszył dreszcz. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio ktoś wymówił głośno jego imię.

– Nie ma go już dłużej, niż był moim mężem – odparła. – Dłużej byłam żoną jego ducha, niż jego samego.

– Nie powinnaś tak mówić.

Jahns spuściła wzrok; świat rozmazał jej się przed oczami. – Nie miałby mi tego za złe. I owszem: sądzę, że nadal jest ze mną. Każdego dnia motywuje mnie do bycia dobrą osobą. Przez cały czas mnie obserwuje.

– Mnie też – odparł Marnes.

Jahns podniosła wzrok i zauważyła, że nadal się na nią gapił.

– Myślisz, że chce, byś była szczęśliwa? Pod każdym względem? – Przestał masować nogi i położył ręce na kolanach. W końcu musiał odwrócić wzrok.

– Byłeś jego najlepszym przyjacielem – stwierdziła Jahns. – Czego by twoim zdaniem mógł chcieć?

Podrapał się po twarzy, a potem zerknął na zamknięte drzwi, słysząc roześmiane dziecko biegnące korytarzem. – Przypuszczam, że zawsze chciał tylko twojego szczęścia. Właśnie dlatego był dla ciebie właściwym mężczyzną.

Gdy Marnes akurat na nią nie patrzył, Jahns otarła oczy i zaciekawiona popatrzyła na wilgotne palce.

– Robi się już późno – zauważyła. Ześlizgnęła się na skraj łóżka i sięgnęła po buty. Jej torba i laska czekały na nią przy drzwiach. – Sądzę, że masz rację. Rano będę obolała, ale w końcu odzyskam siły.

12

Drugiego i ostatniego dnia ich wędrówki na najniższe piętra wszystko to, co nowe, stało się zwyczajne. Pobrzękiwanie wielkich spiralnych schodów odnalazło swój właściwy rytm. Jahns mogła więc zatopić się w rozmyślaniach, śniąc na jawie z taką łatwością, że gdy patrzyła na numery mijanych pięter – siedemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt cztery – zastanawiała się, kiedy zdołali pokonać aż dwanaście kondygnacji. Ból w lewym kolanie zelżał, czy to przez ogólne odrętwienie ciała, czy powrót do zdrowia – tego nie była pewna. Coraz rzadziej musiała podpierać się laską, skoro ta nie pomagała w niczym a jedynie spowalniała marsz, często wślizgując się między kraty schodów, skąd trudno było ją wyciągnąć. Więc Jahns wciskała ją pod pachę i wtedy miała z niej najlepszy użytek. Laska była jak dodatkowa kość jej szkieletu, trzymająca ją w jednym kawałku.

Kiedy minęli dziewięćdziesiąte piętro, z jego odorem nawozu, świń i reszty zwierząt produkujących użyteczne przy użyźnianiu gleby odchody, Jahns szła dalej, nie zatrzymując się na obchód ani planowany posiłek, myśląc tylko przelotnie o małym króliku, który jakimś sposobem uciekł z jednej z farm i niezauważony pokonał dwadzieścia pięter, a potem przez trzy tygodnie wyjadał warzywa, wpędzając połowę mieszkańców silosu w konsternację.

Technicznie rzecz biorąc, docierając do dziewięćdziesiątego siódmego, byli już w głębinach. To była trzecia część silosu, na którą składały się najniżej położone kondygnacje. Ale mimo iż budowla została matematycznie podzielona na trzy części, każda po czterdzieści osiem pięter, mózg Jahns nie odczytywał tego w ten sposób. Setne piętro stanowiło lepszą granicę. To był prawdziwy kamień milowy. Liczyła więc piętra dopóki nie dotarli do pierwszego z trzycyfrowych. Wtedy zrobili sobie przerwę.

Zwróciła uwagę, że Marnes dyszał coraz ciężej. Ona sama jednak czuła się świetnie. Niczym nowo narodzona – dokładnie tak spodziewała się poczuć w trakcie tej wyprawy. Wrażenie daremności podejmowanych działań, lęki i wyczerpanie poprzedniego dnia już odeszły w niepamięć. Zostało tylko drobne ukłucie strachu, że tamte ponure emocje powrócą, że to podniecenie i ożywienie jest wyłącznie chwilowe, że jeśli się zatrzyma,

jeśli zbyt długo będzie się nad tym zastanawiać, gdzieś się ulotnią, a ona znów stanie się przygnębiona i humorzasta.

Podzielili się niewielkim bochenkiem chleba, przysiadłszy na metalowej kracie, z łokciami wspartymi o poręcz, i stopami zwisającymi nad pustą przestrzenią. Wyglądali jak para dzieciaków, które zwiały z lekcji. Setny poziom pełny był przechodzących w tę i we w tę ludzi. Całe piętro było gigantycznym bazarem, miejscem wymiany dóbr, przeznaczania zdobytych wcześniej bonów na coś koniecznego albo tylko pożądanego. Pracownicy i podążający za nimi cienie przychodzili i odchodzili, rodziny przywoływały się krzykliwie pośród gęstych tłumów, sprzedawcy głośno przedstawiali najlepsze oferty. Drzwi były szeroko otwarte dla odwiedzających, więc zapachy i dźwięki niosły się aż na klatkę schodową, a metalowe kraty podłogi aż drżały od tupotu podekscytowanych mas.

Jahns radowała się tym, że w takim tłumie jest praktycznie anonimowa. Wgryzła się w swoją połówkę bochenka, ciesząc się świeżością upieczonego tego ranka chleba, i czuła się jak jedna z wielu zwykłych osób na tym piętrze. Poczuła się też młodziej... Marnes ukroił dla niej kawałek sera i plaster jabłka, robiąc z nich kanapkę. Podając ją Jahns, dotknął dłoni kobiety. Nawet okruchy na jego wąsach stanowiły nieodłączny element tej doskonałej chwili.

– Jesteśmy sporo do przodu w stosunku do przyjętego wcześniej harmonogramu – zauważył Marnes, a potem znów ugryzł owoc. To była tylko zwyczajna, miła uwaga. Jak poklepanie ich starych grzbietów. – Pewnie dotrzemy do sto czterdziestego jeszcze przed obiadem.

– W tej chwili nie boję się nawet wspinaczki w drodze powrotnej – odparła Jahns. Kończyła właśnie ser i jabłko, żując je z zadowoleniem. Doszła do wniosku, że w czasie podróży wszystko smakuje lepiej. Tak samo jak lepiej smakowało w miłym towarzystwie, albo gdy słyszało się muzykę dobiegającą z bazaru, gdzie uke jakiegoś żebraka przebijało się przez odgłosy tłumu.

– Czemu nie schodzimy tutaj częściej? – zapytała.

Marnes chrząknął. – Bo trzeba pokonać sto pięter? Poza tym, mamy ładny widok, mamy holi, bar Kippersa. Ilu z tych ludzi wchodzi na górę częściej niż raz na kilka lat?

Jahns zastanawiała się nad tym, żując ostatni kęs chleba.

– Myślisz, że to naturalne? Nie oddalać się zanadto od miejsca, w którym żyjemy?

– Nie nadążam – odparł Marnes, nie przerywając posiłku.

– Załóżmy, tylko hipotetycznie, że ludzie żyli w tych piętrzących się w niebo, starożytnych silosach za wzgórzem. Nie sądzisz chyba, że i oni tak rzadko podróżowali? Że zostawali wciąż w tym samym silosie? Nigdy nie oddalali się od domu, czy to idąc w naszą stronę, czy choćby pokonując sto pięter schodów?

– Nie zastanawiam się nad takimi sprawami – odparł Marnes. Jahns potraktowała to jako radę, by i ona się dłużej nad tym nie głowiła. Niekiedy ciężko było rozróżnić, co można, a czego nie można mówić o świecie zewnętrznym. To były dyskusje prowadzone przez małżonków; może ta wędrówka i spędzenie razem całego dnia zbytnio na nią wpłynęły. A może jak wszyscy inni była podatna na ten haj ogarniający ludzi po czyszczeniu: wrażenie, że niektóre zasady można nagiąć, ulec niektórym pokusom, spuścić ciśnienie z silosu, dając sobie miesiąc na folgowanie różnym zachciankom?

– Nie powinniśmy przypadkiem ruszać dalej? – zapytała Jahns, a Marnes dokończył jeść chleb.

Skinął głową, a potem wstali, by podnieść swoje rzeczy. Przechodząca obok kobieta odwróciła głowę i gapiła się na nich, a na jej twarzy było widać, że ich rozpoznała, nim popędziła przed siebie, goniąc swoje dzieci.

Tu na dole był zupełnie inny świat, pomyślała Jahns. Zbyt długo już nie odwiedzała tych okolic. Obiecała sobie, że już więcej do tego nie dopuści, ale jakaś jej część wiedziała – jak rdzewiejąca maszyna świadoma swego wieku – że ta podróż będzie jej ostatnią.

* * *

Piętra jedno po drugim znikały z pola widzenia. Niższe ogrody, rozległe farmy na sto trzydziestym, elektrownia wodna poniżej. Zmierzając ku bramie sto czterdziestego piętra, Jahns znów pogrążyła się w rozmyślaniach, przypominając sobie rozmowę Marnesem minionej nocy, pomysł, że Donald bardziej żyje w jej pamięci niż w rzeczywistości.

Nawet nie zauważyła zmiany w ruchu, przewagi niebieskich, dżinsowych kombinezonów, tragarzy niosących teczki z narzędziami, zamiast ubrań, jedzenia czy przesyłek osobistych. Jednak tłum przy bramie wyjawił jej, że dotarła do górnych poziomów Maszynowni. Przy wejściu zgromadzili się robotnicy w obszernych niebieskich kombinezonach

upstrzonych starymi jak świat plamami. Jahns wystarczyło spojrzeć na narzędzia, które mieli przy sobie, by ustalić ich profesję. Było już dość późno, więc założyła, że większość z nich wracała do domów z prac naprawczych, prowadzonych na całym terenie silosu. Konieczność wspinania się na tyle pięter i później jeszcze wykonywania pracy ledwie mieściła jej się w głowie. A potem przypomniała sobie, że będzie musiała zrobić dokładnie to samo.

Zamiast jednak nadużywać swojej pozycji, czy władzy Marnesa, czekali spokojnie w kolejce, za meldującymi się przy bramce pracownikami. Wszyscy ci zmęczeni mężczyźni i kobiety składali podpisy, notując miejsce i czas swojej podróży, a Jahns rozmyślała o tym, ile godzin straciła rozwodząc się nad własnym życiem podczas długiej wędrówki po schodach – godzin, które powinna poświęcić na przygotowania do spotkania z Juliette. Gdy kolejka posunęła się naprzód, poczuła ściskanie w dołku. Stojący przed nimi pracownik pokazał swoją kartę identyfikacyjną – w Maszynowni miała ona kolor niebieski. Zapisał swoje dane na zakurzonej tabliczce. W końcu nadeszła ich kolej; przecisnęli się przez bramkę i pokazali swoje złote identyfikatory. Strażnik uniósł brwi, ale potem chyba rozpoznał panią burmistrz.

– Wysoki sądzie – zaczął, lecz Jahns go nie poprawiła. – Nie spodziewaliśmy się pani na tej zmianie. – Kazał im schować identyfikatory i sięgnął po kredę. – Proszę mi pozwolić.

Jahns przyglądała się, jak obrócił tabliczkę i starannym pismem zanotował ich imiona; na grzbiet dłoni sypał mu się kredowy pył. Marnesa opisał po prostu jako „szeryfa” i po raz kolejny Jahns nie zwróciła mu uwagi.

– Wiem, że spodziewa się nas nieco później – stwierdziła Jahns. – Ale może moglibyśmy już teraz spotkać się z Juliette Nichols.

Strażnik odwrócił głowę i spojrzał na elektroniczny zegar wskazujący dokładny czas. – Jeszcze przez godzinę będzie siedzieć przy generatorze. A znając ją, może siedzieć i dwie. W międzyczasie możecie poczekać na nią w kantynie.

Jahns popatrzyła na Marnesa, a ten wzruszył tylko ramionami. – Jeszcze nie jestem głodny – odparł.

– Nie możemy odwiedzić jej w pracy? Miło będzie zobaczyć, czym się zajmuje. Postaramy się nikomu nie wadzić.

Strażnik wzruszył ramionami. – Pani jest burmistrzem. Nie mogę wam odmówić. – Pokazał kredą korytarz, gdzie ludzie kłębili się przed bramą. – Proszę pogadać z Knoxem. On wyśle kogoś, kto was poprowadzi.

Szef Maszynowni był jedną z tych osób, które trudno przeoczyć. Knox wypełniał swoim cielskiem największy kombinezon, jaki Jahns kiedykolwiek widziała. Zastanawiała się, czy dodatkowy dżins wymagał jakiejś dopłaty w bonach, i jak mężczyzna napełniał ten wielgachny brzuch. Do tego obrazu trzeba było jeszcze dodać gęstą brodę. Nie dało się stwierdzić, czy na ich widok uśmiechnął się, czy skrzywił. Wydawał się nieporuszony, niczym ściana z betonu.

Jahns wyjaśniła, po co tutaj przyszli. Marnes przywitał się, i wtedy dotarło do niej, że musieli się już spotkać, gdy zastępca był ostatnio na dole. Knox słuchał, przytakiwał, a potem ryknął coś, co trudno było zrozumieć. Po chwili zmaterializował się przy nich młody chłopak, z niezwykle jasnymi rudymi włosami.

– Zabierzichdojules – ryknął Knox, a przerwy między poszczególnymi wypowiadanymi słowami były węższe niż przestrzeń między poszczególnymi włosami jego gęstej brody.

Chłopak, zbyt młody nawet na bycie cieniem, machnął do nich ręką i ruszył przed siebie. Marnes podziękował Knoxowi – który nawet nie drgnął – i oboje podążyli za chłopcem.

Jahns zwróciła uwagę, że korytarze Maszynowni były jeszcze węższe niż gdziekolwiek indziej w silosie. Przeciskali się przez niekończący się tłum, po bokach mając zagruntowane, choć niepomalowane betonowe bloki, których szorstkość odczuła od razu, gdy tylko otarła się o nie ramionami. Nad ich głowami ciągnęły się równoległe rzędy rur i kabli. Jahns schylała się raz za razem, mimo że od sufitu dzieliło ją ponad piętnaście centymetrów. Spostrzegła, że wyżsi pracownicy musieli się garbić. Światła w górze były przyćmione i bardzo rzadko rozmieszczone, dając przytłaczający efekt wydłużania się tunelu w głąb ziemi.

Młody cień z rudymi włosami poprowadził ich przez kilka zakrętów, idąc pewnie, tak jakby pokonywał tę trasę już wielokrotnie. Dotarli do schodów i zeszli dwa poziomy w dół. Z każdym krokiem Jahns słyszała, jak wokół narasta dudnienie. Kiedy zeszli ze schodów na piętrze sto czterdziestym drugim, minęli dziwny wynalazek, stojący w otwartej sali na początku korytarza. Bardzo długie stalowe ramię poruszało się w górę

i w dół, wbijając tłok w betonową podłogę. Jahns zwolniła, by przyjrzeć się rytmicznym ruchom. Powietrze przesycała chemiczna woń, czuło się też zgniliznę. Nie potrafiła tego zidentyfikować.

– Czy to generator?

Marnes zaśmiał się w protekcjonalny, męski sposób.

– Nie, to pompa – odparł. – Szyb naftowy. Dzięki temu możesz później czytać po nocach.

Przechodząc, ścisnął jej ramię, i Jahns momentalnie wybaczyła mu, że się z niej śmiał. Podążyła za nim i za cieniem Knoxa.

– To generator wydaje ten pomruk, który słyszysz – rzekł Marnes. – Dzięki pompie mamy ropę naftową, potem robią z nią coś w fabryce parę pięter niżej, a na koniec można nią już palić.

Jahns mgliście zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę, może słyszała coś na ten temat w trakcie któregoś spotkania komitetu. Była zaskoczona, po raz kolejny, jak wiele rzeczy w silosie było obcych nawet dla niej, mimo że to właśnie ona powinna – przynajmniej teoretycznie – wszystkim zarządzać.

Im bardziej zbliżali się do końca korytarza, tym bardziej nieustający pomruk zyskiwał na sile. Kiedy chłopak z pomarańczowymi włosami otworzył dla nich drzwi, odgłos stał się wręcz ogłuszający. Jahns szła przed siebie z większą ostrożnością, nawet Marnes zdawał się zwalniać kroku. Dzieciak machał na nich nerwowo i Jahns zmusiła nogi, by szły dalej przed siebie, w stronę hałasu. Nagle zaczęła się zastanawiać, czy zostają wyprowadzeni na zewnątrz. Choć był to zupełnie nielogiczny, wręcz absurdalny pomysł – gdyż wyobrażała sobie właśnie najbardziej niebezpieczną rzecz, o jakiej tylko mogła pomyśleć.

Przeszli przez kolejne drzwi i Jahns nadal kuliła się za Marnesem, chłopiec tymczasem zatrzasnął ciężkie drzwi za ich plecami. Następnie założył zdjęte z haka na ścianie słuchawki – z których jednak nie wystawał żaden kabel. Jahns zrobiła to samo i też założyła je sobie na uszy. Hałas umilkł, choć nadal czuła jego wibracje w klatce piersiowej i zakończeniach nerwowych. Była ciekawa z jakiego powodu ten hak z nausznikami został umieszczony w środku pomieszczenia, a nie tuż przed wejściem.

Chłopak pomachał do nich i coś powiedział, ale widziała tylko poruszające się wargi. Poszli za nim wzdłuż wąskiego przejścia po okratowanej podłodze przypominającej tę na klatce schodowej. Gdy korytarz zakręcił, jedna ze ścian zniknęła nagle, zastąpiona przez poręcz

składającą się z trzech równoległych barierek. Z boku pojawiła się ogromna maszyna. Była tak wielka, jak mieszkanie Jahns i jej biuro połączone razem. W pierwszej chwili nic nie zdawało się poruszać, nie było niczego, co usprawiedliwiałoby łomot, który czuli na skórze i wewnątrz klatki piersiowej. Dopiero kiedy okrążyli maszynę, kobieta dostrzegła stalowy pręt wystający z czarnego urządzenia, kręcący się dziko i znikający w innej potężnej maszynie z metalu, której kable były grube jak człowiek w pasie i wznosiły się w stronę sufitu.

Moc i energia buzujące w tym pomieszczeniu były wręcz namacalne. Kiedy dotarli do końca drugiej maszyny, Jahns wreszcie dostrzegła osobę pracującą tuż obok. Młodo wyglądająca kobieta w kombinezonie; na głowie miała kas ochronny, spod którego wystawały brązowe, zaplecione w warkocz włosy. Nachylała się ku kluczowi niemal tak długiemu, jak ona była wysoka. Jej obecność jeszcze dobitniej uświadamiała wszystkim przerażającą wielkość tych maszyn, ona jednak wydawała się ich nie bać. Sięgnęła po klucz, stojąc strasznie blisko ryczącej jednostki. Jahns przypomniała sobie momentalnie starą opowieść dla dzieci, o myszy wyciągającej cierń z cielska mitycznej bestii zwanej słoniem. Sama myśl o kobiecie naprawiającej tak potężną maszynę wydawała się absurdalna. Ale nie mogła oderwać wzroku od kobiety, gdy tymczasem młody cień prześlizgnął się przez bramę, podbiegł do niej i szarpnął ją za kombinezon.

Juliette odwróciła się, ale się nie przestraszyła. Zmrużyła oczy, zerkając na Jahns i Marnesa. Otarła czoło wierzchem dłoni, drugą kładąc sobie wielki klucz na ramieniu. Poklepała chłopaka po głowie i ruszyła im na spotkanie. Jahns zwróciła uwagę, jak mocno umięśnione były ramiona kobiety. Nie nosiła podkoszulka, tylko zapięte pod klatkę piersiową spodnie od kombinezonu. Widać było jej oliwkową skórę, aż lśniącą od potu. Miała ciemną cerę, tak jak farmerzy pracujący pod lampami grzewczymi, jednak mogły to być także pozostałości oleju i sadzy, które miała też na dżinsach.

Zatrzymała się przed Marnesem oraz Jahns i skinęła głową. Uśmiechnęła się do Marnesa, rozpoznając go. Nie wystawiła ręki, za co Jahns w duchu była jej wdzięczna. Zamiast tego wskazała na szklane przepierzenie, a potem ruszyła w jego stronę.

Marnes szedł w krok za nią, jak wierny szczeniaczek; Jahns też trzymała się blisko. Odwróciła się, by sprawdzić, czy cień nie idzie za nimi,

lecz on ruszył już w drogę powrotną, a jego rude włosy jaśniały w blasku świateł sali generatora. Uznał widocznie, że już spełnił swój obowiązek.

W niewielkim pokoju kontrolnym hałas momentalnie ucichł. Po zamknięciu drzwi niemal nie było go już słychać. Juliette ściągnęła kask wraz z nausznikami i położyła go na półce. Jahns też zaczęła ostrożnie zdejmować swoje nauszniki, gdy jednak dotarło do niej, że hałas niemal zupełnie ucichł, zmieniając się w odległy pomruk, zsunęła je całkiem. Pokój był ciasny, pełen metalowych powierzchni i mrugających świateł niepodobnych do niczego, co widziała wcześniej. Wydało się jej dziwne, że jej burmistrzowska władza rozciąga się też nad tym tego pomieszczeniem, choć nie wiedziała nawet, że ono istnieje i z pewnością nie potrafiłaby go obsługiwać.

Kiedy dzwonienie w uszach Jahns ucichło, Juliette zaczęła ustawiać jakieś pokrętła – jej ręce poruszały się szybko pod szklanymi osłonami. – Myślałam, że zrobimy to jutro rano – powiedziała, skupiona wyłącznie na pracy.

– Dotarliśmy wcześniej, niż zakładałam.

Jahns zerknęła na Marnesa, który swoje nauszniki trzymał oburącz, wiercąc się niezręcznie.

– Dobrze cię znowu widzieć, Jules – powiedział.

Skinęła głową i nachyliła się, by spojrzeć przez szybę na gigantyczne maszyny. Jej dłonie poruszały się po tablicy kontrolnej bez udziału wzroku, poruszając dużymi czarnymi pokrętłami, których białe oznaczenia były już w większości zupełnie zatarte.

– Przykro mi z powodu twojego partnera – odparła, zerkając na odczyty. Odwróciła się, mierząc wzrokiem Marnesa, i nagle Jahns uświadomiła sobie, że pod warstwami sadzy i potu, ta kobieta jest naprawdę piękna. Twarz miała pociągłą, oczy bystre. Biła od niej dzika inteligencja. Marszcząc brwi, patrzyła na Marnesa z najwyższym współczuciem. – Naprawdę – dodała. – Okropnie mi przykro. Wydawał się dobrym człowiekiem.

– Najlepszym – wymamrotał Marnes łamiącym się głosem.

Juliette skinęła głową, jakby nie miała już nic do dodania. Odwróciła się. w stronę burmistrz Jahns.

– Wyczuwa pani te wibracje podłogi, pani burmistrz? To sprzężenie. Pojawia się wtedy, kiedy ustawienie jest nie dość precyzyjne; wystarczą dwa milimetry. Jeśli wydaje się pani, że tu okropnie trzęsie, powinna pani

położyć ręce na futrynie. Zaraz zdrętwieją pani palce. A po pewnym czasie nawet kości zaczną drżeć, jakby cały szkielet miał się zaraz rozpaść.

Odwróciła się i wyciągnęła ramię pomiędzy Marnesem a Jahns, by pstryknąć wielki przełącznik; potem znów skupiła się na panelu kontrolnym. – Teraz proszę sobie wyobrazić, przez co przechodzi generator, telepiąc się w ten sposób. Zęby trybów zbliżają się do siebie, opiłki metalu krążą w oleju chrzęszcząc jak papier ścierny. Chwilę później następuje istna eksplozja stali, zasilanie pada i zostaje nam tylko to, co wypluje z siebie generator zapasowy.

Jahns wstrzymała oddech.

– Chcesz, żebyśmy przyprowadzili kogoś do pomocy? – zapytał Marnes.

Juliette się zaśmiała. – Nie, przecież tak samo jest na każdej zmianie. Gdyby nie to, że jednostka zapasowa została rozebrana do wymiany uszczelek, i gdybyśmy mogli zejść połowę mocy w ciągu jednego tygodnia, dałabym radę zająć się złączką, wszystko podokręcać i maszyna kręciłaby się nam gładko jak bączek. – Zerknęła na Jahns. – Ale skoro mamy rozkaz na pełną moc, bez żadnych przerw w dostawach, tak się nie dzieje. Więc muszę dokręcać te śruby na bieżąco, a tutaj kombinuję sobie, jak ustawić optymalne obroty.

– Podpisując rozkaz, nie miałam o tym pojęcia...

– Wydawało mi się, że wystarczająco uprościłam swój raport, by wszystko było jasne.

– Ile czasu minie, nim dojdzie do jakiejś awarii?

Jahns doszła do wniosku, że teraz to nie ona przepytuję tę kobietę. Żądania były kierowane dokładnie w odwrotnym kierunku.

– Ile czasu? – Juliette zaśmiała się, kręcąc głową. Skończyła bawić się pokrętłami i założywszy ręce na piersiach spojrzała w stronę gości. – To może zdarzyć się nawet teraz. A może i dopiero za sto lat. Chodzi o to, że to się wydarzy, tak czy siak. Ale da się tego uniknąć. Naszym celem nie powinno być utrzymanie pracujących maszyn do końca naszych dni. – Ostentacyjnie spojrzała na Jahns. – Albo do końca naszej kadencji. Jeżeli nie będziemy myśleć o całej wieczności, już teraz możemy zacząć się pakować.

Jahns zauważyła, że Marnes aż zesztywniał. I ona to poczuła: po skórze przebiegły jej ciarki. Wypowiedziane właśnie zdanie było bliskie zdrady. Metafora uratowała Juliette ledwie połowicznie.

– Mogę ogłosić parę dni bez prądu – zasugerowała Jahns. – Możemy uznać to za święto poświęcone pamięci czyścicieli. – Namyśliła się nad tym. – W tym czasie można zacząć serwisować nie tylko tę maszynę. Można też...

– Powodzenia w nakłanianiu informatyków, by wyłączyli byle gówno – odparła Juliette. Otarła brodę nadgarstkiem, a potem wytarła go o spodnie. Spojrzała na olej roztarty na dżinsie. – Proszę mi wybaczyć język, pani burmistrz.

Jahns miała ochotę powiedzieć jej, że nic nie szkodzi, ale postawa kobiety, jej siła, za bardzo przypominały jej nią samą z odległej, niemal już zapomnianej przeszłości. Młodsza kobieta, która nie bawiła się w subtelności i zawsze dostawała to, czego chciała. Wbiła wzrok w Marnesa. – Dlaczego mówisz tylko o ich dziale, jeśli mówimy o poborze mocy?

Juliette zaśmiała się, unosząc ręce pod sam sufit. – Dlaczego? Bo IT ma, ile, trzy piętra ze stu czterdziestu czterech? A mimo to zużywają ćwierć produkowanej przez nas energii. Mogę to pani policzyć...

– Nie, wszystko się zgadza.

– I nie przypominam sobie, żeby jakiś serwer kiedyś kogoś nakarmił, ocalił czyjeś życie albo chociaż zaszył dziurę w spodniach.

Jahns się uśmiechnęła. Nagle zrozumiała, czemu Marnes tak lubił tę kobietę. Dostrzegła też to, co on widział kiedyś w młodszej wersji niej samej, jeszcze zanim poślubiła jego najlepszego przyjaciela.

– A jeśli zamkniemy IT i zarządzimy tygodniowe prace konserwacyjne? Czy to by zadziałało?

– Myślałem, że przyszliśmy tutaj, żeby ją stąd zabrać – jęknął Marnes.

Juliette spiorunowała go wzrokiem. – Wydawało mi się, że mówiłam wam, albo waszej sekretarce, że szkoda zachodu. Nie chodzi o to, że coś do was mam, ale to tutaj jestem potrzebna. – Uniosła rękę i zerknęła na coś, co wisiało jej na nadgarstku. To był czasomierz. Ale patrzyła na niego tak, jakby nadal działał.

– Słuchajcie, chętnie bym jeszcze pogadała... – Spojrzała na Jahns. – ...Szczególnie jeśli możecie mi załatwić przerwę w dostawach energii. Ale mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia, a już robię nadgodziny. Knox się wkurza, jak biorę zbyt wiele zmian.

– Nie będziemy ci zawracać głowy – stwierdziła Jahns. – Ale jeszcze nie jedliśmy obiadu, więc może zobaczymy się później? Jak już wszystko załatwisz i się umyjesz?

Juliette spojrzała po sobie, jakby chciała się upewnić, czy mycie rzeczywiście jest konieczne. – Tak, pewnie. Wsadzili was do baraku?

Marnes skinął głową.

– W porządku. Później was znajdę. Tylko nie zapomnijcie nauszników. – Wskazała palcem swoje uszy. Następnie popatrzyła Marnesowi prosto w oczy, skinęła głową i wróciła do pracy, dając im znak, że rozmowa, przynajmniej na chwilę obecną, została zakończona.

13

Marck, mechanik kończący drugą zmianę, odprowadził Marnesa i Jahns na stołówkę. Marnes zdawał się urażony tym, że przydzielono im przewodnika. Zastępca szeryfa posiadał tę samczą cechę, która kazała mu udawać, że wie, gdzie jest, nawet jeśli nie miał bladego pojęcia. Starając się to potwierdzić, szedł kilka kroków przed nimi, aż zatrzymał się na rozwidleniu korytarza, pytająco zerkając w jedną z odnóg. Marck, parskając śmiechem, wskazał mu przeciwny kierunek.

– Tu wszystko wygląda tak samo – mamrotał, znów starając się iść na przodzie.

Jahns śmiała się z tych jego pokazów męstwa, zwalniając od czasu do czasu, by nachylić się nad uchem mechanika, który pracował na jednej zmianie z Juliette. Pachniał głębinami – ten charakterystyczny odór pojawiał się zawsze, gdy jakiś mechanik przychodził naprawić coś w biurach pani burmistrz. To była mieszanka stanowiąca owoc ciężkiej pracy, potu, oleju i jakichś nieokreślonych chemikaliów. Jednak Jahns nauczyła się ignorować ten zapach. Widziała, że Marck był dobrym i łagodnym mężczyzną, który brał ją pod rękę, kiedy mijał ich hałaśliwy wózek pełen żelastwa, jak również pozdrawiał każdą z mijanych w ciemnym korytarzu osób. Żył i oddychał powietrzem z obszarów wyższych od tych, w których przyszło mu egzystować, pomyślała Jahns. Emanował pewnością siebie. Nawet w półmroku widać było jego szeroki uśmiech.

– Jak dobrze znasz Juliette? – zapytała, kiedy hałaśliwy wózek już się od nich oddalił.

– Jules? Ona jest dla mnie jak siostra. Zresztą tu, na dole, wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną.

Powiedział to tak, jakby zakładał, że reszta silosu żyje w inny sposób. Kilka kroków przed nimi Marnes znów się zatrzymał, drapiąc się po głowie przed kolejnym rozwidleniem. W końcu udało mu się odgadnąć dalszą drogę. W drugim korytarzu stało kilku roześmianych mechaników. Zamienili z Marckiem kilka słów – dla Jahns brzmiały one niczym jakiś obcy język. Podejrzewała, że Marck może mieć rację, może na najgłębszych kondygnacjach życie toczyło się inaczej. Ludzie tutaj zdawali się znacznie bardziej otwarci, mówili dokładnie to, co chcieli powiedzieć;

niczego nie kryli, tak jak nie ukrywali w żaden sposób tych wszystkich niezabezpieczonych rur i kabli wokół.

– Tędy – powiedział Marck, wskazując drugi koniec szerokiej hali, skąd dobiegał odgłos nakładających się na siebie rozmów i szczękania sztućców o metalowe talerze.

– Zatem co możesz nam powiedzieć Jules? – zapytała Jahns. Marck przytrzymał jej drzwi, a ona uśmiechnęła się do niego. – Twoim zdaniem powinniśmy o czymś wiedzieć? – Obydwoje ruszyli za Marnesem w kierunku pustych krzeseł. Pomiędzy stolikami krzątał się personel kuchenny, roznoszący posiłki, żeby mechanicy nie musieli stać w kolejce. Jeszcze zanim zdążyli usiąść na powgniatanych aluminiowych ławach, na stole postawiono misy z zupą, szklanki wody z plasterkiem cytryny na krawędzi, czy kawałki chleba rzucone prosto na zniszczony blat.

– Chcesz, żebym za nią poręczył? – Marck usiadł i podziękował potężnemu mężczyźnie, który wydzielał im jedzenie i sztućce. Jahns zaczęła się rozglądać za serwetką, zauważając przy okazji, że większość mężczyzn i kobiet używa brudnych szmat, wystających im z kieszeni.

– Powiedz tylko, o czym powinniśmy wiedzieć.

Marnes obejrzał swój kawałek chleba ze wszystkich stron, powąchał go, a potem zanurzył w zupie. Wszyscy przy sąsiednim stoliku wybuchnęli śmiechem, słysząc chyba puentę jakiegoś dowcipu albo opowiadanej właśnie historyjki.

– Wiem, że poradzi sobie z każdą robotą. Zawsze tak było. Ale chyba nie muszę tłumaczyć wam czegoś, o czym i tak wiecie, skoro przecież zeszliście po nią tyle pięter. Pewnie już i tak podjęliście decyzję.

Wsadził do ust łyżkę zupy. Jahns podniosła sztućce i zobaczyła, że są powyginane i miejscami ułamane, a rączka łyżki jest tak poszczerbiona jakby ktoś pomylił ją z dłutem.

– Od jak dawna ją znasz? – zapytał Marnes. Żuł swój namoczony chleb i heroicznie starał się stopić z otoczeniem, wyglądać tak, jakby tu pasował.

– Ja się tutaj urodziłem – powiedział im Marck, podnosząc głos, by przebić się przez panujący wokół hałas. – Byłem cieniem w Elektrycznym, kiedy pojawiła się Jules. Była ode mnie rok młodsza. Dałem jej dwa tygodnie, zanim za wszelką cenę będzie się chciała stamtąd wyrwać. Mieliśmy swój udział w ucieczkach i transferach, dzieciaki ze środka, sądzące, że ich kłopoty zostaną na innych piętrach...

Przerwał nagle, a jego oczy rozbłysły na widok skromnej kobiety wciskającej się na miejsce koło Marnesa. Nowo przybyła wytarła ręce w szmatę, wetknęła ją sobie do kieszeni na piersi i nachyliła się, by pocałować Marcka w policzek.

– Kochanie, pamiętasz zastępcę Marnesa. – Pokazał gestem policjanta, który właśnie ocierał dłonią wąsy. – To moja żona, Shirly. – Uścisnęli sobie dłonie. Ciemne plamy na kłykciach kobiety zdawały się czymś trwałym, niczym tatuaż z pracy.

– I pani burmistrz. Czyli Jahns. – Kobiety również uścisnęły sobie dłonie. Jahns była dumna z siebie, że odwzajemniła uścisk, nie przejmując się plamami oleju na skórze tamtej.

– Miło mi – odparła Shirly, siadając. W czasie tego zapoznania jakimś sposobem na stole zmaterializowała się parująca zupa dla nowo przybyłej.

– Czyżby popełniono tu jakieś przestępstwo, panie władzo? – Shirly uśmiechnęła się do Marnesa, odrywając kawałek chleba. To był oczywiście żart.

– Przyszli do nas, bo chcą namówić Jules do przeprowadzki na górę – odparł Marck, a Jahns zauważyła, że patrząc na żonę unosi brew.

– Powodzenia – powiedziała. – Jeśli ta dziewczyna ruszy się choćby o kondygnację, to tylko i wyłącznie w dół, prosto do kopalni.

Jahns chciała zapytać, co Shirly miała na myśli, ale Marck odwrócił się i kontynuował urwany wątek.

– A więc pracowałem w Elektrycznym, kiedy ona tam się zjawiła...

– Zanudzasz ich opowieściami z czasów, jak byłeś cieniem? – zapytała Shirly.

– Mówię im, kiedy przybyła Jules.

Jego żona uśmiechnęła się.

– W tamtym czasie studiowałem u starego Walka. Wtedy jeszcze się gdzieś przemieszczał, od czasu do czasu ruszając tyłek poza własne cztery ściany.

– Ach tak, Walker. – Marnes skierował łyżkę w stronę Jahns. – Zdolny koleś. Ale nigdy nie wyłazi z warsztatu.

Jahns skinęła głową, starając się nadążyć. Kilku imprezowiczów z sąsiedniego stolika zbierało się właśnie do wyjścia. Shirly i Marck pokiwali im na pożegnanie a z niektórym zamienili nawet parę słów, zanim wrócili do rozmowy.

– Na czym to stanąłem? – zapytał Marck. – Ach, więc pierwszy raz spotkałem Jules kiedy weszła do warsztatu Walka z tą pompą. – Marck napił się wody. – To była jedna z pierwszych rzeczy, jakimi kazali jej się zająć. A nie zapominajcie, że chodzi o kruchą dziewczynę, no nie? Dwanaście lat. Chuda jak kabel. Prosto ze środkowych pięter czy może okolic. – Machnął ręką, jakby to było jedno i to samo. – Kazali jej ciągnąć te potężne pompy aż do Walka, żeby im zmienił przewody w silnikach, czyli praktycznie rozciągnął milę przewodu i nawinął go z powrotem. – Marck się zaśmiał. – Cóż, tak naprawdę Walk zrzucił całą robotę na mnie. Tak czy siak, tak to się odbywa podczas czyjejś inicjacji. Wszyscy każecie robić takie rzeczy swoim cieniom, no nie? Żeby ich trochę złamać.

Ani Marnes, ani Jahns się nie poruszyli. Marck wzruszył więc ramionami i ciągnął dalej. – Tak czy owak, pompy są ciężkie. Ważą pewnie więcej, niż ważyła ona. Może i ze dwa razy tyle. A dziewczyna miała je całkiem sama wsadzić na wózek, a potem jeszcze pokonać cztery piętra schodów...

– Chwila. Niby jak? – zapytała Jahns, próbując wyobrazić sobie dziewczynę w takim wieku, podnoszącej stertę metalu dwa razy cięższą od niej.

– To bez znaczenia. Liny, koła prasowe, łapówka, cokolwiek przyszłoby jej do głowy. O to chodzi, no nie? I na dodatek dali jej aż dziesięć takich pomp....

– Dziesięć – powtórzyła Jahns.

– No, a może ze dwie z nich rzeczywiście wymagały ponownego nawinięcia – dodała Shirly.

– Och, jeśli w ogóle – zaśmiał się Marck. – Więc Walk i jak zakładamy się, ile czasu minie, nim dziewczę się załamie i pobiegnie z powrotem do swojego ojca.

– Ja dawałam jej tydzień – stwierdziła Shirly.

Marck pomieszał zupę i pokręcił głową. – Chodzi o to, że gdy ona już to zrobiła, nikt z nas nie miał bladego pojęcia, jak. Dopiero po wielu latach postanowiła nam to wyjaśnić.

– Siedzieliśmy przy tamtym stole – dodała Shirly, wskazując palcem miejsce. – Nigdy w życiu aż tak się nie śmiałam.

– I co wam powiedziała? – zapytała Jahns. Zapomniała już o swojej zupie, która dawno wystygła i przestała parować.

– Cóż, ja faktycznie nawijałem w tamtym tygodniu kable na dziesięć zwojów. Czekając, aż ona się złamie. Nawet po cichu na to licząc. Palce mnie bolały jak diabli. Nie ma szans, żeby sama dała radę je wszystkie przenieść. – Marck pokręcił głową. – Nie ma szans. Ale nadal je zawijałem, a ona wciąż przynosiła kolejne. Dziesięć w ciągu sześciu dni. Ta mała smarkula poszła do Knoxa, który wtedy był tylko kierownikiem zmiany, i zapytała, czy może dostać dzień przerwy.

Shirly zaśmiała się i wbiła wzrok w zupę.

– Więc dostała kogoś do pomocy – powiedział Marnes. – Pewnie komuś zrobiło się jej żal.

Marck otarł oczy i potrząsnął głową. – Ach, cholera, nie. Ktoś by coś zobaczył, coś powiedział. Szczególnie gdy Knox zażądał wyjaśnień. Staruszek prawie się wściekł, pytając, co zrobiła. Ale Jules tylko tam stała, i wzruszała ramionami, nieporuszona jak głaz.

– Więc jak to zrobiła? – spytała Jahns. Teraz już umierała z ciekawości.

Marck się uśmiechnął. – Udało się jej przenieść tylko jedną pompę. Dźwigając ją, prawie złamała sobie kręgosłup, ale tę jedną przeniosła.

– Tak, a ty przewijałeś tę jedną dziesięć razy z rzędu – rzuciła Shirly, parskając śmiechem.

– Ej, nie musisz mi przypominać.

– Czekajcie. – Jahns uniosła rękę. – A co z pozostałymi?

– Sama się nimi zajęła. Winiłbym Walka, bo nawijał jak szalony, gdy Juliette wkradła się do warsztatu tamtej pierwszej nocy. Zadawała pytania i dosłownie wierciła mi dziurę w brzuchu, przy okazji podglądając jak pracuję przy pierwszej pompie. Kiedy skończyłem, wypchnęła ją na korytarz, nawet nie próbując iść w stronę schodów, a potem załadowała ją na wózek koło zakładu lakiernika. Następnie zeszła na dół, zabrała następną i zawlokła ją za róg, prosto do schowka na narzędzia. Całą noc uczyła się, jak zmieniać te kable.

– Ach – odparła Jahns, widząc już, do czego to zmierza.

– I nazajutrz rano przyniosła ci tę samą, schowaną tuż za rogiem?

– Dokładnie. Potem szła i nakręcała miedź na szpule cztery piętra niżej, gdy ja tutaj robiłem to samo.

Marnes wybuchnął śmiechem i walnął w stół z taką siłą, że aż podskoczyły wszystkie miski i kawałki chleba.

– Miałem średnią dwa silniki dziennie. Mordercze tempo.

– Technicznie rzecz biorąc, to był tylko jeden silnik – zauważyła Shirly, śmiejąc się.

– Racja. Ale dziewczyna dotrzymywała mi kroku. Zrobiła wszystkie mając dzień w zapasie, właśnie dlatego wtedy chciała zrobić sobie wolne.

– I jeśli dobrze pamiętam uszło jej to na sucho – dodała Shirly, kręcąc głową. – Cień robi sobie wolne. Zadziwiające.

– Chodzi o to, że w ogóle nie miała tego robić.

– Bystra dziewczyna – odparła Jahns, uśmiechając się.

– Nawet zbyt bystra – dodał Marck.

– Ale czym się zajmowała w czasie swojego urlopu? – zapytał Marnes.

Marck wepchnął palcem cytrynę do wody i przez chwilę ją trzymał ją pod powierzchnią.

– Spędziła ten dzień ze mną i Walkiem, zamiatając warsztat, bez przerwy pytając jak różne rzeczy funkcjonują, dokąd prowadzą tamte przewody, jak poluźnić jakąś śrubę albo się w coś wkopać, tego typu rzeczy. – Znów upił łyk wody. – Chyba chcę powiedzieć, że jeśli zamierzacie dać Jules pracę, bądźcie bardzo ostrożni.

– Czemu mamy być ostrożni? – zapytał Marnes.

Marck podniósł wzrok na plątaninę rur i przewodów nad ich głowami.

– Bo będzie wykonywać ją naprawdę świetnie. Nawet jeśli się tego nie spodziewacie.

14

Po skończonym posiłku Shirly i Marck wyjaśnili im, jak dotrzeć do noclegowni. Jahns z zainteresowaniem patrzyła, jak młodzi małżonkowie się całowali. Marck kończył właśnie zmianę, tymczasem Shirly zaczynała swoją. Ten wspólny posiłek dla jednego był śniadaniem, a kolacją dla drugiego. Jahns podziękowała obojgu za poświęcony czas i pochwaliła jedzenie, potem zaś ona i Marnes wyszli ze stołówki – niemal tak głośniej jak sala z generatorem – i krętymi korytarzami ruszyli do swoich łóżek

Marnes miał zostać w sypialni dzielonej z młodszymi mechanikami pierwszej zmiany. Pościelono mu niewielkie łóżko polowe, ale Jahns zauważyła, że jest o dobre pół stopy za krótkie. Na końcu tego samego korytarza czekał – zarezerwowany specjalnie dla Jahns – niewielki apartament. Zdecydowali się posiedzieć właśnie tam, na osobności, masując sobie obolałe nogi i rozmawiając o tym, jak wszystko tu w głębinach jest inne niż u nich, póki nie przerwało im pukanie do drzwi. Juliette stanęła w progu i weszła do środka.

– Wsadzili was oboje do jednego pokoju? – dziwiła się.

Jahns parsknęła śmiechem. – Nie, zastępca Marnes ma pryczę w noclegowni. Zresztą i ja z chęcią poszłabym spać tam gdzie reszta.

– Zapomnijcie – odparła Juliette. – Bez przerwy umieszczają tutaj rekrutów i odwiedzające ich rodziny. To nic takiego.

Jahns przyglądała się, jak Juliette włożyła sobie gumkę między wargi, potem zabrała włosy, nadal mokre po prysznicu, a na końcu upięła je w ogon. Miała teraz na sobie inny kombinezon i Jahns doszła do wniosku, że plamy na materiale były nie do usunięcia, że ten strój był wyprany i gotowy na kolejną zmianę.

– Zatem jak prędko będziemy mogli ogłosić tę przerwę w dostawach energii? – zapytała Juliette. Po związaniu włosów skrzyżowała ramiona i oparła się o ścianę obok drzwi. – Wydaje mi się, że będziecie chcieli wykorzystać przewagę, jaką daje dobry nastrój panujący po czyszczeniu, prawda?

– A jak szybko ty możesz zacząć? – zapytała Jahns. Uświadomiła sobie nagle, że jednym z powodów, dla których widziała tę kobietę na stanowisku szeryfa, było to, że zdawała się nieosiągalna. Jahns spojrzała na Marnesa i zaczęła się zastanawiać nad jego pociągiem do niej samej, wiele

lat temu, gdy była jeszcze młoda i związana z Donaldem – czy i tamto uczucie opierało się na równie prostej motywacji?

– Mogę zacząć nawet jutro – odparła Juliette. – Rano możemy podpiąć zapasowy generator. Mogę dziś w nocy wziąć kolejną zmianę, żeby się upewnić, że wszystkie uszczelki...

– Nie – przerwała jej Jahns, unosząc rękę. – Kiedy możesz zacząć pracę szeryfa? – Zaczęła przekopywać swoją torbę, kładąc teczki na łóżku i szukając wśród nich umowy.

– Ja... Myślałam, że już to sobie wyjaśniliśmy. Nie interesuje mnie...

– Tacy właśnie są najlepsi – wtrącił Marnes. – Ci, których to nie interesuje. – Stał naprzeciw Juliette, oparty o jedną ze ścian, wtykając sobie kciuki za spodnie.

– Przykro mi, ale nie ma tutaj nikogo, kto mógłby mnie zastąpić – odparła Juliette, potrząsając głową. – Chyba nie zdajecie sobie sprawy ze wszystkiego, czym się zajmujemy...

– A ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, czym zajmujemy się my, na górze – odparła Jahns. – Ani dlaczego tak cię potrzebujemy.

Juliette pokręciła głową, śmiejąc się. – Posłuchaj, mam tutaj maszyny, których nawet...

– I jaki z nich pożytek? – zapytała Jahns. – Do czego się przydają?

– Dzięki nim to całe cholerne miejsce funkcjonuje! – oświadczyła Juliette. – Tlen, którym oddychacie? Tutaj go przetwarzamy. Toksyny, które wydychacie? Pompujemy je w ziemię. Mam wam spisać listę wszystkiego, co zawdzięczacie ropie naftowej? Każdy kawałek plastiku, każda uncja gumy, wszystkie rozpuszczalniki i środki czyszczące, i nie mówię nawet o generowanej przez nas mocy, tylko o wszystkim innym!

– A mimo to wszystko działało jeszcze zanim się urodziłaś – zauważyła Jahns.

– Cóż, nie przetrwałoby do końca mojego życia, tyle mogę ci powiedzieć. Nie w takim stanie, w jakim jest. – Znów skrzyżowała ramiona i oparła się o ścianę. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaki byłby tu bajzel gdyby nie te maszyny.

– A ty chyba nie rozumiesz, jak bezcelowe byłyby te maszyny, gdyby nie wszyscy ci ludzie.

Juliette odwróciła wzrok. Jahns po raz pierwszy była świadkiem, jak tamta się wzdryga.

– Czemu nigdy nie odwiedzasz ojca?

Juliette odwróciła głowę i wbiła wzrok w przeciwległą ścianę. Odgarnęła kilka włosów z czoła. – Sprawdź sobie mój dziennik pracy – odparła. – Daj znać, jak znajdziesz mi wolną chwilę.

Jeszcze przed udzieleniem odpowiedzi przez Jahns – która mogła powiedzieć, że przecież chodzi o rodzinę, dla rodziny zawsze znajdzie się czas – Juliette odwróciła twarz w jej stronę. – Wydaje ci się, że ludzie zupełnie mnie nie obchodzą? O to chodzi? Jeśli tak, to jesteś w błędzie. Zależy mi na każdym mieszkańcu silosu. A mężczyźni i kobiety z najniższych, zapomnianych pięter Maszynowni, to oni właśnie są moją rodziną. Odwiedzam ich każdego dnia. Kilka razy dziennie dzielę się z nimi chlebem. Pracujemy, żyjemy i umieramy razem. – Spojrzała na Marnesa. – Nie mam racji? Sam widziałeś.

Marnes nie odpowiedział. Jahns zastanawiała się, czy kobiecie chodziło szczególnie o to wspomniane „umieranie”.

– Zapytałaś ojca, czemu nigdy do mnie nie zszedł? Bo on ma mnóstwo wolnego czasu. Nie ma tam w górze zupełnie nic.

– Owszem, spotkaliśmy się z nim. Twój ojciec wydaje się bardzo zajętym człowiekiem. I jest równie zdeterminowany, co ty.

Juliette odwróciła wzrok.

– I równie uparty. – Jahns odłożyła papiery na łóżko i ruszyła ku drzwiom, zatrzymując się ledwie krok od Juliette. Czuła pachnące mydłem włosy. Widziała jak jej nozdrza drżą przy każdym ciężkim oddechu.

– Dni się piętrzą, nadając wagi drobnym decyzjom, prawda? Jak tej decyzji, by się nie odwiedzać. Przez pierwsze dni było łatwo, pomagały ci w tym wściekłość i młodość. Ale potem to się spiętrzyło, jak niezrecyklingowane śmieci. Nie mam racji?

Juliette machnęła ręką. – Nie wiem, o czym mówisz.

– Mówię o tych dniach, zmieniających się w tygodnie. A te z kolei w miesiące, potem zaś lata. – Niemal dodała, że przechodziła przez to samo – nadal przechodzi – ale Marnes był w pokoju i też słuchał. – Po jakimś czasie nadal jesteś wściekła, ale tylko dlatego, żeby usprawiedliwić dawny błąd. Potem to już tylko zwykła gra. Dwoje ludzi odwracających się od siebie, nie chcących się za siebie obejrzeć, bojących się być tym pierwszym, który podejmie ryzyko...

– To nie było tak – odparła Juliette. – Nie chcę od was żadnej pracy. Na pewno znajdziecie wielu innych na to stanowisko.

– Jeśli to nie będziesz ty, przyjdzie ktoś, komu raczej nie będę mogła zaufać. Już nie.

– Więc złóż ofertę kolejnej dziewczynie. – Uśmiechnęła się.

– Będziesz albo ty, albo on. I sądzę, że on będzie słuchał wyłącznie wskazówek z okolic trzydziestego czwartego piętra, a nie moich czy wynikających z Paktu.

Na te słowa Juliette zareagowała momentalnie. Rozluźniła ręce skrzyżowane poniżej piersi. Odwróciła się i spojrzała Jahns prosto w oczy. Marnes przyglądał się temu z drugiego końca pokoju.

– A ostatni szeryf, Holston? Co się z nim stało?

– Poszedł czyścić – odpowiedziała Jahns.

– Na ochotnika – dodał oschle Marnes.

– Wiem, ale dlaczego? – Juliette zmarszczyła brwi. – Słyszałam, że z powodu żony.

– Są różne spekulacje...

– Pamiętam, jak mi o niej opowiadał, kiedy zeszliście tu razem, żeby zbadać śmierć Georgea. W pierwszej chwili pomyślałam, że ze mną flirtuje, ale cały czas gadał tylko o żonie.

– W tamtym czasie akurat brali udział w loterii – przypomniał jej Marnes.

– A, faktycznie. – Przez chwilę patrzyła się na łóżko. Leżały na nim dokumenty.

– Nie wiedziałabym nawet, jak wykonywać tę robotę. Potrafię tylko reperować różne rzeczy.

– Tu chodzi o to samo – wyjaśnił jej Marnes. – Dużo nam pomogłaś, gdy prowadziliśmy tamto śledztwo. Wiesz jak to wszystko funkcjonuje. Jak dopasować do siebie poszczególne elementy. Zauważasz drobiazgi, które inni łatwo przegapiają.

– Ale ty mówisz o maszynach – odparła.

– Ludzie aż tak bardzo się od nich nie różnią – stwierdził Marnes.

– Chyba sama już o tym wiesz – dodała Jahns. – Tak naprawdę przyjęłaś odpowiednią postawę. Masz właściwe usposobienie. Ta posada jest tylko odrobinę polityczna. Dystans się przyda.

Juliette pokręciła głową i spojrzała na Marnesa. – Więc to ty nominowałeś mnie na to stanowisko? Ciekawe, kiedy to wymyśliłeś? Chyba zbytnio nie przemyślałeś całej sprawy.

– Będziesz w tym świetna – odparł Marnes. – Moim zdaniem będziesz świetna we wszystkim, za co się zabierzesz. A ta praca jest znacznie istotniejsza, niż ci się wydaje.

– Będę mieszkała na górze?

– Twoje biuro jest na pierwszym piętrze. Niedaleko śluzy.

Juliette zdawała się nad tym namyślać. Jahns cieszyła się, że dziewczyna w ogóle zaczęła zadawać pytania.

– Zarobisz więcej niż zarabiasz teraz, nawet kiedy bierzesz dodatkowe zmiany.

– Sprawdzałaś?

Jahns skinęła głową. – Skorzystałam z różnych możliwości jeszcze zanim się tu wybraliśmy.

– Na przykład gadałaś z moim ojcem.

– To prawda. On marzy o tym, by się z tobą zobaczyć. Gdybyś tylko poszła z nami.

Juliette spuściła wzrok. – Nie jestem co do tego przekonana.

– Jest jeszcze coś – dodał Marnes, starając się przyciągnąć wzrok Jahns. Zerknął na leżące na łóżku papiery. Poskładany kontrakt Petera Billingsa leżał na samym wierzchu. – IT – przypomniał jej.

Jahns momentalnie to podchwyciła.

– Zanim się zgodzisz, trzeba wyjaśnić sobie jeszcze jedno.

– Nie jestem pewna, czy się zgodzę. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o planowanej przerwie w dostawach energii, zorganizować zmiany tu na dole...

– Zgodnie z tradycją, dział IT podpisuje się na każdej nominacji...

Juliette przewróciła oczami, wzdychając. – IT.

– Owszem. I schodząc tutaj, zajrzeliśmy także do nich, żeby wszystko zawczasu wygładzić.

– Nie wątpię – odparła Juliette.

– Chodzi o te rekwizycje – wtrącił Marnes.

Juliette odwróciła się do niego.

– Wiemy, że to pewnie nic takiego, ale sprawa prędzej czy później wypłynie...

– Zaraz, czy chodzi o taśmę grzewczą?

– Taśmę grzewczą?

– No. – Juliette pokręciła głową, marszcząc brwi. – A to skurwiele.

Jahns pokazała palcami przestrzeń o średnicy dwóch cali. – Mają na ciebie teczkę takiej grubości. Mówili, że przejmowałaś dostawy, które były przeznaczone dla nich.

– Niemożliwe. Żartujesz sobie? – Wskazała na drzwi. – Przez nich nie dostajemy żadnych dostaw. Potrzebowałam taśmy grzewczej, bo kilka miesięcy temu mieliśmy przeciek w wymienniku ciepła, ale nie mogłam jej nigdzie zdobyć, bo Zaopatrzenie powiedziało mi, że materiały zapasowe zostały już zarezerwowane. Zamówiliśmy je jakiś czas temu, a potem jeszcze dowiedziałam się od jednego z tragarzy, że taśma idzie prosto do IT, chociaż mają jej całe mile, bo kleją nią przecież kombinezony testowe.

Juliette wzięła głęboki oddech.

– Więc wzięłam sobie trochę. – Spojrzała na Marnesa, jakby przyznawała się właśnie do winy. – Słuchajcie, oni dzięki mnie mają prąd, więc mogą tam sobie na górze robić, na co mają ochotę, a ja nie dostaję nawet podstawowego zaopatrzenia. A kiedy już coś dostanę, jest tak beznadziejnej jakości, pewnie przez ograniczone kwoty, pośpieszanie wytwórców...

– Jeśli naprawdę potrzebowałaś tych rzeczy, potrafię to zrozumieć – wtrąciła Jahns.

Popatrzyła na Marnesa, który się uśmiechnął i skinął głową, jakby chciał podkreślić, że przecież jej tłumaczył, że to odpowiednia osoba do tej roboty.

Jahns go zignorowała. – Naprawdę się cieszę, że usłyszałam twoją wersję – powiedziała do Juliette. – I żałuję, że nie wybieram się na takie wycieczki częściej, mimo że teraz tak mnie nogi bolą. Tam na górze niektórych rzeczy nie potrafimy docenić, głównie dlatego, że ich nie rozumiemy. Teraz widzę, że nasze biura potrzebują lepszej komunikacji, przynajmniej takiego samego kontaktu, jaki mam z działem informatyki.

– Powtarzam to od dwudziestu lat – odparła Juliette. – Tu na dole żartujemy sobie, że to miejsce zaprojektowano w ten sposób, żebyśmy nikomu nie wchodzili w drogę. I niekiedy tak właśnie nam się wydaje.

– Cóż, jeśli pójdziesz na górę, jeśli przyjmiesz tę posadę, ludzie wreszcie cię usłyszą. Możesz być pierwsza w łańcuchu dowodzenia.

– A gdzie będzie wtedy IT?

– Będą stawiać opór, ale w ich przypadku to normalne. Wcześniej już sobie z nimi radziłam. Wyślę telegram do biura, żeby przygotowali odpowiednie dokumenty. Sprawimy, by działały retroaktywnie, więc

będziemy mieli z głowy te twoje rekwizycje. – Jahns bacznie przyglądała się młodszej kobiecie. – Wystarczy tylko że potwierdzisz, że każde z tych dóbr było ci niezbędne.

Juliette nie ustępowała. – Były niezbędne – odparła..– Ale to i tak nie ma znaczenia. Dostajemy od nich same gówna. Nie rozpadałyby się szybciej nawet wtedy, gdyby tylko w tym celu je zaprojektowano. W końcu dostaliśmy naszą taśmę z Zaopatrzenia. W drodze na górę mogę im podrzucić tamto dziadostwo. Nasza jest znacznie lepsza...

– W drodze na górę? – Spytała Jahns, chcąc się upewnić, że dobrze zrozumiała słowa Juliette.

Juliette popatrzyła na nich oboje. A potem skinęła głową. – Tylko musicie mi dać tydzień na poradzenie sobie z generatorem. I będę pamiętała o tej przerwie w dostawach. Żebyśmy się zrozumieli, ja zawsze będę siebie uważać za pracownicę Maszynowni, i robię to po części dlatego, bo wiem co się dzieje, gdy ignoruje się pewne problemy. Tu na dole znacznie spowalniały mnie prace zapobiegawcze. Koniec z czekaniem aż coś się popsuje, teraz będziemy dbać o maszyny, kiedy jeszcze są sprawne. Zbyt wiele problemów ignorowano, zostawiano sprawy samym sobie. I sądzę, że jeśli wyobrazimy sobie silos jako jeden wielki silnik, my tu na dole jesteśmy brudną miską olejową, która też domaga się uwagi. – Wyciągnęła dłoń w stronę Jahns. – Załatw mi tę przerwę w dostawach, a będę dla ciebie pracować.

Jahns uśmiechnęła się i chwyciła jej dłoń, podziwiając ciepło i siłę jej uścisku.

– Zajmę się tym jutro z rana – powiedziała. – Dziękuję. Witam na pokładzie.

Marnes przeszedł przez pokój, też chcąc uścisnąć dłoń Juliette. – Miło mieć cię w drużynie, szefowo.

Odwzajemniając uścisk, Juliette uśmiechnęła się kwaśno. – Cóż, nie wybiegajmy zbytnio naprzód. Chyba muszę się jeszcze sporo nauczyć, zanim będziesz mógł mnie tak nazywać.

15

Wydawało się słuszne, że ich wspinaczka powrotna przypadnie na czas przerwy w dostawach energii. Jahns czuła, że jej własna energia dopasowała się do wytycznych dekretu, malejąc z każdym mozolnym krokiem. Męczarnia schodzenia była ledwie igraszką, dyskomfort ciągłego ruchu udawał tylko prawdziwe zmęczenie. Teraz jej słabe mięśnie naprawdę musiały ciężko pracować. Każdy krok stanowił wyzwanie. Podnosiła but na kolejny stopień, kładła dłoń na kolanie i wspinała się o kolejne dziesięć cali czegoś, co zdawało się długą na milion stóp spiralną klatką schodową.

Piętro na prawo miało numer pięćdziesiąt pięć. Każde z pięter zdawało się być widoczne przez całą wieczność. Zupełnie inaczej niż podczas drogi na dół, kiedy Jahns mogła pogrążyć się w rozmyślaniach i niezauważalnie pokonać kilka kolejnych kondygnacji. Teraz, gdy wspinała się na górę – jeden ciężki i chwiejny krok po drugim – powoli wyłaniały się zza poręczy i trwały tam, drażniąc przytłumionym zielonym światłem awaryjnych lamp.

Marnes szedł tuż obok, opierając dłoń o wewnętrzną poręcz, pani burmistrz tymczasem opierała się na zewnętrznej. Laska postukiwała o metalową powierzchnię między nimi. Od czasu do czasu ich ramiona ocierały się o siebie. Mieli wrażenie, jakby byli w drodze już od całych miesięcy, z dala od biur, obowiązków i codziennej, chłodnej zażyłości. Wyprawa mająca na celu mianowanie nowego szeryfa okazała się zupełnie inna, niż oczekiwała Jahns. Śniła o powrocie do młodości, a zamiast tego nawiedziły ją dawne zjawy. Miała nadzieję nieco odżyć, a w zamian czuła tylko ból kolan i pleców, zniszczonych upływem lat. To, co miało być jej wielkim tournee przez silos, zmieniło się w relatywnie anonimową wyprawę, i zaczęła się nawet zastanawiać, czy w ogóle była podczas tej całej operacji potrzebna.

Świat wokół był rozwarstwiony. Teraz widziała to jeszcze wyraźniej. Góra zajmowała się tylko blednącym widokiem na zewnątrz, nie doceniając wyciskanych soków i pożywnych śniadań. Ludzie z niższych pięter pracowali w ogrodach albo czyścili klatki dla zwierząt, orbitowali wokół własnego świata ziemi, zieleni i nawozów. Dla nich, widok na świat zewnętrzny był mało istotny, pomijany aż do dnia czyszczenia. Były też głębiny, warsztaty i laboratoria, pompowanie ropy naftowej i zgrzyt łożysk,

świat sadzy na palcach i smrodu zmęczenia. Dla tych ludzi świat zewnętrzny był tylko plotką, zaś jedzenie, które do nich docierało, jedynie środkiem zapewniającym przeżycie. Ta część silosu istniała, żeby ludzie utrzymywali ciągłą pracę maszyn, choć Jahns przez całe swoje długie życie sądziła, że jest dokładnie na odwrót.

Piętro pięćdziesiąte siódme wyłoniło się z mroku. Na stalowej kracie siedziała młoda dziewczyna, stopy złożone razem, ręce owinięte wokół kolan, trzymała książkę dla dzieci w ochronnej plastikowej okładce, oświetlając ją sobie żarówką wiszącą nad głową. Jahns przyglądała się jej twarzy – poruszały się jedynie jej oczy, przemykając po kolorowych stronach. Nie podniosła nawet wzroku, żeby sprawdzić, kto właśnie mija jej piętro. Kiedy przeszli dalej, dziewczyna stopniowo znikała w ciemnościach z każdym kolejnym krokiem Marnesa i Jahns, wycieńczonych trzecim dniem wspinaczki. Nie czuli żadnych wibracji ani tupotu kroków pod lub nad nimi, silos był cichy i dziwnie wyprany z życia, zostało tylko miejsce dla dwojga starych przyjaciół, dwojga towarzyszy, którzy idą ramię przy ramieniu po kolejnych stopniach, z których odchodzi farba, i którzy wyciągają obolałe ramiona ku poręczy, od czasu do czasu się o siebie ocierając.

* * *

Noc spędzili na komisariacie jednego ze środkowych pięter. Oficer nalegał, by skorzystali z jego gościny, a Jahns była chętna, by wesprzeć kolejnego szeryfa nominowanego mimo tego, że nie był kształcony do tej profesji. Po zjedzeniu niemal w zupełnych ciemnościach zimnej kolacji i wystarczającej ilości pogaduszek, by zaspokoić gospodarza i jego żonę, Jahns udała się do głównego biura, gdzie pościelono dla niej składaną kanapę, używając prześcieradeł pożyczonych z jakiegoś znacznie ładniejszego miejsca, pachnących mydłem wartym dwa bony. Marnes dostał pryczę w celi aresztu, gdzie nadal śmierdziało ginem i pijakiem, który tu trafił zaraz po czyszczeniu.

Nie dało się zauważyć, kiedy wyłączono światła, bo już wcześniej ledwie się tliły. Jahns leżała na kanapie w ciemności, mięśnie wciąż drżały jej od wysiłku. Wreszcie mogła rozkoszować się bezruchem. Stopy przeszywał tak mocny skurcz, że robiły się zupełnie sztywne. Kręgosłup bolał, wymagał odrobiny rozciągania. Jej umysł jednakże nadal gnał

naprzód. Znów poszybował ku rozmowom, które prowadzili podczas całego dnia wspinaczki.

Ona i Marnes krążyli wokół siebie, przywołując dawne ciążenie ku sobie, sprawdzając, czy zapomniane blizny nadal bolą, wreszcie szukając wrażliwych punktów w ich słabych ciałach i sercach zniszczonych przez odgórnie narzucone zasady i politykę.

Imię Donalda pojawiało się często i niezobowiązująco, niczym dziecko zakradające się do łóżka dorosłych, zmuszając zmęczonych kochanków, by zrobili mu między sobą miejsce. Jahns na nowo opłakiwała dawno zmarłego męża. Po raz pierwszy w życiu, opłakiwała te wszystkie spędzone w samotności dekady. To, co zawsze uznawała za swe powołanie – samotne życie i służenie dobru ogółu – teraz zdawało się klątwą. Pozbawiono ją jej życia osobistego. Zmiażdżono je. Wyciśnięto z tej miazgi wszystkie jej starania i poświęcenie tylu lat, sącząc to wszystko w dół silosu, czterdzieści pięter niżej, do miejsca, które ledwie znała i na którym nieszczególnie jej zależało.

Najsmutniejszą częścią tej wyprawy było zrozumienie tego, co wiązało się z duchem Holstona. Teraz mogła już przyznać: głównym powodem jej wędrówki, może i nawet chęci uczynienia Juliette szeryfem, było to, by opaść aż na samo dno, oddalić się od smutnego widoku dwojga kochanków tulących się do siebie na zboczu wzgórza, gdzie wiatr wytrawiał ich zmarnowaną młodość. Chciała uciec od Holstona, a zamiast tego właśnie jego odnalazła. Teraz już wiedziała, dlaczego ci wszyscy wysłani do czyszczenia koniec końców to robili, dlaczego kilkoro smutnych ludzi nawet zgłosiło się na ochotników. Lepiej dołączyć do duchów, niż być przez nie nawiedzanym. Lepiej nie mieć życia, niż wieść tak puste życie...

Drzwi do biura zastępcy skrzypnęły – osadzone były na zawiasach zbyt zniszczonych, by dało się je jeszcze naprawić. Jahns próbowała usiąść, żeby zobaczyć w ciemności, kto do niej idzie, ale mięśnie miała zbyt obolałe, oczy zbyt stare. Chciała zawołać coś, by dać znać gospodarzowi, że wszystko z nią w porządku, że niczego jej nie trzeba, ale zamiast tego tylko nasłuchiwała.

Zbliżały się do niej kroki – niemal niesłyszalne stąpanie po zniszczonym dywanie. Nie padły żadne słowa, słychać było jedynie skrzypienie starych stawów, kiedy ten ktoś zbliżył się do łóżka, potem szelest i unoszenie kosztownych i pachnących prześcieradeł, w końcu porozumienie między dwoma żyjącymi duchami.

Oddech zamarł Jahns w piersi. Wymacała nadgarstek dłoni ściskającej jej prześcieradła. Przesunęła się na niewielkim, składanym łóżku, by zrobić nieco miejsca, i przyciągnęła mężczyznę do siebie. Jego wąsy otarły się o jej policzek, usta dotknęły jej ust.

Marnes objął Jahns za plecy i wtulił jej twarz w swoje ramię. Płakała niczym dziecko, zupełnie jak nowy cień, który czuje się zagubiony i lęka się tej dziwnej i przerażającej pracy, będącej jego przeznaczeniem. Płakała ze strachu, ale wkrótce cały lęk z niej wyparował. Wyparował wraz z bólem pleców, które masował Marnes. Wyparował i wtedy przyszło odrętwienie, a później, po całej wieczności spazmatycznych łkań, kontrolę przejęło czucie.

Jahns wreszcie poczuła się żywa. Czuła łaskotanie ciała dotykającego jej ciała, swoje przedramię oparte na jego twardych żebrach, dłonie na jego ramieniu, zaś jego dłonie na jej biodrach. I wtedy popłynęły łzy, niosąc jakąś radosną ulgę, krótka żałoba po całym tym straconym czasie, mile widziany smutek długo przekładanej chwili, która wreszcie nadeszła, więc Jahns pochwyciła ją w ramiona i trzymała mocno.

I tak też zasnęła, wyczerpana czymś więcej niż tylko wspinaczką. Nie wydarzyło się właściwie nic z wyjątkiem kilku niepewnych pocałunków, splatania dłoni, szeptów czułości i wzajemnej wdzięczności, a potem wciągnął ją sen, zmęczenie w kościach i stawach przyniosło drzemkę, której nie chciała, lecz potrzebowała. Po raz pierwszy od całych dekad spała w ramionach mężczyzny, i choć obudziła się znowu w pustym łóżku, jej serce było pełne.

* * *

Podczas ich czwartego i zarazem ostatniego dnia wspinaczki, dotarli do trzydziestych kondygnacji działu IT. Jahns uświadomiła sobie, że coraz częściej robi przerwy, by napić się wody i rozmasować mięśnie, jednak nie z powodu udawanego przemęczenia, a lęku przed kolejnym przystankiem, podczas którego spotka się z Bernardem, strachu przed tym, że ich wyprawa dobiega końca.

Mroczne i głębokie cienie będące efektem przerwy w dostawach energii śledziły ich w drodze na górę, ruch na klatce schodowej nieco zmalał, większość kupców na ten czas pozamykała swoje dobytki. Juliette, która została w tyle, by nadzorować prace naprawcze, ostrzegała Jahns przed migoczącymi światłami zasilanymi przez zapasowy generator. Mimo

tego podczas długiej wspinaczki to migotanie wykończyło Jahns nerwowo. Jednostajne pulsowanie przypomniało jej wiszącą nieustannie nad głową wadliwą żarówkę, którą pani burmistrz musiała znosić przez większą część swojej pierwszej kadencji. Dwóch różnych techników z Elektrycznego przyszło wtedy dokonać inspekcji. Obydwaj stwierdzili, że żarówka działa zbyt dobrze, by ją wymieniać na nową. Musiała aż interweniować u McLain, już wtedy szefowej Zaopatrzenia, żeby dostać zamiennik.

Jahns pamiętała, że McLain sama przyniosła tamtą żarówkę. Od niedawna była szefową Zaopatrzenia i właściwie przeszmuglowała żarówkę przez te wszystkie piętra. Nawet wtedy była dla Jahns wzorem – kobieta z taką władzą i tyloma obowiązkami. Pamiętała, jak McLain pytała ją, czemu Jahns nie zrobiła tego, co wszyscy inni – czemu całkiem nie rozwaliła tej żarówki.

Jahns zdenerwowała się, że nigdy nawet nie przyszło jej to do głowy – do czasu aż nie zaczęła się szczycić tą pomyłką, kiedy już poznała McLain na tyle dobrze, żeby pojąć, że zadane pytanie było tak naprawdę komplementem, własnoręcznie wręczoną nagrodą.

Kiedy dotarli do trzydziestego czwartego, Jahns miała wrażenie, jakby byli, pod pewnym względem, znów w domu, z powrotem w znajomej okolicy, na centralnym piętrze działu IT. Czekała przy poręczy, wsparta o laskę, kiedy Marnes dotarł do drzwi. Te zostały otwarte i blady zielonkawy blask słabo oświetlonej klatki schodowej został zmieciony przez jasne światła palące się w środku. Nie mówiło się o tym głośno, ale powodem dla którego na innych poziomach istniały poważne ograniczenie poboru mocy, były głównie wyjątki dotyczące działu IT. Bernard szybko wskazał w tekście Paktu odpowiednie klauzule, żeby wesprzeć ten pomysł. Juliette narzekała, że serwery nie powinny być priorytetem w stosunku do świateł grzewczych, zapewniających wzrost roślin, ale odpuściła, by zająć się głównym generatorem, ciesząc się tym, co udało jej się uzyskać. Jahns powiedziała Juliette, żeby potraktowała to jako pierwszą lekcją politycznego kompromisu. Tamta stwierdziła, że dla niej to objaw słabości.

Wewnątrz Jahns dostrzegła czekającego na nich Bernarda – minę miał taką, jakby połknął jakiś gorzki owoc. Gdy tylko weszli, ucichła rozmowa stojących obok informatyków i Jahns nie miała już wątpliwości, że zauważono ich w drodze na górę i już tu na nich czekano.

– Bernard – powiedziała, próbując oddychać miarowo. Nie chciała, by wiedział, jak bardzo jest zmęczona. Niech myśli, że wpadła tutaj

podczas wspinaczki z najniższych poziomów, jakby to nie było żadne wyzwanie.

– Marie.

W jego głosie dało się wyczuć urazę. Nawet nie popatrzył na Marnesa, nawet nie zwrócił uwagi, że zastępca szeryfa też jest w pomieszczeniu.

– Możesz to podpisać? Czy wolisz to zrobić w sali konferencyjnej? – Zaczęła szukać w torbie kontraktu z nazwiskiem Julie.

– W co ty próbujesz grać, Marie?

Jahns poczuła, jak robi jej się gorąco. Kilkoro pracowników w srebrnych kombinezonach bacznie śledziło tę wymianę zdań. – Próbuję grać? – zapytała.

– Wydaje ci się, że te twoje ograniczenia dostaw energii są takim sprytnym posunięciem? W ten sposób chcesz mi dopiec?

– Dopiec...?

– Ja mam tutaj serwery, Marie...

– Twoje serwery dostają pełną moc – przypomniała mu Jahns, podnosząc głos.

– Ale ich chłodzenie jest połączone z Maszynownią i jeśli temperatura wzrośnie, będziemy musieli ograniczyć pracę naszych urządzeń, czego nie robiliśmy jeszcze nigdy!

Marnes wszedł pomiędzy nich, unosząc ręce. – Spokojnie – powiedział chłodno, mierząc wzrokiem Bernarda.

– Lepiej zabierz stąd swojego małego cienia – rzucił szef informatyków.

Jahns położyła dłoń na ramieniu Marnesa.

– Pakt stawia sprawę jasno, Bernard. To mój wybór. Moja nominacja. Ty i ja mamy całkiem ładną historię składania sobie nawzajem podpisów...

– Już ci wyjaśniłem, że ta dziewczyna z dołu się nie nadaje...

– Dostała tę pracę – przerwał mu Marnes. Jahns zauważyła, że opuścił dłoń do pistoletu. Nie była pewna, czy Bernard zwrócił na to uwagę, ale i tak zamilkł. Nie spuszczał jednak wzroku z Jahns.

– Niczego nie podpiszę.

– Więc następnym razem nie będę nawet prosić.

Bernard się uśmiechnął. – Myślisz, że przeżyjesz kolejnego szeryfa? – Odwrócił się do stojących w kącie pracowników i przywołał jednego

gestem. – Czemu jakoś w to wątpię?

Jeden z techników odłączył się od szepczącej grupy i podszedł bliżej. Jahns rozpoznała młodzieńca ze stołówki, nieraz widywała go na górze, gdy zdarzyło jej się pracować do późna w nocy. Lukas, jeśli dobrze zapamiętała. Potrząsnął jej ręką, witając się niezręcznie.

Bernard machnął ręką, okazując zniecierpliwienie. – Podpisz to, co ci da. Ja tego nie zrobię. Sporządź kopie. Zajmij się też całą resztą. – Machnął ręką, odchodząc, a potem jeszcze raz spojrzał na Jahns i Marnesa, jakby był zniesmaczony ich stanem, wiekiem, pozycją, czy czymś jeszcze innym. – Och i niech Sims napełni ich menażki. Niech dopilnuje, by mieli dość jedzenia, by doczołgać się do domu. Niech zrobi, co trzeba, by ich niedołężne nogi doniosły ich tam, gdzie ich miejsce.

Potem Bernard pomaszerował do zakratowanej bramy, prowadzącej do serca IT, z powrotem do swoich jasno oświetlonych biur, gdzie radośnie pomrukiwały serwery, a w wolno poruszającym się powietrzu temperatura wzrastała niczym ciepłota rozpalonego gniewem ciała, gdy kurczą się naczynia włosowate, a krew osiąga stan wrzenia.

16

Im bliżej byli domu, tym szybciej wspinali się na kolejne piętra. W najciemniejszych odcinkach klatki schodowej, pomiędzy cichymi kondygnacjami pełnymi ludzi czekających na powrót do normalności, stare dłonie chwytały jedna drugą, całkiem otwarcie i bezwstydnie, kołysząc się, gdy Jahns i Marnes niestrudzenie parli w górę schodów, wspierając się o zimne, stalowe poręcze.

Jahns od czasu do czasu puszczała jego dłoń, chcąc sprawdzić, czyjej laska nadal trzyma się plecaka, albo żeby sięgnąć po menażkę Marnesa i zaspokoić pragnienie. Każde piło wodę z menażki tego drugiego – łatwiej było sięgnąć do plecaka towarzysza niż własnego. Było w tym geście także coś uroczego: niesienie napoju tej drugiej osoby, dawanie i branie w idealnie sprawiedliwej relacji. Dla czegoś takiego warto było nawet puścić dłoń towarzysza. Przynajmniej na chwilę.

Jahns napiła się, zakręciła metalową nakrętkę wiszącą na łańcuchu i wetknęła menażkę w zewnętrzną kieszeń. Umierała z ciekawości, czy coś się między nimi zmieni, gdy już będą na miejscu. Kiedy wreszcie dotrą do siebie, czy znajome otoczenie sprowadzi ich z powrotem do poprzednich ról? Czy miniona noc zacznie z czasem przypominać odległy sen? Czy dawne widma znów będą nawiedzać ich oboje?

Chciała go o to spytać, ale zamiast tego rozmawiali jedynie o banalnych sprawach. Kiedy Jules – bo tak kazała się nazywać dziewczyna – będzie gotowa do służby? Które zaczęte przez niego i Holstona sprawy powinny mieć pierwszeństwo? Na jakie ustępstwa względem IT powinni iść, by udobruchać tamtych i zarazem uspokoić Bernarda? I jak zmniejszyć nieuniknione rozczarowanie Petera Billingsa? Jaki to może mieć wpływ na przesłuchania, którym kiedyś będzie przewodniczył jako sędzia?

Jahns miała motyle w brzuchu, kiedy o tym dyskutowali. A może to były tylko nerwy wywołane tym, co chciała powiedzieć, a nie mogła. Te tematy były niczym liczne drobiny pyłu unoszące się w powietrzu na zewnątrz silosu, i na samą myśl robiło jej się przez nie sucho w ustach a język zaczynał drętwieć. Piła z menażki Marnesa coraz więcej i więcej, gdy tymczasem jej własna woda chlupotała przy każdym kroku w trzymanej ze plecami menażce. Żołądek kurczył się z każdym kolejnym piętrem, malejące numery odliczały nieunikniony koniec ich wyprawy, która pod tyloma względami okazała się sukcesem.

Po pierwsze mieli nowego szeryfa: zapalczywą dziewczynę z głębin, która była ciekawa i pewna siebie, dokładnie tak jak twierdził Marnes. Jahns właśnie takie osoby uważała za przyszłość silosu. Ludzi, którzy myśleli długoterminowo, planowali, doprowadzali sprawy do końca. Istniał precedens, że szeryfowie w następnej kolejności ubiegali się o posadę burmistrza. Sądziła, że Juliette będzie się świetnie do tego nadawać.

A mówiąc o kandydowaniu: wyprawa dodała mocy jej własnym celom i ambicjom. Z ekscytacją myślała o kolejnych wyborach i mimo że nie będzie miała kontrkandydata, podczas wspinaczki wymyśliła nawet kilkadziesiąt krótkich przemówień. Widziała już oczami wyobraźni, jak wszystko coraz lepiej się układa, jak może staranniej wypełniać swoje obowiązki, i silos wreszcie łapie drugi oddech.

Jednak największa zmiana zaszła między nią a Marnesem. W tych ostatnich godzinach zaczęła nawet podejrzewać, że to z jej powodu nigdy nie przyjął awansu. Kiedy był zastępcą, nadal było między nimi dość przestrzeni, by podtrzymać jego marzenie o wzięciu jej w ramiona. Będąc szeryfem nie mógłby tego zrobić: zbyt duży konflikt interesów, skoro Jahns byłaby jego bezpośrednim przełożonym. W tej teorii zawierały się potężny smutek ale i godna podziwu słodycz. Ścisnęła mocniej jego dłoń, rozważając taką ewentualność, i napełniło ją to głęboką pustką. Na myśl, że tyle poświęcił – dając jej do spłacenia gigantyczny dług, nie bacząc, co wydarzy się później – poczuła ściskanie w dołku.

Zbliżali się do piętra żłobków i nie mieli zamiaru spotykać się znów z ojcem Juliette, żeby nakłonić go do pojednania się z córką podczas jej nadchodzącej wspinaczki, jednak Jahns, czując że pęcherz domaga się opróżnienia, zmieniła zdanie.

– Strasznie mi się chce – powiedziała Marnesowi, zawstydzona jak dziecko, że dłużej już nie wytrzyma. W ustach miała sucho, a brzuch ją bolał od nadmiaru płynów i może też ze strachu przed powrotem do domu. – Zresztą chętnie znów odwiedzę ojca Juliette – dodała.

Na dźwięk tej wymówki, wąsy Marnesa uniosły się na końcach. – W takim razie powinniśmy się zatrzymać.

Poczekalnia była pusta, oznaczenia przypominały im, by zachowywali się cicho. Jahns zajrzała przez szybę i zobaczyła pielęgniarkę idącą przez ciemny korytarz w jej kierunku, z początku zmarszczone brwi po chwili ustąpiły miejsca uśmiechowi.

– Pani burmistrz – wyszeptała.

– Przepraszam, że nie uprzedziłam, ale mam nadzieję spotkać się z doktorem Nicholsem. I może skorzystać z waszej toalety.

– Oczywiście. – Nacisnęła brzęczyk drzwi i wpuściła ich do środka. – Od pani ostatniej wizyty mieliśmy dwa porody. Przez ten bałagan z generatorem, ciężko tu cokolwiek ogarnąć...

– Nie bałagan, tylko przerwy w dostawach – poprawił ją Marnes, mówiąc głośniej i bardziej opryskliwie niż kobieta.

Pielęgniarka zmierzyła go wzrokiem, ale skinęła głową na potwierdzenie. Zdjęła z wieszaków dwa szlafroki i podała im, prosząc, by zostawili swoje rzeczy przy biurku.

Wskazała im ławki w poczekalni i powiedziała, że idzie poszukać doktora. – Tam są łazienki – dodała, pokazując drzwi, na których niemal już się zatarło namalowane kiedyś oznakowanie.

– Zaraz wracam – powiedziała do Marnesa Jahns. Powstrzymała się przed ściśnięciem jego ręki, mimo że ostatnimi czasy stało się to jej nawykiem.

W łazience panowały niemal zupełne ciemności. Jahns zmagała się chwilę z zamkiem kabiny, przeklinając pod nosem. Jej żołądek nie przestawał głośno burczeć. Gdy tylko otworzyła kabinę, od razu usiadła na sedesie. Żołądek dosłownie jej płonął, kiedy wreszcie sobie ulżyła. Z jednej strony czuła ulgę, z drugiej nieznośne palenie, przez co ledwie mogła oddychać. To zdawało się trwać całe wieki, siedziała więc dalej, a jej nogi trzęsły się, dopóki nie uświadomiła sobie, że podczas wspinaczki chyba przeceniła swoje siły. Myśl o kolejnych dwudziestu kondygnacjach przeraziła ją do szpiku kości. W końcu zdołała wstać i podeszła do sąsiedniej kabiny, by się umyć, a potem wytarła się jednym z ręczników. Na koniec spłukała obie jednostki. Musiała jakoś radzić sobie w ciemnościach, mimo że nie znała otoczenia, które było tak różne od jej apartamentu czy biura.

Na miękkich nogach wytoczyła się z łazienki, zastanawiając się, czy nie będzie musiała tutaj przenocować, przespać się na łóżku w sali porodów i dopiero rano zacząć dalszą wspinaczkę. Otwierając drzwi i idąc z powrotem do Marnesa ledwie czuła swoje nogi.

– Lepiej? – zapytał. Siedział na jednej z ławek dla składających wizyty rodzin, zostawiając obok trochę wolnego miejsca dla niej. Jahns

skinęła głową i usiadła ciężko. Łapała płytkie oddechy, zastanawiając się, czy mężczyzna nie uzna jej za zbyt słabą do dalszej drogi.

– Jahns? Dobrze się czujesz?

Marnes nachylił się do przodu. Nie patrzył na nią, wbił wzrok w podłogę. – Jahns. Co się do cholery dzieje?

– Mów ciszej – szepnęła.

Ale on wrzasnął.

– Doktorze! – krzyczał. – Pielęgniarko!

Ktoś się poruszył za ciemną szybą żłobka. Jahns oparła się o poduszkę, próbując coś powiedzieć, kazać mu się uciszyć.

– Jahns, kochanie, coś ty zrobiła?

Trzymał jej dłoń, poklepując ją delikatnie. Potrząsał jej ramieniem. Jahns chciała tylko zasnąć. Słyszała tupot kroków zmierzających w ich stronę. Nagle rozbłysły rażące światła. Pielęgniarka zaczęła coś krzyczeć. Słychać było znajomy głos ojca Juliette, doktora. On załatwi jej łóżko. Będzie w stanie zrozumieć jej zmęczenie...

Mówili coś na temat krwi. Ktoś obmacywał jej nogi. Marnes płakał, łzy skapywały mu na wąsy. Potrząsał jej ramionami, patrząc Jahns prosto w oczy.

– Nic mi nie jest – starała się powiedzieć.

Oblizała wargi. Takie suche. Miała tak cholernie sucho w ustach. Poprosiła o wodę. Marnes zaczął szukać swojej menażki, podniósł ją do ust kobiety, ochlapując wodą jej wargi, potem zaś ostrożnie wlewając ją do jej gardła.

Jahns chciała przełknąć, ale nie dała rady. Położyli ją na ławce, doktor dotknął jej żeber, świecąc w oczy jasnym światłem. Ale wokół i tak robiło się coraz ciemniej.

Marnes w jednej dłoni ściskał menażkę, drugą gładził włosy Jahns. Płakał. Z jakiegoś powodu był tak przeraźliwie smutny. Miał znacznie więcej sił niż ona. Uśmiechnęła się do niego i sięgnęła po jego dłoń, och, cóż za cudowny wysiłek. Chwyciła go za nadgarstek i powiedziała mu, że go kocha. Że kochała go odkąd tylko pamięta. Jej umysł był wyczerpany, nie dawał rady taić już jej sekretów, wypowiadała je więc, widząc jak po policzkach mężczyzny płyną łzy.

Widziała jego oczy, bystre choć otoczone zmarszczkami. Patrzyły na nią, a potem spojrzały na trzymaną w dłoni mężczyzny menażkę.

Menażkę, którą niósł.

Woda, uświadomiła sobie Jahns. Tam była trucizna przeznaczona właśnie dla niego.

17

W sali generatora było niezwykle tłoczno i zarazem upiornie cicho. Mechanicy w znoszonych kombinezonach stali w trzech rzędach za poręczami, przyglądając się pracy ekipy z pierwszej zmiany. Juliette ledwie zdawała sobie sprawę z ich obecności, za to była w pełni świadoma panującej wokół ciszy.

Nachyliła się nad zrobionym przez siebie urządzeniem, zespawaną z metalową podłogą wysoką platformą, pełną lusterek oraz niewielkich szczelin, które odbijały światło po całym pomieszczeniu. Światło padało na lusterka przytwierdzone do generatora i jego wielkiej prądnicy, pomagając Juliette uzyskać idealne ustawienie elementów maszyny. Zajmowała się wąskim szybem pomiędzy jedną a drugą maszyną i tkwiącym wewnątrz długim stalowym prętem szerokości męskiej talii, gdzie energia z paliwa spalinowego była transformowana w prąd elektryczny. Starała się ustawić maszyny po obu stronach tego pręta z dokładnością do tysięcznych części cala. To, czym się w tym momencie zajmowała, było zdarzeniem bez precedensu. Procedury opracowano podczas pośpiesznych całonocnych sesji, kiedy podłączono zapasowy generator. Teraz mogła się już tylko skupić i mieć nadzieję, że osiemnastogodzinna zmiana na coś się przyda, a także wierzyć w skuteczność planów, opracowanych w czasie, gdy była jeszcze w stanie myśleć.

Kiedy ustawiała ostatni element, w pomieszczeniu panowała grobowa cisza. W końcu dała sygnał i Marck wraz ze swoją ekipą dokręcili kilka masywnych śrub nowej gumowej podstawy. To był już czwarty dzień przerw w dostawach prądu. Do rana trzeba było podpiąć główny generator i najpóźniej do następnego wieczora ustawić go na pełną moc. Po tylu wprowadzonych usprawnieniach – nowe uszczelki i nakrętki, wypolerowanie cylindra, które wymagało tego, by jeden z młodych cieni wczołgał się aż do serca tej stalowej bestii – Juliette martwiła się, czy maszyna w ogóle odpali. Jak długo żyła generator nie był nigdy odłączany. Stary Knox pamiętał wprawdzie, że kiedyś trzeba było go wyłączyć, ale to było w czasach, gdy on sam był ledwie cieniem. Dla wszystkich pozostałych ten znajomy łoskot był czymś tak niezmiennym jak bicie ich serc. Juliette czuła ogromną presję, żeby wszystko zadziałało jak należy. To był w końcu jej pomysł, by naprawić urządzenie. Uspokajała się zapewnieniami, że tak właśnie należało postąpić i że teraz w najgorszym

razie przedłużą przerwy w dostawach do czasu, aż wszystko tu poskręcają. Lepsze to, niż jakaś katastrofalna awaria w przyszłości.

Marck dał znak, że śruby są zabezpieczone, a przeciwnakrętki dociśnięte. Juliette zeskoczyła z własnoręcznie skonstruowanej platformy i podeszła do generatora. Trudno było iść na luzie, skoro przyglądało jej się tyle osób. Nie mogła wprost uwierzyć, że ta hałaśliwa ekipa, ta jej wielka dysfunkcyjna rodzina, mogła się nagle zrobić tak cicha. Zupełnie jakby wszyscy wstrzymali oddech, zastanawiając się, czy napięty grafik ostatnich dni przypadkiem nie zda się na nic.

– Gotowy? – zapytała Marcka.

Skinął głową, wycierając ręce w brudną ścierkę, którą chyba zawsze miał na ramieniu. Juliette spojrzała na zegarek. Widok poruszającej się wskazówki sekundnika uspokoił ją. Kiedy tylko miała jakieś wątpliwości, czy coś wypali, zawsze kierowała wzrok na nadgarstek. Nie, żeby sprawdzić czas, lecz by zobaczyć mechanizm, który zdołała sama naprawić. Ta naprawa była tak skomplikowana, wręcz niewykonalna – zabrała całe lata czyszczenia i ustawiania elementów tak drobnych, że prawie niewidocznych – więc w porównaniu do niej to obecne zadanie, jakiekolwiek by nie było, nie było niczym trudnym.

– Idzie zgodnie z planem? – zapytał Marck, szczerząc się.

– Idzie całkiem nieźle. – Skinęła głową w stronę stanowiska kontrolnego. Przez tłum poniosły się szepty; zgromadzeni uświadomili sobie, że wznowienie pracy nastąpi lada moment. Kilkadziesiąt osób zdjęło nauszniki z szyi i wsunęło je na uszy. Juliette i Marck dołączyli do znajdującej się w pokoju kontrolnym Shirly.

– Jak to wygląda? – Juliette zapytała kierowniczkę drugiej zmiany, młodą kobietę, drobną i energiczną.

– Świetnie – odparła Shirly, dostrajając wskaźniki, wyzerowując wszystkie korekty wprowadzone na przestrzeni lat. Zaczynali od nowa, więc żadne ze starych poprawek i rozwiązań nie mogło ukryć nowych symptomów. To był świeży start. – Jesteśmy gotowi.

Odsunęła się od paneli kontrolnych i stanęła obok męża. Ten gest był klarowny: to projekt Juliette, być może ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek naprawi w głębinach Maszynowni. Na nią spływa cały zaszczyt, ale i cała odpowiedzialność za odpalenie generatora.

Juliette stanęła przy panelu kontrolnym, patrząc na pokrętła i wskaźniki, które potrafiłaby zlokalizować nawet w zupełnych

ciemnościach. Trudno było uwierzyć, że ten etap jej życia dobiega końca, a zaczyna się nowy. Sama myśl o podróży na górę przerażała ją bardziej niż obecny projekt. Myśl o porzuceniu rodziny i przyjaciół, zajmowaniu się polityką, nie wydawała się tak przyjemna jak pot i olej spływające na wargi. Dobrze chociaż, że tam u góry miała sprzymierzeńców. Skoro ludzie tacy jak Jahns i Marnes sobie poradzili, przetrwali jakoś, to i jej nic się nie stanie.

Dłonią drżącą bardziej ze zmęczenia niż zdenerwowania Juliette odpaliła motor rozruchowy. Kiedy mały elektryczny silnik próbował zapalić wielki dieslowy generator, rozległo się głośne wycie. To zdawało się trwać całe wieki, lecz Juliette nie miała pojęcia, jak coś takiego powinno brzmieć. Marck stał przy drzwiach, uchylając je, by lepiej mogli usłyszeć ewentualne nawoływania, by przerwać zapalanie. Zerkał na Juliette, a ta nadal przytrzymywała zapłon.– Zmarszczył czoło, słuchając wycia i jęków dobiegających z sąsiedniego pomieszczenia.

Ktoś na zewnątrz zaczął machać rękami, starając się dać jej znak zza szyby.

– Wyłącz to, wyłącz – zawołał Marck. Shirly pośpieszyła do panelu kontrolnego, by pomóc.

Juliette puściła zapłon i sięgnęła ręką ku wyłącznikowi. Lecz go nie wcisnęła. Na zewnątrz panował hałas. Potężny pomruk. Pomyślała, że czuje go nawet przez podłogę, ale był inny niż dawne wibracje.

– Już działa! – wrzasnął ktoś.

– Już zaczął działać – stwierdził Marck, śmiejąc się.

Mechanicy na zewnątrz wiwatowali. Ktoś zdjął nauszniki i cisnął je w powietrze. Juliette uświadomiła sobie, że motor rozruchowy jest głośniejszy od odnowionego generatora – trzymała zapłon, mimo że silnik już wcześniej zapalił i nadal działał.

Shirly i Marck przytulili się do siebie. Juliette sprawdziła temperaturę oraz ciśnienie na wszystkich wyzerowanych wskaźnikach, zwracając uwagę, że nie trzeba wiele korygować, jednak nie będzie mieć pewności dopóki generator się nie rozgrzeje. Gardło miała ściśnięte od emocji, nagłego uwolnienia się od takiej presji. Ekipy przeskakiwały nad poręczami wokół przebudowanej bestii. Ci, którzy rzadko odwiedzali salę z generatorem, próbowali go dotknąć, niemal w nabożnym zachwycie.

Juliette wyszła z sali kontrolnej by ich obserwować, słuchać idealnie działającej maszyny, wszystkich precyzyjnie ustawionych trybów. Stanęła

za poręczą, kładąc dłonie na stali, która zazwyczaj podczas pracy generatora klekotała i trzęsła się, i przyglądała się niezwykłej celebracji w miejscu, którego niemal wszyscy kiedyś woleli unikać. Pomruk był wspaniały. Czysta moc bez strachu – kulminacja długiego planowania i pośpiesznej pracy.

Ten sukces dał jej pewność siebie przed zadaniem, które czekało ją na górze. Była tak radosna i skupiona na pracy potężnych i usprawnionych maszyn, że nie zauważyła młodego tragarza, który wbiegł do sali: twarz blada, pierś nabrzmiała po wyczerpującym, szalonym biegu. Ledwie zwróciła uwagę, jak informacja okrążyła salę od ust do ust, rozprzestrzeniając się wśród mechaników, aż lęk i smutek w ich oczach przykuły wreszcie jej wzrok. Dopiero gdy ucichło wiwatowanie, gdy w pokoju zapadła ta specyficzna cisza, przerywana odgłosami łkania i westchnieniami niedowierzania, zawodzenia dorosłych mężczyzn, Juliette pojęła, że coś jest bardzo nie w porządku.

Coś się stało. Wielki i potężny tryb wypadł z jakiejś maszyny.

I nie miało to nic wspólnego z pracą generatora.

Część 3 - Porzucona

18

Na każdej kieszeni znajdował się numer. Juliette mogła spuścić wzrok na klatkę piersiową i je odczytać, zatem musiały zostać nadrukowane do góry nogami. Były przeznaczone wyłącznie dla niej i nikogo innego. Gapiła się na nie tępo przez wizjer swojego hełmu, gdy za jej plecami uszczelniano drzwi. Przed nią znajdowały się jeszcze inne drzwi, te zakazane. Czekały tylko, aż zostaną otwarte.

W pustce pomiędzy jednymi a drugimi drzwiami, Juliette czuła się kompletnie zagubiona, uwięziona w śluzie pełnej pomalowanych jasnymi barwami rur, wystających ze ścian i sufitu, połyskujących za plastikowymi zasłonami.

Przez to, że miała na głowie hełm, syk pompowanego do pomieszczenia argonu zdawał się dziwnie odległy. Ale i tak wiedziała, że jej koniec jest blisko. Ciśnienie napierało na plastik, wciskając go w ławę i ściany, owijając ciasno wokół rur. Czuła je też na swoim kombinezonie, niczym uścisk niewidzialnej dłoni.

Juliette wiedziała, co się teraz wydarzy – i jakaś jej część głowiła się nad tym, jak w ogóle trafiła w to miejsce: dziewczyna z Maszynowni, która nigdy nie interesowała się światem zewnętrznym, która wcześniej dopuszczała się jedynie drobnych przewinień, i która z radością mogłaby spędzić całe swoje życie głęboko w trzewiach ziemi, poplamiona olejem mogła naprawiać kolejne usterki, nie troszcząca się o ten martwy świat, który ją otaczał...

19

Kilka dni wcześniej

Juliette usiadła na podłodze celi, opierając plecy o kraty i patrząc na rozciągający się przed nią obraz spustoszonego świata. Przez ostatnie trzy dni, gdy próbowała nauczyć się, jak zostać szeryfem silosu, obserwowała ten widok i zastanawiała się, o co to całe zamieszanie.

Widziała jedynie nudne zbocza szarych wzgórz, pnących się ku jeszcze bardziej szarym chmurom, oraz słońce nie będące nawet w stanie rozświetlić tego ponurego krajobrazu. Wszędzie szalały potworne wiatry, ich dzikie podmuchy podrywały w powietrze pył i piach, tworząc wiry, które ścigały się nawzajem po przeznaczonym wyłącznie dla nich pustkowiu.

Dla Juliette w tym widoku nie było niczego inspirującego, niczego, co budziłoby jej ciekawość. Nie nadające się do zamieszkania pustkowie pozbawione jakichkolwiek użytecznych elementów. Nie było tam żadnych surowców z wyjątkiem widocznej za wzgórzami stali rozpadających się wież, lecz bez wątpienia jej zdobycie, przetransportowanie, przetopienie i oczyszczenie byłoby droższe niż wydobycie rudy w kopalniach znajdujących się pod silosem.

Zakazane marzenia o świecie zewnętrznym jej zdaniem były smutne i puste. To były jedynie martwe sny. Ludzie żyjący na górze, wielbiąc ten widok, zrozumieli wszystko opacznie – przyszłość znajdowała się na dole. Stamtąd pochodziła ropa, dzięki której mieli prąd, ale też minerały, które mogły się na coś przydać, i azot, odnawiający glebę na farmach. Wiedział o tym każdy, kto miał pojęcie o chemii czy metalurgii. Ci, którzy czytali książki dla dzieci, którzy starali się poskładać do kupy zagadkę dawno zapomnianej i niepoznawalnej przeszłości, nadal żyli złudzeniami.

W całej tej obsesji tylko jedna rzecz miała jakikolwiek sens: otwarta przestrzeń, krajobraz, który szczerze przerażał Juliette. Może to z nią było coś nie tak, że kochała ściany silosu, kochała ciemne zakamarki najniższych pięter. Czy wszyscy inni byli na tyle szaleni, by rozważać ucieczkę? A może to z nią coś było nie w porządku?

Juliette przeniosła wzrok z pnących się w mgliste niebo wzgórz na porozrzucane teczki. To były niedokończone sprawy jej poprzednika. Na jej kolanie leżała lśniąca gwiazda szeryfa; jeszcze jej nie zakładała. Przy jednej

z teczek stała menażka, wciśnięta w plastikowy worek na dowody. Teraz, gdy wypełniła już swe mordercze zadanie, wyglądała dość niewinnie. Kilka liczb spisanych czarnym atramentem na worku zostało przekreślonych – oznaczały sprawy dawno wyjaśnione albo porzucone w toku. Z boku znajdował się nowy numer, numer sprawy, która nie miała tutaj swojej teczki, wypełnionej całymi stronami zeznań i notatek dotyczących śmierci kochanej przez wszystkich pani burmistrz, którą ktoś postanowił zamordować.

Juliette widziała kilka notatek, jednak tylko z daleka. Spisywał je zastępca Marnes, a jego dłonie nie chciały wypuścić teczki tej sprawy, ściskając ją z całych sił. Patrzyła na tę teczkę zza jego biurka i dostrzegła ślady łez, które miejscami rozmywały słowa albo marszczyły papier. Pisane ze łzami w oczach zdania zostały pośpiesznie nabazgrane i zupełnie nie przypominały notatek zastępcy zawartych w innych aktach. To, co zdołała dostrzec, zdawało się pełznąć wściekle w poprzek kartki, słowa kreślone w złości i rozpaczy. Teraz zastępca Marnes zachowywał się tak przez cały czas, to przez jego gniew Juliette odeszła od biurka, by pracować w celi. Nie dałaby rady wysiedzieć naprzeciw kogoś tak załamanego i jednocześnie móc normalnie myśleć. Mimo że widok rozciągający się przed nią był przerażająco smutny, nie powodował aż takiego przygnębienia jak patrzenie na Marnesa.

To właśnie w celi zabijała czas pomiędzy pełnymi zakłóceń rozmowami przez radio i wyprawami na dół, by zająć się zakłóceniami porządku. Często po prostu siadała tu sobie i układała teczki w kolejności od najcięższych przewinień do najlżejszych. Była szeryfem całego silosu – nie przygotowywała się do tej funkcji, ale zaczynała ją rozumieć. Jedna z ostatnich rzeczy, jaką powiedziała jej burmistrz Jahns, okazała się bardziej prawdziwa, niż wcześniej potrafiła to sobie wyobrazić: ludzie byli zupełnie jak maszyny. Psuli się. Terkotali. Mogli cię poparzyć albo pokaleczyć, jeśli nie byłeś wystarczająco ostrożny. Do jej zadań należało nie tylko wyjaśnienie, czemu coś się wydarzyło i kto by winny, ale też wsłuchiwanie się w to, co dopiero nadchodzi. Bycie szeryfem, tak jak bycie mechanikiem, było zarówno sztuką zapobiegania usterkom, jak i sprzątania po zaistniałej awarii.

Akta rozrzucone na podłodze należały niestety do tych drugich, smutnych przypadków: waśnie między sąsiadami, które wymknęły się spod kontroli, kradzieże, znalezienie źródła trucizny w postaci dżinu, kilka

kolejnych przypadków będących efektem działania tego właśnie dżinu. W każdej teczce czekały kolejne kwestie do wyjaśnienia, kolejne rutynowe prace, wyprawy na dół po krętych schodach, by nawiązać z kimś pokrętny dialog, stopniowe oddzielanie kłamstw od prawdy.

Przygotowując się do tej pracy, Juliette dwa razy przeczytała część Paktu dotyczącą Prawa. Leżąc w swoim łóżku w Głębinach, wyczerpana pracą przy generatorze, studiowała, jak należy sortować akta, na co uważać zbierając dowody, a wszystko to było logiczne i zarazem analogiczne do tego, co robiła będąc mechanikiem. Pojawianie się na miejscu przestępstwa czy toczącej się kłótni, nie różniło się wcale od wejścia do pompowni, w której doszło do awarii. Winny był zawsze ktoś lub coś. Wiedziała, że musi uważnie słuchać, obserwować, zadawać pytania każdemu, kto mógł mieć do czynienia z wadliwym urządzeniem albo użytymi narzędziami, prześledzić łańcuch zdarzeń aż do samego początku. Zawsze istniały mylące zmienne – nie dało się dostroić jednego panelu kontrolnego, zarazem nie powodując, że coś innego wyjedzie nam poza skalę – ale Juliette miała umiejętności, miała talent, by wiedzieć, co jest istotne, a co należy zignorować.

Zakładała, że to właśnie te umiejętności zauważył u niej zastępca Marnes, cierpliwość i sceptycyzm, które kazały jej zadać jeszcze jedno głupie pytanie, a to okaże się tym kluczowym. Wcześniejsza pomoc w rozwiązaniu sprawy dodała Juliette pewności siebie. Wtedy się na tym nie znała, skupiła się bardziej na zwykłej sprawiedliwości i swoim własnym żalu, lecz tamto dochodzenie stanowiło zarazem rozmowę o pracę i szkolenie.

Po tylu latach wzięła w dłoń akta z tamtą sprawą, blado-czerwona pieczątka na okładce odbiła słowo „ZAMKNIĘTA”. Zdarła taśmę klejącą ze skraju teczki i przejrzała papiery. Wiele notatek sporządził Holston, jego staranne pismo widziała już wcześniej na leżących na biurku dokumentach. Czytała notatki na swój temat, przypominając sobie sprawę, która na pierwszy rzut oka wydawała się oczywistym zabójstwem, a tak naprawdę okazała się serią niespotykanych wypadków. Aż do tej chwili nie chciała wracać do tamtych wydarzeń i teraz znów odżyły w jej pamięci, a wraz z nimi odżył dawny ból. A mimo tego pamiętała doskonale, jakim pocieszeniem stało się wtedy skupianie na poszlakach. Pamiętała emocje towarzyszące rozwiązaniu problemu, satysfakcję zdobycia odpowiedzi, co zrównoważyło pustkę, którą pozostawiła śmierć kochanka. Ten proces był

podobny do naprawiania maszyny na dodatkowej zmianie. Ciało bolało ją od wysiłku i wycieńczenia, ale jednocześnie cieszyła się, że zreperowała usterkę.

Odłożyła teczkę na bok, jeszcze nie gotowa, by znów na nowo to przeżywać. Podniosła kolejną i położyła ją sobie na kolanach, kładąc dłoń na odlanej z brązu gwieździe szeryfa.

Na ekranie zatańczył cień, przyciągając jej uwagę. Juliette podniosła wzrok i dostrzegła warstwę brudu na wysokości podnóża wzniesienia. Sadza zdawała się drżeć za każdym razem, gdy wietrzny wir zbliżał się do czujników, które według pobranych przez nią nauk trzeba było uważać za istotne, bo to dzięki nim właśnie mogła widzieć świat zewnętrzny, którego tak bała się będąc dzieckiem, że w końcu uznała go za niewarty oglądania.

Nie była jednak tego taka pewna teraz, gdy dorosła na tyle, by myśleć samodzielnie i móc widzieć świat zewnętrzny na własne oczy. Obsesja mieszkańców górnych pięter dotycząca czyszczenia praktycznie nie docierała do tych, którzy przebywali na dole, gdzie dzięki prawdziwemu czyszczeniu cały silos mógł działać, a ludzie mogli utrzymać się przy życiu. Ale nawet jej przyjaciele z Maszynowni od urodzenia słyszeli, że nie można rozmawiać o tym, co na zewnątrz. Dla kogoś, kto nigdy nie widział świata, to było łatwe, jednak teraz, zerkając na niego w drodze do pracy i siedząc przed ekranem pokazującym pustkowie, którego nikt nie był w stanie pojąć, zrozumiała, że pewne nieuniknione pytania same przychodzą do głowy. Zrozumiała, dlaczego tak ważne może być tłumienie pewnych pomysłów, nim narodzi się pęd ku wyjściu na zewnątrz, zanim dywagacje szaleńców sprowadzą na wszystkich zagładę.

Otworzyła teczkę Holstona. Za tabelą życiorysu piętrzył się stos notatek na temat ostatnich dni szeryfa. Zapiski dotyczące jego zbrodni miały ledwie pół strony długości – reszta kartki pozostała pusta, zmarnowana. Pojedynczy akapit wyjaśniał, że szeryf sam zgłosił się do aresztu, mówiąc, że interesuje go to, co jest na zewnątrz. I tyle. Kilka linijek, które przesądziły o śmieci mężczyzny. Juliette przeczytała je kilka razy, zanim w końcu przewróciła stronę.

Pod spodem znajdowała się notatka burmistrz Jahns proszącej, by Holston został zapamiętany ze względu na swoją pracę na rzecz silosu, a nie jako kolejny czyściciel. Juliette przeczytała ten list, napisany własnoręcznie przez kogoś, kto niedawno zmarł. Dziwnie było rozmyślać o ludziach, których znała, a których już nigdy nie spotka. Po części właśnie

dlatego od lat unikała ojca: bo po prostu nadal żył. Zawsze mogła przecież zmienić zdanie i nic nie stało na przeszkodzie, by kiedyś ojca odwiedziła. Jednak Holston i Jahns odeszli już na zawsze. A Juliette była tak przyzwyczajona do odbudowywania urządzeń, które wydawały się być nie do naprawienia, że jej zdaniem, gdyby tylko odpowiednio się skupiła, albo wykonała określone zadania we właściwej kolejności, powinna być w stanie wskrzesić zmarłych, odtworzyć ich uszkodzone ciała. Wiedziała jednak, że to niewykonalne.

Przeglądała akta Holstona i w myślach zadawała zakazane pytania, niektóre z nich po raz pierwszy. To co wydawało się trywialne dla kogoś żyjącego na dole, gdzie ulatniające się spaliny mogły udusić, a pęknięte pompy utopić każdego z jej znajomych, teraz zawisło ciężko nad nią. O co w tym wszystkim chodziło, w tym życiu, które wiedli tu, pod ziemią? Co znajdowało się za tymi wzgórzami? Czemu tutaj byli i jaki był cel tego wszystkiego? Czy to ludzie podobni do nich zbudowali te wysokie silosy, wyrastające z ziemi hen na horyzoncie? Dlaczego to zrobili? I przede wszystkim: dlaczego Holston, rozsądny człowiek – tak jak i jego żona – zechciał nagle wyjść na zewnątrz?

Zabrała ze sobą dwie teczki, lecz obie zostały oznaczone jako sprawy „zamknięte”. Ich miejsce było w biurze burmistrz Jahns, gdzie zostaną opieczętowane i wsadzone do archiwum. Ale Juliette uświadomiła sobie, że wraca do nich częściej niż do spraw, którymi powinna się zająć teraz. Jedna z teczek opisywała życie mężczyzny, którego kochała i którego śmierć stanowiła zagadkę, którą Juliette pomogła rozwiązać. W drugiej opisano życie mężczyzny, którego szanowała i którego była następczynią. Nie wiedziała dlaczego miała obsesję na punkcie tych dwóch teczek, szczególnie że nie była już w stanie patrzeć na dotkniętego osobistą stratą Marnesa, uporczywie badającego szczegóły śmierci Jahns, przeglądającego zeznania, przekonanego, że ma już sprawcę, ale brakuje mu wystarczających dowodów

Ktoś zastukał w kraty nad głową Juliette. Podniosła wzrok, spodziewając się zobaczyć Marnesa, który oświadczy, że pora już kończyć na dziś, zamiast tego jednak ujrzała jakiegoś dziwnego mężczyznę.

– Pani szeryf? – zapytał.

Juliette odłożyła na bok teczki, zakrywając leżącą na kolanie gwiazdę. Wstała i odwróciła się, stając twarzą w twarz z niskim mężczyzną

z pękatym brzuchem, okularami na czubku nosa i w srebrnym kombinezonie działu IT, uszytym na miarę i starannie wyprasowanym.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

Wsunął dłoń pomiędzy kraty. Juliette przełożyła odznakę do drugiej ręki i odwzajemniła jego uścisk.

– Przepraszam za spóźnienie – odparł. – Sporo się dzieje, wszystkie te uroczystości, zawracanie głowy z generatorem i przepychanki prawne. Jestem Bernard, Bernard Holland.

Jego słowa zmroziły Juliette krew w żyłach. Dłoń mężczyzny była taka drobna, zupełnie jakby brakowało jej jednego palca. Pomimo tego uścisk mężczyzny był mocny. Chciała się cofnąć, ale jej nie puścił.

– Jako szeryf z pewnością zna pani Pakt z góry na dół, więc wie pani, że do czasu głosowania to ja będę pełnił funkcję burmistrza.

– Tak słyszałam – odpowiedziała lodowato. Była ciekawa, w jaki sposób ten mężczyzna przeszedł obok Marnesa i nie został momentalnie zaatakowany. To on właśnie był głównym podejrzanym o zabójstwo burmistrz Jahns, tyle że teraz stał po złej stronie krat.

– Robota papierkowa? – Zwolnił uścisk i Juliette mogła wreszcie oswobodzić rękę. Spojrzał na dokumenty rozrzucone po podłodze, zatrzymując wzrok na opakowanej w plastikowy worek menażce, choć Juliette mogło się tylko tak wydawać.

– Zaznajamiam się z bieżącymi sprawami– odparła. – Tutaj mam nieco więcej miejsca żeby... pomyśleć.

– Och, jestem pewien, że w tym pomieszczeniu miało miejsce wiele głębokich rozważań. – Bernard uśmiechnął się, a Juliette zauważyła, że ma krzywe zęby – jeden nachodził na drugi. Przez to wyglądał jak jedna z tych zbłąkanych myszy, które wyłapywała w pompowni.

– Cóż, mnie jest tu łatwiej uporządkować myśli, więc może coś w tym jest. A poza tym. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Nie sądzę, by ta cela długo stała pusta. Jak już będzie zajęta, będę mogła porzucić moje głębokie rozważania na dzień czy dwa, gdy ktoś będzie czekał tutaj na czyszczenie...

– Za bardzo bym na to nie liczył – odparł Bernard. Znów wyszczerzył krzywe zęby. – Wieść niesie, że nasza biedna pani burmistrz, niech spoczywa w pokoju, sama się wykończyła tą wariacką wspinaczką. A na dół zeszła chyba tylko po to, żeby zobaczyć się z tobą, mam rację?

Juliette poczuła ostre ukłucie. Nieco rozluźniła zaciśnięte na gwieździe szeryfa palce, bo obie dłonie nieopatrznie zacisnęła w pięści z taką siłą, że aż zbielały jej kłykcie.

Bernard poprawił sobie okulary na nosie. – Ale teraz się dowiedziałem, że prowadzicie dochodzenie w sprawie jakiegoś przestępstwa?

Juliette dalej patrzyła mu prosto w oczy, starając się nie zważać na wzgórza odbijające się w szkłach jego okularów. – Jako osoba pełniąca funkcję burmistrza powinieneś chyba wiedzieć, że naszym zdaniem doszło tutaj do zabójstwa.

– Ojej. – Otworzył oczy szerzej, uśmiechając się niemrawo. – Więc te pogłoski są prawdziwe. Kto mógłby się czegoś takiego dopuścić? – Uśmiechnął się szerzej i Juliette uświadomiła sobie, że ma do czynienia z kimś, kto uważa się za nietykalnego. Nie po raz pierwszy natknęła się na tego typu przerost ego. Kiedy była cieniem w Głębinach, tacy ludzie otaczali ją dosłownie ze wszystkich stron.

– Moim zdaniem odpowiedzialność spadnie na tego, kto miał najwięcej do zyskania – odparła oschle. Po chwili dodała jeszcze. – Burmistrzu.

Krzywy uśmiech rozmówcy zniknął. Bernard puścił kraty i odsunął się od nich, wkładając ręce w kieszenie kombinezonu. – Cóż, miło mi wreszcie połączyć twarz z nazwiskiem. Zdaję sobie sprawę, że nieczęsto wychodziłaś z tych swoich Głębin, szczerze mówiąc i ja większość czasu jestem odizolowany od wszystkiego we własnym biurze, ale wiele się tutaj zmieni. Jako burmistrz i szeryf, ty i ja nieustannie będziemy ze sobą współpracować. – Spojrzał na leżące pod jej nogami teczki. – Więc oczekuję, że będziesz mnie informować na bieżąco. O wszystkim.

To powiedziawszy, Bernard odwrócił się i wyszedł. Juliette musiała włożyć sporo wysiłku, by przestać zaciskać pięści. Kiedy w końcu zdołała oderwać palce od gwiazdy szeryfa, zauważyła, że ta pokaleczyła jej dłoń aż do krwi. Krople na krawędzi odznaki wyglądały jak mokra rdza. Juliette wytarła gwiazdę o kombinezon – do czego przyzwyczaiła się jeszcze w swoim poprzednim życiu, kiedy plamy oleju i sadza były czymś zwyczajnym. Widząc ciemną plamę krwi na nowym ubraniu, zaklęła pod nosem. Odwróciła gwiazdę i spojrzała na odbity z przodu emblemat. Trzy trójkąty silosu i wybite nad nimi słowo „Szeryf”. Znów odwróciła odznakę, dotykając zapięcia, w którym tkwiła ostra końcówka igły. Otworzyła

zatrzask i igła zawisła przed nią. Przez lata pogięła się w kilku miejscach, przez co wyglądała tak, jakby ktoś powyginał ją celowo. Kiwała się na zawiasie raz w jedną raz w drugą stronę, co na swój sposób mogłoby symbolizować ciągłe wahanie Juliette, czy nosić tę odznakę.

Ale gdy tylko ucichł odgłos kroków Bernarda i usłyszała, jak tamten mówi coś niezrozumiałego do zastępcy Marnesa, znów straciła nerwy. To było jak walka z zardzewiałą śrubą, która ani nie drgnie. Było coś takiego w tym jego nieznośnym sztywniactwie, w tej niechęci do ruszenia się, że Juliette nie mogła wprost znieść tego człowieka. Zwykła sądzić, że nie ma takich zapięć, z którymi by sobie nie poradziła, więc atakowała je olejem i ogniem, smarem penetrującym i brutalną siłą. Jeśli do zadania przystąpiła z wystarczającym uporem i odpowiednią strategią, zawsze ustępowały. W końcu.

Wbiła krzywą igłę w materiał na piersi kombinezonu i zacisnęła zapinkę. Patrzenie na gwiazdę wydawało się lekko surrealistyczne. Pod nogami leżał tuzin domagających się uwagi teczek, a Juliette po raz pierwszy od przybycia na górę poczuła, że to robota dla niej. Porzuciła pracę w Maszynowni. Opuściła tamto miejsce w znacznie lepszym stanie, niż je zastała, na dodatek została tam na tyle długo, by usłyszeć cichy warkot naprawionego generatora, by zobaczyć wał napędowy kręcący się tak idealnie, że ciężko było w ogóle dostrzec jego ruch. Potem wyruszyła na górę i odkryła, że tutaj terkocze, chlupocze i zgrzyta zupełnie inny zestaw trybów, przez co uszkodzeniu ulega prawdziwy napęd silosu – dokładnie tak, jak przewidziała Jahns.

Zostawiając większość teczek tam, gdzie leżały, podniosła tę dotyczącą Holstona – do której nie powinna w ogóle zaglądać, ale której zarazem nie mogła odłożyć – i otworzyła drzwi celi. Zamiast wrócić do biura, najpierw skierowała swe kroki w stronę żółtych stalowych drzwi śluzy. Kolejny raz zerkając do środka przez trzy warstwy szkła, wyobraziła sobie, że w środku stoi mężczyzna, którego zastąpiła na stanowisku, ubrany w jeden z tych komicznych, napompowanych kombinezonów, i czeka aż otworzą się drzwi. O czym może myśleć, co może czuć ktoś samotnie czekający na wygnanie? To nie może być tylko strach, choć Juliette odczuwała go także. To musi być coś więcej – nowe, niezwykłe uczucie, spokój przewyższający cierpienie, albo odrętwienie, którego nie ima się żadna panika. Doszła do wniosku, że wyobraźnia nie podoła temu zadaniu zrozumienia czegoś tak obcego i niespotykanego. Potrafiła tylko tłumić lub

wzmacniać rzeczy już sobie znajome. To jak opowiadanie komuś, czym jest seks albo orgazm. Niewykonalne. Ale gdy samemu się to przeżyło, wtedy można wyobrażać sobie różne natężenie tego nowego uczucia.

To tak samo jak jest z kolorami. Nowy kolor możemy opisać tylko używając nazw tych odcieni, które już widzieliśmy. Można łączyć rzeczy znane, ale nie można tworzyć nieznanych rzeczy z niczego. Może więc jedynie czyściciele rozumieli, jak to jest tam stać – drżąc ze strachu, a może nie bojąc się ani odrobinę – i czekać na własną śmierć.

Obsesja związana z pytaniem „dlaczego” przejawiała się w szeptach jak silos długi i szeroki – ludzie chcieli wiedzieć dlaczego tamci to robili, czemu wręczali w darze lśniące i wypolerowane obiektywy tym, którzy ich wygnali, jednak Juliette to zupełnie nie interesowało. Doszła do wniosku, że czyściciele widzieli nowe kolory, czuli coś niemożliwego do opisania, może nawet doświadczali przeżyć religijnych, pojawiających się wraz z nadejściem nieuniknionego. Czy nie wystarczy wiedzieć, że tak się działo za każdym razem? Problem rozwiązany. Weźmy to za pewnik. Skupmy się na prawdziwym problemie: jak czuje się ktoś, kto przez to przechodzi. To był największy kłopot związany z tematem tabu; nie fakt, że ludzie nie mogli rozmyślać o świecie zewnętrznym, ale że nie wolno im było współczuć czyścicielom przez kolejne tygodnie, rozmyślać o ich cierpieniu, wyrażać żalu czy wdzięczności.

Juliette zastukała teczką Holstona w żółte drzwi, przypominając sobie, jaki szeryf był w lepszych czasach, kiedy był zakochany, wygrał loterię, opowiadał w kółko o swojej żonie. Skinęła głową do jego ducha i oddaliła się od imponujących metalowych drzwi z maleńkimi okienkami z grubego szkła. Czuła empatię, pracując na jego stanowisku, nosząc jego odznakę, nawet przesiadując w jego celi. Kiedyś kochała kogoś, wiedziała jak to jest. Kochała w tajemnicy, nie angażując silosu w ten związek, ignorując zasady Paktu. Zatem wiedziała także, co znaczyło utracić coś cennego. Potrafiła sobie wyobrazić, że gdyby jej kochanek tkwił na tamtym wzgórzu, rozpadając się w pył na widoku, zamiast karmić swoimi szczątkami korzenie roślin, i ją ciągnęłoby do czyszczenia, chciałaby zobaczyć te wszystkie nowe kolory na własne oczy.

Wracając do swojego biurka znów otworzyła akta Holstona. A raczej: wracając do jego biurka. On doskonale wiedział, kim był tajemniczy ukochany Juliette. Powiedziała mu, kiedy już zakończyli sprawę prowadzoną na dole – mężczyzna, który zginął, i którego sprawę pomogła

rozwiązać, był właśnie jej kochankiem. Może to przez to, jak wcześniej Holston opowiadał o swojej żonie. Może to przez jego godny zaufania uśmiech, dzięki któremu był tak dobrym szeryfem, budząc w rozmówcy potrzebę zwierzeń. Jakikolwiek by nie był powód, przyznała się stróżowi prawa do czegoś, co mogło wpędzić ją w tarapaty: romans poza wszelkimi rejestrami, nieposzanowanie zasad Paktu, i wtedy on, mężczyzna, który miał strzec prawa, powiedział tylko: „przykro mi”.

Przykro mu, że straciła kogoś bliskiego. I uścisnął ją. Jakby wiedział, co starała się ukryć, sekretny żal, który zajął miejsce dawniej zajmowane przez miłość.

Za to go szanowała.

Teraz siedziała za jego biurkiem, w jego fotelu, naprzeciw jego dawnego zastępcy, który trzymał się za głowę i gapił się na teczkę mokrą od łez. Wystarczył rzut oka, żeby Juliette zaczęła podejrzewać, że jakaś zakazana miłość łączyła go z osobą, opisaną w tych aktach.

– Już piąta – powiedziała tak cicho i spokojnie, jak tylko była w stanie.

Marnes wreszcie oderwał dłonie od twarzy. Na czole miał czerwone odciski. Oczy przekrwione, na siwych wąsach połyskiwały łzy. Zdawał się znacznie starszy niż jeszcze przed tygodniem, gdy przebył na dół, by ją zwerbować. Obrócił się w swoim starym, drewnianym fotelu, który zaskrzypiał, jakby przerażony tym nagłym ruchem. Zerknął na wiszący na ścianie zegar i sprawdził godzinę uwięzioną za pożółkłą plastikową kopułą. Widząc tykającą wskazówkę skinął głową i wstał, zatrzymując się na moment w tej pozycji, nim zdołał się całkiem wyprostować. Wygładził kombinezon, a potem sięgnął ku teczce, ostrożnie ją zamknął i włożył sobie pod pachę.

– Do jutra – wyszeptał, skinąwszy głową do Juliette.

– Widzimy się rano – odparła, gdy mężczyzna ruszył w stronę stołówki.

Patrzyła jak się oddala i było jej go żal. Zrozumiała, że za tą stratą kryła się prawdziwa miłość. Ciężko było wyobrażać sobie, jak wraca do swojego maleńkiego mieszkania, siada na jednoosobowym łóżku, łkając nad tą teczką tak długo, aż w końcu zmorzy go niespokojny sen.

Kiedy już została sama, położyła akta Holstona na biurku i przysunęła do siebie klawiaturę. Klawisze już od dawna były zupełnie wytarte, ale w ostatnim czasie ktoś postanowił wpisać litery czarnym

atramentem. Teraz nawet one zaczęły znikać, wkrótce trzeba będzie ponowić ten zabieg. Juliette będzie musiała tego dopilnować, bo nie potrafiła – jak inni pracownicy biurowi – pisać bez patrzenia na klawisze.

Powoli wystukała prośbę o wysłanie telegramu do Maszynowni. Spędziwszy kolejny dzień na jałowym rozważaniu tajemnicy decyzji podjętej przez Holstona, doszła do wniosku, że nie będzie w stanie wykonywać swojej pracy, dopóki nie zrozumie, dlaczego jej poprzednik odwrócił się od tego wszystkiego, zdecydował się opuścić silos. To było jak uporczywe stukotanie, które odwracało jej uwagę od innych spraw. Więc zamiast oszukiwać samą siebie, miała zamiar podjąć się tego wyzwania. Musiała zatem dowiedzieć się czegoś więcej – nie wystarczy jej to, co znajdowało się w aktach.

Nie była pewna, jak ma zdobyć potrzebne informacje, ani jak w ogóle uzyskać do nich dostęp, znała jednak ludzi, którzy będą wiedzieli. Za tym właśnie najbardziej teraz tęskniła, myśląc o czasie spędzonym na dole. Tam byli wszyscy jak rodzina, jeden drugiemu zawsze służył pomocą. Zrobiłaby dla nich wszystko. I oni odwdzięczyliby się tym samym, stanęliby za nią murem. Tego właśnie najboleśniej jej brakowało, tej siatki bezpieczeństwa, która zdawała się być tak daleko.

Po wysłaniu prośby, znów przysiadła nad teczką Holstona. Był dobrym człowiekiem i poznał jej najskrytsze sekrety. Tylko on jeden. Wkrótce zaś, z Bożą pomocą, ona pozna jego tajemnice.

20

Było już po dziesiątej, gdy Juliette wstała od biurka. Oczy bolały ją tak bardzo, że nie mogła dłużej gapić się w monitor. Była też zbyt zmęczona, by czytać kolejne notatki z akt. Wyłączyła komputer, schowała teczkę, zgasiła światło, wyszła i zamknęła za sobą biuro.

Kiedy wkładała klucze do kieszeni, zaburczało jej w brzuchu, a słabnący zapach potrawki z królika przypomniał jej, że po raz kolejny zapomniała o obiedzie. Trzecią noc pod rząd. Przez trzy noce była tak skupiona na trudnej pracy – na której właściwie się nie znała i do której nikt jej nie przygotowywał – że opuściła posiłki. Gdyby jej biuro nie sąsiadowało z hałaśliwą, pełną apetycznych zapachów stołówką, mogłaby znaleźć dla siebie usprawiedliwienie.

Wyciągnęła klucze i przeszła przez słabo oświetlone pomieszczenie, lawirując pomiędzy trudnymi do zauważenia krzesłami, ustawionymi przy stołach. Para nastolatków wychodziła właśnie z sali, nacieszywszy się paroma chwilami sam na sam w blasku zapadającego na ekranie zmierzchu. Juliette życzyła im bezpiecznego schodzenia, głównie dlatego, że jako szeryf powinna robić takie rzeczy, a oni zachichotali tylko w odpowiedzi i zniknęli na klatce schodowej. Wyobraziła sobie, że szli trzymając się za ręce i pocałują się jeszcze nie raz, nim dotrą do swoich mieszkań. Dorośli zdawali sobie sprawę z tych zakazanych czułości, ale puszczali je mimo oczu – każde ze starszych pokoleń przekazywało ten podarek kolejnemu. Jednak w przypadku Juliette było zupełnie inaczej. Dokonała takich samych wyborów jako osoba dorosła, kochała, nie mając do tego aprobaty, więc jej hipokryzja była mocniej odczuwalna.

Kiedy dotarła do kuchni, zauważyła, że stołówka jeszcze nie jest całkiem pusta. Przed ekranem siedziała samotna postać, gapiąc się na atramentową ciemność nocnych chmur wiszących nad ciemnymi wzgórzami.

To była chyba ta sama osoba, co poprzedniej nocy, ta, która obserwowała stopniowo znikający blask słońca, gdy Juliette pracowała sama w swoim biurze. Wybrała taką trasę do kuchni, by móc wyminąć nieznajomego. Przez to, że całe dnie gapiła się na akta wypełnione złymi zamiarami różnych ludzi, stawała się pomału paranoiczką. Kiedyś podziwiała tych, którzy się wyróżniali, ale teraz wolała na nich uważać.

Przeszła pomiędzy ściennym ekranem a najbliższym stolikiem, zatrzymując się, by pozasuwać krzesła, szurając metalem o kafelki. Nie spuszczała wzroku z siedzącego nieopodal mężczyzny, ale on nawet nie zwrócił uwagi na hałas. Gapił się tylko w chmury, trzymając coś na kolanach i podpierając dłonią podbródek.

Juliette przeszła obok, wchodząc między stolik a jego krzesło, które stało dziwnie blisko ekranu. Zwalczyła pokusę, by odchrząknąć i zadać mu pytanie. Zamiast tego szła dalej, podzwaniając kluczami, które dostała obejmując nową posadę.

Przed dotarciem do kuchennych drzwi dwukrotnie obejrzała się za siebie. Mężczyzna nawet nie drgnął.

Weszła do kuchni i zapaliła światło. Po chwili łagodnego migotania, żarówki rozbłysły oślepiająco. Wyciągnęła z jednej z lodówek galon soku, zdejmując z suszarki czystą szklankę. Wróciwszy do lodówki, odszukała potrawkę – już nakrytą i zimną – i ją także wyjęła. Nałożyła sobie dwie chochle do miski, a potem otworzyła szufladę, szukając łyżki. Tylko przez chwilę zastanawiała się, czy nie podgrzać potrawki, a potem odstawiła garnek na miejsce.

Niosąc sok i miskę, wróciła na stołówkę, łokciem wyłączając światła i kopniakiem zamykając za dobą drzwi. Przysiadła na końcu jednego z długich stołów i zaczęła pochłaniać swój posiłek, cały czas patrząc na mężczyznę, który gapił się w ciemność, jakby coś tam dostrzegał.

W końcu łyżka stuknęła o dno misy, a Juliette dopiła sok. Podczas jej posiłku mężczyzna ani raz nie odwrócił wzroku od ekranu. Odsunęła od siebie naczynia, szaleńczo zaciekawiona. Na to już nieznajomy zareagował, choć prawdopodobnie był to zwykły zbieg okoliczności. Nachylił się do przodu, opierając ręce o ekran. Juliette zdawało się, że widzi w jego dłoni laskę albo pręt, ale było zbyt ciemno, by stwierdzić jednoznacznie. Po chwili oparł się o kolana i Juliette usłyszała zgrzyt węgla na kosztownym papierze. Wstała, traktując ten gest jako zaproszenie. A potem podeszła do miejsca, w którym siedział.

– Ograbiamy spiżarnię, co? – zapytał.

Jego głos ją przestraszył.

– Pracowałam w porze obiadu i... – zająknęła się, zupełnie jakby musiała mu się tłumaczyć.

– Fajnie tak mieć klucze.

Nadal nie odrywał wzroku od ekranu i Juliette uświadomiła sobie, że przed wyjściem powinna jeszcze zamknąć kuchenne drzwi.

– Co robisz? – zapytała.

Sięgnął za siebie i chwycił najbliższe krzesło, a potem przysunął je przed sam ekran. – Chcesz zobaczyć?

Podeszła ostrożnie, złapała za oparcie i z namysłem odsunęła nieco krzesło od mężczyzny. W pomieszczeniu było zbyt ciemno, by móc przyjrzeć się rysom jego twarzy, ale z głosu wydawał się kimś młodym. Zbeształa się w myślach, że nie przyjrzała mu się wtedy, gdy jeszcze było tu znacznie jaśniej. Jeśli ma dobrze wykonywać swoją robotę, musi być zdecydowanie bardziej spostrzegawcza.

– Na co dokładnie patrzymy? – zapytała. Zerknęła mu na kolana, gdzie leżała duża biała kartka, blada w słabym świetle sączącym się z klatki schodowej. Rozłożył ją na czymś płaskim, jakby pod spodem trzymał jakąś deskę.

– Sądzę, że ta parka się rozdzieli. Tylko zobacz.

Wskazał na ekranie miejsce, gdzie czarne kształty wydawały się zlewać w jedno. Kontury i odcienie czerni dla Juliette zdawały się być tylko złudzeniem optycznym – były równie realne co duchy. Ale uważnie śledziła ruch jego palca, zastanawiając się, czy oszalał, czy raczej jest pijany. Nie przerwała też ciszy, która wtedy zapadła.

– Tutaj – wyszeptał nagle, wyraźnie podekscytowany.

Juliette dostrzegła jakiś błysk. Plamę światła. Jakby ktoś zapalił pochodnię na drugim końcu ciemnej sali generatora. Po chwili światło zniknęło.

Zerwała się z krzesła i stanęła tuż przed ekranem, rozmyślając, co też to mogło być.

Trzymany przez mężczyznę węgiel znów zazgrzytał na papierze.

– Co to do cholery było? – zapytała.

Mężczyzna zaśmiał się. – Gwiazda – odparł. – Jeśli poczekasz, zobaczysz ją znowu. Dziś chmury nieco się przerzedziły, a wiatry są bardzo mocne. Ta jedna na pewno się przebije.

Juliette odwróciła się, szukając krzesła, i zobaczyła, że mężczyzna wyciągnął węgiel przed siebie i przymykając oko wpatruje się w punkt, gdzie przed momentem błysnęło światło.

– Jak ty tam możesz cokolwiek dostrzec? – spytała, znów siadając na plastikowym krześle.

– Im dłużej to robisz, tym lepiej widzisz w nocy. – Pochylił się nad kartką i dopisał coś jeszcze. – A ja zajmuję się tym od bardzo dawna.

– Czym? Gapieniem się na chmury?

Znów się zaśmiał. – Tak, robię głównie to. Niestety. Ale staram się dostrzec też to, co za nimi. Patrz uważnie, może znowu coś zobaczymy.

Spojrzała w miejsce, gdzie wcześniej błysnęło światło. Nagle znów się pokazało: jasny punkcik, jak sygnał znad wzgórza.

– Ile zobaczyłaś? – zapytał.

– Jedną – stwierdziła. Ten widok dosłownie zaparł jej dech w piersi. Wiedziała oczywiście, czym były gwiazdy – w końcu należały do jej słownika – ale jeszcze nigdy żadnej nie widziała.

– Tam z boku była jeszcze jedna, bardzo blada. Pokażę ci.

Usłyszała delikatne kliknięcie i na kolanach mężczyzny rozlała się czerwona poświata. Juliette zauważyła, że miał na szyi zawieszoną latarkę, na końcu której założył czerwoną przesłonę – dzięki niej szkło wyglądało, jakby stanęło w płomieniach, ale zarazem świeciło łagodnym światłem, nie aż tak rażącym w oczy jak na przykład światła w kuchni.

Dostrzegła też wtedy, że miał na kolanach dużą kartkę papieru, pokrytą kropkami. Zdawały się porozmieszczane na chybił-trafił, a wokół nich biegły równolegle linie, tworzące kratki. Wszędzie aż roiło się od mikroskopijnych zapisków.

– Kłopot w tym, że one się poruszają – stwierdził mężczyzna. – Jeśli dziś w nocy zobaczę jakąś tutaj – postukał palcem w jedną z kropek, obok której znajdowała się inna, mniejsza – jutro o dokładnie tej samej porze, ona już będzie tutaj. – Kiedy odwrócił się do Juliette, ta zauważyła, że jej rozmówca jest młody, pewnie ma nie więcej niż dwadzieścia kilka lat, i – na swój typowo „biurowy” sposób – jest całkiem przystojny. Uśmiechnął się i dodał po chwili. – Długo mi zajęło, zanim to sobie uświadomiłem.

Juliette chciała mu powiedzieć, że przecież nawet specjalnie długo nie żyje jeszcze na tym świecie, ale przypomniała sobie, jak to bywało, kiedy i jej ktoś czynił ten zrzut.

– Ale po co to robić? – zapytała i jego uśmiech zniknął.

– Po co w ogóle robić cokolwiek? – Odwrócił wzrok ku ścianie, wyłączając latarkę. Juliette wiedziała już, że to pytanie było nie na miejscu, zdenerwowało go. I wtedy zaczęła się zastanawiać, czy w jego działaniach jest coś, co narusza jakieś silosowe tabu. Czy zbieranie informacji na temat świata zewnętrznego różniło się od tego, co robili ludzie którzy gapili się na

wzgórza? Zapamiętała sobie, by spytać o to Marnesa. Nagle mężczyzna znów odwrócił się ku niej w mroku.

– Mam na imię Lukas – rzekł. Oczy Juliette na tyle już przywykły do ciemności, że dostrzegła dłoń wyciągniętą w swoją stronę.

– Juliette – odparła, odwzajemniając uścisk.

– Nowy szeryf.

To nie było pytanie, wiedział przecież doskonale, kim była. Wszyscy na górze o tym wiedzieli.

– Czym się zajmujesz, kiedy tu nie ślęczysz? – zapytała. Była pewna, że to nie jest jego praca. Nikt nie dostaje bonów za gapienie się w chmury.

– Mieszkam na jednym z górnych pięter środka – stwierdził Lukas. – Za dnia pracuję na komputerach. Tutaj przychodzę tylko wtedy, gdy jest wystarczająco dobra widoczność. – Znów włączył latarkę i popatrzył na Juliette, jakby chciał zasugerować, że teraz nie myśli już tylko o gwiazdach. – Na moim piętrze jest facet, który pracuje tu w porze obiadowej. Kiedy wraca do siebie, mówi mi, czy niebo za dnia było zachmurzone. Gdy uniesie dwa kciuki w górę, mogę spróbować swoich sił.

– I rysujesz ich mapę? – Juliette wskazała kartkę.

– Staram się. Do tego pewnie trzeba by kilku pokoleń.

– Wetknął węgiel za ucho, zdjął z kolan szmatkę i starł sobie czarny osad z palców.

– A co potem? – zapytała Juliette.

– Cóż, mam nadzieję, że zarażę tą moją chorobą któregoś cienia i będzie on kontynuował moją misję.

– I tak przez kilka pokoleń?

Zaśmiał się. Juliette uznała, że śmieje się radośnie, nie gorzko. – Minimum.

– Cóż, nie będę ci zatem przeszkadzać – odparła, nagle czując wyrzuty, że go zagaduje. Wstała i wyciągnęła rękę przed siebie, a on uścisnął ją delikatnie. Nie puszczał dłużej, niż się spodziewała.

– Miło było poznać, pani szeryf.

Uśmiechnął się do niej.

Juliette nie zrozumiała ani słowa z odpowiedzi, którą wtedy wymamrotała.

21

Następnego ranka Juliette pojawiła się za biurkiem wyjątkowo wcześnie – po przespaniu ledwie czterech godzin. Obok komputera czekała już na nią paczka: niewielkie zawiniątko z porecyklingowego papieru, powiązane opaskami zaciskowymi do kabli. Uśmiechnęła się na widok tych opasek, a potem wyciągnęła z kieszeni kombinezonu swoje narzędzie uniwersalne. Wysunąwszy najmniejsze ostrze wetknęła je w zatrzask opaski zaciskowej i powoli pociągnęła za mechanizm zapadkowy, starając się go nie uszkodzić. Pamiętała, w jakie wpadła tarapaty będąc cieniem w Maszynowni, gdy przyłapano ją na przecinaniu plastikowego wiązania z płyty. Walker, już wtedy stary zrzęda, za to jawne marnotrawstwo nieźle na nią nawrzeszczał, a potem pokazał jej, że można otwierać te małe zatrzaski w taki sposób, by zachować opaski na przyszłość.

Minęły całe lata i gdy była już znacznie starsza, sama przekazała tę lekcję innemu cieniowi, Scottiemu. Wtedy był jeszcze młodym chłopakiem, ale Juliette zdenerwowała się, gdy popełnił ten sam błąd, co ona kiedyś. Tak go przestraszyła, że zrobił się blady jak ściana i jeszcze przez wiele miesięcy w jej towarzystwie stawał się nerwowy. Może to właśnie przez ten jej wybuch agresji, podczas dalszego szkolenia Scottiego poświęcała mu więcej uwagi i w końcu obydwoje się do siebie zbliżyli. Niedługo wyrósł na kompetentnego młodzieńca, eksperta w dziedzinie elektroniki, który potrafił przeprogramować chipy czasowe pomp szybciej, niż ona je łamała i potem składała do kupy.

Poluźniła drugi koniec opaski, oplatającej paczkę. Wiedziała, że to właśnie od Scottiego. Kilka lat temu chłopaka zwerbowano do działu IT, przeniósł się wtedy na poziomy trzydzieste. Był „zbyt bystry dla Maszynowni”, jak ujął to Knox. Juliette rozdzieliła dwa końce opaski i wyobraziła sobie, jak chłopak szykował dla niej ten pakunek. Jej prośba przetelegrafowana minionej nocy do Maszynowni, musiała zostać przekierowana do niego i spędził całą noc, robiąc jej przysługę.

Powoli rozsunęła papier. Zarówno papier, jak i plastikowe opaski, muszą zostać zwrócone – były dla niej zbyt kosztowne, by mogła je zatrzymać, a jednocześnie na tyle lekkie, że tragarz nie będzie żądał za ich zniesienie dużej kwoty. Kiedy wreszcie zdołała otworzyć paczkę, zwróciła uwagę, że Scottie pomarszczył krawędzie i poskładał gazety jedna pod drugą – tak jak są uczone dzieci, by mogły pakować notatki, nie musząc

płacić za klej czy też taśmę. Ostrożnie rozpakowała ten starannie zrobiony pakunek i w końcu zdołała wyjąć kartki, którymi zabezpieczono przesyłkę. Wewnątrz znalazła plastikowe pudełko, jedno z takich, których używała w Maszynowni do trzymania śrub i nakrętek przy drobnych projektach.

Uniosła wieczko i zobaczyła, że paczka była nie tylko od Scottiego – pewnie przekazano mu ją razem z kopią jej żądania. Kiedy tylko poczuła zapach owsianki i kukurydzianych ciasteczek Mamy Jean, do oczu napłynęły jej łzy. Wyciągnęła jedno, przystawiła sobie pod nos i głęboko wciągnęła powietrze. Może tylko to sobie wyobraziła, ale mogłaby przysiąc, że wyczuła nutkę ropy albo smaru, ulatniającą się z pudełka – zapach domu.

Juliette starannie poskładała papier i położyła na nim ciasteczka. Pomyślała o ludziach, z którymi chciałaby się nimi podzielić. Oczywiście z Marnesem, ale też z Pam ze stołówki, która była tak miła i pomogła jej się zaaklimatyzować w nowym mieszkaniu. I z Alice, młodą sekretarką burmistrz Jahns, która przez ostatni tydzień miała oczy czerwone od płaczu. Wyciągnęła ostatnie ciasteczko i w końcu zauważyła na dnie pojemnika niewielki nośnik danych – mały kąsek wypieczony przez Scottiego i schowany pośród okruchów.

Juliette podniosła go, odsuwając od siebie plastikowe pudełko. Dmuchnęła w metalową końcówkę nośnika, wydmuchując stamtąd okruchy, a potem podłączyła go do komputera. Niespecjalnie radziła sobie z tymi urządzeniami, ale potrafiła je w miarę sprawnie obsługiwać. W Maszynowni nie można było niczego zdziałać, nie napisawszy żądania, raportu, prośby czy innych bzdur. A komputery przydawały się przy logowaniu do pomp i przekaźników, by móc włączać je bądź wyłączać, sprawdzać diagnostykę i tak dalej.

Gdy już zapaliła się doda nośnika, Juliette przeglądnęła jego zawartość na ekranie. Znalazła sporą ilość plików i folderów, ten niewielki dysk musiał być wypchany nimi aż po same brzegi. Zastanawiała się, czy Scottie w ogóle położył się minionej nocy do łóżka.

Na górze listy folderów odnalazła plik o nazwie „Jules”. Kliknęła go i jej oczom ukazał się krótki tekst, zapewne od Scottiego, choć niepodpisany.

J –

Tylko nie daj się złapać, ok? Masz tu wszystko z komputerów pana Lawmana, domowych i służbowych, z ostatnich pięciu lat. Tona plików, bo

nie wiedziałem, czego ci trzeba, a całość była łatwiejsza do skopiowania.

Opaski zaciskowe możesz zatrzymać, mam ich pełno.

(jedno ciasteczko sobie zabrałem, mam nadzieję, że nie masz mi za złe)

Juliette uśmiechnęła się. Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć palcami słów kolegi, ale nie były na papierze, więc wrażenie nie byłoby takie samo. Zamknęła plik i skasowała go, a potem opróżniła kosz. Mimo że zawierał tylko pierwszą literę jej imienia, miała wrażenie, że i to za dużo danych.

Odsunęła się od biurka i zerknęła w stronę pustej i ciemnej stołówki. Nie było jeszcze piątej rano, więc przez jakiś czas Juliette powinna mieć całe piętro wyłącznie dla siebie. Przeglądała poszczególne katalogi, by sprawdzić z jakimi danymi ma do czynienia. Każdy folder został starannie opisany. Wyglądało na to, że ma tu całą historię z dwóch komputerów Holstona, każde stuknięcie w klawisz z każdego dnia, wszystko posegregowane według godzin i dat, i tak aż pięć lat wstecz. Juliette poczuła się przytłoczona samą ilością informacji – było tego więcej, niż dałaby radę przeplewić do końca swojego życia.

Ale przynajmniej to miała. Odpowiedzi, których potrzebowała, tkwiły gdzieś tam, pośród tych wszystkich plików. I jakimś sposobem poczuła się lepiej, wiedząc, że rozwiązanie tej łamigłówki, wyjaśnienie decyzji Holstona dotyczącej czyszczenia, mieściło jej się w dłoni.

* * *

Przesiewała pliki już od kilku godzin, gdy do stołówki wtoczyli się jej pracownicy i zaczęli sprzątać bałagan po wczorajszej nocy, jednocześnie starając się przygotowywać śniadanie. Jedną z najtrudniejszych rzeczy, do których trzeba się było przyzwyczaić mieszkając na górze, było przygotowanie szczegółowego grafiku, którego wszyscy się trzymali. Nie mieli tutaj trzeciej zmiany. Ledwie istniała ta druga, jeśli nie liczyć pracowników stołówki. Maszyny na dole nigdy nie spały, więc pracownicy także nie mogli. Załogi często zostawały na dodatkowych zmianach, a Juliette przywykła do ledwie kilku godzin nocnego odpoczynku. Sztuczka polegała na tym, by niemal padać z wyczerpania od czasu do czasu, oprzeć się wtedy o ścianę i zamknąć oczy na kwadrans, co wystarczało, by opanować zmęczenie.

Ale to, co kiedyś stanowiło o jej przetrwaniu, teraz stało się luksusem. Zdolność rezygnowania ze snu sprawiała, że Juliette nocą i nad ranem miała czas tylko dla siebie i mogła go poświęcić na lekkomyślne zajmowanie się czymś innym, niż najważniejszymi sprawami, którymi miała się zająć. To dawało jej też szansę, by nauczyć się wykonywać tę przeklętą pracę, skoro Marnes był zbyt przygnębiony, by pomóc jej wszystko ogarnąć.

Marnes...

Zerknęła na wiszący nad jego biurkiem zegar. Było dziesięć po ósmej, od stojących w stołówce pojemników z ciepłą owsianką i kaszą kukurydzianą niósł się zapach śniadania. Marnes się spóźniał. Przebywała w jego towarzystwie od niecałego tygodnia, ale jeszcze nie widziała, żeby się z czymś nie wyrobił na czas. To jawne złamanie codziennej rutyny było dla Juliette jak pasek rozrządu, który się rozciągnął, jak tłok, który zaczął się hałaśliwie telepać. Wyłączyła monitor i odsunęła się od biurka. Na zewnątrz zaczęli już pojawiać się pracownicy pierwszej zmiany, czekający na śniadanie – żetony na posiłek stukały raz po raz, lądując w wielkich wiadrach stojących przy obrotowych drzwiach. Wyszła z biura i przedarła się przez tłum wychodzący z klatki schodowej. Kiedy przechodziła obok, jakaś stojąca w kolejce dziewczynka szarpnęła matkę za kombinezon, pokazując palcem Juliette. Ta usłyszała, jak matka beszta córkę za takie niegrzeczne zachowanie.

W ostatnich dniach było sporo plotek na temat jej nominacji: kobieta, która jako dziecko zniknęła w otchłaniach Maszynowni nagle powróciła, by przejąć schedę po jednym z najpopularniejszych szeryfów ostatnich lat. Juliette wzdrygnęła się speszona i popędziła na schody. Na dół biegła z prędkością słabo obładowanego tragarza, jej stopy odbijały się rytmicznie od każdego stopnia, coraz szybciej i szybciej, osiągając w końcu niebezpieczne tempo. Cztery piętra w dół, po wyminięciu jakiejś powolnej pary i rodziny zmierzającej na śniadanie, i wreszcie, pokonując podwójne drzwi, dotarła na piętro tuż pod tym, na którym sama mieszkała.

Korytarz aż huczał od porannych odgłosów: gwiżdżący przenikliwie czajnik, piskliwe głosiki dzieci, tupanie stóp cieni, spieszących na spotkanie ze swoimi opiekunami, by potem ruszyć z nimi do pracy. Młodsze dzieci dreptały ospale do szkoły, mężowie i żony całowali się w progach, a niemowlęta szarpały nogawki ich kombinezonów, upuszczając zabawki i plastikowe kubki.

Juliette pokonała kilka zakrętów, podążając labiryntowym korytarzem i główną klatką schodową ku drugiej części kondygnacji. Apartament zastępcy szeryfa znajdował się daleko, na samych tyłach tego piętra silosu. Przypuszczała, że Marnes w ciągu minionych lat kwalifikował się do co najmniej kilku awansów, ale z nich zrezygnował. Kiedy zapytała o Marnesa Alice, sekretarkę burmistrz Jahns, ta wzruszyła tylko ramionami i wyjaśniła, że on nigdy nie chciał ani nie oczekiwał niczego więcej niż drugorzędnej funkcji. Juliette założyła, że to oznacza, iż nigdy nie planował zostać szeryfem, lecz teraz zaczęła się zastanawiać, ilu innych sfer życia mogła ta jego filozofia dotyczyć.

Kiedy dotarła do jego korytarza, wyminęła ją para trzymających się za ręce dzieciaków, spóźnionych do szkoły. Piszczały i chichotały, biegnąc korytarzem, aż w końcu zniknęły za rogiem i Juliette została sama. Zastanawiała się, jak usprawiedliwi przed Marnesem swoją niezapowiedzianą wizytę, jak wyjaśni swoje zaniepokojenie. Może nadeszła już pora, by spytać o tę teczkę, z którą ani na sekundę się nie rozstawał. Może mu przecież powiedzieć, żeby wziął sobie dzień wolnego, pozwolił Juliette zająć się wszystkimi sprawami, a samemu odsapnął, mogła też skłamać, że i tak miała w tej okolicy coś do załatwienia.

Zatrzymała się przed jego drzwiami i uniosła dłoń, by zapukać. Miała nadzieję, że nie uzna tego za zbytnie wścibstwo. Martwiła się o niego. Nic więcej.

Zastukała w stalowe drzwi i czekała, aż zastępca zawoła, by weszła – może zresztą tak właśnie zrobił, tylko nie było go słychać. W ostatnich dnia jego głos zniżył się do ochrypłego szeptu. Zapukała raz jeszcze, tym razem głośniej.

– Zastępco? – zawołała. – Wszystko w porządku?

Na końcu korytarza jakaś kobieta wystawiła głowę za drzwi. Juliette widywała ją w stołówce podczas szkolnych przerw, była niemal pewna, że tamta miała na imię Gloria.

– Hej, pani szeryf.

– Cześć, Gloria, widziałaś może dziś rano zastępcę Marnesa? Pokręciwszy głową, kobieta wsunęła w usta metalową spinkę i zaczęła upinać swoje długie włosy. – Bie-bidziałam – wymamrotała. Wzruszyła ramionami i wetknęła spinkę w koka. – Kręcił się tutaj minionej nocy, przybity jak zawsze. – Zmarszczyła brwi. – A co, nie pojawił się w pracy?

Juliette odwróciła się do drzwi i złapała za klamkę. Dało się ją gładko przekręcić – mechanizm musiał być utrzymany w dobrym stanie. Otworzyła drzwi. – Zastępco? Tu Jules. Chciałam tylko sprawdzić, co słychać.

Za drzwiami panował mrok. Jedyne światło pochodziło z korytarza, ale to wystarczało.

Juliette odwróciła się do Glorii. – Wołaj doktora Hicksa... Kurwa, nie... – Zastanawiała się nad tym. – Który doktor jest najbliżej? Przyprowadź go!

Wbiegła do pokoju, nie czekając na odpowiedź. W tak małym mieszkaniu nie było warunków, by się powiesić, ale Marnes znalazł sposób. Pasek owinięty wokół szyi, sprzączka uczepiona łazienkowych drzwi. Stopy położył na łóżku, ale pod takim kątem, by nie wspierały ciała. Tyłek opadł poniżej ich poziomu. Twarz policjanta nie była już nawet czerwona, pasek wżynał mu się głęboko w szyję.

Juliette objęła Marnesa w pasie i podniosła go. Być cięższy niż mogło się wydawać. Kopniakiem zrzuciła jego nogi z łóżka i klapnęły ciężko na podłogę, dzięki czemu było go jej łatwiej utrzymać. Ktoś w progu zaklął. Mąż Glorii wbiegł do mieszkania i pomógł Juliette podtrzymać zastępcę. Obydwoje mocowali się z paskiem, starając się odczepić go od drzwi. W końcu Juliette zdołała je otworzyć, uwalniając go.

– Na łóżko – wydyszała.

Podnieśli go i położyli płasko na łóżku.

Mąż Glorii wsparł dłonie na kolanach i oddychał głęboko. – Gloria pobiegła po doktora O’Neila.

Juliette skinęła głową i poluźniła pasek oplatający szyję Marnesa. Skóra pod nim była purpurowa. Starała się wyczuć puls, przypominając sobie, że tak samo wyglądał George, gdy odnalazła go w Maszynowni: nieruchomy i niereagujący na bodźce. Po chwili już była pewna, że widzi drugie zwłoki w swoim życiu.

Wtedy usiadła, spocona, i czekając na przybycie lekarza, zastanawiała się, czy praca, którą przyjęła, nie gwarantuje jej przypadkiem, że to ciało wcale nie będzie ostatnie.

22

Po spisaniu raportu, odkryciu że Marnes nie miał potomka, rozmowie z koronerem na jednej z farm i odpowiedzeniu na pytania hałaśliwych sąsiadów, Juliette w końcu pokonała osiem kondygnacji, by wrócić do biura.

Przez pozostałą część dnia zrobiła już niewiele, drzwi na stołówkę zostawiła otwarte, bo w jej małym gabinecie było tłoczno od duchów. Raz za razem próbowała zatracić się w pracy przy plikach z komputerów Holstona, ale nieobecność Marnesa była niewyobrażalnie bardziej smutna od jego smutnej obecności. Nie do wiary, że już nie żył. To była niemal zniewaga, sprowadzić Juliette tutaj, a potem tak nagle porzucić. Wiedziała, że to, co czuła, było okropne i samolubne, a jeszcze gorzej się do tego przyznawać.

W głowie jej huczało, ale od czasu do czasu zerkała za drzwi, obserwując chmury płynące po odległym ekranie. Zastanawiała się, czy były dziś bardziej przerzedzone, czy gęste, i czy tej nocy będą warunki, by obserwować gwiazdy. Kolejna napędzana poczuciem winy myśl, ale naprawdę czuła się tutaj samotna – ona, kobieta, która szczyciła się tym, że nikogo nie potrzebuje.

Jeszcze długo błądziła w gąszczu plików, a tymczasem w stołówce światło niewidzianego słońca bladło coraz bardziej, minęły dwie zmiany lunchu i dwie kolacji. Nieustannie jednak zerkała na mętne niebo, mając nadzieję – bez żadnych logicznych podstaw – że znów będzie miała szansę spotkać się z tajemniczym łowcą gwiazd poznanym minionej nocy.

Siedząc tutaj, czując zapachy jedzenia i słysząc hałas posiłkujących się mieszkańców górnych czterdziestu ośmiu pięter, Juliette zapomniała o tym, że sama też powinna coś przekąsić. Ale zrobiła to dopiero gdy załoga drugiej zmiany zebrała się do wyjścia, a światła przygaszono o trzy czwarte mocy. Wtedy właśnie Pam przyniosła jej zupę i herbatniki. Juliette podziękowała jej i zaczęła szukać bonów po kieszeniach, ale Pam nie chciała ich przyjąć. Czerwone od łez oczy kobiety skierowały się w stronę pustego fotela Marnesa, i wtedy Juliette uświadomiła sobie, że pracownicy stołówki byli dla Marnesa najbliższymi znajomymi.

Pam wyszła bez słowa, a Juliette zjadła co nieco, mimo że wcale nie miała apetytu. W końcu przyszła jej do głowy jeszcze jedna rzecz dotycząca danych Holstona: dało się przecież poszukać nazwisk, które mogłyby

naprowadzić ją na jakieś wskazówki. W końcu doszła do tego, jak to zrobić. W międzyczasie jej zupa zdążyła wystygnąć. Kiedy komputer przedzierał się przez te wszystkie dane, Juliette zabrała miskę i kilka teczek, a potem wyszła z biura na stołówkę. Usiadła przy stoliku najbliżej ekranu.

Szukała już gwiazd na własna rękę, kiedy nagle obok usiadł Lukas. Nie odezwał się, tylko przysunął sobie krzesło, wziął tablicę i papier, i wbił wzrok w panujące na zewnątrz ciemności.

Juliette nie miała pojęcia, czy milczy, bo nie chce jej przerywać, czy jest tak nieuprzejmy, że nawet się nie przywita. W końcu uznała, że chodzi o tę pierwszą ewentualność, i jego milczenie wydało jej się czymś zupełnie normalnym.

Minęło trochę czasu. Jakieś dwanaście minut. Nie było widać żadnych gwiazd, nie było o czym gadać. Juliette ścisnęła trzymane na kolanach akta, żeby tylko dać palcom jakieś zajęcie. Od strony schodów dobiegł ich śmiech grupy idącej korytarzem kilka pięter niżej, a potem znów zapanowała cisza.

– Przykro mi z powodu twojego partnera – odezwał się w końcu Lukas. Dłońmi wygładzał papier leżący na tablicy. Jeszcze nie postawił dziś ani jednej kropki, nie sporządził ani jednej notatki.

– Doceniam to – odparła Juliette. Nie była pewna, jak brzmi właściwa odpowiedź, ale ta wydawała się co najmniej nie na miejscu. – Szukałam gwiazd, ale żadnej nie zauważyłam – dodała.

– I nie zobaczysz. Nie dzisiaj. – Machnął ręką na ekran. – Takie chmury są najgorsze.

Juliette przyglądała im się, w słabej poświacie zmierzchu ledwie mogąc rozróżnić jedną od drugiej. Na jej oko wcale nie wyglądały inaczej od pozostałych.

Lukas niepostrzeżenie obrócił się na krześle. – Muszę ci coś wyznać, skoro jesteś stróżem prawa i tak dalej.

Juliette sięgnęła ku gwieździe szeryfa wiszącej na jej piersi. Często było tak, że niemal zapominała, kim teraz jest.

– Tak?

– Wiedziałem, że dziś będzie gęsto od chmur. A i tak tu przyszedłem.

Juliette miała nadzieję, że ciemności skryły jej uśmiech.

– Nie jestem pewna, czy w Pakcie znajdują się jakieś zapisy dotyczące tego rodzaju... dwulicowości – stwierdziła.

Lukas parsknął śmiechem. To było dziwne – jak znajomo brzmiał jego śmiech, i jak bardzo ona potrzebowała go usłyszeć. Juliette nagle poczuła, że musi go uścisnąć, wtulić się w jego szyję i wybuchnąć płaczem. Niemal poczuła, jak jej ciało zaczyna już planować poszczególne ruchy – mimo to coś ją blokowało. To się nigdy nie wydarzy. Zdawała sobie z tego sprawę, mimo wszystkich emocji, które teraz szalały w jej sercu. To przez samotność, przez grozę trzymania w ramionach Marnesa, czucie ciężaru tego martwego ciała, z którego uleciało to, co trzymało je przy życiu. Pragnęła bliskości, a ten mężczyzna był jedyną osobą, którą znała na tyle słabo, by móc wymagać od niej takiego gestu.

– Co teraz będzie? – zapytał, gdy tylko przestał się śmiać.

Juliette omal nie wypaliła głupio: między nami? Lecz Lukas w ostatnim momencie ją uratował.

– No wiesz: na kiedy planowany jest pogrzeb i gdzie się odbędzie? – dodał.

Skinęła głową.

– Na jutro. Nie trzeba czekać aż przybędzie rodzina, nie trzeba też prowadzić żadnego dochodzenia. – Z trudem powstrzymała łzy. – Nie zostawił testamentu, więc ode mnie zależy, jaki to będzie miało przebieg. Zdecydowałam, że powinien spocząć obok pani burmistrz.

Lukas wbił wzrok w ekran. Całe szczęście było tak ciemno, że nie było widać leżących na zboczu ciał czyścicieli. – Tam jest jego miejsce – odparł.

– Sądzę, że byli potajemnymi kochankami – wypaliła Juliette. – A jeśli nawet nie kochankami, to na pewno byli ze sobą blisko.

– Krążyły różne pogłoski – przytaknął. – Nie rozumiem tylko, po co trzymać to w tajemnicy. Nikt by się tym nie przejął.

Siedząc w ciemnościach z nieznajomym, łatwiej było jej mówić o tych sprawach, niż przebywając na dole, w gronie bliskich przyjaciół.

– Może sami woleli, żeby nikt się nie dowiedział – wypowiedziała swoje myśli na głos. – Jahns była już wcześniej mężatką. Chyba zdecydowali się to uszanować.

– Tak? – Lukas napisał coś na kartce. Juliette podniosła wzrok, ale nie zauważyła na ekranie żadnej gwiazdy. – Dla mnie to nie do wiary... kochać kogoś potajemnie – stwierdził.

– A ja nie potrafię sobie wyobrazić tego, żeby miłość musiała zależeć od czyjejś zgody, na przykład ojca dziewczyny, czy choćby od

założeń Paktu – odparła.

– Nie? A jak twoim zdaniem miałoby to działać? Ludzie dobierają się w pary kiedy chcą i jak chcą?

Nie odpowiedziała.

– Jak wtedy mieliby brać udział w loterii? – zapytał, uporczywie ciągnąc temat. – Nie rozumiem, dlaczego by tych kwestii nie roztrząsać otwarcie. To przecież święto, nie uważasz? Mamy cały rytuał, mężczyzna prosi ojca ukochanej o zgodę...

– Cóż, a ty nie masz nikogo? – przerwała mu Juliette. – To znaczy... Pytam, bo wydaje mi się, że masz na ten temat wyrobione zdanie, ale może...

– Jeszcze nie – odparł, znów ratując ją przed wstydem. – Ostatkiem sił jestem w stanie znosić poczucie winy mojej mamy. Każdego roku lubi mi przypominać, ile loterii już przegapiłem i jaki to ma wpływ na jej szanse posiadania wnuków. Tak jakbym nie znał własnych statystyk. Ale hej, mam dopiero dwadzieścia pięć lat.

– Rozumiem – odparła Juliette.

– A jak z tobą?

Niemal powiedziała mu to wprost. Niemal zdradziła swój sekret, bez specjalnego namawiania z jego strony. Jakby ten mężczyzna, ten chłopak, obcy dla niej, był kimś, komu można zaufać.

– Nie trafiłam dotąd na tego jedynego – skłamała.

Lukas zaśmiał się w swój młodzieńczy sposób. – Nie, nie. Chodziło mi o to, ile masz lat? A może nieuprzejmie pytać?

Poczuła wszechogarniającą ulgę. Sadziła, że Lukas chce wiedzieć, czy się z kimś spotyka.

– Trzydzieści cztery. Mówiono mi, że niełądnie pytać kogoś o wiek, ale ja raczej rzadko kiedy trzymam się zasad.

– I to mówi pani szeryf – odparł Lukas, śmiejąc się z własnego dowcipu.

Juliette uśmiechnęła się. – Zdaje mi się, że jeszcze do tego nie przywykłam.

Odwróciła się do ekranu i obydwoje cieszyli się chwilą ciszy. To było takie dziwne, siedzieć tu z tym mężczyzną. Czuła się w jego obecności młodsza i bezpieczniejsza. A już na pewno mniej samotna. Też uważała go za samotnika, kojarzył jej się z dziwną nakrętką, niepasującą do żadnej normalnej śruby. I oto tkwił tutaj, na drugim krańcu silosu, niestrudzenie

szukając gwiazd, kiedy ona swój wolny czas na dole zwykła spędzać w kopalniach, na drugim krańcu silosu, szukając pięknych skał.

– Wygląda na to, że ta noc nie będzie dla nas zbyt urodzajna – stwierdziła w końcu, przerywając milczenie i pocierając palcami leżącą na kolanach teczkę.

– Och, sam nie wiem – odparł Lukas. – Zależy od tego, po co tutaj przyszłaś.

Juliette uśmiechnęła się. I po drugiej stronie obszernej sali, ledwie słyszalnie, komputer na jej biurku zapiszczał, kończąc przeszukiwanie danych Holston. Zaraz miały pojawić się rezultaty wyszukiwania.

23

Następnego ranka, zamiast wspinać się do swojego biura, Juliette zeszła pięć pięter w dół, na farmy, gdzie miał się odbyć pogrzeb Marnesa. Dla jej zastępcy nie zostanie założona żadna teczka, nie będzie żadnego dochodzenia, opuszczą tylko jego stare, zmęczone ciało w głębiny ziemi, gdzie będzie się rozkładać i karmić korzenie roślin. To była dziwna myśl, stać w tłumie i rozmyślać o Marnesie, czy stanie się teczką, czy też nie. Mniej niż tydzień w nowej robocie, a ona już widziała szare teczki z aktami jako miejsca, w których mieszkają duchy. Nazwiska i numery spraw. Życia ludzkie sprasowane do mniej więcej dwudziestu kartek papieru z recyklingu, kawałki żyłek i zszywek różnych barw splecione pod czarnym atramentem, którym spisano smutną historię zmarłych.

Mimo że ceremonia trwała długo, wcale się taka nie wydawała. W pobliżu nadal znajdował się świeży kopiec po pochówku Jahns. Wkrótce oni oboje wnikną w korzenie roślin, które wyżywią żyjących mieszkańców silosu.

Ksiądz i jego cień krążyli po tłumie, częstując zebranych owocami. Juliette dostała od nich dojrzałego pomidora. Obydwaj ubrani w czerwone szaty, wędrując śpiewali kościelną pieśń, ich głosy były donośne i uzupełniały się nawzajem. Juliette wgryzła się w owoc, pozwalając, by sok spłynął jej na kombinezon. Przeżuła kęs i przełknęła. Wiedziała, że pomidor był przepyszny, ale odczuła to jedynie w pewien mechaniczny sposób. Ciężko było się nim w pełni nacieszyć.

Kiedy przyszła pora, by zasypać dół ziemią, Juliette uważnie rozglądała się po tłumie. Dwoje ludzi z góry umiera w przeciągu niecałego tygodnia. W innej części silosu trafiły się dwa inne zgony, więc tydzień był naprawdę fatalny.

Albo dobry, w zależności od punktu widzenia. Zauważyła bezdzietne pary żwawo wgryzające się w owoce: splecione dłonie, ciche obliczenia w myślach. Jak na gust Juliette, loterie przypadały zbyt szybko po czyjejś śmierci. Zawsze uważała, że powinny przypadać na tę samą datę każdego roku, żeby ludzie mogli myśleć, że to i tak ich czeka, czy ktoś umrze, czy nie.

Jednak kiedy opuszczano do dołu ciało i zrywano dojrzałe owoce rosnące nad grobami, rytuał ten miał uświadomić wszystkim: oto cykl naszego życia, to nieuniknione, trzeba się z tym pogodzić, dbać o to,

doceniać, co dostajemy w zamian. Jeden odchodzi, zostawiając dar wyżywienia innych, życia. Robi miejsce dla kolejnego pokolenia. My się rodzimy, jesteśmy cieniami, szkolimy własne cienie, a potem odchodzimy. I można mieć jedynie nadzieję na to, że zostanie się zapamiętanym przez dwa kolejne pokolenia.

Zanim dół został całkowicie zasypany, uczestnicy uczty stanęli na skraju działki i wrzucili do dołu resztki owoców. Juliette zrobiła krok naprzód i dodała pozostałości swojego pomidora do gradu skórek i kawałków miąższu. Ci, którzy spudłowali, rzucali potem grudy czarnej, żyznej gleby, zostawiając po sobie kopiec, który z czasem i po kilku podlewaniach, się utrwali.

Po pogrzebie Juliette zaczęła się wspinać z powrotem do swojego biura. Czuła w nogach kolejne mijane kondygnacje, mimo że szczyciła się swoją dobrą kondycją. Jednak chodzenie i wspinanie się po schodach to były dwa zupełnie odrębne rodzaje ćwiczeń. To nie było to samo, co machanie kluczem czy odkręcanie zardzewiałych nakrętek, tu trzeba było innego rodzaju wytrzymałości niż ta, która pozwala nie spać i zachowywać przytomność w trakcie dodatkowych zmian. Stwierdziła, że wspinaczka jest czynnością nienaturalną. Tego rodzaju wysiłek nie był ludziom przeznaczony. Wątpiła, by byli stworzeni do podróży dalszych niż w obrębie jednej kondygnacji silosu. Ale wtedy wyminął ją kolejny tragarz – powitalny uśmiech na młodej twarzy, stopy tańczące na stalowych stopniach – i Juliette zaczęła się zastanawiać, czy do opanowania tej czynności nie trzeba po prostu dłuższej praktyki.

Kiedy w końcu dotarła z powrotem do stołówki, była już pora lunchu, i cała sala aż szumiała od rozmów i stukania metalowych sztućców o metalowe talerze! Sterta listów przed jej biurem znacznie urosła. Stały tam także: roślina w plastikowym wiadrze, para butów i niewielka rzeźba zrobiona z kolorowego drutu. Juliette zatrzymała się przed tą kolekcją. Skoro Marnes nie miał żadnej rodziny, chyba do jej zadań będzie należało przejrzenie tego wszystkiego i dopilnowanie, by poszczególne przedmioty trafiły do tych, którzy zrobią z nich najlepszy użytek. Nachyliła się i podniosła jedną z kartek. Pismo było bardzo niepewne, nabazgrane kredką. Wyobraziła sobie, że uczniowie szkoły poświęcili zajęcia z rzemiosła na napisanie kartek dla zastępcy Marnesa. To zasmuciło ją mocniej niż jakakolwiek ceremonia. Otarła łzy i przeklęła nauczycieli, którzy postanowili wplątać dzieciaki w coś tak okropnego.

– Ich w to nie mieszajcie – wyszeptała sama do siebie.

Odłożyła kartkę i wzięła się w garść. Marnesowi by się to spodobało, zdecydowała. Nie było go trudno rozgryźć, należał do tych ludzi, którym starzeje się wszystko z wyjątkiem serca – organu, który nigdy się nie zużył, bo Marnes nigdy w pełni z niego nie korzystał.

W swoim biurze zdumiona odkryła, że ma towarzystwo. Nieznajomy siedział za biurkiem Marnesa. Oderwał wzrok od komputera i uśmiechnął się do niej. Już miała go spytać, kim jest, kiedy Bernard – nie była w stanie myśleć o nim jako o tymczasowym burmistrzu – wyszedł z celi, trzymając w dłoni teczkę, i uśmiechnął się do Juliette.

– Jak przebiegło nabożeństwo? – zapytał.

Juliette przeszła przez biuro i wyrwała mu akta z ręki. – Proszę tu niczego nie fałszować.

– Fałszować? – Bernard parsknął śmiechem, poprawiając sobie okulary. – To teczka zakończonej już sprawy. Miałem ją zabrać do swojego biura i zarchiwizować.

Juliette zerknęła na teczkę i zauważyła, że zawiera akta dotyczące Holstona.

– Wiesz, że musisz mi o wszystkim meldować, prawda? Mogłaś chociaż rzucić okiem na Pakt, zanim Jahns cię zaprzysiężyła.

– Zajmę się tym, dzięki. – Juliette zostawiła go przy otwartej celi i wróciła do swojego biurka. Włożyła teczkę do szuflady, sprawdziła, czy nośnik danych nadal wystawał z gniazda jej komputera i zerknęła na siedzącego naprzeciwko faceta.

– A ty kim jesteś?

Mężczyzna wstał i fotel Marnesa jak zwykle zaskrzypiał donośnie. Juliette starała się przestać myśleć, że to nadal jest jego fotel.

– Peter Billings, proszę pani – wyciągnął przed siebie dłoń. Juliette ją uścisnęła. – Właśnie zostałem zaprzysiężony. – Uszczypnął krawędź swojej gwiazdy i pokazał ją jej.

– Tak naprawdę to Peter miał dostać twoją posadę – zauważył Bernard.

Juliette zastanawiała się, co miał na myśli, albo po co w ogóle o tym wspominał. – Potrzeba ci czegoś? – zapytała Bernarda. Wskazała gestem biurko, całe zawalone papierami, bo ona tymczasem zajmowała się głównie sprawami Marnesa. – Jeśli chcesz, żebym coś dla ciebie załatwiła, mogę tę prośbę dołożyć na sam dół którejś z tych stert.

– To, co ja ci daję, ma trafiać na samą górę – odparł Bernard. Plasnął ręką w teczkę z nazwiskiem Jahns. – Robię ci przysługę, że w ogóle tu przychodzę i spotykam się z tobą. Tak naprawdę to ty powinnaś zejść do mojego biura.

– Po co więc to spotkanie? – drążyła Juliette. Nie spojrzała na niego, zajęta sortowaniem dokumentów. Miała nadzieję, że widząc jaka jest zapracowana, po prostu sobie pójdzie i będzie mogła podszkolić trochę Petera w tym, co dotąd jej samej udało się ogarnąć – a było tego niewiele.

– Jak sama wiesz, w ostatnich tygodniach było sporo różnych... rotacji. Co jest bezprecedensowe, przynajmniej od czasu powstania. I rodzi to pewne zagrożenia, jeżeli nie będziemy wszyscy działać jednomyślnie. – Przycisnął palcem teczkę, którą Juliette próbowała mu zabrać. Podniosła wzrok.

– Ludzie chcą ciągłości. Chcą wiedzieć, że jutro będzie podobne do wczoraj. Chcą być tego pewni. Dopiero co mieliśmy czyszczenie i ponieśliśmy kilka strat, więc nastroje są wyraźnie zmienne. – Kiwnął ręką na sterty teczek piętrzące się na biurkach Juliette i Marnesa. Młody mężczyzna, siedzący przy tym drugim, przyglądał się jednej stercie, jakby większa jej część miała przesypać się zaraz na jego blat, przez co będzie miał jeszcze więcej pracy. – Właśnie dlatego zamierzam ogłosić moratorium. Nie tylko wzmocni ono ducha w całym silosie, ale pomoże waszej dwójce uporządkować poszczególne sprawy, żebyście nie zostali nimi zawaleni ucząc się wypełniania swoich obowiązków.

– Czyste konto? – zapytała Juliette.

– Dokładnie. Wszystkie te pijackie sprzeczki. Na co to komu? – Podniósł teczkę i przeczytał zamieszczone na niej nazwisko. – O nie, co ten Pickens znowu zmajstrował?

– Zjadł szczura swojego sąsiada – odparła Juliette. – Domowego pupila.

Peter Billings zachichotał. Juliette zerknęła w jego stronę, zastanawiając się, dlaczego nazwisko mężczyzny wydaje się jej znajome. Potem to do niej dotarło, gdy przypomniała sobie notatkę, którą dołączył do akt. Ten chłopak, właściwie jeszcze dzieciak, był cieniem sędziego, teraz dopiero sobie uświadomiła. Patrząc na niego, ciężko jej to było sobie wyobrazić. Wydawał się bardziej w typie pracowników działu IT.

– Sądziłem, że trzymanie w domach szczurów jest nielegalne – rzekł Bernard.

– Bo jest. On wystąpił z roszczeniem. To odwetowy kontrproces... – przetrząsała kolejne akta. – Do tego tutaj.

– Zobaczmy... – odparł Bernard. Wziął do ręki drugą teczkę, a potem wrzucił obie do śmietnika. Wszystkie te starannie sortowane dokumenty oraz notatki rozsypały się i wymieszały ze stertą papierów czekających na przemiał.

– Wybaczyć i zapomnieć – powiedział, zacierając ręce. – To będzie moje hasło wyborcze. Ludzie właśnie tego potrzebują. Chodzi o nowy początek, puszczenie przeszłości w niepamięć i patrzenie w przyszłość podczas tych niespokojnych czasów! – Mocno klepnął ją w plecy, skinął głową do Petera i ruszył w kierunku drzwi.

– Hasło wyborcze? – zapytała, zanim jeszcze wyszedł. I uświadomiła sobie, że jedna z tych teczek, które miało objąć to całe wybaczanie, zawierała akta sprawy, w której on był głównym podejrzanym.

– O tak – zawołał przez ramię Bernard. Oparł się o futrynę i obejrzał za siebie. – Po długim namyśle zdecydowałem, że nikt nie jest lepiej wykwalifikowany do pełnienia tej funkcji ode mnie. Nie widzę problemu, bym pełniąc funkcję burmistrza, nie mógł kontynuować pracy w dziale IT. Tak naprawdę już to robię! – Puścił jej oko. – No wiesz: ciągłość – dodał i już go nie było.

* * *

Resztę popołudnia – trwającą znacznie dłużej niż to, co Peter Billings uważał za „rozsądne godziny pracy” – Juliette spędziła na podszkalaniu nowego zastępcy. Najbardziej potrzebowała kogoś, kto będzie porządkował skargi oraz odpowiadał na komunikaty radiowe. Wcześniej zajmował się tym Holston, łapiąc w zasięg górne czterdzieści osiem kondygnacji i odpowiadając na każde zajście. Zastępca Marnes miał nadzieję, że potem zajmie się tym Juliette, bo ma młode i zdrowe nogi. Twierdził też, że ładna kobieta może zrobić „wiele dobrego” samym pojawieniem się na miejscu przestępstwa. Juliette podejrzewała, że miał na myśli coś zupełnie innego. Sądziła że Marnes chciał, żeby była poza biurem, aby mógł zostać sam ze swoją teczką i uwięzionym w niej duchem pani burmistrz. I doskonale rozumiała tę potrzebę. Posłała więc Petera Billingsa do domu, dając mu listę apartamentów i kupców, do których miał się odezwać nazajutrz. W końcu mogła w spokoju usiąść przed komputerem i sprawdzić wyniki wczorajszego wyszukiwania.

Narzędzie sprawdzania pisowni przyniosło ciekawe efekty. Nie znalazło nazwisk, których się spodziewała, tylko długie bloki zakodowanego tekstu: bełkot z dziwnymi znakami przestankowymi, wcięciami i z osadzonymi słowami, które rozpoznawała, choć zdawały się być nie na miejscu. Te potężne akapity były rozsiane po całym komputerze Holstona, a najstarszy pochodził sprzed trzech lat. To pasowało do osi czasowej, ale uwagę Juliette zwróciło, jak często te dane pojawiały się w zagnieżdżonych folderach. Czasami na głębokość dwunastu lub więcej folderów. Jakby ktoś za wszelką cenę starał się je ukryć, ale zarazem bojąc się, że je utraci chciał mieć liczne, poukrywane kopie.

Założyła, że dane zostały zaszyfrowane i czymkolwiek były, były ważne. Skubała mały bochenek chleba i zanurzała kawałki w paście kukurydzianej, w tym samym czasie przesyłając ten bełkot do Maszynowni. Było tam kilku na tyle bystrych facetów, że mogli coś z tego pojąć, szczególnie Walker. Żując chleb, przez kolejne godziny przeglądała to, co udało jej się dowiedzieć na temat ostatniego roku życia Holstona. Trudno było wyróżnić wszystkie jego działania, dowiedzieć się, co było istotne, a co stanowiło zwykły szum, ale podeszła do tego stosując żelazną logikę, jak do każdej innej awarii. Bo doszła do wniosku, że właśnie z tym ma do czynienia. Z awarią. Stopniową i ciągnąca się bez końca. Niemal nieuniknioną. Utrata żony była jak pęknięcie uszczelki. Wszystkie kolejne usterki Holstona dało się namierzyć, niemal mechanicznie, aż po dzień jej śmierci.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie sobie uświadomiła, było to, że jego komputer nie miał przed nią tajemnic. Holston rzecz jasna stał się nocnym markiem, tak jak i ona, godzinami przesiadując przed komputerem w swoim mieszkaniu. To była kolejna cecha, która ich ku sobie zbliżała, wzmacniając tylko obsesję, jaką czuła w stosunku do tego mężczyzny. Sprawdzanie jego komputera domowego oznaczało, że połowę danych mogła po prostu zignorować. Stało się też jasne, że większość czasu poświęcał na prowadzenie dochodzenia dotyczącego jego żony, tak jak Juliette robiła teraz w stosunku do niego. To była najgłębsza więź łącząca Juliette z Holstonem. Oto ona sama sprawdzała ostatniego dobrowolnego czyściciela, tak jak on sprawdzał wcześniej swoją żonę, mając nadzieję, że odkryje jakiż to powód mógł sprawić, że ktoś zechce wyjść na zewnątrz.

I właśnie wtedy Juliette zaczęła odnajdywać kolejne wskazówki, nadające ich związkowi niemal upiorny wymiar. Allison, żona Holstona,

odkryła tajemnicę starych serwerów. Dzięki dokładnie tej samej metodzie dane Holstona stanęły otworem przed Juliette, a wcześniej przed Allison i Holstonem odkryły jakiś sekret. Skupiając się na skasowanych emailach między małżonkami i zauważając komunikacyjną eksplozję, jaka pojawiła się, gdy Allison opublikowała dokument dotyczący odzyskiwania usuniętych plików, Juliette natknęła się na pewien istotny wątek. Była coraz mocniej przekonana, że Allison odkryła coś na tych serwerach. Ciężko było jednak ustalić, o co mogło chodzić – i czy po znalezieniu tego czegoś, Juliette będzie w stanie to w ogóle rozpoznać.

Obracała w umyśle kilka pomysłów, łącznie z tym, że Allison wściekła się przez niewierność męża. Lecz Juliette miała dość empatii dla Holstona, by wiedzieć, że nie o to chodziło. I wtedy uświadomiła sobie, że każda aktywność zdawała się prowadzić z powrotem do całych akapitów bełkotu, i Juliette nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, bo po prostu jej nie rozumiała. Dlaczego Holston – a tym bardziej Allison – miałby przez tyle czasu gapić się w coś tak nonsensownego. Dzienniki aktywności pokazywały, że pliki pozostawały otwarte przez całe godziny, jakby te zamazane litery i symbole dało się odczytać. Dla Juliette to wyglądało niczym całkiem nowy język.

I przez coś takiego Holston i jego żona poszli na czyszczenie? W silosie powszechnie zakładano, że Allison po prostu oszalała na punkcie wyjścia na zewnątrz, a potem Holston już do reszty pogrążył się w rozpaczy. Ale Juliette nie była w stanie tego kupić. Nie lubiła żadnych zbiegów okoliczności. Kiedy rozbierała na części maszynę, którą zamierzała naprawić, i po kilku dniach pojawiał się jakiś nowy problem, zazwyczaj musiała jedynie prześledzić kilka końcowych kroków ostatniej naprawy. Zawsze znajdywała tam odpowiedź. Tę zagadkę widziała w dokładnie ten sam sposób: najprościej było założyć, że obydwoje chcieli wyjść na zewnątrz z dokładnie tego samego powodu.

Nie miała jednak pojęcia, o co mogło chodzić. I obawiała się, że ona także może w końcu przez to oszaleć...

Potarła zmęczone oczy. Kiedy znów spojrzała na biurko, jej uwagę przykuły akta Jahns. Na samej górze pliku dokumentów znajdował się raport medyczny dla Marnesa. Odsunęła go i sięgnęła po znajdującą się niżej notatkę, którą Marnes własnoręcznie napisał i zostawił na nocnym stoliku:

„To miałem być ja”.

Tak niewiele słów, pomyślała Juliette. Ale z drugiej strony, do kogo w silosie mógł się zwracać? Bacznie studiowała to zdanie, lecz niewiele była w stanie z niego wycisnąć. To jego menażka została zatruta, jego, a nie Jahns. Z tego powodu jej przypadek można było zakwalifikować jako nieumyślne spowodowanie śmierci, co było dla Juliette zupełnie nowym terminem. Marnes wyjaśnił coś jeszcze, jeśli chodzi o prawo: najgorszym przewinieniem, jakie można było komukolwiek przypisać, była nieskuteczna próba zabicia właśnie jego, a nie fuszerka prowadząca do śmierci pani burmistrz. Co znaczyło, że jeśli będzie można kogokolwiek oskarżyć, ta osoba powinna pójść do czyszczenia za nieudaną próbę zabicia Marnesa. W przeciwnym razie – za to, że przypadkowo zabiła Jahns – dostałaby tylko pięć lat kurateli i obowiązek wykonywania prac społecznych w silosie. Juliette uważała, że to jakaś pokręcona sprawiedliwość i pewnie ona właśnie tak osłabiła biednego Marnesa. Nie było żadnej nadziei na prawdziwą sprawiedliwość, życie za życie. Te dziwne prawa, połączone z bolesną wiedzą, że sam niósł truciznę w swoim plecaku, śmiertelnie go zraniły. Musiał żyć jako tragarz dostarczający truciznę, zdając sobie niestety sprawę, że dobra rzecz, jaką był wspólny marsz, przyniosła śmierć jedynej osobie, którą kochał.

Juliette trzymała list samobójcy i przeklinała samą siebie, że tego nie przewidziała. To załamanie było przecież widoczne, ten problem dało się rozwiązać działaniami prewencyjnymi. Mogła coś powiedzieć, wyciągnąć pomocną dłoń. Ale zamiast tego była zajęta sobą, próbując utrzymać się na powierzchni przez te pierwsze dni na nowym stanowisku i nie zauważyła, że mężczyzna, który zaciągnął ją na górę, rozpadał się dosłownie na jej oczach.

Ikona skrzynki zapaliła się, co wyrwało ją z niepokojących rozmyślań. Sięgnęła po mysz i przeklęła samą siebie. Spora część danych, które kilka godzin wcześniej posłała do Maszynowni, musiała zostać odrzucona. Może wysłała za dużo naraz. Ale wtedy dotarło do niej, że otrzymała wiadomość od Scottiego, przyjaciela z IT, który wcześniej dostarczył nośnik danych.

„Przyjdź natychmiast” – napisał.

Dziwaczne żądanie. Mgliste a zarazem złowrogie. Szczególnie biorąc pod uwagę, jak późna była godzina. Juliette zgasiła monitor, wyjęła nośnik z komputera, na wypadek wizyty kolejnych gości, i przez chwilę rozważała, czy nie przypiąć do swojego pasa zabytkowego pistoletu

Marnesa. Wstała, podeszła do szafki i przesunęła ręką po pasie, wyczuwając miejsce, gdzie przez dekady odcisnął się w starej skórze kształt broni. Znów pomyślała o lakonicznym liściku zastępcy i popatrzyła na jego pusty fotel. Postanowiła zostawić broń na jej miejscu. Skinęła głową w stronę jego biurka, upewniła się, że ma klucze i wybiegła za drzwi.

24

Trzeba było zejść trzydzieści cztery piętra, by dotrzeć do IT. Juliette pokonywała stopnie z taką lekkością, że musiała trzymać się wewnętrznej poręczy, żeby nie wylecieć na zewnątrz, wpadając na tych, którzy szli na górę. Przy szóstym wyprzedziła tragarza, który przestraszył się, że ktoś go wymija. W okolicy dziesiątej kondygnacji zaczęła mieć już zawroty głowy od gonienia w kółko po spirali schodów. Zastanawiała się, jak Marnes i Holston mogli wystarczająco szybko odpowiadać na wezwania. Dwa pozostałe posterunki – jeden na poziomach środkowych, drugi na dole – zostały usytuowane blisko środka swojego rewiru, który składał się z czterdziestu-ośmiu pięter, i takie położenie było znacznie lepszym pomysłem. Dotarłszy do dwudziestych pięter, zastanawiała się nad faktem, że jej biuro nie było na tyle dobrze usytuowane, żeby mogła reagować na to, co dzieje się w odległych częściach jej rewiru. Zamiast tego umiejscowiono je przy śluzie i celi, tuż obok silosowych odpowiedników kary śmierci. Przeklinała tę decyzję, myśląc już o tym, jak będzie wyglądała droga powrotna.

Pędząc przez kolejne kondygnacje z dwójką na przodzie, niemal przewróciła mężczyznę, który nie patrzył, gdzie idzie. Objęła go ramieniem, drugim chwytając się barierki, dzięki czemu żadne z nich się nie poobijało. Przeprosił, ona zaś z trudem powstrzymała cisnące się na usta przekleństwo. I wtedy zauważyła, że przecież to Lukas – na plecach miał tę swoją tablicę, z kieszeni wystawały mu grudki węgla.

– Och, cześć – zawołał.

Uśmiechnął się na jej widok, ale zaraz posmutniał, widząc, że Juliette pędzi w przeciwnym kierunku.

– Przepraszam – odparła. – Muszę lecieć.

– Oczywiście.

Zszedł jej z drogi i Juliette wreszcie mogła go puścić. Skinęła głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Myślała teraz tylko o Scottiem. Pobiegła więc dalej, zbyt szybko, by mieć czas oglądać się za siebie.

Kiedy wreszcie dotarła na trzydzieste czwarte, przystanęła na półpiętrze, by złapać oddech i powstrzymać zawroty głowy. Popatrzyła na swój kombinezon – gwiazda była na swoim miejscu, nośnik tkwił w kieszeni – a potem otworzyła główne drzwi działu informatycznego, próbując iść takim krokiem, jakby tu właśnie było jej miejsce.

Szybko rozejrzała się po hallu za drzwiami. Na prawo miała okno wychodzące na salę konferencyjną. Wewnątrz paliło się światło, mimo że był środek nocy. Przez szkło dostrzegła kilka głów; miało tam miejsce jakieś spotkanie. Wydawało jej się, że słyszy donośny i nosowy głos Bernarda, przenikający przez drzwi.

Przed nią znajdowała się bramka prowadząca do labiryntu mieszkań, biur i warsztatów. Juliette potrafiła wyobrazić sobie plan piętra; słyszała, że te trzy kondygnacje IT miały wiele wspólnego z Maszynownią, tyle że nie były równie fajne.

– Mogę w czymś pomóc? – Młodzieniec w srebrnym kombinezonie odezwał się do niej zza bramki.

Podeszła bliżej.

– Szeryf Nichols – przedstawiła się. Pokazała mu kartę identyfikacyjną, a potem przeciągnęła ją pod skanerem bramki. Pojawiło się czerwone światło i bramka zabrzęczała wściekle. Nie otworzyła się jednak. – Chcę się widzieć ze Scottiem, jednym z waszych techników. – Znów przeciągnęła kartę, lecz rezultat pozostał ten sam.

– Była pani umówiona? – zapytał tamten.

Juliette zmierzyła go wzrokiem.

– Jestem szeryfem. Odkąd to niby muszę się wcześniej z kimś umawiać? – Znów użyła karty i bramka znów zabrzęczała.

Mężczyzna nawet nie spróbował jej pomóc.

– Proszę tego nie robić – rzekł.

– Słuchaj, synku, prowadzę tutaj ważne dochodzenie. A ty wchodzisz mi w drogę.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej. – Na pewno wie pani, że mamy szczególną pozycję i pani władza nie...

Juliette schowała kartę i wyciągnęła ręce przez bramkę, oburącz łapiąc mężczyznę za kombinezon. Niemal przewlekła go na drugą stronę, napinając muskularne ramiona, które zwykły wykręcać niezliczone śruby.

– Słuchaj no, cherlaku, albo przejdę przez tę bramkę, albo przejdę nad nią, depcząc przy okazji ciebie. I żebyś wiedział, że złożę raport prosto do Bernarda Hollanda, który pełni obowiązki burmistrza i jest twoim przeklętym szefem. Wyraziłam się jasno?

Oczy chłopaka były szeroko otwarte, źrenice wielkie jak nigdy. Kiwnął nerwowo głową.

– Więc ruszaj się – rzuciła, odpychając go od siebie.

Znalazł swoją kartę i przeciągnął pod skanerem.

Juliette przedarła się przez ramiona kołowrotu i minęła mężczyznę. Potem się zatrzymała.

– Ech, którędy mam iść?

Tamten nadal próbował wsunąć swoją kartę do kieszeni na piersi, ręce tak mu się trzęsły. – Tam-tamtędy, prze pani. – Wskazał na prawo. – Drugi korytarz, potem na lewo. Ostatnie biuro.

– Dobry chłopiec – odparła. Odwróciła się i uśmiechnęła sama do siebie. Wyglądało na to, że ten sam ton, którym temperowała krnąbrnych mechaników w Maszynowni, działał także tutaj. Zaśmiała się, myśląc o użytym argumencie: twój szef jest też moim, więc otwieraj. Ale z drugiej strony, chłopak był tak przerażony, oczy miał tak szeroko otwarte, że mogłaby mu przeczytać kuchenne przepisy Mamy Jean, a on i tak by ją przepuścił.

Weszła w drugi korytarz, mijając mężczyznę i kobietę w srebrnych uniformach IT, którzy zmierzali w przeciwnym kierunku. Odwrócili się i patrzyli, jak ich wymija. Na końcu korytarza odnalazła dwa biura i nie miała pojęcia, w którym może pracować Scottie. Zajrzała do tego, które miało otwarte drzwi, ale światła były tam pogaszone. Podeszła więc do przeciwległych drzwi i zapukała.

W pierwszej chwili nie było żadnej odpowiedzi, ale światło pod drzwiami osłabło, jakby ktoś je zasłonił.

– Kto tam? – wyszeptał znajomy głos.

– Otwieraj to cholerstwo – odparła Juliette. – Przecież wiesz, kto idzie.

Opuścił dźwignię, drzwi się otworzyły. Juliette pchnęła je, wchodząc do środka, a Scottie szybko zatrzasnął je za nią.

– Ktoś cię widział?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Czy mnie widział? Oczywiście, że tak. A niby jak miałam się tu dostać? Wszędzie kręcą się jacyś ludzie.

– Ale czy ktoś widział, że wchodzisz tutaj? – szepnął.

– Scottie, o co tu do diabła chodzi? – Juliette zaczęła podejrzewać, że pędziła tutaj zupełnie na marne. – Wysłałeś mi telegram, który wydawał się dość rozpaczliwy. Ale kazałeś mi zejść. No to jestem.

– Skąd to masz? – zapytał. Wziął z biurka zwój wydruków i trzymał je drżącymi dłońmi.

Juliette stanęła obok. Położyła mu dłoń na ramieniu i spojrzała w papiery. – Uspokój się – powiedziała cicho. Starała się przeczytać kilka linijek i momentalnie rozpoznała bełkot, który posłała wcześniej do Maszynowni. – Skąd to wziąłeś? – zapytała. – Kilka godzin temu posłałam to do Knoxa.

Skinął głową. – A on wysłał to do mnie. Ale nie powinien tego robić. Mogę mieć przez to kłopoty.

Juliette parsknęła śmiechem. – Żartujesz sobie, no nie?

Widziała jednak, że nie żartował.

– Scottie, przecież to właśnie ty ściągnąłeś dla mnie te dane. – Cofnęła się o krok, mierząc go wzrokiem. – Zaraz, ty chyba wiesz co ten bełkot znaczy, prawda? Możesz go odczytać?

Skinął głową. – Jules, wtedy nie wiedziałem jeszcze, co dla ciebie zdobyłem. To były przecież całe gigabajty gówna. Wziąłem to i ci wysłałem...

– Czemu to takie niebezpieczne? – zapytała.

– Nie mogę nawet o tym mówić – odparł Scottie. – Nie nadaję się na czyściciela, Jules. Nie ja. – Wyciągnął przed siebie zwój. – Masz. Nie powinienem tego drukować, ale chciałem skasować twój telegram. Musisz to zabrać. Wynieść stąd. Nie mogą mnie z tym złapać.

Juliette wzięła wydruki, ale tylko po to, żeby go uspokoić. – Usiądź, Scottie. Proszę. Słuchaj, wiem, że się boisz, ale chcę żebyś usiadł i opowiedział mi o tym. To bardzo ważne.

Pokręcił głową.

– Siadaj że, do cholery. – Wskazała dłonią krzesło i Scottie bezwolnie wykonał rozkaz. Juliette przysiadła na skraju biurka i zauważyła, że na stojącym w kącie łóżku polowym ktoś niedawno spał. Zrobiło jej się żal tego chłopaka.

– Cokolwiek to jest. – Potrząsnęła zwojem wydruków. – Spowodowało dwa ostatnie czyszczenia.

Wypowiedziała te słowa tak, jakby były czymś więcej niż skleconą naprędce teorią, jakby to było coś, czego była już stuprocentowo pewna. Może to strach w oczach przyjaciela scementował tę myśl, a może chęć bycia silną, żeby móc trochę go uspokoić. – Scottie, muszę wiedzieć, co to jest. Spójrz na mnie.

Posłuchał.

– Widzisz tę gwiazdę? – pstryknęła palcem gwiazdę szeryfa, metal cicho zabrzęczał.

Skinął głową.

– Już nie jestem kierowniczką zmiany. Reprezentuję prawo, a to jest coś bardzo ważnego. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale jeśli nie odpowiesz na moje pytania, możesz mieć kłopoty. Szczerze mówiąc, masz obowiązek udzielić mi wyjaśnień.

Popatrzył na nią z odrobiną nadziei. Nie miał pojęcia, że wymyśliła to wszystko na poczekaniu. Wcale nie kłamała – choć nie wsypałaby Scottiego za nic w świecie – lecz zarazem była niemal pewna, że nie istnieje coś takiego jak immunitet.

– Co mam w rękach? – zapytała, machając zwojem wydruków.

– To program – wyszeptał.

– Jak w układach odmierzających czas. Jak w...?

– Nie, program komputerowy. Język programowania. To jest... – Odwrócił wzrok. – Nie chcę tego mówić. Jules, ja chcę z powrotem do Maszynowni. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Te słowa działały na nią jak zimny prysznic. Scottie był nie tylko zdenerwowany – on był wręcz przerażony. Ogarnął go paniczny strach. Juliette zeskoczyła z biurka i kucnęła przy nim, chwytając go za dłoń, którą trzymał na nerwowo podskakującym kolanie.

– Co ten program robi? – zapytała.

Przygryzł wargę i pokręcił głową.

– W porządku. Jesteśmy tu bezpieczni. Możesz mi powiedzieć.

– To program obsługujący wyświetlacz – wydusił w końcu. – Ale nie dla ekranów, paneli LED czy matryc. Poznaję niektóre algorytmy. Każdy mógłby...

Zamilkł.

– Sześćdziesięcioczterobitowa paleta kolorów – wyszeptał, gapiąc się na nią. – Sześćdziesiąt cztery bity. Po co komuś aż tyle kolorów?

– Wyjaśnij mi to w prostych słowach – poprosiła Juliette. Scottie wyglądał, jakby był na skraju szaleństwa.

– Widziałaś to, prawda? Ekrany na samej górze?

Skinęła głową. – Przecież wiesz, gdzie teraz pracuję.

– Cóż, ja też to widziałem, jeszcze zanim zacząłem jadać wszystkie posiłki tutaj, w IT, harując jak opętany. – Przeczesał palcami potargane,

brązowe włosy. – Ten program, Jules, dzięki niemu ekran w stołówce mógłby wyświetlać coś, co wyglądałoby realistycznie.

Jules przez chwilę się nad tym namyślała, potem wybuchnęła śmiechem. – A nie jest dokładnie tak? Scottie, przecież tam na zewnątrz są czujniki i obiektywy. One przekazują obraz, który potem jest wyświetlany na ekranach, no nie? Nie za bardzo wiem, o co ci teraz chodzi. – Potrząsnęła wydrukiem. – Ten program robi to, o czym myślę? Przekazuje obraz do wyświetlacza?

Scottie załamał ręce. – Wtedy coś takiego nie byłoby potrzebne. Ty mówisz o przekazywaniu obrazu. Sam mógłbym napisać parę linijek kodu, które dałyby taki efekt. Nie, tutaj chodzi o tworzenie obrazów. To znacznie bardziej złożony proces.

Złapał Juliette za ramię.

– Jules, to może tworzyć całkiem nowe obrazy. Może pokazać, co tylko zechcesz.

Wziął głęboki oddech i ta ciężka pauza zawisła pomiędzy nimi, jakby na ten moment nawet ich serca się zatrzymały.

Juliette przykucnęła, balansując na szpicach swoich starych butów. W końcu usiadła na podłodze, opierając się o metalowe obicie ściany.

– Więc teraz rozumiesz... – zaczął Scottie, ale Juliette uniosła rękę, uciszając go. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ten widok może być sfałszowany. Ale czemu by nie? Tylko jaki to by miało mieć sens?

Pomyślała o tym, że tego odkrycia dokonała żona Holstona. Musiała być przynajmniej równie bystra co Scottie – to w końcu ona stworzyła technikę, którą on wykorzystał do odnalezienia tych danych, prawda? Co zrobiła ze swoim odkryciem? Mogła powiedzieć o tym głośno i wywołać zamieszki? Wyjawić prawdę mężowi, który był szeryfem? Co mogła zrobić?

Juliette wiedziała tylko co – będąc niemal pewną fałszerstwa – sama zrobiłaby na jej miejscu. Była osobą zbyt ciekawską, by zastanawiać się, jak postąpić. To by ją dręczyło, jak stukoczące bebechy zaplombowanej maszyny, czy tryby nieotwieranego dotąd urządzenia. Zaraz złapałaby za śrubokręt i klucz, żeby zajrzeć ośrodka...

– Jules...

Zbyła go machnięciem dłoni. Wróciły do niej wszystkie szczegóły z akt Holstona. Notatki dotyczące Allison, mówiące o jej nagłym, niespodziewanym szaleństwie. Ciekawość ją do tego doprowadziła. Chyba

że... chyba że Holston nie wiedział. Może ona tylko udawała. Może Allison starała się ochronić męża przed jakimś koszmarem i dlatego udawała szaloną.

Ale czemu Holstonowi dowiedzenie się tego, co ona odkryła w ciągu tygodnia, miałoby zająć aż trzy lata? A może wiedział już wcześniej, lecz przez trzy lata zbierał się na odwagę, by podążyć za żoną? Czy też Juliette miała nad nim jakąś przewagę? Miała przecież Scottiego. I koniec końców szła po śladach kogoś, kto już wcześniej dociekł prawdy, więc było jej znacznie łatwiej.

Spojrzała na swojego młodego przyjaciela, który zerkał na nią zmartwiony.

– Musisz je stąd zabrać – stwierdził, patrząc na wydruki.

Juliette skinęła głową. Wstała z podłogi i wetknęła wydruki pod kombinezon. Trzeba będzie je zniszczyć, ale Juliette jeszcze nie wiedziała, jak to zrobić.

– Usunąłem kopie wszystkich rzeczy, jakie od ciebie dostałem – rzekł. – Już nie będę na nie patrzył. Ty powinnaś zrobić tak samo.

Juliette postukała w kieszeń na piersi, wyczuwając tam kształt nośnika danych.

– I jeszcze jedno, Jules, możesz mi zrobić przysługę?

– Oczywiście.

– Sprawdź, jakie mam szansę na powrót do Maszynowni, dobra? Już nie chcę tutaj tkwić.

Skinęła głową i ścisnęła go za ramię. – Zobaczę co da się zrobić – obiecała, czując ściskanie w dołku, że w ogóle wmieszała biednego dzieciaka w coś takiego.

25

Następnego ranka wyczerpana Juliette dotarła do swojego biura spóźniona, plecy i nogi bolały ją po tym schodzeniu do IT i od niespania w nocy. Cały czas wierciła się w łóżku i przewracała z boku na bok, zastanawiając się czy przypadkiem nie odnalazła pudełka, którego lepiej nie otwierać, i martwiąc się, że padną pytania, które przynieść mogą wyłącznie fatalne odpowiedzi. Jeśli pójdzie na stołówkę i spojrzy tam, gdzie zazwyczaj starała się nie patrzeć, będzie w stanie dostrzec dwójkę poprzednich czyścicieli leżących na zboczu wzgórza, niemal trzymając Się w ramionach. Czy para kochanków wyszła na zewnątrz z powodu dokładnie tej samej rzeczy, którą teraz badała Juliette? Widząc lęk w oczach Scottiego zaczęła się zastanawiać, czy była wystarczająco ostrożna. Spojrzała na siedzącego naprzeciw nowego zastępcę, w tej robocie nawet bardziej zielonego od niej. Przepisywał właśnie dane z jednej z teczek.

– Ej, Peter?

Podniósł wzrok znad klawiatury. – Tak?

– Przedtem działałeś w Wymiarze Sprawiedliwości, no nie? Byłeś cieniem sędziego?

Skrzywił nieznacznie głowę. – Nie, byłem asystentem sądowym. Tak naprawdę jeszcze parę lat temu byłem cieniem zastępcy w komisariacie na środkowym poziomie. Chciałem dostać tę robotę, ale nic z tego nie wyszło.

– Tam dorastałeś? Czy gdzieś na górze?

– Na środkowych. – Zdjął dłonie z klawiatury i położył na kolanach. Uśmiechnął się. – Tata był hydraulikiem w hydroponice. Kilka lat temu zmarł. Moja mama pracuje w żłobku.

– Serio? Jak ma na imię?

– Rebecca. Jest jedną z...

– Znam ją. Cieniowała tam, gdy byłam dzieckiem. Mój ojciec...

– Pracuje w górnym żłobku, wiem. Nie chciałem nic mówić...

– Dlaczego? Hej, jeśli martwiłeś się, że dam ci z tego powodu fory, to miałeś rację. Jesteś teraz moim zastępcą i zawsze będę stać za tobą murem.

– Nie, nie o to chodziło. Nie chciałem, żebyś żywiła jakąś urazę. Wiem, że ty i twój ojciec...

Juliette tylko machnęła ręką. – Nadal jest moim ojcem. Po prostu się od siebie oddaliliśmy. Powiedz mamie, że ją pozdrawiam.

– Powiem. – Peter nachylił się nad klawiaturą, uśmiechnięty.

– Hej, mam do ciebie pytanie. Nie mogę rozgryźć pewnej rzeczy.

– Pewnie – odparł, podnosząc wzrok. – Wal śmiało.

– Czemu twoim zdaniem taniej jest wysłać tragarza z listem, niż przesłać wiadomość przez kabel?

– Ach, jasna sprawa – skinął głową. – Telegrafowanie kosztuje ćwierć bonu za znak. To ma sens!

Juliette parsknęła śmiechem. – Nie, ja przecież wiem, ile to kosztuje. Ale papier nie jest tani. Tragarze też nie. No i wydaje się, że telegramy powinny być praktycznie darmowe. To zwykła informacja. Nic nie waży.

Wzruszył ramionami. – Odkąd żyję, to kosztowało ćwierć bonu za znak. Sam nie wiem. Poza tym, mamy tutaj przydział pięćdziesięciu bonów dziennie i nieskończoną ilość do nagłych wypadków. Nie przejmowałbym się.

– Nie przejmuję się, ale tego nie rozumiem. To znaczy wiem, że nie każdy może, tak jak my, nosić radio, bo nadawać może tylko jedna osoba w danej chwili, więc musimy mieć ciszę w eterze dla nagłych wypadków, ale wydaje mi się, że moglibyśmy wysyłać tyle telegramów, ile mamy ochotę.

Peter wsparł się na łokciach, opierając brodę o pięści. – Cóż, pomyśl o kosztach pracy serwerów, zużyciu elektryczności. Czyli więcej ropy do spalenia i dodatkowa robota przy kablach, chłodzeniu i całej reszcie. Szczególnie jeśli jest duży ruch. Porównaj to z prasowaniem miazgi, suszeniem jej, zużyciem odrobiny atramentu i przekazaniem kartki osobie, która i tak idzie w dół czy na górę, by to dostarczyła. Nic dziwnego, że wychodzi taniej!

Juliette skinęła głową, ale głównie z uwagi na niego. Sama nie była przekonana. Nie chciała powątpiewać w jego słowa, ale nie była w stanie się powstrzymać.

– A jeśli powodem jest coś innego? Co jeśli ktoś celowo sprawił, że to takie kosztowne?

– Co? Żeby zarobić? – Peter pstryknął palcami. – Żeby tragarze musieli ciągle gonić z liścikami?

Juliette pokręciła głową. – Nie... A co jeśli chodzi o to, żeby było nam się trudniej porozumiewać? Albo żeby to było drogie. No wiesz, żeby nas podzielić, sprawić, byśmy zachowywali swoje przemyślenia wyłącznie dla siebie.

Peter zmarszczył brwi. – Po co ktoś miałby robić coś takiego?

Wzruszając ramionami, Juliette zerknęła na ekran komputera, przesuwając dłoń w kierunku ukrytej na kolanach rolki. Przypomniała sobie, że nie jest już wśród ludzi, którym może bezwarunkowo ufać. – Sama nie wiem – odparła. – Zapomnij o tym, to tylko taka głupia myśl.

Przysunęła sobie klawiaturę i podniosła wzrok na ekran. Peter jako pierwszy dostrzegł ikonę nagłego wypadku.

– A niech mnie. Kolejny alarm.

Kliknęła migającą ikonę, słysząc jak Peter głośno wypuszcza powietrze z płuc.

– Co tu się do licha wyprawia? – zapytał.

Wyświetliła na ekranie wiadomość i szybko ją przeczytała, nie dowierzając temu, co widzi. Niemożliwe, żeby ta praca tak właśnie wyglądała. Ludzie nie umierali aż tak często. A może po prostu nigdy wcześniej o tym nie słyszała, bo ciągle siedziała z nosem w jakiejś skrzyni korbowej, albo misce olejowej?

Poznała mrugający numer z kodem nawet bez zaglądania do swojej ściągi. To stawało się przykrą codziennością. Kolejne samobójstwo. Nie podali nazwiska ofiary, ale był numer biura. Znała to piętro i ten adres. Nogi nadal bolały ją po powrocie stamtąd.

– Nie – wyszeptała, łapiąc się skraju biurka.

– Chcesz, żebym...? – Peter sięgnął po radio.

– Nie, cholera, tylko nie to. – Juliette pokręciła głową. Odsunęła się od biurka, przewracając kosz, z którego na podłogę wysypały się wszystkie teczki z aktami umorzonych spraw. Rolka spadła jej z kolan prosto w papiery.

– Mogę... – zaczął Peter.

– Sama się tym zajmę – powiedziała, zbywając go gestem. – Cholera. – Potrząsnęła głową. Całe biuro wokół zaczęło wirować, świat stał się wielką rozmazaną plamą. Zatoczyła się ku drzwiom, szeroko rozstawiając ramiona, by nie stracić równowagi. Peter tymczasem znów patrzył na ekran, ciągnąc za myszkę z krótkim kablem i klikając na coś.

– Och, Juliette...?

Ale ona już wyszła, przygotowując się na długą i bolesną drogę w dół.

– Juliette!

Odwróciła się i zobaczyła, że Peter pędzi za nią, dłonią regulując trzymane przy udzie radio.

– Co? – zapytała.

– Przepraszam, nie wiem... Nie wiem, jak to zrobić...

– Wyduś to wreszcie – rzuciła niecierpliwie. Mogła teraz myśleć wyłącznie o Scottiem, wiszącym na pętli. Oczami wyobraźni widziała pętlę, jako opaskę zaciskową. Tak właśnie w jej koszmarze na jawie, jej najbardziej ponurych wizjach, ta śmierć wyglądała.

– Otrzymałem prywatną wiadomość i...

– Zajmij się tym, jeśli chcesz, ja muszę iść na dół. – Ruszyła w stronę spiralnych schodów.

Peter złapał ją za ramię. Mocno.

– Przykro mi, ale jesteś aresztowana...

Odwróciła się i ujrzała, jak niepewną ma minę.

– Co ty powiedziałeś?

– Ja tylko wykonuję swoje obowiązki, pani szeryf, przysięgam. – Sięgnął po kajdanki. Juliette gapiła się na niego, nie dowierzając, on tymczasem starał się zatrzasnąć metalowe obręcze na jej nadgarstkach.

– Peter, co jest grane? Muszę się zobaczyć z przyjacielem i...

Pokręcił głową. – W komputerze figuruje pani jako podejrzana. Robię tylko to, co mi kazano...

I wtedy druga obręcz zacisnęła się na jej nadgarstku. Juliette opuściła wzrok, zdumiona, nie mogąc wyrzucić z głowy obrazu przyjaciela, który się powiesił.

26

Przysługiwały jej odwiedziny, ale kto chciałby się teraz widzieć z Juliette? Nikt. Więc siedziała oparta o kraty, przed nią rozciągał się ponury krajobraz rozjaśniany wschodem niewidzialnego jeszcze słońca, na podłodze nie było żadnych teczek z aktami, żadnych duchów. Była sama, pozbawiona pracy, co do której nigdy nie była przekonana, na dodatek pozostawiła za sobą stertę trupów, a jej proste i łatwe do zrozumienia życie kompletnie się rozpadło.

– Jestem pewien, że to minie – odezwał się ktoś za nią. Juliette odsunęła się od stalowych prętów i obejrzała się za siebie. Zobaczyła Bernarda, zaciskał pięści na kratach.

Juliette odsunęła się od niego, przysiadając na pryczy i znów patrząc w stronę szarego krajobrazu.

– Wiesz, że tego nie zrobiłam – powiedziała. – To był mój przyjaciel.

Bernard zmarszczył brwi. – A myślisz, że czemu cię tu trzymają? Chłopak popełnił samobójstwo. Chyba wpłynęły na niego te wszystkie niedawne tragedie. To się czasem zdarza wśród tych, którzy przenoszą się na inny poziom silosu, z dala od rodziny i przyjaciół. Tych, którzy wybierają pracę, do której się nie nadają...

– Więc czemu tutaj jestem? – zapytała. Nagle uświadomiła sobie, że koniec końców może nie dojść do podwójnego czyszczenia. W korytarzu widziała Petera. Szurając nogami łaził w tę i we w tę, jakby jakaś niewidzialna bariera powstrzymywała go przed podejściem bliżej.

– Wejście na trzydzieste czwarte bez upoważnienia – odparł Bernard. – Grożenie mieszkańcowi silosu, mieszanie się w sprawy działu IT, wynoszenie własności IT ze strzeżonego obszaru...

– Gówno prawda! – odparła Juliette. – Wezwał mnie jeden z twoich pracowników. Miałam prawo tam być!

– Sprawdzimy to – odpowiedział Bernard. – Cóż, Peter to zrobi. Obawiam się, że będzie musiał wynieść twój komputer, żeby poszukać dowodów. Moi ludzie na dole mają najlepsze kwalifikacje, żeby zobaczyć czy...

– Twoi ludzie? Próbujesz być burmistrzem czy szefem IT? Bo zajrzałam do Paktu i tam jest wyraźnie napisane, że nie możesz być jednym i drugim...

– Ta kwestia wkrótce zostanie poddana pod głosowanie. Pakt już bywał zmieniany. Został tak zaprojektowany, że gdy określone zdarzenia wymuszają wprowadzenie zmian, można to robić.

– Więc chcesz się mnie pozbyć. – Juliette podeszła do krat, żeby mogła widzieć Petera Billingsa i żeby on musiał widzieć ją. – A ty pewnie w końcu dostaniesz moją posadę? Nie tak?

Peter wycofał się z jej pola widzenia.

– Juliette. Jules. – Bernard pokręcił głową i cmoknął. – Wcale nie chcę się ciebie pozbyć. Nie życzyłbym tego żadnemu mieszkańcowi silosu. Chcę, żeby każdy został na swoim miejscu. Tam, gdzie najbardziej pasuje. Scottie nie nadawał się do IT. Teraz to widzę. I sądzę, że ty nie nadajesz się do pracy na górze.

– Więc co? Czeka mnie wygnanie z powrotem do Maszynowni? O to tutaj chodzi? Chcesz wykorzystać jakieś wyssane z palca zarzuty?

– Wygnanie to takie okropne słowo. Na pewno nie to miałaś na myśli. Nie chcesz odzyskać dawnej pracy? Nie byłaś w niej szczęśliwsza? Tutaj musiałabyś się jeszcze tyle nauczyć, a ty nigdy nawet nie cieniowałaś w tej branży. A ludzie, którzy sądzili, że nadajesz się na tę posadę, którzy chcieli ci pomóc...

Zamilkł nagle i to było najgorsze, bo zmusił w ten sposób Jules do wyobrażenia sobie czegoś, co powinna była usłyszeć. Wyobraziła sobie dwa kopce świeżej ziemi, na które rzucono kilka żałobnych łupin.

– Pozwolę ci pozbierać swoje rzeczy: przynajmniej to, co nie jest materiałem dowodowym. A potem możesz iść na dół. Jeśli zameldujesz się po drodze u moich zastępców i złożysz im raport, cofniemy zarzuty. Możesz to uznać za przedłużenie mojego... okresu ułaskawienia.

Bernard uśmiechnął się, poprawiając okulary na nosie.

Juliette zacisnęła zęby. Dotarło do niej, że jeszcze nigdy w całym swoim życiu nie uderzyła nikogo w twarz.

A teraz nie zrobiła tego tylko dlatego, bo bała się uderzyć niecelnie, zrobić to źle i połamać palce o stalowe kraty.

* * *

Minął ledwie tydzień odkąd Juliette pojawiła się na górze, a już odchodziła, biorąc w drogę powrotną mniej rzeczy niż wcześniej ze sobą przyniosła. Dostarczono jej niebieski kombinezon pracownika Maszynowni, na dodatek zbyt dużego rozmiaru. Peter nawet się z nią nie

pożegnał – zdaniem Juliette bardziej przez własny wstyd niż złość czy poczucie winy. Odprowadził ją przez stołówkę do klatki schodowej i kiedy odwróciła się, by uścisnąć mu dłoń, zobaczyła, że gapi się na swoje stopy, wtykając kciuki w kieszenie. Jej odznaka wisiała krzywo na jego prawej piersi.

Juliette zaczęła swoją wędrówkę na sam dół silosu. To będzie mniej wyczerpujące fizycznie niż wcześniejsza wspinaczka, ale pod wieloma względami znacznie trudniejsze. Co tak naprawdę stało się z silosem i dlaczego? Miała wrażenie, że też była w to zamieszana, i że sama też nie była bez winy. To by się nigdy nie wydarzyło, gdyby zostawiono ją w Maszynowni, gdyby nie przyszli wtedy na dół, by się z nią spotkać. Nadal narzekałaby na generator, nie spała po nocach, czekając na nieuniknioną awarię i stoczenie się silosu w chaos, nim mieszkańcy nauczą się żyć jedynie przy wsparciu zapasowego generatora, bo minęłyby dekady, nim odbudowaliby ten główny. Zamiast tego była świadkiem serii rozmaitych awarii: niszczących nie zwrotnice lecz ludzi. Najgorzej czuła się z powodu biednego Scottiego, chłopaka, który tak dobrzy się zapowiadał, miał tak wielki talent, a zarazem odszedł tak wcześnie.

Krótko była szeryfem, gwiazdę na piersi nosiła ledwie przez mgnienie oka, a mimo to czuła przemożną potrzebę zbadania śmierci Scottiego. W samobójstwie tego chłopca coś się nie zgadzało. Oczywiście, pojawiły się pewne objawy. Bał się wychodzić z biura – ale z drugiej strony, cieniował Walkerowi, więc może zaraził się od niego nawykiem prowadzenia pustelniczego życia. Scottie musiał również ukrywać tajemnice zbyt wielkie na jego młody umysł. Był na tyle przerażony, że napisał, by szybko do niego przyszła – jednak znała go jakby nadal był jej własnym cieniem, i wiedziała, że nie był zdolny do zrobienia czegoś takiego. Nagle zaczęła się zastanawiać, czy Marnes też byłby do tego zdolny. Gdyby miała Jahns u swego boku, czy stara pani burmistrz naciskałaby na nią, by przeprowadziła dochodzenie w sprawie tych zgonów? Czy mówiłaby jej, że coś tu nie gra?

– Nie mogę – szepnęła duchowi Juliette, sprawiając że zmierzający na górę tragarz odwrócił głowę.

Kolejnych myśli już nie wypowiadała na głos. Schodząc w kierunku żłobka, gdzie pracował jej ojciec, przystanęła na półpiętrze, znacznie dłużej zastanawiając się nad tym, czy go odwiedzić, niż miało to miejsce podczas wcześniejszej wspinaczki. Za pierwszym razem powstrzymała ją duma.

A teraz to wstyd wprawił jej nogi w ruch i z każdym krokiem coraz bardziej oddalała się od ojca, besztając się za to, że przywołuje duchy przeszłości, o których tak dawno już zapomniała.

Na trzydziestym czwartym, przy wejściu do IT, znów rozważała przystanek. W biurze Scottiego może odnaleźć dowody, może natknie się na coś, czego nie zdołali się jeszcze pozbyć... Pokręciła tylko głową. Już zaczęła wymyślać teorie spiskowe. Mimo że ciężko było zostawić za plecami miejsce zbrodni, była pewna, że i tak nie wpuściliby jej do tamtego biura.

Szła dalej klatką schodową i dumając nad umiejscowieniem w silosie działu informatycznego, doszła do wniosku, że to nie mógł być przypadek. Dopiero za kolejne trzydzieści dwa piętra zgłosi się do pierwszego zastępcy, który pracował w pobliżu centrum środkowych poziomów. Biuro szeryfa było trzydzieści trzy kondygnacje nad nią. IT było oddalone od stróżów prawa tak bardzo, jak to tylko było możliwe.

Potrząsnęła głową, chcąc odegnać paranoiczne myśli. Nie tak robi się rozpoznanie. Ojciec by jej o tym powiedział.

Z pierwszym zastępcą spotkała się koło południa, dostała od niego owoc, kawałek chleba i upomnienie, by na pewno je zjadła. Potem ruszyła przez środkowe kondygnacje rozmyślając o tym, czy mieszkający w okolicy Lukas zdawał sobie sprawę, że została aresztowana.

Ciężar minionego tygodnia zdawał się wgniatać ją w stopnie, grawitacja zasysała podeszwy butów, presja bycia szeryfem malała wraz z rosnącą odległością od biura, które opuściła. Miejsce owej presji powoli zastępowała chęć powrotu do przyjaciół, nawet ze wstydem, tym silniejsza, im bliżej była Maszynowni.

Zatrzymała się, by odwiedzić Hanka, zastępcę z dolnych kondygnacji, urzędującego na sto dwudziestym. Znała go od dawna. Nareszcie widziała wokół znajome twarze, ludzi, którzy machali jej na powitanie, choć byli ponurzy, jakby znali każdy szczegół jej życia na górze. Hank próbował ją namówić, by została i odpoczęła chwilę, ale została tylko na tyle, na ile kazała jej uprzejmość. Napełniła menażkę a potem musiała już tylko zejść kolejnych dwadzieścia pięter do jej prawdziwego domu.

Knox zdawał się podekscytowany, że ją odzyskał. Uścisnął ją z całych sił, unosząc Juliette nad podłogę i kłując w twarz swoją brodą. Pachniał potem i olejem, mieszaniną której wcześniej, będąc na dole, Juliette nie zauważała, dopóki nie przestała jej wyczuwać.

Kiedy szła do swojego dawnego mieszkania, poklepywano ją po plecach, życzono jak najlepiej, pytano, jak było na górze, nadal nazywano dla żartu szeryfem i robiono wszystkie te nieuprzejme rzeczy, do których przywykła dorastając w tym miejscu. To zasmuciło Juliette bardziej niż cokolwiek. Wybyła, by czegoś dokonać i nawaliła na całej linii. A mimo to przyjaciele cieszyli się, że znów z nimi jest.

Shirly z drugiej zmiany zobaczyła, jak idzie korytarzem i odprowadziła ją pod same drzwi. Opowiedziała Juliette, w jakim stanie są generator i szyb naftowy, jakby Juliette była tylko na krótkim urlopie. Juliette podzelowała jej w progu, weszła do środka i przedarła się przez leżące na podłodze liściki, wetknięte pod drzwi. Zdjęła przez głowę plecak i upuściła go, a potem padła na łóżko, zbyt zdenerwowana i zmęczona by się rozpłakać.

Obudziła się w środku nocy. Zielone cyfry niewielkiego wyświetlacza pokazywały godzinę 2:14.

Juliette przysiadła na skraju swojego starego łóżka, ubrana w kombinezon, który nie był nawet do końca jej. Zaczęła analizować swoje położenie. Stwierdziła, że jej życie jeszcze nie jest skończone. Tylko odnosiła takie wrażenie. Jutro, nawet jeśli tego od niej nie oczekują, wróci do pracy w szybie, będzie robić to, w czym była najlepsza, utrzymywać silos przy życiu. Musiała znów zacząć nadawać na dawnej fali, odłożyć nowe pomysły i obowiązki na bok. Zresztą już zaczęły wydawać jej się odległe. Wątpiła, czy w ogóle wybierze się na pogrzeb Scottiego, chyba że zniosą tutaj jego ciało, by pochować je tam, gdzie było jego miejsce.

Sięgnęła klawiatury leżącej na półce. Zauważyła, że wszystko pokrywa warstwa sadzy. Wcześniej nie zwracała na to uwagi. Na klawiszach był brud, który nanosiła po każdej zmianie. Ekran monitora pokryty był kleistą warstwą oleju. Musiała się powstrzymać przed przetarciem ekranu i rozsmarowaniem tej połyskującej warstwy, zdecydowała jednak, że w końcu będzie musiała tutaj gruntownie posprzątać. Spoglądała teraz na otoczenie z większą dozą krytycyzmu.

Zamiast więc tracić czas na sen, włączyła monitor, żeby sprawdzić grafik na kolejny dzień i oderwać się od rozmyślań o wydarzeniach minionego tygodnia. Zanim jednak otworzyła menadżera zadań, zobaczyła, że w skrzynce ma ponad tuzin wiadomości. Nigdy jeszcze tylu nie widziała. Zazwyczaj ludzie wsuwali sobie liściki pod drzwi – ale z drugiej strony,

była tak daleko, gdy dotarły tu wieści o jej aresztowaniu, a od tamtego czasu nie siadała przed komputerem.

Zalogowała się na swoją skrzynkę mailową i otworzyła ostatnią wiadomość. Wysłał go Knox. Tylko średnik i nawias – uśmiech za pół bonu.

Juliette nie mogła się powstrzymać, więc też się uśmiechnęła. Nadal czuła na skórze zapach Knoxa i uświadomiła sobie, że jeśli idzie o tego wielkiego brutala, wszystkie problemy i tarapaty niosące się szeptem w dół klatki schodowej bladły w porównaniu z jej powrotem. Dla niego najgorszym wydarzeniem minionego tygodnia była konieczność znalezienia dla Juliette zastępstwa na pierwszej zmianie.

Jules przeszła do kolejnej wiadomości, pochodzącej od kierownika trzeciej zmiany – witał ją z powrotem w domu, pewnie dlatego, że jego ekipa musiała tracić sporo czasu, starając się zrobić to, co ona robiła na swojej zmianie.

Było ich więcej. Warty dniówkę liścik od Shirly życzącej jej udanej podróży. Wszystkie te wiadomości, które pragnęła dostać na górze i które ułatwiłyby jej schodzenie, bez czucia pogardy do siebie samej, roztrząsania doznanego upokorzenia czy nawet odniesionej porażki. Na myśl o uprzejmości innych, do oczu Juliette napłynęły łzy. Wyobraziła sobie swoje biurko – biurko Holstona – zupełnie puste, na blacie leżały tylko kable z odłączonego komputera. Nie było szans, by otrzymała te wiadomości wtedy, kiedy najbardziej ich potrzebowała. Otarła łzy i starała się nie myśleć o tych liścikach jak o wyrzuconych pieniądzach, raczej jako o cennych dowodach przyjaźni, którą darzono ją tu, na dole.

Starając się przeczytać każdą wiadomość i zarazem się nie rozpłakać, dotarła do ostatniej, z dwóch powodów nie pasującej do pozostałych. Ciągnęła się na parę akapitów. Juliette założyła, że to jakiś formalny dokument, może lista jej przewinień, jakieś orzeczenie w jej sprawie. Takie wiadomości nadchodziły dotąd z biura burmistrza, zazwyczaj w dni wolne od pracy, i skierowane były do każdego mieszkańca silosu. Ale wtedy zauważyła, że ten list przyszedł od Scottiego.

Juliette wyprostowała się, starając się skupić. Zaczęła od początku, przeklinając swój osłabiony wzrok.

)-

Skłamałem. Nie mogłem tego pokasować. Znalazłem więcej. Ta taśma grzewcza, którą dla ciebie zdobyłem? Twój żart okazał się prawdą.

A ten program – NIE dla dużego ekranu. Nie zgadza się gęstość pikseli. 32,768 x 8,192! Nie jestem pewien, jaki to rozmiar. Osiem cali na dwa? Jeśli tak, to strasznie dużo tych pikseli.

Odkrywam coraz więcej. Nie ufam tragarzom, więc ci to przetelegrafuję. Pieprzyć cenę, odpisz mi tak samo. Muszę się przenieść do Maszyn. Tu niebezpiecznie.

– S

Juliette przeczytała to po raz drugi, płacząc. Oto słyszała głos ducha, próbującego ją przed czymś ostrzec, niestety za późno. I to nie był głos kogoś, kto planował własną śmierć – tego była pewna. Sprawdziła czas wysłania wiadomości; została wysłana zanim Juliette zdołała wrócić do biura poprzedniego dnia, jeszcze zanim Scottie umarł.

A raczej zanim został zamordowany, poprawiła sama siebie. Musieli odkryć, że węszy, a może to jej wizyta zwróciła ich uwagę. Była ciekawa, co takiego IT już widziało, skoro mogli włamać się także na jej konto. Jeszcze tego nie zrobili, bo inaczej nieczytałaby tej wiadomości.

Nagle zeskoczyła z łóżka i podniosła jeden ze złożonych liścików leżących przy drzwiach. Wygrzebała z plecaka węgiel, a potem znów usiadła na łóżku. Przepisała całą wiadomość, każde dziwaczne słowo, powtórnie sprawdziła każdą liczbę, a potem skasowała list. Kiedy zbliżała się do końca, na rękach miała gęsią skórkę, jakby ktoś, kogo nie widziała, pędził w jej kierunku, chcąc włamać się do jej komputera zanim pozbędzie się dowodu. Zastanawiała się czy Scottie był na tyle ostrożny, by wykasować to z folderu wysłanych wiadomości, i założyła, że gdyby jasno myślał, tak by postąpił.

Oparła się o łóżko, trzymając przepisaną wiadomość i zapominając o jutrzejszym grafiku. Zamiast tego badała złowieszczy bałagan wokół niej, którego centrum tkwiło w samym sercu silosu. Było bardzo źle, od początku do końca. Gigantyczne tryby nie działały jak trzeba. Słyszała hałas minionego tygodnia, dzwonienie i dudnienie, ta gigantyczna maszyna oderwała się od podstawy, zostawiając na swej drodze kolejne martwe ciała.

I tylko Juliette była w stanie ją usłyszeć. Tylko ona wiedziała. I nie miała pojęcia, komu może zaufać, kto mógłby pomóc jej wszystko naprawić. Wiedziała jedno: by wszystko wróciło do normy, trzeba będzie pozbawić to wielkie urządzenie mocy. Jednak tego, co się wtedy wydarzy, nie będzie już można nazwać zwykła przerwą w dostawach energii.

27

Juliette pokazała się w warsztacie Walkera o piątej, martwiąc się, że zastanie go śpiącego na łóżku polowym. Jednak już w korytarzu wyczuła charakterystyczną woń pracującej lutownicy. Wchodząc do środka, zapukała w drzwi. Walker podniósł wzrok znad swoich zielonych płyt elektronicznych; nad jego lutownicą wirowały wstęgi dymu.

– Jules! – zawołał. Zdjął z siwej głowy szkła powiększające i położył je na stalowym stole warsztatowym. – Słyszałem, że wróciłaś. Chciałem wysłać list, ale... – Gestem pokazał jej sterty części, z których zwisały etykiety z numerami porządkowymi. – Jestem strasznie zajęty – wyjaśnił.

– Nie przejmuj się – odparła. Uścisnęła Walkera, wyczuwając na jego skórze charakterystyczną woń elektryczności, która tak mocno jej się z nim kojarzyła. Tak jak i ze Scottiem.

– Już czuję się winna, że zabieram ci cenny czas z czymś takim.

– Tak? – Cofnął się o krok i przyjrzał się jej bacznie, marszcząc siwe brwi. – Masz coś dla mnie? – Zmierzył ją wzrokiem, szukając jakichś widocznych usterek – nabrał tego nawyku przez całe życie dostając niewielkie urządzenia wymagające naprawy.

– Chciałam cię tylko o coś spytać – odparła, siadając na jednym ze stołków. Walker zrobił to samo.

– Śmiało – rzekł. Otarł rękawem czoło, a Juliette zobaczyła, jak bardzo Walker się postarzał. Pamiętała go jeszcze z czasów, gdy nie miał tak siwych włosów, zmarszczek ani plam na skórze. Pamiętała go z czasów, gdy pracował jeszcze ze swoim cieniem.

– To ma coś wspólnego ze Scottiem – ostrzegła go.

Walker odwrócił głowę i przytaknął. Próbował coś powiedzieć, uderzając się pięścią w klatkę piersiową i chrząkając. – Cholerna szkoda – zdołał tylko wydusić. Wbił wzrok w podłogę.

– To może poczekać – wyjaśniła mu Juliette. – Jeśli potrzebujesz czasu...

– Ja go przekonywałem, żeby przyjął tamtą posadę – stwierdził Walker, kręcąc głową. – Pamiętam, jak mu ją zaproponowano. Bałem się, że ją odrzuci. Z mojego powodu, no wiesz. Że będzie się bał, że się wkurzę, że odchodzi, że będzie wolał zostać tu już na zawsze... Więc kazałem mu wziąć tę robotę. – Podniósł wzrok, oczy mu błyszczały. – Chciałem, żeby

wiedział, że to jego wybór. Wcale nie zamierzałem go tam wypychać na siłę.

– Nie robiłeś tego – odparła Juliette. – Nikt tak nie uważa i ty też nie powinieneś.

– Nie sądzę, żeby na górze był szczęśliwy. To nie był jego prawdziwy dom.

– Cóż, dla nas był zbyt bystry. Nie zapominaj o tym. Zawsze to powtarzaliśmy.

– Kochał cię – stwierdził Walker, ocierając łzy. – Cholera, ależ ty byłaś dla niego wzorem.

Juliette znów poczuła, że oczy ma pełne łez. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła przepisany na kartkę list. Musiała sobie o tym przypomnieć, żeby się nie rozpłakać.

– To w nie jego stylu, żeby się poddawać... – wymamrotał Walker.

– Masz rację – odparła. – Walker. Muszę pomówić z tobą o czymś, o czym nie może się dowiedzieć nikt inny.

Parsknął śmiechem. Chyba tylko po to, by przestać łkać. – Mówisz tak jakbym ja stąd w ogóle wychodził.

– Cóż, nie możesz powiedzieć o tym nikomu. Nikomu. Zgoda?

Skinął głową.

– Nie wydaje mi się wcale, by Scottie popełnił samobójstwo.

Walker uniósł dłonie, chcąc zakryć twarz. Pochylił się i zadrżał, znów wybuchając płaczem. Juliette zeskoczyła ze stołka i podeszła do mężczyzny, obejmując ramieniem jego trzęsące się plecy.

– Wiedziałem – łkał, kryjąc twarz w dłoniach. – Wiedziałem, wiedziałem.

Spojrzał na nią, łzy spływały mu po kilkudniowym zaroście. – Kto to zrobił? Zapłacą za to, prawda? Jules, powiedz mi kto to zrobił.

– Ktokolwiek to był, nie musiał wybierać się w specjalnie daleką podróż.

– IT? Przeklęci dranie.

– Walker, musisz mi pomóc to zrozumieć. Scottie wysłał mi wiadomość niedługo przed tym, jak... niedługo zanim został zamordowany.

– Wysłał ci wiadomość?

– Tak. Słuchaj, widziałam się z nim tego samego dnia, nieco wcześniej. Poprosił, żebym zeszła się z nim spotkać.

– Przyszłaś do IT?

Skinęła głową. – Znalazłam coś w komputerze poprzedniego szeryfa...

– Holston. – Pochylił głowę. – Ostatni czyściciel... Tak, Knox przekazał mi coś od ciebie. Wyglądało na jakiś program. Stwierdziłem, że Scottie zna się na tym najlepiej, Więc właśnie jemu to posłaliśmy.

– Miałeś rację.

Walker otarł policzki i skinął głową. – Był z nas wszystkich najbystrzejszy.

– Wiem. Powiedział mi, że ta rzecz to program, który tworzy bardzo szczegółowe obrazy. Takie jak te, na których widzimy wszystko to, co jest na zewnątrz...

Odczekała chwilę, żeby zobaczyć, jak mężczyzna zareaguje. W większości przypadków poruszanie tego tematu było absolutnym tabu. Walker był jednak niewzruszony. Tak jak miała nadzieję, był na tyle stary, by nie ulegać dziecinnym lękom – i na tyle samotny i smutny zarazem, by się tym nie przejmować.

– Ale w tym swoim liście wspomina o zbyt dużej gęstości pikseli. – Pokazała mu sporządzoną przez siebie kopię. Walker chwycił szkła powiększające i założył je sobie na czoło.

– Piksele – powtórzył, pociągając nosem. – Chodzi o te kropeczki, układające się w dany obraz. Każda kropka jest właśnie takim pikselem. – Wziął od niej notatkę i zaczął czytać dalej. – Mówi, że tu nie jest bezpiecznie. – Walker podrapał brodę i pokręcił głową. – Ci przeklęci dranie.

– Walker, jakiego rodzaju ekran mógłby mieć wielkość osiem cali na dwa? – Juliette rozejrzała się po tablicach, wyświetlaczach i zwojach kabli rozsianych po warsztacie.

– Masz tutaj coś podobnego?

– Osiem na dwa? Może ten panel, jak na serwerach czy coś takiego. W sam raz, by wyświetlić kilka linijek tekstu, temperaturę wewnętrzną czy cykl zegara... – Pokręcił głową.

– Ale nigdy nie trzeba by wtedy dawać takiej gęstości pikseli. Nawet jeśli to by było możliwe, nie miałoby sensu. Oko nie odróżniłoby jednego piksela od drugiego, nawet jakbyś miał ten ekran przed samym nosem.

Podrapał szczecinę i znów wczytał się w notatkę. – A o co chodzi z tą taśmą i żartem? Co to ma znaczyć?

Juliette stanęła obok i spojrzała na notatkę. – Zastanawiałam się nad tym. Musiało mu chodzić o taśmę grzewczą, którą jakiś czas temu dla mnie zdobył.

– Wydaje mi się, że to pamiętam.

– A pamiętasz jakie mieliśmy z tym problemy? Te rury wydechowe, którymi je owinęliśmy, prawie zaczęły się palić. To było straszne dziadostwo. Chyba wysłał mi liścik z pytaniem, czy taśma dotarła w jednym kawałku, i odpisałam mu, że tak, dziękuję, ale nie zniszczyłaby się lepiej nawet jakby ją specjalnie w tym celu zaprojektowano.

– To był ten twój żart? – Walker obrócił się na stołku i oparł łokcie o stół. Wciąż zerkał na nakreślone węglem litery, jakby to była twarz Scottiego, jego małego cienia, wracającego po raz ostatni, by powiedzieć mu coś ważnego.

– On twierdzi, że mój żart okazał się prawdą – odparła Juliette. – Rozmyślałam o tym przez ostatnie trzy godziny, nie mogąc się doczekać, aż z kimś na ten temat pogadam.

Walter spojrzał na nią przez ramię, unosząc brwi.

– Nie jestem szeryfem, Walk. Nie po to się urodziłam. Nie powinnam stąd odchodzić. Ale wiem, tak jak wszyscy, że to, co zamierzam powiedzieć, pośle mnie prosto do czyszczenia...

Walker momentalnie ześlizgnął się ze stołka i odsunął się od niej. Juliette przeklęła się za to, że tu przyszła, że otworzyła usta, że nie zameldowała się na pierwszej zmianie, olewając to wszystko...

Walker zamknął drzwi warsztatu na klucz. Popatrzył na nią i uniósł palec, potem podszedł do sprężarki powietrza i wyciągnął węża. Następnie włączył sprężarkę, żeby silnik zaczął zwiększać ciśnienie powietrza, które wylatywało przez otwór z jednostajnym sykiem. Wrócił do ławki i usiadł, a hałas silnika sprężarki stał się trudny do zniesienia. Jego szeroko otwarte oczy zachęcały ją do kontynuowania urwanego wątku.

– Tam na wzgórzu jest takie miejsce – powiedziała mu, musząc nieco podnieść głos. – Nie wiem, ile czasu minęło odkąd widziałeś to zbocze, ale w tym miejscu leżą teraz dwa ciała wtulone w siebie: mężczyzny i kobiety. Jeśli wytężysz wzrok, zauważysz wokół tuzin podobnych kształtów, wszystko to czyściciele w różnym stadium rozkładu. Większość już się oczywiście rozpadła. Przez lata obrócili się w pył.

Słysząc, o czym opowiadała, Walker pokręcił głową.

– Przez ile lat ulepszano kombinezony, by czyściciele mieli szanse na przeżycie? Setki?

Przytaknął.

– A mimo to żaden nie dotarł dalej. Chociaż ani razu się nie zdarzyło, by komuś zabrakło czasu na czyszczenie.

Walker podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. – Twój żart okazał się prawdą – odparł. – Taśma grzewcza. Ona została zaprojektowana, by się zepsuć.

Juliette zacisnęła wargi. – O tym właśnie myślę. Ale nie chodzi wyłącznie o taśmę. Pamiętasz te uszczelki sprzed paru lat? Te z IT, które dostarczone przez przypadek trafiły do naszych pomp?

– Wtedy nabijaliśmy się z IT, że tacy z nich głupcy i cymbały...

– Ale to my jesteśmy głupcami – odparła Juliette. Cudownie się poczuła, mogąc to wreszcie komuś powiedzieć. Tak cudownie było wypowiedzieć głośno te wszystkie nowe myśli. I wiedziała, że nie myliła się co do kosztów telegramów, że oni nie chcieli, by ludzie się ze sobą komunikowali. Myślenie było w porządku, oni chętnie pogrzebią cię razem z twoimi myślami. Ale żadnej kolaboracji, żadnych zorganizowanych grup, żadnej wymiany idei.

– Myślisz, że trzymają nas tutaj, byśmy byli blisko ropy? – zapytała Walkera. – Nie wydaje mi się. Już nie. Wydaje mi się, że każdego, kto ma jakiekolwiek pojęcie o mechanice trzymają jak najdalej od siebie. Są dwa łańcuchy zaopatrzenia, produkuje się dwa zestawy części, wszystko w całkowitej tajemnicy. I kto kwestionuje ich decyzje? Kto zaryzykuje udanie się na czyszczenie?

– Sądzisz, że zabili Scottiego?

Juliette skinęła głową. – Walk, ja myślę, że jest jeszcze gorzej. – Nachyliła się ku niemu, sprężarka terkotała głośno, syk uwalnianego powietrza wypełnił pomieszczenie. – Myślę, że oni zabijają każdego.

28

Na pierwszą zmianę Juliette zgłosiła się o szóstej, wciąż odtwarzając w głowie rozmowę z Walkerem. Kiedy tylko weszła, usłyszała długi i zawstydzający aplauz kilku techników. Knox gapił się na nią, stojąc w kącie i znowu zachowując się opryskliwie. Powitał ją już w domu i niech go diabli, jeśli zrobi to po raz kolejny.

Przywitała się z tymi, których nie widziała minionej nocy, i przejrzała plan zadań na dziś. Spisane na tablicy słowa były logiczne, ale jakoś do niej nie docierały. Ciągle rozmyślała o biednym Scottiem, zagubionym i zmagającym się z czymś, co było od niego większe – większe od kogokolwiek – i w końcu doprowadziło go do śmierci. Myślała o jego drobnym ciele, pewnie ukrytym gdzieś z resztą dowodów... wkrótce będzie karmić rośliny na farmie. Pomyślała o małżonkach leżących razem na wzgórzu, nie mających szansy, by dotrzeć nieco dalej, zobaczyć, co kryje się za horyzontem.

Wybrała zadanie z listy – takie, które wymagało niewielkiego wysiłku umysłowego z jej strony, i myśląc o biednych Marnesie i Jahns, i o tym jak tragiczna – jeśli dobrze zrozumiała Marnesa – była ich miłość. Kusiło ją, by opowiedzieć o tym wszystkim, którzy byli wokół. Patrzyła na Megan i Ricksa, na Jenkinsa i Marcka, i myślała o niewielkiej, połączonej braterską więzią armii, którą mogłaby uformować. Silos był przegnity do szpiku, zły człowiek pełnił funkcję burmistrza, miejsce dobrego szeryfa zajęła marionetka, a wszyscy ci dobrzy mężczyźni i wspaniała kobieta zginęli.

Sama myśl była komiczna: jej grupa mechaników bierze szturmem wyższe poziomy, przywraca porządek. Ale co potem? Czy to by było powstanie – tak jak to, o którym uczyli się będąc dziećmi? Czy tak właśnie się rozpoczęło? Jedna głupia kobieta z ogniem w sercu mąci w sercach całego legionu głupców?

Trzymała jednak język za zębami i w końcu dotarła do pompowni. Wpasowując się w rytm porannych prac, zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić na górze, a nie nad tym, co tutaj na dole wymagało naprawy. Zeszła niżej jedną z bocznych klatek schodowych, zatrzymała się w narzędziowni, żeby sprawdzić torbę, a potem zataszczyła ciężką teczkę do jednego z głębokich szybów, gdzie pompy nieustannie pracowały, chroniąc najniższe poziomy silosu przed zalaniem.

Caryl, przeniesiona z trzeciej zmiany, pracowała już przy zbiorniku, łatając spękany cement. Pomachała jej swoim ręcznikiem, a Juliette skinęła głową, zmuszając się do uśmiechu.

Uszkodzona pompa znajdowała się na jednej ze ścian, obok niej działała zapasowa, pracując pełną parą i pryskając wodę z popękanych uszczelek. Juliette zajrzała do zbiornika, chcąc zmierzyć głębokość wody. Nad mętną powierzchnią ledwie dało się dostrzec cyfrę 9. Juliette policzyła to sobie szybko, znając średnicę zbiornika i wiedząc, że jest w nim prawie dziewięć stóp wody. Dobra wiadomość to że mają co najmniej dzień, zanim przemokną im buty. W najgorszym razie mogą zamienić pompę na tą zbudowaną z części zamiennych i poradzić sobie jakoś z Hendricksem, który bez wątpienia opieprzy ich, że nie naprawili tego, co przecież dało się naprawić.

Kiedy Juliette zaczęła rozmontowywać zepsutą pompę, mokrą od wody pryskającej z sąsiedniego urządzenia, spojrzała na swoje życie z perspektywy, którą uzyskała po dzisiejszych odkryciach. Silos był czymś, co zawsze traktowała jako rzecz stałą i pewną. Księża twierdzili, że istniał od zawsze, że był kreacją miłującego Boga, że dostali tutaj wszystko, czego kiedykolwiek pragnęli. Juliette miała problemy z tą opowieścią. Kilka lat temu była członkiem pierwszej wyprawy, która przewierciła się poniżej 10 tyś stóp i trafiła na nowe złoża ropy. Miała poczucie gigantycznych rozmiarów leżącego pod nimi świata. A potem na własne oczy zobaczyła obraz świata zewnętrznego, z kłębami dymu zwanymi chmurami płynącymi na wielkich wysokościach. Widziała nawet gwiazdę, a one zdaniem Lukasa znajdowały się niewyobrażalnie daleko. Jaki Bóg stworzyłby pod spodem tyle skał i tyle pustej przestrzeni w górze, a pomiędzy jednym a drugim tylko ten nędzny silos?

Z drugiej strony były ruiny na horyzoncie i obrazki z książek dla dzieci, a każda z tych rzeczy zdawała się zawierać jakieś wskazówki. Oczywiście księża mówili, że horyzont jest dowodem na to, że człowiek nie powinien przekraczać granic. A książeczki z wyblakłymi obrazkami? Dziwaczna wyobraźnia autorów, ci ludzie już przepadli wraz z kłopotami, które zwykli sprawiać.

Jednak Juliette nie dostrzegała w tych książeczkach niczyjej dziwacznej wyobraźni. Spędziła dzieciństwo w żłobku, czytając każdą jedną raz za razem, jeśli tylko ktoś ich akurat nie pożyczał, i te rzeczy

w środku wraz z niezwykłymi zabawami na bazarze miały więcej sensu od tego rozpadającego się cylindra, w którym wszyscy żyli.

Odkręciła ostatnie węże i zaczęła oddzielać pompę od silnika. Metalowe wióry sugerowały zniszczony wirnik, co z kolei oznaczało konieczność wyjęcia wału. Działając automatycznie – wykonując pracę, którą wykonywała już tak wiele razy – mogła rozmyślać o niezliczonych zwierzętach pojawiających się w książkach, a przecież większości z nich ludzkie oko nigdy nie widziało. Doszła do wniosku, że jedyną dziwaczną częścią tych książek było to, że zwierzęta mówiły i zachowywały się jak ludzie. W kilku książkach były na przykład myszy czy kurczaki, które właśnie tak się zachowywały mimo że Juliette wiedziała doskonale, że te gatunki nie potrafią mówić. Wszystkie pozostałe zwierzęta muszą żyć gdzieś indziej, albo może żyły kiedyś. Była tego pewna, był może dlatego, że wcale nie zdawały jej się czymś fantastycznym. Każde wydawało się podążać za tym samym planem, podobnie jak pompy w silosie. Widać było, że jedno było w jakiś sposób oparte na drugim. Znać było określony projekt, więc ktokolwiek stworzył jedno, stworzył wszystkie.

Silos nie był niestety równie sensowny. Nie został stworzony przez Boga – prawdopodobnie zaprojektowali go ludzie z IT. To była wprawdzie nowa teoria, ale ją przekonywała. Sami kontrolowali wszystkie najważniejsze rzeczy. Czyszczenie było najwyższym prawem i najsilniejszą religią, a zostało przecież wymyślone i było przygotowywane w ich zamkniętych gabinetach i laboratoriach. Drugą kwestią była też ogromna odległość od Maszynowni. Rozmieszczenie posterunków policyjnych – oto kolejne dowody. Nie wspominając o zapisach Paktu, które właściwie gwarantowały im immunitet. A teraz doszło jeszcze dodatkowo odkrycie drugiego łańcucha zaopatrzenia, części tworzonych po to, by się psuły, brak postępu w tym, by ludzie mogli przetrwać na zewnątrz nieco dłużej niż zawsze. IT zbudowało to miejsce i to IT ich tutaj trzymało.

Juliette była tak wzburzona że niemal wyrwała odkręcaną właśnie śrubę. Odwróciła się, szukając Caryl, ale młodsza kobieta już sobie poszła. Podnosząc wzrok, Juliette obejrzała dokładnie sufit pomieszczenia, gdzie z jednej strony, oddzielone od reszty, znajdowały się kable i rury przechodzące przez ściany i plączące się ze sobą. Sieć rur parowych została poprowadzona po przeciwnej stronie, by nie stopiły żadnych przewodów – zwisał z nich luźny zwój taśmy grzewczej. Wkrótce będzie musiała zostać wymieniona, pomyślała Juliette. Taśma może mieć już z dziesięć albo

i dwadzieścia lat. Pomyślała o skradzionej z IT taśmie, która kiedyś wpakowała ją w takie kłopoty, i że tam na górze, poza ścianami silosu, taka taśma w najlepszym razie wytrzymałaby jakieś 20 minut.

I właśnie wtedy Juliette uświadomiła sobie, co musi zrobić. Plan, by zdjąć wszystkim z oczu opaskę, przysługa dla kolejnego idioty, który popełni błąd, albo będzie śmiał mieć nadzieję i się z tym nie kryć. I to będzie proste. Sama nie będzie nawet musiała niczego konstruować – to oni wykonają całą pracę za nią. Wystarczy tylko przekonać parę osób, a w tym przecież była dobra.

Uśmiechnęła się. Lista poszczególnych elementów ułożyła się w jej głowie, gdy wyjmowała z uszkodzonej pompy zepsuty wirnik. By rozwiązać ten problem wystarczyło wymienić jedną czy dwie części. Tylko tyle, by sprawić, że wszystko w silosie znów zacznie działać jak należy.

* * *

Juliette przepracowała dwie pełne zmiany i jeszcze przed oddaniem narzędzi oraz prysznicem mięśnie aż zdrętwiały jej z bólu. Nad umywalką przetarła szczotką paznokcie, żeby były idealnie czyste. Potem ruszyła w stronę stołówki, nie mogąc się już doczekać wysokoenergetycznego żarcia, podawanego tu zamiast słabej potrawki z królika, którą jadła na pierwszym piętrze. Kiedy przechodziła przez korytarz wejściowy Maszynowni, zobaczyła że Knox dyskutuje z zastępcą Hankiem. Po ich zachowaniu domyśliła się, że rozmawiają właśnie o niej. Poczuła ściskanie w dołku. Najpierw pomyślała o ojcu. Potem o Peterze. Na kim jeszcze zależało jej na tyle, by oni zechcieli jej go odebrać? Nie wiedzieliby, żeby skontaktować się z nią w sprawie Lukasa, kimkolwiek dla niej był.

Skręciła i ruszyła w ich stronę, mimo że sami też szli już jej na spotkanie. Wyraz ich twarzy zdawał się potwierdzać jej najgorsze obawy. Stało się coś okropnego. Juliette ledwie dostrzegła to, że Hank sięgnął po kajdanki.

– Przykro mi, Jules – odezwał się, gdy byli już blisko.

– Co się stało? – zapytała. – Coś z tatą?

Hank zmarszczył brwi w konsternacji. Knox kręcił głową, przygryzając swoją gęstą brodę. Przyglądał się zastępcy, jakby miał zamiar go pożreć.

– Knox, co się dzieje?

– Jules, tak mi przykro. – Znów pokręcił głową. Zdawało się, że chciał powiedzieć coś więcej, ale nie miał siły. Juliette poczuła, jak Hank łapie ją za ramię.

– Jesteś aresztowana za poważne przestępstwa przeciw silosowi.

Wyrecytował te słowa jakby były jakimś smutnym wierszem. Stal zacisnęła się głośno na jej nadgarstkach.

– Zgodnie z postanowieniami Paktu zostaniesz osądzona i skazana.

Juliette wbiła wzrok w Knoxa. – O co tutaj chodzi? – zapytała. Czy naprawdę znowu chcieli ją aresztować?

– Jeśli zostaniesz uznana za winną, będziesz miała szansę zachować się honorowo.

– Czego ode mnie chcesz? – wyszeptał Knox, jego potężne mięśnie drżały pod materiałem kombinezonu. Splótł dłonie, patrząc jak druga metalowa obręcz zaciska się na jej nadgarstku, teraz już obie ręce miała w kajdanach. Potężny szef Maszynowni zdawał się chyba rozważać użycie przemocy – albo i gorzej.

– Knox, spokojnie – powiedziała Juliette. Pokręciła głową. Nie mogła znieść myśli, że ktoś jeszcze miałby zostać skrzywdzony z jej powodu.

– ...Czy ludzkość powinna wygnać cię z tego świata – ciągnął dalej Hank, łamiącym się głosem, z oczami pełnymi łez wstydu.

– Odpuść – rzuciła do Knoxa. Popatrzyła za niego, widząc że coraz więcej pracowników wracało z drugiej zmiany, przystając, by zobaczyć, jak ich córa marnotrawna jest zakuwana w kajdany.

– Na wygnaniu będziesz mogła zetrzeć swoje grzechy, zmyć je z siebie – skończył Hank. Spojrzał na nią, jedną dłonią ściskając łańcuch między jej nadgarstkami. Po twarzy płynęły mu łzy.

– Przepraszam – powiedział.

Juliette skinęła głową. Zacisnęła zęby i skinęła głową również do Knoxa.

– W porządku – powiedziała. Wciąż kiwała głową. – W porządku, Knox. Odpuść sobie.

29

Wspinaczka zajęła trzy dni. Trwała dłużej niż powinna. Ale istniał protokół. Dzień wspinaczki do biura Hanka, noc w jego celi, zastępca Marsh schodzi następnego ranka, by eskortować ją pięćdziesiąt pięter w górę, do swojego biura.

Drugiego dnia wspinaczki była zupełnie otępiała. Spojrzenia mijających ją osób ześlizgiwały się z niej jak krople oleju. Trudno było martwić się własnym życiem – była zbyt zajęta liczeniem tych, którzy zginęli, szczególnie że niektórzy zginęli właśnie przez nią.

Marsh, tak jak Hank, starał się z nią pogawędzić, ale Juliette mogłaby tylko odpowiedzieć, że są po niewłaściwej stronie barykady. Że zło wpadło w amok. Wolała trzymać język za zębami.

Na środkowym posterunku pokazano jej znajomą celę, podobną do tej u Hanka, na najniższych poziomach. Żadnego ekranu ściennego, tylko ściana z pustaków. Padła na pryczę jeszcze przed zamknięciem kraty, i leżała tam chyba przez całe długie godziny, czekając aż nadejdzie noc i w końcu świt, bo wtedy nowy zastępca Petera zejdzie tu, by poprowadzić ją przez ostatni odcinek schodów.

Często zerkała na nadgarstki, ale Hank skonfiskował jej zegarek. Pewnie nie miał nawet pojęcia, jak się go nakręca. W końcu przestanie działać i znów będzie zwykłą błyskotką, bezużytecznym przedmiotem noszonym do góry nogami ze względu na ładny pasek.

To zasmuciło ją bardziej niż powinno. Podrapała nadgarstek, umierając z ciekawości, która może być teraz godzina. Wtedy właśnie pojawił się Marsh i powiedział, że ma gościa.

Juliette usiadła na pryczy, opuszczając nogi. Kto z Maszynowni mógł przywędrować aż na środkowe poziomy?

Kiedy po drugiej stronie krat pojawił się Lukas, tama wstrzymująca jej emocje niemal pękła. Próbowała walczyć z łkaniem, aż rozbolała ją szczęka i zesztywniał kark, a pustka w jej piersi niemal eksplodowała. Złapał się krat i oparł o nie głowę, skrońmi dotykając gładkiej stali. Na jego ustach majaczył smutny uśmiech.

– Hej – przywitał się.

Juliette ledwie go poznała. Przywykła do tego, że widywali się w ciemnościach, a kiedy wpadli na siebie na klatce schodowej strasznie się spieszyła. Był przystojnym mężczyzną, jego oczy zdawały się starsze od

reszty twarzy, zaś jasno-brązowe włosy miał zaczesane do tyłu i mokre od potu po pośpiesznej wędrówce.

– Nie musiałeś tu przychodzić – odezwała się, mówiąc cicho i powoli, żeby się nie rozpłakać. Przybiło ją, że ktoś zobaczy ją w tym stanie, i to na dodatek osoba, na której zaczęło jej zależeć. To było dla niej zbyt wielkie upokorzenie.

– Staramy się z tym walczyć – odparł. – Twoi przyjaciele już zbierają podpisy. Nie poddawaj się.

Potrząsnęła głową. – To nic nie da – powiedziała. – Błagam, nie rób sobie nadziei. – Podeszła do krat i też je chwyciła, kilka cali poniżej jego dłoni. – Przecież ty mnie nawet nie znasz.

– Ale wiem, że to wszystko jedna wielka bzdura... – Odwrócił twarz, łzy płynęły mu po policzkach. – Kolejne czyszczenie? – jęknął. – Niby dlaczego?

Zsunął ręce w dół i złapał jej dłonie. Juliette nie mogła ich wyswobodzić, by otrzeć łzy z policzków. Próbowała schylić głowę, by wytrzeć je o własne ramię.

– Tamtego dnia chciałem się z tobą zobaczyć... – Pokręcił głową i wziął głęboki oddech. – Chciałem cię zaprosić na randkę...

– Nie – odparła. – Lukas, nie rób tego...

– Powiedziałem o tobie mojej mamie.

– Och, na litość boską, Lukas...

– To się nie może wydarzyć – odparł. Pokręcił głową. – Nie może. Nie możesz odejść.

Kiedy znów na nią spojrzał, Juliette dostrzegła, że w oczach miał znacznie większy lęk niż ona. Wyswobodziła jedną rękę i dzięki niej uwolniła też drugą. Odepchnęła jego dłonie. – Musisz odpuścić – stwierdziła. – Przykro mi. Znajdź sobie kogoś. Nie kończ tak jak ja. Nie czekaj...

– Myślałem, że już kogoś znalazłem – powiedział płaczliwie.

Juliette odwróciła głowę.

– Idź – wyszeptała.

Stała bez ruchu, czując jego obecność po drugiej stronie krat; ten chłopak wiedział wiele na temat gwiazd, ale o niej nie wiedział niczego. I czekała, słuchając jego łkania i sama też cicho popłakując, aż w końcu usłyszała szuranie jego stóp, ponury krok, którym się od niej oddalił.

* * *

Spędziła kolejny wieczór na zimnej pryczy, kolejny wieczór podczas którego nikt jej nie wyjaśnił, za co została aresztowana, kolejny wieczór, podczas którego mogła liczyć szkody, jakie nieświadomie wyrządziła. Następnego dnia nadszedł czas na ostatnią wspinaczkę przez krainę zamieszkaną przez obcych, ścigały ją szepty na temat podwójnego czyszczenia, i Juliette znowu wpadła w trans otępienia, koncentrując się na ruchu nóg: najpierw prawa, potem lewa.

Pod koniec wspinaczki zaprowadzono ją do znajomej celi, mijając po drodze Petera Billingsa i jej biurko. Eskortujący ją mężczyzna opadł na skrzypiące krzesło Marnesa, narzekając na wycieńczenie.

Juliette czuła na skórze skorupę, która uformowała się wokół niej podczas tych trzech długich dni, niczym twarda warstwa otępienia i niedowierzania. Ludzie wcale nie mówili ciszej, po prostu tak brzmieli. Nie stali dalej od niej, po prostu wydawali się bardziej odlegli.

Usiadła na pojedynczej pryczy i usłyszała, jak Peter Billings oskarża ją o spiskowanie. W plastikowej torbie wisiał nośnik danych, niczym zdechła ryba. Jakimś sposobem zdołał wygrzebać go z pieca. Krawędzie były poczerniałe, rolka nie została nawet rozwinięta, lecz była częściowo zmiażdżona. Spisano szczegóły przeszukania jej komputera. Wiedziała, że większość tego, co znaleźli, to dane Holstona, nie jej. Ale nie wiedziała, jaki miałby być sens im to tłumaczyć. Mieli już dość materiałów na kilka czyszczeń dla niej.

Kiedy odczytywano listę jej grzechów, obok Petera stał sędzia w czarnym kombinezonie, jakby naprawdę musiał tam być ktoś, kto zdecyduje o jej losie. Juliette wiedziała jednak, że już dawno podjęto decyzję, wiedziała też, kto ją podjął.

Padło imię Scottiego, ale nie wyłapała kontekstu. Mogło chodzić o to, że odkryli jego konto mailowe. Albo że na wszelki wypadek zamierzali obwinić ją o jego śmierć. Kości ofiar zostaną zakopane, sekrety będą bezpieczne pod ziemią.

Zamiast ich słuchać, Juliette patrzyła przez ramię, jak na równinie formuje się niewielkie tornado i zmierza w kierunku wzgórz. W końcu się rozwiało i rozbiło o łagodne zbocze, znikając tak jak wielu czyścicieli, wystawionych na żrący wiatr i porzuconych, by obrócili się w proch.

Bernard nawet się nie pojawił. Albo się bał, albo był zbyt próżny, Juliette nigdy się tego nie dowie. Patrzyła na swoje dłonie, na resztki oleju pod paznokciami, i wiedziała, że jest już martwa. Ale to nie miało

znaczenia. Za nią i przed nią ciągnął się szereg ciał. Była tylko małym trybem teraźniejszości, jednym z wielu w tej maszynie, obracającym się i zgrzytającym metalowymi zębami dopóki maszyneria się nie zepsuła, a jej własne odłamki nie posypały się, czyniąc jeszcze więcej szkód. W końcu musiano ją wyszarpnąć z tego mechanizmu, wyrzucić, zastąpić innym trybem.

Pam przyniosła Juliette ze stołówki owsiankę i smażone ziemniaki, jej ulubione. Postawiła parujące danie przed kratami. Cały czas napływały listy z Maszynowni. Cieszyła się, że żaden ze znajomych nie przyszedł z wizytą. Ich nieme głosy w zupełności jej wystarczały.

Oczy Juliette płakały, lecz reszta ciała była zbyt zdrętwiała, by ulec łkaniom. Czytała urocze liściki, a łzy skapywały jej na uda. Knox przysłał zwykłe przeprosiny. Pomyślała, że wolałby kogoś zamordować i coś zrobić – nawet jeśli by go za to wygnano – niż nie zrobić niczego i – jak napisał – żałować tego już do końca życia. Inni przysyłali uduchowione listy, obiecywali spotkać się po drugiej stronie, cytowali zapamiętane książki. Shirly być może znała ją najlepiej i wspomniała jej, co się teraz dzieje z generatorem i nową centryfugą w rafinerii. Powiedziała, że wszystko będzie świetnie działać i że to głównie zasługa Juliette. Czytając te słowa, zaszlochała cicho. Potarła palcami węglowe litery, przenosząc na opuszki część czarnych myśli przyjaciółki.

W końcu została jej już tylko kartka od Walkera, jedyna, której nie potrafiła rozgryźć. Kiedy słońce zaszło za ponurymi wzgórzami, a wiatry uspokoiły się i kurz mógł wreszcie opaść, czytała jego słowa raz po raz, starając się dociec, o co mu chodziło.

Jules-

Żadnego strachu. Czas się śmiać. Prawda jest żartem, w Zaopatrzeniu wszystko na swoim miejscu.

– Walk.

* * *

Nie była pewna, jak zdołała usnąć, wiedziała tylko, że gdy się obudziła, wokół pryczy odnalazła kartki, niczym łuski farby, która odpadła ze ścian, a większość z nich prześlizgnęła się już na drugą stronę krat, Juliette odwróciła głowę i spojrzała w ciemność, uświadamiając sobie, że ktoś tam stoi. Za kratami ujrzała mężczyznę. Kiedy się poruszyła, cofnął się, obrączka ślubna stuknęła dźwięcznie o stal. Pośpiesznie zerwała się

z pryczy i na śpiących nogach podeszła do krat. Złapała je drżącymi dłońmi, wgapiając się w mrok, gdzie czyjaś sylwetka zlewała się w jedno z czernią.

– Tata...? – zawołała, wyciągając dłoń za kratę.

Ale on się nie odwrócił. Wysoka postać przyspieszyła kroku, znikając w pustce, stając się tylko mirażem, równie odległym co wspomnienia z dzieciństwa.

* * *

Późniejszy wschód słońca był czymś godnym podziwu. Niskie ciemne chmury rozstąpiły się, dzięki czemu złote promienie ześlizgnęły się po zboczach wzgórz. Juliette leżała na pryczy, obserwując jak mrok rzednie i pojawia się światło, policzek oparty o dłonie, zza krat unosiła się woń nietkniętej owsianki. Myślała o mężczyznach i kobietach z IT, pracujących przez ostatnie trzy noce nad stworzeniem pasującego na nią kombinezonu, jego popsute zawczasu elementy przynoszone są z działu Zaopatrzenia. Strój będzie mógł wytrzymać na tyle długo, by mogła dokonać czyszczenia, ale nie dłużej.

Cała ta gehenna trzydniowej wspinaczki, dni i noce otępiałej akceptacji, a myśl o czyszczeniu pojawiła się dopiero teraz, w poranek dnia, kiedy będzie miała tego dokonać. Była absolutnie pewna, że tego nie zrobi. Wiedziała, że wszyscy czyściciele tak mówili, a potem nagle, w obliczu śmierci, doświadczali jakiejś magicznej – być może duchowej – transformacji i jednak czyścili. Ale ona nie miała na górze nikogo, dla kogo miałaby to robić. Nie była pierwszym czyścicielem z Maszynowni, ale miała zamiar być pierwszym, który się nie podporządkuje.

Tak właśnie powiedziała, gdy Peter zabrał ją z celi i poprowadził do żółtych drzwi. W środku czekał już technik z IT, robiąc w kombinezonie ostatnie poprawki.

Juliette słuchała jego instrukcji z klinicznym dystansem. Dostrzegała wszystkie słabości projektu. Uświadomiła sobie, że gdyby nie była tak zajęta poświęcając aż dwie zmiany, by Maszynownia była bezpieczna przed zalaniem, miała ropę i dostarczała pełnej mocy, to lepszy kombinezon zrobiłaby nawet przez sen. Studiowała uszczelki i podkładki, takie same jak te, których używali przy pompach, lecz zaprojektowane specjalnie by się rozpaść. Błyszcząca otulina taśmy grzewczej, pokrywająca nachodzące na siebie paski tworzące powierzchnię kombinezonu, miała być

tak słaba. Niemal powiedziała to technikowi, gdy obiecywał jej, że dostała najnowszy i najlepszy model. Zapiął ją, założył jej rękawice, pomógł z butami i wyjaśnił, czemu kieszenie są ponumerowane.

Juliette powtarzała sobie mantrę z liściku Walkera: Żadnego strachu. Żadnego strachu. Żadnego strachu.

Czas się śmiać. Prawda jest żartem, w Zaopatrzeniu wszystko na swoim miejscu.

Technik sprawdził jej rękawice i rzepy nad zamkami, a Juliette tymczasem zastanawiała się nad wiadomością Walkera. Dlaczego napisał Zaopatrzenie z wielkiej litery? Czy w ogóle dobrze to zapamiętała? Teraz nie była taka pewna. Pasek taśmy okleił jeden but, potem drugi. Juliette śmiała się w myślach na to całe przestawienie. Było tak dojmująco bezcelowe. Powinni pogrzebać ją na farmie, gdzie jej ciało przynajmniej na coś by się przydało.

Na końcu z wielką ostrożnością założył jej hełm. Technik kazał jej go trzymać, samemu dopasowując metalowy kołnierz wokół szyi. Popatrzyła na swoje odbicie w wizjerze, oczy miała puste i znacznie starsze niż pamiętała, a mimo to młodsze niż jej się zdawało. W końcu hełm trafił na głowę, pomieszczenie ściemniało za przydymionym szkłem. Technik przypomniał jej o wpuszczanym do śluzy argonie i ogniu, który potem oczyści pomieszczenie. Będzie musiała wyjść stąd bardzo szybko, albo czeka ją jeszcze gorsza śmierć.

Odszedł i mogła sama się nad tym namyślać. Żółte drzwi za jej plecami zostały zamknięte, znajdujące się na nich koło jednak nadal się kręciło, jakby szarpał za nie duch.

Juliette zastanawiała się, czy zostać i dać się pochłonąć płomieniom, nie dając temu spodziewanemu duchowemu odrodzeniu żadnej szansy na zapanowanie nad jej wolą. Co powiedzą w Maszynowni, gdy dotrze do nich wreszcie ta opowieść? Wiedziała, że niektórzy będą dumni z jej uporu. Niektórych przerazi to, że zginęła w tym spopielającym kości ogniu. Kilku może nawet pomyśleć, że nie była dość odważna, by zrobić krok za drzwi, że zmarnowała szansę zobaczenia świata na własne oczy.

Jej strój zaczął się marszczyć, gdy do pomieszczenia wpompowano argon, tworząc wystarczające ciśnienie, by toksyny nie dostały się do środka. Zaczęła iść w stronę drzwi, niemal wbrew własnej woli. Kiedy się otworzyły, plastikowe pokrycie pomieszczenia owinęło się wokół rur i zwisającej nisko ławy. Juliette wiedziała, że koniec jest już blisko. Drzwi

przed nią rozsunęły się się, silos otwierał się przed nią, i przez gęstą parę mogła dostrzec, co jest na zewnątrz.

Jeden but prześlizgnął się przez szczelinę, potem drugi także. I Juliette wyszła na świat, pewna, że odchodzi na własnych warunkach, po raz pierwszy na własne oczy widząc to wszystko przez wąski wizjer hełmu, to szkło o wymiarach osiem cali na dwa, co nagle sobie uświadomiła.

30

Bernard patrzył na czyszczenie ze stołówki, gdy jego technicy gromadzili zapasy w biurze Petera. Taki miał zwyczaj, że obserwował cały proces w samotności – technicy rzadko się do niego przyłączali. Wynieśli rzeczy z biura i ruszyli prosto na klatkę schodową. Bernard niekiedy wstydził się tych przesądów, lęków, którymi zaraził nawet swoich ludzi.

Najpierw wyłoniła się kopuła jej hełmu, a potem lśniący duch Juliette Nichols wspiął się na powierzchnię. Wędrowała wzdłuż rampy, sztywna i niepewna. Bernard zerknął na ścienny zegar i sięgnął po szklankę soku. Czekał już, czy znów zdoła wyczuć reakcję kolejnego czyściciela na to, co zobaczy: jasny, czysty świat, pełen życia, trawę uginającą się pod podmuchami wiatru, lśniące miasto wyłaniające się zza wzgórz.

Za życia był już świadkiem niemal tuzina czyszczeń, zawsze z radością patrząc na pierwszy piruet, gdy zdumiony czyściciel omiatał wzrokiem otoczenie. Widział mężczyzn, którzy zostawili rodziny, i tańczyli potem przed czujnikami, machając rękami, jakby zapraszali swoich bliskich na zewnątrz, starając się gestami pokazać wszystkie te cuda, wyświetlane na ich wizjerach, wszystko to bez żadnej korzyści, bez żadnej publiczności. Widział jak ludzie wyciągają szaleńczo ramiona, chcąc sięgnąć ptaków, myląc je z bliższymi ich twarzy insektami. Jeden z czyścicieli nawet zbiegł z powrotem po rampie i prawdopodobnie zaczął walić do drzwi, jakby chciał coś zasygnalizować, zanim przystąpił do czyszczenia. Czymże były te reakcje jeśli nie dowodem, że system świetnie działa. Że bez względu na psychikę jednostek, widok tylu fałszywych wizji w końcu każe im robić to, czego robić nie chcieli.

Może dlatego właśnie burmistrz Jahns nigdy nie mogła znieść patrzenia na czyścicieli. Nie miała pojęcia, co tamci widzą, czują, na co reagują. Przychodziła na górę kolejnego ranka czując mdłości i cieszyła się wschodem słońca, odgrywając własną żałobę, gdy reszta silosu dawała jej spokój. Ale Bernard uwielbiał tę transformację, te złudzenia, które on i jego poprzednicy doprowadzili do perfekcji. Uśmiechnął się i napił soku ze świeżych owoców, obserwując zataczającą się Juliette, zwodzoną przez pozory. Na obiektywach była minimalna warstwa sadzy, nie warta nawet przetarcia, ale po podwójnych czyszczeniach z dawnych czasów wiedział, że ona i tak to zrobi. Nikt nigdy nie postąpił inaczej.

Pociągnął kolejny łyk i zerknął w stronę biura szeryfa, by sprawdzić, czy Peter zebrał się na odwagę, by także popatrzeć, drzwi jednak były przymknięte. Wiązał z tym chłopcem wielkie nadzieje. Dzisiaj szeryf, a pewnego dnia może i burmistrz. Bernard da radę pełnić tę funkcję przez jakiś czas, może jedną czy dwie kadencje, ale jego miejsce było w IT, to nie była robota dla niego. No a przecież jego pozostałych obowiązków nie mógł pełnić nikt inny.

Odwrócił głowę od biura Petera, znów spojrzał na ekran – i niemal upuścił papierowy kubek z sokiem.

Srebrzysty kształt Juliette Nichols wspinał się już na wzgórze. A sadza nadal pokrywała obiektywy.

Bernard zerwał się z miejsca, przewracając krzesło. Zatoczył się w stronę ekranu, zupełnie jakby chciał ją dogonić.

I oniemiały obserwował, jak wspina się ciemnym żlebem, przystając na chwilę nad nieruchomymi ciałami poprzednich czyścicieli. Bernard znów spojrzał na zegar. To powinno się stać lada moment. Lada moment. Przewróci się, łapiąc się za hełm. Będzie się tarzać w pokrytej piachem ziemi, wzbijając chmurę pyłu, a potem stoczy się ze wzgórza, aż jej martwe ciało wreszcie się zatrzyma.

Ale kolejne sekundy mijały, a Juliette szła dalej przed siebie. Zostawiła w tyle ciała czyścicieli, nadal wspinając się, aż równy krok poniósł ją aż na szczyt, gdzie stanęła na moment, a potem – rzecz niemożliwa, wręcz niebywała – zniknęła z pola widzenia.

* * *

Bernard pędził klatką schodową, dłoń kleiła mu się od rozlanego soku. Przez trzy kondygnacje ściskał jeszcze zmiażdżony kubek, zanim dogonił techników i cisnął nim w ich plecy. Kubek odbił się i poszybował w przestrzeń, by spaść na jedno z odległych pięter gdzieś w dole. Bernard przeklął skołowanych mężczyzn i pobiegł dalej, niemal potykając się o własne nogi. Dwanaście pięter niżej niemal zderzył się z pierwszymi, pełnymi nadziei wspinaczami, pragnącymi zobaczyć drugi w pełni wyraźny wschód słońca w ostatnich tygodniach.

Był obolały i ledwie mógł złapać oddech, gdy w końcu dotarł na trzydzieste czwarte. Okulary ześlizgiwały mu się ze spoconego nosa. Przebiegł przez podwójne drzwi i wrzasnął, by otworzyli mu bramkę. Przerażony strażnik zastosował się do rozkazu, skanując własny

identyfikator, zanim Bernard przedarł się przez metalowe ramiona. Przebiegł właściwie przez cały korytarz, skręcając dwukrotnie, aż dotarł pod najmocniej ufortyfikowane drzwi w całym silosie.

Przeciągając swoją kartę, wbił kod bezpieczeństwa i wpadł do środka, mijając grubą ścianę litej stali. W pełnym serwerów pomieszczeniu było gorąco. Na wykafelkowanej podłodze stały rzędami identyczne czarne obudowy, niczym monumenty tego, co możliwe, efekt bezbłędnego rzemiosła i projektowania ludzkich dążeń. Bernard przeszedł między nimi, pot spływał mu po brwiach, górną wargę miał mokrą, blask migotał mu przed oczami. Przesunął dłonie po obudowach maszyn, światła mrugały niczym radosne oczka, starające się przegnać jego gniew, elektryczny pomruk był niczym skierowany do mistrza szept, mający go uspokoić.

Ale wszystkie te starania były nic nie warte. Bernard czuł jedynie strach. Raz po raz zastanawiał się, co mogło pójść nie tak. Przecież to niemożliwe, by dziewczyna przeżyła, nie ma żadnych szans. Jego mandat zakładał, że obok ocalenia danych na tych maszynach, nie pozwoli też nikomu zniknąć z pola widzenia. To była kluczowa kwestia. Wiedział dlaczego i drżał na samą myśl o następstwach dzisiejszej porażki.

Przeklinając wysoką temperaturę panującą w pomieszczeniu, dotarł do drugiego końca sali. Otwory wentylacyjne nad głową wdmuchiwały do serwerowni chłodne powietrze z samych głębin silosu. Wielkie wiatraki na tyłach wpompowywały rozgrzane powietrze do rur wiodących w dół, dzięki czemu na zimnych i brudnych trzycyfrowych kondygnacjach było w miarę ciepło. Bernard patrzył na te otwory, przypominając sobie przerwę w dostawach, tydzień niebezpiecznie podniesionej temperatury, zagrażającej wszystkim jego serwerom, a wszystko to dla jakiegoś generatora, wszystko przez tę kobietę, która zniknęła mu teraz za wzgórzem. Samo wspomnienie wzbudziło jego wściekłość. Przeklinał tę skazę w projekcie silosu, przez którą kontrolę nad wentylacją sprawowały te brudne małpy, ci niecywilizowani idioci z Maszynowni. Pomyślał o tych ich brzydkich i głośnych maszynach, smrodzie spalin i płonącej ropie. Tylko raz musiał to zobaczyć – żeby pójść kogoś tam zabić – ale i to było zbyt wiele. Porównanie hałaśliwych silników z doskonałymi, cichymi serwerami wystarczało, by nigdy nie zechciał opuścić działu IT. Tutaj właśnie krzemowe czipy uwalniały swój rześki zapach, nagrzewając się pod naporem chrzęszczących danych. Tutaj właśnie można było poczuć gumowe kable przewodów, biegnących równolegle, schludnie

opakowanych, oznaczonych i zakodowanych, i w każdych sekundzie przesyłających gigabajty informacji. Tutaj właśnie nadzorował napełnianie dysków danymi utraconymi po ostatnim powstaniu. Tutaj człowiek mógł spokojnie myśleć, otoczony maszynami, które po cichu robiły to samo.

Jednakże gdzieś w tej wentylacji unosił się smród nieczystości. Bernard starł pot z czoła i wytarł ręce w siedzenie swojego kombinezonu. Sama myśl o tej kobiecie – najpierw go okradającej, potem nagrodzonej przez Jahns najwyższym stanowiskiem wśród stróżów prawa, a teraz ośmielającej się nie czyścić, tylko tak po prostu sobie odejść – doprowadzała go do białej gorączki.

Dotarł do serwera na końcu rzędu i wcisnął się pomiędzy ścianę na tyłach a komputer. Zawieszony na szyi klucz wślizgnął się w naoliwione wnętrzności zamków obudowy. Przekręcając każdy jeden, uświadomił sobie, że nie mogła uciec daleko. I czy to naprawdę może narobić mu aż takich kłopotów? I najważniejsze: co poszło nie tak? Wyczucie czasu zawsze powinno być idealne. I zawsze było.

Zdjął tył obudowy serwera, za którym kryło się w dużej mierze puste wnętrze. Bernard wsunął klucz z powrotem w kombinezon i odłożył na bok czarny, stalowy panel, diabelsko rozgrzany. Wewnątrz serwera znajdowało się niewielkie zawiniątko. Bernard rozwiązał je i włożył rękę do środka, wyciągając plastikowe słuchawki. Założył je sobie na uszy, poprawił ustawienie mikrofonu i rozwinął kabel.

Powtarzał sam sobie, że wciąż ma wszystko pod kontrolą. Był szefem działu IT. Był burmistrzem. Peter Billings był jego człowiekiem. Ludzie lubili stagnację, a on mógł utrzymywać pozory stagnacji. Bali się zmian, a on mógł je ukryć. Pełniąc obydwie funkcje jednocześnie, kogo będzie miał przeciw sobie? Kto był lepiej wykwalifikowany? Zdoła to jeszcze wyjaśnić. Wszystko będzie dobrze.

Mimo to był przerażony jak nigdy dotąd, odnajdując odpowiednią wtyczkę i podłączając kabel. W słuchawkach momentalnie rozległ się sygnał, automatycznie nawiązano połączenie.

Będzie potrafił nadzorować IT z oddali, upewni się, że to się nigdy więcej nie powtórzy, będzie trzymał rękę na wszystkich raportach. Miał wszystko pod kontrolą. Powtarzał to sobie, gdy w słuchawkach kliknęło i sygnał umilkł. Wiedział, że ktoś odebrał, mimo że nie usłyszał żadnego powitania. Wyczuwał, że w ciszy wibrowało zdenerwowanie.

Bernard też nie silił się na uprzejmości. Od razu przeszedł do rzeczy.

– Silos pierwszy? Tutaj silos osiemnasty. – Zlizał pot warg i poprawił mikrofon. Dłonie miał mokre i zimne, nagle zachciało mu się sikać.

– My... cóż... Mamy tutaj chyba... mały problem...

Część 4 - Rozdarcie

31

Tragiczna historyja Romeusa i Julii

W jej dziecięcym umyśle wędrówka ciągnęła się w nieskończoność. Mimo że Juliette zrobiła tylko kilka kroków swymi małymi stopkami, miała wrażenie jakby ona i jej rodzice podróżowali od całych tygodni. Dla niecierpliwych dzieciaków wszystko trwało wiecznie, a każdy rodzaj oczekiwania zdawał się torturą.

Siedziała na ramionach ojca, trzymając się jego podbródka, nogi zaś miała owinięte ciasno wokół jego szyi. Będąc tak wysoko, musiała schylać głowę, żeby nie uderzyć w spód schodów. Stukanie butów nieznajomych rozbrzmiewało na stopniach nad nią, do oczu wpadały jej drobiny rdzy.

Juliette mrugnęła i wtuliła twarz we włosy ojca. Mimo że była podekscytowana, rytmiczne unoszenie się i opadanie ramion ojca sprawiało, że trudno jej było nie usnąć. Kiedy zaczął narzekać na ból pleców, pokonała kilka kondygnacji na biodrze matki, trzymając ją za szyję, aż jej młoda główka zwisła bezwładnie, gdy dziewczynka zaczęła usypiać.

Podobały jej się odgłosy podróży: stukanie butów o stopnie, rytmiczna pieśń ojca i matki, rozmawiających o dorosłych sprawach; ich głosy robiły się to głośniejsze, to cichsze, kiedy Juliette na przemian zasypiała i budziła się.

Podróż stała się mglistą chmurą wielu niewyraźnych wspomnień. Zbudziło ją kwiczenie świń zza otwartych drzwi, była ledwie świadoma ogrodu, który mijali, obudziła się całkiem dopiero czując zapach czegoś słodkiego, a potem zjadła posiłek – obiad albo kolację, nie była pewna. Niemal nie poruszała się, po tym jak śpiąca zsunęła się tej nocy do łóżka prosto z ramion ojca. Był już weekend. Wiedziała o tym, bo starsze dzieci bawiły się głośno w korytarzu, zamiast szykować się do szkoły. Po zimnym śniadaniu, wróciła wraz z rodzicami na klatkę schodową, mając wrażenie, że podróżowali całe życie, a nie tylko jeden dzień. Potem kolejne drzemki łagodnie wymazywały mijający czas.

Po kolejnym dniu wędrówki dotarli na setne piętro niezgłębionych otchłani silosu. Ostatnie stopnie pokonała na własnych nogach, mama i tata trzymali ją za ręce, mówiąc o tym, jakie to ważne. Była teraz w miejscu zwanym „głębinami”, wyjaśnili jej. To dolna część ich wspólnego domu. Pomagali jej sennym nogom, gdy dreptała z ostatniego stopnia

dziewięćdziesiątego dziewiątego piętra na setne. Ojciec pokazał palcem coś nad otwartymi drzwiami, wskazując duży namalowany numer, z niesamowitą trzecią cyfrą:

100

Dwa kółka zauroczyły Juliette. Były jak szeroko otwarte oczy, po raz pierwszy spoglądające na świat. Powiedziała ojcu, że potrafi już doliczyć do takiej liczby.

– Wiem, że potrafisz – odparł. – Dlatego, bo jesteś taka mądra.

Ruszyła za matką na bazar, obiema rękami ściskając mocno silne i szorstkie dłonie ojca. Wszędzie wokół byli ludzie. Panował hałas, ale to był dobry hałas. Wesołe odgłosy wypełniały przestrzeń, ludzie podnosili głos, by ich usłyszano – tak jak w klasie, gdy nie było nauczyciela.

Juliette czuła się zagubiona i bała się, więc trzymała ojca bardzo mocno. Czekali, gdy mama poszła powymieniać coś za lunch. To wymagało zatrzymania się przy tuzinie straganów, żeby dostać wszystko, czego potrzebowała. Tata namówił jakiegoś mężczyznę, by pozwolił dziewczynce przechylić się przez płot i pogłaskać królika. Jego futerko było tak miękkie, jakby nie było go wcale. Juliette cofnęła rękę, przestraszona tym, że zwierzę odwróciło głowę, ale ono tylko zaczęło żuć coś niewidzialnego i spojrzało na nią, jakby było znudzone.

Bazar zdawał się ciągnąć bez końca. Wił się wkoło i znikał z pola widzenia, nawet gdy zasłaniające jej widok nogi dorosłych przerzedzały się na tyle, by mogła zobaczyć, co kryło się dalej. Skręcili w stronę, gdzie znajdowały się wąskie alejki pełne kolejnych stoisk i namiotów tworzących istny labirynt dźwięków i barw, ale Juliette nie mogła pójść w tamtym kierunku. Trzymała się z rodzicami, aż dotarli do kwadratowych stopni, których jeszcze nigdy w życiu nie widziała.

– Teraz ostrożnie – poradziła matka, pomagając jej wspiąć się na schody.

– Dam radę – odparła, ale i tak chwyciła mamę za rękę.

– Dwoje dorosłych z jednym dzieckiem – powiedział ojciec do kogoś stojącego na górze. Usłyszała brzęk bonów wpadających do skrzynki, już wcześniej ich pełnej. Kiedy ojciec przechodził przez bramę, zauważyła, że mężczyzna stojący obok skrzynki był ubrany bardzo kolorowo i miał zabawny, oklapły kapelusz, o wiele na niego za duży. Próbowała mu się lepiej przyjrzeć, gdy mama przeprowadzała ją przez

bramę, kładąc jej rękę na plecach i szepcąc, by szła za ojcem. Mężczyzna odwrócił głowę – na jego kapeluszu zadzwoniły wtedy dzwonki – i zrobił do niej zabawną minę, wystawiając język.

Juliette zaśmiała się, ale nadal bała się tego dziwnego mężczyzny, nawet kiedy już znaleźli miejsce, by usiąść i coś zjeść. Tata wygrzebał z plecaka cienkie prześcieradło i rozłożył je na jednej z szerokich ław. Mama kazała Juliette przez wejściem na prześcieradło zdjąć buty. Wspierając się na ramionach ojca, dziewczynka spoglądała w dół na rzędy ławek i foteli prowadzące na otwartą przestrzeń. Ojciec wyjaśnił, że to miejsce nazywa się „scena". Tu na dole wszystko miało inne nazwy.

– Co oni robią? – zapytała ojca. Kilku mężczyzn na scenie, ubranych tak kolorowo jak ten pan przy wejściu, podrzucało piłki – niezliczoną ich ilość – i żadna im nie spadła.

Ojciec parsknął śmiechem. – Żonglują. Chcą nas zabawić, zanim zacznie się sztuka.

Juliette nie była przekonana, czy chce, by sztuka się zaczęła. Wolała oglądać właśnie to. Żonglerzy rzucali do siebie piłkami i obręczami, a Juliette obserwowała ich poczynania, czując, jak sama zaczyna wymachiwać rękami. Starała się policzyć obręcze, ale zbyt szybko się poruszały.

– Zjedz swój lunch – przypomniała jej matka, podając kawałek kanapki z owocami.

Juliette była jak zahipnotyzowana. Kiedy żonglerzy odłożyli piłki i obręcze, a potem zaczęli gonić jeden drugiego, przewracając się i wygłupiając, śmiała się tak głośno jak pozostałe dzieci. Raz po raz zerkała na rodziców, czy też patrzą. Szarpała ich za rękawy, ale oni tylko rozmawiali dalej, jedząc i pijąc. Kiedy obok przysiadła druga rodzina, i starszy od niej chłopiec też zaczął się śmiać z żonglerów, Juliette poczuła, że wreszcie ma towarzystwo. Piszczała jeszcze głośniej. To była najciekawsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała, mogłaby na to patrzeć bez końca.

Ale wtedy światła przygasły i zaczęła się sztuka, znacznie nudniejsza od tego, co działo się przed nią. Zaczęła się całkiem nieźle, od porywającej walki na miecze, ale potem było mnóstwo dziwnych słów i mężczyzna oraz kobieta patrzący na siebie tak, jak patrzyli na siebie jej rodzice, a na dodatek mówiący w jakimś dziwnym języku.

Juliette zasnęła. Śniła o lataniu przez silos z setkami kolorowych piłek i obręczami kręcącymi się wokół niej, zawsze jednak poza zasięgiem jej rączek, a każda obręcz okrągła jak te numery oznaczające piętro bazaru – i wtedy nagle zbudziły ją gwizdy i oklaski.

Rodzice stali i wrzeszczeli, a ubrani w zabawne kostiumy ludzie na scenie ukłonili się kilka razy. Juliette ziewnęła i popatrzyła na chłopca, który siedział na ławce obok. Spał z otwartymi ustami, głowę położył na kolanach mamy, a ona tak klaskała, że jemu aż podskakiwały ramiona.

Poskładali prześcieradło i ojciec zniósł ją na dół, ku scenie, gdzie wojownicy z mieczami i ci, co tak dziwnie gadali, rozmawiali teraz z publicznością, ściskając wyciągnięte dłonie. Juliette chciała poznać żonglerów. Chciała nauczyć się, co zrobić, by obręcze fruwały w powietrzu. Ale rodzice zamiast tego czekali, aż będą mogli porozmawiać z jedną z pań, tą, która miała warkocz.

– Juliette – odezwał się jej ojciec, stawiając ją na scenie. – Chcę, żebyś poznała... Juliette. – Gestem wskazał kobietę w obszernej sukni i z dziwną fryzurą.

– Naprawdę masz tak na imię? – zapytała pani, klękając i chcąc złapać dłoń Juliette.

Ta jednak cofnęła ją, jakby kolejny królik próbował ją ugryźć. Skinęła tylko głową.

– Byłaś wspaniała – powiedziała mama do tamtej pani. Podały sobie dłonie i przedstawiły się sobie.

– Podobała ci się sztuka? – zapytała pani z dziwną fryzurą.

Juliette skinęła głową. Czuła, że powinna tak zrobić i że w tym przypadku należało skłamać.

– Razem z jej ojcem poszliśmy przed laty na to przedstawienie, kiedy zaczęliśmy się spotykać – odparła matka, głaszcząc Juliette po włosach. – Chcieliśmy nazwać pierwsze dziecko Romeus albo Juliette.

– Cóż, w takim razie cieszę się, że macie dziewczynkę – odparła kobieta, uśmiechając się.

Rodzice zaczęli się śmiać, a Juliette pomału przestawała się bać tej pani, która miała takie samo imię jak ona.

– Sądzisz, że dostaniemy autograf? – ojciec puścił jej ramię i zaczął przetrząsać plecak. – Gdzieś tutaj mam program.

– A czemu by nie dać tej młodej Juliette scenariusza? – Pani uśmiechnęła się do niej. – Uczysz się już literek?

– Umiem liczyć do stu – odparła z dumą dziewczynka.

Kobieta zamilkła, potem się uśmiechnęła. Juliette obserwowała ją bacznie, gdy wstała i przeszła przez scenę, a jej suknia unosiła się nad ziemią, wyglądając zupełnie inaczej niż kombinezony. Wróciła zza kurtyny z malutkim plikiem kartek spiętych mosiężną broszką. Przyjęła węgiel od ojca Juliette i wielkimi, kręconymi literami napisała swoje nazwisko na okładce.

Potem wcisnęła papierki w małe dłonie dziewczynki. – To dla ciebie, Juliette z silosu.

Matka zaprotestowała. – Och, nie możemy. To zbyt wiele papieru...

– Ona ma dopiero pięć lat – dodał ojciec.

– Mam go przecież więcej – zapewniła ich kobieta. – Robimy swój własny papier. Chcę, żeby to dostała.

Wciągnęła rękę i dotknęła policzka Juliette. Tym razem dziewczynka się nie cofnęła. Była zbyt zajęta przerzucaniem kartek, patrząc na zapiski umieszczone na marginesach wydrukowanych słów. Zauważyła że jedno słowo pośród innych było wciąż zakreślane. Nie rozumiała pozostałych, ale to jedno potrafiła odczytać. To było jej imię. Zaczynało się od niego tak wiele zdań:

Juliette.

To była ona. Popatrzyła na panią, od razu pojmując, czemu rodzice ją tu przyprowadzili, czemu wędrowali tak długo, tak daleko.

– Dziękuję – odparła, pamiętając o manierach.

I wtedy, po chwili namysłu dodała:

– Przeprałam, że zasnęłam.

32

Jednym wybaczę, a drugich ukarzę,
Ponurą zgodę ranek ten skojarzył;
Słońce się z żalu w chmur zasłonę tuli;
Smutniejszej bowiem los jeszcze nie zdarzył,
Jak ta historia Romea i Julii.
[Wszystkie cytaty: William Shakespeare „Romeo i Julia”, tłum. Józef Paszkowski.]

Nadszedł ranek najgorszego czyszczenia w życiu Lukasa. Mężczyzna zaczął się zastanawiać, czy nie iść do pracy, zignorować płatny urlop, udawać, że to dzień jak każdy inny. Przysiadł na skraju łóżka i zbierał się na odwagę, by wstać, na kolanach mając jedną ze swoich gwiezdnych map. Delikatnie, by nie rozmazać symboli, gładził węglowy zarys jednej, szczególnej gwiazdy.

Była inna niż pozostałe. Tamte były zwykłymi kropkami w kratkach, oznaczone datą, umiejscowieniem i intensywnością blasku. To nie była tego rodzaju gwiazda – żadna nie świeciła przez tak długi czas. Pięcioramienna, w kształcie odznaki szeryfa. Pamiętał, że nakreślił ten kształt, gdy kobieta rozmawiała z nim tamtej nocy, stal na jej piersi błyszczała łagodnie, odbijając słabe światło z klatki schodowej. Pamiętał, jak magiczny był jej głos, sposób, w jaki się poruszała, wręcz hipnotyzujący. A jej pojawienie się w jego nudnym życiu niespodziewane jak nagłe rozstąpienie się chmur.

Pamiętał także, jak dwie noce temu odwróciła się od niego w celi, chcąc odepchnąć go od siebie, by chronić jego uczucia.

Lukasowi zabrakło już łez. Całą noc przepłakał przez kobietę, którą ledwie znał. A teraz zastanawiał się, co zrobi z tym dniem, co zrobi z całym swoim życiem. Myśl, że ona jest tam, na zewnątrz, i robi coś dla nich wszystkich – czyści – sprawiła, że dostał mdłości. Zastanawiał się, czy to dlatego od dwóch dni wcale nie miał apetytu. Gdzieś w głębi swych trzewi musiał wiedzieć, że jeśli nawet coś przełknie, momentalnie to zwróci.

Odłożył mapę na bok, kryjąc twarz w dłoniach. Był tak zmęczony, a zarazem starał się siebie przekonać, by po prostu wstać i iść do pracy. Gdyby poszedł, przynajmniej odwróciłby czymś swoją uwagę. Próbował sobie przypomnieć, na czym zakończył pracę w serwerowni. Czy to numer osiem znowu padł? Sammi sugerował, że trzeba zmienić płytę główną, ale

Lukas uważał, że nawalił kabel. Tym właśnie się wtedy zajmował: sprawdzaniem łącza Ethernetu. I to właśnie powinien robić teraz, tego konkretnego dnia. Byle nie obijać się w czasie urlopu, czując się chorym przez kobietę, o której w sumie tylko opowiedział swojej matce.

Lukas wstał i zarzucił na siebie ten sam kombinezon, który nosił wczoraj. Przez chwilę stał bez ruchu, wpatrzony we własne stopy, zastanawiając się, czemu w ogóle wstawał. Dokąd się wybierał? W głowie miał pustkę, ciało jak sparaliżowane. Był ciekaw, czy będzie tak stał, bez ruchu, z żołądkiem zawiązanym na supeł, przez resztę swojego życia. Ktoś go w końca znajdzie, prawda? Martwego i sztywnego, stojącego prosto jak posąg.

Pokręcił głową, odganiając czarne myśli, i zaczął szukać butów.

Odnalazł je w końcu. Jakoś zdołał tego dokonać. Lukas, ubierając się, już coś osiągnął.

Wyszedł z pokoju i ruszył przez piętro, mijając dzieci radujące się kolejnym dniem wolnym od szkoły, rodziców starających się je okiełznać, ubrać im buty i kombinezony. Dla Lukasa to całe zamieszanie było tylko szumem w tle. To był ledwie pomruk, tak jak ból nóg po długim marszu, by się z nią zobaczyć, i po jeszcze dłuższej wspinaczce powrotnej. Ledwie wyszedł z mieszkania, poczuł zwyczajowe przyciąganie od strony stołówki. Mógł myśleć tylko o tym, o czym myślał od tygodnia: przetrwać kolejny dzień, a potem iść na górę, by mieć szansę się z nią spotkać.

Nagle dotarło do niego, że przecież może to jeszcze zrobić. Nie cieszyły go wschody słońca – wolał noc i gwiazdy – ale jeśli chciał ją ujrzeć, wystarczyło tylko pójść na stołówkę i przeszukać krajobraz. Pojawi się tam nowe ciało, nowy kombinezon będzie lśnił na zboczu, odbijając słabe promienie słońca, starającego przebić się przez zasłonę chmur.

Widział to wyraźnie oczami wyobraźni: jej wykrzywiona sylwetka – wykręcone nogi, przygniecione ręce, odwrócony na bok hełm, skierowany w stronę silosu. Co jeszcze smutniejsze, ujrzał siebie za kilka dekad: samotny starzec siedzący przed szarym ekranem, rysujący nie gwiazdy a krzywizny krajobrazu. Wciąż ten sam krajobraz, raz po raz, patrzenie za czymś, co mogło gdzieś tam tkwić, rysowanie tej samej nieruchomej pozy, a kapiące łzy rozpuszczają trzymany w dłoni węgiel.

Będzie zupełnie jak ten biedak Marnes. Myśl o zastępcy, który nie miał nikogo, kto by go pogrzebał, przypomniała Lukasowi o ostatniej

rzeczy, jaką powiedziała mu Juliette. Błagała, by sobie kogoś znalazł, żeby nie był jak ona, nie został całkiem sam.

Złapał za zimną stal poręczy pięćdziesiątego piętra i przechylił się nad nią. Patrząc w dół, widział jak spiralne schody wwiercają się w głębiny ziemi. Niżej było widać pięćdziesiąte szóste, kolejne kondygnacje nie były już widoczne z tego miejsca. Ciężko było zmierzyć odległość, ale Lukas stwierdził, że tyle powinno wystarczyć. Nie musi schodzić aż na osiemdziesiąte drugie, które wybierała większość skoczków, mając swobodną drogę spadania aż do dziewięćdziesiątego dziewiątego.

Nagle ujrzał samego siebie w locie, jak spada, z szeroko rozstawionymi rękami i nogami. Stwierdził, że ledwie minie półpiętro, zaczepi o którąś z poręczy, która niemal przetnie go na pół. Może gdyby skoczył nieco dalej, może gdyby lepiej wycelował, skacząc na głowę, to wszystko skończy się szybciej.

Wyprostował się, czując ukłucie lęku i przypływ adrenaliny na samą myśl upadku – tak wyraźnym końcu swojego życia. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy ktoś go nie obserwuje. Widywał już wcześniej ludzi wychylających się za poręcze. Zawsze zakładał, że w ich głowach kłębią się ponure myśli. Bo dorastając w silosie wiedział, że tylko dzieciom coś spada na dół. Kiedy robisz się starszy, wiesz, że musisz mocno trzymać wszystko, co utrzymać zdołasz. W końcu to coś zupełnie innego ci się wyślizgiwało, coś innego spadało do serca silosu, każąc ci skoczyć w ślad za sobą...

Piętro drżało od tupotu pędzącego tragarza, bose stopy uderzały o stopnie coraz bliżej i bliżej. Lukas odsunął się od poręczy, starając się skupić na tym, co miał tego dnia zrobić. Może powinien wrócić do łóżka i zasnąć, w nieprzytomności zabić parę dodatkowych godzin.

Kiedy starał się wzniecić w sobie choć iskierkę motywacji, wyminął go tragarz, a Lukas dostrzegł na jego twarzy wyraz konsternacji. Nawet kiedy zniknął z pola widzenia – pędząc na złamanie karku – jego zaniepokojenie tkwiło w umyśle Lukasa.

I Lukas już wiedział. Gdy szybkie kroki chłopaka prowadziły go coraz głębiej w trzewia ziemi, wiedział że tego ranka coś się wydarzyło, coś na samej górze, coś, co miało związek z czyszczeniem.

Promyk nadziei. Ukryty gdzieś daleko, za gęstymi chmurami, więc Lukas bał się przyznać, że w ogóle istnieje. Może wcale nie doszło do czyszczenia. Czy to możliwe, że zrewidowano decyzję o wygnaniu Juliette? Ludzie z Maszynowni przecież wysłali na górę petycję. Setki podpisów,

wszyscy nadstawiali karku, żeby ją ocalić. Czy ten szalony gest roztopił serca sędziów?

Za jednym promykiem nadziei podążyły kolejne. Lukas miał już pewność, że musi pobiec na górę i przekonać się na własne oczy. Puścił barierkę, porzucił myśl o skoku, i ruszył po schodach, przebijając się przez poranne tłumy. Pośpiech tragarza wywołał wiele szeptów. Nie tylko on jeden zwrócił na to uwagę.

Kiedy dołączył do zmierzającego ku górze tłumu, uświadomił sobie, że już wcale nie czuje bólu nóg. Starał się wyminąć idącą wolno rodzinę, gdy nagle za plecami usłyszał zgrzyt radia.

Odwrócił się i kilka stopni niżej ujrzał zastępcę Marsha, szarpiącego się z radiem na biodrze. Do piersi przyciskał niewielkie pudełko, a na czole perlił mu się pot.

Lukas stanął, łapiąc się poręczy i czekał, aż zastępca z poziomów środkowych się z nim zrówna.

– Marsh!

Tamten w końcu ściszył radio i podniósł wzrok. Skinął głową do Lukasa. Obydwaj przycisnęli się do poręczy, gdy robotnik i jego cień minęli ich, zmierzając na górę.

– Jakie wieści? – zapytał Lukas. Dobrze znał zastępcę i wiedział, że ten może mu wszystko bez większych problemów wygadać.

Marsh otarł czoło i wsunął sobie pudełko pod pachę. – Bernard opieprza mnie od samego rana – zaczął narzekać. – Mam już dość tego ciągłego wspinania się po schodach!

– A co z czyszczeniem? – spytał Lukas. – Tragarz biegł tak szybko, jakby zobaczył ducha.

Marsh popatrzył w górę schodów. – Kazali mi przynieść jej rzeczy na trzydzieste czwarte tak szybko jak się da. Hank prawie się zabił, tak z nimi do mnie leciał. – Gapił się na górę, jakby nie miał czasu się tutaj zatrzymywać. – Słuchaj, muszę już pędzić, jeśli nie chcę stracić pracy.

Lukas złapał go za ramię, ruch za nimi zagęścił się, zdenerwowani wspinacze musieli co rusz wymijać kogoś zmierzającego w dół. – Czyszczenie odbyło się, czy nie? – dopytywał się Lukas.

Marsh opadł na poręcz. Z jego radia dobiegał szum cichych rozmów.

– Nie – wyszeptał, a Lukas poczuł się, jakby mógł latać. Mógł przelecieć między schodami a betonowym sercem silosu, wirować wokół

pięter, jednym skokiem pokonać pięćdziesiąt kondygnacji...

– Wyszła na zewnątrz, ale nie czyściła – dodał Marsh, cicho, lecz słowa były tak ostre, że były w stanie rozedrzeć marzenia Lukasa. – Przeszła przez wzgórza...

– Zaraz. Co takiego?

Marsh skinął głową, pot ściekał mu z nosa. – Zniknęła z pola widzenia – syknął, wyciszając radio. – Teraz muszę zanieść jej rzeczy do Bernarda...

– Ja to zrobię – stwierdził Lukas, wyciągając ręce przed siebie. – I tak idę na trzydzieste czwarte..

Marsh wyciągnął pudełko. Wydawało się, jakby w każdej chwili mógł upaść. Lukas zaczął go błagać, tak jak przed dwoma dniami, gdy błagał, by móc zobaczyć się z Juliette. – Zaniosę je za ciebie. Wiesz, że Bernardowi wszystko jedno. Przyjaźnię się z nim, zresztą tak jak i z tobą...

Zastępca Marsh otarł usta i skinął głową nieznacznie, zastanawiając się nad tym.

– Słuchaj, ja przecież i tak idę na górę – naciskał Lukas. Zaczął powoli zabierać wyczerpanemu Marshowi pudełko, mimo że targające nim emocje utrudniały skupienie. Ruch na schodach stał się jedynie tłem. Myśl, że Juliette może nadal być w silosie pierzchła, ale wiadomość, że nie czyściła, że dotarła aż za wzgórza – to napełniło go innymi emocjami. Dotknęło tej jego części, która kazała mu rysować mapę gwiazd. To znaczyło przecież, że nikt nigdy nie zobaczy jej rozpadającego się w proch ciała.

– Uważaj z tym – poradził mu Marsh. Patrzył na pudełko, teraz wetknięte pod pachę Lukasa.

– Ręczę za to swoim życiem – odparł Lukas. – Możesz mi zaufać.

Marsh skinął głową, bo tak też było. Lukas popędził w górę schodów, wyprzedzając tych, którzy szli uczcić czyszczenie. Rzeczy Juliette postukiwały cicho w pudełku przyciśniętym do jego piersi.

33

Jeszcze twój dawny jęk w uszach mi dzwoni.

Elektryk Walker nachylił się nad zagraconym stołem warsztatowym, poprawiając ustawienie szkieł powiększających. Wielkie soczewki trzymały mu się na głowie dzięki obręczy, która byłaby może niewygodna, gdyby nie fakt, że nosił ją przez większość swojego sześćdziesięciodwuletniego życia. Kiedy wreszcie ustawił szkło na właściwym miejscu, mały czarny czip na zielonej płycie stał się bardzo wyraźny. Walker był w stanie dostrzec każdą ze srebrnych, metalowych nóżek, wystających z jego ciała niczym zgięte nogi pająka – niewielkie stopki zdawały się uwięzione w srebrnych kałużach zamarzniętej stali.

Końcówką swojej najlepszej lutownicy Walker dźgnął srebrny punkcik, jednocześnie dociskając stopą pompę ssącą. Metal wokół mikroskopijnych stóp roztopił się i momentalnie został wyciągnięty – jedna noga z szesnastu była wolna.

Miał już uwolnić kolejną – całą noc spędził na wyciąganiu przepalonych czipów, żeby odwrócić swoją uwagę od innych spraw – kiedy usłyszał znajomy tupot nowego tragarza pędzącego korytarzem.

Walker odłożył płytę wraz z lutownicą na stół i pobiegł do drzwi. Trzymając się futryny wychylił się akurat wtedy, gdy chłopak mijał jego warsztat.

– Tragarzu! – krzyknął. Chłopak zatrzymał się niechętnie. – Jakie wieści, chłopcze?

Tamten uśmiechnął się, ukazując białe zęby. – Mam niesamowite wieści! Ale to będzie kosztowało przynajmniej jeden bon.

Walker mruknął zniesmaczony, lecz sięgnął do kieszeni. Przywołał tamtego gestem. – Ty jesteś synem Samsona, co nie?

Chłopak skinął głową, włosy zatańczyły wokół młodzieńczej twarzy.

– Cieniowałeś u Glorii, prawda?

Dzieciak znów skinął głową, oczami śledząc srebrny bon wygrzebany z grzechoczącej kieszeni Walkera.

– Wiesz, Gloria często żałowała starego człowieka, nie mającego ani rodziny, ani życia prywatnego. Powierzała mi swoje wiadomości, naprawdę.

– Gloria nie żyje – odparł chłopak, wystawiając rękę przed siebie.

– No właśnie – westchnął Walker. Upuścił bon na dłoń chłopaka, a potem machnął starczą, pokrytą plamami ręką, domagając się wieści. Umierał z ciekawości i mógłby zapłacić nawet i dziesięć bonów. – Konkrety, młody. Tylko niczego nie pomiń.

– Nie było czyszczenia, panie Walker!

Serce zamarło Walkerowi w piersi. Chłopiec odwrócił się już, by biec dalej.

– Czekaj, chłopcze! Jak to nie było czyszczenia? Wypuścili ją?

Tragarz pokręcił głową. Włosy miał długie i nieokiełznane, w sam raz do biegania w górę i w dół po schodach. – Nie sir. Odmówiła!

Oczy mu błyszczały, na twarzy pojawił się szeroki uśmiech wywołany tym, że posiadał taką wiedzę. W całym jego życiu jeszcze nikt nie odmówił czyszczenia. W życiu Walkera zresztą też nie. Może i nigdy. Walker był dumny z Juliette.

Chłopak odczekał chwilę. Był niecierpliwy, już chciał ruszyć w dalszą drogę.

– Coś jeszcze? – zapytał Walker.

Skinął głową, patrząc na kieszenie Walkera.

Tamten westchnął głęboko, zniesmaczony. Co to za pokolenie! Włożył rękę w kieszeń, a drugą machał niecierpliwie.

– Ona przepadła, panie Walker!

Chłopak zabrał bon z ręki Walkera.

– Przepadła? To znaczy, że nie żyje? Mówże, synku!

Samson znów błysnął zębami, chowając bon w kieszeni kombinezonu. – Nie sir. Przepadła gdzieś za wzgórzem. Nie czyściła, panie Walker, wspięła się na wzgórze i zniknęła po drugiej stronie. Poszła do miasta, a pan Bernard był tego świadkiem!

Młody tragarz klepnął Walkera w ramię, chcąc wyrazić jakoś swój entuzjazm. Odgarnął włosy z twarzy, uśmiechnął się szeroko, i odwrócił się, by ruszyć dalszą drogę, z lżejszymi stopami lecz nieco cięższymi kieszeniami.

Walker został w progu, oszołomiony. Trzymał się futryny żelaznym uchwytem, żeby tylko nie wypaść na zewnątrz. Kiwał się nieznacznie, patrząc na stertę naczyń, które poprzedniej nocy wysunął za drzwi. Obejrzał się przez ramię, na niepościelone łóżko, które wzywało go do siebie przez całą noc. Z lutownicy nadal unosił się dym. Odwrócił się od korytarza,

który wkrótce wypełnią hałasy nadchodzącej pierwszej zmiany, i odłączył lutownicę, żeby nie wywołać kolejnego pożaru.

Stał tak przez chwilę, rozmyślając o Jules, o wieściach, jakie usłyszał. Zastanawiał się, czy jego list dotarł do niej na czas, czy ukoił choć trochę nieznośny lęk, który czuł, myśląc o dziewczynie.

Wrócił z powrotem do drzwi. Na dole robiło się głośno. Czuł potężną chęć, by tam iść, przekroczyć przez próg, stać się częścią czegoś zupełnie niespotykanego.

Pewnie niedługo przyjdzie tu Shirly, przyniesie śniadanie i zabierze naczynia. Mógł na nią poczekać, może przecież pogadać z nią chwilę. Może to szaleństwo trochę się uspokoi.

Ale sama myśl o czekaniu, minutach piętrzących się jak nowe zlecenia, wciąż w niewiedzy, jak daleko Juliette dotarła i jaką reakcję wywołała u innych tym, że zrezygnowała z czyszczenia, popchnęła go do natychmiastowego działania.

Uniósł stopę i przekroczył próg, wkraczając w nieograniczoną czterema ścianami przestrzeń.

Wziął głęboki oddech, pochylił się i zrobił kolejny krok. Nagle poczuł się niczym nieustraszony odkrywca. Oto niespodziewanie, po czterdziestu kilku latach, idzie chwiejnie znajomym korytarzem, jedna dłoń ociera się o stalowe ściany, oto widzi przed sobą zakręt, za którym będzie coś, czego jego oczy już nawet nie pamiętają.

Walker stał się kolejną starą duszą ruszającą naprzeciw nieznanemu. W głowie mu się kręciło na myśl, co wkrótce zobaczy.

34

Nie masz litości w niebie, która widzi
Całą głębokość mojego cierpienia?
Ty mię przynajmniej nie odpychaj, matko!

Ciężkie stalowe drzwi silosu otworzyły się, a wielka chmura argonu wyleciała przez nie z wściekłym sykiem. Wyglądało to tak, jakby ta chmura zmaterializowała się znikąd, sprężony gaz zmienił się w gęstą pianę w zetknięciu z cieplejszym, mniej gęstym powietrzem.

Juliette Nichols przeszła jednym butem przez wąską szparę w drzwiach, które otworzyły się tylko nieznacznie, by powstrzymać napływ śmiercionośnych toksyn, hamowanych przez zwiększający ciśnienie powietrza argon. Musiała prześlizgnąć się bokiem, a i tak jej obszerny kombinezon ocierał się o grube drzwi. Myślała tylko o szalejącym ogniu, który wkrótce ogarnie całą śluzę. Płomienie zdawały się już lizać ją po plecach, zmuszając do ucieczki.

Przeniosła drugi but za drzwi – i nagle znalazła na zewnątrz.

Na zewnątrz.

Nad jej odzianą w hełm głową nie było niczego prócz chmur, nieba i niewidocznych gwiazd.

Podreptała naprzód, przedzierając się przez gęstą mgłę syczącego argonu, by zacząć wspinać się po rampie, otoczonej ścianami brudnymi od nawianej przez silne wiatry sadzy. Łatwo było zapomnieć, że pod nogami znajduje się górne piętro silosu. Widok z jej biura i stołówki tworzył iluzję stania na powierzchni, ale tylko dlatego, że to tu, na górze, znajdowały się obiektywy.

Juliette spojrzała w dół, na numery na piersi i przypomniało jej się, co miała zrobić. Wspięła się po rampie ze spuszczoną głową, skupiając wzrok na butach. Nie była pewna, jak w ogóle się porusza, to było odrętwienie kogoś, kogo czekała egzekucja – a może mechanizm samozachowawczy. Musiała uciec przed ogniem w śluzie, jej ciało samo próbowało odsunąć w czasie to, co nieuniknione. Jej umysł był w stanie ogarnąć tylko te kilka najbliższych sekund.

Kiedy Juliette dotarła do szczytu rampy, jej głowa wyłoniła się z mgły prosto na powierzchnię gigantycznego kłamstwa – wspaniałej, przepięknej nieprawdy. Zielona trawa na wzgórzach wyglądała niczym

świeżo położony dywan. Niebo było upajająco błękitne, chmury bielsze od luksusowych prześcieradeł, powietrze aż buzowało latającymi wszędzie stworzeniami.

Obróciła się w miejscu, przyglądając się spektakularnemu wymysłowi. Było zupełnie tak, jakby wrzucono ją na karty jednej z książek czytanych w młodości, takiej, gdzie zwierzęta i dzieci potrafiły latać, a szarości świata nie było nigdzie widać.

Nawet wiedząc, że to nie jest prawdziwe, wiedząc, że patrzy na kłamstwo o wymiarach osiem cali na dwa, czuła się przytłoczona pokusą, by uwierzyć. Bardzo tego chciała. Chciała zapomnieć wszystko, czego się dowiedziała o oszukańczym programie stworzonym przez informatyków, zapomnieć o tym, o czym rozmawiała z Walkerem, i zamiast tego zanurzyć się w miękkie trawy, których wcale nie było, turlać się pośród nieistniejącego życia, zedrzeć z siebie ten idiotyczny kombinezon i krzyczeć z radości na widok tego pięknego kłamstwa.

Popatrzyła na swoje dłonie, zaciskając je i rozluźniając na tyle, na ile pozwalały grube rękawice. Ten kombinezon był jej trumną. W głowie jej szumiało, gdy próbowała sobie przypomnieć, co było prawdziwe, a co było tylko fałszywą nadzieją stworzoną przez IT i wizjer jej hełmu. Niebo na pewno nie było prawdziwe. Trawa także. Za to jej śmierć była prawdziwa. Ohydny świat, który znała od zawsze, był realny. I wtedy, na krótką chwilę, przypomniało jej się, że miała coś zrobić. Miała przecież dokonać czyszczenia.

Odwróciła się i wbiła wzrok w wierzę z obiektywami, widząc ją po raz pierwszy. Był to mocny blok betonu i stali, z jednej strony miał przytwierdzoną zardzewiałą i dziurawą drabinę. Wybrzuszenia obiektywów wyglądały jak wielkie brodawki na obliczu wieży. Juliette sięgnęła do kieszeni na piersi, chwyciła jeden z padów polerskich i wyciągnęła go. Wciąż myślała o liściku od Walkera: Żadnego strachu.

Wyciągnęła wełniany pad i potarła nim ramię kombinezonu. Taśma grzewcza nie odkleiła się, nie rozpadła się jak ta, którą kiedyś wykradła z IT, zaprojektowana by się rozpaść. To była taka sama taśma jak te, z którymi Juliette pracowała na co dzień w Maszynowni.

W Zaopatrzeniu wszystko na swoim miejscu – napisał jej Walker. To miało się odnosić do pracowników z Zaopatrzenia. Po całych latach pomagania Juliette w zdobywaniu części zapasowych, teraz, gdy najbardziej ich potrzebowała, zrobili dla niej coś niezwykłego. Kiedy ona

przez trzy dni wspinała się po schodach i spędziła trzy samotne noce w trzech różnych celach, oni podmienili materiały zamówione przez IT na te z Maszynowni. Rozkaz dostarczenia odpowiednich elementów wykonali w najbardziej pokrętny sposób i musiało się to stać na żądanie Walkera. Przez co IT – nieświadomie, choć ten jeden raz – stworzyło kombinezon, który miał być naprawdę wytrzymały, a nie tak po prostu się rozpaść.

Juliette uśmiechnęła się. Jej śmierć, mimo iż pewna, została znacznie opóźniona. Popatrzyła na obiektywy, rozluźniła palce i upuściła pad w sztuczną trawę. Odwracając się w stronę najbliższego wzgórza, starała się nie zwracać uwagi na sztuczne barwy i całe to życie nałożone na martwą szarość, która rzeczywiście się tam znajdowała. Zamiast poddać się euforii, skupiła się na tym, jak jej buty uderzają o ubitą ziemię, czuła dziki wiatr napierający na warstwy kombinezonu, słuchała cichego syku ziarenek piachu, uderzających ze wszystkich stron w jej hełm. Wokół niej znajdował się przerażający świat, a ona była go tylko mgliście świadoma i to tylko w chwilach, gdy wystarczająco się skoncentrowała, przypominając sobie rzeczywistość, której już nie mogła zobaczyć.

Zaczęła wspinać się po stromym zboczu, kierując się na wyczucie w stronę lśniącej metropolii za horyzontem. W jej głowie pojawiła się myśl, że mogłaby tam dotrzeć. Ale marzeniem Juliette było tylko umrzeć za wzgórzem, żeby nikt nie widział potem, jak jej ciało się rozpada; może wtedy Lukas, łowca gwiazd, nie będzie się bał wejść na górę po zmierzchu, przerażony, że ujrzy na zboczu jej nieruchome zwłoki.

I nagle poczuła się dobrze, była już w stanie po prostu wędrować, mieć jakiś cel. Zejdzie im z widoku. To był pewniejszy cel od tego fałszywego miasta, które tak naprawdę dawno zmieniło się w ruinę.

W połowie zbocza natrafiła na parę dużych skał. Już zaczęła je wymijać, gdy uświadomiła sobie, gdzie tak naprawdę jest – wybrała najmniej stromą ścieżkę u zbiegu dwóch zboczy i właśnie tutaj, przed nią, znajdowało się najgorsze ze wszystkich kłamstw.

Holston i Allison. Ukryci przed nią za magicznym wizjerem. Zasłonięci kamiennym mirażem.

Brakło jej słów. Nie dało się nic zobaczyć, nie dało się niczego powiedzieć. Powiodła wzrokiem w dół zbocza i zauważyła rozsiane gdzieniegdzie skały, leżące na trawie – w rzeczywistości były to ciała czyścicieli z dawnych lat.

Odwróciła się, zostawiając za sobą ten smutny widok. Nie była w stanie odgadnąć, ile zostało jej czasu, ile potrzebuje, żeby ukryć swoje ciało przed tymi, którzy teraz napawają się jej wygnaniem – i tymi kilkoma osobami, które zechcą ją opłakiwać.

Zmierzając do szczytu, poczuła ból nóg zmęczonych trzydniową wspinaczką po schodach. Juliette odkryła też pierwsze skazy na kłamliwym obrazie wykreowanym przez ludzi z IT. Nowy kawałek nieba wraz z odległym miastem pojawiły się w polu widzenia, niewidoczne z dołu wzgórza. Zdawały się błędem programu, kresem jego kłamliwej wizji. Gdy górne poziomy odległych monolitów zdawały się nienaruszone i lśniły w fałszywym blasku słońca, niżej widać było że pod warstwami czystego szkła i lśniącej stali znajduje się tak naprawdę brud, rdza i rozkład opuszczonego świata. Mogła dostrzec zardzewiałe dolne poziomy wielu budynków i widząc masywne górne piętra, nałożone na zniszczone konstrukcje, odnosiła wrażenie, że lada moment budowle mogą się przewrócić.

Z boku dostrzegła nowe, nieznane budynki, które w ogóle nie miały fundamentów. Wisiały w powietrzu, pod nimi rozciągało się ciemne niebo. Ta sama mroczna perspektywa szarych chmur i martwych wzgórz ciągnęła się za wzniesieniami, kończąc się niebieską linią, gdzie program wizjera przestawał funkcjonować jak należy.

Juliette była skonsternowana niekompletnością stworzonej przez IT iluzji. Czy to dlatego, że sami nie mieli pojęcia, co znajduje się za wzgórzami, i nie wiedzieli, jak to zmodyfikować? A może nawet im się nie chciało, skoro i tak nikt nie miał się zapuszczać aż tak daleko? Jaki by nie był powód, szokujący i absurdalny widok wywołał u niej zawroty głowy. Skupiła się więc na swoich stopach, stawiając ostatnie kroki na pomalowanym na zielono wzgórzu, aż wreszcie dotarła do szczytu.

Wtedy zatrzymała się na moment, czując siłę podmuchów wiatru, tak mocnych, że musiała się im opierać. Zlustrowała wzrokiem horyzont i dotarło do niej, że oto stoi na granicy dwóch światów. Na dole, pośród krajobrazu, którego jej oczy nigdy wcześniej nie widziały, leżał jałowy świat pyłu i wysuszonej ziemi, podmuchów wiatru i niewielkich tornad, toksycznego powietrza, które może zabić. To była zupełnie nowa kraina, a mimo tego wyglądała bardziej znajomo od wszystkiego, z czym zetknęła się przed chwilą.

Odwróciła się i powiodła wzrokiem wzdłuż ścieżki, którą dopiero co pokonała, patrząc na wysokie trawy uginające się pod delikatną bryzą, kwiaty kłaniające się jej, jasny błękit i cudowną biel w górze. To był diabelski zamysł, mimo że tak pociągający, to z gruntu fałszywy.

Juliette po raz ostatni spojrzała na iluzję. Zauważyła że okrągła depresja terenu otoczona wzgórzami zdawała się współgrać z kształtem płaskiego dachu silosu, a reszta jej domu spoczywała głęboko w trzewiach ziemi. Widząc że wszędzie wokół wznosiły się wysokie wzgórza, można było dojść do wniosku, że jakiś głodny bóg wyjadł w tym miejscu łyżką kawałek krajobrazu. Z ciężkim sercem uświadomiła sobie, że świat w którym dorastała teraz zamknął za nią drzwi, jej dom i jej bliscy zostali w środku, a ona musi pogodzić się ze swoim losem. Wygnano ją. Zostało jej już niewiele czasu. Więc odwróciła się plecami do urzekającego widoku i wszystkich tych jasnych kolorów, stając twarzą w twarz ze zniszczoną, jałową rzeczywistością.

* * *

Kiedy zaczęła schodzić ze wzgórza, ostrożnie dysponowała powietrzem wewnątrz kombinezonu. Wiedziała, że Walker podarował jej czas, jakiego nie miał przed nią jeszcze żaden czyściciel, ale ile dokładnie? I po co? Osiągnęła już swój cel, zdołała zniknąć z pola widzenia obiektywów, zatem czemu nadal szła przed siebie, staczając się z tego obcego wzgórza? Czy zadziałała inercja? Siła ciążenia? Widok nieznanego?

Ledwie zeszła ze zbocza, kierując się w stronę ruin miasta, kiedy zatrzymała się, by zbadać nieznany jej oczom krajobraz. Dzięki wzniesieniom mogła wybrać przebieg swojej ostatniej wędrówki, dziewiczej wyprawy przez spękane wydmy. I wtedy to dostrzegła, gapiąc się w kierunku przeżartego rdzą miasta, że depresja, w której spoczął jej silos nie była wcale przypadkiem. Pośród wzgórz można było dostrzec pewien wzór ukształtowania terenu. Pojawiała się jedna okrągła depresja za drugą, a między nimi ziemia wznosiła się jakby miała chronić te miejsca przed żrącym wiatrem.

Juliette zeszła w kolejną dolinę, zastanawiając się nad tym wszystkim i nie odrywając wzroku od własnych butów, by móc stawiać kolejne kroki. Unikała większych skał i starała się panować nad oddechem. Po pracy w zalanych piwnicach, kiedy pływała w syfie, którego brzydzili się nawet krzepcy faceci, wiedziała, że powietrze można oszczędzić tylko

zachowując spokój. Podniosła wzrok, namyślając się, czy ma dość powietrza w kombinezonie by pokonać tę dolinę i dotrzeć do następnego wzgórza.

I właśnie wtedy zauważyła wąską wieżę wznoszącą się w środkowym punkcie kolistej depresji. Błyszczała metalicznie w bladych promieniach słońca. Ten krajobraz nie był już poprawiany przez program jej wizjera, Juliette widziała tylko nie poprawioną rzeczywistość. I widząc ten znajomy czujnik na wieży, zaczęła myśleć, czy może przypadkiem się nie odwróciła, patrząc zbyt wiele razy na ten świat, który miała zostawić za plecami, i tak naprawdę wróciła z powrotem do swojego silosu, trafiając na teren, który już znała.

Widok ciała martwego czyściciela zdawał się to potwierdzać. Był to ledwie zarys ludzkich zwłok: strzępy kombinezonu, pusta łupina hełmu.

Zatrzymała się i dotknęła hełmu butem, a ten rozsypał się i zapadł do środka. Jakiekolwiek mięso i kości tkwiły tam wcześniej, dawno wywiał jej wiatr.

Juliette zaczęła szukać na zboczu śpiącej już na wieki pary kochanków, ale nigdzie nie mogła ich dostrzec. Nagle poczuła się zagubiona i oszołomiona. Zastanawiała się, czy to nie przez to, że trujące powietrze pokonało wreszcie uszczelki i taśmę grzewczą, czy jej mózg nie zachłysnął się śmiercionośnymi oparami. Znajdowała się bliżej miasta, wciąż idąc w stronę horyzontu, gdzie wizjer nadal wyświetlał szczyty budynków, a niebo nad nimi było niebieskie, nakrapiane białymi obłokami.

To znaczyło że wieża poniżej... nie jest wieżą jej silosu. A te wydmy, te ogromne zwały martwej ziemi nie miały wcale ochraniać ich przed wiatrem czy toksycznym powietrzem. Miały zasłaniać coś przed ciekawskimi oczami. Miały zasłaniać ten właśnie widok, widok kogoś innego.

35

Raz, dwa, a trzy to już w pierś.

Wspinając się na piętro trzydzieste ósme, Lukas przyciskał do piersi niewielkie pudełko. Była to kondygnacja zajmowana przez biura, sklepy, fabrykę tworzyw sztucznych oraz jedną małą elektrownię wodną. Przeszedł przez drzwi i pospieszył korytarzami – wyjątkowo cichymi w dniu czyszczenia – aż dotarł do pomieszczenia kontrolnego głównej pompy. Jego karta IT pozwoliła mu wejść do środka. W pomieszczeniu znajdował się wielki komputer, znany mu już z jego wtorkowego rozkładu napraw. Lukas nie zapalił światła, żeby okienko w drzwiach pozostało ciemne dla idących korytarzem przechodniów. Wślizgnął się pomiędzy wysoki stojak na serwery a ścianę, przykucnął i wyłowił z kieszeni latarkę.

W bladym czerwonym świetle nocnej lampki Lukas ostrożnie otworzył pudełko, sprawdzając jego zawartość.

Natychmiast dopadło go poczucie winy. Przebiło nieoczekiwanie dreszczyk odkrycia, poczucia intymności. To nie była wina przeciwstawienia się szefowi czy okłamania zastępcy Marsha, ani nawet opóźnienia w dostarczeniu rzeczy, które podobno były istotne. Tu znajdowały się ocalałe szczątki Juliette. Nie jej ciało, które już przepadło, ale pozostałości jej życia w silosie.

Odetchnął głęboko, namyślając się, czy nie zamknąć pudełka i nie zapomnieć o tym, co w środku, ale wtedy pomyślał o tym, co z nich ocaleje. Jego przyjaciele z IT pewnie i tak je rozgrabią. Rozerwą pudełko i będą wymieniać zawartość jak dzieciaki wymieniające się cukierkami. Zbezczeszczą Juliette.

Postanowił zamiast tego oddać jej cześć. Otworzył klapy pudełka szerzej.

Poprawił ustawienie latarki i ujrzał na wierzchu stertę bonów, owiniętych kawałkiem przewodu. Wyciągnął je i przeglądnął szybko. To były bony urlopowe. Były ich tam całe dziesiątki. Podsunął je pod nos i poczuł ostrą woń oleju unoszącą się z pudełka.

Pod tymi bonami leżało kilka nieważnych już kart na posiłek, poniżej wystawał skraj odznaki. Lukas sięgnął po nią – została oznakowana na srebrno, z uwagi na to, że Juliette była szeryfem. Pośród porozrzucanych kart zaczął szukać innego identyfikatora, ale wydawało się, że nie został

wymieniony na ten kolor, którego używano w Maszynowni. Zresztą minęło za mało czasu między zwolnieniem jej z pracy na górze za jedno przewinienie, a skazaniem na śmierć za inne.

Przez chwilę przyglądał się zdjęciu na odznace. Zrobiono je chyba niedawno, Juliette wyglądała tak, jak sam ją zapamiętał. Włosy miała upięte z tyłu głowy. Widział sterczące po bokach loczki, sięgające jej szyi, i przypomniał sobie pierwszą noc, gdy przyglądał się, jak zaplatała sobie swoje długie włosy, siedząc samotnie w blasku lampy, strona po stronie zapoznając się z tymi jej raportami.

Przebiegł palcami po zdjęciu i widząc wyraz jej twarzy wybuchnął śmiechem. Czoło miała zmarszczone, oczy przymknięte, jakby starała się zgadnąć, co też próbuje zrobić fotograf i dlaczego, na Boga, trwa to aż tak długo. Zakrył usta dłonią, by jego śmiech nie zmienił się w łkanie.

Bony wróciły z powrotem do pudełka, ale policyjny identyfikator trafił do jego kieszeni, jakby na uparte życzenie samej Juliette. Następną rzeczą, jaka przykuła jego uwagę, było srebrne narzędzie uniwersalne, wyglądające na nowe i tylko nieznacznie różniące się od tego, które sam posiadał. Podniósł je i nachylił się, by wydobyć też to własne z tylnej kieszeni. Porównał jedno z drugim, otwierając kilka narzędzi i podziwiając gładki ruch i ciche kliknięcia, gdy każdy z elementów wracał na swoje miejsce. Potem starł odciski palców i zdarł odrobinę stopionej gumy z osłony, a na końcu zamienił narzędzia miejscami. Zdecydował, że woli mieć przy sobie tę pamiątkę po niej i stracić własne narzędzie w jakimś magazynie albo rękach obcego, który nigdy tego nie doceni...

Zamarł nagłe, słysząc czyjeś kroki i donośny śmiech. Wstrzymał oddech, czekając aż ten ktoś wejdzie do środka i zapali światło. Obok klikał i brzęczał serwer. Hałas w korytarzu umilkł, śmiech zaczął stawać się coraz cichszy.

Sporo ryzykował, wiedział o tym, ale w pudełku było więcej rzeczy, którym chciał się przyjrzeć. Znów zaglądnął do środka i znalazł zdobioną drewnianą skrzynkę, cenny antyk. Była niewiele większa od jego dłoni i minęła chwila zanim odkrył, jak się ją otwiera. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył po uniesieniu wieka, był pierścionek, damska obrączka. Całkiem możliwe, że ze złota, trudno było powiedzieć. Czerwona poświata jego latarki sprawiała, że prawdziwe barwy przedmiotów znikały, a wszystko zdawało się szare i martwe.

Szukał inskrypcji, lecz jej nie znalazł. Ten pierścień był przedziwnym artefaktem. Lukas był pewien, że Juliette nie miała go na palcu, kiedy się z nią widywał, i zastanawiał się, czy należał do krewnego, czy może był przekazywany z pokolenia na pokolenie jeszcze od czasów sprzed powstania. Włożył go z powrotem do drewnianej skrzynki i wyjął z niej kolejny przedmiot, coś przypominającego bransoletkę. Nie, jednak nie bransoletkę. Kiedy wyciągnął ten przedmiot, zobaczył, że tak naprawdę jest to zegarek, z tarczą tak małą, że zlewała się w jedno z wysadzanym klejnotami paskiem. Lukas przyglądał się bacznie tarczy i po chwili uświadomił sobie, że albo to przez czerwone światło, albo jego własne oczy robią mu psikusa. A może nie? Przyjrzał się dokładniej, by mieć pewność – i zobaczył, że jedna z niewiarygodnie cienkich wskazówek odmierza czas. To urządzenie działało.

Zanim zaczął się namyślać nad poświęceniem, jakiego wymagało ukrycie tego skarbu, wszystkich konsekwencji, jakie czekałyby kogoś przyłapanego na jego ukrywaniu, Lukas schował zegarek w kieszeni na piersi. Spojrzał na pierścionek leżący samotnie w skrzynce i po chwili wahania także postanowił go ze sobą zabrać. Przetrząsając zawartość pudełka wyjął też kilka bonów z samego dna i włożył je do skrzynki, a następnie ją zamknął.

Co on najlepszego wyprawiał? Czuł jak pot spływa na brodę. Gorąco bijące od komputera stawało się coraz intensywniejsze. Schylił głowę i uniósł ramiona, by otrzeć pot z twarzy. W pudełku było więcej rzeczy i nie potrafił się pohamować: musiał szukać dalej.

Odnalazł niewielki notes i przejrzał go. Zawierał listy rzeczy do zrobienia – wszystkie podpunkty zostały starannie wykreślone. Odłożył go na miejsce i sięgnął po leżący na dnie papier, a potem uświadomił siebie, że to coś więcej niż tylko zwykła złożona kartka. Wyciągnął grubą kolekcję kartek spiętych mosiężnymi klamrami. Na pierwszej z nich pismem podobnym jak to w notesie, napisano:

INSTRUKCJA OBSŁUGI POMIESZCZENIA KONTROLNEGO GŁÓWNEGO GENERATORA.

Otworzył ją i ujrzał zagadkowe schematy i krótkie notatki na marginesach. Wyglądało jak coś, co sama poskładała do kupy, albo jako przypomnienie procedury, dzięki której kiedyś zamontowano taki generator, więc może była to instrukcja dla innych pracowników. Papier pochodził z recyklingu, ale nie wyglądał na zwyczajną pulpę. Juliette pisała na

odwrocie stron. Przejrzał plik w całości i zbadał kolejne linijki zapisane na odwrotach stron. Na marginesach wciąż pojawiało się zakreślone imię:

Juliette. Juliette. Juliette.

Przejrzał całą instrukcję i przyjrzał się odwrotowi, tylko po to, by upewnić się, że tak naprawdę miał on być przodem. „Tragiczna historia Romeusa i Julietty”. To była sztuka. Lukas kiedyś o niej słyszał. Tuż przed nim, w samym sercu serwera, wirował wiatrak, dmuchając na krzemowe czipy i przewody. Lukas otarł pot z czoła i włożył tekst sztuki z powrotem do pudełka. Na nim ułożył starannie pozostałe przedmioty i zamknął pudło. Znów stając na nogi, Lukas zgasił światło i wetknął latarkę do kieszeni, tuż obok narzędzia Juliette. Z pudełkiem pod pachą, poklepał kieszeń na piersi, wyczuwając zegarek, pierścionek i identyfikator z jej zdjęciem. Wszystkie te cenne przedmioty teraz znajdujące się tak blisko jego serca.

Pokręcił głową. Wychodząc z niewielkiego, ciemnego pomieszczenia zastanawiał się, co on do diabła sobie myślał, a wysoki panel pełen mrugających światełek obserwował jego pośpieszną ucieczkę.

36

Oczy,
Spojrzyjcie po raz ostatni! Ramiona,
Po raz ostatni zegnijcie się w uścisk!
A wy, podwoje tchu, zapieczętujcie
Pocałowaniem akt sojuszu z śmiercią
Na wieczne czasy mający się zawrzeć!

Wszędzie walały się ciała. Pokryte pyłem i sadzą, w kombinezonach przeżartych toksynami niesionymi przez wiatr. Juliette natykała się na nie raz za razem. I nagle stały się czymś normalnym, bezładną stertą głazów na jej drodze. Kilka miało kombinezony takie same jak ona, ale większość tylko jedynie łachmany, z których zostały już tylko strzępy. Kiedy zaczynał wiać wiatr, strzępy ubrań falowały, przywodząc na myśl wodorosty na farmach rybnych w głębinach. Nie będąc w stanie wyminąć ich wszystkich, Juliette niekiedy po prostu przekraczała ludzkie szczątki, zbliżając się coraz bardziej do wieży. Ciał były tutaj całe setki, może nawet tysiące.

Dotarło do niej w końcu, że to nie byli wcale ludzie z jej silosu. Mimo że ten fakt był czymś oczywistym, naprawdę ją przeraził. Inni ludzie. Myśl, że byli martwi wcale nie umniejszała wstrząsającej prawdy, że tak blisko żyli ludzie, których nawet nie znała. Juliette zdołała pokonać niezamieszkane pustkowie, przeszła pomiędzy dwoma odrębnymi światami i prawdopodobnie była pierwszą osobą, której się to udało. I oto teraz trafiła na cmentarzysko obcych dusz, ludzi takich jak ona, którzy żyli i umarli w podobnej, a na dodatek bliskiej jej rzeczywistości.

Przedarła się w końcu przez sterty rozpadających się ciał – niektóre zlewały się z innymi w jedną całość. Miejscami sterty były bardzo wysokie, Juliette musiała zatem ostrożnie wybierać swoją ścieżkę. Zbliżając się do rampy prowadzącej do tego drugiego silosu, zrozumiała, że aby przejść dalej, będzie musiała zdeptać kilka ciał. Wyglądały tak, jakby ci ludzie starali się uciec ze środka i zadeptywali się nawzajem, tworząc góry zwłok w szaleńczej próbie dotarcia do wzgórz. Ale gdy już stanęła na rampie, ujrzała stertę ciał przy stalowych drzwiach śluzy i zrozumiała, że oni tak naprawdę próbowali dostać się do środka.

Jej nieunikniona śmierć zdawała się być coraz bliżej – wciąż była tego świadoma, jakby posiadła nowy zmysł, działający przez wszystkie

pory jej skóry. Wkrótce dołączy to tej sterty martwych ciał. Jednak wcale się nie bała. Pokonała strach, docierając na szczyt wzgórza, teraz była w nowej krainie, widziała zupełnie nowe rzeczy, otrzymała potworny dar, za który musiała być wdzięczna. Naprzód popychała ją czysta ciekawość, a może mentalność tego obracającego się w proch tłumu, ciał wspinających się jedno na drugie by dotrzeć do drzwi.

Ona wspinała się razem z nimi. Miejscami nawet brodziła wśród wyschniętych trucheł, deptała popękane, wydrążone powłoki, kopała kości i łachmany, przedzierając się ku częściowo uchylonym drzwiom. Pomiędzy ich stalowymi szczękami utknęła jakaś postać: jedno ramię wewnątrz, jedno na zewnątrz, krzyk uwiązł jej w gardle, odmalowując się rozpaczliwie na bladej, zasuszonej twarzy, z której wyzierały puste oczodoły.

Juliette już była jedną z nich, jedną z tych innych. Albo już martwa, albo prawie. Ale oni zamarli w bezruchu, a ona nadal brnęła naprzód. Znała drogę. Wyrwała ciało spomiędzy metalowych szczęk drzwi, dysząc głośno wewnątrz hełmu i zostawiając na wizjerze cienką warstwę pary. Uwolniła połowę ciała – druga spadła do środka. W powietrze uniosła się chmura pyłu, w który zmieniło się tamto ciało..

Poruszyła ramieniem, starając prześlizgnąć się bokiem. Ramię wprawdzie przeszło, noga także, ale hełm utknął. Odwróciła głowę i spróbowała raz jeszcze, ale hełm nadal nie chciał przejść przez drzwi. Ogarnęła ją panika. Czuła stalowy uścisk na głowie. Coś trzymało ją za hełm, a ona zawisła na moment pomiędzy światem zewnętrznym a wnętrzem silosu. Zamachnęła się, chcąc chwycić drzwi z drugiej strony i się o nie zaprzeć, przeciągnąć samą siebie na drugą stronę, lecz korpus nawet nie drgnął. Jedna noga w środku, druga na zewnątrz. Nie miała się za co złapać, ani o co oprzeć, żeby przedostać się na drugą stronę. Tkwiła w potrzasku: jedno bezużyteczne ramię wewnątrz, machające szaleńczo, nerwowy oddech trwonił resztki cennego powietrza.

Juliette spróbowała użyć drugiej ręki. Nie mogła się obrócić, ale była w stanie zgiąć łokieć i przesunąć palce pomiędzy brzuchem a drzwiami. Zgięła je, zaciskając dłoń na stali i szarpnęła. Nie miała jednak czego się złapać. Została jej tylko siła własnych palców, siła jej uścisku. Nagle Juliette nie miała już ochoty umierać, nie w tym miejscu. Spróbowała zacisnąć dłoń w pięść, zaginając palce na stalowych szczękach; knykcie zbielały jej z wysiłku. Waląc głową o wnętrze hełmu, starając się rąbnąć

w ten przeklęty wizjer, obrócić się, wyrwać... i oto nagle zdołała się wyswobodzić.

Wpadła do wnętrza śluzy, zaczepiając butem o drzwi, zamachnęła się rękami by odzyskać równowagę, przechodząc przez stertę zwęglonych kości i wzbijając w powietrze chmurę czarnego popiołu. To były szczątki tych, których spalił oczyszczający ogień śluzy. Juliette znalazła się w spalonym pomieszczeniu niepokojąco podobnym to tego, z którego nie tak dawno wyszła. Jej wyczerpany i oszołomiony umysł wypełniły szalone urojenia. Być może tak naprawdę już nie żyła i to były właśnie czekające na nią duchy. Może spłonęła żywcem w śluzie własnego silosu i teraz śniła sen szaleńca, uciekając od bólu, żeby w końcu zacząć nawiedzać to miejsce.

Potykając się o rozrzucone wszędzie szczątki ruszyła ku wewnętrznym drzwiom i przycisnęła głowę do grubego szkła iluminatora. Rozglądała się za Peterem Billingsem, siedzącym przy biurku. A może ujrzy też Holstona, podążającego korytarzami – widmo szukające ducha swojej żony.

Ale to nie była ta sama śluza. Juliette starała się za wszelką cenę uspokoić. Zaczęła się zastanawiać, czy kończyło jej się powietrze i czy wdychała teraz własne wyziewy, niczym spaliny silnika, zatruwające jej mózg.

Drzwi były zamknięte. To było realne. Tysiące martwych ciał wokół, ale ona żyła. Jeszcze nie umarła.

Spróbowała obrócić wielkie koło zabezpieczające drzwi, ale albo było unieruchomione, albo ktoś zamknął je od drugiej strony. Juliette waliła w szkło, mając nadzieję, że tutejszy szeryf albo pracownik stołówki ją usłyszy. W środku było ciemno, wiedziała jednak, że ktoś tam musi być. Wewnątrz silosów żyli ludzie. Nie powinni leżeć wokół nich jako sterty zwłok.

Nie było jednak odpowiedzi. Nie zapaliło się żadne światło. Pochyliła się nad wielkim kołem, pamiętając instrukcje Marnesa co do tego, jak funkcjonuje taki mechanizm, ale mówił jej o tym już jakiś czas temu, a na dodatek ona wtedy nie sądziła, że to aż takie istotne. Ale coś zapamiętała: po argonowej kąpieli i oceanie ognia, czy te wewnętrzne drzwi nie powinny się aby otworzyć? Automatycznie? Żeby śluzę można było wyszorować? Coś takiego mówił jej Marnes. Żartował, że przecież i tak nikt nie wróci do środka po tym, jak ogień wszystko wypalił. Pamiętała

o tym, czy wymyślała sobie teraz? Może było to myślenie życzeniowe jej umysłu, któremu zaczynało brakować tlenu?

Tak czy siak, koło na drzwiach nawet nie drgnęło. Juliette naparła na nie całym ciężarem, ale miała wrażenie, że drzwi są zablokowane. Cofnęła się. Ławka zwisająca ze ściany – to tam ubierano czyścicieli przed wypuszczeniem ich na zewnątrz. Zmęczył ją długi marsz, walka o dostanie się do środka. Czemu zresztą chciała tutaj wejść? Obróciła się w miejscu, niezdecydowana. Co ona wyprawiała?

Potrzebowała powietrza. Z jakiegoś powodu doszła do wniosku, że w silosie je odnajdzie. Powiodła wzrokiem po rozsypanych kościach i niezliczonych ciałach. Ilu zginęło? Całe stosy, nie da się ich policzyć. Czaszki, pomyślała. Policzy czaszki i tak się dowie. Wybiła sobie ten nonsens z głowy. Bez wątpienia traciła rozum.

– Koło na drzwiach nawet nie drgnie – mówiła jakaś jej niknąca część. – Jest jak zardzewiała śruba.

A czyż ona, będąc młodym cieniem, nie wyrobiła sobie dobrej opinii właśnie dzięki odkręcaniu takich śrub?

Juliette wmówiła sobie, że da się to zrobić. Olej, ciepło, dźwignia. Tak trzeba było działać na metal, który ani drgnie. Nie miała tutaj żadnej z tych rzeczy, ale i tak zaczęła się rozglądać. Nie było szans, by przecisnęła się na zewnątrz, drugi raz z pewnością jej się nie uda. Miała tylko to pomieszczenie. Ławka była przytwierdzona do ściany i wisiała na dwóch łańcuchach. Juliette szarpnęła za nie, ale nie wyglądało na to, że uda się je zerwać, a poza tym na co miałyby się jej przydać?

W kącie znajdowała się rura, pnąca się w górę – prowadziła do kilku szybów wentylacyjnych. Juliette doszła do wniosku, że to tędy pompuje się argon. Chwyciła oburącz za rurę, zaparła się stopami o ścianę i szarpnęła.

Połączenie z szybem wentylacyjnym zadrżało, toksyczne powietrze najwyraźniej osłabiło je i wywołało korozję. Juliette uśmiechnęła się, zacisnęła zęby i znów szarpnęła z całych sił.

Oderwała rurę od szybu, wyginając ją u podstawy. Poczuła nagły dreszcz, jak dziki szczur, który znalazł wielki okruch chleba. Złapała uwolnioną końcówkę i szarpała nią raz w przód raz w tył, zginając i wykręcając drugi koniec. Metal zazwyczaj pękał, jeśli zginało się go chociaż odrobinę i jeśli tylko robiło się to przez odpowiednio długi czas. Niezliczone razy czuła ciepło osłabionej stali, zginając ją raz po raz, aż do jej złamania.

Na czole Juliette perlił się pot, lśniąc w słabym świetle padającym przez wizjer. Spływał po nosie, zaparowywał szybkę, ale mimo to dziewczyna wciąż szarpała i ciągnęła, w przód i w tył, coraz bardziej szaleńczo, z coraz większą desperacją...

W końcu rura pękła, co zaskoczyło Juliette. Do środka hełmu dotarło jedynie słabe trzaśnięcie i nagle długi kawałek wydrążonego metalu oderwał się od reszty. Jedna końcówka była pognieciona i powykręcana, druga natomiast okrągła i nienaruszona. Z tym narzędziem w dłoniach, Juliette odwróciła się w stronę drzwi. Przełożyła rurę przez koło, tak, aby jak najdłuższa część wystawała na zewnątrz, na tyle jednak, by nie ocierać się o ścianę. Zacisnęła dłonie na rurze, podciągnęła się w pasie, pochylając się nad nowym „narzędziem" i przykładając hełm do drzwi. Potem całym ciężarem naparła na tak powstałą dźwignię, wiedząc jednak, że to nagłe szarpnięcia, a nie stały nacisk, odkręcał śruby. Przesunęła się ku końcowi rury, patrząc jak ta się zgina. Bała się, że stal pęknie zanim drzwi się otworzą.

Gdy była już przy końcu – maksymalny nacisk na dźwignię – zaczęła napierać na nią z całą siłą i nagle rura pękła, a Juliette zaklęła pod nosem. Usłyszała głośny szczęk, prawie nie stłumiony przez jej masywny kombinezon, a potem spadła na podłogę, lądując boleśnie na łokciu.

Rura leżała pod nią, wbijając się w jej żebra. Juliette próbowała złapać oddech. Pot kapał na wizjer, rozmazując widok. Podniosła się i zobaczyła, że rura tak naprawdę wcale się nie złamała. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie wyślizgnęła się z koła, jednak nadal w nim tkwiła, mimo że była mocno wygięta.

Nie dowierzając, podekscytowana złapała rurę i wyciągnęła ją drugą stroną. Chwyciła za szprychy koła i szarpnęła z całych sił.

I wtedy koło...

Poruszyło się.

37

Bo w tak gorące dni krew nie jest lodem.

Walker zdołał dotrzeć aż do końca korytarza i nagle z wąskiej, bezpiecznej przestrzeni wszedł prosto do obszernej hali wejściowej Maszynowni. Ujrzał pomieszczenie pełne młodych cieni. Trzymali się w grupach, szepcząc do siebie. Trzech chłopców przykucnęło przy ścianie, rzucali kamieniami, by zdobyć kupony. Walker słyszał co najmniej tuzin nachodzących na siebie głosów, dobiegających ze stołówki. Opiekunowie odesłali młodych, a sami dyskutowali o dorosłych sprawach. Odetchnął głęboko i pospieszył przez tę przeklętą otwartą przestrzeń, skupiając się na każdym kroku, noga za nogą, bo przecież każdy odcinek podłogi stanowił wyzwanie.

Minęła chyba cała wieczność, ale w końcu wpadł na ścianę po przeciwnej stronie sali, z ulgą przytulając się do stalowych paneli. Jakiś cień za nim wybuchnął śmiechem, ale on był zbyt przerażony, by zwrócić na to uwagę. Prześlizgując się po powierzchni nitowanej stali, chwycił się skraju drzwi stołówki i wszedł do środka. Ulga była wręcz niewiarygodna. Mimo że stołówka była kilkukrotnie większa od jego warsztatu, tu znajdowały się przynajmniej jakieś stoliki, byli też ludzie, których dobrze znał. Przylegając plecami do ściany, z ramieniem przyciśniętym do otwartych drzwi, mógł niemal udawać, że pomieszczenie jest mniejsze. Opadł na podłogę, by chwilę odpocząć. Mężczyźni i kobiety sprzeczali się ze sobą, podnosząc głos, i we wzburzeniu przekrzykując się raz po raz.

– Do tej pory i tak skończyło się jej powietrze – twierdził Rick.

– Tego nie wiesz – odparła Shirly. Stała na krześle, żeby być na takim samym poziomie, jak pozostali. Wodziła wzrokiem po pomieszczeniu. – Nie wiemy, jakich usprawnień dokonali.

– Bo o niczym nam nie mówią!

– Może warunki na zewnątrz się poprawiły.

Po tych słowach na sali zrobiło się cicho. Być może wszyscy czekali, czy ten ktoś odezwie się znowu, przestając być anonimowym. Walker wpatrywał się w oczy tych, którzy spoglądali w jego kierunku. Widział w nich mieszaninę strachu i ekscytacji. Po podwójnym czyszczeniu upadły niektóre tabu. Odesłano cieni. Dorośli rozbrykali się nieco i mogli mówić głośno o zakazanych kwestiach.

– A co jeśli tam naprawdę się poprawiło? – zapytał ktoś inny.

– W ciągu dwóch tygodni? Mówię wam, chodzi o kombinezony! Wreszcie zrobili takie, które się nie psują. – Marck, nafciarz, popatrzył po twarzach zebranych, widząc w ich oczach gniew. – Jestem pewien. Zrobili dobre kombinezony i teraz mamy szansę!

– Szansę na co? – ryknął Knox. Siwy szef Maszynowni siedział przy jednym ze stolików, zanurzając łyżkę w misce. – Szansę na wysłanie kolejnych osób, by błąkały się po wzgórzach aż skończy im się tlen? – Pokręcił głową i wsunął sobie łyżkę w usta, a następnie wycelował ją w ich stronę. – Powinniśmy tu raczej mówić... – rzekł, przeżuwając – ...o tej parodii wyborów, które nas czekają, gównianym burmistrzu i tym, że siedzimy tutaj i nic o niczym nie wiemy...

– Wcale nie zrobili dobrych kombinezonów – syknął Walker, nadal nie mogąc złapać tchu.

– To dzięki nam to miejsce w ogóle działa – ciągnął Knox, ocierając brodę. – A co dostajemy w zamian? Połamane paluchy i dziadowskie wypłaty. A teraz? Teraz przyłażą tu i zabierają naszych ludzi, a potem wysyłają ich na zewnątrz. Dla zachowania widoku, który nawet nas nie obchodzi! – Walnął pięścią w stół, że aż miska podskoczyła.

Walker chrząknął. Nadal kucał, opierając się o ścianę. Nikt nie widział, jak wszedł, nikt nie usłyszał go, kiedy odezwał się po raz pierwszy. Teraz, gdy po tyradzie Knoxa w pomieszczeniu zrobiło się cicho, znów spróbował się odezwać.

– Nie zrobili wcale dobrych kombinezonów – rzucił, tym razem głośniej.

Shirly dojrzała go ze swojego stołka. Dosłownie opadła jej szczęka. Wyciągnęła przed siebie palec; tuzin głów obróciło się we wskazanym kierunku.

Zaczęli się na niego gapić z otwartymi ze dziwienia ustami. Walker nadal ledwie dyszał i pewnie wyglądał teraz, jakby umierał. Courtnee, jedna z młodych hydrauliczek – zawsze jak wpadała do jego warsztatu, była bardzo miła – wstała i pobiegła do niego. Zdziwiona wyszeptała jego imię i pomogła mu wstać, prowadząc go do stolika i nawet podsuwając mu własne krzesło.

Knox odsunął od siebie miskę i walnął w stół. – No nie, ludzie teraz łażą, gdzie ich poniesie, co nie?

Walker popatrzył zakłopotany na starego brygadzistę, który uśmiechał się do niego zza gęstej brody. Nagle gapiły się na niego też dwa tuziny innych osób. Walker machnął ręką, a potem wbił wzrok w stół. Nagle poczuł, że tych ludzi wokół jest zbyt wielu.

– Nasze krzyki cię obudziły, staruszku? Też wybierasz się za wzgórza?

Shirly zeskoczyła z krzesła. – Dobry Boże, tak mi przykro. Zapomniałam mu przynieść śniadanie. – Pognała do kuchni, by przynieść posiłek, mimo że Walker starał się ją powstrzymać. Wcale nie był głodny.

– Nie w tym rzecz... – Głos mu się załamał. Spróbował raz jeszcze. – Przyszedłem, bo o tym usłyszałem – wyszeptał. – Jules. Zniknęła. – Wykonał ręką gest, sięgając za wyimaginowane wzgórze na stole. – Ale ci goście z IT niczego nowego nie wymyślili – dodał. Spojrzał na Marcka i klepnął się w piersi. – To ja.

Szepty w kącie ucichły. Nikt nie sączył już soku, nikt się nawet nie poruszył. Wciąż byli oszołomieni, że Walker opuścił swój warsztat, a na dodatek znalazł się wśród nich. Nikt nie był na tyle stary, by pamiętać, kiedy ostatnio tamten gdzieś zawędrował. Znali go jako szalonego elektryka, który żył w swojej jaskini i nie chciał już nawet szkolić cieni.

– O czym ty gadasz? – zapytał Knox.

Walker wziął głęboki oddech. Już miał się odezwać, gdy Shirly wróciła i postawiła przed nim miskę z gorącą owsianką, z łyżką stojącą na sztorc. Tak gęste owsianki Walker lubił najbardziej. Wziął miskę w dłonie, czując jej ciepło. Przez braku snu poczuł się strasznie zmęczony.

– Walk? – zapytała Shirly. – Wszystko gra?

Skinął głową i zbył ją gestem. A potem podniósł wzrok i spojrzał na Knoxa.

– Kilka dni temu odwiedziła mnie Jules. – Skinął głową, by dodać sobie pewności siebie. Starał się nie zwracać uwagi na to, ilu ludzi mu się przygląda, i na sposób, w jaki światła odbijają się w jego pełnych łez oczach. – Miała taką teorię na temat kombinezonów, na temat IT. – Jedną dłonią mieszał owsiankę, przygotowując się na powiedzenie czegoś, co było nie do pomyślenia. Ale z drugiej strony, ile on miał lat? Czemu przejmował się jakimś tabu?

– Pamiętasz taśmę grzewczą? – zwrócił się do Rachele, która pracowała na pierwszej zmianie i dobrze znała Juliette. Przytaknęła. –

Juliette doszła do wniosku, że to nie był przypadek, że ta taśma się rozpadła. – Skinął głową. – Przejrzała ich, naprawdę.

Znów skosztował posiłku; nie był głodny, ale cieszyło go ciepło łyżki na języku. Całe pomieszczenie zamarło w oczekiwaniu. Szepty i ciche zabawy cieni na zewnątrz ledwie dało się teraz usłyszeć.

– Przez te wszystkie lata cieszyłem się przychylnością w Zaopatrzeniu – wyjaśnił. – Byli mi winni niejedną przysługę. Więc odezwałem się do nich ostatnio i powiedziałem, że teraz możemy być kwita. – Popatrzył po mężczyznach i kobietach z Maszynowni, słyszał, że jeszcze więcej ich stało w korytarzu, spóźnili się, ale po minach zebranych widzieli, że mają zostać na swoich miejscach. – Wszyscy podbieraliśmy czasami jakieś drobiazgi z łańcucha dostaw IT. Przecież o tym wiem. Najlepsze części elektroniczne i kable idą do nich, żeby mogli konstruować te kombinezony...

– Cholerni skurwiele – prychnął ktoś, a wielu kiwnęło głowami, w pełni się z tym zgadzając.

– Kazałem Zaopatrzeniu oddać mi przysługę. Gdy tylko dowiedziałem się, że ją zabrali...– Walker przerwał, żeby otrzeć sobie oczy. – Jak tylko o tym usłyszałem, puściłem im telegram, żeby podmienić części zamówione przez tych drani naszymi. Najlepszymi z najlepszych. Żeby dostali nauczkę.

– Co zrobiłeś? – zdziwił się Knox.

Walker nie przestawał kiwać głową, z radością przekazując wszystkim prawdę. – Oni celowo robili wadliwe kombinezony. Nie chodzi mi o to, że tam, na zewnątrz, są dobre warunki. Ale oni nie chcą, żeby ktokolwiek zniknął z pola widzenia, o nie. – Przemieszał owsiankę. – Chcą mieć nas w miejscu, gdzie będą mogli nas widzieć.

– Więc ona żyje? – zapytał Shirly.

Walker zmarszczył brwi i powoli pokręcił głową.

– Mówiłem wam – stwierdził ktoś. – Do tej pory już skończył jej się tlen.

– Więc i tak nie żyje – odparł ktoś inny i znów zaczęła się kłótnia. – Kolejny dowód, że to zwykli łgarze.

Walker nie mógł się z tym nie zgodzić.

– Uspokójmy się – ryknął Knox. Choć sam wydawał się najmniej spokojny ze wszystkich. Kolejni pracownicy wchodzili na salę, wiedząc że

chwila milczenia dobiegła końca. Zbierali się wokół stołów, na ich twarzach malowało się przejęcie.

– To jest to – powiedział sam do siebie Walker, widząc co się dzieje, co zapoczątkował. Patrzył jak jego przyjaciele i współpracownicy robią się rozdrażnieni, domagają się odpowiedzi, coraz bardziej wzburzeni i podekscytowani zarazem. – To jest to – powtarzał, czując, że te nastroje doprowadzą w końcu do eksplozji. – To jest to, tojestto....

Courtnee, nadal goniąc wokół niego i zachowując się, jakby był inwalidą, złapała go tymi delikatnymi dłońmi za nadgarstki.

– Co to jest? – zapytała. Uciszyła innych, żeby móc go usłyszeć. Nachyliła się ku Walkerowi.

– Walk, powiedz, co to jest? Co to jest? Co próbujesz powiedzieć?

– Tak to się zaczyna – wyszeptał i w pomieszczeniu znów zrobiło się cicho. Podniósł wzrok, powiódł spojrzeniem po twarzach zebranych, widząc ich furię, wszystkie złamane tabu, którymi nagle tak się przejął.

– Tak zaczyna się powstanie...

38

Ciało od wielkiej nędzy jak wiór wyschłe;
Na jego półkach leżała tu i ówdzie
zbieranina próżnych flasz, słojów...

Na trzydzieste czwarte Lukas dotarł ledwie dysząc. Do piersi przyciskał niewielkie pudełko. Bardziej wyczerpały go wszystkie te prawa, które przed chwilą naruszył, niż zwyczajowa wspinaczka do miejsca pracy. Nadal czuł w ustach metaliczny posmak adrenaliny, po tym jak skryty za serwerami przeglądał rzeczy osobiste Juliette. Poklepał kieszeń na klatce piersiowej, wyczuwając tam i zabrane przedmioty, i mocno bijące serce.

Gdy nieco się uspokoił, sięgnął ku drzwiom prowadzącym do IT i niemal połamał sobie palce, gdy drzwi nagle wystrzeliły w jego stronę. Sammi, znajomy technik, wybiegł pośpiesznie i szybko go wyminął. Lukas go zawołał, ale starszy technik już zniknął, pędząc na klatkę schodową.

W hali wejściowej okropne zamieszanie: wszyscy na wszystkich krzyczeli. Lukas wszedł do środka ostrożnie, zastanawiając się, o co może chodzić. Przytrzymując sobie drzwi łokciem, wślizgnął się do pomieszczenia, wciąż przyciskając pudełko do piersi.

Wyglądało na to, że najwięcej wydzierał się Bernard. Szef IT stał przed bramką i opieprzał jednego technika po drugim. Stojący obok Sims, szef ochrony działu, atakował trzech mężczyzn w szarych kombinezonach. Lukas zamarł w progu, przestraszony na widok tego agresywnego duetu.

Kiedy Bernard go zauważył, umilkł i ruszył między technikami, by się z nim przywitać. Lukas chciał coś powiedzieć, ale szef bardziej skupił się na tym, co trzymał, niż na jego osobie.

– To jest to? – zapytał, wyrywając mu pudełko.

– To...?

– Wszystko, co ta brudaska miała, mieści się w tym pudełku? – Otworzył je. – To naprawdę wszystko?

– Ech... tyle mi dali – zająknął się Lukas. – Marsh powiedział...

– Tak, zastępca wysłał telegram o swoich skurczach nóg. Słowo daję, Pakt powinien określać maksymalny wiek wykonywania tego zawodu. Sims! – Bernard zawołał szefa ochrony. – Do sali konferencyjnej. Natychmiast.

Lukas wskazał bramkę i leżącą za nią serwerownię. – Chyba powinienem iść do...

– Pójdziesz ze mną – stwierdził Bernard, obejmując Lukasa ramieniem. – Chcę, żebyś brał w tym udział. Wygląda na to, że z dnia na dzień jest coraz mniej techników, którym jeszcze mogę ufać.

– Chyba że wolisz, żebym siedział na serwerach. Mieliśmy problem z wieżą trzynaście...

– To może poczekać. Mamy ważniejsze sprawy. – Bernard poprowadził go do sali konferencyjnej, potężnie zbudowany Sims podążał przed nimi.

Strażnik przytrzymał dla nich drzwi, marszcząc brwi na widok wymijającego go Lukasa. Przechodząc przez próg, Lukas aż zadrżał. Czuł pot spływający mu po klatce piersiowej, od poczucia winy piekły go pachy i szyja. Wyobraził sobie nagle, że ci dwaj przygważdżają go do stołu, wyjmują kontrabandę z kieszeni i machają mu nią przed nosem...

– Siadaj – nakazał Bernard. Położył pudełko na stole, a potem on i Sims zaczęli wyjmować jego zawartość. Lukas opadł na krzesło.

– Bony urlopowe – rzekł Sims, wyciągając stertę papierowych kuponów. Lukas obserwował, jak przy każdym, nawet najmniejszym ruchu, napinały się muskuły mężczyzny. Sims kiedyś był technikiem, ale jego ciało nie przestawało się rozrastać, przez co bardziej pasował do innych, mniej intelektualnych zajęć. Podsunął sobie bony pod nos, powąchał, i wzdrygnął się. – Śmierdzi spoconą brudaską.

– Fałszywki? – zapytał Bernard.

Sims pokręcił głową. Bernard sprawdzał małą drewnianą skrzynkę. Potrząsał nią i ostukiwał ze wszystkich stron, słuchając grzechoczących w środku bonów. Starał się odnaleźć jakiś zawias albo zamek.

Lukas niemal wypalił, że górę da się zsunąć i że skrzynka jest zrobiona tak dobrze, że ledwie da się zobaczyć spojenia, dlatego trzeba odrobiny wysiłku. Bernard coś wymamrotał i odłożył skrzynkę na bok.

– Czego konkretnie szukamy? – zapytał Lukas. Pochylił się i chwycił skrzynkę, udając, że widzi ją po raz pierwszy.

– Czegokolwiek. Pieprzonej wskazówki – warknął Bernard. Wbił wzrok w Lukasa. – Jakim cudem ta brudaska przelazła przez wzgórze? Czy dlatego, że zrobiła coś wcześniej? Pomógł jej któryś z techników? Co?

Lukas nadal nie rozumiał, skąd ten gniew. Co z tego, że nie czyściła – to i tak byłoby drugie czyszczenie z rzędu. A może Bernard był tak

wściekły, bo nie miał pojęcia dlaczego przetrwała tak długo? To miało sens. Zawsze jak Lukas naprawił coś przez przypadek, denerwował się prawie tak samo, jakby coś popsuł. Widywał już wściekłego Bernarda, ale tym razem było inaczej. Facet był wręcz blady. Wpadł w jakąś manię. Tak właśnie czułby się Lukas, gdyby równie wielki sukces zdarzył się mu bez jasnego powodu.

W międzyczasie Sims odszukał notatnik i właśnie go przeglądał. – Hej, szefie...

Bernard wyrwał mu notatnik i zaczął czytać. – Ktoś będzie to musiał dokładnie przejrzeć – stwierdził. Poprawił sobie okulary na nosie. – Gdzieś tutaj mogą być jakieś dowody zawartej wcześniej zmowy...

– Hej, patrzcie – zawołał Lukas, wyciągając przed siebie skrzynkę. – To się otwiera. – Pokazał im zsuwane wieko.

– Niech no spojrzę. – Bernard upuścił notes na stół i zabrał mu drewnianą skrzynkę. Zmarszczył nos. – Same bony – stwierdził zdegustowany.

Rzucił je na stół i już miał odłożyć na bok skrzynkę, gdy Sims mu ją odebrał. – To antyk – rzekł wielkolud. – Myślisz, że to jakaś wskazówka, czy mogę po prostu...?

– Tak, pewnie, możesz to sobie zatrzymać. – Bernard machnął ręką w stronę okna z widokiem na salę wejściową.

– Bo tu, kurwa, naprawdę nie dzieje się teraz nic ważniejszego, co, kretynie?

Sims wzruszył ramionami niezobowiązująco i wsunął sobie skrzynkę do kieszeni. Lukas bardzo chciał być teraz zupełnie gdzie indziej, w każdym miejscu w silosie, byle nie tu.

– Może po prostu miała szczęście – podsunął Sims.

Bernard wysypał resztę zawartości pudełka na stół, potrząsając nim, żeby ze środka wypadła też instrukcja, która zaklinowała się na samym dnie – o czym wiedział Lukas. Przerwał na chwilę i zerknął na Simsa znad okularów.

– Szczęście – powtórzył Bernard.

Sims pokiwał głową.

– Dajże mi kurwa spokój – rzucił Bernard.

Sims znów skinął głową. – Taa, pewnie masz rację.

– Nie, po prostu się wynoś! – Bernard wskazał drzwi. – Wypierdalaj!

Szef ochrony uśmiechnął się, jakby to było zabawne, a potem poczłapał do drzwi. Wyślizgnął się z pomieszczenia i cicho zamknął drzwi za sobą.

– Ze wszystkich stron otaczają mnie idioci – stwierdził Bernard, gdy już zostali sami.

Lukas próbował sobie wyobrazić, że ta zniewaga nie dotyczyła jego.

– Z wyłączeniem obecnego towarzystwa – dodał szybko Bernard, jakby czytając mu w myślach.

– Dzięki.

– Hej, ty przynajmniej umiesz naprawić cholerny serwer. Za co płacę tym innym patałachom?

Znów poprawił sobie okulary, a Lukas próbował sobie przypomnieć, czy szef IT zawsze aż tyle przeklinał. Mało prawdopodobne. Czyżby wpłynęło na niego to, że pełnił teraz także funkcje burmistrza? Coś uległo zmianie. Dziwnie było teraz myśleć o nim jak o swoim przyjacielu. Mężczyzna stał się znacznie ważniejszy, bardziej zapracowany. Może łamał się pod naporem dodatkowej odpowiedzialności, nie mógł znieść bólu bycia tym, który wysyła ludzi do czyszczenia...

– Wiesz dlaczego nigdy nie wziąłem cienia? – zapytał Bernard. Przejrzał instrukcję, zobaczył tekst sztuki na odwrocie kartek i obrócił spięte razem zapiski. Spojrzał na Lukasa, który wzruszył ramionami, unosząc ręce.

– Bo nie mogę nawet myśleć, że ktoś inny miałby rządzić tym miejscem.

Lukas założył, że chodziło mu o IT, a nie o cały silos. Bernard był burmistrzem dopiero od niedawna.

Bernard odłożył sztukę i wyjrzał za okno, skąd znów dobiegały przytłumione odgłosy kłótni.

– Ale kiedyś będę musiał to zrobić. Jestem w takim wieku, że przyjaciele, ludzie z którymi dorastałeś, padają jak muchy, ale nadal jest się na tyle młodym, żeby udawać, że ciebie to nie dotyczy.

Wbił wzrok w Lukasa. Młody technik nie czuł się pewnie będąc z Bernardem sam na sam. Nigdy wcześniej nie czuł się tak jak teraz.

– Silosy płonęły już wcześniej przez arogancję jednego człowieka – powiedział mu Bernard. – Wystarczy tylko niewłaściwe planowanie, wiara w to, że będzie się żyło wiecznie, a kiedy jeden człowiek zniknie... –

pstryknął palcami – zostawia po sobie pustkę, przez którą wszystko może się zawalić.

Lukas ledwie się powstrzymywał przed zapytaniem szefa, o czym on do cholery gada.

– Wydaje mi się, że dziś nadszedł ten dzień. – Bernard wędrował wokół długiego stołu konferencyjnego, zostawiając za sobą rozrzucone pozostałości życia Juliette. Wzrok Lukasa prześlizgiwał się z przedmiotu na przedmiot. Widząc jak obchodzi się z nimi Bernard, nie miał już poczucia winy, że sam je wcześniej przeglądał. Żałował tylko, że nie schował ich sobie więcej.

– Potrzebuję kogoś, kto już ma dostęp do serwerów – rzekł Bernard. Lukas odwrócił się i zobaczył, że niski, brzuchaty szef IT stoi tuż obok. Uniósł dłoń do kieszeni, by sprawdzić, czy aby nic z niej nie wystaje.

– Sammi to dobry technik. Ufam mu, ale jest prawie tak stary jak ja.

– Nie jesteś aż taki stary – odparł Lukas, starając się być miłym i zarazem mieć czas zastanowić się nad tym wszystkim. Nie za bardzo wiedział, co się dzieje.

– Niewielu ludzi uważam za swoich przyjaciół – stwierdził Bernard.

– Doceniam to...

– Tobie jest najbliżej...

– Czuję dokładnie tak samo...

– Znałem twojego ojca. Był dobrym człowiekiem.

Lukas przełknął ślinę i skinął głową. Spojrzał na Bernarda i dotarło do niego, że tamten wyciąga ku niemu dłoń. Już od pewnego czasu. Odwzajemnił więc uścisk, nie wiedząc, co mu się proponuje.

– Potrzebuję cienia, Lukas. – Dłoń Bernarda wydawała się taka drobna w wielkiej prawicy Lukasa. Patrzył jak jego ramię wędruje to w górę, to w dół. – Chcę, żebyś to był ty.

39

Zdradne są kroki za spiesznie podjęte.

Juliette przedarła się przez wewnętrzne drzwi śluzy i z trudem zatrzasnęła je za sobą. Gdy ciężkie drzwi spoczęły wreszcie na suchych uszczelkach, skrzypiąc głośno zawiasami, dziewczyna zatonęła w ciemnościach. Sięgnęła po wielkie koło i szarpnęła za szprychy, zamykając śluzę na dobre.

Powietrze wewnątrz kombinezonu robiło się stęchłe; zaczynała już omdlewać. Odwróciła się, opierając się ręką o ścianę, a potem zrobiła kilka kroków w mroku. Podmuch powietrza z zewnątrz zdawał się wpijać w jej plecy niczym rój wściekłych insektów. Zatoczyła się na ślepo przez korytarz, chcąc oddalić się od trupów, które zostawiła za sobą.

Nie paliły się żadne światła, nie było tu nawet blasku bijącego od ekranu, na którym wyświetlałby się widok świata zewnętrznego. Modliła się, by układ pomieszczeń był taki sam jak w jej silosie, wtedy odnajdzie drogę. Modliła się też, by powietrza w kombinezonie starczyło jeszcze na trochę, i miała nadzieję, że powietrze w silosie nie było tak zanieczyszczone i toksyczne jak to na zewnątrz. I pragnęła żeby – modliła się o to równie mocno – powietrze w silosie nie było tak samo pozbawione tlenu jak to w jej kombinezonie.

Natrafiła dłonią na kraty celi. Znajdowały się dokładnie w tym miejscu, w którym być powinny, więc wciąż miała nadzieję, że nie zbłądzi w ciemnościach. Nie była pewna, co chciała odnaleźć w tym mroku – wcześniej nie liczyła przecież na wybawienie – po prostu chciała się oddalić od koszmaru panującego na zewnątrz. Ledwie docierało do niej, że tam była, że naprawdę wyszła na zewnątrz, a teraz była w jakimś nowym miejscu.

Kiedy wędrowała przez biuro, zaciągając się resztkami powietrza w jej hełmie, potknęła się o coś i upadła. Wylądowała na jakiejś miękkiej stercie; macając dłonią wyczuła czyjeś ramię. Ciało. Kilka ciał. Juliette zczołgała się z nich, gąbczaste w dotyku mięso zdawało jej się bardziej ludzkie i trwałe niż te puste łupiny i kości rozrzucone na zewnątrz, ciężej też było przez nie przejść. Wyczuła czyjś podbródek. Ciężar jej ciała sprawił, że czyjaś szyja się obróciła, i Juliette niemal straciła równowagę. Wzdrygnęła się, wiedząc co właśnie robi, odruchowo chciała przeprosić,

odsunąć się, ale zmusiła się do brnięcia przed siebie po stercie zwłok, przez gęsty mrok, aż w końcu walnęła hełmem w drzwi biura.

Uderzenie było niespodziewane i na tyle mocne, że Juliette ujrzała gwiazdy. Przestraszyła się, że za moment straci przytomność. Wyciągnęła przed siebie dłoń, szukając klamki. Nawet w najgłębszych trzewiach Maszynowni nie było aż tak ciemno.

Odnalazła zatrzask i pchnęła drzwi. Były otwarte, ale nawet nie drgnęły. Juliette wstała, wbijając buty w leżące bez życia ciała, i uderzyła ramieniem w drzwi. Chciała się stąd wydostać.

Drzwi się otworzyły. Ale tylko odrobinę. Poczuła, że coś po drugiej stronie prześlizgnęło się i wyobraziła sobie kolejną stertę ciał. Znów rzuciła się na nie, i jeszcze raz, i jeszcze, parskając z wysiłku i krzycząc z frustracji. Przepocone włosy kleiły jej się do twarzy. Nic nie widziała. Nie mogła oddychać. Dusząc się własnymi trującymi wyziewami zaczynała już tracić przytomność.

Kiedy drzwi otworzyły się jeszcze trochę, starała się przecisnąć przez szparę, najpierw jedno ramię, potem hełm, następnie drugie ramię i noga. Padła na podłogę, przyciskając plecy do drzwi, by je za sobą zatrzasnąć.

Widziała blade światło, w pierwszym momencie trudne do dostrzeżenia. Przed nią znajdowała się barykada ze stołów i krzeseł, porozrzucana nieco po wysiłkach Juliette by jakoś przejść przed drzwi. Ostre krawędzie i patykowate nogi wyglądały tak, jakby celowo chciały ją usidlić.

Juliette ze świstem łapała powietrze, wiedząc, że jej czas się kończy. Oczami wyobraźni widziała już, jak trucizna zalewa ją niczym gęsty olej. Toksyczne powietrze, które wpuściła do środka silosu przywodziło na myśl chmarę robactwa, czekającą tylko na to, by ją pożreć.

Zastanawiała się, czy się nie położyć i nie czekać, aż powietrze całkiem się wyczerpie. Przetrwa wtedy w tym kombinezonie niczym poczwarka – w pierwszym porządnym kombinezonie, darze od Walkera i pracowników działu Zaopatrzenia. Jej ciało przeleżałoby całą wieczność w tym ciemnym silosie, który nie powinien nawet istnieć – ale o ileż to lepsze niż gnić na jałowym wzgórzu, rozpadając się kawałek po kawałku na kapryśnym wietrze. To byłaby dobra śmierć. Dyszała, dumna, że dotarła gdzieś z własnego wyboru, pokonując te kilka ostatnich przeszkód.

Opierając się o drzwi, przyjęła pozycję wpółleżącą i niemal zamknęła oczy – ale ciekawość nie dawała jej spokoju.

Juliette uniosła ręce i patrzyła na nie w słabym blasku padającym z klatki schodowej. Lśniące rękawice – owinięte taśmą grzewczą i stopione na kształt jasnej skóry – sprawiały że wyglądała niczym jakaś maszyna. Przesunęła dłońmi po hełmie, uświadamiając sobie, że wygląda jak wielki toster. Kiedy jeszcze była tylko cieniem w Maszynowni, miała zwyczaj rozmontowywania różnych rzeczy, nawet tych, które już działały. Co powiedział Walker? Że najbardziej na świecie lubi zaglądać w tostery.

Juliette usiadła, próbując się skoncentrować. Traciła czucie, a wraz z nim wolę życia. Pokręciła głową i wstała, przewracając stertę krzeseł. Uświadomiła sobie, że sama też teraz jest swego rodzaju tosterem. Ciekawość kazała jej się otworzyć. Tym razem, by zobaczyć, co znajduje się na zewnątrz. Zaczerpnąć powietrza silosu i samemu się przekonać.

Przedarła się przez stoły i krzesła, chcąc jak najbardziej oddalić się od trującego powietrza, którego nawiała do środka. Zwłoki, po których wczołgała się do biura szeryfa, zdawały się jedną zbitą masą. Martwe, uwięzione wewnątrz i zagłodzone albo uduszone, nie wiadomo. Ale nie zgnite. Mimo zawrotów głowy i chęci zaczerpnięcia oddechu, chciała jakoś rozcieńczyć toksyny, tak jak zrobiłaby z każdym chemicznym wyciekiem w Maszynowni.

Pokonała barykadę stołów i krzeseł i dotarła na stołówkę. Z klatki schodowej sączyło się słabe zielone światło lamp awaryjnych, pokazując jej drogę. Przeszła przez drzwi do kuchni i spróbowała odkręcić krany przy dużym zlewie. Pokrętła działały, ale nie popłynęła nawet kropla, nie dało się słyszeć nawet najmniejszego ruchu odległych pomp. Podeszła do zmywarki, gdzie wisiał wąż, i pociągnęła za dźwignię – z podobnym rezultatem. Nie było wody.

Wtedy pomyślała o chłodniach, gdzie przecież mogłaby zamrozić wszystkie świństwa, które łaziły po jej kombinezonie. Zatrzymała się przy kuchenkach i szarpnęła dużą srebrną klamkę drzwi, ze świstem wciągając powietrze w płuca. Światło na tyłach kuchni było tak słabe, że ledwie cokolwiek widziała. Przez kombinezon nie czuła zimna, ale nie była co do tego przekonana. Ten kombinezon miał ją chronić i został naprawdę dobrze do tego celu przygotowany. Światło nad głową się nie zapaliło, więc założyła, że chłodnia też nie działa. Zajrzała do środka przez uchylone

drzwi, szukając jakiegokolwiek płynu, i zauważyła coś, co wyglądało jak zbiorniki z zupą.

Była gotowa spróbować czegokolwiek. Weszła więc do chłodni, pozwalając by drzwi zamknęły się za jej plecami. Chwyciła jeden z dużych plastikowych pojemników – wiadro wielkości największych garnków – i zdjęła z niego pokrywkę. Drzwi zatrzasnęły się, znów była spowita nieprzeniknioną ciemnością. Klęknęła przy półce i przechyliła wielkie wiadro. Czuła jak zupa leje się na jej kombinezon, marszcząc materiał i kapiąc na podłogę. Kolana ślizgały się w brei. Sięgnęła po kolejny zbiornik i zrobiła dokładnie to samo, a potem zanurzyła dłonie w kałuży i posmarowała się zupą. Nie była pewna, czy przypadkiem nie oszalała, czy tylko wszystko pogarszała i czy to w ogóle miało jakiekolwiek znaczenie. Buty ślizgały się, aż w końcu Juliette upadła na plecy, uderzając hełmem o podłogę.

Leżała w kałuży zimnej zupy, nic nie widząc, i ze świstem wciągała w płuca stęchłe powietrze. Jej czas się skończył. Miała zawroty głowy i nie miała już żadnych pomysłów na własny ratunek, a zresztą już i tak nie miała na nic siły. Musiała tylko zdjąć ten hełm.

Szukała zatrzasków, ale nie mogła ich wyczuć przez rękawice. Były zbyt grube. Zamierzali ją zabić, dlatego takie uszyli.

Przeturlała się na brzuch i przeczołgała się po kałuży, jej dłonie i kolana ślizgały się przy każdym ruchu. Sięgnęła ku drzwiom, dysząc ciężko, i wymacawszy klamkę otworzyła je. Za ladą znajdował się stojak pełen noży. Zerwała się na nogi i złapała jeden, ściskając ostrze w grubych rękawicach, a potem padła na podłogę, wyczerpana i omdlewająca.

Skierowując ostrze ku swojej szyi, Juliette zaczęła nim szukać zatrzasku. Przesuwając ostrzem po kołnierzu, dotarła wreszcie do szczeliny. Starając się unieruchomić drżącą rękę, przycisnęła nóż, dźgając nim własne ciało na przekór wszystkim ludzkim instynktom.

Usłyszała ciche kliknięcie. Dysząc i znowu przesuwając ostrze wzdłuż krawędzi, natrafiła na kolejny zatrzask. Powtórzyła cały manewr.

Kolejne kliknięcie i hełm zeskoczył z głowy.

Ciało Juliette zrobiło wszystko za nią, zmuszając ją do zaczerpnięcia kolejnych głębokich haustów zanieczyszczonego powietrza. Smród był niemal nie do zniesienia, ale nie mogła przestać wciągać powietrza w płuca. Zgnite jedzenie, biologiczny rozkład i wszystkie rodzaje smrodu wtargnęły jej do ust i nosa, osiadły na języku.

Odwróciła się, targana torsjami, ale nie zwymiotowała. Dłonie wciąż miała śliskie od zupy. Oddychanie było bolesne, wyobrażała sobie, jak jej skóra płonie, ale może to tylko z powodu gorączki. Wyczołgała się z chłodni, ruszając w stronę stołówki, by wydostać się z oparów zgniłych zup, a potem znów zaczerpnęła powietrza.

Powietrze.

Oddychała pełną piersią, wciąż czując odór zupy, którą się oblała. Ale za tym smrodem znajdowało się coś jeszcze. Coś ledwie wyczuwalnego. Coś, czym dało się oddychać, co odegnało panikę i zawroty głowy. To był tlen. Życie.

Juliette wciąż żyła.

Zaśmiała się szaleńczo i ruszyła w stronę schodów, przyciągana zielonym blaskiem świateł, oddychając głęboko. Była zbyt wycieńczona by w pełni docenić fakt, że – choć to przecież niemożliwe – nadal pozostawała przy życiu.

40

Dla nas dwóch czasy pląsów już minęły.

Knox uważał zamieszanie w maszynowni za kolejny wypadek, z którym trzeba sobie poradzić. Jak wtedy, gdy w piwnicy zdarzył się wyciek, albo gdy platforma wiertnicza natrafiła na złoża metanu i trzeba było ewakuować osiem kondygnacji, dopóki specjaliści się z tym nie uporali. Wobec tego zgiełku trzeba było szybko wprowadzić jakiś porządek. Przydzielić ludziom zadania. Musiał rozbić olbrzymie przedsięwzięcie na wiele drobnych elementów i upewnić się, że każdy z nich trafił we właściwe ręce. Tyle że tym razem on i jego podwładni nie będą niczego naprawiać. Tym razem ci wszyscy dobrzy ludzie z Maszynowni będą musieli coś zniszczyć.

– Zaopatrzenie jest kluczem – powiedział swoim majstrom, wskazując wielki plan wiszący na ścianie. Przesunął palcem po trzydziestu piętrach, docierając aż do kondygnacji Zaopatrzenia. – Naszą największą przewagą jest to, że IT się nas nie spodziewa – zwrócił się do kierowników zmian. – Shirly, Marck i Courtnee, pójdziecie ze mną. Weźmiemy cały sprzęt, pójdą też z nami nasi cienie. Walker, możesz posłać im telegram, że do nich idziemy. Ale uważaj. IT może podsłuchiwać. Napisz tylko, że dostarczymy sporo naprawionych przez ciebie rzeczy.

Zwrócił się do Jenkinsa, który cieniował Knoxowi jeszcze zanim zapuścił brodę i przeniósł się na trzecią zmianę. Wszyscy zakładali, że przejmie kiedyś schedę po Knoxie. – Jenks, ty będziesz kierował Maszynownią. Wszystko ma działać, ale bądź przygotowany na najgorsze. Zróbcie tyle zapasów pożywienia, ile tylko zdołacie. I nie zapomnijcie o wodzie. Cysterna ma być pełna. Jeśli musisz, zabierz ją sobie z hydroponiki, ale bądź dyskretny. Wymyśl zawczasu wymówkę, wyciek czy coś, gdyby zauważyli. W międzyczasie niech ktoś zrobi obchód i sprawdzi wszystkie zawiasy i zamki, na wypadek gdyby walki dotarły aż tutaj. Zbierzecie wszystko, co przyda się do obrony. Rury, młotki, cokolwiek.

Ktoś słysząc to uniósł brwi, ale Jenkins skinął głową, jakby wszystko to nie tylko miało sens, ale też było wykonalne. Knox zwrócił się do brygadzisty. – Co? Przecież wiesz, do czego to wszystko zmierza, no nie?

– Ale jaki jest nasz cel? – zapytała Courtnee, patrząc na schemat ich podziemnego domu. – Szturm na IT, a co potem? Przejęcie władzy nad całym silosem?

– My już nim rządzimy – ryknął Knox. Plasnął dłonią w środkowe kondygnacje. – Tylko że działamy po omacku. Te kondygnacje zostają dla nas w cieniu. Mam zamiar oświetlić ich nory i wystraszyć wszystkie mieszkające tam szczury, żeby sprawdzić, co jeszcze przed nami ukrywają.

– Ale rozumiesz co robili, tak? – Marck zwrócił się do Courtnee. – Posyłali ludzi na śmierć. Celowo. Nie dlatego, że tak musiało być, ale dlatego, że tego chcieli!

Courtnee przygryzła wargę i w milczeniu gapiła się na plan.

– Musimy ruszać w drogę – stwierdził Knox. – Walker, puść ten telegram. Idziemy robić załadunek. I wymyślcie jakiś przyjemny temat, żebyśmy mieli o czym gadać w drodze na górę. O naszych zamiarach nie będziemy dyskutować, bo jeszcze usłyszy nas jakiś tragarz i podkabluje nas za bon czy dwa.

Skinęli głowami. Knox klepnął Jenkinsa w plecy i gestem wskazał młodszego mężczyznę. – Dam znać, kiedy będziemy potrzebowali całej reszty. Wtedy zostawisz tu tylko tych, którzy będą konieczni, a resztę poślesz na górę. Najważniejsze, żebyśmy byli zgrani, rozumiesz?

– Wiem, co mam robić – odparł Jenkins. Nie chciał być arogancki, próbował tylko przekonać starszego kolegę.

– W porządku – rzekł Knox. – W takim razie w drogę.

* * *

Dziesięć kondygnacji pokonali bez narzekania, ale wtedy Knox zaczął czuć palenie w nogach. Dźwigał ciężki ładunek. Na szerokich plecach miał worek pełen fartuchów, plus jeszcze kilka hełmów. Przewiązane liną, postukiwały mu za plecami. Marck męczył się z ładunkiem rur, które próbowali sobie podawać – raz po raz wyślizgiwały mu się z rąk. Cienie podążali w ogonie, za kobietami, niosąc ciężkie worki prochu górniczego, przewiązane na szyjach. Wymijali ich równie obładowani i pędzący w obu kierunkach profesjonalni tragarze, rzucający spojrzenia pełne ciekawości a niekiedy gniewu, że oto pojawia się konkurencja. Kiedy jeden z nich – kobieta, w której Knox rozpoznał dostawcę z najniższych kondygnacji – zatrzymała się, oferując pomoc, zbył

ją opryskliwie. Popędziła po schodach na górę, oglądając się przez ramię, a Knox od razu żałował, że wyładował się na niej.

– Nie zwalniajcie – rzucił do pozostałych. Nawet idąc niewielką grupą robili z siebie widowisko. I coraz trudniej było trzymać język za zębami, skoro wszyscy wokół mówili tylko o zniknięciu Juliette. Niemal na każdym piętrze natykali się na grupę zazwyczaj młodszych osób, które głośno zastanawiały się, co to wszystko mogło znaczyć. Tabu przeniosło się z myśli na szepty. Zakazane myśli teraz spływały z języków w eter. Knox ignorował ból pleców i wspinał się coraz wyżej i wyżej, z każdym stopniem bliżej Zaopatrzenia, zarazem czując coraz większą pewność, że muszą się pospieszyć.

Kiedy opuścili piętro sto trzydzieste, narzekania były coraz głośniejsze. Zbliżali się pomału do górnej części głębin, gdzie ludzie, którzy pracowali, handlowali i jedli na środkowych kondygnacjach mieszali się z tymi, z którymi woleliby się nie mieszać. Zastępca Hank stał na klatce na sto dwudziestym ósmym, starając się mediować między dwiema zwaśnionymi grupami. Knox prześlizgnął się bokiem, mając nadzieję, że funkcjonariusz nie odwróci się i nie zobaczy tego obładowanego orszaku, i nie zacznie pytać, czemu zaszli aż tak daleko. Wymijając panujące w korytarzu zamieszanie, Knox obejrzał się, patrząc, jak cienie prześlizgują się obok, przyciśnięci do wewnętrznej poręczy. Zastępca Hank nadal prosił jakąś kobietę, by się uspokoiła, oni tymczasem byli już prawie na kolejnym piętrze.

Minęli farmy na sto dwudziestym szóstym i Knox doszedł do wniosku, że to jest właśnie miejsce kluczowe. Trzydzieste piętro IT było jeszcze daleko w górze, ale jeśli zostaną zmuszeni do odwrotu, muszą utrzymać Zaopatrzenie. Dzięki ich produkcji, pożywieniu pochodzącym z tego piętra i maszynerii z Maszynowni, staną się samowystarczalni. Widział kilka słabych ogniw, ale IT będzie miało znacznie gorzej. Oni zawsze mogą wyłączyć zasilanie albo przestać uzdatniać wodę – miał jednak nadzieję, zmierzając na miękkich nogach ku Zaopatrzeniu, że do tego nie dojdzie.

Na sto dziesiątym przywitały ich zmarszczone brwi. McLain, starsza kobieta będąca tutaj szefem, stała ze skrzyżowanymi ramionami, odziana w żółty kombinezon, całą postawą krzycząc, że nie są tu mile widziani.

– Witaj, Jove – powiedział z uśmiechem Knox.

– Nie Jovuj mi tutaj – odparła McLain. – Co was tutaj przygnało?

Knox popatrzył na klatkę schodową, potem poprawił sobie na ramieniu ciężki ładunek. – Możemy wejść i o tym pogadać?

– Nie chcę żadnych kłopotów – odparła, patrząc na niego spode łba.

– Wejdźmy do środka – zachęcał Knox. – Nie zatrzymywaliśmy się ani razu podczas wspinaczki. Chyba nie chcesz, żebyśmy tutaj padli.

McLain zdawała się nad tym namyślać. Rozluźniła się nieco, a potem odwróciła w stronę trzech pracowników, którzy stanęli za nią murem. Skinęła głową i otworzyli lśniące drzwi Zaopatrzenia. Potem odwróciła się znów, łapiąc Knoxa za ramię. – Nie czuj się tu jak u siebie – rzuciła.

W pierwszym pomieszczeniu Zaopatrzenia Knox zastał niewielką armię mężczyzn i kobiet w żółtych kombinezonach. Większość stała za niską ladą, przy której mieszkańcy silosu zazwyczaj czekali na części, których potrzebowali – albo dopiero co wyprodukowane, albo naprawione. W oddali stały równoległe rzędy regałów, pełne pudeł i pojemników. W pomieszczeniu panowała cisza. Zazwyczaj słychać tu było mechaniczny pomruk i brzęczenie produkcji niosące się przez przestrzeń, albo rozmowy pracowników, którzy gdzieś na tyłach sortowali nowe śruby i nakrętki, wrzucając je do pojemników.

Teraz tylko cisza i nieufne spojrzenia. Knox stanął ze swoimi ludźmi, którzy zrzucili worki i ładunki na podłogę; pot perlił się na ich czołach, ale pracownicy z Zaopatrzenia przyglądali się im tylko uważnie.

Spodziewał się cieplejszego powitania. Przecież Maszynownia i Zaopatrzenie miały za sobą wspólną historię. Razem stworzyły niewielką kopalnię pod najniższymi kondygnacjami Maszynowni, która uzupełniała zapasy rudy.

Ale teraz, gdy McLain wróciła ze swoimi chłopcami do środka, spojrzała na Knoxa z pogardą jakiej nie widział od czasu śmierci swojej matki.

– Co to do cholery ma znaczyć? – syknęła.

Jej język zbił go z tropu, szczególnie że zwróciła się tak do niego w obecności jego ludzi. Siebie i McLean uważał za równych sobie, ale teraz poczuł się zaszczuty, mały i bezwartościowy.

McLain błądziła wzrokiem po wycieńczonych mechanikach i ich cieniach, a potem znów spojrzała na Knoxa.

– Zanim omówimy, jak posprzątać ten bajzel, chcę widzieć jak radzisz sobie ze swoimi pracownikami, czy ktokolwiek jest za to odpowiedzialny. – Przewiercała go wzrokiem. – Zakładam, że ty nie miałeś z tym nic wspólnego, prawda? Przyszedłeś przeprosić i dać mi łapówkę?

Shirly zaczęła coś mówić, ale Knox kazał jej milczeć. Wiele osób w pomieszczeniu tylko czekało, aż dojdzie do ostrej konfrontacji.

– Owszem, przepraszam – odparł Knox, zaciskając zęby i skłaniając głowę. – I nie, dowiedziałem się o tym dzisiaj. Po tym, jak powiedziano mi o czyszczeniu.

– Więc wszystko wymyślił twój elektryk – stwierdziła McLain, znów splatając przedramiona na piersi. – Jeden człowiek.

– To prawda. Ale...

– Możesz być pewien, że moim ludziom biorącym w tym udział już wymierzyłam karę. I wydaje mi się, że musisz zrobić coś więcej niż wygnanie tego starego pierdzielą do jego mieszkania.

Za ladą rozległy się śmiechy. Knox położył dłoń na ramieniu Shirly, chcąc ją uspokoić. Spojrzał na osoby stojące za McLain.

– Oni przyszli i zabrali jednego z naszych pracowników – rzekł. Może i czuł w piersi ciężar, ale głos wciąż miał donośny. – Wiecie, jak się to odbywa. Kiedy potrzebują kogoś do czyszczenia, po prostu go zabierają. – Uderzył się w klatkę piersiową. – A ja im na to pozwoliłem. Nic nie zrobiłem, bo wierzyłem w ten system. Lękałem się go, tak jak każdy z was.

– Cóż... – zaczęła McLain, ale Knox ją uciszył, ciągnąc dalej głosem, który potrafił wydawać polecenia nawet w huku szalejących maszyn.

– Zabrano jednego z moich pracowników i najstarszy, najmądrzejszy z nas postanowił coś w tej sprawie zrobić. Najsłabszy i najbardziej przerażony postanowił nadstawić karku. A temu, kto mu pomógł, kimkolwiek jest, będę dozgonnym dłużnikiem. – Knox zamrugał załzawionymi oczami i ciągnął dalej. – Dałeś jej więcej niż szansę na pokonanie tego wzgórza, ustronną śmierć w spokoju. Dałeś mi też odwagę, by otworzyć oczy. Przejrzeć te kłamstwa, którymi nas mamiono...

– Dosyć tego! – warknęła McLain. – Za samo słuchanie tych bredni można zostać wysłanym do czyszczenia.

– To nie są brednie – zawołał Marck, stojący na końcu szeregu. – Juliette zginęła przez...

– Zginęła, bo złamała te właśnie prawa! – rzuciła McLain, podnosząc głos. – A wy przyłazicie tutaj, żeby znowu je łamać? Na moim piętrze?

– Nie będziemy łamać praw, tylko kości! – krzyknęła Shirly.

– Spokój! – powiedział im obu Knox. Widział wściekłość w oczach McLain, ale dostrzegł też coś jeszcze: kiwnięcia głowami i uniesione brwi pośród tych, którzy stali z tyłu.

Do pomieszczenia wszedł tragarz, w każdej dłoni trzymał pusty worek. Rozejrzał się, zdziwiony pełną napięcia ciszą. Jeden z potężnych pracowników Zaopatrzenia, stojący przy drzwiach, odprowadził go na korytarz z przeprosinami, każąc wrócić później. Podczas tej przerwy Knox starannie dobierał w myślach słowa.

– Nikt jeszcze nigdy nie został wysłany do czyszczenia za to, że słuchał jak ktoś łamie tabu – powiedział i zamilkł, by do wszystkich to zdanie dotarło. Spojrzał na McLain, czy nie będzie chciała mu przerwać, ale nie robiła tego. – Więc niechże ja zostanę posłany na czyszczenie za to, co zamierzam wam powiedzieć. Będę jednak rad, jeśli te fakty zamiast tego każą wam dołączyć do mnie i moich ludzi. Podjęliśmy decyzję po tym, co pokazali nam tego ranka Walker i kilku odważnych. Mamy podstawy liczyć na coś więcej, niż oni godzą się nam dać. Bo mamy coś, czego nie chcą nam oddać, a co znacznie poszerza nasze horyzonty. Wychowano nas w kłamstwach, kazano nam lękać się widoku naszych krewnych, których ciała gniją na zboczach, ale teraz jedna z nas przedarła się na drugą stronę! Oni widzieli nowe horyzonty! Nam dano tylko nakrętki i uszczelki, mówiąc że to nam wystarczy, ale czy naprawdę?

Popatrzył na kobiety i mężczyzn stojących za ladą. Ramiona McLain zdawały się być rozluźnione.

– Zaprojektowali je, by się zepsuły! To zwykłe fałszywki. I kto wie, jakie jeszcze kłamstwa wymyślili. Co jeśli zabralibyśmy jakiegokolwiek czyściciela i już wtedy dali mu lepszy kombinezon? Wyczyściwszy go i zdezynfekowawszy? Spróbowali tego, co w naszej mocy? Czy wtedy by przetrwali? Nie możemy już ufać IT, gdy twierdzi, że tamci i tak by zginęli!

Knox widział, jak podbródki słuchaczy unoszą się i opadają. Wiedział, ze jego ludzie są gotowi przypuścić atak, jeśli będzie trzeba; byli tym wszystkim równie rozwścieczeni co on.

– To nie my sprawiamy kłopoty – stwierdził. – My tylko chcemy przywrócić porządek! Powstanie już przecież miało miejsce. – Zwrócił się

do McLain. – Nie rozumiesz tego? My żyliśmy powstaniem. Nasi rodzice byli jego dziećmi, a teraz my karmimy własnymi dziećmi tę samą maszynę. To wcale nie będzie początek czegoś nowego, raczej koniec czegoś starego. A jeśli Zaopatrzenie będzie po naszej stronie, mamy szansę. Jeśli nie, nasze ciała oszpecą wasz widok świata zewnętrznego, bo tam jest znacznie mniej trucizn niż w tym przeklętym silosie!

Ostatni okrzyk Knoxa był jawnym złamaniem wszelkich tabu. Wyrzucił to z siebie i cieszył się smakiem tej chwili, przyznaniem, że cokolwiek istnieje poza tymi owalnymi ścianami, może być lepsze niż to, co w środku. Szept, który zabił tak wielu, z szerokiej piersi Knoxa wydobył się w formie ryku.

I czuł się z tym świetnie.

McLain wzdrygnęła się. Cofnęła się o krok, w jej oczach widać było coś na kształt strachu. Odwróciła się plecami do Knoxa i wróciła do swoich ludzi. Wiedział już, że zawiódł. Istniała niewielka szansa, że zdoła poderwać ten cichy i nieruchomy tłum do działania, ale szansa wyślizgnęła mu się z rąk, a może on sam ją odstraszył.

I wtedy McLain coś zrobiła. Knox dostrzegł, jak naprężają się ścięgna jej smukłej szyi. Uniosła podbródek – widział jej siwe, upięte ciasno włosy – a potem szepnęła: Co wy na to, Zaopatrzenie?

To było pytanie, nie rozkaz. Knox później zastanawiał się, czy zadała je ze smutkiem; zastanawiał się czy wybrała najmarniejszych pracowników, którzy cierpliwie wysłuchiwali jego szaleńczej tyrady. Zastanawiał się też, czy była tylko ciekawska, czy naprawdę rzucała wyzwanie, żeby tamci wyrzucili Knoxa i jego mechaników.

Ale w tej chwili, gdy po twarzy płynęły mu łzy, myślał tylko o Juliette, i nie był pewien, czy usłyszałby nawet krzyki garstki jego rodaków, tak mocno zagłuszyły je wojenne okrzyki dobrych mężczyzn i kobiet z Zaopatrzenia.

41

Lecz prędko więdną przedwczesne mężatki.
Ziemia schłonęła wszystkie me nadzieje.

Lukas podążał za Bernardem przez korytarze IT, a nerwowi technicy czmychali przed nim jak przerażone światłem zwierzęta. Bernard zdawał się wcale nie zwracać uwagi na znikających w biurach techników, wyglądających nerwowo zza szyb. Lukas starał się dotrzymać mu kroku, zerkając na boki i czując się jak jakieś widowisko, gdy tylu naraz go obserwowało.

– Nie jestem przypadkiem za stary na bycie cieniem? – zapytał. Był przekonany, że nie przyjął oferty, przynajmniej nie werbalnie, ale Bernard wypowiadał się tak, jakby już dobili targu.

– Nonsens – odparł. – Zresztą nie będziesz mi cieniował w tradycyjnym sensie tego słowa. – Machnął ręką. – Twoje dotychczasowe obowiązki nie ulegną zmianie. Po prostu potrzebuję kogoś, kto będzie mógł się zaangażować, będzie wiedział, co robić, w razie gdyby mi się coś stało. Mój testament...

Zatrzymał się przed ciężkimi drzwiami serwerowni i odwrócił twarz do Lukasa. – Jeśli do tego dojdzie, w razie nagłego wypadku mój testament wyjaśni wszystko mojemu następcy, ale... – Popatrzył na korytarz ciągnący się za plecami Lukasa. – Sims jest wykonawcą, będziemy musieli to zmienić. A to raczej gładko nie przejdzie.

Podrapał brodę i zamyślił się. Lukas odczekał chwilę, potem stanął przy nim i wklepawszy własny kod na panelu, wyciągnął z kieszeni identyfikator – upewniwszy się najpierw, że wyciąga własny, a nie ten Juliette – a potem przeciągnął go przez czytnik. Drzwi otworzyły się z kliknięciem, które wyrwało Bernarda z rozmyślań.

– Cóż, tak będzie znacznie lepiej. Nie żebym się gdzieś wybierał, swoją drogą. – Poprawił okulary na nosie, a potem przeszedł przez stalowe drzwi. Lukas ruszył za nim, zamykając za sobą monstrualną barierę i czekając, aż uruchomią się zamki.

– Ale gdyby coś ci się stało, ja miałbym nadzorować czyszczenia? – Lukas nie potrafił sobie tego wyobrazić. Podejrzewał, że trzeba było wiedzieć więcej o tych całych kombinezonach, niż o serwerach. Sammi

lepiej by się do tego nadał, mało tego, on naprawdę chciałby takiej roboty. No i czy Lukas musiałby porzucić swoje gwiezdne mapy?

– To tylko niewielka część tej pracy, ale owszem. – Bernard poprowadził Lukasa między serwerami, minęli też numer trzynasty – wyłączony i z nieruchomymi wiatrakami – znajdujący się na tyłach pomieszczenia.

– Oto klucze do prawdziwego serca silosu – rzekł Bernard, wyciągając pobrzękujący komplet z kieszeni kombinezonu. Wisiały na skórzanym pasku, który nosił na szyi. Lukas nigdy wcześniej ich nie zauważył.

– Są też inne funkcje tego gabinetu, które z czasem poznasz. Teraz wystarczy żebyś wiedział, jak się dostać na dół. – Wsunął klucz w kilka zamków na tyle serwera, które wyglądem przypominały niedokręcone śruby. Co to był za serwer? Dwudziesty ósmy? Lukas rozejrzał się po pomieszczeniu, starając się obliczyć jego pozycję, i wtedy uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie pracował przy tej konkretnej maszynie.

Gdy tamten zdjął tylną pokrywę, rozległo się łagodne szczęknięcie. Bernard odłożył panel na bok i Lukas zrozumiał już, czemu nigdy nie pracował na tym komputerze. Jego obudowa była właściwie pusta, jakby dawno temu ją rozebrano.

– Najważniejsze jest, żebyś zamknął to za sobą, wracając na górę.

Lukas patrzył jak Bernard łapie uchwyt na spodzie pustej obudowy. Pociągnął go ku sobie i w pobliżu rozległo się ciche zgrzytanie. – Kiedy właz wróci z powrotem na miejsce, przyciskasz to po prostu, żeby go zabezpieczyć.,

Lukas miał już zapytać „jaki właz”, ale wtedy Bernard odsunął się i wsunął palce między metalowe listwy na podłodze. Stękając podniósł ciężki fragment podłogi i zaczął go przesuwać. Lukas skoczył na drugą stronę, chcąc mu pomóc.

– Czy schody nie...? – próbował zapytać.

– Nie docierają do tej części trzydziestego piątego piętra – Bernard machnął ręką w stronę prowadzącej na dół drabiny. – Ty przodem.

Lukasowi aż kręciło się w głowie od wszystkich niespodzianek tego dnia. Gdy schylał się, by złapać się drabiny, poczuł jak z kieszeni wysuwają mu się zegarek, pierścień i identyfikator Juliette, i w ostatniej chwili zdołał je zatrzymać, przyciskając rękę do piersi. Co on sobie wyobrażał? O czym w ogóle teraz myślał? Schodząc po długiej drabinie czuł się jak ktoś, kto

działa w oparciu o działający w jego mózgu program, niczym maszyna. Stojąc już na dole, patrzył jak Bernard zmierza w jego kierunku, zamykając za sobą właz, aż obaj zniknęli w mrocznym lochu skrytym pod mocno ufortyfikowaną serwerownią.

– Otrzymasz teraz wielki dar – powiedział mu w ciemnościach Bernard. – Tak jak ja przed wielu laty.

Zapalił światło i Lukas zobaczył, że jego szef szczerzy się maniakalnie, a jego wściekłość całkiem już wyparowała. Stał przed nim nowy człowiek, pewny siebie i podekscytowany.

– Los całego silosu i wszystkich jego mieszkańców zależy od tego, co ci zaraz pokażę – wyjaśnił Bernard. Gestem wskazał mu jasno oświetlony choć wąski korytarz, prowadzący do szerszej sali. Serwery wydawały się bardzo odległe. Lukas poczuł się odgrodzony od wszystkich ludzi w silosie; był zaciekawiony, lecz jednocześnie przerażony. Nie chciał dźwigać na swoich barkach aż takiej odpowiedzialności i przeklinał się w myślach, że się na to zgodził.

A mimo to ruszył przed siebie. Nogi zaniosły go przez ten ukryty korytarz do dziwnego i intrygującego zarazem pomieszczenia, z wnętrza którego robienie gwiezdnych map nagle wydało się Lukasowi nieistotne, do kryjówki, w której poczucie skali całego świata, jego prawdziwych rozmiarów, przybrało zupełnie nowe proporcje.

42

Złożę twe zwłoki w tryumfalnym grobie.
W grobie? nie, młoda ofiaro, nie w grobie,
W latarni raczej, bo tu Julia leży;
A blask jej wdzięków zmienia to sklepienie
W przybytek światła.

Juliette porzuciła swój usmarowany zupą hełm na podłodze i ruszyła w stronę bladozielonej poświaty. Teraz ta poświata wydawała się jaśniejsza niż przed chwilą. Juliette zastanawiała się, jak wiele wcześniejszych ciemności było wyłącznie sprawką tego, że miała przed oczami wizjer. Kiedy wróciły jej zmysły, przypomniała sobie, że to nie było tylko szkło, przez które patrzyła na świat, lecz piekielny ekran, który skrywał widziany przez nią świat za zasłoną kłamstw. Może i przy okazji zaciemniał pole widzenia.

Poczuła ciągnący się za nią smród mokrego kombinezonu, zapach zgnitych warzyw i pleśni – a może toksycznych oparów świata zewnętrznego. Kiedy przeszła przez stołówkę, docierając do klatki schodowej, zaczęło ją palić w gardle. Skóra swędziała i kobieta nie była pewna, czy to przez strach, jej wyobraźnię, czy naprawdę coś wisiało w powietrzu. Nie śmiała się o tym przekonywać, więc wstrzymała oddech i mimo zmęczenia popędziła przed siebie, gdyż już za rogiem miały znajdować się schody.

Ten świat jest dokładnie taki sam jak mój, myślała, schodząc po schodach na pierwsze piętro, w słabym świetle awaryjnych lamp. *Bóg stworzył więcej niż jeden.*

Jej ciężkie buciory, nadal ociekające zupą, zdawały się wyjątkowo niestabilne na metalowych stopniach. Na drugim piętrze przystanęła, biorąc kilka głębokich wdechów, już mniej bolesnych, i zaczęła się zastanawiać, jak pozbyć się tego przeklętego kombinezonu, w którym tak ciężko było się poruszać, i który na dodatek śmierdział zgnilizną i powietrzem z zewnątrz. Popatrzyła na swoje ramiona. Przy zakładaniu stroju potrzebowała pomocy. Na plecach miała podwójne zamki, warstwy rzepów i całe mile taśmy grzewczej. Spojrzała na trzymany w dłoni nóż i była wdzięczna, że nie wyrzuciła go po zdjęciu z siebie hełmu.

Ściskając go przez grubą rękawicę, ostrożnie przebiła szpicem drugi rękaw, tuż powyżej nadgarstka. Przepchnęła ostrze aż do wysokości ramienia, uważając, żeby się przy tym nie zaciąć. Ciężko było ciąć ten materiał, ale po pewnym czasie udało się jej go rozerwać, obracając powoli rękojeść noża. Nieostrą stronę ostrza trzymając przy skórze, cięła materiał aż do knykci. Kiedy czubek noża rozerwał materiał pomiędzy jej palcami, mogła wyswobodzić jedną dłoń i rękaw opadł jej aż do wysokości łokcia.

Przysiadła na kracie, przełożyła nóż do wyswobodzonej ręki i zajęła się tą drugą. Udało jej się tego dokonać i nie zważała już na to, że po ramionach ściekała jej śmierdząca zupa. W następnej kolejności zaczęła rozkrajać materiał na piersi, a bez rękawic łatwiej jej było operować ostrzem. Zdołała rozerwać kombinezon i zdjąć z niego warstwę srebra, obierając samą siebie niczym pomarańczę. Nie mogła jednak pozbyć się twardego kołnierza po hełmie – był przyszyty do węglowego ocieplacza, który nosiła pod kombinezonem, podobnie jak wzmocnione zamki na plecach – jednak kawałek po kawałku zdołała zrzucić z siebie warstwę wierzchnią, upaćkaną śmierdzącą zupą i zanieczyszczoną po wędrówce przez wzgórze.

Później przyszła kolej na buty, które nacinała w okolicach kostek aż wreszcie zdołała zsunąć je z nóg, piłując nożem zewnętrzne krawędzie dopóty obie stopy nie były wolne.

Zanim uprzątnęła zwisające z niej łachmany, zanim zaczęła się martwić o materiał na plecach, przymocowany do wytrzymałego zamka, wstała i znów ruszyła schodami w dół, oddalając się jeszcze bardziej od powietrza wyższych kondygnacji, które drażniło jej krtań. Po pokonaniu kolejnych dwóch pięter, przedarłszy się przez zieloną poświatę klatki schodowej, w końcu zaczęła doceniać to, że przeżyła.

Przeżyła.

Nieważne na jak długo, ale ten brutalny, piękny fakt był dla Juliette czymś zupełnie nowym. Przez trzy dni wspinała się po schodach swojego silosu, próbując pogodzić się z przeznaczeniem. Kolejny dzień a potem noc w celi stworzonej specjalnie dla przyszłych zwłok, których pełen był szary krajobraz. A teraz – to. Niemożliwa przeprawa przez dzicz zakazanego, przedostanie się do miejsc niezbadanych i nieznanych. Przetrwanie.

Cokolwiek wydarzy się później, teraz Juliette pędziła boso po obcych schodach: chłodna stal pod podeszwami jej stóp, powietrze palące przełyk, jednak z każdym kolejnym wdechem nowego powietrza coraz

słabiej, nieznośny smród i wspomnienie śmierci, od której coraz bardziej się oddalała. Wkrótce słyszała już tylko tupot swoich kroków, myślała tylko o radosnym schodzeniu w pustą i odludną ciemność, uderzając w stopnie jak dzwon, który bije nie dla umarłych, lecz żywych.

* * *

Zatrzymała się na szóstym i odpoczęła chwilę, jednocześnie starając się jakoś zrzucić z siebie resztki kombinezonu. Ostrożnie przecięła ocieplacz na wysokości ramion i obojczyków, poszerzając rozdarcie aż dotarła do pleców, a potem rozerwała materiał, wciąż pokryty taśmą grzewczą. Kiedy kołnierz oddzielił się od materiału – na plecach wisiał tylko zamek, jak drugi kręgosłup – w końcu była w stanie zdjąć go z szyi. Zerwała go więc i rzuciła na podłogę, a potem zdjęła z siebie strzępy czarnego, węglowego materiału, obierając go z nóg i ramion i zostawiając całą tę stertę przed podwójnymi drzwiami szóstej kondygnacji.

Doszła do wniosku, że to powinno być piętro mieszkalne. Zastanawiała się, czy nie wejść do środka i nie wzywać pomocy, może poszukać ubrań i zapasów po pokojach, lecz bardziej ciągnęło ją na dół. Górne piętra były wciąż zbyt blisko, zdawały jej się przesiąknięte trucizną. Nie miało znaczenia, że to tylko jej wyobraźnia, albo myśl o doświadczeniach we własnym silosie – ciało Juliette czuło wstręt do tego miejsca. Bezpiecznie było tylko w głębinach. Zawsze tak uważała.

Z kuchni na górze zostało jej tylko jedno dodające otuchy wspomnienie: całe regały puszek i słoików z jedzeniem. Juliette wywnioskowała, że w dolnych stołówkach będzie go jeszcze więcej. I na dodatek powietrze w silosie coraz bardziej nadawało się do oddychania, Juliette przestała czuć palenie na języku i w gardle. Albo więc w przepastnym silosie było pełno tlenu, którego nikt nie zużywał, albo wiąż istniało jego źródło. To wszystko tchnęło w nią nadzieję. Porzuciła swoje brudne, rozdarte ubranie i uzbrojona jedynie w duży kuchenny nóż biegła nago po spiralnych schodach, a z każdym krokiem jej ciało było bardziej pełne życia, a umysł mocniej zdeterminowany, by tak już zostało.

* * *

Na trzynastym zatrzymała się i sprawdziła drzwi. Istniała przecież szansa, że ten silos został jednak zaprojektowany inaczej, piętro po piętrze, więc nie było sensu niczego planować, skoro nie wiedziała, czego się spodziewać. W końcu ledwie kilka znajomo wyglądających pomieszczeń na

górze to za mało, choć jak dotąd układ pomieszczeń zdawał się być wręcz idealną kopią. Po sprawdzeniu trzynastego piętra będzie już miała pewność. Istniały określone rzeczy, których nauczyła się w młodości i zapamiętała je bardzo dokładnie, tak że dotąd tkwiły w centralnym punkcie jej wspomnień. To byłyby te elementy, które wyparowałyby z niej najpóźniej, te pozostałości, kiedy resztę rozwiałby wiatr, albo wypiłyby ją korzenie roślin na farmie. Kiedy uchylała drzwi myślała, że wcale nie znajduje się teraz w innym silosie, porzuconej podziemnej łupinie ze stali, ale że wróciła do przeszłości, otwierając drzwi prowadzące do jej młodych lat.

Wewnątrz było ciemno, nie działały światła awaryjne. Unosiła się tutaj inna woń. Powietrze miało w sobie ledwie wyczuwalną nutę rozkładu.

– Halo? – zawołała Juliette przez korytarz.

Jej głos odbił się echem od ścian. Głos wracający echem zdawał się odległy, słabszy i zarazem wyższy od jej głosu. Wyobraziła sobie samą siebie jako dziewięciolatkę, pędzącą przez te właśnie korytarze, nawołującą samą siebie z późniejszych lat. Starała się wyobrazić sobie matkę biegnącą za tą dziewczynką, starającą się ją schwytać i zatrzymać, ale duch zniknął gdzieś w mroku. Kiedy ucichło ostatnie echo, została w korytarzu sama, zupełnie naga.

W końcu jej oczy przyzwyczaiły się do ciemności i zdołała zauważyć biurko recepcji na końcu korytarza. Światło odbijało się od okien dokładnie tam, gdzie się ich spodziewała. Wszystko wyglądało tu dokładnie tak samo jak w żłobku, w którym pracuje jej ojciec, w tym, w którym ona sama nie tylko przyszła na świat, ale też się wychowała. Ciężko było uwierzyć, że to jest inne miejsce. Że inni ludzie tutaj żyli, rodziły się inne dzieci, bawiły się i dorastały tuż za wzgórzem, ganiały się albo grały w Hop czy inne gry, które powymyślały, a wszystkie nieświadome istnienia pozostałych. Być może powodem było stanie w progu żłobka, ale nie mogła przestać myśleć o życiu, które kiedyś tutaj tętniło. Ludzie dorastali, zakochiwali się, grzebali umarłych.

Wszyscy ci ludzie na zewnątrz. Ludzie, których zwłoki zbezcześciła swoimi buciorami, depcząc ich kości, ich prochy, gdy starała się dotrzeć do miejsca, z którego uciekli. Juliette zaczęła się zastanawiać, kiedy to się wydarzyło, od jak dawna ten silos był opuszczony. No i co się tutaj stało? Na schodach wciąż świeciły się światła, co znaczyło, że zasilanie wciąż działało. Żeby wszystko poobliczać będzie potrzebowała jakiejś kartki, wtedy zobaczy, ile czasu mogło minąć, odkąd to miejsce stało się wymarłe.

Poza zaspokojeniem zwykłej ciekawości, miała też czysto praktyczne powody.

Ostatni raz zaglądając do środka, raz jeszcze poczuła ukłucie żalu, że nie odwiedziła ojca kiedy mijała jego żłobek. A potem Juliette zamknęła za sobą drzwi, zostawiając za nimi ciemności i widma, i zaczęła zastanawiać się nad swoim położeniem. Całkiem możliwe że jest całkiem sama w tym martwym silosie. I fakt, że żyje, szybko przestał przyprawiać ją o dreszcz emocji, gdy tylko uświadomiła sobie, jak liche i samotne jest to przetrwanie. Brzuch zaburczał jakby na potwierdzenie. Jakimś cudem nadal czuła na sobie tamten smród zimnej zupy, czuła w ustach palący smak kwasu żołądkowego. Potrzebowała wody. Potrzebowała też ubrań. Te dwie potrzeby wysunęły się teraz na czoło, oddalając nieco myśl o nieciekawej sytuacji, w jakiej się znalazła, wszystkie beznadziejne zadania, przed jakimi stanęła, jak też wszystkie żale dotyczące przeszłości.

Jeżeli układ pomieszczeń był identyczny, pierwsza farma hydroponiczna powinna znajdować się cztery piętra niżej, a większa z dwóch górnych farm ziemnych powinna znajdować się już na kolejnej kondygnacji. Czując podmuch zimnego powietrza, Juliette aż zadrżała. Na klatce schodowej istniał odrębny system cyrkulacji termicznej, a im niżej zejdzie, tym zimniej tam będzie. Ale i tak się nie zatrzymała – niżej było lepiej. Piętro niżej ruszyła ku drzwiom. Było tam zbyt ciemno, żeby zobaczyć drugi koniec korytarza, ale wyglądało na to, że znajdują się tu biura albo pracownie. Starała się sobie przypomnieć, co było na czternastym piętrze jej silosu, ale nie miała bladego pojęcia. Czy to aż takie niezwykłe? Wszystko, co znajdowało się wyżej od jej domu, zdawało jej się dziwne. Przez to silos był też czymś absolutnie obcym.

Otworzyła drzwi prowadzące na czternaste piętro i wetknęła ostrze noża między szpary metalowego okratowania, które znajdowało się na każdej kondygnacji. Klamka była skierowana w górę, niczym znak stopu. Pozwoliła drzwiom osiąść na skrzypiących zawiasach, aż spoczęły na rękojeści noża, która nie pozwalała im się zamknąć. Dzięki temu do środka wpadało wystarczająco dużo światła, by mogła dostrzec kilka pierwszych pokoi.

Na tyłach pomieszczeń nie wisiały żadne kombinezony, ale jedna z sal była przygotowana do konferencji. Woda już dawno wyparowała z dzbanków, lecz fioletowy obrus wyglądał na ciepły – lepsze to, niż chodzić nago. Juliette przestawiła filiżanki, talerze i dzbanki, a potem

chwyciła obrus. Założyła go sobie na ramiona, ale że ześlizgnąłby się bardzo szybko, postanowiła przewiązać go na piersi. Niestety jej nie wyszło. Wróciwszy na oświetloną klatkę schodową, postanowiła w ogóle zrezygnować z tego pomysłu. Chwyciwszy nóż – drzwi skrzypnęły niepokojąco, zamykając się za nią – wbiła ostrze w materiał i zrobiła spore rozcięcie na samym środku. Przełożyła przez nie głowę, a materiał obrusu spoczął na jej plecach i piersiach. Kilka minut pracy nożem i z odciętego kawałka materiału zrobiła sobie pas, a jeszcze inny przewiązała sobie na głowie, żeby nie zmarznąć.

Dobrze się czuła wreszcie coś tworząc, opracowując plan radzenia sobie z konkretnym problemem. Miała narzędzie – które mogło być też bronią – oraz ubranie. Odfajkowała kilka punktów ze swojej nieskończenie długiej listy zadań. Schodząc niżej, czując na stopach zimno metalowych stopni i marząc o butach, dręczona przez nieznośne pragnienie, była boleśnie świadoma tego, jak wiele jeszcze będzie musiała zrobić.

Na piętnastym przypomniała sobie o kolejnej konieczności – wtedy jej nogi zaczęły już wysiadać. Ugięły się pod nią kolana, złapała się poręczy i uświadomiła sobie, ożywiona płynącą w żyłach adrenaliną, że jest śmiertelnie zmęczona. Zatrzymała się na kolejnej kondygnacji, wsparłszy ręce na kolanach, i zaczerpnęła kilka głębokich wdechów. Od jak dawna biegła po tych schodach? Jak daleko zdoła dotrzeć? Spojrzała na swoje odbicie w ostrzu i zobaczyła, jak okropnie wygląda, zdecydowała więc odpocząć przed podjęciem dalszej wędrówki. Teraz trzeba odsapnąć, bo tu przynajmniej jest na tyle ciepło, że nie będzie się trzęsła jak w padaczce.

Kusiło ją, by poszukać na tym piętrze jakiegoś łóżka, ale zdecydowała się tego nie robić – nie czułaby się dobrze w kompletnych ciemnościach panujących za drzwiami. Więc skuliła się na stalowej kracie piętnastego piętra, wsunęła sobie ręce pod głowę, układając obrus tak, by zakrywał każdy odcinek gołej skóry. I zanim zdążyła raz jeszcze przejrzeć w myślach długą listę rzeczy do zrobienia, wyczerpanie znów dało o sobie znać. Kiedy zasypiała, na chwilę ogarnęła ją panika: że nie powinna być aż tak wyczerpana, że to może być drzemka, z której już się nie obudzi, że jej przeznaczeniem jest być może dołączyć do martwych mieszkańców tego silosu: skulonych i nieruchomych, zamarłych w martwocie, stopniowo obracających się w proch...

43

Lecz starzy wcześnie są jakby nieżywi;
Jak ołów ciężcy, zimni, więc leniwi.

– Rozumiesz w ogóle, co każesz nam zrobić?

Knox spojrzał na McLain, popatrzył prosto w jej otoczone zmarszczkami oczy z taką pewnością siebie, jaką tylko zdołał z siebie wykrzesać. Mała kobietka, która kontrolowała całe zasoby silosu i całą produkcję, sprawiała wrażenie kogoś dziwnie potężnego. Nie miała brody Knoxa ani jego potężnej klatki piersiowej, jej nadgarstki były nie szersze niż dwa z jego palców, ale w jej starym spojrzeniu i ciężarze lat doświadczenia, było coś, co sprawiało, że czuł się w jej obecności ledwie cieniem samego siebie.

– To nie jest powstanie – odparł, a zakazane słowa gładko przeszły mu przez gardło, jakby ułatwił im to nawyk i upływ czasu. – Chcemy tylko przywrócić porządek.

McLain pociągnęła nosem. – Pewnie to samo mówili moi prapradziadkowie. – Odgarnęła z czoła luźne pasma siwych włosów i spojrzała na rozłożony między nią a Knoxem plan. Zupełnie jakby wiedziała, że robią źle, ale zamiast to powstrzymać, postanowiła po prostu nie pomagać. Może to kwestia wieku, pomyślał Knox, zerkając na jej różową czaszkę wyłaniającą się spod włosów tak rzadkich i tak siwych, że wyglądały jak sztuczne. Może gdy już ktoś spędzi w tych ścianach tyle czasu, stwierdza, że nigdy nie będzie lepiej, nigdy nie będzie się dało zbyt dużo zmienić. A może w końcu traci się nadzieję, że warto próbować cokolwiek ocalić.

Popatrzył na plan i wygładził zmarszczki dobrej jakości papieru. Nagle dotarło do niego, jak wielkie ma dłonie, jak grube są jego uwalane olejem palce. Zastanawiał się, czy McLain widziała w nim tylko brutala z urojeniami na temat sprawiedliwości szturmującego jej piętro bez zapowiedzi. Doszedł do wniosku, że była na tyle wiekowa, by uważać go za człowieka młodego. Młodego i temperamentnego, gdy tymczasem ona była stara i mądra.

Jeden z wielu żyjących pomiędzy regałami Zaopatrzenia psów zawarczał pod stołem, jakby całe to planowanie wojny zepsuło mu drzemkę.

– Chyba możemy spokojnie założyć, że IT wie, że coś się święci – stwierdziła McLain, przesuwając drobną, spoczywającą na planie dłoń przez piętra pomiędzy nimi a poziomem trzydziestym czwartym.

– Dlaczego? Nie wierzysz, że idąc na górę byliśmy dyskretni?

Uśmiechnęła się do niego. – Z pewnością byliście, ale i tak możemy być tego pewni, bo niebezpiecznie jest zakładać coś innego.

Skinął głową i przygryzł brodę.

– Kiedy dotrze tutaj reszta twoich mechaników? – spytała.

– Wyruszą koło dziesiątej, kiedy światła na klatce schodowej przygasną nieco, i będą tu gdzieś o drugiej, najpóźniej trzeciej. Będą mocno obładowani.

– I uważasz, że tuzin twoich pracowników zdoła poradzić sobie ze wszystkim tam na dole?

– Pewnie, dopóki nie będzie żadnych poważnych usterek. – Podrapał się po karku. – Co twoim zdaniem zrobią tragarze? I inni mieszkańcy środka?

Wzruszyła ramionami. – Większość mieszkańców środka uważa siebie za ludzi z góry. Dobrze o tym wiem, sam spędziłam dzieciństwo na górze. Idą tam podziwiać widok albo najeść się na stołówce, żeby jakoś usprawiedliwić wspinaczkę. Inna sprawa z tymi z góry. Może ktoś spośród nich stanie po naszej stronie.

Knox nie był pewien, czy dobrze usłyszał. – Możesz powtórzyć?

Spojrzała na niego i Knox poczuł nagle, jak pies ociera mu się o buty, szukając ciepła albo towarzystwa.

– Zastanów się nad tym – odparła McLain. – Czemu jesteś taki wkurzony? Bo straciłeś przyjaciółkę? To się zdarza bardzo często. Nie, chodzi o to, że cię okłamano. I możesz mi wierzyć, że ci z góry też to odczują, nawet jeszcze mocniej. Żyją, mając przed oczami wszystkich tych, którzy zostali oszukani. Ci ze środka aspirują do góry na ślepo, patrząc na nas bez współczucia. Nie będą chcieli pomóc.

– Wydaje ci się, że na górze mamy sprzymierzeńców?

– Tak, myślę, że możemy do nich dotrzeć. Trzeba będzie ich jednak jakoś przekonać. Może dzięki dobrej przemowie, takiej jak ta, którą wpłynąłeś na moich ludzi.

Obdarzyła go rzadkim uśmiechem, a Knox uśmiechnął się promiennie w odpowiedzi. I właśnie wtedy, dokładnie w tym momencie wiedział, dlaczego ludzie tak ją uwielbiali. To przypominało nieco wpływ

Knoxa na innych, lecz w jej przypadku działało z zupełnie innych powodów. Ludzie lękali się go i chcieli czuć się bezpieczni. Ale ją poważali i chcieli czuć się kochani.

– Kłopot w tym, że od IT oddzielają nas właśnie te środkowe kondygnacje. – Przesunęła ręką po planie. – Więc musimy dostać się tam szybko, ale nie walcząc z nikim po drodze.

– Sądziłem, że musimy przypuścić szturm przed świtem – zaczął narzekać Knox. Odchylił się na oparciu i zajrzał pod stół. Na jednym z jego butów przysiadł pies i merdając ogonem patrzył na niego z wysuniętym językiem. Knox obserwował zwierzę z myślą, że jest to zwykła maszyna, która tylko je i sra. Futrzasta kulka mięsa, której nie wolno mu jeść. Zrzucił psa ze swojego buta. – Znikaj – powiedział.

– Jackson, chodź no tutaj. – McLain pstryknęła palcami.

– Nie mam pojęcia, czemu je tutaj trzymacie, a tym bardziej czemu je rozmnażacie.

– Nie zrozumiesz – odparła McLain. – Robią duszy dobrze, powie ci to każdy właściciel.

Nie był pewien, czy mówiła poważnie, ale teraz uśmiechała się z większą łatwością niż wcześniej.

– Cóż, gdy już wszystko naprawimy, będę optował, by i dla nich zrobić jakąś loterię. Żeby mieć ich pogłowie pod kontrolą. – Uśmiechnął się sarkastycznie. Jackson wył, dopóki McLain nie zaczęła go głaskać.

– Gdybyśmy wszyscy byli dla siebie równie lojalni, nigdy nie doszłoby do żadnego powstania – stwierdziła, zerkając na niego.

Skinął głową, nie mogąc się z tym nie zgodzić. W minionych latach w Maszynowni pojawiło się kilka psów, zrozumiał więc, że niektórzy ludzie w ich towarzystwie faktycznie czują się lepiej, nawet jeśli z nim samym tak nie było. Zawsze kręcił głową, widząc ludzi wydających ciężko zarobione bony na jedzenie dla zwierzęcia, które nigdy nie odwzajemni przysługi. Kiedy Jackson przeszedł pod stołem, skamląc i ocierając się mężczyźnie o kolano, by ten go pogłaskał, Knox nawet nie zdjął dłoni z rozłożonego przed nim planu.

– Tym, czego potrzeba nam podczas wyprawy na górę, jest dywersja – stwierdziła McLain. – Coś, co przerzedziłoby szeregi mieszkańców środka. Byłoby miło, gdyby większość zdecydowała się pójść na górę, bo na pewno zrobimy niezły harmider, wchodząc po schodach tak liczną grupą.

– My? Zaraz, chyba nie myślisz, że ty też tam pójdziesz...

– Jeśli moi ludzie mają iść, to ja także. – Pochyliła głowę. – Od ponad pięćdziesięciu lat wspinam się po drabinach naszych magazynów. Sądzisz że będę miała problem z pokonaniem schodami tych kilku pięter?

Knox był przekonany, że ona w ogóle z niczym nie będzie miała żadnych problemów. Ogon Jacksona uderzał o nogę stołu. Kundel stał obok, gapiąc się na niego z durnym uśmiechem, który cechował cały jego gatunek.

– Co jeśli podczas naszej wspinaczki zaspawamy drzwi? – zapytał Knox. – Nie wyjdą na zewnątrz, dopóki nie będzie już po sprawie.

– A co zrobimy później? Przeprosimy? A jeśli to będzie się ciągnęło tygodniami?

– Tygodniami?

– Chyba nie wydaje ci się, że to będzie aż takie proste? Że wejdziemy na górę i przejmiemy panowanie nad silosem?

– Nie mam żadnych złudzeń na temat tego, co będzie potem. – Wskazał drzwi prowadzące do warsztatów pełnych terkoczących maszyn. – Nasi ludzie konstruują broń i jeśli będzie trzeba nie zawaham się jej użyć. Wolałbym oczywiście, aby to był pokojowy przewrót – z chęcią wywalę Bernarda i paru innych do czyszczenia – jednak nigdy nie uciekałem przed ubrudzeniem sobie rąk.

McLain skinęła głową. – Żebyśmy mieli jasność...

– To przecież jest jasne – odparł.

Klasnął w dłonie, wpadając na nowy pomysł. Jackson przykucnął, przestraszony klaśnięciem.

– Mam – stwierdził. – Dywersja. – Wskazał na planie niższe piętra Maszynowni. – A gdyby tak Jenkins zrobił małą przerwę w dostawach energii? Zaczniemy kilka pięter nad tym, albo, co jeszcze lepsze, na farmach i w stołówkach. Powiemy, że to przez niedawne prace przy generatorze...

– I myślisz że środek tak po prostu oczyści się z mieszkańców? – Przymrużyła oczy.

– Jeśli będą chcieli zjeść ciepły posiłek. Albo będą sobie siedzieć w ciemnościach.

– Myślę że wyjdą na klatkę schodową, żeby plotkować i głośno się zastanawiać, skąd to całe zamieszanie. Wtedy dopiero wejdą nam w drogę.

– Więc powiemy, że idziemy na górę, żeby rozwiązać ten problem! – Knox pomału robił się sfrustrowany. Cholerny pies znów siedział mu na bucie.

– Idziemy rozwiązać ten problem na górę? – McLain parsknęła śmiechem. – Kiedy ostatnio taki pomysł miał jakikolwiek sens?

Knox szarpnął się za brodę. Nie rozumiał, co w tym takiego skomplikowanego. Było ich wielu. Całymi dniami pracowali z narzędziami w rękach. Bez problemu pokonają tych jajogłowych, zwykłych pokurczy pokroju Bernarda, którzy całymi dniami tylko siedzieli na tyłkach, waląc w klawisze niczym jakieś sekretarki. Wystarczyło pójść na górę i to zrobić.

– Masz lepszy pomysł? – zapytał.

– Musisz brać pod uwagę to, co stanie się później – odparła McLain. – Kiedy już pobijesz jakichś ludzi na śmierć i krew zacznie ściekać przez kraty podłogi, co dalej? Chcesz żeby pozostali żyli w strachu, żeby to się nie powtórzyło? Żeby nie powtórzyło się to, co planujesz zrobić z nimi, zanim dotrzesz na górę?

– Chcę tylko obić tych, którzy nas okłamują – odparł. – Niczego więcej nie pragniemy. Wszyscy żyliśmy w strachu. Baliśmy się tego, co na zewnątrz. Baliśmy się czyszczenia. Baliśmy się nawet mówić głośno o lepszym świecie. A to wszystko były kłamstwa. Cały system został zmanipulowany, żebyśmy zwiesili głowy i na wszystko się godzili.

Jackson zaszczekał na niego, a potem zaczął wyć, szurając brzuchem po podłodze.

– Myślę, że kiedy skończymy i zaczniemy mówić o tym, co możemy zrobić, by zacząć eksplorować świat, na który dotąd tylko patrzyliśmy, wtedy natchniemy wielu ludzi. Cholera, to dodaje mi otuchy. Ty niczego nie czujesz?

Schylił się i pogłaskał psa po głowie, nieco go uspokajając. McLain przez chwilę mu się przyglądała. W końcu skinęła głową na potwierdzenie jego słów.

– Zrobimy tę przerwę w dostawach – stwierdziła stanowczo. – Dziś w nocy, zanim ci, którzy poszli zobaczyć czyszczenie, wrócą rozczarowani. Pójdę na górę z ekipą, będziemy mieli świece i latarki, to będzie wyglądać jak misja dobrej woli kierowana przez Zaopatrzenie. Ty wyruszysz kilka godzin później, zabierając pozostałych. Zobaczymy, jak daleko dotrze nasza historyjka o naprawach, zanim wpadniemy w tarapaty. Miejmy nadzieję, że sporo ludzi zostanie na górze albo wróci do łóżek na środkowych

poziomach, i że będą zbyt wyczerpani by wracać na posiłek albo żeby przejmować się tym całym zamieszaniem.

– W porannych godzinach jest mniejszy ruch – zgodził się Knox. – Więc może nie będziemy mieli żadnych kłopotów

– Celem jest dotarcie do IT i opanowanie go. Bernard nadal pełni funkcję burmistrza, więc pewnie go tam nie będzie. Ale albo do nas przyjdzie, albo sami po niego pójdziemy, już po zabezpieczeniu trzydziestych pięter. Nie sądzę, by podjął walkę, gdy już przejmiemy władzę nad jego piętrami.

– Zgoda – odparł Knox; dobrze było mieć plan. Mieć sprzymierzeńca. – I dziękuję.

McLain uśmiechnęła się. – Nieźle przemawiasz jak na robola – stwierdziła. – A poza tym... – Skinęła głową na psa.

– Jackson cię lubi, a on rzadko się myli. Nie co do mężczyzn.

Knox spuścił wzrok i uświadomił sobie, że nadal głaszcze tego kundla. Cofnął rękę i zobaczył jak zwierzę gapi się na niego, dysząc głośno. W sąsiednim pomieszczeniu ktoś zaśmiał się z jakiegoś żartu, głosy jego mechaników mieszały się z głosami członków Zaopatrzenia, stłumione przez ścianę i drzwi. Śmiechowi towarzyszył odgłos giętych stalowych prętów, zaostrzanych kawałków metalu. Maszyny zamiast nitów produkowały teraz pociski. Knox doskonale wiedział, co miała na myśli McLain, mówiąc o lojalności. Widział ją w głupim spojrzeniu psa – wiedział, że zwierzę zrobiłoby wszystko, o co by je poprosił. Poczuł ten ciężar w piersi – wszyscy ci ludzie polegali na nim i McLain. Knox doszedł do wniosku, że to jest największe brzemię ze wszystkich.

44

Bladej swej flagi
Zniszczenie na nich jeszcze nie zatknęło.

Przez znajdującą się poniżej farmę na klatce schodowej unosiła się mocna woń zgnilizny. Juliette nadal się budziła, schodząc piętro niżej, i ten smród aż uderzył jej do głowy. Nie miała bladego pojęcia, jak długo mogła spać – miała wrażenie, że kilka dni, choć mogło to być kilka godzin. Obudziła się z twarzą przyciśniętą do kraty, na policzku miała czerwone pręgi. Natychmiast ruszyła w dalszą drogę. W brzuchu jej burczało, smród farmy jeszcze przyspieszył jej bieg przez klatkę. Na dwudziestym ósmym był tak ostry, że Juliette zdawało się jakby płynęła przez gęste opary smrodu. Doszła do wniosku, że to musi być zapach śmierci. Pogrzebów. Gleby wypuszczającej ze swych trzewi wszystkie cierpkie molekuły.

Zatrzymała się na trzydziestym – przy farmach hydroponicznych – i spróbowała otworzyć drzwi. Wewnątrz było ciemno. Z końca korytarza docierał jakiś dźwięk, jakby brzęczenie wiatraka a może silnika. Wydało jej się to dziwne. Przez ponad dobę słyszała tylko własne odgłosy. Zielona poświata awaryjnych lamp nie była żadnym towarzystwem, przypominała raczej zanikające ciepło umierającego ciała, baterię, która wyczerpując się emituje kolejne fotony. Ale tutaj coś się poruszało, to był odgłos inny od tupotu jej kroków czy świstu oddechu, czaił się daleko w ciemnych zakamarkach farm hydroponicznych.

Po raz kolejny zostawiła swoje jedyne narzędzie i zarazem broń w drzwiach, by do środka wpadała choć odrobina światła z klatki schodowej. Wkradła się do środka – zapach roślin nie wydawał się już tak mocny jak na schodach – a potem pomaszerowała korytarzem, nie odrywając dłoni od ściany. W recepcji i biurach ciemności i ani śladu życia, powietrze zupełnie suche. Przy bramce bezpieczeństwa nie mrugało żadne światełko, Juliette nie miała zresztą żadnej karty ani bonu, żeby nakarmić czymś skaner. Oparłszy ręce o podpory przeskoczyła na drugą stronę, łamiąc wyuczone przepisy, i wydało jej się w jakiś sposób potężne, jakby przyzwyczaiła się już do bezprawia panującego w tym opuszczonym i martwym silosie, braku cywilizacji i pisanych reguł.

Padający od schodów blask ledwie sięgał pierwszych szklarni. Czekała aż oczy przywykną do mroku, ciesząc się, że nabyła tej

umiejętności w głębinach Maszynowni, w czarnych wnętrzach uszkodzonych maszyn. To, co w końcu zdołała tutaj dostrzec, nie podsunęło jej jednak żadnych pomysłów. Hydroponiczne ogrody były zniszczone. Grube łodygi niczym liny zwisały tu i tam z sieci podwieszanych pod sufitami rur. To dało Juliette wskazówkę, jak dawno farmy mogły popaść w ruinę – a wraz z nimi cały silos. Nie chodziło o setki lat, nie chodziło też o kilka dni. Nawet tak szerokie widełki zdawały się prawdziwym skarbcem wiedzy, pierwszym krokiem ku rozwiązaniu zagadek tego tajemniczego miejsca.

Stuknęła knykciami w jedną z rur i usłyszała dudnienie – rura była pełna.

Nie było roślin, była jednak woda! Na samą myśl Juliette zaschło w ustach. Przeszła nad poręczą, wchodząc do szklarni. Przycisnęła usta do jednej z dziur w rurze, skąd powinna wyrastać łodyga. Obejmując otwór wargami, zaczęła ssać. Płyn, który spłynął jej na język był brudny i słony – ale przynajmniej mokry. Nie wyczuła smaku chemii czy czegoś toksycznego, tylko zgniłą roślinność. Brud. To było tylko trochę bardziej obrzydliwe niż smar i olej, w których nurzała się od dwóch dekad.

Piła aż zaspokoiła pragnienie. I doszła do wniosku, że teraz, gdy już ma wodę, będzie mogła żyć na tyle długo, by więcej odkryć, dotrzeć do kolejnych wskazówek.

Przed wyjściem Juliette ułamała kawałek rury przy samym jej końcu, zarazem nie uszkadzając nakrętki z jednej strony. Rura miała ledwie ponad cal średnicy i nie była dłuższa niż na dwie stopy, ale może przecież służyć jako butelka. Zgięła ją delikatnie, pozwalając wodzie spłynąć. Później polała sobie dłonie i ramiona, nadal obawiając się skażenia po wędrówce na zewnątrz.

Gdy rura była pełna, Juliette ruszyła w stronę świateł klatki schodowej. Po drodze były trzy farmy hydroponiczne, do wszystkich, dzięki rurom biegnącym przez długie i kręte korytarze, docierała woda. Starała się dokonać w myślach paru obliczeń, ale doszła tylko do wniosku, że picia długo jej nie zabraknie. Posmak był wyjątkowo ohydny i nie zdziwi się, jeśli dostanie od tego torsji, ale jak tylko zdoła rozpalić ogień, znalazłszy dość materiału bądź papieru na podpałkę, będzie mogła tę wodę gotować.

Po powrocie na klatkę schodową znów poczuła ostre zapachy, które za sobą zostawiła. Odzyskała nóż i pobiegła na dół, niemal dwukrotnie

okrążając spiralne schody przed dotarciem na kolejne piętro, na którym też sprawdziła drzwi.

Zapach z całą pewnością pochodził z farm. Juliette znów usłyszała brzęczenie silnika, tym razem głośniejsze. Przytrzymała drzwi, podparła je swoją nową „butelką”, a potem weszła do środka.

Zapach roślin był przytłaczający. Przed sobą, w słabej zielonkawej poświacie, dostrzegła bujne krzewy sięgające aż za barierkę. Przeskoczywszy bramkę stanęła na skraju farmy, nie odrywając dłoni od ściany, nim oczy nie przyzwyczaiły się do mroku. Gdzieś tutaj bez wątpienia pracowała jakaś pompa. Słyszała też kapanie wody: albo był to jakiś przeciek, albo działający kran. Juliette miała dreszcze, czując Uście ocierające się o skórę jej ramion. Teraz już wyraźnie wyczuwała smród zgnilizny: odór rozkładających się w ziemi bądź osychających na łodygach owoców i warzyw. Słyszała też brzęczenie much, odgłosy życia.

Wbiła rękę w gęstą zieleń i macała, dopóki nie natrafiła na coś gładkiego. Zerwała to coś i podniosła do światła: miała w dłoni pękatego pomidora. Nagle jej – zakreślona wcześniej w myślach – oś czasowa zaczęła się kurczyć. Jak długo są w stanie przetrwać takie farmy? Czy pomidory wymagają sadzenia, czy wyrastają co roku, niczym chwasty? Nie była w stanie sobie przypomnieć. Wgryzła się w pomidora, który nie był nawet w pełni dojrzały. Wtem usłyszała hałas za plecami. Czyżby włączyła się kolejna pompa?

W chwili, gdy Juliette odwróciła głowę, drzwi na klatkę schodową zatrzasnęły się, a farma okryła się nieprzeniknionym mrokiem.

Juliette zamarła. Czekała na odgłos noża spadającego po schodach. Próbowała sobie wyobrazić, jak sam z siebie zsuwa się i upada. Po tym jak zgasły światła, uszy przejęły panowanie nad nieużywaną dotąd częścią jej mózgu. Jej oddech, a nawet tętno, stały się słyszalne, a odgłos pompy bardziej donośny. Z pomidorem w dłoni, przykucnęła i zaczęła iść w stronę przeciwległej ściany, wyciągając przed siebie ręce, by wymacać przeszkody. Prześlizgnęła się w kierunku wyjścia, schylając się, by uniknąć gałęzi. Próbowała się uspokoić. Nie było tu żadnych duchów, nie było się czego bać. Powtarzała to sobie raz po raz, powoli skradając się przed siebie.

I nagle na swoim ramieniu poczuła dotyk czyjejś ręki. Wrzasnęła, upuszczając pomidora. Gdy próbowała się wyprostować, ręka przytrzymała ją przy ziemi. Uderzyła intruza, próbując się wyrwać, obrusowa czapka zsunęła jej się z głowy – w końcu nadziała się na stal bramki wejściowej,

jedno z metalowych ramion kołowrotu wystawało na korytarz. Poczuła się jak idiotka.

– Prawie miałam przez ciebie zawał – powiedziała do urządzenia. Złapała je po bokach i zdołała się wyprostować. Jak już będzie miała światło, wróci tutaj po jedzenie. Przechodząc przez bramkę i zmierzając ku wyjściu, opierając się ręką o ścianę, a drugą wyciągając przed siebie, Juliette zastanawiała się, czy teraz zacznie gadać do przedmiotów. Czy zacznie wariować. Kiedy spowiły ją ciemności, uświadomiła sobie, że jej sposób myślenia momentalnie zaczął się zmieniać. Ledwie dzień wcześniej była gotowa na śmierć, a teraz bała się zwykłego obłędu.

To była niewątpliwa poprawa.

W końcu wpadła na drzwi i otworzyła je. Przeklinała stratę noża; z całą pewnością nie było go na kracie. Zastanawiała się, jak daleko mógł spaść i czy kiedykolwiek go znajdzie, czy też będzie musiała poszukać innego. Odwróciła się, by podnieść metalową „butelkę” i...

I zobaczyła, że jej także brakuje.

Poczuła jak zawęża jej się pole widzenia, a serce zaczyna walić jak szalone. Była ciekawa, czy zamykające się drzwi przewróciły jej „butelkę”. I jak nóż prześlizgnął się przez szparę w okratowaniu, skoro była węższa niż jego rękojeść. Gdy dudnienie w skroniach nieco się uspokoiło, usłyszała coś innego.

Odgłos kroków.

Rozbrzmiewał na schodach poniżej jej poziomu.

Ktoś tam biegł.

45

Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny.

Lada w Zaopatrzeniu stukała głośno, gdy kładziono na niej broń. Pistolety – dopiero co wyprodukowane mimo całkowitego zakazu ich posiadania – leżały w rzędach jak stalowe pręty. Knox podniósł jeden – wyczuł ciepło gwintowanej lufy – i otworzył komorę, by sprawdzić pociski. Wyciągnął jedną z lśniących kul: nacięte kawałki cienkich rur wypchano prochem, a potem włożono do nowego pistoletu. Obsługa urządzenia wydawała się prosta: wycelować i pociągnąć za spust.

– Uważaj, gdzie tym celujesz – rzucił jeden z pracowników Zaopatrzenia, schodząc z linii strzału.

Knox skierował lufę w stronę sufitu, starając się wyobrazić sobie, co ta rzecz może zrobić. Wcześniej tylko raz widział na własne oczy pistolet, mniejszy od tego – na biodrze tego starego zastępcy (jego zdaniem noszony był wyłącznie na pokaz). Włożył sobie do kieszeni garść śmiercionośnych pocisków, myśląc o tym, jak każdy z nich może zakończyć ludzkie życie, i rozumiejąc czemu takie przedmioty były zakazane. Zabicie człowieka powinno być trudniejsze od machnięcia w jego kierunku kawałkiem rury. Powinno trwać na tyle długo, by sprawcę zaczęło gnębić sumienie.

Jeden z pracowników zaopatrzenia wyłonił się spomiędzy regałów niosąc jakiś pojemnik. Garbił się, ramiona ciążyły mu ku ziemi – było więc widać, że przedmiot jest naprawdę ciężki. – Mamy dopiero dwa tuziny – powiedział, stawiając pojemnik na ladzie.

Knox włożył rękę do środka i wyciągnął jeden z ciężkich cylindrów. Jego mechanicy, a także niektórzy z mężczyzn i kobiet w żółtych kombinezonach, zerkali nerwowo na przedmiot.

– Walnij tą końcówką w coś twardego – poradził mężczyzna za ladą, z takim spokojem jakby wręczał klientowi przekaźnik i dawał ostatnie rady odnośnie jego instalacji. – Na przykład w ścianę, podłogę, rękojeść broni czy coś podobnego. A potem się tego pozbądź.

– Nadają się do przenoszenia? – zapytała Shirly, gdy Knox włożył sobie jeden do kieszeni spodni.

– Pewnie, trzeba użyć siły, żeby zadziałały.

Kilka osób sięgnęło do pojemnika, szukając egzemplarza dla siebie. Knox przykuł wzrok McLain, gdy brała sobie jeden i wkładała go

w kieszeń na piersi. Na jej twarzy malowała się chłodna przekora. Wiedziała pewnie, jak rozczarowany był jej uczestnictwem, lecz już na pierwszy rzut oka widział, że nie uda się jej przekonać.

– W porządku – rzekła, odwracając szaroniebieskie oczy w stronę kobiet i mężczyzn zgromadzonych za ladą. – Słuchajcie. Niedługo będziemy musieli otwierać interes, więc jeśli macie broń, weźcie też amunicję. Tutaj macie płótno, pozawijajcie te rzeczy najlepiej jak umiecie, żeby nikt ich nie zobaczył. Moja grupa wyrusza za pięć minut, zrozumiano? Ci z drugiej mogą poczekać gdzieś na tyłach, w ukryciu.

Knox skinął głową. Zerknął na Marcka i Shirly, którzy mieli razem z nim iść w drugiej grupie; najpierw szli ci, którzy będą wspinać się powoli i nie rzucać się w oczy. Ci z większą siłą w nogach wyruszą później, bardziej forsownym marszem, i miejmy nadzieję że obie grupy dotrą na trzydzieste czwarte w tym samym czasie. Każda z grup będzie budzić podejrzenia – połączone mogłyby równie dobrze zacząć wyśpiewywać swoje plany podczas marszu.

– Wszystko w porządku, szefie? – Shirly położyła sobie strzelbę na ramieniu i zmarszczyła brwi. Drapiąc brodę zastanawiał się, czy tak łatwo dostrzec jego lęk i zdenerwowanie.

– Pewnie, w porządku – burknął.

Marck złapał bombę, schował ją i położył dłoń na ramieniu żony. Knox zaczął mieć wątpliwości. Wolałby, żeby kobiety nie brały w tym udziału – przynajmniej nie żony. Wciąż miał nadzieję, że stosowanie przemocy nie będzie konieczne, ale na widok kolejnych rąk niecierpliwie sięgających po broń było mu coraz ciężej w to wierzyć. Teraz każdy z nich mógł pozbawić kogoś życia i Knox widział, że byli wystarczająco wściekli, by to zrobić.

McLain wyszła zza lady i zmierzyła go wzrokiem. – A więc to jest to. – Wyciągnęła przed siebie rękę.

Knox ją uścisnął. Podziwiał w kobietach ich siłę. – Spotkamy się na trzydziestym piątym i razem pójdziemy na ostatnie piętro – rzekł. – Nie zacznijcie zabawy bez nas.

Uśmiechnęła się. – Nie zaczniemy.

– Miłej wspinaczki. – Spojrzał na kobiety i mężczyzn gromadzących się za jej plecami. – Życzę tego wam wszystkim. Powodzenia i do zobaczenia niebawem.

Odpowiedzią były tylko skinięcia głowami i zaciśnięte szczęki. Niewielka armia ludzi w żółtych kombinezonach zaczęła iść w stronę drzwi, ale Knox zatrzymał jeszcze McLain.

– Hej – powiedział. – Nie wpadajcie w tarapaty dopóki do was nie dołączymy, zrozumiano?

Poklepała go po ramieniu, uśmiechając się.

– I kiedy to się zacznie, oczekuję, że będziesz w ostatnim szeregu, za...

McLain podeszła bliżej, chwytając Knoxa za rękaw. Jej pokryta zmarszczkami twarz przybrała surowy wyraz.

– A gdzie ty będziesz, gdy zaczną fruwać bomby, Knoxie z Maszynowni? Kiedy ci ludzie, dla których jesteśmy wzorem, będą walczyć na śmierć i życie, gdzie ty wtedy będziesz?

Knoxa zaskoczył ten nagły atak, jej cichy syk, który miał moc krzyku.

– Przecież wiesz gdzie... – zaczął odpowiadać.

– Pewnie, do cholery – odparła, puszczając go. – Tak jak i ty wiesz, że właśnie tam się spotkamy.

46

Śniłem, że moja ukochana przyszła
I że znalazła mię nieżywym.

Juliette stała nieruchomo, wsłuchana w odgłos kroków biegnących w dół klatki schodowej. Czuła wibracje poręczy. Na rękach i nogach miała gęsią skórkę. Chciała zawołać tego kogoś, by się zatrzymał, ale nagły przypływ adrenaliny sprawił, że jej klatka piersiowa zdawała się zimna i pusta. Zupełnie jakby do jej płuc wlał się lodowaty wiatr, wypierając jej głos. A więc w tym silosie oprócz niej byli też żywi ludzie. I właśnie uciekali.

Odepchnęła się od poręczy i popędziła przez korytarz, a potem ruszyła po krętych schodach tak szybko, jak tylko pozwalały jej nogi. Piętro niżej, gdy poziom adrenaliny nieco opadł, była wreszcie w stanie wykrzyczeć: „Stój!”, ale tupot jej stóp na metalowych stopniach zdawał się zagłuszać krzyk. Nie słyszała już uciekiniera, a nie śmiała zatrzymywać się i nasłuchiwać, jak bardzo mógł się od niej oddalić, jednak mijając drzwi na trzydziestym pierwszym, pomyślała z przejęciem, że mógł przecież wślizgnąć się do środka przez któreś drzwi i uciec. A jeśli tych ludzi jest tylko garstka w całym silosie, może ich już nigdy nie odnaleźć. Przynajmniej jeśli oni sami nie będą tego chcieli.

Pod pewnymi względami to było najbardziej przerażające: że resztę życia może spędzić przeszukując zrujnowany silos, gadając do martwych przedmiotów, gdy tymczasem cała grupa ludzi będzie robić to samo i ukrywać się przed nią. Tak bardzo ją to zdenerwowało, że zaczęła się zastanawiać nad czymś wręcz przeciwnym: że może to być też grupa, która będzie jej szukać i na dodatek nie będzie wcale miała dobrych zamiarów.

Nie będą mieli dobrych zamiarów, ale będą mieli jej nóż.

Zatrzymała się na trzydziestym drugim, by nasłuchiwać, oparłszy ręce na poręczy. Wstrzymała oddech, żeby było tak cicho, jak to tylko możliwe – płuca aż bolały, domagając się powietrza. Ale nie ruszała się, jej dłonie pulsowały wparte o chłodną poręcz, zaś charakterystyczny tupot poniżej stał się bardziej donośny. Doganiała ich! Znów puściła się biegiem, zdopingowana, przeskakując po trzy stopnie naraz. Ciało miała pochylone, kiedy zbiegała ze schodów, zupełnie jak w czasach swojej młodości, jedna ręka na poręczy, druga dla zachowania równowagi wyciągnięta do przodu,

a pięty ledwie dotykały stopnia, bo już była na kolejnym, starając się nie poślizgnąć. Upadek przy takiej prędkości mógłby być śmiertelny. Przyszedł jej do głowy obraz staruszki z pękniętym biodrem. A mimo to biegła ile sił w nogach, niemal frunąc. Błyskawicznie pokonała trzydzieste trzecie. Pół spirali niżej oprócz tupania usłyszała trzaśnięcie drzwi. Zatrzymała się i popatrzyła w górę. Przechyliła się przez poręcz i spojrzała w dół. Nie było już słychać tupania, zostało jedynie jej głośne dyszenie.

Pokonała kolejny zakręt i sprawdziła drzwi na trzydziestym czwartym. Nie chciały się otworzyć, chociaż nie były zamknięte. Udało jej się przekręcić klamkę i drzwi drgnęły, ale coś je zatrzymało. Juliette szarpnęła z całych sił, jednak na próżno. Szarpnęła raz jeszcze i usłyszała jak coś pęka. Zapierając się nogą o drugie skrzydło drzwi, spróbowała po raz trzeci, szarpiąc energicznie, odrzucając głowę do tyłu, ciągnąc ramiona ku klatce piersiowej i kopiąc....

Coś strzeliło. Drzwi otworzyły się, ale klamka wysunęła jej się z uchwytu. Oślepiło ją światło ze środka, jasny błysk wylał się na moment za drzwi, nim znowu się zamknęły.

Juliette przeczołgała się po podłodze i znów chwyciła za klamkę. Otworzyła drzwi i wstała. W korytarzu za nimi leżała złamana miotła, drugi jej kawałek zwisał z klamki sąsiedniego skrzydła. Oświetlało je oślepiające światło. Wszystkie lampy na suficie były zapalone, jasne prostokąty ciągnęły się przez całą długość korytarza i znikały z pola widzenia. Juliette nasłuchiwała odgłosów kroków, ale słyszała tylko brzęczenie żarówek. Przy obrotowej bramce bezpieczeństwa w oddali mrugało raz po raz czerwone światełko, jakby znało wszystkie sekrety, lecz nie chciało ich zdradzić.

Juliette wstała i podeszła do urządzenia, spoglądając na prawo, gdzie za przeszkloną ścianą znajdowała się sala konferencyjna, w której także paliły się wszystkie światła. Przeskoczyła przez stalowe ramiona – ten ruch stał się już dla niej czymś rutynowym – a potem znowu zawołała „halo!”. Odpowiedziało jej echo, ale w jasnym świetle zdawało się brzmieć inaczej, o ile to w ogóle możliwe. Tutaj było życie, była elektryczność, a także ludzie, którzy mogli usłyszeć jej nawoływania, przez co brzmienie echa zdawało się mniej donośne.

Minęła biura, w każdym szukając śladów życia. Panował tam okropny bałagan. Na podłodze leżały powyciągane szuflady, poprzewracane metalowe szafki, wszędzie walały się też kosztowne papiery. Na jednym z biurek Juliette dostrzegła włączony komputer, ekran

był wypełniony zielonym tekstem. Miała wrażenie jakby wkroczyła do świata ze snów. W ciągu dwóch dni – zakładając że spała właśnie tyle – jej mózg stopniowo przyzwyczajał się do zielonej poświaty lamp awaryjnych, przyzwyczajał się do życia w dziczy, bez elektryczności. Nadal czuła w ustach posmak słonej wody, a teraz napatoczyła się na zabałaganione wprawdzie, ale pod innymi względami całkiem normalne miejsce pracy. Wyobraziła sobie powrót następnej zmiany (czy takie biura miały w ogóle zmiany?), wyobraziła sobie śmiech pracowników, docierający z klatki schodowej, przetrząsanie papierów, ustawianie mebli i powrót do pracy.

Na myśl o tym, zaczęła się zastanawiać, czym oni się tutaj zajmowali. Nigdy nie widziała jeszcze takiego układu pomieszczeń. Była tak zaciekawiona węszeniem po tych biurach, zdziwiona dopływem prądu, że niemal zapomniała o swojej pogoni na schodach za tupotem czyichś kroków. Za zakrętem natrafiła na szerokie metalowe drzwi, niepodobne do żadnych innych. Nie chciały się otworzyć. Juliette naparła na nie mocno, a one ledwie drgnęły. Naciskając je barkiem naparła ponownie, tym razem robiąc to stopniowo i kilka cali na raz. Tym sposobem zdołała je nieco uchylić i prześlizgnąć się przez szparę. Musiała przejść nad wysoką metalową szafką, którą zatarasowano drzwi, żeby nikt nie mógł ich otworzyć.

Sala była ogromna, co najmniej tak rozległa jak sala generatora i jednocześnie znacznie dłuższa niż na przykład stołówka. Pełno w niej było mebli znacznie wyższych od szafek na akta, jednak pozbawionych szuflad. Zamiast tego z przodu miały panele pełne mrugających światełek: czerwonych, zielonych i bursztynowych.

Juliette przedarła się przez sterty papierów wysypanych z przewróconej szafki. I wtedy dotarło do niej, że nie może być tutaj sama. Ktoś przecież przyciągnął tę szafę do drzwi i zrobił to będąc w środku.

– Halo?

Minęła rzędy wysokich maszyn – bo jej zdaniem tym właśnie musiały być te rzeczy. Buczały elektrycznością i od czasu do czasu zdawały się stukotać i brzęczeć, jakby coś w ich wnętrzu pracowało. Zastanawiała się, czy to nie była jakaś egzotyczna elektrownia – może dostarczała na przykład światło.? Czy może te urządzenia miały w środku baterie? Widok tylu kabli i przewodów wychodzących z tyłów urządzeń zdawał się potwierdzać myśl o bateriach. Nic dziwnego, że światła tak mocno biły po

oczach. To było jak dwadzieścia sal zasilających Maszynowni połączonych w jedno.

– Jest tu kto? – zawołała. – Nie zrobię ci krzywdy.

Przedostała się na drugi koniec pomieszczenia, nasłuchując czy ktoś się nie porusza, aż w końcu dotarła do maszyny, której drzwiczki były uchylone. Zaglądnęła do środka, ale nie zobaczyła żadnych baterii, tylko płyty podobne do tych, które bez przerwy lutował Walker. Tak naprawdę wnętrze maszyny dziwnie przypominało wnętrze komputera wysyłającego wiadomości...

Juliette cofnęła się o krok, uświadamiając sobie, gdzie się znajduje. – Serwery – wyszeptała. Była w dziale IT. Poziom trzydziesty czwarty. Oczywiście.

Usłyszała odgłos skrobania przy przeciwległej ścianie, metal trący o metal. Pobiegła w tamtym kierunku, wymijając wysokie maszyny, i zastanawiając się, kto do cholery tak przed nią ucieka i gdzie planuje się ukryć.

Okrążyła ostatni szereg serwerów i zobaczyła że fragment podłogi się porusza – metalowa krata zakrywała jakiś właz. Juliette zanurkowała na podłogę, obrus owinął jej się wokół nóg. Zdążyła jeszcze wyciągnąć ręce ku skrajowi kraty, zanim się zamknęła. Tuż przed sobą dostrzegła palce i knykcie czyjejś dłoni, chwytającej skraj kraty. Usłyszała krzyk i sapanie. Starała się poderwać właz, ale nie miała go jak podważyć. Jedna z dłoni zniknęła. W jej miejsce pojawił się nóż, tnący spomiędzy krat, polujący na jej palce.

Juliette zdołała przykucnąć i teraz miała już jak się zaprzeć. Szarpnęła za kratę i poczuła jak w tym samym momencie nóż wbija się w jej palec.

Krzyknęła. Mężczyzna poniżej zrobił dokładnie to samo. Wyłonił się z otworu, nóż w jego drżącej dłoni, ostrze odbijające światła nad ich głowami. Juliette odrzuciła na bok ciężką metalową pokrywę i chwyciła się za rękę. Krwawiła.

– Spokojnie – powiedziała, odsuwając się poza zasięg ostrza.

Mężczyzna pochylił głowę, potem znów ją podniósł. Popatrzył gdzieś za Juliette, jakby widział kolejnych intruzów za jej plecami. Już miała obejrzeć się za siebie, ale zdecydowała się zaufać ciszy, w której nie słyszała kolejnych intruzów – być może tamten chciał ją tylko oszukać.

– Kim jesteś? – zapytała. Owinęła sobie dłoń kawałkiem obrusu. Przed nią znajdował się brodaty, rozczochrany mężczyzna w szarym kombinezonie. Taki strój mógł zostać uszyty w jej silosie, było jednak kilka drobnych różnic. Mężczyzna gapił się na nią, szopa ciemnych włosów zasłaniała mu twarz. Chrząknął i kaszlnął, gotowy chyba znowu kucnąć i zniknąć gdzieś pod podłogą.

– Zostań – poprosiła Juliette. – Nie zrobię ci krzywdy.

Popatrzył na jej zranioną dłoń, później na swój nóż. Juliette spuściła wzrok i zobaczyła stróżkę krwi spływającą w stronę łokcia. Rana pulsowała bólem, ale będąc mechanikiem Juliette nieraz kaleczyła się znacznie dotkliwiej.

– Prze-przepraszam – wymamrotał mężczyzna. Oblizał sobie wargi i przełknął ślinę. Nóż trząsł mu się w dłoni.

– Mam na imię Jules – odparła, uświadamiając sobie, że on był znacznie bardziej przerażony od niej. – A ty?

Popatrzył na ostrze noża, zupełnie jakby przeglądał się w lustrze. Pokręcił głową.

– Nie ma imienia – wyszeptał chrapliwie. – Nie ma potrzeby.

– Jesteś tu sam? – zapytała.

Wzruszył ramionami. – Solo – odparł. – Od lat. – Popatrzył na nią. – Skąd ty... – Znów oblizał wargi i odchrząknął. Oczy zaszły mu łzami i błysnęły w świetle. – ...się wzięłaś? Które piętro?

– Jesteś tu sam od lat? – odparła zdziwiona Juliette. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. – Nie przyszłam z żadnego piętra – wyjaśniła. – Przyszłam z innego silosu. – To ostatnie zdanie wypowiedziała powoli i spokojnie, martwiąc się, co taka wieść może zrobić tak kruchemu mężczyźnie.

Ale Solo skinął głową jakby to miało sens. Juliette nie takiej reakcji oczekiwała.

– Na zewnątrz... – Solo znów spojrzał na nóż. Wysunął rękę z dziury i odłożył go na kratę, a potem odsunął od nich obojga – Tam jest bezpiecznie?

Juliette pokręciła głową. – Nie – odparła. – Miałam kombinezon. A i tak nie powinnam była przeżyć.

Solo skinął głową. Spojrzał na nią; z kącików oczu płynęły mu łzy, kapiąc na brodę. – Nikt nie powinien – odparł. – Ani jeden.

47

Mam z nią sam na sam coś do pomówienia.

– Co to za miejsce? – Lukas zapytał Bernarda. Stali obydwaj przed wielką mapą, która wisiała na ścianie niczym tapeta. Były wyjątkowo szczegółowe, jej liternictwo ozdobne. Ukazywała sieć równo rozmieszczonych okręgów, pomiędzy nimi znajdowały się równoległe linie. Kilka okręgów zostało wykreślonych czerwonym kolorem. To była prawdziwie majestatyczna mapa, jaką kiedyś Lukas miał nadzieję stworzyć, zaznaczając na kartce położenie gwiazd.

– To jest nasze Dziedzictwo – odparł Bernard.

Lukas często był świadkiem, jak tamten wyrażał się w ten sposób o komputerach na górze.

– Czy to mają być serwery? – zapytał, ośmielając się dotknąć ręką papieru o rozmiarach niewielkiego prześcieradła.

– Są poustawiane zupełnie jak serwery.

Bernard stanął obok, drapiąc brodę. – Hmm. Ciekawe. Rzeczywiście. Wcześniej tego nie zauważyłem.

– Czym one są? – Lukas pochylił się i dostrzegł, że każdy z okręgów miał swój numer. Były też inne kształty znajdujące się pomiędzy okręgami, przywodzące na myśl kwadraty i prostokąty. Te figury nie miały żadnych szczególnych oznaczeń, ale poniżej nich znajdowało się zapisane dużymi literami słowo „Atlanta”.

– Niedługo do tego dojdziemy. Chodź, pokażę ci coś.

Na końcu pomieszczenia znajdowały się drzwi. Bernard poprowadził Lukasa do nich, po drodze zapalając kolejne światła.

– Kto jeszcze tutaj schodzi? – zapytał Lukas, dotrzymując mu kroku.

Bernard obejrzał się przez ramię. – Nikt.

Lukasowi nie spodobała się ta odpowiedź. Też obejrzał się przez ramię, mając wrażenie, że idzie do miejsca, z którego ludzie już nie wracają.

– Wiem, że musi ci się to wydawać nagłe – stwierdził Bernard. Czekał aż Lukas do niego dołączy, a potem położył mu swoją drobną dłoń na ramieniu. – Ale dziś rano wszystko się zmieniło. Świat się zmienia. I to rzadko kiedy bywa przyjemne.

– Czy chodzi o... czyszczenie? – Niemal powiedział „Juliette”. Jej zdjęcie zdawało się palić go w mostek.

Twarz Bernarda przybrała surowy wyraz. – Nie było żadnego czyszczenia – odparł raptownie. – A teraz rozpęta się piekło i zaczną ginąć ludzie. Musisz wiedzieć, że silosy zostały tak zaprojektowane, by temu zapobiec.

– Zaprojektowane – powtórzył Lukas. Serce uderzyło mu raz i drugi. Wszystkie obwody mózgu zabrzęczały, aż w końcu z ich obliczeń wynikło, że to, co powiedział Bernard, nie miało żadnego sensu.

– Przepraszam – odezwał się Lukas. – Czy powiedziałeś: silosy?

– Będziesz musiał się z tym zapoznać. – Bernard wskazał gestem niewielkie biurko, obok którego stało drewniane krzesło, wyglądające na bardzo kruche. Na biurku leżała książka, zupełnie niepodobna do tych, które Lukas dotąd widział, czy o których słyszał. Była niemal tak gruba, jak była szeroka. Bernard poklepał okładkę, a potem popatrzył, czy na jego dłoni nie osadził się kurz. – Dam ci zapasowy klucz; musisz go zawsze mieć na szyi. Schodź tutaj tak często, jak tylko możesz, i czytaj. Tu jest cała nasza historia, są też opisy tego, co należy robić w nagłych wypadkach.

Lukas podszedł do książki i otworzył ją. Było w niej więcej papieru, niż ktokolwiek zdołałby kupić, nawet pracując na to przez całe życie. Zawartość wydrukowano czarnym tuszem. Przejrzał parę stron spisu zawartości i wreszcie dotarł do pierwszej strony normalnego tekstu. Co dziwne, momentalnie rozpoznał czytane zdania.

– To przecież Pakt – stwierdził, patrząc na Bernarda. – Znam już spore fragmenty...

– To jest Pakt – wyjaśnił Bernard, łapiąc między palce strony o grubości pół cala. – Reszta to Wytyczne.

Cofnął się o krok.

Lukas zawahał się, próbując to przetrawić, a potem wyciągnął rękę przed siebie i otworzył tom mniej więcej w połowie.

– Na wypadek trzęsienia ziemi:

– dla pęknięcia szyby i przecieku z zewnątrz, patrz NARUSZENIA ŚLUZY (str. 2180)

– zapadnięcie się jednej lub kilku kondygnacji, patrz KOLUMNY WSPARCIA w dziale SABOTAŻ (str. 751)

– w razie pożaru, patrz...

– Sabotaż? – Lukas przewrócił kilka stron i przeczytał coś na temat kontroli powietrza i uduszeń. – Kto to wszystko wymyślił?

– Ludzie, których spotkało wiele złych rzeczy.

– Tacy jak...? – Nie był pewien, czy wolno mu pytać, lecz miał wrażenie, że w tym miejscu można było przełamywać tabu. – Ci, którzy żyli przed powstaniem?

– Ci, którzy żyli jeszcze wcześniej – odparł Bernard. – Pierwsi ludzie.

Lukas zamknął księgę. Pokręcił głową, zastanawiając się, czy to żart, jakiś rodzaj inicjacji. Nawet to, co mówili księża, miało więcej sensu. Nawet książki dla dzieci miały więcej sensu.

– Tak naprawdę nie muszę się tego wszystkiego uczyć, prawda?

Bernard się zaśmiał. Wyraz jego twarzy był zupełnie inny niż wcześniej. – Wystarczy jak będziesz świadomy, że w razie potrzeby masz dostęp do tej wiedzy.

– Jest tu jakiś zapis na temat tego, co zaszło dziś rano? – Zwrócił się do Bernarda i w głowie zaświtała mu myśl, że nikt nie wie o jego fascynacji, o tym, że był zauroczony Juliette. Łzy na policzkach wyparowały, poczucie winy z powodu tego, że miał przy sobie jej rzeczy, przeważyło nad wstydem, że pokochał kogoś, kogo ledwie znał. I teraz jego sekret zniknął gdzieś na drugim planie. Zdradzić mógł go jedynie rumieniec na policzkach, gdy Bernard bacznie mu się przyglądał, rozważając jego pytanie.

– Strona siedemdziesiąta druga – odparł, a jego dobry humor ulotnił się, znów zastąpiony wcześniejszą frustracją.

Lukas znów sięgnął po księgę. To był test. Rytuał dla każdego, kto zostawał cieniem. Dużo czasu minęło, odkąd musiał coś robić pod czujnym okiem opiekuna. Zaczął przewracać strony i od razu zauważył, że dział, którego szukał, znajdował się zaraz za Paktem, na samym początku Wytycznych.

Odnalazł właściwą stronę. Na samej górze, wytłuszczoną czcionką napisano:

– W przypadku Nieudanego Czyszczenia:

A niżej znajdowały się okropne słowa układające się w zdanie o potwornym znaczeniu. Lukas kilkukrotnie przeczytał instrukcję, aby się

upewnić. Zerknął na Bernarda, który skinął głową ze smutkiem. Potem Lukas znów spojrzał na zadrukowaną kartkę.

– W przypadku Nieudanego Czyszczenia:
– Szykować się do Wojny.

48

Biedny ty prochu: w grobie już za życia!

Juliette ruszyła za Solo przez dziurę w podłodze serwerowni. Na dół prowadziła długa drabina i przejście prowadzące na trzydzieste piąte piętro, a przynajmniej do tej jego części, która według wiedzy Juliette była niedostępna z klatki schodowej. Solo potwierdził jej przypuszczenia, kiedy zgarbieni pokonywali wąski korytarz i szli naprzód krętym, jasno oświetlonym przejściem. Zerwała się w nim chyba jakaś blokada i z jego ust płynął teraz wywołany długotrwałym osamotnieniem strumień słów. Opowiadał o serwerach piętro wyżej, mówił o czymś, co nie miało dla Juliette żadnego sensu, aż w końcu korytarz zmienił się w zagracony pokój.

– Mój dom – stwierdził Solo, rozchylając ręce. W jednym z kątów leżał materac, z którego zwisały splątane prześcieradła i poduszki. Prowizoryczną kuchnię urządził sobie na dwóch półkach: dzbany z wodą, żarcie w puszkach, puste słoiki i pudełka. Pomieszczenie było zupełną ruiną i strasznie w nim śmierdziało, ale Juliette doszła do wniosku, że Solo nie jest w stanie tego poczuć ani dostrzec. Po przeciwnej stronie znajdowały się regały pełne metalowych kanistrów, niektóre były częściowo otwarte.

– Mieszkasz sam? – zapytała Juliette. – Nie ma tu nikogo innego? – W jej głosie słuchać było odrobinę nadziei.

Solo pokręcił tylko głową.

– A na niższych piętrach? – Juliette przyjrzała się swojej ranie. Już niemal przestała krwawić.

– Nie wydaje mi się – odparł. – Czasami też tak myślę. Brakuje mi na przykład jakiegoś pomidora, ale to pewnie przez szczury. – Zaczął się gapić w kąt. – Wszystkich nie wyłapię. Jest ich coraz więcej...

– Ale czasami myślisz, że jest was więcej tak? Tych, którzy ocaleli? – Pragnęła, by wreszcie się skupił.

– Taaa... – Podrapał się w brodę, rozglądając się po pokoju, jakby chciał coś dla Juliette zrobić, coś takiego, co zazwyczaj oferuje się gościom. – Czasami niektóre rzeczy się przemieszczają. Czasami znajduję coś porzuconego. Widzę włączone lampy grzewcze. Ale potem mi się przypomina, że to moja sprawka.

Zaśmiał się z tego. To była pierwsza naturalna reakcja, jaką u niego zauważyła, i Juliette doszła do wniosku, że pewnie często się śmiał przez te

wszystkie lata. Albo po to, by utrzymać się przy zdrowych zmysłach, albo żeby je postradać. Tak czy tak – człowiek po prostu zaczynał się śmiać.

– Myślałem, że sam wetknąłem ten nóż w drzwi. Ale potem znalazłem też rurę. I zacząłem się namyślać, czy nie przyniósł jej jakiś naprawdę wielki szczur.

Juliette uśmiechnęła się. – Nie jestem szczurem – odparła. Poprawiła sobie obrus, poklepała głowę i zaczęła się zastanawiać, co się stało z drugim kawałkiem jej tkaniny.

Solo zdawał się rozważać jej słowa.

– Od ilu lat tak jest? – zapytała.

– Trzydziestu czterech – odparł bez namysłu.

– Trzydzieści cztery lata? Tak długo jesteś sam?

Przytaknął, a Juliette zaczęło się wydawać, że podłoga ucieka jej spod stóp. Na samą myśl, że ktoś spędził tyle lat w całkowitej izolacji, aż zakręciło jej się w głowie.

– Ile ty masz lat? – zapytała. Nie wydawał się wcale starszy od niej.

– Pięćdziesiąt – powiedział. – Skończę w przyszłym miesiącu. – Uśmiechnął się. – Niezła zabawa to całe gadanie. – Pokazał palcem różne rzeczy znajdujące się w pokoju. – Czasem sobie gwiżdżę, albo gadam do przedmiotów.

– Spojrzał prosto na nią. – Nieźle mi idzie to gwizdanie.

Juliette uświadomiła sobie, że gdy coś się tutaj wydarzyło, ona dopiero przyszła na świat. – Jak przetrwałeś przez tak długi okres? – zapytała.

– Nie wiem. Nie planowałem przeżyć tak długo. Myślałem o najbliższych godzinach. Było ich coraz więcej. Jadłem. Spałem. I... – Podszedł do jednej z półek i zaczął układać puszki, w większości już puste. Znalazł w końcu jedną z uchylonym wieczkiem, bez etykiety, i wyciągnął ją w kierunku kobiety. – Fasoli? – zaproponował.

W pierwszej chwili chciała odmówić, ale wyraz przejęcia malujący się na jego wymizerowanej twarzy jej to uniemożliwił. – Pewnie – odparła i dopiero wtedy dotarło do niej, jaka jest głodna. Nadal czuła posmak słonej wody z dodatkiem kwasu żołądkowego, a także niedojrzałego pomidora. Podszedł bliżej i włożyła palce do puszki, w której pływała surowa fasolka szparagowa. Wsunęła ją sobie w usta i zaczęła przeżuwać.

– I robiłem kupę – powiedział zawstydzony, gdy ona przełykała fasolę. – Nieładnie. – Pokręcił głową i zanurzył palce w puszce. – Jestem

całkiem sam, więc chodzę do różnych łazienek w apartamentach tak długo, aż smród staje się nie do zniesienia.

– W apartamentach? – zapytała Juliette.

Solo zaczął szukać miejsca, gdzie mógłby odstawić fasolę. W końcu postawił puszkę na podłodze, pośród sterty innych śmieci.

– Nie da się spłukiwać. Nie ma wody. Jestem całkiem sam. – Wydawał się zażenowany.

– Od szesnastego roku życia – odparła Juliette, gdy już to sobie policzyła. – Co tu się wydarzyło trzydzieści cztery lata temu?

Uniósł ręce. – To co zawsze. Ludziom odbiło. Wystarczy, że takie coś wydarzy się choćby raz. – Uśmiechnął się. – Nikt nas nie nagradza za bycie normalnymi, prawda? Ja nie dostaję za to nagrody. Nawet od samego siebie. Staram się tylko przetrwać kolejny dzień, kolejny rok, i nie ma żadnej nagrody. Nie ma nic wielkiego w tym, że jestem normalny. Że nie jestem szalony. – Zmarszczył brwi. – Potem zdarzy się gorszy dzień i zaczynasz się martwić. Wystarczy jeden taki dzień.

Nagle przysiadł na podłodze i skrzyżował nogi – materiał kombinezonu zmarszczył mu się wokół kolan. – W naszym silosie trafił się zły dzień. Tyle wystarczyło. – Popatrzył na Juliette. – Nic nie wynikło z tych wszystkich lat, które były wcześniej. Nic. Chcesz sobie usiąść?

Gestem wskazał podłogę. I znów nie mogła odmówić. Usiadła z dala od cuchnącego łóżka, i oparła się plecami o ścianę. Tyle miała teraz do przetrawienia.

– Jak zdołałeś przeżyć? – zapytała. – Chodzi mi o tamten dzień. I wszystkie kolejne.

Natychmiast pożałowała swojego pytania. To nie było przecież aż takie ważne. Ale czuła taką potrzebę i może dowie się czegoś na temat tego, co ją także czeka. Może chodziło o to, że bała się, że przeżycie w tym miejscu będzie gorsze od śmierci na zewnątrz.

– Nie przestawałem się bać – odparł. – Opiekun mojego ojca był szefem IT. Całego tego miejsca. – Skinął głową. – Tata miał być jego wielkim cieniem. Wiedział wszystko o tych pomieszczeniach, był jedną z dwóch, może trzech osób, które wiedziały. W pierwszych minutach walk pokazał mi to miejsce, dał klucze. Przeprowadził dywersję i nagle tylko ja wiedziałem o istnieniu tego pokoju. Na moment spuścił wzrok, potem znów go podniósł. Do Juliette wreszcie dotarło, czemu zdawał się wyglądać młodziej. Nie chodziło wyłącznie o strach czy wstyd – to kryło się w jego

oczach. Został uwięziony przez ponawiające się dzień po dniu lęki swej nastoletniości. Jego ciało się starzało, ale wewnątrz nadal był tylko przerażonym chłopcem.

Oblizał wargi. – Nikt inny nie przeżył, prawda? Spośród tych, którzy uciekli na zewnątrz? – Solo bacznie przyglądał się jej twarzy, starając się wyczytać odpowiedzi. Czuła bijącą od niego nadzieję.

– Nie – odparła ze smutkiem, przypominając sobie jak brodziła przez martwe ciała, czołgała się po nich. Miała wrażenie, jakby od tamtych chwil minęły nie dni, lecz całe tygodnie.

– Widziałaś ich? Martwych?

Skinęła głową.

Spuścił wzrok. – Widok na ekranach nie przetrwał zbyt długo. W pierwszych dniach tylko raz zakradłem się na górę. Nadal toczyły się walki. Po pewnym czasie robiłem to częściej. Widziałem, jakiego narobili bałaganu. Ale żadnego ciała nie widziałem od... – Namyślił się. – ...od jakichś dwudziestu lat.

– Więc przez jakiś czas byli tu też inni?

Wskazał palcem sufit. – Czasami tu przychodzili. Z serwerami. I walczyli. Wszędzie trwały walki. Później było tylko gorzej. Walczyli o jedzenie, kobiety, walczyli, żeby walczyć. – Obrócił się i wskazał za drzwi za swoimi plecami. – Te pomieszczenia to jak silos w silosie. Miały przetrwać dziesięć lat. Ale przetrwają dłużej, jeśli jesteś solo. – Uśmiechnął się.

– Co masz na myśli? Jaki silos w silosie?

Skinął głową. – Oczywiście – odparł. – Przepraszam. Zazwyczaj gadałem z kimś, kto wie to samo, co ja. – Puścił jej oko i Juliette zrozumiała, że mówi o sobie samym. – Ty nie wiesz, czym jest silos.

– Ależ wiem – powiedziała. – Urodziłam się i wychowałam w miejscu podobnym do tego. Tylko że o naszym można powiedzieć, że nadal wiedzie nam się nieźle i nie doceniamy tego.

Solo się uśmiechnął. – Więc czym jest silos? – zapytał, z przekorą nastolatka.

– To jest... – Juliette szukała właściwych słów. – To nasz dom. Budynek taki jak te za wzgórzem, tylko że pod ziemią. Jest tą częścią świata, w której możemy żyć. Jest środkiem – stwierdziła i dotarło do niej, że trudniej zdefiniować to słowo niż sądziła.

Salo się zaśmiał.

– To twoje rozumienie tego słowa. Ale cały czas wypowiadamy jakieś słowa nie znając ich znaczenia. – Wskazał półkę pełną metalowych kanistrów. – Cała prawdziwa wiedza znajduje się w nich. O wszystkim, co się wydarzyło. – Zerknął na nią. – Znasz termin „wściekły byk”? Albo że ktoś jest „uparty jak osioł”?

Skinęła głową. – Pewnie.

– A co to jest osioł? – zapytał.

– Ktoś, kogo nie da się przekonać do zmiany zdania.

Solo znów się zaśmiał. – O tylu rzeczach nie wiemy – stwierdził, przyglądając się swoim paznokciom. – Silos nie jest wcale światem. Jest niczym. Ten termin, to słowo, pochodzi z bardzo dawnych czasów, kiedy na zewnątrz jak okiem sięgnąć rosło zboże. – Machnął ręką nad podłogą, jakby miała ona symbolizować jakiś rozległy teren. – Wtedy żyło więcej ludzi niż można zliczyć i każdy miał pełno dzieci. – Popatrzył na Juliette. Złożył dłonie i zaczął je zgniatać, zupełnie jakby się wstydził, że w towarzystwie kobiety zaczął mówić o robieniu dzieci.

– Mieli tyle jedzenia – ciągnął – że nie byli w stanie wszystkiego zjeść. Więc musieli gdzieś je przechowywać na czarną godzinę. Zbierali więcej zboża niż możesz sobie wyobrazić i umieszczali je w tych ogromnych silosach, budowanych na powierzchni...

– Na powierzchni – powtórzyła Juliette. – Silosy. – Wydawało jej się, że on to wszystko zmyśla, że to jakieś jego urojenie, które wymyślił, spędzając tyle lat w całkowitej samotności.

– Mogę pokazać ci zdjęcia – stwierdził rozdrażniony, jakby mierziły go jej wątpliwości. Wstał i podszedł do półki z metalowymi kanistrami. Przebiegając po nich palcami, czytał białe etykiety na spodzie.

– Ach! – Chwycił jeden – wyglądał na ciężki – i przyniósł jej. Po otworzeniu zatrzasku uchyliło się wieczko i dało się zobaczyć gruby obiekt wewnątrz kanistra.

– Ja to zrobię – powiedział, choć nawet się nie ruszyła, by mu pomóc. Przechylił kanister i ze środka wypadł mu na dłoń jakiś ciężki obiekt, jednak nie spadł na podłogę. Był rozmiarów książeczki dla dzieci, ale był też ze dwadzieścia razy grubszy. Mimo to też był książką. Widziała krawędzie niesamowicie dobrego, ciętego papieru.

– Zaraz to znajdę – stwierdził. Przewracał karki po kilkadziesiąt naraz – warte fortunę stronice opadały głośno na resztę cennego papieru.

Potem zaczął szukać z większą precyzją, po kawałku, aż w końcu przewracał już tylko pojedyncze kartki.

– Tutaj – pokazał palcem.

Juliette zbliżyła się i popatrzyła na otwartą stronę. To wyglądało jak rysunek, ale było tak szczegółowe, że zdawało się wręcz rzeczywiste. Przypominało nieco widok ze stołówki, albo obrazki z twarzami na identyfikatorach, tylko że było kolorowe. Zaczęła się zastanawiać, czy ta książka ma w środku baterie.

– To wydaje się takie rzeczywiste – wyszeptała, pocierając palcami zdjęcie.

– Bo jest rzeczywiste – odparł. – To zdjęcie. Fotografia.

Juliette nie mogła się nadziwić kolorom: zielone pola i błękitne niebo, przypominające kłamstwa, które widziała przez swój wizjer. Była ciekawa, czy i ten obraz był fałszywy. W niczym nie przypominał niewyraźnych zdjęć, które znała.

– Te budynki... – Pokazał coś, co wyglądało jak wielkie puszki leżące na ziemi. – ...To są silosy. Trzyma się w nich zboże na czarną godzinę. Aby jakoś przetrwać zły czas.

Spojrzał na nią. Od Juliette dzieliła go odległość ledwie paru stóp. Widziała zmarszczki wokół jego oczu, widziała, że gęsta broda ukrywa jego prawdziwy wiek.

– Nie wiem, co próbujesz powiedzieć – stwierdziła.

Wskazał na nią, a później siebie samego. – To my jesteśmy zbożem. A to jest silos. Trzymają nas tu, aż miną złe czasy.

– Kto? Kto nas tu wsadził? Jakie złe czasy?

Wzruszył ramionami. – Ale nic z tego nie wyjdzie. – Pokręcił głową, a potem usiadł na podłodze i wbił wzrok w obrazki w wielkiej księdze. – Nie można zostawiać zbóż na tak długo. Nie w takich ciemnościach. Nic z tego.

Podniósł wzrok i przygryzł wargę, oczy zaszły mu łzami. – Zboża nie oszaleją. Nigdy. Mają gorsze i lepsze dni, ale to nie ma znaczenia. Kiedy się je zostawi na długo, w końcu robią to, co wszystkie nasiona, porzucone na zbyt długi okres...

Zamilkł. Zamknął księgę i przycisnął ją do piersi. Juliette zauważyła, że kołysze się w tył i w przód.

– Co robią, jak zostawi się je na zbyt długo? – zapytała.

Zmarszczył brwi.

– Gnijemy – odparł. – Wszyscy. Jest z nami coraz gorzej i gnijemy tak bardzo, że przestajemy rosnąć. – Mrugnął i znów na nią spojrzał. – Już nigdy nie wyrośniemy.

49

A choćbyś miał siłę
Dwudziestu ludzi, wnet wyzioniesz ducha!

Najgorsze było czekanie za regałami Zaopatrzenia. Ci, którzy byli w stanie, drzemali. Podenerwowana większość starała się żartować. Knox raz po raz zerkał na wiszący na ścianie zegar, wyobrażając sobie poszczególne elementy przemieszczające się przez silos. Jego ludzie byli już uzbrojeni, mógł więc tylko mieć nadzieję, że przekazanie władzy pójdzie gładko i obędzie się bez rozlewu krwi. Liczył na to, że dostaną odpowiedzi na swoje pytania, dowiedzą się, co kręcili ci dranie z IT, może nawet zdołają oczyścić Jules z zarzutów. Wiedział jednak, że wydarzą się złe rzeczy.

Dostrzegał to w wyrazie twarzy Marcka, w sposobie, w jaki ten wciąż zerkał na Shirly. Widać było jego niepokój: uniesione wysoko brwi, zmarszczka na nasadzie nosa. Dowódca zmiany nie ukrywał troski o żonę na tyle, na ile chciał.

Knox wyjął narzędzie uniwersalne i sprawdził ostrze. Wyszczerzył się do odbicia, by sprawdzić, czy jakieś kawałki żarcia nie utknęły mu między zębami. Gdy chował ostrze, jeden z cieni Zaopatrzenia wyłonił się zza regałów, oznajmiając, że mają gości.

– Jaki kolor kombinezonów mają ci goście? – zapytała Shirly, a reszta grupy poderwała się na równe nogi sięgając po broń.

Młoda dziewczyna pokazała palcem Knoxa. – Niebieskie. Takie jak wasze.

Knox pogłaskał ją po głowie i zniknął między regałami. To był dobry omen. Reszta jego ekipy z Maszynowni przyszła szybciej, niż oczekiwał. Szedł akurat za ladę, gdy tymczasem Marck gromadził pozostałych, budząc ich i rozdając broń.

Kiedy Knox okrążył ladę, ujrzał Pietera wchodzącego przez frontowe drzwi, gdzie dwóch stojących na straży pracowników Zapatrzenia pozwoliło mu przejść.

Pieter uśmiechnął się. On i Knox uścisnęli sobie ręce. Za jego plecami pojawiła się reszta ekipy z rafinerii, zwyczajowe czarne kombinezony zamienili dzisiaj na bardziej dyskretne niebieskie.

– Jak idzie? – zapytał Knox.

– Na schodach straszny ruch – odparł Pieter. Przy każdym wdechu jego pierś nadymała się znacząco, potem dopiero po dłuższej chwili wypuszczał powietrze z płuc. Knox zastanawiał się, jak szybkie tempo marszu musieli sobie narzucić tamci, by nadrobić tyle czasu.

– Wszyscy są już w drodze? – On i Pieter odsunęli się na bok, a dwie grupy połączyły się ze sobą. Pracownicy zaopatrzenia zaczęli przedstawiać się nowo przybyłym i uściskiwać tych, których już znali.

– Owszem. – Skinął głową. – Ostatnim dałem dodatkowe pół godziny. Mimo to obawiam się, że plotki tragarzy będą od nas szybsze. – Popatrzył w stronę sufitu. – Założę się, że nawet teraz gadają gdzieś tam w górze.

– Wzbudziliście jakieś podejrzenia? – zapytał Knox.

– Och, pewnie. Mieliśmy małą sprzeczkę przy niższym targu. Ludzie chcieli wiedzieć, o co to całe zamieszanie. Georgie im odpyskował i myślałem, że wywiąże się bójka.

– Boże, a nie jesteśmy nawet jeszcze na środkowych.

– Taa. Wydaje mi się, że mniejsza grupa miałaby większą szansę powodzenia.

Knox zmarszczył brwi, ale rozumiał Pietera. Potrafił robić wielkie rzeczy z garstką swoich ludzi. Jednak było za późno, by się o to spierać, skoro akcja już trwała. – Cóż, przerwy w dostawach pewnie już się zaczęły – stwierdził Knox. – Teraz musimy tylko dogonić pozostałych.

Pieter skinął ponuro głową. Rozejrzał się po pomieszczeniu, po mężczyznach i kobietach uzbrajających się oraz przepakowujących sprzęt na kolejną szybką wspinaczkę. – Pewnie będziemy musieli przebijać się na górę siłą.

– Muszą nas usłyszeć – odparł Knox. – Więc musimy narobić hałasu.

Pieter poklepał szefa po ramieniu. – No cóż, zatem już wygrywamy.

Wstał i poszedł zabrać broń i napełnić menażkę. Knox dołączył do Marcka i Shirly, którzy stali przy drzwiach. Ci, którzy jeszcze nie mieli pistoletów, zbroili się budzącymi lęk stalowymi nagolennikami, których krawędzie lśniły srebrzyście po obróbce szlifierskiej. Knox uznał za niesamowite, że wszyscy wiedzieli instynktownie jak tworzyć narzędzia do zadawania bólu. Nawet młodzi cienie wiedzieli jak to robić, tę wiedzę czerpali z brutalnych głębin swojej wyobraźni, gdzie każdy miał zapisaną zdolność wyrządzania drugiej osobie krzywdy.

– Pozostali są daleko w tyle? – zapytał Knoxa Marck.

– Jest nieźle – odparł Knox. – Zrobili lepiej niż dobry czas. Reszta musi nadgonić. Jesteście gotowi?

Shirly skinęła głową. – W drogę – powiedziała.

– W porządku. Jak to mawiają: naprzód i w górę. – Knox rozejrzał się po pokoju, patrząc jak mechanicy łączą się z pracownikami Zaopatrzenia. Więcej niż kilka twarzy zwróciło się w jego stronę, czekając na kolejny sygnał, może nową przemowę. Ale Knox nie miał już sił na kolejną. Był w nim jedynie strach o to, że prowadzi tych dobrych ludzi na rzeź, że tabu upadały jedno po drugim niczym domino, a wszystko działo się zdecydowanie za szybko. Kiedy już wyprodukowano broń, kto ją zdemontuje? Lufy oparte o ramiona wyglądały niczym igły sterczące z poduszeczek do szycia. Pewnych rzeczy, pewnych wypowiedzianych głośno idei, nie dało się już cofnąć. I wiedział, że jego ludzie wyprodukują tej broni jeszcze więcej.

– Za mną – ryknął i rozmowy umilkły. Plecaki trafiły na miejsca, w kieszeniach zabrzęczały niebezpieczne przedmioty. – Za mną – powtórzył, uciszając zebranych, a jego żołnierze zaczęli formować szeregi. Knox zwrócił się w stronę drzwi, myśląc, że jest dokładnie tak, jak podejrzewał wcześniej: wszystko teraz zależy od niego. Sprawdził, czy ma zasłoniętą strzelbę, wetknął ją pod pachę i ścisnął ramię Shirly, nim otworzyła mu drzwi.

Na zewnątrz, przy poręczy, stało dwóch pracowników Zaopatrzenia. Mieli nie wpuszczać ludzi do środka, tłumacząc to wymyśloną awarią prądu. Drzwi były otwarte, jasne światło i hałas maszynerii docierały na klatkę schodową, i Knox wiedział już, czemu zdaniem Pietera plotki idą na górę szybciej od nich. Poprawił sobie plecak z zapasami – narzędzia, świece oraz latarki, dzięki którym wyglądał jakby spieszył komuś z pomocą, a nie szedł na wojnę. Pod tą urzekającą warstwą ukrył jednak pociski i bombę, bandaże i maści przeciwbólowe, tak na wszelki wypadek. Strzelbę owinął kawałkiem szmaty i trzymał ją pod pachą. Wiedząc, co to jest, uznał, że to całe zakrywanie narzędzi walki jest idiotyczne. Patrząc na towarzyszy – niektórych w masywnych fartuchach spawaczy, innych niosących kaski budowlańców – widział wyraźnie, że ich intencje są wręcz oczywiste.

Zostawili za sobą światła Zaopatrzenia i ruszyli na górę. Kilku pracowników Maszynowni przebrało się w żółte kombinezony, żeby nie

wyróżniać się wśród mieszkańców środkowych kondygnacji. Hałaśliwie wędrowali przez słabo oświetloną nocą klatkę schodową, a drżenie podłogi od ruchu poniżej dawało Knoxowi nadzieję, że reszta jego ludzi wkrótce do nich dołączy. Współczuł im trochę obolałych nóg, ale z drugiej strony nie wspinali się tak obładowani jak oni.

Starał się wyobrażać sobie nadchodzący poranek w możliwie najjaśniejszych kolorach. Może starcie będzie skończone zanim reszta jego ludzi w ogóle dotrze na górę. Może będą potrzebni tylko do wspólnego świętowania sukcesu. Knox i McLain dotrą już do zakazanych kondygnacji działu IT i odkryją trzymane w sekrecie maszyny, na dobre ujawniając zło napędzane ich trybami.

Wędrowali szybko, a Knox nie przestawał myśleć o gładkim obaleniu rządów IT. Mijali piętro, gdzie kobiety rozwieszały właśnie pranie na metalowych poręczach. Kiedy zauważyły Knoxa i jego ludzi w niebieskich kombinezonach, zaczęły narzekać na brak prądu. Kilku pracowników zatrzymało się, rozdając im zapasy i karmiąc kolejnymi kłamstwami. Dopiero gdy ruszyli dalej, Knox zauważył, że odwiązała się szmata zakrywająca lufę broni Marcka. Pokazał mu to i Marck zdołał ją zakryć przed dotarciem na kolejną kondygnację.

Wspinaczka stała się wyczerpującym obowiązkiem, który odbywał się w milczeniu. Knox cofnął się na tyły, żeby sprawdzić, jak się miewają jego ludzie. Miał wrażenie, że odpowiada teraz także za tych z Zaopatrzenia. Ich życie zależało od podejmowanych przez niego decyzji. Tak jak powiedział Walker, ten szalony głupiec. To było to. Powstanie, jak w opowieściach z ich młodości. I nagle Knox poczuł bliską więź z tymi dawnymi duchami, przodkami z mitów i ustnych przekazów. Mężczyźni i kobiety kiedyś już tego dokonali – może powody były inne, może ich gniew opierał się na mniej szlachetnej podstawie, ale kiedyś, na jakimś poziomie, również miał miejsce taki masz jak ten. Podobne buty stukały o podobne stopnie. Może nawet czasem te same buty, tylko z nowymi podeszwami. I słychać było to samo podzwanianie broni w rękach, które nie zawahają się ich użyć.

Myśl o tym, jak ta chwila łączy się z tajemniczą przeszłością, przeraziła Knoxa. To nie było aż tak bardzo dawno temu, prawda? Nie minęło jeszcze dwieście lat? Wyobraził sobie, że dla kogoś żyjącego tak długo jak Jahns czy McLain, to długość trzech żyć. Trzy uściski dłoni od

tamtego powstania do tego. A co z tymi wszystkim latami pomiędzy? Tym okresem między dwoma wojnami?

Rozmyślając o tym, Knox unosił buty nad kolejnymi stopniami. Czyżby stał się jednym z tych złych ludzi, o których uczył się w młodości? A może po prostu go okłamano? Na samą myśl, że oto właśnie jest przywódcą rewolucji, zaczynała go boleć głowa. Ale to wydawało się dobre. I konieczne. Co jeśli w poprzednim starciu było dokładnie tak samo? Jeśli mężczyźni i kobiety, którzy brali w nim udział, myśleli w dokładnie ten sposób?

50

Wydajesz mi się teraz tam na dole
Jak trup, z którego znikły życia ślady.

– Trzeba by dziesięciu żyć, żeby to wszystko przeczytać.

Juliette podniosła wzrok znad rozrzuconych puszek i stert opasłych ksiąg. Na ich wypełnionych tekstem stronach było więcej niezwykłości niż w jakiejkolwiek książce dla dzieci, które czytała w młodości.

Solo odwrócił się od kuchenki, gdzie gotował wodę i podgrzewał zupę. Machnięciem łyżki pokazał bałagan, którego narobiła. – Chyba nie stworzono ich do czytania – stwierdził. – Przynajmniej nie do czytania w ten sposób, w jaki ja to robię: od deski do deski. – Dotknął łyżką języka, a potem włożył ją do garnka i pomieszał zupę. – Wszystko jest nie po kolei. To jak kopia zapasowa kopii zapasowej.

– Nie wiem, co to znaczy – przyznała Juliette. Popatrzyła na kolana, gdzie leżały kartki pełne obrazków zwierząt zwanych „motylami”. Ich skrzydła były wręcz komicznie jaskrawe. Zastanawiała się, czy miały wielkość ludzkiej dłoni, czy człowieka. Trudno było znaleźć jakąkolwiek skalę porównawczą dla tych wszystkich stworów.

– Serwery – rzekł Solo. – Co to mogło oznaczać? Kopie zapasowe.

Zdawał się skołowany. Juliette obserwowała jak pichci coś na kuchence, ruszał się nerwowo i maniakalnie, i dotarło do niej, że to ona była żyjącą w izolacji ignorantką, a nie on. On miał te wszystkie księgi, dekady czytania za sobą, towarzystwo przodków, których mogła sobie jedynie wyobrażać. A jakie było jej życiowe doświadczenie? Życie w mroku w towarzystwie tysięcy dzikusów?

Próbowała to sobie przypomnieć, obserwując jak tamten grzebie w uchu a potem gapi się na palec.

– Ale kopia zapasowa czego? – zapytała w końcu, wręcz bojąc się tajemniczej odpowiedzi, jaka miała nadejść.

Solo znalazł dwie misy. Zaczął je wycierać o materiał swojego kombinezonu. – Kopia zapasowa wszystkiego – odparł. – Wszystkiego, co wiedzieliśmy. Wszystkiego, co kiedykolwiek istniało. – Odstawił misy i podkręcił pokrętło kuchenki. – Chodź za mną – rzekł, machając ręką. – Pokażę ci.

Juliette zamknęła książkę i wsunęła ją do puszki. Wstała i ruszyła za Solo do kolejnego pomieszczenia.

– Nie zwracaj uwagi na bałagan – powiedział, gestem wskazując stertę odpadów piętrzących się pod ścianą. Wyglądała jak tysiąc pustych puszek po jedzeniu, ale śmierdziała jak dziesięć tysięcy. Juliette zmarszczyła nos, walcząc z odruchem wymiotnym. Solo zupełnie nie przejął się smrodem. Stanął za niewielkim drewnianym biurkiem, przeglądając diagramy na zwisających ze ściany wielkich kartkach papieru.

– Gdzie on może być? – zastanawiał się głośno.

– Co to takiego? – zapytała Juliette, urzeczona. Na jednej z kartek dostrzegła schemat silosu, zupełnie niepodobny do tego, jaki mieli w Maszynowni.

Solo odwrócił się do niej. Na ramię zarzucił sobie kilka kart, jego ciało niemal zniknęło między ich zwojami. – Mapy – odparł. – Chcę ci pokazać, ile tam jest rzeczy. Zesrasz się z wrażenia.

Pokręcił głową i wymamrotał coś do siebie. – Przepraszam, nie chciałem tego mówić.

Juliette powiedziała, że nie ma problemu. Zasłaniała nos ręką, bo smród gnijącego jedzenia był nie do zniesienia.

– Tutaj jest. Przytrzymaj ten koniec. – Solo wysunął skraj około pół tuzina kartek. Sam złapał je z drugiej strony i wspólnymi siłami odsunęli je od ściany. Juliette chciała mu pokazać metalowe pierścienie na dole map i wyjaśnić, że to pewnie miejsca na haki, by powiesić mapy gdzieś na ścianie, ale trzymała język za zębami. Gdyby tylko otworzyła usta, smród zaraz wtargnąłby jej do gardła.

– Tu jesteśmy my – stwierdził Solo. Wskazał punkt na kartce. Ciemne zawijasy biegły we wszystkich kierunkach. To nie przypominało żadnej mapy, ani żadnego schematu, jaki Juliette kiedykolwiek widziała. Wyglądało jak dziecięcy rysunek. Nigdzie nie widziała jednej prostej linii.

– Co to ma pokazywać? – zapytała.

– Granice. Ląd! – Solo przesunął dłonią po kształcie, który zajmował jedną trzecią rysunku. – Cała reszta to woda – wyjaśnił.

– Gdzie? – Juliette bolała już ręka od trzymania kartki. Smród i te wszystkie zagadki zaczynały działać jej na nerwy. Była tak daleko od domu. Dreszcz podniecenia tym, że zdołała przetrwać, ustępował miejsca przygnębieniu widzianej już oczami wyobraźni wieloletniej egzystencji w tym ponurym miejscu.

– Tam! Wszędzie wokół lądu. – Solo wskazał gestem na ścianę. Przymknął oczy, widząc zmieszanie Juliette. – Silos, ten silos, miałby mniej więcej taką średnicę jak włos na twojej głowie. – Poklepał mapę. – Tutaj. Tu są wszystkie. Może tylko tyle z nas ocalało. Zajmujemy miejsce nie większe od mojego kciuka. – Położył palec na splątanych liniach. W oczach Juliette wydawał się naprawdę szczery. Nachyliła się, by lepiej widzieć, ale ją odepchnął.

– Możesz puścić – rzekł. Pacnął ją w dłoń i rozpostarł mapę na ścianie. – To jesteśmy my. – Wskazał jeden z kręgów na górze kartki. Juliette wbiła wzrok w rzędy kolumn, dochodząc do wniosku, że jest ich mniej więcej cztery tuziny. – Silos siedemnasty. – Uniósł dłoń. – Numer dwanaście. Tu jest ósmy. A tutaj pierwszy.

– Nie.

Juliette kręciła głową, wyciągając ręce w stronę biurka. Zrobiło jej się miękko w kolanach.

– Owszem. Silos pierwszy. Ty pewnie jesteś z szesnastego albo osiemnastego. Pamiętasz, jak długo musiałaś wędrować?

Złapała się krzesła, przesunęła je i w końcu usiadła na nim ciężko.

– Ile wzgórz pokonałaś?

Juliette nie odpowiedziała. Myślała o tej innej mapie i porównywała skale. A jeśli Solo miał rację? Jeśli istniało prawie pięćdziesiąt silosów i każdy był nie większy od kciuka? Jeśli Lukas miał rację co do tego, jak daleko są gwiazdy? Potrzebowała czegoś, do czego mogłaby się wczołgać, w czym mogłaby się ukryć. Potrzebowała snu.

– Kiedyś odezwali się do mnie z silosu pierwszego – rzekł Solo. – Dawno temu. Nie mam pojęcia, co się teraz z nimi dzieje...

– Czekaj – Juliette usiadła prosto. – Jak to się do ciebie odezwali?

Solo nie odwrócił się od mapy. Przesuwał dłonie od jednego okręgu do drugiego, na twarzy malował mu się dziecinny wyraz. – Zadzwonili. Meldowali się. – Odwrócił wzrok od niej i od mapy, patrząc w przeciwległy kąt pomieszczenia.

– Nie gadaliśmy zbyt długo. Nie znam wszystkich procedur. Nie wydawali się szczęśliwi.

– No dobrze, ale jak to zrobiłeś? Możemy teraz do kogoś zadzwonić? Miałeś jakieś radio? Miało małą antenkę, takie sterczące coś... – Juliette wstała, podeszła do niego i łapiąc go za ramiona odwróciła w swoją stronę. Ileż ten człowiek mógł znać rzeczy, który mogły jej pomóc,

lecz ona nie była w stanie ich z niego wyciągnąć? – Solo, w jaki sposób z nimi rozmawiałeś?

– Przez telefon – odparł. Nakrył sobie dłońmi uszy. – Po prostu do niego gadasz.

– Musisz mi pokazać – stwierdziła.

Solo wzruszył ramionami. Znów przewrócił kilka map, znalazł tę, której szukał, a pozostałe przycisnął do ściany. To był schemat silosu, który już widziała, boczny przekrój podzielony na trzy części. Pomogła mu trzymać mapę.

– Tutaj są kable. Biegną we wszystkich kierunkach. – Przesunął palcem po liniach które ciągnęły się od ścian zewnętrznych aż do krawędzi kartki. Oznaczono je drobnym drukiem. Juliette nachyliła się, by go przeczytać; rozpoznała inżynierskie oznaczenia.

– Te dostarczają prąd – powiedziała, pokazując linie oznaczone postrzępionymi symbolami.

– Taa – przytaknął Solo. – Nie mamy już własnego zasilania, wydaje mi się, że pożyczamy prąd od innych. To działa automatycznie.

– Bierzecie prąd od innych? – Juliette czuła narastającą frustrację. Ile kluczowych kwestii ten mężczyzna uznawał za coś błahego? – Chcesz coś dodać? – zapytała. – Masz może latający kombinezon, który zabierze mnie do mojego silosu? A może tajne przejście, dzięki któremu tam dotrzemy?

Solo się zaśmiał i popatrzył na nią, jakby była szalona.

– Nie – odparł. – Wtedy byłoby jedno ziarenko, nie wiele. Jeden zły dzień zrujnowałby nas wszystkich. Poza tym koparki już nie żyją. Pochowano je. – Pokazał wnękę, prostokątne pomieszczenie odstające od Maszynowni. Juliette podeszła bliżej. Na pierwszy rzut oka poznała wszystkie pomieszczenia najniższych kondygnacji, ale tego pokoju nie powinno tam być.

– Jakie koparki? Co masz na myśli?

– Maszyny usuwające ziemię. No wiesz, to one zbudowały to miejsce. – Przesunął dłonią po całej długości silosu.

– Wydaje mi się, że były zbyt ciężkie, by je przemieszczać, więc po prostu zabudowano je ścianami.

– A działają? – zapytała Juliette. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Pomyślała o kopalniach, o tym jak gołymi rękami pomagała

wyciągać kamienie. Pomyślała, że skoro taka maszyna mogłaby wykopać cały silos, to może mogła by się też przekopać pomiędzy nimi.

Solo mlasnął. – Nie ma szans. Nic na dole już nie działa. Wszystko usmażone. Poza tym... – Przesunął dłonią powyżej najniższych pięter. – Do tego miejsca wszystko jest zalane... – odwrócił się do Juliette. – Zaraz. Chcesz się stąd wydostać? Gdzie pójdziesz? – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Chcę wrócić do domu – powiedziała Juliette.

Otworzył oczy szerzej. – Po co miałabyś wracać? Przecież cię wyrzucili, prawda? Zostaniesz tutaj. My nie chcemy stąd odchodzić. – Podrapał się po brodzie i pokręcił głową.

– Ktoś musi się o tym wszystkim dowiedzieć – wyjaśniła mu Juliette. – Wszyscy ci ludzie na zewnątrz. Cała ta przestrzeń za murami. Ludzie w moim silosie muszą się dowiedzieć.

– Ludzie w twoim silosie już to wiedzą.

Przyglądał się jej zdziwiony i Juliette uświadomiła sobie, że miał rację. Pomyślała o miejscu, w którym obydwoje się znajdowali. Byli w samym sercu działu IT, w głębi fortecy mitycznych serwerów, pod którymi znajdowało się tajne przejście, o którym nie wiedzieli pewnie nawet ci, którzy mieli dostęp do najskrytszych sekretów silosu.

Ktoś w jej silosie o tym wiedział. Trzymali to w tajemnicy przez całe pokolenia. Zdecydowali, co reszta powinna, a czego nie powinna wiedzieć. To był ten sam mężczyzna, który posłał Juliette na pewną śmierć, który wymordował wielu innych...

– Powiedz mi o tych telefonach – poprosiła Juliette. – Jak rozmawiasz z innymi silosami? Podaj mi wszystkie szczegóły.

– Dlaczego? – zapytał Solo, wyraźnie się przed nią garbiąc. Oczy miał mokre ze strachu.

– Ponieważ jest ktoś, do kogo muszę zadzwonić.

51

Dzień ten fatalny więcej takich wróży;
Gdy się raz zacznie złe, zwykle trwa dłużej.

Oczekiwanie trwało w nieskończoność. Było przeciągającą się ciszą, swędzeniem czaszek i ściekającym potem, bólem obciążonych łokci, zgiętych pleców oraz wciśniętych w stół konferencyjny brzuchów. Lukas zerkał na swoją przerażającą strzelbę i wyglądał przez strzaskaną szybę sali konferencyjnej. Kawałki kryształów tkwiły jeszcze w futrynie niczym przeźroczyste zęby. Mimo dzwonienia w uszach, Lukas nadal słyszał potężny huk wystrzału z broni Simsa, którym rozbił szybę. Nadal czuł wiszący w powietrzu zapach prochu, widział zaniepokojenie na twarzach pozostałych techników. Ta cała destrukcja zdawała się taka niepotrzebna. Wszystkie przygotowania, wyciąganie broni z magazynu, przerwanie rozmowy z Bernardem, wieści o ludziach nadchodzących z najniższych kondygnacji, to wszystko miało niewiele sensu.

Sprawdził dźwignię przeładowywania z boku strzelby i starał się sobie przypomnieć pięciominutową instrukcję, jaką otrzymał kilka godzin wcześniej. W komorze znajdowały się pociski. Broń była nabita. W magazynku było więcej pocisków.

A ci goście z ochrony śmiali się z tego, że używał technicznego żargonu. W słowniczku Lukasa pojawiło się dziś mnóstwo nowych terminów. Myślał o pomieszczeniach pod serwerownią, niezliczonych stronach Nakazów, rzędach ksiąg, na które tylko zerknął. Jego umysł ugiął się pod ciężarem tylu informacji.

Przez kolejną minutę ćwiczył celowanie, zerkał wciąż na lufę i starał się ustawiać znajdujący się w małym kółku krzyżyk. Celował w stertę krzeseł, którymi zabarykadowano drzwi. Z tego co wiedział, mogą tak czekać przez całe dnie i nic się nie wydarzy. Minęło już sporo czasu odkąd tragarz przyniósł nowe wieści na temat tego, co dzieje się na niższych piętrach.

Aby nabrać wprawy, wciąż kładł palec na spuście. Starał się zaznajomić z myślą, że pociąga za spust, opiera się sile odrzutu, o której mówił mu Sims.

Bobbie Milner – ledwie szesnastoletni cień – żartował stojąc obok, ale Sims kazał im obojgu trzymać gęby na kłódkę. Lukas nie zaprotestował,

mimo że nie zasłużył na to upomnienie. Zerknął za bramkę, gdzie jeżyło się kilka czarnych luf, wystających zza metalowego biurka. Peter Billings, nowy szeryf, majstrował coś przy niewielkim pistolecie. Obok stał Bernard, przekazując swoim ludziom instrukcje. Bobbie Milner wiercił się nieopodal Lukasa, chrząkając i starając się przyjąć jakąś w miarę komfortową pozycję.

Czekanie. Niekończące się czekanie.

Gdyby oczywiście Lukas wiedział, co się wydarzy, czekanie aż tak by go nie martwiło.

Błagałby o to, by móc czekać tak całą wieczność.

* * *

Knox poprowadził swoich ludzi przez kondygnacje sześćdziesiąte, robiąc tylko kilka przystanków, by mogli napić się wody, zabezpieczyć plecaki i zawiązać sznurowadła. Wyminęli kilku ciekawskich tragarzy dostarczających nocne przesyłki – pytali ich, dokąd zmierzają i o co chodzi z tym brakiem prądu. Żaden nie doczekał się satysfakcjonującej odpowiedzi. I – miejmy nadzieję – nie będzie miał podstaw do snucia domysłów.

Pieter się nie mylił: po klatce schodowej niosło się echo plotek. Wibrowała od tupotu zbyt wielu stóp. Ci, którzy mieszkali na górze, z reguły zmierzali na wyższe kondygnacje, oddalając się od przerw w dostawach prądu ku obietnicy elektryczności, ciepłego jedzenia i gorącego prysznica. W międzyczasie Knox i jego ludzie mobilizowali się za ich plecami, by odłączyć zupełnie inny rodzaj mocy, panującej nad silosem.

Na pięćdziesiątym szóstym pojawiły się pierwsze kłopoty. Kilku farmerów stało przed wejściem do farm hydroponicznych, spuszczając po poręczy kable, prawdopodobnie dla niewielkiej grupy, na którą napatoczyli się piętro niżej. Kiedy tylko dostrzegli odzianych w niebieskie kombinezony pracowników Maszynowni, jeden z nich zawołał:

– Ej, my was karmimy, więc czemu nie dajecie rady dostarczać nam prądu?

– Pogadaj z gośćmi z IT – odparł stojący na czele kolejki Marck. – To oni przepalają bezpieczniki. My robimy co możemy.

– Może róbcie to szybciej – odparł farmer. – Myślałem że po to były te cholerne przerwy w dostawach, żeby takie sytuacje się nie zdarzały.

– Załatwimy to w porze lunchu – powiedziała Shirly.

Knox i pozostali zrównali się z czołem grupy i na klatce schodowej zrobił się korek.

– Im szybciej tam dotrzemy, tym szybciej będziecie mieli prąd – wyjaśnił Knox. Starał się trzymać swoją broń w taki sposób, by wyglądała na jedno z wielu zwykłych narzędzi.

– To może chociaż nam pomożecie? Na pięćdziesiątym siódmym rano jeszcze mieli prąd. Chcemy się do nich podłączyć, żeby wznowić działanie naszych pomp. – Pokazał gestem zwój kabli zwisających z poręczy.

Knox namyślał się nad tym. To, o co prosił mężczyzna, było nielegalne. Sprzeciwianie się temu pomysłowi spowodowałoby jeszcze większe opóźnienia, ale z drugiej strony godzenie się na to może wyglądać podejrzanie. Czuł, że grupa McLain czeka już na nich kilka pięter wyżej. Wszędzie liczyło się tempo i działanie na czas.

– Mogę dać ci dwóch moich ludzi do pomocy. Niech to będzie przysługa. Niech tylko później nie słyszę, że Maszynownia miała z tymi kombinacjami cokolwiek wspólnego.

– Jakby mnie to obchodziło – odparł farmer. – Chcę tylko, żeby woda znów zaczęła płynąć.

– Shirly, ty i Courtnee mu pomożecie. Dogonicie nas, gdy już będziecie wolne.

Shirly aż otwarła usta ze zdziwienia. Jej oczy błagały, by zmienił tę decyzję.

– Bierzcie się do roboty – nakazał Knox.

Marck stanął przy niej. Podniósł plecak żony, wręczając jej swoje narzędzie uniwersalne. Przyjęła je, choć niechętnie, a potem posłała Knoxowi gniewne spojrzenie. Następnie, nie mówiąc nawet słowa do niego, czy do swojego męża, odwróciła się i sobie poszła.

Farmer puścił kable i podszedł bliżej Knoxa. – Hej, myślałem, że dasz mi dwóch...

Knox spiorunował go wzrokiem i mężczyzna momentalnie zamilkł. – Chciałeś moich najlepszych pracowników? – zapytał. – Właśnie ich dostałeś.

Farmer uniósł ręce i wycofał się. Courtnee i Shirly były już piętro niżej, dogadując się ze stojącymi tam mężczyznami.

– Ruszajmy – stwierdził Knox, zakładając plecak.

Pracownicy Maszynowni i Zaopatrzenia znów zaczęli wspinaczkę. Zostawili za plecami farmerów z pięćdziesiątego szóstego piętra, którzy przyglądali się ich długiej kolumnie.

Gdy opuszczano kable, szepty stawały się coraz głośniejsze. W głowach tych ludzi szalały potężne żywioły, złe zamiary mogły doprowadzić do prawdziwej tragedii.

Wszyscy byli pewni: zbliżał się dzień sądu.

* * *

Tego nie poprzedziło żadne oduczanie. Nie było żadnego ostrzeżenia. Wypełnione cichym oczekiwaniem godziny, ta nieznośna pustka, nagle eksplodowała przemocą. Mimo że kazano mu spodziewać się najgorszego, Lukas miał wrażenie, że tak długie oczekiwanie aż coś się wydarzy, tylko spotęgowało zaskoczenie.

Podwójne drzwi na trzydziestym czwartym piętrze niemal wypadły z zawiasów. Stal zgięła się niczym papier. Przeszywający jazgot sprawił, że Lukas aż podskoczył, a ręka ześlizgnęła mu się z kolby. Tuż obok eksplodowały wystrzały, Bobbie Milner strzelał w puste miejsce, wrzeszcząc ze strachu. A może z podniecenia. Sims starał się przekrzyczeć huk wystrzałów. Kiedy hałas ucichł, przez dym przeleciał jakiś przedmiot – kanister, odbił się od podłogi i poleciał ku bramce.

Nastała paraliżująca cisza – i wtedy rozległa się kolejna wgniatająca w ziemię eksplozja. Lukas niemal upuścił broń. Przez dym przy bramkach było widać, że doszło do prawdziwej rzezi. Przy wejściu do działu IT leżały szczątki ludzi, których Lukas znał. Ci odpowiedzialni za tę masakrę zaczęli przedzierać się do środka, zanim zdołał wycelować, zanim zdążył się przestraszyć kolejnej eksplozji mającej miejsce tuż przed nim.

Strzelba obok znów wypaliła i tym razem Sims nie krzyczał. Tym razem wypaliło też kilka innych. Ludzie starali się przedrzeć do środka, lecz wpadali na barykadę z krzeseł, ich ciała trzęsły się jak szarpane za niewidzialne sznurki, krew tryskała z ran niczym czerwona farba.

Nadchodzili kolejni. Potężny mężczyzna z gardłowym rykiem. Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Lukas widział, jak mężczyzna otwiera usta, krzyk wydostaje się spomiędzy zakrytych brodą warg, jego klatka piersiowa była ze dwa razy szersza niż u zwykłych mężczyzn. Strzelbę trzymał na wysokości pasa. Wystrzelił w stronę zniszczonej bramki. Lukas widział, jak Peter Billings pada na podłogę,

chwytając się za ramię. Kawałki szkła wypadały z futryny przed Lukasem, zza stołu konferencyjnego padał strzał za strzałem, strzaskana szyba straciła znaczenie. To było rozsądne posunięcie.

Na mężczyzn padł grad kul od strony niewidocznych strzelców. Sala konferencyjna stała się zasadzką, atak nastąpił z boku. Potężny mężczyzna zatrząsł się, gdy część pocisków dosięgła celu. Otworzył szeroko usta, przełamał strzelbę, między palcami zalśnił pocisk. Próbował przeładować broń.

Strzelby pracowników IT traciły pociski zbyt szybko, by dało się zliczyć. Naciskano spusty, proch i sprężyny robiły resztę. Kolos sięgnął po strzelbę, ale nie zdołał jej przeładować. Stoczył się na krzesła, przewracając je na podłogę. W drzwiach pojawiła się drobna kobieta. Lukas obserwował ją znad lufy, odwróciła się i spojrzała na niego, dym z eksplozji dryfował w jej stronę, opadające na ramiona siwe włosy zdawały się zlewać z kłębami dymu.

Widział jej oczy. Jeszcze nie wystrzelił, patrzył tylko oszołomiony, jak przebiega walka.

Kobieta zgięła rękę, po czym spróbowała rzucić coś w jego stronę.

Lukas nacisnął spust. Lufa rozbłysła, odrzut wstrząsnął całym jego ciałem. W tym ciągnącym się w nieskończoność ułamku sekundy, kiedy kula leciała do celu, Lukas uświadomił sobie, że ten przeciwnik to tylko staruszka. Trzymała coś w dłoni.

Bombę.

Jej pierś eksplodowała czerwienią. Obróciła się i przedmiot wypadł jej z ręki. Potem kolejne koszmarne oczekiwanie, kolejna fala atakujących, gniewne okrzyki, aż w końcu eksplozja rozerwała na strzępy zarówno ludzi, jak i skleconą z krzeseł barykadę.

Podczas tego drugiego ataku Lukas zaczął łkać. Łkał, aż opróżnił cały magazynek, łkał zmieniając ten magazynek na nowy, czuł na wargach słone łzy, naciskając spust i posyłając kolejne pociski w powietrze – znacznie szybsze i silniejsze od mięsa, które dziurawiły.

52

I ja kiedyś także
Maskę nosiłem i umiałem szeptać
W ucho pięknościom jedwabne powieści.

Bernard odzyskał świadomość, słysząc wrzaski. Oczy miał czerwone od dymu, w uszach dzwoniło echo wcześniejszego wybuchu.

Peter Billings trzymał go za ramiona i nim potrząsał, wrzeszczał na niego, czoło miał pokryte sadzą, a w jego oczach widać było czyste przerażenie. Na jego kombinezonie rozlała się szeroka, rdzawa plama krwi.

– Hrm?

– Sir! Słyszy mnie pan?

Bernard odepchnął ręce Petera, próbując się podnieść. Zaczął się obmacywać, szukając złamań bądź ran. Głowa mu pękała. Przesunął dłonią po nosie i zobaczył na niej krew.

– Co się stało? – jęknął.

Peter kucnął obok. Bernard dostrzegł stojącego za szeryfem Lukasa, na ramieniu miał strzelbę, zerkał w kierunku klatki schodowej. W oddali słychać było krzyki i serie wystrzałów.

– Zginęło trzech naszych – rzekł Peter. – Kilku zostało rannych. Sims poprowadził sześciu ludzi na klatkę schodową. Ale tamci oberwali gorzej od nas. Znacznie gorzej.

Bernard skinął głową. Pomacał sobie uszy i był zaskoczony, że nie leje się z nich krew. Rękaw miał pokryty plamami krwi, kapiącej z nosa. Poklepał Petera po ramieniu, a potem spojrzał za ramię szeryfa. – Przyprowadź mi Lukasa – nakazał.

Peter zmarszczył brwi, ale w końcu skinął głową. Zamienił z Lukasem parę słów, potem zaś chłopak klęknął przy Bernardzie.

– Wszystko w porządku? – zapytał Lukas.

Bernard skinął głową. – Idiota ze mnie. Nie wiedziałem, że będą uzbrojeni. Mogłem się domyślić, że przyniosą bomby.

– Nie denerwuj się tak.

Pokręcił głową. – Nie powinieneś tu być. To było głupie. Przecież obaj mogliśmy...

– Ale żaden z nas nie zginął, sir. Pogoniliśmy ich w dół klatki schodowej. To chyba koniec.

Bernard poklepał go po ramieniu. – Zaprowadź mnie do serwera – rzekł. – Muszę to zgłosić.

Lukas skinął głową. Wiedział, o jaki serwer chodziło Bernardowi. Pomógł mu się podnieść, objął go ramieniem, i poczłapali razem przez zadymiony korytarz, zostawiając za sobą Petera Billingsa marszczącego brwi z konsternacji.

– Niedobrze – powiedział Lukasowi Bernard, gdy już oddalili się od pozostałych.

– Ale przecież wygraliśmy, prawda?

– Jeszcze nie. Szkody na tym się nie skończą. Nie dzisiaj. Będziesz musiał się ukryć na dole na jakiś czas. – Bernard skrzywił się, próbując iść o własnych siłach. – Nie mogę ryzykować życiem nas obojga.

Lukas nie był zadowolony. Przy wielkich drzwiach wklepał swój kod, wyciągnął identyfikator i – otarłszy z niego czyjąś krew – przeciągnął przez czytnik.

– Rozumiem – powiedział w końcu.

Bernard wiedział, że wybrał właściwego człowieka. Pozwolił Lukasowi zamknąć za nimi ciężkie drzwi, a sam ruszył do stojącego na tyłach serwera. Potknął się i upadł na komputer oznaczony cyfrą osiem, chwytając się go i starając się opanować zawroty głowy. Lukas wyprzedził go i zdążył wyciągnął własny klucz, zanim Bernard dotarł do serwera.

Bernard oparł się o ścianę, a Lukas zaczął otwierać serwer. Nadal był zbyt roztrzęsiony, by zauważyć kod migający na wyświetlaczu z przodu obudowy. W uszach mu dzwoniło, więc nie zwrócił uwagi na prawdziwy sygnał.

– Co to znaczy? – zapytał go Lukas. – Ten hałas?

Bernard popatrzył na niego pytająco.

– Alarm przeciwpożarowy? – Lukas pokazał palcem sufit. Bernard w końcu usłyszał sygnał. Ruszył na tył serwera, i odepchnął od niego Lukasa, gdy ten już uporał się z ostatnim zamkiem.

Jakie było prawdopodobieństwo? Czyżby już wiedzieli? W ciągu ledwie dwóch dni świat Bernarda został postawiony na głowie. Wyjął sakiewkę z komputera, wyciągnął z niej słuchawki i założył je sobie na uszy. Wsunął wtyczkę w gniazdo oznaczone numerem 1 i zdumiony usłyszał sygnał. Linia była zajęta. Ktoś właśnie dzwonił.

Szybko wyciągnął kabel z wtyczki, przerywając połączenie, i zobaczył, że światełko miga nie nad gniazdem numer jeden, a nad tym

oznaczonym numerem 17.

Wszystko wokół Bernarda zawirowało. Wymarły silos próbował się do niego dodzwonić. Czyżby ktoś ocalał? Po tylu latach? I ma dostęp do serwerów? Drżącą dłonią zbliżył wtyczkę do gniazda. Lukas pytał go o coś, ale Bernard nie słyszał go przez słuchawki.

– Halo? – wychrypiał. – Halo? Jest tam kto?

– Halo – odpowiedział jakiś głos.

Bernard poprawił sobie słuchawki na uszach. Gestem kazał się Lukasowi zamknąć. W uszach nadal mu dzwoniło, krew z nosa spływała do ust.

– Kto mówi? – zapytał. – Słyszysz mnie?

– Słyszę – odpowiedział głos. – Czy to ten, o kim myślę?

– Kto mówi, do kurwy nędzy? – wymamrotał Bernard. – Czemu masz dostęp do...?

– Wyrzuciłeś mnie na zewnątrz – odparł głos. – Posłałeś mnie na pewną śmierć.

Bernard się zgarbił, miał miękko w kolanach. Przewód słuchawkowy odwinął się i prawie zerwał mu słuchawki z uszu. Złapał je i starał się odgadnąć, czyj głos słyszy. Lukas trzymał go pod pachami, żeby nie upadł na plecy.

– Nie – odparł. Ale wiedział. Choć to zdawało się niemożliwe, wiedział.

– Posłałeś mnie na śmierć, skurwielu.

– Przecież znałaś zasady! – krzyknął Bernard do ducha. – Znałaś je!

– Zamknij mordę i słuchaj, Bernard. Przymknij się i wysłuchaj mnie teraz bardzo uważnie.

Bernard czekał. Czuł w ustach miedziany smak własnej krwi.

– Wracam po ciebie. Wrócę do domu i wezmę się za *prawdziwe czyszczenie*.

Świat ci nie sprzyja ani prawo świata.
On i łotr żyją daleko od siebie.
Wszystkie cierpienia nasze kwiatem tkaną
Kanwą do słodkich rozmów nam się staną.
Pod nią zbiór ponęt; ten, co wzrok postradał,
Zapomni-ż kiedy, jaki skarb posiadał?
Tak, bracie, płomień spędza się płomieniem,
Ból dawny nowym leczy się cierpieniem;

– Tragiczna historyja Romeusa i Julii

Część 5 - Opuszczeni

53

Silos 18

Marck zataczał się, schodząc po schodach: dłoń ślizgająca się po zimnej barierce, pod pachą strzelba, buty śliskie od krwi. Ledwie był w ustanie usłyszeć wszystkie te wrzaski dochodzące zewsząd: jęki rannych, wleczonych po stopniach, pełne przerażenia krzyki gapiów na każdym pokonywanym piętrze, czy gniewne okrzyki tych, którzy ścigali jego i jego ludzi.

Dzwonienie w uszach zagłuszało większość innych dźwięków. To przez wybuch, ten przeklęty wybuch. Nie ten, który otworzył przed nimi drzwi do działu IT – na to był przygotowany, przykucnął wraz z pozostałymi. Nie chodziło też o drugą bombę, którą Knox cisnął w głąb kryjówki wroga. Chodziło o tę ostatnią, której nie zauważył, tę, która wypadła z rąk tej drobnej, siwowłosej kobiety z Zaopatrzenia.

Bomba McLain. Wybuchła dosłownie przed nim, pozbawiając ją życia, a jego – słuchu.

A Knox, ten tęgi i nieporuszony kierownik Maszynowni – jego szef i zarazem przyjaciel – zginął.

Marck pędził po schodach, ciężko ranny i przerażony. Nadal był bardzo daleko od bezpiecznego rejonu najniższych pięter – i desperacko starał się odnaleźć swoją żonę. Wolał skupić się na tym, nie na przeszłości, wolał nie myśleć o eksplozji, która powaliła jego przyjaciół, obróciła w ruinę ich plany, zdusiła szansę na triumf sprawiedliwości.

Gdzieś w górze padały przytłumione wystrzały, po których słychać było brzęk pocisków trafiających w stal – tylko w nią, dzięki Bogu. Marck trzymał się z dala od zewnętrznej poręczy, z dala od miejsc, które mieli na celownikach strzelcy przyczajeni na wyższych kondygnacjach. Dobrzy ludzie z Maszynowni i Zaopatrzenia uciekali i walczyli już przez ponad tuzin pięter; Marck milcząco błagał tych na górze, by przestali strzelać, dali im choć chwilę wytchnienia, ale tupot buciorów i huk wystrzałów nie cichły.

Pół piętra niżej dogonił trzech pracowników Zaopatrzenia, ten w środku był ranny, dwóch pozostałych go podtrzymywało, na plecach żółtych kombinezonów widać było plamy krwi. Krzyknął na nich, żeby się

pospieszyli, ale nie słyszał nawet własnego głosu, choć czuł go w piersi. Część z tej krwi, na której się ślizgał, należała do niego.

Ranną rękę przyciskał do klatki piersiowej, strzelba w zgięciu łokcia, drugą rękę Marck trzymał na poręczy, by nie spaść ze stromych schodów. Nie miał za sobą już żadnych sprzymierzeńców, nikt nie przeżył. Po ostatniej strzelaninie, pozwolił innym by go wyprzedzili, sam ledwie uszedł z życiem. A mimo to tamci wciąż, niestrudzenie, przypuszczali ataki. Marck przystawał od czasu do czasu, szukając amunicji, która nie zawsze wystrzeliła. Ładując pocisk do komory i strzelając dziko w górę schodów. Żeby robić cokolwiek. By choć trochę ich spowolnić.

Zatrzymał się, by złapać oddech, przechylił się przez poręcz i skierował lufę w górę. Kolejny strzał okazał się niewypałem. Ale strzały świszczące mu koło ucha już takie nie były.

Przykucnął blisko środka schodów, by przeładować broń. Jego strzelba nie była tak jak te należące do nich. Mógł oddawać tylko pojedyncze strzały, na dodatek ciężko mu było wycelować. Oni mieli nowoczesny sprzęt, o którym nigdy nie słyszał, ich strzały były szybkie jak jego nerwowe tętno. Ruszył w stronę poręczy i sprawdził niższe piętro, przez szparę w drzwiach dostrzegając zaciekawione twarze gapiów, palce na skraju stalowej futryny. To tutaj. Pięćdziesiąte szóste piętro. Tutaj widział swoją żonę po raz ostatni.

– Shirly!

Wołając ją, pokonał kolejną ćwiartkę spiralnych schodów, aż dotarł na wysokość wejścia. Trzymał się blisko środka, poza zasięgiem wzroku swoich prześladowców. Przyglądał się skrytym w cieniu twarzom.

– Moja żona! – krzyknął, zwijając dłonie wokół ust, jakby zapomniał, że to okropne dzwonienie rozbrzmiewało tylko w jego uszach, a nie w ich. – Gdzie ona jest?

Któreś usta zaczęły się poruszać. Głos był tylko odległym, stłumionym pomrukiem.

Ktoś inny pokazał w dół. Na twarzach pojawił się grymas, na dźwięk kolejnego rykoszetu drzwi zatrzasnęły się, schodami wstrząsnął przerażający stukot butów uciekinierów piętro niżej i tych, którzy biegli za nimi z góry. Znów popędził po schodach, desperacko starając się odszukać Shirly.

Piętro niżej, przekonany, że jego żona właśnie tu się ukrywa, Marck pokonał otwartą przestrzeń rzucił się na drzwi. Znów zabrzmiały wystrzały.

Złapał klamkę i szarpnął, wykrzykując imię żony w uszy równie głuche jak jego. Drzwi drgnęły, z drugiej strony musiały je trzymać jakieś niewidoczne, umięśnione ramiona. Uderzył w szkło szyby, zostawiając różowy odcisk dłoni, i wrzeszczał, by mu otworzono, wpuszczono go do środka. Pociski zadzwoniły mu tuż pod nogami – jeden zostawił rykoszetem rysę na drzwiach. Marck przykucnął, kryjąc głowę, a potem popędził z powrotem na klatkę schodową.

Zmusił się, by znów ruszyć dół. Jeśli Shirly była za tymi drzwiami, może to i lepiej. Może tam zrzucić podejrzany sprzęt, wtopić się w tłum do czasu, aż wszystko się nieco uspokoi. Jeśli była niżej – musiał ją dogonić. Tak czy siak, może zmierzać jedynie na dół.

Na kolejnym piętrze znów minął tych samych trzech ludzi z Zaopatrzenia, których spotkał wcześniej. Ranny mężczyzna siedział na podłodze z szeroko otwartymi oczami. Dwaj pozostali zajmowali się nim, na kombinezonach mieli jego krew. Jednym z pracowników Zaopatrzenia była kobieta, którą Marck mgliście pamiętał z wspinaczki na górę. Kiedy Marck zatrzymał się, chcąc sprawdzić, czy nie potrzebują pomocy, w jej oczach dostrzegł lodowaty ogień.

– Mogę go ponieść – krzyknął, przyklękając przy rannym.

Kobieta coś odpowiedziała. Marck pokręcił głową, pokazując na swoje uszy.

Powtórzyła swoje słowa, przesadnie poruszając wargami, ale Marck nic z tego nie zrozumiał. Poddała się i odepchnęła jego wyciągniętą rękę. Ranny złapał się za brzuch, na podbrzuszu rosła mu plama krwi. Zaciskał dłonie na czymś wystającym z rany – na końcu stalowego słupka kręciło się niewielkie kółko. To była noga od fotela.

Kobieta wyciągnęła bombę z plecaka – to była jedna z tych rur, które zwiastowały taką eksplozję przemocy. Z namaszczeniem wręczyła ją rannemu mężczyźnie, a ten wziął ją drżącymi rękami.

Dwóch pracowników Zaopatrzenia odciągnęło stamtąd Marcka – jak najdalej od mężczyzny, któremu z krwawiącego brzucha wystawał kawałek biurowego mebla. Wrzaski zdawały się odległe, ale dobrze wiedział, że rozbrzmiewały blisko. Tuż przy uchu. Wyrywał się do tyłu, z wzrokiem wbitym w twarz tego skazanego na zagładę człowieka. Tamten nie odrywał wzroku od Marcka. Wyciągnął bombę przed siebie, palce zacisnął na tym okropnym stalowym cylindrze, zaciśnięte zęby nadawały jego twarzy ponury wyraz.

Marck spojrzał w górę schodów, gdzie w końcu pojawiły się buty tych, którzy już niemal ich doścignęli, czarne buty niepokryte krwią, buty wroga, który był silniejszy od nich i nie czuł zmęczenia. Tamci biegli za krwawym tropem pozostawianym przez Marcka i innych rannych, szli za nimi wyposażeni w amunicję, która nigdy nie zawodziła.

Ruszył tyłem po schodach, ciągnięty przez towarzyszy, jedna ręka na poręczy, oczy skierowane w stronę obrotowych drzwi za mężczyzną, którego zostawili. Zaczęły się otwierać...

Zza drzwi wyłoniła się młoda twarz, ciekawski chłopiec chciał zobaczyć, co się dzieje. Ręce dorosłych starały się go odciągnąć.

Marcka ciągnięto w dół schodów, był już zbyt daleko by zobaczyć, co się stanie. Ale jego uszy, mimo że niemal głuche, wyłowiły odgłos wystrzałów, świst pocisków i potem wybuch, ogłuszającą eksplozję, od której zatrzęsła się cała klatka schodowa, przewracając jego i pozostałych, wciskając jego bezwładne ciało w poręcz. Strzelba wypadła mu z rąk i ze stukotem potoczyła się na skraj schodów – rzucił się za nią. Złapał ją w ostatniej chwili, nim spadła w pustą przestrzeń w środku spiralnych schodów.

Ogłuszony, kręcił tylko głową, starając się wstać z podłogi. Bez czucia potoczył się po drżących schodach, stopnie pod jego stopami podzwaniały i wibrowały, a cały silos staczał się spiralnym ruchem w czarną otchłań szaleństwa.

54

Silos 18

Prawdziwe wytchnienie nastąpiło dopiero kilka godzin później, w Zaopatrzeniu, przy górnej granicy najniższych kondygnacji. Dyskutowano o utrzymaniu tego miejsca, stworzeniu jakiejś blokady, ale nie było jasne, jak zatarasować całą klatkę schodową, wliczając przestrzeń dzielącą zewnętrzną barierę od betonowych ścian cylindra. W tej przestrzeni, gdzie samobójcy decydowali się na skok, mogły przecież przelatywać pociski, a wróg z pewnością wpadnie na jakiś pomysł, jak ją wykorzystać do przejścia na niższe piętra.

W końcówce szaleńczej ucieczki słuch Marcka zaczął wracać do normy. Słyszał na tyle dobrze, że zmęczył go rytmiczny stukot jego własnych butów, jego przepełnione bólem postękiwanie i ciężkie dyszenie. Usłyszał kogoś mówiącego o tym, że ostatnia eksplozja rozwaliła cały odcinek schodów, zahamowała pościg. Jednak na jak długo? Co uległo zniszczeniu? Nikt tego nie wiedział.

Na całym piętrze panowała napięta atmosfera; wieść o śmierci McLain głęboko zaniepokoiła pracowników Zaopatrzenia. Ranni w żółtych kombinezonach zostali zabrani do środka, ale zasugerowano przy okazji – i to niezbyt łagodnie – że ranni z Maszynowni otrzymają lepszą opiekę na niższych kondygnacjach. Tam gdzie ich miejsce.

Marck brodził pośród tych kłótni, głosy, które do niego docierały, nadal były nieco przytłumione i odległe. Wypytywał wszystkich o Shirly, kilku ubranych na żółto wzruszyło tylko ramionami, jakby jej nie znali. Ktoś powiedział, że zeszła już na dół z kilkoma rannymi. Za drugim razem powtórzył to głośniej, bo Marck nie był pewien, czy dobrze go zrozumiał.

To były dobre wieści, z tego co się orientował. Już miał sobie pójść, kiedy z tłumu wyłoniła się nagle jego żona, napędzając mu niezłego stracha.

Poznała go, otwierając oczy szeroko. I wtedy spojrzała na jego poranioną rękę.

– Mój Boże!

Wzięła go w ramiona, wciskając twarz w jego szyję. Marck przytulił ją jedną ręką, broń zawisła między nimi, zimna lufa wbijała się w jego drżący policzek.

– Wszystko z tobą w porządku? – zapytał.

Wtuliła się w niego, z czołem opartym na jego ramieniu, powiedziała coś, czego nie zrozumiał, ale co poczuł na skórze. Odsunęła się nieco, by obejrzeć jego ramię.

– Nie słyszę – rzekł.

– Nic mi nie jest – powiedziała głośniej. Pokręciła głową, oczy miała mokre i szeroko otwarte ze zdziwienia. – Nie było mnie tam. Nie było ani przez chwilę. Czy to prawda, co mówią o Knoxie? Co się stało? Jest bardzo źle?

Skupiła się na jego ranie; dobrze się czuł, gdy go trzymała – tak silna i pewna siebie. Pracownicy Maszynowni ruszyli w stronę schodów i tłum zaczął się przerzedzać. Kilku ludzi z Zaopatrzenia mierzyło Marcka wzrokiem, gapiąc się na jego ranę jakby to miał być teraz ich problem.

– Knox nie żyje – odparł. – McLain tak samo. Zginęło jeszcze kilku. Byłem tam, gdy doszło do eksplozji.

Spojrzał na swoje ramię, które żona właśnie odkryła, rozrywając podartą i pokrwawioną koszulkę.

– Postrzelili cię?

Pokręcił głową. – Nie mam pojęcia. To stało się tak szybko. – Obejrzał się przez ramię. – Gdzie oni wszyscy idą? Czemu tu nie zostaną?

Zagryzając zęby Shirly skinęła głową w stronę drzwi, przy których stały dwa rzędy osób w żółtych kombinezonach. – Chyba nie jesteśmy tu mile widziani – odparła, podnosząc głos, by mógł ją usłyszeć. – Muszę oczyścić tę ranę. Chyba dostałeś odłamkiem po wybuchu bomby.

– Nic mi nie jest – upierał się. – Wszędzie cię szukałem. Strasznie się o ciebie martwiłem.

Wtedy zobaczył, że jego żona płacze. Pomiędzy kroplami potu spływały jej łzy.

– Myślałam, że już po tobie – powiedziała. Żeby to zrozumieć, musiał czytać z ruchu warg. – Myślałam, że oni... że ty...

Przygryzła wargę i patrzyła na niego z lękiem w oczach. Marck nigdy nie widział żony tak zaniepokojonej, ani przez przeciek z zewnątrz, ani przez tąpnięcie w kopalni, które uwięziło kilkoro ich bliskich przyjaciół, ani nawet wtedy, gdy wysłano Juliette na czyszczenie. Ale teraz na jej twarzy malowała się czysta zgroza. I to przeraziło go znacznie mocniej niż wszystkie bomby i kule.

– Musimy dogonić resztę – rzekł, łapiąc ją za rękę. Przy wyjściu na klatkę schodową czuł podenerwowanie pozostałych, spojrzenia błagające ich, by wreszcie sobie poszli.

Kiedy z góry schodów znów zaczęły dobiegać okrzyki, ludzie z Zaopatrzenia schowali się za drzwiami. Marck wiedział już, że chwila wytchnienia dobiegła właśnie końca. Ale to dobrze. Odnalazł żonę. Nic się jej nie stało. Teraz już nikt nie będzie w stanie wyrządzić mu większej krzywdy.

* * *

Kiedy obydwoje dotarli na sto trzydzieste dziewiąte piętro, Marck wiedział, że im się udało. Jego nogi jakimś cudem wytrzymały. Utrata krwi go nie zatrzymała. Żona pomagała mu podczas zejścia, minęli ostatnie piętro przed Maszynownią, a on myślał już tylko o tym, że będą musieli powstrzymać tych skurwieli, którzy strzelali do nich z góry. Wewnątrz Maszynowni, będą mieli prąd, przewagę liczebną i możliwość walki na własnym terenie. A co najważniejsze, będą mogli opatrzyć rannych i trochę odpocząć. Tego najbardziej potrzebował: wytchnienia.

Pokonując ostatnie stopnie prawie się potknął i upadł, nogi nie były przyzwyczajone do płaskiego terenu, równej powierzchni, która nie jest tylko kolejnym stopniem. Nogi się pod nim ugięły i Shirly musiała go złapać. Dopiero wtedy zauważył kolejkę ludzi stojących przed bramką prowadzącą do Maszynowni.

Załoga, którą zostawili na dole, kiedy ruszali do walki, nie próżnowała. Wejście zabezpieczono stalowymi płytami. Pokryta diamencikami blacha sięgała od podłogi po sam sufit, od ściany do ściany. Przy krawędzi z sykiem poleciały iskry, jakby ktoś tam w środku właśnie kończył pracę. Wśród tłumu rannych i tych, którzy zdołali uciec, nastąpiło poruszenie. Mechanicy uderzali w barierę, napierając ze wszystkich sił. Oszalali ze strachu, wrzeszczeli i atakowali stalową płytę.

– Co do diabła? – zawołał Marck. Ruszył za Shirly w tłum. Z przodu ktoś czołgał się po podłodze, starając się przecisnąć na brzuchu przez niewielką szparę – prostokąt pustej przestrzeni pod kołowrotem bramki – szeroką na tyle, by móc się prześlizgnąć, ale też na tyle wąską, by dało się ją obronić.

– Spokojnie! Czekaj na swoją kolej – krzyknął ktoś stojący przed nimi.

Żółte kombinezony mieszały się z innymi. Niektórzy z nich byli mechanikami w przebraniach – inni zdawali się przychodzić z Zaopatrzenia, by pomóc rannym, zaplątali się w zły tłum, a może bali się, że na ich kondygnacji nie będzie bezpiecznie.

Gdy Marck starał się poprowadzić Shirly na przód tłumu, rozległ się wystrzał, a potem trzask i stukot rozgrzanej kuli, która spadła bardzo blisko. Zmienił kierunek marszu i pociągnął żonę w kierunku schodów. Panował nieludzki ścisk i przy niewielkim wejściu rozpętało się prawdziwe szaleństwo. Co rusz rozlegały się krzyki, to sprzed to zza dziury, ludzie po jednej stronie wrzeszczeli, że ktoś do nich strzela, a ci ze środka, darli się: „wchodzić pojedynczo!”.

Kilka osób leżało na brzuchach, czołgając się ku niewielkiemu otworowi. Jeden zdołał przecisnąć ramiona na drugą stronę i ktoś go przeciągnął, prześlizgnął się po stalowej kracie i zniknął w ciemnościach. Dwóch innych walczyło między sobą, by być następnym w kolejce. Wszyscy wystawili się na atak z góry. Zabrzmiał kolejny wystrzał i ktoś upadł, łapiąc się za ramię i wrzeszcząc: „trafili mnie!”. Tłum zaczął się rozpraszać. Kilka osób pobiegło ku schodom, by stopnie nad głowami dały im osłonę przed ostrzałem. Reszta zachowywała się chaotycznie, starając się wcisnąć w miejsce przeznaczone dla jednej osoby.

Kiedy postrzelono kogoś tuż obok, Shirly wrzasnęła i ścisnęła ramię Marcka. Mechanik upadł na podłogę, zwijając się z bólu. Shirly krzyczała do męża, pytając go, co mają teraz zrobić.

Marck upuścił plecak, pocałował żonę w policzek i ze strzelbą w dłoni pobiegł po schodach na górę. Starał się przeskakiwać po dwa stopnie naraz, ale nogi za bardzo go bolały. Rozległ się kolejny wystrzał, a potem zabrzęczał rykoszet. Jego ciało zdawało się niesamowicie ciężkie, powolne jak w sennym koszmarze. Trzymając broń poziomo, wspiął się na sto trzydzieste dziewiąte, ale strzelcy znajdowali się jeszcze wyżej, atakując tłum z wyższych pięter.

Sprawdził, czy ma nowy nabój w komorze prymitywnie skleconej strzelby i wysunął się na półpiętro. Kilku mężczyzn w szarych kombinezonach Ochrony przechylało się przez barierkę na wyższej kondygnacji, kierując lufy w stronę Maszynowni. Jeden poklepał towarzysza, pokazując mu Marcka. Marck przyglądał się temu zza swojej lufy.

Wystrzelił. Z góry spadła czarna strzelba, a ramiona Strzelca zawisły na barierce, zanim zsunął się na podłogę i zniknął.

Rozpoczął się zmasowany ostrzał, lecz Marck zdążył się już ukryć pod schodami. W górze i na dole rozlegały się coraz głośniejsze krzyki. Marck przeszedł na drugą stronę schodów, z dala od miejsca, w którym go widziano. Zerknął na dół. Tłum przed barierą zdążył się przerzedzić. Coraz więcej osób wciągnięto już do środka. Zobaczył Shirly, spoglądała w górę, zakrywając ręką oczy, by nie oślepiały jej światła.

Gdzieś za nim zatupotały ciężkie buty. Przeładował i odwrócił się, celując w najwyższy stopień, który był w stanie dostrzec. Czekał na tego, kto zmierzał w jego stronę.

Kiedy pojawił się pierwszy but, przygotował się do oddania strzału, czekając aż mężczyzna pojawi się przed lufą. Dopiero wtedy pociągnął za spust.

Kolejna czarna strzelba odbiła się od schodów i wypadła za barierkę, kolejny mężczyzna padł na kolana.

Marck odwrócił się i rzucił się do ucieczki. Własna broń wysunęła mu się z rąk, czuł jej uderzenie na goleniach, ale zostawił ją na podłodze, wolał się po nią nie wracać. Poślizgnął się na jednym ze stopni, upadł na tyłek i od razu się podniósł. Starał się skakać co drugi stopień, ale uciekał znów jak w koszmarze, zbyt wolno, nogi miał jak zardzewiałe...

Zabrzmiał kolejny wystrzał – stłumiony huk za jego plecami – i w jakiś sposób ktoś zdołał go dogonić, uderzyć go w plecy, trafić.

Marck poleciał naprzód, padł na schody, uderzając podbródkiem w stalowe stopnie. W ustach rozlała się krew. Próbował się czołgać, podwinął nogi i ruszył przed siebie.

Kolejny huk, kolejny cios w plecy, i wrażenie, jakby w tej samej chwili ktoś go gryzł i uderzał.

A więc to tak się czuje postrzał – pomyślał tępo. Stoczył się po ostatnich stopniach, stracił czucie w nogach i padł na kratę.

Dolne piętro było prawie puste. Przy otworze stała tylko jedna osoba. Inna już prawie była w środku, wystawały tylko jej buty.

Marck zauważył, że to Shirly, leżała na brzuchu i oglądała się na niego. Obydwoje leżeli na podłodze. Było mu tutaj tak wygodnie, stal chłodziła mu policzek. Nie musiał już zbiegać po kolejnych stopniach, nie było pocisków do przeładowania, nie było czym strzelać.

Shilrly wrzasnęła. Nie wydawała się tak szczęśliwa jak on.

Wyciągnęła rękę w jego kierunku, sięgając po niego przez szpary między kratami. Jej ciało prześlizgnęło się do przodu, szarpnęła za nie jakaś siła, a z drugiej strony pchnęła ją ta miła osoba w żółtym kombinezonie, stojąca przed tą dziwną stalową ścianą w miejscu gdzie kiedyś znajdowało się wejście do jego domu.

– Idź – powiedział jej Marck, żałując, że krzyczała. Na podłogę skapnęła krew, podkreślająca jego słowa. – Kocham cię...

I jakby na jego żądanie, jej stopy wślizgnęły się w mrok, a krzyki połknęła ta prostokątna, ciemna paszcza.

Wtedy ubrana na żółto osoba odwróciła się. Miły mężczyzna otworzył szeroko oczy, otworzył usta, a jego ciało zadrżało, gdy spadł na nie grad pocisków.

Epileptyczny taniec tego mężczyzny był ostatnią rzeczą, jaką ujrzał Marck.

I ledwie już poczuł to, co nadeszło potem: coś odległego i krótkotrwałego, co opadło na niego znienacka i było kresem jego życia.

55

Trzy tygodnie później
Silos 18

Walker pozostał na swojej pryczy, słuchając dobiegających z oddali odgłosów przemocy. Krzyki niosły się echem po jego korytarzu, dochodząc spod wejścia do Maszynowni. Potem zabrzmiał znajomy huk wystrzałów, paf, paf, paf tych dobrych, i rat-tatat tych złych.

Usłyszał niewiarygodny huk, hałas wybuchu rozrywającego stal. I nieustanne trzaski na moment umilkły. Potem kolejne krzyki. Tupot w korytarzu, tuż obok jego drzwi. Ten tupot był rytmem tego nowego świata. Słyszał tę muzykę ze swojej pryczy, nawet kiedy nakrywał głowę kocami, nawet gdy kładł na głowie poduszkę, nawet gdy błagał na głos, by to wreszcie ucichło.

Tupot w korytarzu przygnał kolejne okrzyki. Walker zwinął się, wciskając kolana w klatkę piersiową, zastanawiając się, która może być godzina, bał się że już jest rano i pora wstawać.

Nastąpiła chwilowa cisza, czas by opatrzyć rannych, których jęki były zbyt ciche, by przedostać się przez drzwi.

Walker próbował zasnąć, nim wojenna muzyka znów zacznie rozbrzmiewać. Ale, jak zawsze, cisza była jeszcze gorsza. Stawał się zaniepokojony i czekał na kolejne serie wystrzałów. To, że bardzo chciał zasnąć, sprawiało, że nie mógł nawet zmrużyć oka. I lękał się, że opór wreszcie został złamany, ci źli wygrali i teraz idą po niego...

Ktoś zaczął walić w drzwi.... drobna, wściekła pięść, której nie mógł pomylić z niczym innym. Cztery nerwowe puknięcia i cisza.

Shirly. Zostawi jego śniadanie w zwyczajowym miejscu i zabierze ze sobą resztki wczorajszej, niedojedzonej kolacji. Walker chrząknął i przetoczył swoje stare kości na drugi bok. Buciory zastukały. Ciągły pośpiech, ciągłe zdenerwowanie, nieustanna walka. I jego niegdyś cichy korytarz, leżący tak daleko od pomp i maszyn, które wymagały ciągłej uwagi, teraz stał się ruchliwą arterią. W tej chwili korytarz wejściowy nabrał znaczenia, był lejem, przez który przelewała się do środka cała nienawiść. Pieprzyć silos, ludzi na górze i maszyny na dole, walczmy po prostu o tę bezwartościową przestrzeń, niech zwłoki piętrzą się po jednej

i drugiej stronie, aż ktoś się podda, zróbmy to bo robimy to od wczoraj, nikt zresztą nie chce sięgać pamięcią dalej niż do wczoraj.

Ale Walker pamiętał...

Drzwi jego warsztatu otworzyły się z hukiem. Przez szparę swojego brudnego kokonu Walker dostrzegł Jenkinsa, dwudziestoletniego chłopaka, któremu broda dodawała lat i powagi, chłopaka, który po śmierci Knoxa odziedziczył ten cały bajzel. Facet wparował pomiędzy stoły warsztatowe i porozrzucane części, idąc w stronę pryczy Walkera.

– Nie śpię – jęknął Walker, mając nadzieję, że Jenkins sobie pójdzie.

– Tylko ci się tak wydaje – Jenkins dotarł do pryczy i dźgnął Walkera w żebra lufą swojej strzelby. – No dalej! Wstawaj, staruszku!

Walker odsunął się od niego. Wyswobodził rękę z kokonu, by zbyć tamtego machnięciem.

Jenkins popatrzył na niego ponuro, zaciskając zakryte gęstą brodą wargi. Wokół młodych oczu pojawiły się zmarszczki niepokoju. – Musimy naprawić radio, Walk. Dostajemy niezły łomot. A jeśli nie będę mógł ich podsłuchiwać, raczej nie zdołam obronić tego miejsca.

Walker spróbował się podnieść. Jenkins złapał pasek jego kombinezonu i nieco staruszkowi pomógł.

– Całą noc nie spałem – wyjaśnił mu Walker. Podrapał twarz. Z ust mu śmierdziało.

– Naprawiłeś je? Bez radia sobie nie poradzimy, Walk. Przecież wiesz, że Hank narażał życie, by je dla nas zdobyć, no nie?

– Powinien jeszcze trochę zaryzykować i załatwić nam instrukcję obsługi – zaczął narzekać Walker. Wsparł ręce na kolanach i przezwyciężając ból w stawach zdołał się podnieść i ruszyć do stołu warsztatowego, zrzucając koce na podłogę. Jego nogi nadal spały, a zdrętwiałe dłonie nie dawały zacisnąć się w pięści.

– Poradziłem sobie z baterią – powiedział Jenkinsowi. – Ale to nie ona sprawiała kłopoty. – Zerknął w stronę otwartych drzwi i w korytarzu zobaczył Harpera, pracownika rafinerii, który teraz był żołnierzem. Po śmierci Pietera Harper został zastępcą Jenkinsa. Gapił się na stojące mu pod nogami śniadanie Walkera, śliniąc się na jego widok.

– Nie krępuj się – zawołał Walker. Machnął ręką w stronę miski z parującą zupą.

Harper podniósł wzrok, otwierając szeroko oczy, ale wahał się ledwie przez sekundę. Oparłszy strzelbę o ścianę, usiadł w progu i zaczął

jeść.

Jenkins jęknął głośno, ale trzymał język za zębami.

– Widzisz te rzeczy? – Walker pokazał mu leżące na stole kawałki niewielkiego radia, połączone kablem, by można było widzieć każdy element z osobna. – Mam dopływ prądu.

– Postukał transformator, którym zastąpił baterię. – I głośniki też działają. – Wcisnął przycisk transmisji i z głośników dobiegł głośny szum. – Ale nic nie przechodzi. Oni niczego nie mówią – zwrócił się do Jenkinsa. – Przez całą noc tego nie wyłączałem, a przecież z reguły nie śpię zbyt głęboko.

Jenkins zmierzył go wzrokiem.

– Usłyszałbym coś – upierał się Walker. – Nikt się nie odezwał.

Jenkins podrapał się po twarzy, zaciskając pięść. Oczy miał zamknięte, wsparł czoło na dłoni, a w jego głosie słychać było znużenie. – A nie myślisz, że coś się zepsuło, jak to rozwalałeś na kawałki?

– Rozmontowywałem – poprawił go Walker, wzdychając. – Wcale tego nie rozwaliłem.

Jenkins spojrzał na sufit, rozluźniając pięść. – Więc wydaje ci się, że oni już z nich nie korzystają, tak? Sądzisz, że wiedzą, że my też mamy radio? Przysięgam, ten cholerny ksiądz, którego przysłali, musi być szpiegiem. Odkąd pozwoliliśmy mu tutaj robić ostatnie namaszczenia, wszystko zaczęło się walić.

– Nie mam pojęcia, co oni robią – przyznał Walker. – Pewnie nadal korzystają z radia, ale to nasze jakoś odłączyli od sieci. Słuchaj, mogę zrobić inną, mocniejszą antenę.

Pokazał mu przewody pnące się nad stołem i owinięte wokół stalowych krokwi nad ich głowami.

Jenkins śledził wzrokiem miejsca pokazywane przez palec tamtego, a potem nagle odwrócił głowę w stronę drzwi. W korytarzu znów rozległy się krzyki. Harper przerwał posiłek i zaczął nasłuchiwać. Ale tylko przez chwilę. Zaraz znów zanurzył łyżkę w jedzeniu.

– Muszę wiedzieć kiedy będę mógł ich znowu podsłuchiwać. – Jenkins postukał palcem w blat, a potem podniósł strzelbę. – Już prawie od tygodnia strzelamy na ślepo. Potrzebuję rezultatów, a nie kolejnych lekcji o tej... – Machnął ręką na pracę Walkera. – Czarnej magii.

Walker opadł na swój ulubiony stołek i spojrzał na niezliczone przewody, które kiedyś tkwiły w obudowie radia. – To nie czarna magia –

odparł. – To zwykła elektryka. – Wskazał dwie płyty, połączone kablami, które rozciągnął i odlutował, by bliżej im się przyjrzeć. – Wiem jak działa większość z tych rzeczy, ale musisz pamiętać, że nikt poza IT nie wie nic na temat tych urządzeń. Bawiąc się kablami, muszę też teoretyzować.

Jenkins podrapał się po nosie. – Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz. Pozostałe zamówienia mogą poczekać. Teraz tylko to się liczy. Rozumiesz?

Walker skinął głową. Jenkins odwrócił się i warknął na Harpera, by ten wstał z podłogi.

Zostawili Walkera na jego stołku, ich buty wystukiwały znajomy rytm.

W samotności gapił się na rozłożone na stole urządzenie, zielone światełka na tajemniczych płytach zapaliły się, jakby z niego drwiły. Ręce bez udziału świadomości sięgnęły po szkła powiększające, jakby ten ruch dyktował im wieloletni nawyk, mimo że Walker tak naprawdę marzył tylko o tym, by wrócić na pryczę, zawinąć się w swój kokon i zniknąć.

Doszedł do wniosku, że potrzebuje pomocy. Rozejrzał się po wszystkich tych sprzętach wymagających naprawy i jak zawsze do głowy przyszedł mu Scottie, jego cień, który przyjął pracę w IT, gdzie nikt nie zapewnił mu ochrony. Ten krótki czas, gdy Walker był naprawdę szczęśliwy, wymykał mu się i niknął w mrokach przeszłości. Wtedy jego życie powinno się skończyć, aby nie musiał tyle cierpieć. Ale jakoś przeżył ten radosny okres i teraz ledwie był w stanie go sobie przypomnieć'. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić jak to było budzić się rano, nie mogąc doczekać się nowego dnia, i zasypiać wieczorami będąc zadowolonym.

Teraz były tylko niepokój albo przerażenie. Czasami jeszcze żal.

I to on to wszystko zaczął, tę przemoc, te hałasy. Walker był co do tego przekonany. Miał na swoich pomarszczonych rękach krew każdej z ofiar. Z powodu jego działań popłynęła każda łza. Nikt o tym nie mówił, ale miał wrażenie, że właśnie o tym myślą. Jedna krótka wiadomość do Zaopatrzenia, jedna drobna przysługa dla Juliette, szansa odzyskania godności, możliwość sprawdzenia jej przerażającej teorii, by zginąć poza polem widzenia – a teraz nastąpiła prawdziwa lawina zdarzeń, erupcja gniewu, bezsensownej przemocy.

Doszedł do wniosku, że nie było warto. Podliczenie zysków i strat zawsze przynosiło taki wynik: nie było warto. Nic nie jest warte aż takich poświęceń.

Pochylił się nad stołem warsztatowym i znów zaczął majstrować. Tym właśnie się zajmował, zawsze zresztą tak było. Teraz już się od tego nie oderwie, nic nie powstrzyma tych palców o cienkiej skórze i pomarszczonych dłoni, których długie linie życia nie kończyły się tam, gdzie powinny. Te linie sięgały aż do kościstych nadgarstków, gdzie cienkie żyły przypominały kable w błękitnej izolacji.

Jedno cięcie, a mógłby dołączyć do Juliette i Scottiego.

To było kuszące.

Szczególnie że tam, gdzie się znajdowali, jeśli rację mieli księża, szaleni czy nie, jego dawni przyjaciele byli w miejscu znacznie lepszym od tego, w którym tkwił Walker...

56

Silos 17

Niewielkie włókno miedzi odstawało od pozostałych. Przypominało jedno z pięter silosu odstające od wielkiej klatki schodowej, płaski odcinek odrywający się od długiej spirali. Kiedy Juliette odrywała osłonę od palców, oklejając przewód, to pojedyncze włókno wbiło się jej w palec niczym żądło wściekłego owada.

Juliette zaklęła, potrząsając dłonią. Niemal upuściła przewód, który mógł spaść kilka pięter w dół.

Otarła krew o swój szary kombinezon, a potem dokończyła sklejanie złącza i przytwierdziła przewody do poręczy, by go zbytnio nie naprężać. Nadal nie miała pojęcia, czemu się oderwał, ale wszystko w tym przeklętym i zniszczonym silosie zdawało się po prostu rozpadać. Także jej umysł.

Przechyliła się przez poręcz i położyła dłoń na plątaninie rur i przewodów przymocowanych do betonowej ściany klatki schodowej. Chciała sprawdzić, czy jej ochłodzone wiejącym z głębin powietrzem dłonie wyczują jakieś drgania rur, przez które miała płynąć woda.

– Cokolwiek? – zawołała do znajdującego się w dole Solo. Wydawała się wyczuwać drobne drgania plastikowej rury, ale mogło to być tylko jej tętno.

– Chyba tak!

Słaby głos Solo poniósł się w górę echem.

Juliette zmarszczyła brwi i popatrzyła na dół słabo oświetlonego szybu, w przestrzeń pomiędzy stalowymi stopniami a grubą betonową ścianą. Będzie musiała sprawdzić to samodzielnie.

Zostawiając na schodach małą torbę z narzędziami – nie było niebezpieczeństwa, że ktokolwiek się o nią potknie – zaczęła schodzić w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Przewody elektryczne i ciągnące się w nieskończoność rury pojawiały się przed jej oczami po każdym okrążeniu spiralnych schodów, krople purpurowego kleju znaczyły każde uzyskane z trudem spojenie, które własnoręcznie wycięła i przymocowała.

Inne przewody biegły równolegle do tych, które przymocowała ona sama, przewody elektryczne odchodzące od pięter IT i ciągnące się w dół ku dolnym farmom, gdzie zasilały lampy grzewcze. Juliette zastanawiała się, kto je tu przymocował. To na pewno nie był Solo: te kable pociągnięto

w pierwszych dniach po upadku silosu numer siedemnaście. Solo po prostu stał się szczęśliwym beneficjentem ciężkiej i pełnej desperacji pracy kogoś innego. Lampy grzewcze teraz działały zgodnie ze wskazaniami czasomierzy. Zieleń zaczęła rozkwitać i mimo woni ropy i gazu, powodzi i nieruchomego powietrza, dojrzałe rośliny wyrosły naprawdę bujnie i czuć je było nawet z odległości kilku kondygnacji.

Juliette przystanęła na sto trzydziestym szóstym, ostatnim piętrze, którego nie zalała powódź. Solo starał się ją ostrzec, jeszcze gdy gapiła się na gigantyczne koparki widoczne na planie wielkości ściany. Cholera, powinna wiedzieć o powodzi nawet bez jego wyjaśnień. Woda ciągle wlewała się do jej silosu, to było nieuniknione niebezpieczeństwo życia pod poziomem wód gruntowych. Było oczywiste, że bez działających pomp, woda wieje się na najniższe piętra, a z czasem jej poziom będzie się podnosił.

Na klatce schodowej oparła się o barierkę, próbując złapać oddech. Tuzin stopni niżej Solo stał na ostatnim stopniu, który udało im się osuszyć. Prawie trzy tygodnie zakładania kabli i naprawiania instalacji wodnej, oczyszczania odcinka dolnych farm hydroponicznych, szukanie pomp i kierowanie nadmiaru wody do zbiorników, i oto zdołali osuszyć pojedynczy stopień.

Solo odwrócił się do niej i uśmiechnął szeroko. – Działa, prawda? – Podrapał się po głowie, jego niesforne włosy sterczały na wszystkie strony, a przetykana siwizną broda zadawała kłam jego młodzieńczemu entuzjazmowi. Pełne nadziei pytanie zawisło w powietrzu, stając się chmurą w mroźnym powietrzu z głębin.

– Nie działa wystarczająco dobrze – wyjaśniła mu Juliette, zdenerwowana kiepskimi efektami swojej pracy. Zerknęła w dół przez poręcz. Pokryta olejem i benzyną powierzchnia była całkowicie nieruchoma. Pod tą warstwą lśniły niepokojąco zielone światła lamp awaryjnych, nadając głębinom złowieszczy wygląd, pasujący do reszty pomieszczeń pustego silosu.

W ciszy Juliette usłyszała cichy bulgot pobliskiej rury. Zdawało jej się nawet, że słyszy odległe brzęczenie znajdującej się pod wodą pompy, mniej więcej tuzin stóp pod warstwą oleju i benzyny. Chciała zmusić tę wodę by wpłynęła do rury i pokonała dwadzieścia kondygnacji w górę, wraz z setką spojeń aż do pustych zbiorników na górze.

Solo kaszlnął w zaciśniętą pięść. – A może założymy jeszcze jedną...?

Juliette uniosła rękę, chcąc go uciszyć. Starała się obliczyć to wszystko w myślach.

Objętość ośmiu pięter Maszynowni była trudna do przeliczenia, było tam tyle różnych korytarzy i pomieszczeń, które mogą byś zalane lub nie, lecz Juliette była w stanie odgadnąć wysokość szybu od poziomu stóp Solo aż do posterunku. Pojedyncza pompa obniżyła poziom wody o mniej niż jedną stopę w ciągu dwóch tygodni. Zostało jeszcze osiemdziesiąt albo dziewięćdziesiąt stóp. Z kolejną pompą będzie trzeba roku, by osuszyć wejście do Maszynowni. W zależności od tego, w jakim stopniu poszczególne kondygnacje oparły się zalaniu, może to trwać jeszcze dłużej. Wypompowanie wody z samej Maszynowni może trwać nawet trzy-cztery razy dłużej.

– Co myślisz o uruchomieniu kolejnej pompy? – wciąż dopytywał się Solo.

Juliette dostała mdłości. Nawet z pomocą trzech małych pomp z farm hydroponicznych, i z trzema dodatkowymi rurami i przewodami, będzie musiała czekać rok, może nawet dwa, zanim osuszy cały silos. Nie była pewna, czy miała cały rok. Ledwie kilka tygodni życia w tym opuszczonym miejscu, sam na sam z nieco szalonym mężczyzną, i już zaczynała słyszeć jakieś poszeptywania, zapominać gdzie coś zostawiła, odkrywać zapalone światła, które na pewno pogasiła. Albo zaczynała tracić zmysły, albo Solo świetnie się bawił wkręcając ją w to. Po dwóch latach takiego życia, z domem tak blisko, a jednocześnie tak daleko...

Przechyliła się przez poręcz, czując, że zaraz chyba zwymiotuje. Kiedy popatrzyła na swoje odbicie w warstwie oleju, nagle przyszedł jej do głowy pomysł znacznie bardziej szalony niż spędzenie dwóch lat w tym silosie.

– Dwa lata – powiedziała Jules. To brzmiało niczym wyrok śmierci. – Dwa lata. Tak długo to potrwa, jeśli włączymy jeszcze trzy pompy. Sześć miesięcy zejdzie na klatkę schodową, ale z resztą będzie szło jeszcze wolniej.

– Dwa lata! – zawołał śpiewnie Solo. – Dwa lata, dwa lata! – Dwa razy tupnął podeszwą w zanurzony w wodzie stopień, wzbudzając fale, od których jej odbicie zadrżało. Odwrócił się i popatrzył na nią. – To błyskawicznie!

Juliette starała się zapanować nad frustracją. Dwa lata tutaj będą jak wieczność. A zresztą co mogą odkryć tam na dole? W jakim stanie może być główny generator? Albo koparki? Maszyna zanurzona w czystej wodzie mogła przetrwać, dopóki nie dostało się do niej powietrze, ale jak tylko pompy ją osuszą, zacznie się korozja. Taki był okropny wpływ tlenu działającego na mokry metal, który niszczył każdy nadający się do użytku sprzęt na dole. Maszyny i narzędzia trzeba by natychmiast osuszyć i naoliwić. A że jest ich tylko dwoje...

Juliette przerażona przyglądała się, jak Solo nachyla się, odgarniając warstwę oleju spod nóg, a potem wynurza dłonie z brudnej wody. Pijąc, siorbał głośno i radośnie.

– Dobra, ale jak będzie działać tylko jedna, to nam nie wystarczy.

Może da chociaż radę uratować zapasowy generator. Nie będzie wymagał aż takiego nakładu pracy, a dostarczy mnóstwo prądu.

– Co będziemy robić przez dwa lata? – zapytał Solo, ocierając brodę wierzchem dłoni i podnosząc wzrok.

Juliette pokręciła głową. – Nie będziemy czekać przez dwa lata – stwierdziła. Nawet minione trzy tygodnie to było dla niej zbyt wiele. Ale tego już mu nie powiedziała.

– Okay – odparł, wzruszając ramionami. Poczłapał w górę schodów w swoich za dużych butach. Jego szary kombinezon też był na niego za duży, wyglądał jak mały chłopiec noszący ubrania szyte na swojego ojca. Dołączył do Juliette na klatce schodowej i uśmiechnął się do niej zza swojej błyszczącej brody. – Zdaje się masz jeszcze inne projekty – rzekł radośnie.

Skinęła głową, nie odzywając się. Nad czymkolwiek obydwoje pracowali, czy to była naprawa przewodów, które od dawna nie działały, czy usprawnianie działania farm, czy też reperowanie instalacji, Solo nazywał wszystko „projektami”. I twierdził, że wprost kocha te projekty. Doszła do wniosku, że musiało się to jakoś wiązać z jego młodością, jakimś instynktem przetrwania, który wypracował w minionych latach, dzięki któremu do każdego zadania brał się z uśmiechem, nie myśląc o koszmarze samotności.

– Och, mamy przed sobą naprawdę spory projekt – odparła Juliette, już bojąc się czekającej ich pracy. W myślach zaczęła już tworzyć listę wszystkich narzędzi i części zamiennych, które muszą zdobyć w drodze powrotnej.

Solo zaśmiał się i klasnął w dłonie. – Świetnie – powiedział. – Więc wracamy do warsztatu! – Zakręcił palcem nad głową, pokazując długą trasę wspinaczki, jaka ich czeka.

– Jeszcze nie – odparła. – Najpierw coś zjemy przy farmach. Potem musimy zabrać parę rzeczy z Zaopatrzenia. A później będę musiała spędzić sama trochę czasu w serwerowni. – Juliette odsunęła się od poręczy i szybu pełnego srebrno-zielonej wody. – Zanim zaczniemy robotę w warsztacie będę chciała zadzwonić...

– Zadzwonić! – nadąsał się Solo. – Tylko nie to. Ciągle wisisz na tym głupim urządzeniu.

Juliette zignorowała jego uwagę i ruszyła po schodach w górę. Zaczęła długą wspinaczkę do IT, piątą w ciągu trzech tygodni. Wiedziała, że Solo ma rację: zbyt wiele czasu traciła na dzwonienie, zbyt często miała na uszach słuchawki, wsłuchując się w sygnał. Wiedziała, że to czyste szaleństwo, że stopniowo traciła zmysły, ale siedzenie w serwerowni z mikrofonem przy ustach i światem wyciszonym słuchawkami na uszach – będąc połączonym kablem wiodącym z martwego świata do tego, który tętnił życiem – to była jedyna rzecz w silosie siedemnastym, dzięki której jeszcze całkiem nie oszalała.

57

Silos 18
...w tym roku Wojna Secesyjna objęła 33 stany.
Pochłonęła więcej ofiar wśród Amerykanów niż wszystkie kolejne
wojny razem wzięte. Cztery lata spustoszenia, ruin, dymu i bratobójczych
walk. Zginęło ponad pół miliona osób.
Według niektórych obliczeń nawet dwa razy tyle. Choroby, głód
i rozpacz zdominowały nasze życie... ’

Strony książki zaświeciły czerwienią, gdy Lukas dotarł do opisów pól walki. Przerwał czytanie i zerknął na wiszące nad głową lampy. Białe światło zastąpiła teraz migająca czerwień, co znaczyło, że ktoś był nad nim, w serwerowni. Podniósł srebrną nitkę leżącą na kolanach i ostrożnie włożył ją do książki. Zamknął stary tom i delikatnie odłożył go do puszki, a potem wsunął ją w puste miejsce na półce, uzupełniając szeroki regał srebrzystych grzbietów. Idąc na palcach przez pokój, schylił się przy komputerze i potrząsnął myszką, by wyłączyć wygaszasz.

Na ekran wskoczyło okno z widokiem serwerowni, nieco zniekształconym przez szeroki obiektyw kamery. To było kolejny sekret w pokoju pełnym sekretów, możliwość podglądania odległych miejsc. Lukas przejrzał obraz z kilku kamer, zastanawiając się czy Sammi albo inny technik został wezwany do naprawy. Jego burczący brzuch żywił nadzieję, że może to ktoś, kto przyniósł dla niego lunch.

Na obrazie z kamery czwartej dostrzegł gościa: wysoka postać w szarym kombinezonie, miała okulary i wąsy. Nieco się garbiła, trzymając tacę ze sztućcami, szklanką, z której wylewała się woda, i nakryty talerz, po części opierając tacę o wystający brzuch. Przechodząc, Bernard zerknął w stronę kamery, przeszywając Lukasa wzrokiem mimo dzielącej ich odległości, a pod wąsami zamajaczył niemrawy uśmiech.

Lukas odszedł od komputera i popędził korytarzem, by otworzyć właz. Bose stopy plaskały miękko o chłodną stalową kratę. Bez wysiłku wspiął się po drabinie i przekręcił zniszczoną czerwoną klamkę. Kiedy zaczął podnosić właz, cień Bernarda spuścił drabinę w mrok. Lukas przesunął fragment podłogi i właz ze stukotem opadł na bok.

– Nieźle cię dziś rozpieszczam – stwierdził Bernard. Pociągnął nosem i odkrył talerz. W powietrze wzbiła się wstęga pary, unosząca się

z dwóch porcji żeberek, które kryły się pod spodem.

– Łał. – Na widok mięsa Lukasowi znów zaburczało w brzuchu. Wyczołgał się z włazu i usiadł na podłodze, opuszczając stopy przy drabinie. Położył sobie tacę na kolanach i podniósł sztućce. – Myślałem, że wszyscy w silosie do czasu końca rebelii dostają tylko wydzielone racje.

Wyciął kawałek delikatnego mięsa i wsunął je sobie do ust. – Nie żebym narzekał, no wiesz. – Przeżuwał mięso, ciesząc się dużą ilością protein, i pamiętając, by być wdzięcznym za poświęcenie zwierzęcia.

– Racje nie zostały zwiększone – odparł Bernard. – Na bazarze doszło do zamieszek, a ta biedna Świnia dostała się w krzyżowy ogień. Nie mogłem pozwolić, by się zmarnowała. Rzecz jasna większość mięsa trafiła do rodzin tych, którzy zginęli w walce.

– Mmm? – Lukas przełknął mięso. – Ilu straciliśmy?

– Pięciu, no i jeszcze ta trójka z pierwszego starcia.

Lukas potrząsnął głową.

– Jak się tak zastanowić, nie wygląda to wcale najgorzej. – Bernard otarł dłonią wąsy, nie odrywając wzroku od Lukasa. Ten wskazał gestem widelec, chcąc go poczęstować, ale Bernard zbył go machnięciem ręki. Starszy mężczyzna oparł się o pusty serwer, w którym znajdował się nadajnik oraz klamka otwierająca właz. Lukas starał się nie zwracać na to uwagi.

– Jak długo będę się musiał tutaj ukrywać? – Chciał brzmieć w miarę spokojnie, jakby każda odpowiedź była dla niego zadowalająca. – Minęły już chyba ze trzy tygodnie? – Odkroił kolejny kawałek mięsa, nie zwracając uwagi na warzywa. – Myślisz, że to potrwa jeszcze kilką dni?

Bernard podrapał policzki i przeczesał palcami rzadkie włosy. – Mam nadzieję, ale pewności nie mam. To zależy od Simsa, a on twierdzi, że zagrożenie jeszcze nie minęło. Ci w Maszynowni nieźle się zabarykadowali. Grożą, że odetną nam zasilanie, ale nie sądzę, by naprawdę mieli to zrobić. Chyba w końcu zrozumieli, że nie mają władzy nad prądem pobieranym przez nasze kondygnacje. Pewnie próbowali nam go odciąć przed szturmem i dziwili się, że nadal mamy światło.

– Myślisz, że będą chcieli odciąć zasilanie na farmach? – Zastanawiając się nad wydzielanymi racjami ze strachem doszedł do wniosku, że mieszkańcy silosu zaczną głodować.

Bernard zmarszczył brwi. – Pewnie tak. To prawdopodobne. Jeśli będą wystarczająco zdesperowani. Ale to tylko zniszczy wsparcie, jakie te

brudasy mogą mieć na górze. Nie przejmuj się, w końcu zgłodnieją i się poddadzą. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Lukas skinął głową i pociągnął łyk wody. Doszedł do wniosku, że nigdy jeszcze nie jadł lepszej wieprzowiny.

– A mówiąc o planach – odezwał się znowu Bernard. – Idzie ci jakoś studiowanie księgi?

– Pewnie – skłamał Lukas. Skinął głową. Tak naprawdę praktycznie nie zaglądał do księgi Nakazów. Inne informacje interesowały go znacznie bardziej.

– Świetnie. Kiedy minie to całe zamieszanie, dam ci jeszcze kilka dodatkowych zmian w serwerowni. Przez ten czas będziesz mi cieniował. Kiedy już przełożymy datę wyborów, a nie wydaje mi się, by ktoś jeszcze miał się ubiegać o urząd, szczególnie po tym, co się wyprawia, będę przebywać na górze znacznie częściej. Wtedy całe IT będzie tylko i wyłącznie twoje.

Lukas odstawił szklankę i podniósł serwetkę. Otarł usta, namyślając się nad tym, co właśnie usłyszał. – Cóż, mam nadzieję, że nie masz na myśli czegoś, co będzie się działo dopiero za parę tygodni. Mam wrażenie, że zostały mi całe lata...

Brzęczenie sprawiło, że Lukas przerwał w pół zdania. Zamarł, a serwetka wypadła mu z ręki i wylądowała na tacy.

Bernard odskoczył od serwera, jakby poraził go prąd, albo jakby czarna obudowa nagle zrobiła się gorąca.

– Cholera jasna! – zawołał, waląc pięścią w serwer. Zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu klucza.

Lukas zmusił się, by nie przerywać posiłku i zachowywać się naturalnie. Ciągłe dzwonienie sprawiało, że Bernard robił się coraz bardziej poirytowany. Przestał zachowywać się racjonalnie. Lukas czuł się, jakby znów mieszkał z ojcem, wrócił do czasów, które miały miejsce zanim gin posłał tamtego do ziemi.

– Słowo, kurwa, daję – mamrotał Bernard, starając się w odpowiedniej kolejności pootwierać zamki. Zerknął na Lukasa, który z namysłem żuł mięso, nagle nawet nie czując jego smaku.

– Mam dla ciebie pewien projekt – stwierdził, mocując się z ostatnim zamkiem – Lukas wiedział, że ten lubił się czasem zacinać. – Chcę, żebyś założył tu z tyłu panel, prosty wyświetlacz LED. Wymyśl jakiś

kod, żebyśmy widzieli, kto do nas dzwoni. Muszę wiedzieć, czy to ważne, czy możemy to po prostu zignorować.

Wyszarpnął tylną część obudowy z serwera i tłukąc się, odstawił ją za siebie, koło serwera numer czterdzieści. Lukas pociągnął kolejny łyk wody, a Bernard zajrzał do mrocznego środka urządzenia, wpatrując się w mrugające nad gniazdami światełka. Czarne bebechy serwera i gorączkowe dzwonienie wyciszyły wyszeptywane przez Bernarda przekleństwa.

Wystawił głowę na zewnątrz, czerwony ze złości, i zwrócił się do Lukasa, który właśnie odstawiał kubek na tacę. – Tak po prawdzie, to chcę mieć tutaj dwa światła. – Pokazał bok serwera. – Czerwone dla serwera siedemnastego. I zielone dla wszystkich pozostałych. Zrozumiano?

Lukas skinął głową. Wbił wzrok w tacę i zaczął kroić ziemniaka, znów myśląc o swoim ojcu. Bernard odwrócił się, chwytając tylny panel serwera.

– Mogę to założyć – wymamrotał Lukas, z gorącym ziemniakiem w ustach; oddychał z otwartymi ustami, żeby nie poparzyć języka, potem przełknął i napił się wody.

Bernard zostawił panel tam, gdzie stał. Odwrócił się i ze złością spojrzał w ciemne trzewia maszyny, skąd dobiegało dzwonienie, i gdzie światełko migało nieprzerwanie.

– Świetny pomysł – odparł. – Niech to będzie twoje pierwsze zadanie.

W końcu szalone brzęczenie w serwerze ucichło, w pomieszczeniu zapadła cisza, przerywana jedynie szczękiem sztućców Lukasa. Przypominała mu przesycone smrodem alkoholu cisze z jego młodości. Wkrótce – tak jak ojciec, który padał nieprzytomnie na podłogę w kuchni albo łazience – Bernard sobie stąd pójdzie.

I jak na sygnał, jego nadzorca i szef zarazem wstał, znów gasząc światła i więżąc Lukasa w ciemnościach.

– Smacznej kolacji – rzucił. – Później przyślę Petera, żeby zabrał talerze.

Lukas nabił fasolę na widelec. – Naprawdę? Myślałem, że to dopiero lunch. – Wsadził sobie fasolę w usta.

– Już po ósmej – odparł Bernard. Wygładził swój kombinezon. – Ach, rozmawiałem dziś z twoją matką.

Lukas odłożył widelec. – Tak?

– Przypomniałem jej, że wykonujesz bardzo ważną pracę dla silosu, ale ona strasznie się chce z tobą zobaczyć. Rozmawiałem na ten temat z Simsem...

– Wpuścicie ją do serwerowni?

– Ale tylko tu, na górę. Żeby widziała, że nic ci nie jest. Zorganizowałbym to w innym miejscu, ale Sims wybił mi to z głowy. Nie wie, na ile lojalni są nasi technicy. Nadal szuka źródła przecieku...

Lukas przełknął mięso. – Sims to paranoik. Żaden technik nie będzie się zadawał z brudasami. Nie zdradzą ani silosu, ani tym bardziej ciebie. – Podniósł żeberko i wgryzł się w resztki mięsa.

– Mimo to przekonał mnie, bym dbał o twoje bezpieczeństwo. Dam ci znać, kiedy już będzie wiadomo w sprawie wizyty matki.

Barnard schylił się i uścisnął ramię Lukasa. – Dzięki, że jesteś taki cierpliwy. Cieszę się że szkolę kogoś, kto wie, jak ważna jest ta praca.

– Och, pewnie, w pełni to rozumiem – odparł Lukas. – Dla silosu zrobię wszystko.

– Wspaniale. – Bernard uścisnął mu rękę, a potem się wyprostował. – Czytaj księgę Nakazów. Szczególnie rozdziały na temat powstań i insurekcji. Chcę żebyś się czegoś nauczył na wypadek, Boże uchroń, że coś takiego zdarzy się, gdy ty będziesz tu rządził.

– Przeczytam – odparł Lukas. Odłożył kość i otarł usta serwetką. Bernard zbierał się już do wyjścia.

– Och... – zatrzymał się i znów odwrócił do Lukasa. – Wiem, że nie muszę ci tego przypominać, ale pod żadnym pozorem nie odbieraj telefonów z tego serwera. – Wskazał palcem komputer. – Nie wspominałem o tobie jeszcze innym szefom IT, więc twoje stanowisko będzie... cóż, poważnie zagrożone, jeśli zaczniesz rozmawiać z którymś z nich przed objęciem urzędu.

– Żartujesz? – Lukas pokręcił głową. – Myślisz, że chciałbym gadać z kimś, przez kogo aż tak się denerwujesz? Nie, wielkie dzięki.

Bernard uśmiechnął się, ocierając ręką czoło. – Lukas, dobry z ciebie człowiek. Cieszę się, że cię mam.

– A ja się cieszę, ze mogę służyć silosowi – odparł Lukas. Podniósł kolejne żeberko i uśmiechnął się do swojego szefa, Bernard zaś w odpowiedzi wyszczerzył się do niego. W końcu starszy mężczyzna wyszedł, stukając głośno butami o stalową kratę, i znikając za ciężkimi

drzwiami, które więziły Lukasa i pełne sekretów maszyny, stojące wszędzie dookoła.

Lukas jadł dalej, słuchając jak Bernard wbija nowy kod – kadencję znajomych, choć nierozpoznawalnych sygnałów, jedyny kod, którego Lukas nie posiadał.

Dla twojego dobra, twierdził Bernard. Kiedy żuł tłusty kawałek mięsa, drzwi zatrzasnęły się głośno, a czerwone światło pod drabiną przestało migać.

Lukas rzucił kość na talerz. Odsunął na bok ziemniaki, walcząc z odruchem wymiotnym na ich widok. Zaczął się zastanawiać, gdzie leżą kości jego ojca. Odstawiwszy tacę na kratę podłogi, wyciągnął nogi znad drabiny i podążył do cichego serwera.

Słuchawki gładko wysunęły się z sakiewki. Założył je na uszy, trąc dłońmi o wyhodowaną w ostatnich trzech tygodniach brodę. Chwyciwszy kabel, wetknął go w gniazdo numer 17.

Następnie usłyszał kilka sygnałów, w oczekiwaniu na połączenie. Pomyślał o sygnale rozbrzmiewającym po drugiej stronie kabla, o migających światłach.

Czekał z zapartym tchem.

– Halo?

Głos zabrzmiał w słuchawkach. Lukas uśmiechnął się.

Usiadł, opierając się o serwer oznaczony czterdziestką, by było mu wygodniej.

– Jak ci się tam wiedzie?

58

Silos 18

Walker machnął ręką nad głową, starając się wyjaśnić swoją nową teorię na temat tego, jak funkcjonuje radio. – No więc ten dźwięk, te transmisje, one są jak fale rozchodzące się w powietrzu, rozumiesz? – Palcami śledził niewidzialne głosy. Nad nim, z krokwi zwisała trzecia wielka antena, którą skonstruował w ciągu ostatnich dwóch dni. – Te fale lecą w górę i w dół po przewodach... – Gestem pokazał całą długość anteny. – ...Dlatego im dłuższa, tym lepsza. Wyłapuje ich więcej z powietrza.

Ale jeśli te fale są wszędzie, to dlaczego żadnych nie chwytamy?

Walker skinął głową i kiwnął palcem z uznaniem. To było dobre pytanie. Cholernie dobre pytanie. – Tym razem je złapiemy – stwierdził. – Jesteśmy blisko. – Podkręcił zbudowany przez siebie wzmacniacz, znacznie mocniejszy od tego maleństwa, które tkwiło w starym radiu Hanka. – Słuchaj.

Pokój zalał szum, jakby ktoś głośno szeleścił folią.

Wcale tego nie słyszę.

– Bo powinieneś być cicho. *Słuchaj*.

Był. Słaby, ledwo słyszalny, ale spośród wszechobecnego syku wyłonił się hałas transmisji.

Słyszałem!

Walker skinął głową, czując że rozpiera go duma. Mniej chodziło o stworzone urządzenie, a bardziej o jego bystrego ucznia. Popatrzył na drzwi, upewniając się, że nadal są zamknięte. Rozmawiał ze Scottiem wyłącznie przez zamknięte drzwi.

– Nie rozumiem tylko, czemu to nie może być wyraźniejsze. – Podrapał się w brodę. – Chyba że jesteśmy po prostu zbyt głęboko w ziemi.

Zawsze byliśmy tak głęboko – zauważył Scottie. *A ten szeryf, którego poznaliśmy przed laty, przez swoje radio porozumiewał się całkiem normalnie.*

Walker podrapał zarost na policzku. Jak zwykle jego mały cień miał stuprocentową rację.

– Cóż, mam tutaj tę małą płytkę, której nie mogę rozgryźć. To chyba właśnie ona oczyszcza sygnał. Wydaje się, że wszystko przez nią przechodzi. – Obrócił się na stołku w stronę warsztatu, pełnego zielonych

płyt i kolorowych kabli potrzebnych to tego szczególnego projektu. Opuścił szkło powiększające i popatrzył pytająco na płytkę. Wyobraził sobie, że Scottie pochyla się wraz z nim.

Po co jest ta naklejka? Scottie wskazał maleńką kropkę z nadrukowanym numerem 18. To Walker nauczył Scottiego, że zawsze, gdy się czegoś nie wie, trzeba się do tego przyznać. Jeśli nie potrafiłeś tego zrobić, nigdy tak naprawdę niczego się nie dowiesz.

– Nie jestem pewien – przyznał. – Ale patrz, ta mała płytka łączy się z radiem za pomocą płaskiego kabla.

Scottie skinął głową.

– Zupełnie jakby można było ją podmieniać. Może często się przepala. Mam wrażenie, że ta część wstrzymuje nasze postępy, to coś jak przepalony bezpiecznik.

Możemy ją ominąć?

– Ominąć? – Walker nie był pewien, o co tamtemu chodzi.

Zrobić jakieś obejście. Na wypadek, gdyby była spalona.

– Wtedy możemy spalić coś innego. To znaczy, nie byłoby jej tu, gdyby nie była konieczna. – Walker chwilę się namyślał. Już chciał dodać, że to samo tyczy się Scottiego, jego uspokajającego głosu. Ale z drugiej strony, nigdy mu nie szło wyjaśnianie swoich emocji względem cienia. Zupełnie inaczej niż z przekazywaniem wiedzy.

Cóż, ja bym tak zrobił...

Rozległo się pukanie do drzwi, a potem skrzypnęły zawiasy, których celowo nie oliwił. Scottie zlał się w jedno z cieniami pod warsztatem, a jego głos zniknął w szumie płynącym z głośników.

– Walk, co tu się do diabła wyprawia?

Obrócił się na stołku, piękny głos i okrutne słowa potrafiła łączyć w ten sposób jedynie Shirly. Przyszła do jego warsztatu, niosąc tacę nakrytą serwetką. Na jej twarzy widać było grymas rozczarowania.

Walker ściszył nieco dobiegające z radia szumy. – Staram się naprawić...

– Nie, chcę wiedzieć, o co chodzi z tym twoim niejedzeniem. – Postawiła przed nim tacę i odkryła ją, a z leżącej na talerzu kukurydzy uniosła się wstęga pary. – Zjadłeś dziś rano śniadanie, czy dałeś je komuś innemu?

– To za dużo – powiedział, patrząc na trzy lub cztery racje pożywienia.

– Nie. Skoro oddajesz komuś własne racje, to wcale nie. – Wetknęła mu widelec w dłoń. – Jedz. Bo niedługo wypadniesz z własnego kombinezonu.

Walker wbił wzrok w kukurydzę. Przemieszał ją widelcem, ale miał za bardzo ściśnięty żołądek, by czuć głód. Miał wrażenie, że nie jadł już od tak dawna, że nigdy nie będzie głodny. Supeł na żołądku będzie się zaciskał coraz bardziej, a potem Walker nie będzie musiał już wcale się odżywiać...

– Jedz, do jasnej cholery.

Podmuchał leżący na widelcu kawałek, wcale nie mając na niego ochoty, ale w końcu wsadził go sobie w usta, byle tylko Shirly była zadowolona.

– I nie chcę już słyszeć o tym, jak moi ludzie stoją pod twoimi drzwiami żebrząc o żarcie, dobra? Nie możesz im oddawać swoich racji. Zrozumiano? A teraz połknij kolejny kęs.

Walker przełknął kukurydzę. Musiał przyznać, że gdy czuł spływające przełykiem ciepłe jedzenie, było mu dobrze. Nabrał kolejną porcję. – Jeśli zjem tak dużo, to się pochoruję – stwierdził.

– Ale jeśli tego nie zjesz, to ja cię zamorduję.

Zerknął na nią, spodziewając się zobaczyć uśmiech. Ale Shirly się nie uśmiechała. Nikt już się nie uśmiechał.

– A co to za przeklęty hałas? – odwróciła się i rozejrzała po stole warsztatowym, szukając źródła zakłóceń.

Walker odłożył widelec i przekręcił pokrętło. Było przylutowane do kilku oporników, a samo nazywało się potencjometrem. Nagle poczuł, że zamiast jeść, powinien jej to wszystko wyjaśnić. Mógłby wytłumaczyć, w jaki sposób poradził sobie ze wzmacniaczem, czemu potencjometr był tylko opornikiem, jak niewielki ruch pokrętła potrafił wyostrzyć odbiór tego...

Walker przestał kręcić. Podniósł widelec i znów przemieszał kukurydzę. Słyszał szept Scottiego, ukrytego pośród cieni.

– Tak lepiej – odparła Shirly, mając na myśli to, że ściszył te szumy. – Ten hałas jest jeszcze gorszy niż ten ze starego generatora. Cholera, jeśli potrafisz to wyłączyć, czemu w ogóle tak bardzo to pogłaśniałeś?

Walker wziął kolejny kęs. Przeżuwając, odłożył widelec i sięgnął po lutownicę. W koszu z drobnymi częściami zaczął szukać kolejnego kawałka potencjometru.

– Potrzymaj – powiedział do Shirly. Pokazał jej przewody wystające z potencjometru.

– Jeśli dzięki temu będziesz dalej jadł. – Chwyciła kabel i widełki między palce a kciuki.

Walker wziął kolejny kęs, zapominając podmuchać. Kukurydza poparzyła mu język. Przełknął bez przeżuwania, czując ogień w piersi. Shirly kazała mu zwolnić, nie śpieszyć się aż tak bardzo. Zignorował jej uwagę i przekręcił pokrętło potencjometru. Igła na multimetrze zaczęła tańczyć, dając znak, że jego działanie przyniosło skutek.

– Może zrobisz sobie przerwę i dokończysz jedzenie, a ja tego przypilnuję? – Shirly odsunęła stołek od stołu i usiadła na nim.

– Nie, jest za gorące – odparł, machając ręką przy ustach. Chwycił zwój cyny i przystawił go do lutownicy. – Musisz przytrzymać przy tym ten czarny przewód. – Delikatnie dotknął opornika na płytce z numerem 18. Shirly nachyliła się nad tą płytką.

– A potem dokończysz kolację?

– Obiecuję.

Zmierzyła go wzrokiem, jakby chciała podkreślić, że traktuje to przyrzeczenie bardzo poważnie. Potem zrobiła to, co kazał jej zrobić.

Jej uchwyt nie był tak pewny jak uchwyt Scottiego, ale opuścił szkło powiększające i szybko przylutował niezbędny element. Pokazał jej, gdzie ma iść czerwony przewód i także go przylutował. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, zawsze może je odczepić i spróbować czegoś innego.

– Nie pozwól, żeby jedzenie wystygło – upomniała go Shirly. – Wiem, że zimnego nie zjesz, a ja nie mam zamiaru wracać na stołówkę, żeby ci to podgrzać.

Walker gapił się na małą płytkę z numerem na naklejce. Z ociąganiem znów sięgnął po widelec i nałożył sobie kolejny kęs.

– Jak to wygląda tam na zewnątrz? – zapytał, dmuchając na kukurydzę.

– Gównianie – odparła Shirly. – Jenkins i Harper kłócą się, czy powinni wyłączyć zasilanie w całym silosie. Ale niektórzy goście byli tam, kiedy, no wiesz, Knox i...

Odwróciła wzrok, nie kończąc zdania.

Walker skinął głową, przeżuwając.

– Niektórzy twierdzą, że tamtego ranka IT miało pełną moc, mimo że ich odcięliśmy.

– Może zdołali ją jakoś do siebie przekierować – odparł. – Albo mieli zapasowe baterie. Posiadają je przecież. – Zjadł kolejny kęs, ale już go korciło, by podkręcić potencjometr. Był przekonany, że szum zmienił się, po tym jak zrobił drugie złącze.

– Wciąż im powtarzam, że takie pogrywanie z silosem narobi nam więcej szkód niż pożytku. Pozostali zwrócą się przeciwko nam.

– Tak. Ej, możesz to podregulować? No wiesz, kiedy ja jestem zajęty jedzeniem?

Pogłośnił nieco szumy, ale żeby zająć się pokrętłem przymocowanym do przewodów potrzebował obu rąk. Shirly zdawała się kurczyć na szumy dochodzące z głośników. Sięgnęła w stronę pokrętła, jakby chciała ściszyć ten hałas.

– Nie, chcę, żebyś kręciła tym, który właśnie żeśmy zamontowali.

– Co do diabła, Walk? Zjedzże wreszcie to cholerne żarcie!

Wziął kolejny kęs. I mimo przekleństw i protestów, Shirly zaczęła poruszać pokrętłem.

– Powoli – powiedział jej, mając pełne usta.

I po chwili szum dochodzący z głośników nieco się zmienił. Zupełnie jakby ktoś mnący folię zaczął się przemieszczać.

– Co ja w ogóle robię?

– Pomagasz staruszkowi...

– ...Pewnie, chyba będę potrzebował twojej pomocy...

Walker upuścił widelec i wyciągnął rękę, by ją powstrzymać. Mimo to poruszyła pokrętłem i znów słychać było tylko szum. Shirly chyba intuicyjnie to wyczuła. Przygryzła wargę i przesunęła pokrętło w przeciwnym kierunku.

– Brzmi nieźle. Tu na dole jest spokojnie. Mam przynieść mój sprzęt?

– Udało ci się – wyszeptała Shirly, jakby tamci mogli ją usłyszeć, gdyby zaczęła mówić głośniej. – Naprawiłeś...

Walker uniósł dłoń. Rozmowa trwała dalej.

– Nie trzeba. Możesz go zostawić. Zastępca Roberts już przyniosła swój. Właśnie szuka tropów...

– Ja tu pracuję, a on się obija! – dało się słyszeć gdzieś w tle.

Walker odwrócił się do Shirly, a z radia dobiegły śmiechy, więcej niż jedną osobę musiał ten żart ubawić. Walker już od dawna nie słyszał

niczyjego śmiechu. Ale on się nie zaśmiał. Czuł że marszczy brwi, zmieszany.

– Co się dzieje? – zapytała Shirly. – Udało się! Naprawiliśmy radio! – .Zeskoczyła ze stołka i już chciała biec, by powiedzieć o wszystkim Jenkinsowi.

– Czekaj! – Walker otarł brodę i wskazał widelcem, walające się wszędzie części radia. Shirly stała o krok od niego, szeroko uśmiechnięta.

– Zastępca Roberts? – zapytał Walker. – A któż to niby ma być?

59

Silos 17

Juliette zapaliła światła w laboratorium, dźwigając ostatni ładunek przyniesiony z Zaopatrzenia. W przeciwieństwie do Solo, wolała nie przeceniać faktu, że ciągle mają prąd. Nie wiedziała, skąd się brał, więc bała się, że wkrótce może się skończyć. Więc kiedy on miał niemal kompulsywny zwyczaj nie gaszenia świateł, ona starała się oszczędzać tyle tej tajemniczej energii, ile się tylko dało.

Położyła najnowsze łupy na pryczę, zastanawiając się, co u Walkera. Czy właśnie w taki sposób skończył, żyjąc w miejscu pracy. Czy to była taka obsesja, nieodparty pociąg, by wciąż brać się za rozwiązywanie kolejnych, niekończących się spraw, aż w końcu spało się pośród nich?

Im bardziej rozumiała staruszka, tym mocniej czuła dzielącą ich odległość i tym samotniejsza się stawała. Usiadła i pomasowała nogi, uda oraz łydki zesztywniałe po wspinaczce. W ostatnich tygodniach jej nogi miały siłę nóg tragarza, ale i tak czuła w nich ból, co dla niej było zupełnie nowym uczuciem. Masując mięśnie przekształcała odrętwienie w zwykły ból, który z jakiegoś powodu wydawał jej się lepszy. Wolała ostre i możliwe do opisania wrażenia od tych jednostajnych, które nie miały nazwy. Wolała te uczucia, które rozumiała.

Zdjęła buty – dziwnie było myśleć, że te złupione rzeczy należą do niej – i wstała. Tyle odpoczynku powinno starczyć. Tylko na tyle mogła sobie pozwolić. Zaniosła swoje płócienne sakiewki do jednego z luksusowych stołów warsztatowych – wszystko w laboratorium wyglądało lepiej niż w jej Maszynowni. Nawet części zaprojektowane po to, by się psuć były tworzone z takim chemicznym i inżynierskim wyszukaniem, że po odkryciu ich złych zamiarów, zaczęła je w pełni doceniać. Zgromadziła całe sterty uszczelek i podkładek, tych dobrych z Zaopatrzenia, ale też wadliwych z laboratorium, by sprawdzić jak działa system. Leżały na głównym stole warsztatowym, by przypominać jej o diabelskim systemie zabijania, którego padła ofiarą.

Porzuciła rzeczy z Zaopatrzenia i zaczęła myśleć o tym, jak dziwnie jest mieć dostęp do tego miejsca, jak dziwnie jest żyć w tym zakazanym sercu innego silosu. A jeszcze dziwniej było doceniać te warsztaty, te

znakomite narzędzia, wszystkie stworzone po to, by takich ludzi jak ona posyłać na śmierć.

Kiedy rozglądała się po ścianach, patrząc na mniej więcej tuzin kombinezonów do czyszczenia, w różnym stanie zwisających z haków, przypominało jej to życie i pracę w pokoju pełnym zjaw. Gdyby jeden z tych kombinezonów nagle zeskoczył z haka i zaczął poruszać się o własnych siłach, wcale by jej to nie zaskoczyło. Rękawy i nogawki były tak obszerne, jakby znajdowały się w nich czyjeś ręce i nogi, a lustrzane wizjery mogły przecież skrywać czyjeś ciekawskie twarze. Te zwisające ze ścian kształty były teraz jej towarzystwem. Przyglądały jej się niewzruszenie, gdzie kładła swoje znaleziska na dwóch stosach: rzeczy, które były jej potrzebne do następnego dużego projektu, i inne użyteczne kąski, co do których nie miała jeszcze sprecyzowanych zamiarów.

Cenna bateria, którą można było ładować, trafiła na drugi stosik, wciąż była na niej krew, której Juliette nie była w stanie zetrzeć. Kiedy szukała tych przedmiotów, przed oczami wyobraźni przepływały jej wyraźne obrazy, jak tych dwóch mężczyzn, którzy popełnili samobójstwo w biurze szefa Zaopatrzenia, splecione dłonie, podcięte żyły na nadgarstkach, wszędzie plamy o barwie rdzy. To była jedna z najgorszych scen, nie potrafiła wyrzucić jej z pamięci. W silosie było też więcej miejsc, gdzie widać było dowody równie brutalnych zajść. Cały ten silos był przerażający i doszczętnie zniszczony. Nie dziwiła się wcale, że Solo trzymał się ogrodów. Rozumiała też jego zwyczaj conocnego barykadowania wejścia do serwerowni szafką, mimo że od lat był tutaj sam. Juliette nie mogła go winić. Przed zaśnięciem sama przesuwała zasuwy na drzwiach laboratorium. Tak naprawdę wcale nie wierzyła w duchy, ale to przekonanie co rusz było wystawiane na próbę – czuła się obserwowana, jeśli nawet nie przez ludzi, to przez sam silos.

Zaczęła pracować ze sprężarką i jak zawsze czuła się świetnie, pracując rękami. Naprawiając coś. Odwracając swoją uwagę. Przez kilka pierwszych nocy, po przeżyciu koszmaru bycia wysłanym do czyszczenia, przedzierając się przez padlinę, by dotrzeć do silosu, długo i z mozołem szukała miejsca, w którym dałaby radę zasnąć. Poniżej poziomu serwerowni było to niemożliwe, śmieci pozostawione przez Solo za bardzo śmierdziały. Wypróbowała apartament szefa IT, ale wspominając Bernarda nie była w stanie tam wysiedzieć. Kanapy w rozmaitych biurach okazywały się za krótkie. Poduszki, które układała na ciepłej podłodze serwerowni

były wygodne, ale buczenie i klikanie wewnątrz tych wszystkich komputerów doprowadzało ją do szaleństwa.

Co dziwne, laboratorium z wszystkimi swoimi widmami i upiorami okazało się jedynym miejscem, gdzie udawało jej się przespać całą noc. To pewnie dzięki rozrzuconym wszędzie narzędziom, kluczom i spawarkom, szafkom pełnym wszystkich możliwych wtyczek i gniazd. Jeśli miała cokolwiek naprawić, choćby samą siebie, mogła to zrobić tylko tutaj. Innymi miejscami w silosie siedemnastym, gdzie czuła się jak u siebie w domu, były dwie cele, w których niekiedy sypiała, podczas wyprawy na górę lub na dół. Tam i siedząc za pustym serwerem i gadając z Lukasem.

Rozmyślała o nim, odkąd weszła do tego pokoju, by zabrać odpowiednią podkładkę ze skrzyni z narzędziami. Schowała ją do kieszeni, a potem zdjęła z haka kombinezon czyściciela, podziwiając wagę stroju, i pamiętając jak masywna się czuła, mając taki na sobie. Położyła go na stół warsztatowy i odczepiła hełm od kołnierza, zabrała go do wiertarki pionowej i ostrożnie wywierciła dziurę. Z kołnierzem w imadle, zaczęła dopasowywać podkładkę do otworu, tworząc nowe miejsce na podłączenie węża powietrznego. Mocując się z tkwiącym w imadle kołnierzem i przypominając sobie swoją ostatnią rozmowę z Lukasem, Juliette nagle poczuła zapach świeżego chleba, a potem zobaczyła Solo.

– Cześć! – zawołał od progu. Podniosła wzrok i skinęła głową, dając znak, by wszedł. Umocowanie podkładki wymagało wysiłku, metalowa rączka wbijała jej się w dłoń, a czoło zrosił pot.

– Upiekłem więcej chleba.

– Pachnie naprawdę świetnie – wymamrotała.

Odkąd Solo nauczył się piec pity, nie była w stanie go powstrzymać. Wielkie puszki mąki, w których trzymał swoje żarcie, teraz jedna po drugiej ustępowały miejsca jego nowym eksperymentalnym przepisom. Przypomniała sobie, że powinna nauczyć go gotowania i jeszcze innych rzeczy, żeby ta jego pracowitość przyniosła jakiś sensowny pożytek.

– I pokroiłem ogórki – dodał, tak dumny, jakby to miała być jakaś uczta nad ucztami. Pod wieloma względami Solo wciąż był jak nastolatek – szczególnie jeśli chodziło o nawyki kulinarne.

– Później trochę zjem – odparła. W końcu zdołała przewlec podkładkę przez dziurę, tworząc tak dobre połączenie, jakby zrobiono je w Zaopatrzeniu. Podkładka przeszła bez trudu, niczym dobrze dopasowana śruba.

Solo położył na stole warsztatowym talerz z chlebem i warzywami, a potem złapał stołek. – Nad czym pracujesz? Kolejna pompa? – Zerknął na wielką sprężarkę, z której wychodziły węże powietrzne.

– Nie. To by zajęło zbyt dużo czasu. Próbuję zrobić coś, co pozwoli mi oddychać pod wodą.

Salo zaczął się śmiać. Dopiero gdy przeżuwał chleb, dotarło do niego, że Juliette wcale nie żartuje.

– Mówisz poważnie.

– Oczywiście. Te pompy, których potrzebujemy najbardziej, znajdują się na samym dole silosu. Muszę spróbować jakoś doprowadzić do nich prąd z IT. Wtedy osuszymy silos w ciągu miesięcy, a nie lat.

– Oddychać pod wodą – rzekł. Popatrzył na nią, jakby to ona odchodziła od zmysłów.

– To nie różni się wcale od mojego przejścia z tamtego silosu do tego. – Owinęła silikonową taśmą męską końcówkę węża powietrznego, a potem zaczęła wpuszczać go w kołnierz. – Te kombinezony są szczelne, więc będą też wodoodporne. Muszę tylko mieć zapas tlenu i będę mogła pracować pod wodą tak długo, jak tylko będę chciała. A przynajmniej na tyle długo, by zdążyć uruchomić tamte pompy.

– Myślisz, że będą jeszcze działać?

– Powinny. – Chwyciła klucz i dokręciła złączkę tak mocno, jak się dało. – One mogą pracować pod wodą i są proste w obsłudze. Trzeba tylko prądu, którego mamy tutaj aż w nadmiarze.

– A co ja mam zrobić? – Solo wytarł ręce, sypiąc okruchy na blat. Potem sięgnął po kolejny kawałek chleba.

– Ty będziesz pilnował sprężarki. Pokażę ci, jak się ją uruchamia, jak uzupełnia się paliwo. Zamierzam zainstalować w hełmie policyjne radio, żebyśmy mogli się porozumiewać. Będziemy musieli poradzić sobie jakoś z tą całą plątaniną kabli i przewodów. – Uśmiechnęła się do niego. – Nie martw się, będziesz miał zajęcie.

– Wcale się nie martwię – odparł Solo. Wypiął klatkę piersiową i zaczął gryźć ogórka, patrząc w stronę sprężarki.

I Juliette zauważyła, że Solo – zupełnie jak nastolatek, nie mający doświadczenia, ale bardzo chcący coś zrobić – nie nauczył się jeszcze przekonująco kłamać.

60

Silos 18

– Chłopcy z drugiej strony obozu. Rezultatom bacznie przyglądali się naukowcy, udający opiekunów obozu. Kiedy przemoc wymknęła się spod kontroli, musiano przerwać eksperyment przed jego zakończeniem.. To, co zaczęło się w Robber Cave, z dwiema grupami chłopców o niemal identycznym pochodzeniu i podobnych wyznawanych wartościach, zmieniło się w coś, co psychologia określa mianem scenariusza zachowań wewnątrzgrupowych i poza grupowych. Nawet niewielkie różnice, jak sposób wysławiania się, czy noszenia kapelusza, wywoływały agresję. Kiedy w ruch poszły pięści i kamienie, eksperymentatorzy mogli już tylko zakończyć—

Lukas nie mógł tego dłużej czytać. Zamknął książkę i oparł się o wysoki regał. Coś mu tutaj śmierdziało – przyłożył grzbiet książki pod nos i pociągnął nim. Nie, to był on – stwierdził w końcu. Kiedy ostatnio brał prysznic? Jego plan dnia poszedł do piachu. Nie budziły go rano rozwrzeszczane dzieci, wieczorami nie polował już na gwiazdy, nie wracał do łóżka ciemną klatką schodową, by po nocnym śnie mógł zacząć wszystko od nowa. Zamiast tego miotał się po ukrytym pomieszczeniu na trzydziestym piątym piętrze. Dwanaście łóżek, ale był tu tylko on. Jedynie mrugające czerwone światełka potwierdzały, że ma towarzystwo, rozmowy z Bernardem albo Peterem Billingsem, którzy dostarczali mu jedzenie, długie rozmowy z Juliette, jeśli tylko zadzwoniła a on mógł odebrać. A poza tym – cały czas książki. Książki o historii, o miliardach ludzi i bilionach gwiazd. Historie pełne przemocy, szaleństwa mas, szokującej długości życia, słońcach, które pewnego dnia się wypalą, broniach, które mogą zniszczyć świat i chorobach, które prawie tego dokonały.

Jak długo jeszcze będzie w stanie tak żyć? Czytając, jedząc i śpiąc? Tygodnie już ciągnęły się niczym miesiące. Nie sposób było liczyć dni, nie pamiętał, od jak dawna ma na sobie ten sam kombinezon, czy pora go zdjąć i założyć ten leżący w suszarce. Niekiedy wydawało mu się, że przebierał się i prał ubrania po trzy razy dziennie. Ale mogło to też być dwa razy w tygodniu. A śmierdziały tak, jakby robił to rzadziej.

Oparł się o puszki z książkami i zamknął oczy. Nie było szans, by wszystko, o czym czytał, było prawdą. To nie miało sensu, że świat był

kiedyś tak dziwny i żyło na nim tylu ludzi. Kiedy zaczął się zastanawiać nad skalą tego wszystkiego, ideą życia zakopanego pod ziemią, wysyłania ludzi do czyszczenia, emocjonowaniem się tym, co kto komu ukradł – niekiedy miał wrażenie, że trafił w sam środek tornada szaleństwa, czuł lęk kogoś stojącego nad przepaścią, widzącego w dole mroczną prawdę, lecz zarazem nie mogącego tego pojąć, póki nie odzyska zdrowych zmysłów i rzeczywistość się o niego nie upomni.

Nie był pewny od jak dawna tak siedział, marząc o innych czasach i odległych miejscach, kiedy uświadomił sobie, że znów zaczęło migać czerwone światełko.

Lukas odłożył książkę do puszki i wstał. Na ekranie zobaczył Petera Billingsa stojącego przy drzwiach serwerowni, bo do środka dostać się mógł tylko on. Na szafce z dokumentami stała taca z kolacją dla Lukasa.

Odszedł od komputera i pośpieszył korytarzem w kierunku drabiny. Po zdjęciu włazu, ostrożnie odłożył go na miejsce i wybrał okrężną drogę pomiędzy mruczącymi serwerami.

– Ach, więc tu jest nasz mały protegowany. – Peter uśmiechnął się, ale na widok Lukasa jego oczy się zwęziły.

Lukas skinął głową. – Szeryfie.

Zawsze odnosił wrażenie, że Peter tak naprawdę z niego kpi, traktuje go z góry, mimo że byli w podobnym wieku. Zawsze jak przychodził razem z Bernardem, szczególnie tamtego dnia gdy Bernard wyjaśniał co robić, by Lukas był bezpieczny, między dwoma młodzikami zdawało się pojawiać napięcie – Lukas zdawał sobie z tego sprawę, choć tak naprawdę nie mógł siebie o nic winić. Bernard powierzył Lukasowi swoje tajemnice i wyjaśnił, że widzi w Peterze przyszłego burmistrza, więc on i Lukas powinni pracować ramię w ramię. Zdejmując tacę z szafki, Lukas starał się o tym pamiętać. Peter przyglądał mu się w zamyśleniu.

Lukas odwrócił się, by odejść.

– Może byś usiadł i zjadł tutaj? – zaproponował Peter, nie ruszając się z progu serwerowni.

Lukas zamarł.

– Widzę, że gdy przychodzi Bernard, jesz tutaj w jego towarzystwie, ale gdy ja się pojawiam, od razu śpieszno ci do siebie. – Peter przechylił się za futrynę i powiódł wzrokiem po rzędach serwerów. – Zresztą co ty tu robisz całymi dniami?

Lukas czuł się uwięziony. Prawdę mówiąc, nie był aż tak głodny, chciał raczej zostawić sobie jedzenie na później, lecz zjedzenie posiłku było najszybszym sposobem na zakończenie tych rozmów. Wzruszył ramionami i usiadł na podłodze, opierając się o szafkę i wyciągając nogi. Odkrywszy tacę, zobaczył miskę bliżej nieokreślonej zupy, dwa plasterki pomidora i kawałek chleba z mąki kukurydzianej.

– Głównie robię przy serwerach, tak jak kiedyś. – Na początek skosztował czerstwego chleba. – Z tą różnicą, że wieczorami nie muszę już wracać do siebie. – Uśmiechnął się do Petera, żując suchy chleb.

– A racja, przecież ty mieszkasz na środkowych, no nie? – Peter skrzyżował ramiona, czując się w tym progu chyba coraz bardziej komfortowo. Lukas przechylił się na bok, spoglądając na korytarz. Tuż za rogiem było słychać jakieś głosy. Poczuł impuls, by wstać i uciec, tylko po to, by się stąd oddalić.

– Prawie – odparł. – Mój apartament jest właściwie na górze.

– Tak jak wszystkie mieszkania środka – zaśmiał się Peter. – Dla tych, którzy tam mieszkają.

Lukas przeżuwał chleb, żeby mieć pełne usta. W tym czasie nie odrywał wzroku od zupy.

– Bernard mówił ci już o wielkim szturmie, jaki planujemy przypuścić? Planuję zejść na dół, żeby wziąć w tym udział.

Lukas pokręcił głową. Zanurzył łyżkę w zupie.

– Słyszałeś o tej ścianie, którą zbudowano w Maszynowni, gdzie zabarykadowali się ci idioci? Cóż, Sims i jego chłopcy mają zamiar rozwalić ją na kawałki. Mają mnóstwo czasu, by pracować nad tym od naszej strony, więc myślę, że ten kretyński bunt skończy się nie później niż za kilka dni.

Siorbiąc gorącą zupę, Lukas nie przestawał myśleć o mężczyznach i kobietach z Maszynowni, uwięzionych za ścianą ze stali, i o tym, że doskonale wiedział, przez co przechodzą.

– To znaczy że wkrótce będę mógł stąd wyjść? – Przycisnął łyżkę do niedojrzałego pomidora, zamiast użyć widelca i noża. – Nie ma tam dla mnie żadnego zagrożenia, prawda? Nikt nie ma nawet pojęcia, kim jestem.

– To zależy od Bernarda. Ostatnio zachowywał się dziwnie. To pewnie przez stres. – Odsunął się od futryny, wreszcie stając prosto. Tak było lepiej dla Lukasa, nie musiał wyciągać szyi, by na niego patrzeć.

– Wspominał coś o tym, że twoja matka chce cię tu odwiedzić. To może znaczy, że zostaniesz tutaj jeszcze co najmniej przez tydzień.

– Świetnie. – Lukas znów zaczął bawić się jedzeniem. Kiedy w oddali zaczął brzęczeć serwer, całe jego ciało zadrżało, jakby ktoś szarpnął za sznurek. Światła nad ich głowami zamrugały, co miało znaczenie dla tych, którzy wiedzieli, dlaczego tak się dzieje.

– Co to jest? – Peter zajrzał do serwerowni, stając na palcach.

– To znaczy, że muszę wracać do pracy. – Lukas podał mu tacę. – Dzięki za żarcie. – Odwrócił się, chcąc odejść.

– Ej, burmistrz mówi, że mam się upewnić, że zjesz wszystko...

Lukas machnął tylko ręką. Zniknął za pierwszym wysokim serwerem i puścił się biegiem na tyły pomieszczenia, ocierając dłonią usta; wiedział że Peter za nim nie pójdzie.

– Lukas...!

Ale już go nie było. Biegł w kierunku przeciwległej ściany, wyciągając zwisające z szyi klucze.

Kiedy otwierał zamki, zauważył że światła na suficie przestały migać. Peter zamknął drzwi. Zdjął tylny panel komputera i wyciągnął z sakiewki słuchawki, podłączając je do gniazda.

– Halo? – Poprawił ustawienie mikrofonu, by nie był za blisko ust.

– Hej. – Jej głos nasycił go bardziej, niż jakikolwiek posiłek. – Musiałeś przeze mnie biec.

Lukas odetchnął głęboko. Żyjąc w zamknięciu tracił formę, w końcu nie musiał już codziennie chodzić po schodach do pracy i z powrotem. – Nie – skłamał. – Ale może powinnaś trochę przystopować z tym dzwonieniem. Przynajmniej w ciągu dnia. Ciągle tu przesiaduje Sama-wiesz-kto. Wczoraj, gdy tak długo dzwoniłaś, siedzieliśmy obok serwera, gdy w środku brzęczało i brzęczało. To go naprawdę wkurzyło.

– Myślisz, że się tym przejmuję? – Juliette parsknęła śmiechem. – Właśnie że chcę, by odebrał. Z chęcią znów bym z nim pogadała. Poza tym, co niby sugerujesz? Chcę z tobą rozmawiać, muszę rozmawiać z kimkolwiek. A ty zawsze jesteś na miejscu. Przecież jeśli ty zadzwonisz do mnie, nie możesz oczekiwać, że akurat tutaj będę. Cholera, teraz muszę łazić po tym silosie z góry na dół. Wiesz ile razy w zeszłym tygodniu musiałam iść z trzydziestych do Zaopatrzenia? Strzelaj.

– Nie mam zamiaru strzelać. – Lukas potarł powieki.

– Pewnie ze sześć razy. A skoro on u ciebie przesiaduje, mógłbyś zrobić mi przysługę i po prostu go zabić. Oszczędzić mi tych starań...

– Zabić go? – Lukas machnął ręką. – I co, miałbym po prostu stłuc go na śmierć?

– Naprawdę potrzebujesz wskazówek? Bo wymyśliłam już kilka sposobów...

– Nie, nie potrzebuję wskazówek. I nie mam zamiaru nikogo zabijać. Nigdy jeszcze tego nie zrobiłem...

Lukas wbił sobie palec wskazujący w skroń i zaczął ją masować okrężnymi ruchami. Od dawna męczyły go bóle głowy. Pojawiały się odkąd...

– Zapomnij – odparła Juliette, a słyszalna w jej głosie odraza mknęła przez przewody z prędkością światła.

– Słuchaj... – Lukas znów poprawił ustawienie mikrofonu. Nie znosił tych rozmów. Wolał już gdy gadali o niczym. – Przepraszam, chodzi o to... że tu panuje kompletny chaos. Nie wiem kto co robi. Siedzę w tej skrzynce mając te wszystkie informacje, mam to radio, w którym słyszę, że nadal toczą się walki, ale mimo to nie wiem nic w porównaniu z pozostałymi.

– Ale wiesz chociaż, że możesz mi ufać? Że ja jestem z tych dobrych? Nie zrobiłam niczego złego, żeby trzeba mnie było wysyłać na czyszczenie. Musisz o tym wiedzieć.

Usłyszał jak Juliette wzięła głęboki oddech, a potem westchnęła głośno. Wyobraził ją sobie, jak tam siedzi, sama w silosie z tym wariatem, mikrofon przyciśnięty do ust, pierś faluje od złości, w umyśle szaleją oczekiwania względem niego.

– Lukas, wiesz, że stoję po właściwej stronie, prawda? A ty pracujesz dla szaleńca?

– Wszystko jest szalone – odparł. Każdy jest szalony. Wiem tylko, że siedzieliśmy sobie w IT, mając nadzieję że nic złego się nie wydarzy, a przyszło do nas to, co najgorsze.

Juliette znów odetchnęła głęboko, a Lukas pomyślał o tym, co jej powiedział na temat powstania, i co pominął.

– Wiem, że obwiniasz moich ludzi, ale wiesz czemu oni tam przyszli? Wiesz? Coś trzeba było zrobić, Luke. Nadal trzeba to zrobić.

Lukas wzruszył ramionami, zapominając, że przecież ona go nie widzi. Mimo że rozmawiali tak często, nie był jeszcze do tego

przyzwyczajony.

– Jesteś teraz w stanie pomóc – powiedziała.

– Nie prosiłem się, żeby tutaj być. – Poczuł, że ogarnia go frustracja. Czemu ich rozmowy zawsze zbaczały na takie tematy? Czemu nie mogli sobie dyskutować o najlepszych posiłkach, jakie zdarzyło im się jeść, ulubionych książeczkach z dzieciństwa, czy o tym, co ich wkurza, a co po prostu lubią.

– Nikt z nas się o to nie prosił – przypomniała mu chłodno.

Lukas milczał chwilę, myśląc o miejscu, w którym była, tym, przez co musiała przejść.

– Ale możemy kontrolować to, co robimy, gdy przeznaczenie gdzieś nas pokieruje – dodała.

– Chyba muszę kończyć. – Odetchnął płytko. Nie chciał myśleć o przeznaczeniu i swoich czynach. Nie chciał prowadzić tej rozmowy. – Niedługo Pete przyniesie mi kolację – skłamał.

Zapadła cisza. Słyszał jak Juliette oddycha. To było prawie tak, jakby wsłuchiwał się w czyjeś myśli.

– Dobra – odparła w końcu. – Rozumiem. I tak muszę iść przetestować mój kombinezon. A jeśli to działa, może mnie nie być przez dłuższą chwilę. Więc jak nie będę się odzywała przez cały dzień to...

– Uważaj na siebie – rzekł Lukas.

– Będę uważać. I pamiętaj o tym, co ci mówiłam, Luke. Nasze czyny nas definiują. Ty nie jesteś jednym z nich. To nie jest twoje miejsce. Proszę nie zapominaj o tym.

Lukas wymamrotał coś w odpowiedzi, że niby się z nią zgadza, i Juliette pożegnała się z nim, a jej głos nadal dzwonił mu w uszach, gdy sięgał ku wtyczce.

Zamiast wkładać słuchawki do sakwy, oparł się o ścianę serwera, mnąc je w dłoniach, i myśląc o tym, co zrobił, o tym, kim był.

Miał ochotę zwinąć się w kłębek i się rozpłakać, zamknąć oczy i sprawić, by świat zniknął. Ale wiedział, że jeśli je zamknie, jeśli pogrąży się w mroku, będzie w stanie widzieć tylko ją. Drobną kobietę o siwych włosach, jej ciało wstrząsane uderzeniami kul, które wystrzelił on, Lukas. Będzie czuł nacisk palca na spust, policzki mokre od łez, zapach zużytego prochu, stół podzwaniający od spadających łusek, radosne zwycięskie okrzyki kobiet i mężczyzn, którzy walczyli u jego boku.

61

Silos 18

– ...powiedzmy Thursday, że załatwię wam to w ciągu dwóch dni.

– Do diabła, Carl, dwa dni już minęły. Zdajesz sobie sprawę, że jutro rano będzie czyszczenie?

– A ty wiesz, że dzisiaj jest wciąż dzisiaj, tak?

– Nie bądź takim mądralą. Zdobądź dla mnie tę teczkę i mi ją przynieś, pronto. Słowo daję, jeśli to się spierdoli, bo ty nie...

– Przyniosę. Daj spokój. Ja się tu naprawdę staram. Wyluzuj.

– Wyluzuj? Pierdol się, wyluzuję jutro. Teraz się rozłączam. Tylko się tam nie opieprzaj.

– Już idę, spoko...

Shirly siedziała przy stole warsztatowym Walkera, wspierając się łokciami o blat i trzymając się za głowę. – Co się do cholery wyprawia? – zapytała. – Walk, o co tu chodzi? Kim są ci ludzie?

Walker spojrzał przez szkła powiększające. Zanurzył pojedynczy, wyrwany ze szczoteczki włos w białej farbie rozlanej na wieczku. Z najwyższą ostrożnością, drugą ręką podtrzymując nadgarstek, przesunął włos przed potencjometrem, dokładnie po przeciwnej stronę do znaczka, który sam wcześniej namalował na pokrętle. Zadowolony, policzył znaczki, które już udało mu się zrobić – każdy z nich symbolizował kolejny mocny sygnał.

– Jedenaście – powiedział. Zwrócił się do Shirly, która coś mówiła, ale nie był pewien, co. – A chyba jeszcze nie trafiliśmy na ten nasz.

– Nasz? Walk, to mnie przeraża. Skąd dochodzą te wszystkie głosy?

Wzruszył ramionami. – Z miasta? Tego za wzgórzami? Skąd mam wiedzieć? – Zaczął powoli poruszać pokrętłem, nasłuchując rozmów. – Jedenaście oprócz nas. A co jeśli jest ich więcej? Musi być ich więcej, prawda? Jakie są szanse, że już odkryliśmy wszystkie?

– Ten ostatni wspominał coś o czyszczeniu. Myślisz że o to im chodziło? Tak jak...?

Walker skinął głową, rozstrajając sobie ostrość szkieł. Poprawił ich ustawienie, a potem znów zaczął poruszać pokrętłem.

– Więc mieszkają w silosach. Tak jak my.

Wskazał maleńką zieloną płytkę, którą pomagała mu podłączyć do potencjometru. – To pewnie dzięki temu obwodowi, on najprawdopodobniej reguluje częstotliwość fal. – Shirly dostawała świra, słysząc tamte głosy, ale on był coraz bardziej zafascynowany innymi zagadkami. Rozległ się trzask, przestał więc kręcić, a potem powoli przesunął pokrętło raz w tył, raz w przód, ale niczego nie znalazł. Przesuwał je więc dalej.

– Chodzi ci o tę małą płytkę z numerem osiemnaście?

Walker popatrzył na nią tępo. Przestał ruszać palcami. Skinął głową.

– Więc będzie ich co najmniej tyle – dodała, zauważając to szybciej niż on. – Muszę znaleźć Jenkinsa. Musimy mu o tym powiedzieć. – Shirly wstała ze stołka i ruszyła ku drzwiom. Walker kiwnął głową. Od tych wniosków aż zakręciło mu się w głowie, ławka i ściany zdawały się od niego oddalać. Myśl, że gdzieś za tymi ścianami byli ludzie...

Głośny ryk sprawił, że aż zaszczękał zębami, odrywając się od rozmyślań. Ziemia zadrżała, a powierzchnia pod nogami zdawała usuwać mu się spod stóp, kurz od całych dekad zalegający na wiszących pod sufitem rurach i kablach teraz zaczął na niego spadać.

Walker przeturlał się na bok, kaszląc i wciągając w płuca unoszącą się w powietrzu pleśń. W uszach mu dzwoniło od huku wybuchu. Poklepał się po głowie, szukając szkieł, a potem dostrzegł leżące przed nim na stalowej podstawie oprawki, których szkła były kompletnie rozbite.

– O nie. Potrzebuję... – Próbował wsunąć ręce pod siebie, poczuł ukłucie w biodrze, ból kości uderzającej o stal. Nie był w stanie myśleć. Machnął ręką, błagając Scottiego, by wylazł spomiędzy cieni i mu pomógł.

Ciężki bucior zmiażdżył to, co zostało z jego szkieł. Młode i silne ręce złapały go za kombinezon, stawiając go na nogi. Zewsząd dobiegały wrzaski. I odgłosy wystrzałów.

– Walk! Jesteś cały!

Jenkins szarpał go za kombinezon. Walker był pewien, że przewróci się, jeśli chłopak go puści.

– Moje szk...

– Sir! Musimy uciekać! Dostali się do środka!

Walker odwrócił się w stronę drzwi, zobaczył jak Harper pomaga Shirly wstać. Oczy miała otwarte szeroko, była oszołomiona, we włosach i na ramionach miała warstwę szarego pyłu. Patrzyła na Walkera, zdając się równie osłupiała.

– Weź swoje rzeczy – rzucił Jenkins. – Wycofujemy się. – Rozejrzał się po pokoju, skupiając wzrok na stole warsztatowym.

– Naprawiłem je – odparł Walker, kaszląc w zaciśniętą pięść. – Teraz działa.

– Chyba trochę za późno.

Jenkins puścił go i Walker musiał przytrzymać się stołka, żeby znów nie upaść. Strzały rozlegały się coraz bliżej. Słychać było tupot butów, kolejne krzyki, kolejny głośny huk wybuchu, od którego zadrżała podłoga. Jenkins i Harper stali w progu i wykrzykiwali rozkazy, machając rękami na przebiegających obok ludzi. Shirly podeszła do stojącego przy stole Walkera. Wzrok miał wbity w radio.

– To jest nam potrzebne – powiedział, dysząc.

Spojrzał na błyszczące na podłodze okruchy szkła. Na te szkła powiększające przeznaczył dwumiesięczny zarobek...

– Walk! Co mam zabrać? Pomóż mi.

Odwrócił się i zobaczył, że Shirly zbiera z blatu części radia, przewody i płyty. Kładła jedne na drugie, plącząc je. Zabrzmiał pojedynczy wystrzał jednego z działających pistoletów, tuż pod drzwiami, a Walker skulił się ze strachu i przestał myśleć racjonalnie.

– Walk!

– Antena – wyszeptał, pokazując miejsce, gdzie z krokwi nadal sypał się kurz. Shirly skinęła głową i wskoczyła na stół. Walker rozejrzał się po pokoju, którego obiecywał sobie nigdy nie opuszczać i tym razem zamierzał dotrzymać tej obietnicy. Co miał zabrać? Głupie pamiątki. Śmieci. Brudne ubrania. Sterta planów. Chwycił kosz z częściami i wysypał je na podłogę. Części radia trafiły teraz do kosza, dołożył jeszcze transformator, wcześniej go odłączając. Shirly szarpała za antenę, przewody i metalowe pręty trzymała drugą ręką przy piersi. Chwycił lutownicę i kilka narzędzi; Harper krzyknął: „Teraz albo nigdy!”.

Shirly złapała Walkera za ramię i pociągnęła go ze sobą ku drzwiom.

I Walker uświadomił sobie, że to już naprawdę teraz.

62

Silos 17

Nie spodziewała się, że po założeniu kombinezonu ogarnie ją aż taka panika.

Juliette zdawała sobie wprawdzie sprawę, że po wślizgnięciu się do wody będzie czuła lęk, ale już samo założenie kombinezonu napełniło ją takim przerażeniem, że aż rozbolał ją brzuch. Gdy ona walczyła o oddech, Solo pociągał za zamek na plecach i zapinał rzepy.

– Gdzie się podział mój nóż? – zapytała, poklepując się po kieszeniach i szukając pośród narzędzi.

– Tutaj jest – odparł. Schylił się i wyłowił nóż z torby na narzędzia, którą zakrywał ręcznik i rzeczy na przebranie. Podał jej nóż i Juliette wsunęła ją w specjalną kieszeń, którą przyszyła z przodu kombinezonu. Jakoś łatwiej jej się oddychało, kiedy miała go na wyciągnięcie ręki. Zabrany z górnego baru nóż był odpowiednikiem talizmanu. Zerkała na niego tak samo, jak na swój stary zegarek.

– Nie zakładajmy jeszcze hełmu – powiedziała, podnosząc go z podłogi. – Najpierw przynieś linę. – Pokazała mu ją swoją bufiastą rękawicą. Gruby materiał i dwie warstwy ocieplacza zapewniały jej ciepło. Miała nadzieję, że tyle wystarczyło, żeby nie zamarzła w głębinach.

Solo podniósł zwój liny, na końcu której przymocowany był klucz nastawny.

– Z której strony? – zapytał.

Pokazała miejsce, gdzie spiralne schody zanurzały się w oświetlonej na zielono wodzie. – Opuszczaj ją równo. No i uważaj, żeby nie zaczepiła o schody.

Skinął głową. Kiedy Juliette sprawdzała narzędzia, on wrzucił klucz do wody, a ciężki metal pociągnął linę prosto na dół wielkiej klatki schodowej. W jednej kieszeni Juliette miała śrubokręty. Każdy z nich był za pomocą długiej żyłki uwiązany do kombinezonu. W drugiej kieszeni miała klucz do nakrętek, z kolei cęgi w kieszeni oznaczonej numerem cztery. Patrząc po sobie, znów poczuła napływ wspomnień na temat tego, co widziała na zewnątrz. Słyszała piasek przesypujący się po hełmie, wyobrażała sobie, że kończą się zapasy tlenu, czuła jak podeszwy buciorów uderzają o podłoże...

Złapała się poręczy i spróbowała pomyśleć o czymś innym. Czymkolwiek. Przewód elektryczny i wąż dostarczający powietrze. Skupić się. Jedno i drugie będzie jej potrzebne. Wzięła głęboki oddech i sprawdziła leżące przed nią zwoje rurek i kabli. Pozwijała je w ósemki, żeby się nie poplątały. Świetnie. Sprężarka była gotowa; teraz wystarczyło, żeby Solo dopilnował, by Juliette dostała, co trzeba, i żeby nic się nie zaczepiło...

– Jest już na dnie – rzekł Solo. Juliette patrzyła, jak przywiązuje linę do poręczy. Dziś był w świetnym nastroju. Przytomny i pełen energii. Mieli więc znakomitą okazję, by wreszcie mieć to za sobą. Skierowanie nadmiaru wody do oczyszczalni było rozwiązaniem jedynie tymczasowym. Pora wreszcie uruchomić te wielkie pompy na dole, niech wyssą wodę i ukrytymi w ścianach rurami odprowadzą ją na zewnątrz.

Juliette wierciła się, siedząc na skraju suchej podłogi i obserwując srebrzystą powierzchnię brudnej wody. Czy jej plan był szalony? Nie powinna aby być przerażona? A może bardziej przerażające wydawały jej się lata oczekiwania, potrzebne do zrobienia tego w bezpieczny sposób. Widmo stopniowego popadania w obłęd wydawało jej się znacznie bardziej niebezpieczne. Wyprawa na dół będzie zupełnie jak wyjście na zewnątrz, przypomniała sobie, a przecież już to zrobiła i zdołała przeżyć. Z tą różnicą że... tu było bezpieczniej. Miała niekończące się zapasy powietrza, a na dole nie było niczego toksycznego, niczego, co mogłoby się w nią wżerać.

Przyjrzała się swojemu odbiciu na powierzchni wody, przez ten obszerny kombinezon wydawała się gigantyczna. Gdyby tak Lukas stanął obok, gdyby zobaczył, co zamierzała zrobić, czy próbowałby wybić jej ten pomysł z głowy? Doszła do wniosku, że pewnie tak. Jak dobrze tak naprawdę się znali? Ile razy spotkali się osobiście: dwa, trzy?

Ale od tamtej pory rozmawiali wiele razy. Czy była w stanie dobrze go poznać, słuchając jedynie jego głosu? Opowieści o dzieciństwie? Jego śmiechu, który był zaraźliwy nawet wtedy, gdy wszystko inne doprowadzało ją do płaczu? Czy właśnie dlatego wysyłanie emaili i nadawanie telegramów było takie drogie, żeby zapobiec czemuś takiemu, tego rodzaju związkom? Jak w ogóle mogła rozmyślać teraz o tym mężczyźnie, którego ledwie znała, zamiast skupić się na szalonym zadaniu, które ją czekało?

Może Lukas stał się dla niej ostatnią deską ratunku, ostatnią nicią łączącą Juliette z jej dawnym domem? Czy też raczej światełkiem na końcu tunelu, wiodącego tam, skąd przyszła?

– Hełm? – Solo stał obok, bacznie ją obserwując. Trzymał w dłoniach plastikową kopułę, na szczycie której umocowano latarkę.

Juliette sięgnęła po hełm. Upewniła się, czy latarka trzyma się dość mocno, a potem spróbowała oczyścić umysł z bezsensownych rozważań.

– Najpierw podłącz tlen – rzekła. – I włącz radio.

Skinął głową. Podpiął gumowego węża do nasadki, którą wszyła w kołnierz. Kiedy go dokręcał, słychać było cichy syk resztek powietrza, znajdującego się w przewodzie. Sięgając przełącznika radia, niechcący otarł się o jej szyję. Juliette schyliła głowę, wciskając przycisk wszyty w ocieplacz. – Halo, halo – powiedziała. Z odbiornika na biodrze Solo dobiegł dziwny pisk, który po chwili przekształcił się w głos Juliette.

– Trochę za głośno – stwierdził Solo, poruszając pokrętłem głośności.

Założyła hełm na głowę. Wcześniej pozbawiła go wewnętrznego ekranu i większości plastikowych elementów. Kiedy już zdrapała z niego farbę, została jej tylko niemal przeźroczysta kopuła z grubego plastiku. Zakładając hełm na kołnierz, dobrze się czuła wiedząc, że to, co zobaczy, będzie naprawdę przed nią.

– Wszystko gra?

Głos Solo był nieco stłumiony przez grubą powłokę plastikowego hełmu, szczelnie przymocowanego do kombinezonu. Juliette uniosła kciuk w górę. A potem wskazała sprężarkę.

Skinął głową i drapiąc się po brodzie, ukląkł przy urządzeniu. Obserwowała jak je włącza, naciskając wszystkie pięć ręcznych pompek paliwowych, a potem szarpiąc za linkę zapłonu. Urządzenie kaszlnęło dymem i zaczęło działać. Mimo że stało na gumowych oponach, Juliette czuła przez buty drżenie podłogi. Słyszała też okropny hałas i wyobrażała sobie, jakie echo musi się nieść po pustych korytarzach silosu.

Solo przytrzymał jeszcze chwilę ssanie, tak jak mu kazała, a potem wcisnął tłok do końca. Kiedy maszyna warkotała i trzęsła się niemiłosiernie, Solo popatrzył na Juliette, uśmiechając się zza gęstej brody, przez co przypominał jednego z psów z Zaopatrzenia, gdy patrzyły na swoich właścicieli.

Pokazała mu czerwony kanister z zapasowym paliwem, znów unosząc kciuk. Odwzajemnił ten gest. Juliette podreptała w stronę schodów, kładąc rękę na poręczy dla zachowania równowagi. Solo wyminął ją

i podszedł do barierki, by uwiązać linę. Podał Juliette rękę, żeby nie upadła idąc po śliskich stopniach w tych wielkich buciorach.

Miała nadzieję, że gdy już znajdzie się w wodzie, łatwiej jej się będzie poruszać. Nie miała oczywiście .takiej pewności, to było jedynie przeczucie, wynikające ze znajomości zasad fizyki – nieraz przecież pojmowała działanie maszyn po prostu się nad tym głębiej zastanawiając. Pokonawszy ostatnie stopnie, stanęła w końcu na pierwszym, który znajdował się już pod oleistą powierzchnią wody. Zeszła dwa stopnie niżej, spodziewając się, że poczuje zimno, ale go nie poczuła. Kombinezon i grube ocieplacze zapewniały jej ciepło. Było jej nawet zbyt gorąco – wewnątrz hełmu pojawiła się lekka mgiełka pary. Schyliła głowę, by mieć usta bliżej radia, a potem kazała Solo otworzyć zawór i zacząć dostarczać tlen.

Przez chwilę majstrował przy jej kołnierzu, a następnie pociągnął za dźwignię, zapewniając Juliette dopływ świeżego powietrza. Poczuła, jak jej kombinezon zaczyna się nadymać. Wentyl powietrza, który umieściła z boku kołnierza otworzył się z piskiem, a potem zmniejszył ciśnienie wewnątrz kombinezonu, żeby ani głowa Juliette, ani jej strój nie eksplodowały.

– Obciążenie – powiedziała włączając radio.

Solo pobiegł z powrotem na piętro, a po chwili wrócił z ciężarkami do ćwiczeń. Przyklęknąwszy na ostatnim suchym stopniu, przymocował je za pomocą mocnych rzepów tuż poniżej kolan Juliette, a potem podniósł wzrok, czekając na to, co miało się wydarzyć.

Juliette z wyraźnym trudem zdołała podnieść jedną nogę, potem drugą, sprawdzając, czy obciążenie nie odpadnie od kombinezonu.

– Kabel – powiedziała, korzystając z działającego radia.

To była najważniejsza część przygotowań: prąd dostarczony z działu IT miał przywrócić znajdujące się na samym dole pompy do życia. Dwadzieścia cztery volty mocy. Na półpiętrze zamontowała specjalny włącznik, żeby Solo mógł go wypróbować, gdy ona będzie już pracować na dole. Nie miała zamiaru płynąć z podłączonym do prądu przewodem.

Solo rozwinął dwanaście stóp przewodu i owinął jej wokół nadgarstka. Jego węzły były solidne – zarówno w przypadku liny, jak i kabla. Jej wiara w powodzenie przedsięwzięcia rosła z każdą chwilą, malał z kolei dyskomfort odczuwany z powody niewygodnego kombinezonu.

Stojący dwa stopnie wyżej Solo uśmiechnął się do niej, szczerząc żółte zęby. Juliette odwzajemniła uśmiech. Stała nieruchomo, gdy tymczasem Solo próbował włączyć latarkę, którą miała na hełmie. Niedawno naładowali baterie, powinny więc wytrzymać cały dzień, znacznie dłużej niż było konieczne.

– Dobra – powiedziała. Teraz mi pomóż.

Podbródkiem przełączając radio, odwróciła się i oparła o poręcz, a potem zaczęła się na nią wspinać. Przechodzenie przez barierkę dawało jej niesamowite wrażenia. To był czyn niemal samobójczy. To była wielka klatka schodowa, to był jej silos, była cztery kondygnacje nad Maszynownią, mając pod sobą ogromny spad, w który rzuciłby się jedynie szaleniec, a ona robiła to całkowicie dobrowolnie.

Solo pomógł jej unieść obciążone stopy. Stanął na pierwszym z zanurzonych stopni, żeby służyć jej pomocą. Kiedy ją podtrzymywał, Juliette przełożyła nogę przez barierkę. Kiedy siedziała okrakiem na śliskiej poręczy, zaczęła się zastanawiać, czy woda naprawdę ją zatrzyma, czy spowolni jej opadanie na dno silosu. I na chwilę ogarnęła ją czysta panika, Juliette poczuła w ustach metaliczny smak, ściskało ją w dołku i chciało jej się sikać, tymczasem Solo wciąż unosił jej stopę, przepychając ją za poręcz. Wyciągnęła grubo urękawiczoną dłoń, nerwowo starając się złapać liny, podeszwami butów ciągle uderzając w srebrzystą powierzchnię wody.

– Kurwa!

Dyszała spazmatycznie wewnątrz hełmu, oszołomiona nagłym zanurzeniem. Rękami i nogami kurczowo trzymała się liny, a jej ciało poruszało się wewnątrz kombinezonu, jakby to była druga, za duża o kilka rozmiarów skóra.

– Wszystko gra? – zawołał Solo, zwijając dłonie wokół ust dla wzmocnienia głosu.

Skinęła głową, choć sam hełm się nie poruszył. Czuła ciężar przyczepiony na wysokości goleni, próbujący ciągnąć ją w dół. Tyle było rzeczy, które chciała teraz powiedzieć Solo, wskazówki, przypomnienia, życzenia powodzenia, ale w głowie jej szumiało i nie pomyślała nawet o tym, by skorzystać z radia. Zamiast tego rozluźniła nieco uścisk i zaczęła pomału ześlizgiwać się po linie, zmierzając na dno.

63

Silos 18

Lukas usiadł przy niewielkim drewnianym biurku i spojrzał na książkę, której szeleszczący papier był warty prawdziwą fortunę. Nawet krzesło, na którym tak po prostu siedział, kosztowało więcej, niż przez całe życie zdoła zarobić. Gdyby się poruszył, misterne krzesło zaskrzypiałoby donośnie, jakby w każdej chwili mogło się rozpaść na kawałki.

Więc na wszelki wypadek opierał ciężar ciała na swoich palcach u nóg, stawiając buty po obu stronach drogiego mebla.

Lukas przewrócił kartkę, udając, że czyta.' Nie chodziło o to, że nie chciał czytać w ogóle, po prostu nie chciał czytać akurat tego. Regały były pełne znacznie ciekawszych książek, zdawały się niemal z niego kpić. Aż prosiły się, by je przewertować, odłożyć wreszcie księgę Nakazów z jej sztywnymi opisami, punktowanymi listami i całym labiryntem odniesień, które zdawały się być bardziej pokrętne niż spiralne schody w ich silosie.

Każdy wpis w księdze odwoływał się do innej strony, a na każdej ze stron były tylko kolejne takie wpisy. Lukas przerzucił kilka kartek, zastanawiając się, czy Bernard ma go na oku. Szef IT siedział po przeciwnej stronie niewielkiego gabinetu, który był tylko jedną z wielu dobrze zaopatrzonych kryjówek znajdujących się pod serwerownią. Kiedy Lukas udawał, że uczy się do nowej pracy, Bernard albo majstrował przy stojącym na drugim biurku małym komputerze, albo podchodził do wiszącego na ścianie radia i dawał instrukcje oddziałom znajdującym się w głębinach silosu.

Lukas złapał między palce gruby kawał księgi i przewrócił kartki. Pominął wszystkie rady dotyczące zapobiegania katastrofom i wczytał się w nieco bardziej teoretyczne rozważania zawarte na końcu. To było nawet bardziej przerażające: rozdziały na temat perswazji, kontroli umysłów, funkcji strachu w procesie wychowywania dzieci, wykresy i tabele dotyczące wzrostu populacji...

Nie mógł już tego znieść. Przysunął krzesło i przez moment przyglądał się Bernardowi, gdy tamten przeglądał na ekranie kolejne strony tekstu, ruszając głową to w górę, to w dół.

Po chwili Lukas ośmielił się odezwać. – Ej, Bernardzie?

– Tak?

– Czemu nie ma tu ani słowa o tym, jak to wszystko się zaczęło?

Kiedy Bernard odwrócił się w stronę Lukasa, jego krzesło głośno zaskrzypiało. – Co proszę?

– Ci ludzie, którzy to wszystko stworzyli, ci, którzy napisali te książki... Czemu w Nakazach nie ma niczego na ich temat? Na przykład o tym, dlaczego w ogóle zbudowali te silosy?

– Czemu to miałoby tam być? – Bernard znów odwrócił głowę do komputera.

– Żebyśmy się dowiedzieli. Sam nie wiem, tak jak w tych wszystkich innych książkach...

– Nie chcę, żebyś czytał inne książki. Jeszcze nie teraz. – Bernard wskazał drewniane biurko. – Najpierw naucz się Nakazów Jeżeli nie zapanujesz nad Silosem, wszystkie księgi Dziedzictwa są nic nie warte. Jeśli nie będzie nikogo, kto mógłby je przeczytać, będą jedynie przetworzonym drewnem.

– Przecież nikt oprócz nas dwóch nie może ich czytać, skoro są tutaj zamknięte...

– Mam na myśli sytuację, że w silosie nie będzie nikogo żywego. Nie dziś czy jutro. Ale pewnego dnia mnóstwo ludzi będzie je czytać. Jeśli tylko nauczysz się Nakazów. – Bernard skinął głową na opasłe, budzące lęk tomiszcze, a potem znów pochylił się nad klawiaturą i sięgnął po mysz.

Lukas przez chwilę wpatrywał się w plecy Bernarda, w wystający mu spod koszuli węzeł sznurka, na którym wisiały klucze.

– Myślę, że oni przewidzieli, co się święci – odezwał się Lukas, nie mogąc się powstrzymać od ciągnięcia tematu. Zawsze się nad takimi sprawami zastanawiał, a próbując zdusić ciekawość, zajął się obserwacją gwiazd, które były tak daleko, że nie naruszały żadnych lokalnych tematów tabu. A teraz żył w tej pustce, tej jamie wewnątrz silosu, o której nikt nie wiedział, i gdzie można było poruszać zakazane tematy, mogąc rozmawiać z kimś, kto poznał cenną prawdę.

– Nie uczysz się – stwierdził Bernard. Mimo że wciąż pochylał się nad klawiaturą, zdawał się wiedzieć, że Lukas go obserwuje.

– Przecież oni musieli to przewidzieć, prawda? – Lukas wyprostował się na krześle, nieco je obracając. – Skoro zbudowali te silosy, zanim tam na zewnątrz...

Bernard odwrócił głowę, zaciskając nerwowo zęby. Puścił myszkę i wygładził dłonią wąsy. – Naprawdę chcesz takie rzeczy wiedzieć? Jak do

tego doszło?

– Owszem. – Lukas skinął głową. Pochylił się, wspierając łokcie o kolana. – Chcę wiedzieć.

– Sądzisz, że to ma znaczenie? To, co się tam kiedyś wydarzyło? – Bernard odwrócił się i spojrzał na wiszące na ścianie plany. Potem przeniósł wzrok na Lukasa. – Czemu to miałoby mieć znaczenie?

– Bo się wydarzyło. I umieram z ciekawości, jak mogło do tego dojść. Bo skoro przewidzieli katastrofę... Żeby to wszystko zbudować, potrzeba było całych lat...

– Całych dekad – wtrącił Bernard.

– A potem trzeba było jeszcze przenieść tu te wszystkie rzeczy, wprowadzić ludzi...

– To trwało już znacznie krócej.

– A więc wiesz?

Bernard skinął głową. – Te informacje są właśnie tutaj, tyle że nie w książkach. I mylisz się. To nie ma wcale żadnego znaczenia. To przeszłość, a przeszłość i Dziedzictwo to dwie zupełnie różne rzeczy. Musisz nauczyć się je odróżniać.

Lukas zaczął się nad tą różnicą zastanawiać. Z jakiegoś powodu przypomniała mu się rozmowa z Juliette, coś, co mu zawsze powtarzała...

– Chyba rozumiem...

– Tak? – Bernard poprawił sobie okulary i wbił wzrok w Lukasa. – Więc powiedz mi, co ci się wydaje, że rozumiesz.

– Wszystkie nasze nadzieje, wszystko, czego dokonali nasi poprzednicy, wszystkie myśli o tym, jaki może być świat... to właśnie nasze Dziedzictwo.

Bernard uśmiechnął się. Gestem kazał Lukasowi kontynuować.

– A złe rzeczy, którym nie udało się zapobiec, błędy, które nas tutaj doprowadziły, to właśnie przeszłość.

– No to co znaczy ta różnica? Jakie jest twoje zdanie?

– Ona oznacza, że nie możemy zmienić tego, co już się wydarzyło, ale mamy wpływ na to, co ma się wydarzyć w przyszłości.

Bernard klasnął w dłonie. – Znakomicie.

– A to... – Lukas położył rękę na grubym tomiszczu, kontynuując już bez zachęty Bernarda. – ...te Nakazy. One są naszą mapą, dzięki której możemy pokonać przeciwności piętrzące się pomiędzy naszą trudną

przeszłością, a budzącą wielkie nadzieje przyszłością. Mówią o tym, czemu możemy zapobiec i co możemy naprawić.

Słysząc ostatnie słowa, Bernard uniósł brwi, jakby poznał nowy sposób patrzenia na starą prawdę. W końcu uśmiechnął się, podkręcając sobie wąsy i poprawiając okulary na pomarszczonym nosie.

– Jesteś już niemal gotowy – stwierdził. – Już niedługo. – Znów odwrócił się do komputera, kładąc dłoń na myszy. – Już naprawdę niedługo.

64

Silos 17

Opadanie ku Maszynowni było dziwnie spokojne, wręcz hipnotyzujące. Juliette płynęła przez zielone wody, odpychając się od poręczy zawsze gdy schody pod jej nogami zaczynały zakręcać. Słyszała jedynie syk wpadającego do hełmu powietrza i bulgot tego, które się z hełmu wydostawało. Niekończący się łańcuch bąbelków niósł się w górę, na przekór sile ciążenia.

Juliette bacznie obserwowała te srebrne kuleczki, goniące jedna drugą jak bawiące się na klatce schodowej dzieci. Pękały w zetknięciu z poręczą, zostawiając po sobie uciekające we wszystkie strony srebrzyste drobiny. Inne równym tempem wznosiły się w górę schodów. Niekiedy zbierały się pod stopniami, tworząc poduszki powietrzne, trzęsące się na wszystkie strony i odbijające światło, padające z latarki na hełmie Juliette.

Bez trudu mogła zapomnieć, gdzie jest i co robi. Wszystko, co wydawało się znajome, teraz było zniekształcone i dziwaczne. Patrząc na rzeczywistość powiększoną przez gruby plastik osłony, Juliette potrafiła sobie wyobrazić, że to nie ona tonie, lecz wielka klatka schodowa zaczęła się wznosić, wylatując z głębin ziemi prosto w chmury. Nawet czując linę prześlizgującą się po brzuchu i przez rękawice, dochodziła do wniosku, że to coś nieubłaganie ciągnie ją w górę, a nie że to Juliette zjeżdża na dół.

Dopiero kiedy wygięła plecy i spojrzała w górę, przypomniała sobie, jak ogromne ilości wody znajdują się w silosie. Zielony blask awaryjnych świateł na niektórych piętrach ustępował miejsca niepokojącej czerni. Światło z latarki ledwie było w stanie ją rozproszyć. Juliette wciągnęła spazmatycznie powietrze w płuca, po chwili przypominając sobie, że przecież den się jej nie skończy. Starała się nie zwracać uwagi na wrażenie, że na jej barkach spoczywa teraz tyle hektolitrów wody, że została dosłownie pogrzebana żywcem. Jeśli zacznie panikować, będzie mogła po prostu odciąć balast. Jedno machnięcie nożem i zaraz wróci na powierzchnię. Powtarzała to sobie raz po raz, opadając coraz niżej. Jedną ręką puściła się liny i pomacała nóż, żeby się upewnić, że go nie zgubiła.

– WOLNIEJ! – ryknęło jej radio.

Juliette ścisnęła mocno linę obiema rękami, aż w końcu się zatrzymała. Na górze był przecież Solo, pilnował, czy przewód i wąż

równomiernie się rozwijają. Wyobraziła sobie, że zaplątał się w przewody i teraz podskakuje na jednej nodze. Z zaworu przy hełmie wyleciał cały rój bąbelków i zaczął piąć się ku powierzchni przez limonowo zieloną wodę. Juliette odchyliła głowę, obserwując jak bąbelki krążą wokół naprężonej liny, i zaczęła się zastanawiać, czemu to tak długo trwa. Tańczące pod stopniami poduszki powietrzne wyglądały niczym płynne srebro...

– DOBRA. – Znów zatrzeszczało radio. – WSZYSTKO GRA.

Głos Solo był tak donośny, że Juliette aż się skrzywiła, żałując że nie ustawiła głośności przed zamknięciem hełmu. Teraz było już na to za późno.

Słysząc w uszach dzwonienie i tęskniąc za majestatyczną ciszą głębin, która towarzyszyła jej jeszcze przed chwilą, Juliette zsunęła się w dół o kolejną kondygnację, cały czas patrząc, czy wąż powietrzny albo lina nie zaczynają się niebezpiecznie naprężać. Zbliżając się do piętra sto trzydziestego dziewiątego, zauważyła, że jednych drzwi tutaj brakuje, a drugie zostały wyrwane z zawiasów. Całe to piętro musiało zostać zalane, co oznaczało dodatkową pracę dla pomp. Chwilę przed tym, jak tamta kondygnacja zniknęła z pola widzenia, Juliette zobaczyła w korytarzu jakieś ciemne kształty, jakby cienie unoszące się w wodzie. Światło latarki przesunęło się szybko po nabrzmiałej twarzy, a chwilę później Juliette była już niżej i nie była w stanie jej dostrzec.

Dotarło do niej, że później może się natknąć na kolejne ciała. Nie byli to oczywiście topielcy – poziom wody podnosił się zbyt wolno, by kogokolwiek zaskoczyć – ale jeśli gdzieś na dole doszło do aktów przemocy, lodowata woda na pewno zdołała zakonserwować ofiary. Chłód zaczął przenikać do wnętrza kombinezonu. A może to była tylko wyobraźnia Juliette.

Jej buty opadły w końcu na podłogę najniższej kondygnacji. Juliette nadal spoglądała w górę, czy lina się nie plącze, albo zbytnio nie napręża. Kolana nie były przygotowane na to nagłe lądowanie. Tym sposobem opadła na dół w znacznie krótszym czasie od tego, jaki pochłonęłoby schodzenie po suchych schodach.

Trzymając się liny dla zachowania równowagi, Juliette zaczęła machać drugą ręką w zielonkawej wodzie gruntowej. Włączyła radio podbródkiem. – Jestem na dole – oznajmiła Solo.

Machając rękami, zrobiła kilka ciężkich i niepewnych kroków w stronę wejścia do Maszynowni. Światło z klatki schodowej ledwie

sięgało bramek bezpieczeństwa. Za nimi czekały na nią ciemne otchłanie jej domu, równie znajomego, co obcego.

– SŁYSZĘ CIĘ – potwierdził po chwili Solo.

Juliette poczuła jak jej mięśnie napinają się na dźwięk głosu dudniącego wewnątrz hełmu. To, że nie była w stanie zmniejszyć głośności, pomału doprowadzało ją do szaleństwa.

Postąpiwszy dwanaście niepewnych kroków, w końcu zdołała opanować podstawy brodzenia w wodzie i potrafiła już przesuwać obciążone buty po stalowej podłodze. Miała tak napompowany kombinezon, że nogi ocierały się o siebie, a ramiona wciąż tarły o boki, przez co poruszanie się przypominało przesuwanie wielkiego bąbla powietrza. Zatrzymała się na chwilę, sprawdzając, czy nie zaczepiła się przewodami o schody, a potem raz jeszcze rzuciła okiem na linę, po której się tutaj zsunęła. Z tej odległości wyglądała niczym cieniutka nitka, wisząca po środku klatki schodowej. Poruszyła się nieznacznie, zupełnie jakby machała Juliette na pożegnanie.

Juliette próbowała nie nadawać temu dodatkowych znaczeń, odwróciła się więc w stronę wejścia do Maszynowni. Nie musisz tego robić, przypomniała sobie. Mogła podłączyć jeszcze ze dwie, trzy małe pompy i pociągnąć jeszcze kilka rur z farm hydroponicznych. Może to potrwać kilka miesięcy, a woda będzie opadać przez całe lata, ale w końcu te piętra zostaną całkowicie osuszone i będzie mogła posprawdzać te koparki, o których wspominał Solo. Na dodatek niczego by wtedy nie ryzykowała – może z wyjątkiem zdrowia psychicznego.

A jeśli naprawdę do powrotu popychała ją wyłącznie zemsta, skoro nie miała innej motywacji, mogła poczekać, wybierając bezpieczniejszą opcję. Kusiło ją, by zerwać ciężarki z butów i popłynąć w górę schodów, z szeroko rozłożonymi ramionami pokonać wszystkie kondygnacje, z taką łatwością, zupełnie jak w snach...

Ale Lukas informował ją o tym, w jakich tarapatach znaleźli się jej przyjaciele, do czego doszło w silosie po jej wyjściu. Na ścianie w pomieszczeniu pod serwerownią miał radio, z którego dniami i nocami dochodziły odgłosy walki. W apartamencie Solo znajdowało się takie samo radio, jednak ono komunikowało się jedynie z urządzeniami z silosu siedemnastego. Juliette przestała więc przy nim majstrować.

Jakaś jej część cieszyła się, że nie musi tego wszystkiego słuchać. Wolała nie słuchać odgłosów walki, lepiej było tam wrócić i coś w tej

sprawie zrobić. Powrót do własnego silosu stał się dla niej wewnętrznym przymusem. Do obłędu doprowadzała ją myśl, że jest tak blisko domu, ale tamte drzwi otwierają się tylko wtedy, gdy ktoś ma zginąć. Zresztą co dobrego wyniknie z jej powrotu? Czyjej przetrwanie, ujawnienie przez nią prawdy, wystarczą do pogrzebania Bernarda i reszty działu informatycznego?

Miała już inne, mniej zdroworozsądkowe plany. Może było to jedynie marzenie, dawało jej jednak nadzieję. Chciała naprawić którąś z koparek, które pomogły zbudować ten silos, maszynę pogrzebaną w głębinach, i dzięki niej przebić się do silosu osiemnastego. Marzyła, że przebije tę barierę i zdoła poprowadzić swoich ludzi do tego silosu, a później wspólnymi siłami przywrócą go do życia. Marzyła o kierowaniu silosem bez kłamstw i oszukiwania.

Juliette brnęła przez wodę w kierunku bramki bezpieczeństwa, uświadamiając sobie, że te marzenia w jakiś sposób utwierdzają ją w postanowieniach. Dotarła do metalowego kołowrotu i uświadomiła sobie, że niestrzeżona bramka będzie pierwszą prawdziwą przeszkodą na jej drodze. Pokonanie jej z pewnością nie będzie łatwe. Odwracając się plecami do urządzenia, oparła ręce po bokach, a potem wiła się, kopiąc podeszwami w niską przegrodę, aż udało jej się usiąść na skrzynce sterowniczej.

Nogi miała zbyt ciężkie, by je unieść... a przynajmniej nie na tyle wysoko, by pokonać bramkę. Ciężarki ważyły więcej niż było trzeba, by nie wypłynęła na powierzchnię. Przesunęła się nieco do tyłu i próbowała odwrócić się na bok. Włożywszy pod kolano grubą rękawicę, odchyliła się do tyłu, aż jej but znalazł się na skraju przegrody. Odpoczęła chwilę, dysząc ciężko i śmiejąc się wewnątrz plastikowej kopuły. To było wręcz komiczne, tyle wysiłku by zrobić coś równie prostego. Gdy jeden but był już na górze, z drugim powinno pójść łatwiej. W końcu napinając uda i mięśnie brzucha, tak obolałe po tygodniach biegania po schodach, zdołała podnieść tę przeklętą stopę wystarczająco wysoko.

Pokręciła głową, czując ulgę. Po karku spływał jej pot. Już zaczynała się bać, jak będzie wyglądał jej powrót. Zejście na drugą stronę było łatwiejsze: obciążenie wykonało całą pracę za nią. Sprawdziła jeszcze czy owinięte wokół nadgarstka kable oraz przyczepiony do kołnierza wąż powietrzny o nic się nie zaplątały, a potem ruszyła głównym korytarzem, którego mroki rozpraszało jedynie światło jej latarki.

– WSZYSTKO GRA? – ryknął Solo, znów strasząc Juliette nie na żarty.

– Nic mi nie jest – odparła. Przycisnęła podbródek do piersi, nie przerywając połączenia. – Zgłoszę się, jeśli będę czegoś potrzebować. Po mojej stronie radio jest trochę za głośne. Można się nieźle przerazić.

Rozłączyła się i sprawdziła, jak wyglądaj ą jej ślady. Wzdłuż sufitu ciągnął się łańcuch bąbelków, lśniących w blasku latarki niczym klejnociki...

– DOBRA,. ZROZUMIAŁEM.

Ledwie mogąc oderwać podeszwy od podłoża, powoli ruszyła w stronę głównego skrzyżowania, mijając kantynę. Skręcając w lewo, a następnie pokonując długi korytarz i znów skręcając, tym razem dwa razy, dotarłaby w końcu do warsztatu Walkera. Czy on zawsze mieścił się właśnie tam? Nie miała pojęcia. W tym silosie to może być na przykład magazyn. Albo czyjeś mieszkanie.

Jej apartament leżałby po przeciwnej stronie. Odwróciła się, by popatrzeć w stronę tamtego korytarza, a wtedy promień jej latarki wyłowił z mroku unoszące się pod sufitem ciało, zaplątane w rury i przewody. Odwróciła wzrok. Nietrudno było sobie wyobrazić, że to George, Scottie, albo inny z jej martwych przyjaciół. To nawet mogła być ona sama.

Powłócząc nogami ruszyła w stronę schodów, brodząc w krystalicznie czystej wodzie. Ciężar jej butów i napompowany kombinezon sprawiały, że trzymała się prosto, mimo że miała wrażenie, że zaraz się przewróci. Przystanęła na szczycie prowadzących w dół, kwadratowych schodów.

– Zaraz zacznę schodzić – powiedziała, pochylając podbródek. – Pilnuj dopływu powietrza. I nie odpowiadaj, chyba że pojawi się jakiś problem. Nadal dzwoni mi w uszach po ostatnim razie.

Juliette uniosła podbródek i zeszła kilka stopni w dół, czekając aż Solo ryknie coś w odpowiedzi; on jednak się nie odezwał. Mocno ściskała kabel i węża, wlekąc je za sobą po klatce schodowej i schodząc coraz głębiej w ciemność. Czarne wody mąciły jedynie wypuszczane przez nią bąbelki powietrza i słaby blask latarki.

Po pokonaniu sześciu kondygnacji, coraz cięższej jej było ciągnąć tak kabel, jak i węża, tarcie o stopnie było zbyt mocne. Zatrzymała się, owijając przewody wokół siebie, aż udało jej się ściągnąć pokaźne zwoje, unoszące się w wodzie. Przez rękawice prześlizgnęło się kilka starannych

splotów. Bacznie przyjrzała się miejscom, które wcześniej skleiła taśmą bądź klejem – chciała sprawdzić, jak się trzymają. W jednym punkcie przez dziurkę w taśmie wylatywały mikroskopijne bąbelki, tworząc nierówny ścieg kropek na tle ciemnych wód. Ledwie było go widać.

Kiedy miała już dość luzu, by móc dotrzeć do zbiorników, znów mogła pomaszerować przed siebie. Najtrudniejszą część miała już za sobą. Tlen nadal docierał do wnętrza hełmu, owiewając ją chłodem i sycząc przy uchu. Jego nadmiar ulatniał się przez drugi zawór, wystrzeliwując bąbelki przy każdym ruchu głowy. Nie zgubiła żadnego z narzędzi, a kabla i węża powietrznego z pewnością starczy na dotarcie do celu wyprawy. Wreszcie mogła się rozluźnić. Nie miała zamiaru schodzić jeszcze niżej. Wystarczyło tylko podpiąć przewody wysokiego napięcia i już można było się stąd wydostać.

Będąc tak blisko, ośmielała się myśleć o ucieczce, ocaleniu Maszynowni tego silosu, przywróceniu do życia jednego z generatorów i uruchomieniu którejś z ukrytych koparek. Zaczęli wreszcie robić postępy. Była na najlepszej drodze do uratowania swoich przyjaciół. Po tygodniach komplikacji, to wreszcie było w zasięgu ręki.

Juliette bez trudu odnalazła zbiornik – był dokładnie tam, gdzie przewidziała. Podeszła na skraj znajdującego się w centralnym punkcie pomieszczenia zbiornika. Pochyliwszy się, oświetliła latarką liczby oznaczające głębokość wód. Teraz, pod tyloma piętrami wody, wydawały się wręcz komiczne. Komiczne i smutne zarazem. Silos zawiódł swoich mieszkańców.

Wtedy jednak Juliette poprawiła się w myślach: to raczej ludzie zawiedli swój silos.

– Solo, jestem przy pompie. Podłączę zasilanie.

Zerknęła na dno zbiornika, by upewnić się, czy otwór nie jest zatkany. Woda była niesamowicie przejrzysta. Cały olej i szlam, w którym pracowała po kolana w zbiorniku we własnym silosie, rozproszył się w niezliczonych galonach wód gruntowych. Została tylko krystalicznie czysta ciecz, którą pewnie dałoby się nawet pić.

Zadrżała, nagle świadoma chłodu otaczającej ją wody, który zdawał się przedzierać przez powłoki kombinezonu, pochłaniając ciepło jej ciała. Połowa drogi za tobą, przypomniała sobie. Rury szerokości jej talii wychodziły z ziemi i biegły za krawędź dołu. Odpływ biegł podobnie wielką rurą, przytwierdzoną do ściany, gdzie łączył się z plątaniną innych

rur. Kiedy Juliette stanęła przy wielkiej pompie, odwiązując kabel od nadgarstka, pomyślała o jej ostatnim zadaniu, jako mechanika. Rozmontowała identyczną pompę, znajdując zniszczony wirnik. Wyjęła z kieszeni śrubokręt Philipsa i zaczęła odkręcać gniazdo przewodu zasilającego, modląc się, by ta pompa nie była w podobnym stanie gdy wysiadł prąd. Wolałaby nie schodzić tu ponownie, żeby ją naprawiać. Chyba że będzie to mogła robić stojąc na suchej podłodze.

Gniazdo odkręciła szybciej, niż mogłaby przypuszczać. Szybko więc wstawiła na jego miejsce nowe. Jej jedynym towarzyszem był brzmiący głośno w kopule hełmu własny oddech. Podłączając do gniazda z biegunem dodatnim nowy przewód, uświadomiła sobie, że słyszy swój oddech, ponieważ przestała słyszeć syk tlenu wlatującego do środka.

Juliette zamarła. Postukała w plastikową kopułę, widząc, że bąbelki nadal wylatują na zewnątrz, ale wolniej niż wcześniej. Kombinezon nadal był napompowany, lecz nowe powietrze nie było już wtłaczane do środka.

Wcisnęła przycisk podbródkiem, czując jak ze szczęki kapie jej pot. Nogi jej przemarzły, ale na twarzy czuła coraz większe ciepło.

– Solo? Tu Juliette. Słyszysz mnie? Co się tam dzieje?

Czekała na odpowiedź, świecąc latarką na węża powietrznego i szukając na nim supłów. Nadal miała trochę powietrza, tego w kombinezonie. Ale dlaczego on nie. odpowiadał?

– Halo? Błagam, Solo, odezwij się.

Musiała poprawić latarkę na hełmie, ale w głowie słyszała już tykanie zegara. Ile powietrza zostało jej, licząc od tej chwili? Zejście na dół zajęło jej jakąś godzinę. Solo zdąży naprawić sprężarkę, zanim Juliette skończy się tlen. Ma mnóstwo czasu. Może po prostu musiał uzupełnić paliwo. Czasu nie zabraknie, powtarzała sobie, gdy śrubokręt ześlizgnął jej się z gniazda z biegunem ujemnym. Tego z kolei nie dało się ruszyć.

Na to nie miała czasu. Nie mogła przewidzieć tej korozji. Kabel siedział już w drugim gnieździe. Próbowała poprawić ustawienie latarki, bo celowała zbyt wysoko: do marszu w sam raz, ale nie do pracy Zdołała ją nieco przekręcić i wycelować w pompę.

Przewód uziemienia można było podpiąć do dowolnej części głównej osłony, prawda? Próbowała to sobie przypomnieć. Cała obudowa miała mieć uziemienie, tak czy nie? Czemu tego nie pamiętała? Czemu tak trudno jej było o tym myśleć?

Wyprostowała końcówkę czarnego przewodu i spróbowała usztywnionymi przez rękawice palcami poskręcać odstające włókna miedzi. Wetknęła następnie tę końcówkę w otwór osłony z tyłu urządzenia, w miejscu w którym przewodzący metal był połączony z resztą pompy. Owinęła mocno przewód wokół wystającej śruby, wiążąc go, żeby nie spadł, a potem starała się przekonać samą siebie, że to wystarczy, by maszyna zaczęła działać. Walker by wiedział. Gdzie on się do cholery podziewał, gdy go potrzebowała?

Radio przy szyi zaskrzeczało szumem, w którym Juliette zdawała się słyszeć swoje imię, ale potem znów zapanowała cisza.

Juliette zatoczyła się w ciemnej i lodowatej wodzie. W uszach jej dzwoniło od szumów z głośnika. Pochyliła podbródek, by powiedzieć Solo, żeby trzymał radio z dala od ust, a wtedy przez przesłonę hełmu zauważyła, że z jej zaworu nie wylatują już żadne bąbelki. W jej kombinezonie nie było już nadmiaru powietrza zwiększającego ciśnienie.

Teraz zaczęła czuć ciśnienie zupełnie innego rodzaju.

65

Silos 18

Walkera popychano po schodach, mijał mechaników pracujących właśnie nad kolejną stalową barierą, blokującą przejście. Większość elementów radia zdołał zapakować do pojemnika na części zamienne, który trzymał kurczowo w dłoniach. Przedzierając się przez tłum uciekinierów, patrzył na grzechoczące w pojemniku części. Przed nim szła Shirly, przeciskając do piersi resztę elementów radia i ciągnąc za sobą kable. Walker starał się tak stawiać kroki, żeby się nie zaplątać.

– Szybciej! Szybciej! Szybciej! – krzyknął ktoś. Wszyscy się przepychali. Odgłos wystrzałów robił się coraz głośniejszy, a na twarz Walkera posypały się złote iskry. Zmrużył oczy i puścił się pędem, by uciec przed ostrzałem. Wyminął grupę ubranych w pasiaste kombinezony górników, którzy biegli na górę ze stalową płytą.

– Tędy – zawołała Shirly, ciągnąc Walkera za sobą. Piętro niżej odciągnęła go na bok. Jego biedne nogi ledwie były w stanie za nią nadążyć. Ktoś upuścił worek, młodzieniec z pistoletem wrócił się po niego.

– Do sali generatora – powiedziała Shirly, wskazując Walkerowi, gdzie iść.

Przez podwójne drzwi już przechodziła cała kolejka ludzi. Jenkins starał się zapanować nad ruchem. Ci mający strzelby zajęli pozycje przy pompie oleju, zamierając w bezruchu, jakby już żyli tylko czekającą ich walką.

– Co to takiego? – zapytał Jenkins, gdy zbliżyli się do drzwi. Chodziło mi o pozwijane kable, które niosła Shirly. – Czy to...

– Radio, sir – odparła i skinęła głową.

– Teraz na nic nam się nie zda. – Jenkins wpuścił do środka kolejną dwójkę. Shirly i Walker odsunęli się od przejścia.

– Sir...

– Zabierz go do środka – warknął Jenkins, mając na myśli Walkera. – Nie chcę, żeby mi właził w drogę.

– Ale sir, chyba będzie pan chciał usły...

– Dalej, ruszać się! – ryknął do maruderów na tyłach kolejki. Zgiął rękę i pośpieszał ich też gestem. Zostali już jedynie mechanicy, którzy powymieniali swoje klucze na pistolety. Stali, wspierając się o poręcze,

kierując wszyscy lufy w tym samym kierunku, jakby robili to nie pierwszy raz.

– Wjazd albo wyjazd – powiedział Jenkins do Shirly, zamykając pomału drzwi.

– Idź – rzuciła, wypuszczając powietrze z płuc. – Wchodzimy do środka.

Walker bezmyślnie wykonał polecenie, myśląc o tych wszystkich częściach i narzędziach, które powinien był zabrać, a które zostały kilka pięter wyżej, pewnie stracone już na dobre.

* * *

– Ej, wyprowadźcie tych ludzi z pomieszczenia kontrolnego!

Gdy tylko weszli do środka, Shirly przebiegła przez salę generatora, wlokąc za sobą kable i aluminiowe kawałki anteny, odbijające się od podłogi. – Wyłazić!

Grupa mechaników i ludzi w żółtych kombinezonach Zaopatrzenia gapowato kręciła się po ciasnym pomieszczeniu kontrolnym. Dołączyli potem do tych, którzy stali przy barierce, otaczającej potężną maszynę, która wypełniała większość przepastnej sali, jednocześnie nadając jej nazwę. Teraz przynajmniej hałas był do wytrzymania. Shirly pomyślała, co by było, gdyby tylu ludzi musiało tu tkwić wtedy, gdy urządzenie wydawało z siebie niemal ogłuszające dźwięki.

– Wszyscy wychodzą z pomieszczenia kontrolnego. – Wygoniła kilka ostatnich osób. Shirly wiedziała, czemu Jenkins chciał odciąć to piętro. Jedyną ich mocą była ta dosłowna. Przegnała ostatniego mężczyznę z niewielkiego pomieszczenia pełnego wyjątkowo czułych pokręteł, paneli kontrolnych i odczytów ekranu, a potem od razu sprawdziła poziom paliwa.

Obydwa zbiorniki były pełne, więc chociaż to udało im się dobrze zaplanować. Mają zapewnione co najmniej kilka tygodni zasilania. Przebiegła wzrokiem po wszystkich pokrętłach i panelach, nadal przyciskając do piersi plątaninę przewodów.

– Gdzie mógłbym...?

Walker wyciągnął przed siebie swoje pudełko. Wszystkie płaskie powierzchnie w pomieszczeniu pełne były przełączników i innych rzeczy, których lepiej było nie tykać. On zdawał się to doskonale rozumieć.

– Najlepiej chyba na podłodze. – Położyła trzymane kable, a potem poszła zamknąć drzwi. Ci, których wygoniła, stali teraz po drugiej stronie

szyby, z tęsknotą patrząc na wysokie stołki znajdujące się w klimatyzowanym pomieszczeniu. Shirly nie zwróciła na nich uwagi.

– Zabraliśmy ze sobą każdą część? Wszystko jest tutaj?

Walker wyciągnął z pudełka elementy radia, krzywiąc się na widok splątanych kabli. – Mamy zasilanie? – zapytał, trzymając w ręce wtyczkę transformatora.

Shirly parsknęła śmiechem. – Walk, ty chyba wiesz, gdzie się teraz znajdujemy, prawda? To oczywiste, że mamy zasilanie. – Chwyciła wtyczkę i wetknęła ją do jednego z gniazd na głównym panelu. – Mamy wszystko? Możemy to znów uruchomić? Walk, Jenkins musi usłyszeć to co my.

– Przecież wiem. – Skinął głową i zaczął porządkować sprzęt, łącząc ze sobą kilka luźnych kabli. – Będzie trzeba ją rozprostować. – Gestem wskazał trzymaną przez Shirly antenę.

Kobieta podniosła wzrok. Nie mieli tutaj żadnych krokwi.

– Zawiesimy ją na tamtej poręczy na zewnątrz – wyjaśnił jej. – Musi być prosta i sięgać końcówką do nas.

Shirly ruszyła ku drzwiom, rozwijając za sobą przewód.

– Tylko pamiętaj, żeby metalowe elementy nie dotykały poręczy! – zawołał Walker.

Shirly poprosiła do pomocy kilku mechaników ze swojej zmiany. Kiedy zobaczyli, co musiała zrobić, zorganizowali całą ekipę metodycznie rozplątującą supły. Miała więc chwilę, by wrócić do Walkera.

– Zaraz będzie gotowe – powiedziała mu, zamykając za sobą drzwi. Kabel bez problemów zmieścił się między nie a ościeże.

– Tu chyba wszystko mamy – odparł. Popatrzył na nią. Oczy miał podkrążone, włosy w nieładzie, po siwej brodzie spływał mu lśniący pot. – Kurwa. – Pacnął się w czoło. – Przecież nie mamy głośników.

Słysząc w ustach Walkera przekleństwo, Shirly o mało nie dostała zapaści, sądząc, że nie zabrali jakiegoś najważniejszego elementu. – Czekaj tutaj – powiedziała, a potem wyszła na zewnątrz i popędziła w stronę stanowiska z nausznikami. Wzięła takie z kablem, dzięki którym mogli się komunikować między pomieszczeniem kontrolnym a ludźmi pracującymi przy którymś z generatorów. Przebiegła obok ciekawskiego i przerażonego tłumu, a potem wróciła do Walkera. Dotarło do niej, że także ona powinna się bać, bo przecież walki toczyły się coraz bliżej. Jednak była w stanie

myśleć jedynie o tamtych głosach, których słuchanie przerwała im wojna. Ciekawość była silniejsza od strachu. Shirly po prostu taka była, zawsze.

– Te się nadadzą?

Zamknęła drzwi i rzuciła Walkerowi słuchawki.

– Idealne – odparł, otwierając szeroko oczy z zaskoczenia. Zanim zdążyła zareagować, odciął wtyczkę swoim narzędziem uniwersalnym i zaczął zdzierać izolację. – Dobrze że mamy tu ciszę – stwierdził, śmiejąc się.

Shirly też się zaśmiała i zaczęła się zastanawiać, co się do diabła dzieje. Co zamierzali zrobić: siedzieć tu i majstrować przy przewodach, aż policja i ochrona z działu IT po nich przyjdą?

Walker podpiął słuchawki i zaczął z nich dobiegać cichy szum. Shirly szybko do niego dołączyła; przysiadła obok i chwyciła Walkera za nadgarstek, by nie drżała mu ręka, a wraz z nią słuchawki.

– Będziesz musiała... – Wskazał jej pokrętło z białymi znaczkami.

Shirly skinęła głową, uświadamiając sobie, że zapomnieli zabrać farby. Złapała pokrętło między palce i zaczęła nim poruszać. – Który zakres wybrać? – zapytała.

– Nie. – Powstrzymał ją, nim zaczęła kręcić w stronę zakresów, które sprawdzali wcześniej. – Kręć w przeciwnym kierunku. Chcę wiedzieć, ile ich... – Kaszlnął w pięść. – Musimy wiedzieć, ile jest silosów.

Skinęła głową i zaczęła obracać regulator ku jeszcze nie pomalowanej, czarnej powierzchni. Obydwoje wstrzymali oddech, a zza .grubych drzwi i podwójnych szyb ledwie było słychać pracujący generator.

Shirly przyglądała się Walkerowi. Zastanawiała się, co z nim będzie, gdy zostaną pojmani. Czy tamci poślą ich wszystkich do czyszczenia? A może on i kilku innych będą mogli twierdzić, że nie brali udziału we wcześniejszych zajściach? Ta myśl napełniła ją smutkiem: oto będą musieli sprostać konsekwencjom swojego gniewu, swojej żądzy zemsty. Straciła męża, odebrano go jej. I na co to wszystko? Ludzie umierali. W jakim celu? Przecież sprawy mogły się potoczyć inaczej, ich marzenia, być może nierealne, niosły nadzieję, że uda się coś zmienić, rozwiązać najtrudniejsze kwestie. Wcześniej traktowano ją niesprawiedliwie, ale przynajmniej była bezpieczna. Działa się wielka niesprawiedliwość, ale Shirly była zakochana. Czy to ją tłumaczyło? Która ofiara miała większy sens?

– Trochę szybciej – rzucił Walker, coraz bardziej zniecierpliwiony. Słyszeli szum, ale żadnych rozmów. Shirly kręciła regulatorem nieco

bardziej energicznie.

– Może antena...?

Walker uniósł rękę. W słuchawkach coś trzasnęło. Skierował kciuk w bok, dając jej znak, żeby się cofnęła. Shirly wykonała polecenie. Chciała sobie przypomnieć, o ile dalej przesunęła regulator, wykorzystując umiejętności nabyte w tym właśnie pomieszczeniu, przy pracy z wcześniej nieznośnie hałaśliwym generatorem...

– ... Solo? Tu Juliette. Słyszysz mnie? Co się tam dzieje?

Shirly puściła pokrętło. Przez chwilę kiwało się na przylutowanym przewodzie, a potem upadło na podłogę.

Dłonie jej zdrętwiały. Czuła mrowienie w opuszkach palców Odwróciła się i spojrzała na kolana Walkera, skąd dobiegł upiorny głos. Mężczyzna patrzył tępo na swoje ręce.

Żadne z nich się nie poruszyło. Tego głosu, tego imienia nie dało się pomylić z niczyim innym.

Z oczu Walkera popłynęły łzy radości, kapiąc z brody na podołek.

66

Silos 17

Juliette chwyciła oburącz węża powietrznego i ścisnęła go mocno. Nagrodą było kilka małych bąbelków, wylatujących przez zawór. W rurce nie było już żadnego ciśnienia.

Zaklęła pod nosem, schyliła podbródek i znów zawołała Solo przez radio. Coś się stało ze sprężarką. On pewnie nad tym pracuje, może dolewa paliwa. Powtarzała mu, żeby nie wyłączał urządzenia. Nie wiedziałby, co zrobić, nie potrafiłby znów go uruchomić. Wcale tego wszystkiego nie przemyślała; była niemożliwie daleko od powietrza, nie miała żadnej nadziei na ocalenie.

Odetchnęła płytko. Miała tylko ten tlen, który znajdował się w kombinezonie i w wężu. Ile powietrza będzie w stanie wyssać z węża korzystając tylko z siły swoich płuc? Podejrzewała, że niewiele.

Po raz ostatni popatrzyła na pompę i na zrobione pośpiesznie okablowanie, przewody biegnące w wodzie, które miała nadzieję zabezpieczyć przed wibracjami czy przypadkowymi szarpnięciami. Teraz nie miało to już dla niej znaczenia. Odskoczyła od pompy i machając rękami zaczęła brodzić w lepkiej cieczy, która spowalniała ruchy, nie dając Juliette niczego, od czego mogłaby się nawet odepchnąć.

Ciężarki tylko jej przeszkadzały. Schyliła się więc, by je odciąć, ale nie była w stanie. Wyporność rękawów i zarazem sztywność kombinezonu uniemożliwiały jej to zadanie... Sięgnęła ku rzepom, ale przez powiększającą wszystko kopułę hełmu widziała, że brakuje jej paru cali, by ich dosięgnąć.

Odetchnęła głęboko. Pot spływał jej po nosie, kapiąc na wewnętrzną stronę przesłony. Spróbowała raz jeszcze, z nieco lepszym skutkiem, niemal dotykając czarnych pasów, wyciągając oba ramiona i pojękując, żeby tylko sięgnąć w końcu tych przeklętych goleni.

Lecz nie dała rady. Poddała się więc i powłócząc nogami ruszyła przez korytarz, ciągnąc za sobą kabel i węża, widoczne w słabym białym świetle jej latarki. Starała się nie wpaść na przewody, wiedząc że jedno przypadkowe szarpnięcie może zniszczyć wątłe uziemienie pompy. Nawet gdy walczyła o każdy oddech, jej umysł skupiony był na pracy mechanika. Przeklinała samą siebie, że nie poświęciła więcej czasu na przygotowania.

Nóż! Przypomniała sobie o nim i momentalnie się zatrzymała. Wysunęła go z pochwy, którą sama przyszyła do kombinezonu. Lśnił w blasku latarki.

Juliette schyliła się, próbując wykorzystać dodatkowy zasięg ostrza; Wody wokół były czarne i gęste. Mając jedynie słabe światło latarki na hełmie i tkwiąc na samym dnie Maszynowni, pod takimi ilościami wody, czuła się mała i osamotniona, bardziej przerażona niż kiedykolwiek wcześniej.

Ścisnęła nóż mocniej – bojąc się co by było, gdyby go upuściła – a potem próbowała pochylić się jak najniżej, napinając mięśnie brzucha. Przypominało to trochę robienie brzuszków na stojąco. Zaatakowała pasek, jakby chciała go przepiłować, klnąc z wysiłku, napięcia i coraz silniejszego bólu w mięśniach, wywołanego nerwowymi ruchami ciała... i w końcu odcięła ciężarek. Gdy tylko okrągła stalowa bryła spadła na podłogę, Juliette odniosła wrażenie, jakby jej łydka nagle była teraz lekka i zupełnie naga.

Pochyliła się na bok, unosząc jedną nogę, a drugą nadal mając przygwożdżoną do podłogi. Ostrożnie cięła nożem drugi pasek, bojąc się, że zrobi dziurę w kombinezonie, z której zacznie uchodzić powietrze. Tak jak wcześniej, ale z jeszcze większą desperacją, przesuwała ostrzem po czarnej taśmie. Przez powiększającą wszystko przesłonę widziała jak pękają nylonowe włókna. Jej pot kapał na przezroczysty plastik. Aż w końcu nóż rozciął materiał i ciężarek odpadł.

Juliette krzyknęła, widząc jak jej buty wznoszą się wyżej niż jej głowa. Obróciła się, ze wszystkich sił machając rękami, ale i tak uderzyła hełmem w biegnące po suficie rury.

Rozległ się trzask – i nagle wszystko wokół stało się jednolicie czarne. Juliette próbowała włączyć latarkę, ale już jej nie było. W ciemności coś uderzyło ją w ramię. Sięgnęła jedną ręką po ten obiekt, w drugiej ściskając nóż. Poczuła tylko, jak wyślizguje jej się z rękawicy i znika. Kiedy próbowała schować nóż, jedyne źródło światła zniknęło w nieprzeniknionym mroku.

Juliette słyszała tylko swój spazmatyczny oddech. Właśnie tak umrze, przyszpilona do sufitu – kolejne ciało dryfujące w korytarzach Maszynowni. Zupełnie jakby to było jej przeznaczenie – umrzeć, mając na sobie ten kombinezon. Kopnęła w rury, chcąc od nich odpłynąć. W którą stronę zmierzała? W którym kierunku teraz patrzyła? Mrok był jak czarna

ściana. Nie widziała nawet własnych ramion. To było gorsze niż ślepota, wiedzieć, że ma się sprawne oczy, ale one na nic się nie przydadzą. To tylko zwiększyło jej panikę. A powietrze w kombinezonie robiło się coraz bardziej stęchłe.

Powietrze.

Pomacała kołnierz i odszukała węża powietrznego, ledwie czując jego kształt pod grubymi rękawicami. Zaczęła przyciągać go do siebie, jedno pociągnięcie za drugim, co przypominało wyławianie górniczego wiadra z głębokiego szybu.

Zdawało się, jakby przyciągnęła całe mile węża. Wielki zwój ocierał się nieustannie o powierzchnie kombinezonu. Oddech Juliette coraz bardziej przypominał rozpaczliwe dyszenie. Panikowała. Ile tlenu zużywała przez przypływ napędzanego adrenaliną strachu? Bała się, że wąż, którego ciągnie, został przecięty, że wlecze go przez całą długość schodów, a za moment będzie miała w dłoniach drugi jego koniec, i w końcu jej ręka zaciśnie się w miejscu, gdzie została jedynie czarna woda...

Ale wtedy chwyciła odcinek węża, który był napięty, który wiódł ku życiu. Nie było w nim tlenu, ale mógł ją poprowadzić do wyjścia.

Juliette krzyknęła i znów wyciągnęła ramię przed siebie. Podciągnęła się, uderzając o rury i oddalając się wreszcie od sufitu. Wciąż wyciągała przed siebie ręce, szukając węża, w końcu znajdując go, potem mocno ściskając i przepływając pomiędzy zatopionymi ciałami. Zużywając resztki powietrza, wciąż zastanawiała się, kiedy do nich dołączy.

67

Silos 18

Lukas i jego matka usiedli na progu serwerowni. Popatrzył na jej dłonie, którymi objęła jego dłonie. Podniosła rękę, zbierając mu kłaczki z ramienia i rzucając je z dala od jej ukochanego syna.

– Mówiłeś, że czeka cię awans? – zapytała, wygładzając mu podkoszulek.

Lukas skinął głową. – I to całkiem spory. – Popatrzył na korytarz, gdzie Bernard rozmawiał przyciszonym głosem z szeryfem Billingsem. Bernard trzymał ręce w przednich kieszeniach kombinezonu. Billings gapił się na swój pistolet.

– Och kochanie, to wspaniale. W takim razie łatwiej mi znieść naszą rozłąkę.

– Wydaje mi się, że to już nie potrwa długo.

– Będziesz mógł głosować? Nie mogę uwierzyć, że mój synek zajmuje się tak ważnymi sprawami!

Lukas popatrzył na nią. – Głosować? Myślałem, że wybory przełożono.

Pokręciła głową. Jej twarz miała więcej zmarszczek niż przed miesiącem, jej włosy były bielsze. Lukas był zdumiony, że ktoś może się aż tak zmienić w tak krótkim czasie.

– Nie, będą zgodnie z planem – wyjaśniła. – Problemy z rebeliantami wkrótce zostaną rozwiązane.

Lukas zerknął w stronę Bernarda i szeryfa. – Na pewno zrobią coś, żebym mógł zagłosować – stwierdził.

– To miło. Lubię myśleć, że dobrze cię wychowałam. – Odchrząknęła, zakrywając dłonią usta, a potem znów złapała go za rękę. – Dobrze cię karmią? Dostajesz swoje racje?

– Więcej, niż dałbym radę zjeść.

Otworzyła oczy szeroko. – Więc pewnie dostaniesz też podwyżkę...?

Wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia. Pewnie tak. Słuchaj, tobą też się zajmą....

– Mną? – podniosła głos, przyciskając dłoń do piersi. – O mnie się nie martw.

– Nie mogę się nie martwić. Słuchaj, mamo, chyba nasz czas dobiega końca. – Skinął głową w kierunku korytarza. Bernard z Peterem szli już w ich stronę. – Wygląda na to, że muszę wracać do pracy.

– Pewnie. Rozumiem. – Wygładziła swój czerwony kombinezon, a Lukas pomógł jej wstać. Zacisnęła wargi, a potem pocałowała go w policzek.

– Mój chłopiec – powiedziała, całując go. i ściskając za ramię. Cofnęła się o krok, z dumą patrząc na syna. – Dbaj o siebie.

– Dobrze, mamo.

– I staraj się dużo ćwiczyć.

– Oczywiście, mamo.

Bernard stanął obok, uśmiechając się na dźwięk tej wymiany zdań. Matka Lukasa odwróciła się i zmierzyła wzrokiem mężczyznę pełniącego aktualnie funkcję burmistrza. Potem poklepała go delikatnie po klatce piersiowej i łamiącym się głosem powiedziała: – Dziękuję.

– Cudownie było panią poznać, pani Kyle. – Bernard chwycił ją za rękę i spojrzał na Petera. – Szeryf odprowadzi panią do wyjścia.

– Oczywiście. – Raz jeszcze spojrzała na Lukasa, machając do niego na pożegnanie. Był wprawdzie nieco zażenowany, ale też jej pomachał.

– Urocza dama – stwierdził Bernard. – Przypomina mi moją matkę. – Odwrócił się do Lukasa. – Jesteś gotowy?

Lukas miał ochotę wyrazić wreszcie swoje opory, swoje wątpliwości. Miał chęć powiedzieć: Może i jestem, ale zamiast tego wyprostował się, zatarł spocone dłonie i spuścił wzrok. – Jak najbardziej – wydusił, udając pewnego siebie.

– Świetnie. Więc możemy to już ogłosić. – Ścisnął ramię Lukasa, a potem ruszył w głąb serwerowni. Lukas przeszedł za masywne drzwi, które chwilę później zamknęły się z głośnym skrzypieniem. Elektroniczny zamek automatycznie je zaryglował. Panel zabezpieczający zapiszczał i w miejsce groźnego, łypiącego czerwienią światła, pojawiła się spokojna zieleń.

Lukas odetchnął głęboko i ruszył przez serwerownię. Starał się nie podążać śladami Bernarda, wolał nie iść za każdym razem tą samą trasą. Wybrał drogę naokoło, żeby wyrwać się z monotonii, którą narzucało mu to pewnego rodzaju więzienie.

Zanim Lukas dotarł na miejsce, Bernard zdążył już otworzyć tył serwera. Podał Lukasowi słuchawki.

Ten wziął je do ręki, a potem założył tyłem na przód, z mikrofonem wciskającym się w kark.

– Tak ma być? – spytał, udając że pierwszy raz ma te słuchawki na sobie.

Bernard parsknął śmiechem i zakręcił palcem, w powietrzu. – Odwrotnie – odparł, podnosząc głos, aby Lukas mógł go usłyszeć zza nauszników.

W końcu zaczął je obracać, przy okazji zaplątując się w kabel. Bernard cierpliwie czekał.

– Jesteś gotowy? – zapytał, gdy słuchawki były już na właściwym miejscu. W ręce trzymał wtyczkę. Lukas skinął głową. Obserwował jak podpina słuchawki. Wyobraził sobie, że Bernard sięga nagle w dolny prawy róg i podłącza się do silosu numer siedemnaście, a potem każe się Lukasowi tłumaczyć z tego co robił ostatnio, rozmawiając ze swoją tajemniczą ukochaną...

Ale drobna dłoń szefa nawet nie zadrżała; od razu wsunęła wtyczkę do gniazdka. Lukas doskonale wiedział, jakie to uczucie, kiedy gniazdo zaciska się mocno na wtyczce, a opuszki palców podskakują od wstrząsu spowodowanego przeskoczeniem wewnętrznej sprężyny...

Światełko nad gniazdem zaczęło migać. Lukas usłyszał znajome brzęczenie. Czekał, aż Juliette odbierze i znowu usłyszy jej głos...

Trzask.

– Nazwisko.

Po plecach Lukasa przebiegł dreszcz strachu, rozchodząc się po ramionach. Głęboki, wyrażający zniecierpliwienie i zarazem dystans głos pojawił się nagle niczym gwiazda wyłaniająca się zza chmur. Lukas oblizał wargi.

– Lukas Kyle – rzekł, próbując się nie zająknąć.

Nastała chwila ciszy. Wyobraził sobie jak gdzieś daleko ktoś spisuje właśnie jego nazwisko, a może przewraca strony bądź robi z tą informacją coś okropnego. Temperatura za serwerem gwałtownie wzrosła. Bernard uśmiechał się do Lukasa, nieświadomy milczenia na drugim końcu linii.

– Cieniowałeś w dziale IT.

To brzmiało jak stwierdzenie, ale Lukas postanowił odpowiedzieć. – Takjestsir.

Przetarł dłonią czoło, a potem tył spodni kombinezonu. Bardzo chciał sobie usiąść, albo chociaż oprzeć się o serwer z numerem czterdzieści, by nieco się zrelaksować. Ale Bernard wciąż bacznie mu się przyglądał zza okularów, uśmiechając się szeroko.

– Co jest twoim najważniejszym obowiązkiem w silosie?

Bernard ostrzegał go, że takie pytania mogą paść.

– Utrzymanie Porządku.

Cisza. Żadnej reakcji, żadnej wskazówki, czy ta odpowiedź była prawidłowa.

– Czego przede wszystkim musisz strzec?

– Życia i Dziedzictwa – wyrecytował z pamięci. Ale to wydawało się niesłuszne, było ledwie fasadą prawdziwej wiedzy. Chciał zagłębić się w szczegóły, pozwolić tamtemu komuś – brzmiącemu jak silny i trzeźwo myślący ojciec – zrozumieć, dlaczego jego zdaniem to jest właśnie tak ważne. Nie był głupi. Miał do powiedzenia znacznie więcej niż tylko wykute regułki...

– Czego wymaga ochrona tych najcenniejszych dla nas rzeczy?

Zamilkł.

– Wymaga ofiary – wyszeptał Lukas. Pomyślał o Juliette i nagle jego spokój i powaga niemal legły w gruzach. Co do pewnych kwestii wcale nie był przekonany, nie wszystko był w stanie pojąć. To była właśnie taka kwestia. Jego odpowiedź zabrzmiała kłamliwie. Wcale nie był pewien, czy ofiara jest konieczna, czy naprawdę trzeba tylu ludzi, tylu dobrych ludzi, posyłać prosto na...

– Ile czasu spędziłeś w Laboratoriach?

Ton głosu nieco złagodniał. Lukas był ciekaw, czy to już koniec obrzędu. Udało mu się? Został przyjęty? Próbując się rozluźnić, wypuścił powietrze z płuc, mając nadzieję, że mikrofon tego nie wychwyci.

– Niewiele, sir. Bernard... To znaczy mój szef chce, żebym zaczął tam chodzić zaraz po...

Spojrzał na Bernarda, który wciąż obserwował go zza przytrzymywanych jedną dłonią okularów.

– Tak, wiem. A jak wyglądają sprawy na dolnych kondygnacjach?

– Cóż, mam tylko pobieżne informacje, ale jest chyba coraz lepiej. – Odchrząknął, przypominając sobie huk wystrzałów i krzyki, które słyszał wcześniej przez radio. – Wygląda na to, że robimy postępy. To nie powinno zająć wiele czasu.

Długie milczenie. Lukas starał się oddychać głęboko i uśmiechać do Bernarda.

– Czy postąpiłbyś inaczej, Lukas? Gdybyś mógł zacząć od początku?

Poczuł, że się chwieje, że ma miękko w kolanach. Znów wrócił za stół konferencyjny, znów czuł na policzku dotyk czarnej stali, linię biegnącą od jego oczu przez niewielki krzyżyk, przez ledwie widoczny otwór, niczym promień lasera wycelowany w siwowłosą kobietę, trzymającą w dłoni bombę. A potem po tej linii zaczęły lecieć pociski. Wystrzelone przez niego.

– Nie sir – odparł w końcu. – Wszystko zrobiono zgodnie z Nakazami. Panujemy nas sytuacją.

Czekał. Czuł, że jest tam gdzieś teraz oceniany

– Jesteś następny w kolejce do kierowania silosem osiemnastym – wyrecytował głos.

– Dziękuję, sir.

Lukas już zamierzał zdjąć słuchawki i przekazać je Bernardowi, na wypadek gdyby musiał on coś powiedzieć, bądź usłyszeć potwierdzenie.

– Wiesz co jest w mojej pracy najgorsze? – zapytał nagle beznamiętny głos.

Lukas opuścił ręce.

– Co takiego, sir?

– Stanie w tym miejscu, patrzenie na znajdujący się na naszej mapie silos i rysowanie na nim czerwonego krzyżyka. Potrafisz sobie wyobrazić jakie to uczucie?

Lukas pokręcił głową. – Nie potrafię, sir.

– Tak musi czuć się rodzic, który w jednej chwili traci tysiące swoich dzieci.

Milczenie.

– Będziesz musiał być dla swoich dzieci okrutny, jeśli nie chcesz ich stracić.

Lukas pomyślał o swym ojcu.

– Tak sir.

– Witam zatem w Operacji Pięćdziesiąt Ładu Światowego, Lukasie Kyle. Jeśli masz jakieś pytania, teraz możesz je zadać, byle szybko.

Lukas chciał powiedzieć, że nie ma żadnych pytań, chciał się rozłączyć, zadzwonić do Juliette, poczuć odrobinę zdrowego rozsądku

wpadającego do tego przesiąkniętego szaleństwem pomieszczenia. Ale przypomniał sobie, czego uczył go Bernard: że uświadomienie sobie własnej ignorancji jest kluczem do wiedzy.

– Tylko jedno pytanie, sir. Powiedziano mi, że to nic ważnego, i rozumiem, że tak jest w istocie, ale łatwiej będzie mi pracować, znając odpowiedź.

Przerwał, czekając na odpowiedź, jednak osoba po drugiej stronie czekała na pytanie.

Lukas odchrząknął. – Czy tam...? – Przycisnął mikrofon do ust, zerkając na Bernarda. – Jak się to wszystko zaczęło?

Nie był tego pewien – to mógł być tylko odgłos wiatraka któregoś z serwerów – ale zdawało mu się, że usłyszał westchnienie.

– Naprawdę musisz wiedzieć?

Lukas bał się odpowiedzieć szczerze. – To nie jest najważniejsza kwestia, ale dzięki temu mocniej doceniłbym nasze osiągnięcia, wszystko to, co udało nam się przetrwać. To w pewien sposób nadaje naszemu życiu cel.

– Powód jest celem – odparł tajemniczo mężczyzna. – Zanim ci powiem, chcę wiedzieć, co o tym myślisz.

Lukas przełknął ślinę. – Co ja myślę?

– Każdy ma jakieś pomysły. Sugerujesz, że ty ich nie masz?

W głosie tamtego dało się usłyszeć nutkę poczucia humoru.

– Wydaje mi się, że w jakiś sposób to przewidzieliśmy – stwierdził Lukas. Popatrzył na Bernarda, lecz ten zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

– To jedna z możliwości.

Bernard zdjął okulary i zaczął przecierać je krawędzią rękawa, gapiąc się na swoje stopy.

– Pomyśl o tym... – Głos zrobił pauzę. – Co gdybym ci powiedział, że na całym świecie było jedynie pięćdziesiąt silosów, a my znajdujemy się na przestrzeni stanowiącej zaledwie mały wycinek tego świata.

Lukas zastanowił się nad tymi słowami. To brzmiało jak kolejny test.

– Odparłbym, że tylko my... – Chciał powiedzieć „mieliśmy środki do życia”, ale zapoznał się z częścią Dziedzictwa i wiedział, że to nie była prawda. W wielu częściach świata nad wzgórzami wznosiły się wysokie budynki. Wielu innych też mogło się przygotować. – Tylko my wiedzieliśmy, co się wydarzy.

– Znakomicie. A czemu tak było?

Nie podobało mu się to. Nie chciał się nad tym głowić, tylko usłyszeć odpowiedź.

I nagle, niczym prąd po raz pierwszy biegnący przez kable, prawda wreszcie do niego dotarła.

– Dlatego, że... – Próbował w myślach zrozumieć swoją odpowiedź, wyobrazić sobie, czy może być w ogóle bliska prawdy. – To nie dlatego, że my to przewidzieliśmy – dodał, biorąc głęboki oddech. – To dlatego, że my tego dokonaliśmy.

– Dokładnie – odparł tamten. – Teraz już wiesz.

Powiedział coś jeszcze, ale ledwie było to słychać, zupełnie jakby zwracał się do kogoś innego. – Nasz czas dobiegł końca, Lukasie Kyle. Gratuluję wykonanego zadania.

Słuchawki kleiły mu się do uszu, twarz była mokra od potu.

– Dziękuję – wymamrotał.

– A, i jeszcze jedno, Lukas.

– Tak sir?

– W przyszłości sugeruję skupić się na bardziej przyziemnych sprawach. Nie ma co gapić się na gwiazdy, dobrze, synu? Znamy już położenie większości z nich.

68

Silos 18

– Halo? Błagam, Solo, odezwij się.

Nawet gdy dochodził z małych głośniczków w słuchawkach, tego głosu nie dało się pomylić z żadnym innym. Rozbrzmiewał bezcieleśnie w pomieszczeniu kontrolnym, w którym słychać go było już wcześniej nie raz – i to przez tyle lat. Miejsce sprawiło, że Shirly od razu zrozumiała, kogo słyszy; gapiła się na słuchawki podpięte do magicznego radia, wiedząc, że to nie może być nikt inny.

Ani ona, ani Walker nawet nie odważyli się głośniej odetchnąć. Czekali przez całą wieczność, aż w końcu Shirly znowu się odezwała.

– To była Juliette – wyszeptała. – Jakim sposobem my...? Czy jej głos został w jakiś sposób uwięziony? Unosi się gdzieś w powietrzu? Kiedy ona mogła to powiedzieć?

Shirly nie rozumiała, jak działa ta cała nauka, to wszystko przekraczało możliwości jej kiepskiego wykształcenia. Walker nadal gapił się na słuchawki, nie poruszając się, niczego nie mówiąc. Na brodę kapały mu łzy.

– Czy te... te fale, które wychwytuje nasza antena, po prostu krążą w silosie, odbijając się od ścian?

Zaczęła się zastanawiać, czy nie dotyczyło to aby wszystkich głosów, jakie słyszeli. Może po prostu odbierali rozmowy z przeszłości. Czy to było możliwe? Swego rodzaju elektryczne echo? To wydawało jej się mniej szokujące, niż myśl o innej możliwości.

Walker spojrzał na Shirly z dziwnym wyrazem twarzy. Usta miał otwarte, ale ich kąciki zaczęły się stopniowo unosić.

– To nie działa w ten sposób – odparł, już się uśmiechając. – Słyszymy słowa, które padają w tej chwili. To dzieje się właśnie teraz. – Złapał Shirly za ramię. – Ty też do usłyszałaś, prawda? Nie postradałem zmysłów. To naprawdę była ona? A więc żyje. Udało jej się tam dotrzeć.

– Nie. – Shirly pokręciła głową. – Walk, co ty gadasz? Juliette żyje? Gdzie udało jej się dotrzeć?

– Sama słyszałaś. – Wskazał radio. – Wcześniej. Te rozmowy. O czyszczeniu. Gdzieś tam są inne silosy. Jest nas tam więcej. Shirly, ona jest z nimi. *Tosiędziejewłaśnieteraz.*

– Żyje.

Shirly wbiła wzrok w radio, starając się to przetrawić. Jej przyjaciółka gdzieś tam była. Wciąż oddychała. A już zdążył sobie utrwalić w wyobraźni obraz ciała Juliette leżącego po drugiej stronie wzgórza, nieruchomego i stopniowo rozwiewanego przez wiatr.

– Możemy z nią porozmawiać? – zapytała.

Wiedziała, że to było głupie pytanie. Ale Walker strasznie się nim zdenerwował.

– O, Boże! Boże, pewnie, że możemy. – Rozstawił elementy radia na podłodze. Dłonie mu się trzęsły, ale Shirly już wiedziała, że to z podekscytowania. Strach kompletnie uleciał i z niego, i z niej, ulotnił się z tego pomieszczenia, jakby cała reszta świata nagle przestała być istotna.

Walker zaczął grzebać w koszu z częściami. Powyciągał narzędzia i sięgnął na samo dno pojemnika.

– Nie – rzekł. Odwrócił się, przeglądając leżące na podłodze przedmioty. – Nie, nie, nie.

– O co chodzi? – Shirly odsunęła się od części radia, żeby je lepiej widział. – Czegoś nam brakuje? Mikrofon leży tam. – Pokazała rozmontowany słuchawki.

– Nadajnik. Taka niewielka płytka. Pewnie leży u mnie na stole.

– Zgarnęłam wszystko do kosza. – Mówiła wysokim głosem, w którym słychać było napięcie. Ruszyła w kierunku plastikowego wiadra.

– Na tym drugim stole warsztatowym. Przedtem tego nie potrzebowałem. Jenks chciał tylko, żeby nasłuchiwać.

– Machnął ręką na radio. – Robiłem, czego wymagał. Skąd mogłem wiedzieć, że będę musiał nadawać...?

– Nie mogłeś – odparła Shirly. Położyła mu dłoń na ramieniu. Wiedziała, że zmierza teraz do złego miejsca. Często widywała, jak się tam udawał, znał skróty, by dostać się tam w kilka chwil. – Nie możemy użyć niczego innego? Zastanów się, Walk. Skup się.

Pokręcił głową, pokazując palcem słuchawki. – Ten mikrofon na nic się nie zda. On tylko przekazuje dźwięki. Wibrują te małe membrany i... – Odwrócił się i spojrzał na nią. – Zaraz. Jest jeszcze coś.

– Tu na dole? Gdzie?

– Mogą to mieć w magazynie górniczym. Przekaźniki. – Udawał, że trzyma pudełko i przekręca włącznik. – Do detonatorów. Naprawiałem jeden ledwie przed miesiącem. Powinien zadziałać.

Shirly poderwała się na równe nogi. – Przyniosę go. A ty tu zostań.

– Ale na schodach...

– Nic mi się nie stanie. Idę w dół, nie do góry.

Skinął głową.

– Niczego tutaj nie ruszaj. – Wskazała radio. – Nie szukaj już następnych głosów. Wystarczy nam jej głos. Zostaw to, jak jest.

– Oczywiście.

Shirly pochyliła się i ścisnęła jego ramię. – Niedługo wrócę.

Na zewnątrz dziesiątki twarzy odwróciły się w jej stronę, z ich szeroko otwartych oczu i rozchylonych ust można było wyczytać lęk i dręczące ich wątpliwości. Miała ochotę przekrzyczeć pomruk generatora, wrzeszczeć, że Juliette żyje, że nie są wcale sami, bo tam na zewnątrz są inni, żywi ludzie. Chciała, lecz nie miała czasu. Podbiegła do poręczy i odnalazła Courtnee.

– Ej...

– Wszystko gra tam u was? – zapytała Courtnee.

– Pewnie. Mogłabyś wyświadczyć mi przysługę? Popilnuj za mnie Walkera.

Courtnee skinęła głową. – Dokąd się...?

Ale Shirly już sobie poszła, pędząc w kierunku drzwi wejściowych. Przecisnęła się przez tłum zajmujący korytarz. Na zewnątrz stali Jenkins i Harper. Kiedy ich wymijała, przerwali rozmowę.

– Hej! – Jenkins próbował złapać ją za ramię. – Gdzie się, do jasnej cholery, wybierasz?

– Magazyn górniczy – odparła, wyrywając mu się. – To nie potrwa długo...

– Nigdzie nie pójdziesz. Zamierzamy wysadzić schody. Ci idioci od razu dostaną się w nasze ręce.

– Co zamierzacie?!

– Schody – powtórzył Harper. – Są gotowe do wysadzenia. Kiedy tamci tu zejdą i zaczną się do nas przedzierać...

– Ułożył dłonie w kulkę, która zaczyna się rozrastać w udawanej eksplozji.

– Ty nic nie rozumiesz. – Spojrzała na Jenkinsa. – Potrzebuję części do radia.

Tamten zmarszczył brwi. – Walk miał już swoją szansę.

– Wychwyciliśmy całe mnóstwo rozmów – wyjaśniła mu.

– On potrzebuje tej jednej części. Przysięgam, że zaraz wrócę.

Jenkins spojrzał na Harpera. – Ile czasu nam zostało?

– Pięć minut, sir. – Poruszał szczęką niemal niezauważalnie.

– Masz zatem cztery – powiedział Shirly. – Ale musisz być pewna, że...

Nie słuchała reszty. Już pędziła ku schodom, stukając butami o stal. Wyminęła platformę wiertniczą z jej smutną, spuszczoną głową, a potem szereg zdezorientowanych mężczyzn, celujących w jej kierunku z pistoletów.

Dotarła do wejścia na klatkę schodową i skręciła za rogiem. Ktoś pół piętra wyżej krzyknął ostrzegawczo. Shirly zbiegając w dół zauważyła dwóch górników z laskami dynamitu.

Piętro niżej skręciła i ruszyła w stronę szybu. W korytarzach było cicho. Słychać było jedynie jej tupot.

Juliette. Żywa.

Osoba wysłana na czyszczenie *przeżyła*.

Skręciła w kolejny korytarz i przebiegła obok apartamentów górników oraz nafciarzy, którzy zamiast wiercić w ziemi celowali pistoletami, którzy nosili broń zamiast narzędzi.

Ta nowa wiedza – niewiarygodna wiedza, ten sekret sprawiał, że walka wydawała się czymś wręcz surrealistycznym. Nieistotnym. Jak ktokolwiek mógł tutaj walczyć, skoro można było wyjść poza te ściany? Skoro jej przyjaciółka nadal gdzieś tam była? Czy i oni nie powinni wyjść na zewnątrz?

Dotarła do magazynu. Zajęło jej to jakieś dwie minuty. Serce dudniło jej w piersi. Jenkins z pewnością nie wysadzi schodów przed jej powrotem. Zaczęła przetrząsać stojące na półkach pojemniki, otwierać szuflady. Wiedziała, jak ten przedmiot wygląda. Powinno być ich tu co najmniej kilka. Gdzie się podziały?

Posprawdzała szafki, powyciągała z nich brudne kombinezony i hełmy. Niczego nie zauważyła. Ile czasu jej zostało?

W następnej kolejności wpadła do niewielkiego biura brygadzisty, od razu pędząc do jego biurka. W szufladach niczego nie było. Na półkach także. Duża szuflada na samym dole nie chciała się wysunąć. Była zamknięta.

Shirly cofnęła się o krok i zaczęła kopać w szufladę. Dwa razy wbiła w nią czubek twardego buta. Jej krawędź w końcu nieco opadła.

Shirly złapała wtedy za nią i zerwawszy słaby zamek zdołała ją w końcu otworzyć.

Materiały wybuchowe, laski dynamitu. Kilka niewielkich przekaźników, które służyły do odpalania ładunków. Pod nimi znalazła wreszcie przekaźniki, których szukał Walker.

Wzięła dwa duże i tych kilka mniejszych, a potem schowała je do kieszeni. Zabrała też dwie laski dynamitu – bo mogą się do czegoś przydać – i wybiegła z biura, przemierzając magazyn i kierując się z powrotem ku schodom.

Zajęło jej to zbyt wiele czasu. Czuła pustkę w piersi i oddychała z wyraźnym trudem, chrypiąc donośnie. Pędziła tak szybko jak mogła, skupiając się na wyrzucaniu nóg do przodu, przemierzaniu kolejnego odcinka podłogi.

Biorąc zakręt na końcu korytarza, znów pomyślała o tym, jak niedorzeczna jest ta cała walka. Ciężko było sobie przypomnieć, jak to się zaczęło. Knox nie żył, McLain także. Czy ich ludzie walczyliby nadal, gdyby ci wielcy przywódcy żyli i byli tutaj z nimi? A może już dużo wcześniej zrobiliby coś zupełnie inaczej? Zachowali się rozsądniej?

Docierając do schodów, przeklinała w myślach szaleństwo, które ogarnęło ich wszystkich. Pięć minut już z całą pewnością minęło. Oczekiwała wybuchu gdzieś tam w górze, który ogłuszyłby ją w sekundzie. Przeskakując po dwa stopnie naraz, dotarła na górę i przekonała się, że górnicy już sobie poszli. Z przerażeniem spojrzała na beczki z prochem.

– Szybciej! – krzyknął ktoś, starając się ją pospieszyć.

Shirly skupiła się na Jenkinsie, który przykucnął ze strzelbą w rękach. Harper był tuż obok. Niemal potknęła się o kable biegnące od schodów ku dwóm mężczyznom.

– Teraz! – krzyknął Jenkins.

Ktoś nacisnął przycisk.

Podłoga potężnie zadrżała i Shirly runęła. Wylądowała na stalowej kracie, ocierając podbródek o antypoślizgową warstwę diamencików. Dynamit niemal wypadł jej z rąk.

Kiedy zaczęła się podnosić, nadal dzwoniło jej w uszach. Mężczyźni za barierką poruszyli się, a zza obłoków gęstego dymu, unoszącego się ze stalowego kłębowiska, zaczęły wyłaniać się lufy pistoletów. Gdzieś w oddali słychać było wrzaski rannych.

Kiedy mężczyźni ruszyli do walki, Shirly nerwowo poklepywała kieszenie, sprawdzając, czy nadal ma przy sobie przekaźniki.

I po raz kolejny odgłosy toczącej się wojny zaczęły milknąć, odchodząc na drugi plan, kiedy Shirly pędziła do sali generatora, do Walkera, mimo krwawiącej wargi myśląc o znacznie ważniejszych rzeczach.

69

Silos 17

Juliette brodziła przez czarne, lodowate wody, odbijając się na ślepo od sufitów i ścian, nie potrafiąc nawet odróżnić jednych od drugich. Z coraz większą desperacją ciągnęła ku sobie węża, nie mając pojęcia, z jaką prędkością się przemieszcza – aż w końcu wpadła na schody. Uderzyła nosem o wnętrze hełmu i natychmiast ciemności ustąpiły miejsca światłu. Dryfowała, ogłuszona, a wąż wymykał jej się z rąk.

Jak tylko odzyskała zmysły, od razu zaczęła szukać swojej bezcennej liny ratunkowej. Wymacała coś przez rękawicę, złapała to mocno, i już miała zacząć się podciągać, gdy dotarło do niej, że to nie wąż, a przewód elektryczny. Puściła go, machając na ślepo rękami i nieustannie uderzając o coś butami. Nie dało się odróżnić sufitu od podłogi. Zaczęła odnosić wrażenie, że stoi do góry nogami, coraz bardziej zdezorientowana, wręcz półprzytomna.

Naciskała na nią jakaś twarda powierzchnia, więc Juliette doszła do wniosku, że musiała odpłynąć pod sam sufit, z dala od węża powietrznego.

Odepchnęła się nogami od tej powierzchni i popłynęła w dół, gdzie spodziewała się wylądować na podłodze. Jej ręce w coś się zaplątały – poczuła to na klatce piersiowej – zaczęła więc poruszać palcami, starając się wyczuć coś, co brała za kabel, ale zamiast tego wymacała miękką rurkę, którą wcześniej przepływało powietrze. Teraz wprawdzie nie pomagała jej w oddychaniu, ale mogła pomóc w wydostaniu się na powierzchnię.

Ciągnąc w jedną stronę, natrafiła na zgromadzony wcześniej zwój, więc momentalnie ruszyła w przeciwną. Znowu boleśnie odbiła się od schodów, ale nie przestawała się podciągać. Wąż prowadził w górę, a potem skręcał. Wyciągając przed siebie ręce, by osłonić się przed uderzeniami w ściany, sufity czy stopnie, Juliette pokonała sześć kondygnacji, w nieskończoność walcząc o pokonanie dosłownie każdego cala dzielącego ją od powierzchni.

Kiedy dotarła na górę, dyszała spazmatycznie, ledwie mogąc złapać oddech. I wtedy zrozumiała, że to nie ze zmęczenia, lecz z braku tlenu. Zużyła już nawet te resztki, które miała wewnątrz kombinezonu. Za sobą miała długiego na setki stóp węża powietrznego, w którym już jednak nie było tego powietrza wcale.

Podciągając się przez korytarz, znów odezwała się przez radio, pomału unosząc się ku sufitowi, mimo że kombinezon nie był już tak napompowany jak poprzednio.

– Solo! Słyszysz mnie?

Myśl o tym, ile jeszcze ma nad sobą wody, ile kondygnacji ciemnej cieczy teraz właśnie na nią napiera... To sprawiało, że zaczynała się dusić. Ile jeszcze powietrza miała w kombinezonie? Na parę minut? Jak długo może trwać dopłynięcie na górę klatki schodowej? Znacznie, znacznie dłużej. Pewnie w którymś z tych ciemnych korytarzy znajdowały się butle z tlenem, ale niby jak miałaby je odnaleźć? Ten silos nie był jej domem. Nie miała czasu na poszukiwania. Został jej już tylko szaleńczy pęd w górę schodów, ku upragnionej powierzchni.

Ciągnęła i kopała, przechodząc przez ostatni zakręt i trafiając do głównego korytarza, mięśnie pulsowały z bólu przy każdym jej ruchu, każdym zmaganiu się ze sztywnym kombinezonem, gęstością cieczy, w której brodziła, aż w końcu dostrzegła że czarna woda zmieniła barwę na odrobinę jaśniejszą. Jej czarną ślepotę rozproszyło nagle zielonkawe światło.

Wyczuwając, że bramka bezpieczeństwa jest już blisko, przebierała nogami coraz szybciej, jednocześnie zwijając węża. Podobne korytarze przemierzała już tysiące razy, dwukrotnie nawet w całkowitych ciemnościach – gdy nawaliła instalacja. Pamiętała błąkanie się pomiędzy ścianami, powtarzanie współpracownikom, że wszystko będzie dobrze, żeby się nie ruszali, a ona wszystkim się zajmie.

Teraz próbowała sobie powtarzać te same słowa, próbowała kłamać, że wszystko będzie dobrze, musi tylko przeć naprzód i nie panikować.

Kiedy dotarła do bramki, miała już poważne zawroty głowy. Woda w górze lśniła zielonkawą poświatą, jakby tylko na nią czekała: oto kres twojego błądzenia w mroku, nie będziesz już uderzać hełmem w niewidoczne przeszkody.

Jej ręka zaplątała się na moment w przewody, ale Juliette już po chwili zdołała się wyswobodzić, przybliżając się do gigantycznego zbiornika, w jaki przeistoczyła się zalana klatka schodowa.

Zanim tam dotarła, ogarnęły ją pierwsze spazmy, przypominające nieco czkawkę. Ciało brutalnie domagało się tlenu. Rozluźniła uchwyt, czując że klatka piersiowa zaraz jej eksploduje. Miała chęć zerwać z siebie hełm i napić się wody. Coś jej mówiło, że będzie mogła w ten sposób

oddychać. Wystarczy spróbować. Napełnić płuca chłodną cieczą. Lepsze to, niż toksyny unoszące się w kombinezonie, który powstał przecież z myślą o tym, by powstrzymywać trucizny przed dostaniem się do środka.

Jej przełyk znów zacisnął się spazmatycznie i Juliette zaczęła kaszleć, nie przestając jednak ciągnąć za węża. Niedaleko była lina, z przywiązanym do niej kluczem. Popłynęła w jej kierunku, wiedząc, że jest już za późno. Kiedy za nią szarpnęła, poczuła, że wcale nie była napięta – drugi koniec spadał już po spirali na samo dno.

Powoli zaczęła zmierzać ku powierzchni, lecz w kombinezonie było za mało powietrza, by jego ciśnienie miało jej pomóc w wypłynięciu z głębin. Po kolejnym spazmie musiała zdjąć hełm. Miała coraz mocniejsze zawroty głowy i wiedziała, że zaraz straci przytomność.

Juliette sięgnęła ku zatrzaskom na kołnierzu. Wrażenie deja vu było wręcz przytłaczające. Tyle że tym razem nie myślała logicznie. Pamiętała rozlaną zupę, odrażający smród, czołganie się na podłodze chłodni. Pamiętała nóż.

Poklepując się po piersi, wyczuła uchwyt noża wystający z pochwy. Z kieszeni powypadały jej też inne narzędzia – wisiały na żyłkach, żeby ich nie pogubiła, ale teraz zdawały się tylko kolejnym balastem ciągnącym ją na dno.

Powoli wznosiła się w górę klatki schodowej, drżąca z zimna i targana konwulsjami z braku tlenu. Zapominając o rozsądku, zapominając o tym, gdzie się teraz znajdowała, Juliette była świadoma tylko tej trującej mgły, która spowiła jej głowę, wirującej pod kopułą hełmu, zabijającej ją stopniowo. Wbiła ostrze w pierwszy zatrzask, mocno przyciskając nóż do kołnierza.

Rozległ się trzask i Juliette poczuła jak lodowata woda pryska jej na szyję. Z kombinezonu wyleciał jeden słaby bąbelek, widoczny przez przesłonę. Wtedy Juliette wbiła nóż w drugi zatrzask i hełm zeskoczył z kołnierza, zanurzając jej twarz w wodzie, wlewającej się do kombinezonu i tak zimnej, że aż paraliżującej ruchy, lecz przede wszystkim ciągnącej Juliette tam, skąd przyszła – na samo dno.

* * *

Zmarzła tak bardzo, że aż wróciły jej zmysły. Zamrugała w zielonkawej wodzie i ujrzała trzymany w dłoni nóż, a potem kopułę hełmu spadającą w mrok, jak bąbel powietrza, który pomylił kierunki. Ona

też zaczynała tonąć, nie miała w płucach powietrza, a na dodatek gigantyczne ilości wody napierały na nią ze wszystkich stron.

Wsuwając nóż do niewłaściwej kieszeni, zobaczyła śrubokręty i klucze zwisające na żyłkach, a potem wyrwała w stronę węża, który nadal był jej szansą, na pokonanie czterech ostatnich pięter dzielących ją od powierzchni.

Wyciekające z wnętrza kombinezonu bąbelki przepływały jej przez włosy. Chwyciła wreszcie rurkę i przestała opadać na dno. Podciągając się ku powierzchni, czuła jak jej płuca płoną, domagając się powietrza, wody, czegokolwiek. Chęć otwarcia ust była niemal nieodparta. Wtedy Juliette dostrzegła pod schodami połyskujące światełko w tunelu jej beznadziei.

Uwięzione bąbelki powietrza. Może powstałe wtedy, gdy schodziła na dół. Przyklejone od spodu do stopni, drżały niczym płynna stal.

Juliette zdusiła w sobie okrzyk desperacji. Przedzierała się przez wodę, zmagając się z oporem tonącego kombinezonu, aż w końcu udało jej się złapać poręczy schodów. Odpychając się od niej, dotarła do pierwszej poduszki powietrznej, a potem – trzymając się stalowej krawędzi, przycisnęła usta do dolnej części stopnia.

Wciągnęła do gardła odrobinę powietrza, ale też mnóstwo wody. Zanurzyła głowę i zaczęła kaszleć, a paląca ciecz wpłynęła jej do nosa. Niewiele brakowało, a woda wlałaby się jej do płuc. Miała wrażenie, jakby jej serce chciało pęknąć, więc znów przytwierdziła usta do dolnej powierzchni schodów, ostrożnie starając się wciągnął nieco powietrza.

Drobiny światła, które widziała wcześniej, prawie całkiem poznikały. Schyliła głowę i zrobiła wydech z dala od stopnia, patrząc jak bąbelki mkną w górę. Potem znów spróbowała zaczerpnąć nieco powietrza.

Tlen.

Do oczu napłynęły jej łzy – tak z wysiłku i frustracji, jak też ulgi. Patrząc w górę, na zakręcony labirynt metalowych schodów, z których niektóre zdawały się poruszać niczym płynne lustra, które tworzyło uwięzione pod nimi powietrze, Juliette ujrzała ścieżkę niepodobną do żadnej innej. Odbiła się od powierzchni, podciągając się ku kolejnym bąblom powietrza, które mogła spijać. Całe szczęście, że stworzone setki lat temu spoiwa diamentowych nakładek na stopnie były tak szczelne, że tlen przez nie nie przeciekał. Te stopnie miały być wytrzymałe, miały poradzić sobie z milionami naciskających na nie podeszew, a teraz zatrzymywały powietrze, które wydostawało się z jej kombinezonu, gdy schodziła na dół.

Przyciskała usta do rdzewiejącego metalu, jakby składała na schodach dziękczynny pocałunek za jej ocalenie.

* * *

Zielone światła awaryjne działały na każdym z mijanych pięter, więc Juliette nawet nie odczuwała tego, że mija kolejne kondygnacje. Skoncentrowała się wyłącznie na tych pięciu, sześciu stopniach, które musiała na jednym wdechu pokonywać, by dostać się do miejsca, gdzie znajdowały się bąbelki. Walczyła z oporem zalanego kombinezonu i ciężkich narzędzi, jednak nie miała nawet czasu ich odcinać, skupiona wyłącznie na kolejnych stawianych krokach i ciągnięciu węża, wsysaniu w płuca resztek powietrza, do ostatniego bąbelka. Musiała zachować spokój. Jeszcze tylko pięć kroków. To przypominało grę w klasy, nie można było oszukiwać ani nadepnąć na kredową linię. Ona była w tym niezła, a z każdym podskokiem stawała się coraz lepsza.

I wtedy usta zaczęły ją palić, woda zdawała się coraz bardziej toksyczna. Gdy Juliette chciała wysysać powietrze spod stopni, musiała się przebić przez warstwę oleju.

Wypuściła powietrze z płuc i zaczęła kaszleć, trąc twarzą o twardą powierzchnię. Głowę nadal miała pod stopniami. W końcu parsknęła śmiechem i odepchnęła się od schodów, stukając głową w stalową krawędź. Nareszcie była wolna. Zanurzyła się i opłynęła poręcz, czując, że oczy palą ją od oleju i brudnej wody. Wyłoniła się na powierzchnię, wołając Solo. W końcu zdołała przejść przez poręcz. Na miękkich kolanach zaczęła wspinać się po suchych schodach.

Przetrwała. Trzymając się krawędzi schodów nad głową, dysząc i parskając, prawie nie czując własnych nóg, próbowała krzyknąć, że jej się udało, ale ledwie jęknęła. Było jest strasznie zimno. Niemal zamarzała. Trzęsąc się, wspięła się po schodach, nie słysząc stukotu sprężarki, nie widząc pomocnej ręki przyjaciela.

– Solo...?

Pokonawszy kilkanaście stopni dotarła na piętro i padła na plecy. Niektóre narzędzia powypadały jej z kieszeni i zwisały na żyłkach, zaczepione o schody. Z kombinezonu wylewała się woda, chlapiąc jej na szyję, włosy i do uszu. Odwróciła głowę i – myśląc o tym, że musi wyleźć z tego lodowatego kombinezonu – wreszcie znalazła Solo.

Leżał na boku z zamkniętymi oczami, a na twarzy miał zaschniętą krew.

– Solo?

Drżącą ręką próbowała nim potrząsnąć. Co on ze sobą zrobił?

– Ej! Obudźże się, kurwa!

Zaczęła szczękać zębami. Złapała go za ramię i szarpnęła mocniej. – Solo! Potrzebuję pomocy!

Otworzył nieznacznie jedno oko. Zamrugał, a potem zgiął się w pół i kaszlnął, a z ust trysnęła mu krew.

– Pomocy! – zawołała. Zaczęła macać za zamkiem, nieświadoma tego, że to Solo potrzebuje jej pomocy.

Solo kaszlnął, zakrywając usta dłonią, a potem przeturlał się na plecy. Z głowy nadal ciekła mu krew, spływając po miejscach, w których wcześniejsza krew skrzepła.

– Solo?

Jęknął. Juliette podczołgała się bliżej, ledwie czując własne ciało. Wyszeptał coś, głos miał zachrypnięty i ledwie było go słychać.

– Ej... – Nachyliła się nad nim, czując między opuchniętymi, zdrętwiałymi wargami smak benzyny.

– To nie moje imię...

Znów kaszlnął krwią. Uniósł nieznacznie rękę, jakby chciał zakryć usta, ale nie był w stanie ich sięgnąć.

– To nie jest moje imię – powtórzył. Głowa opadła mu bezwładnie i dopiero wtedy do Juliette dotarło, jak poważnie był ranny. Odzyskała zmysły na tyle, by dostrzec, w jak fatalnym był stanie.

– Nie ruszaj się – jęknęła. – Solo, nie możesz się ruszać.

Próbowała się podnieść, zmusić się do wstania. Solo zamrugał i spojrzał na nią, oczy miał szkliste, brodę czerwoną od krwi.

– Nie żaden Solo – powiedział z wyraźnym wysiłkiem. – Mam na imię Jimmy...

Znów zakaszlał, przewracając oczami.

– ...I nie wydaje mi się...

Powieki mu opadły, twarz przeszył grymas bólu.

– ...Nie wydaje mi się, żebym...

– Zostań ze mną – wyszeptała Juliette, czując ciepłe łzy na przemarzniętych policzkach.

– ...Żebym kiedykolwiek był tu zupełnie sam... – dokończył, a potem jego napięta twarz rozluźniła się. I jego głowa opadła bezwładnie na zimną stalową podłogę.

70

Silos 18

Stojący na kuchence garnek bulgotał głośno, unosiły się z niego kłęby, pary, a z krawędzi ściekały pojedyncze krople wody. Lukas wysypał nieco liści herbaty z pojemnika, a potem wrzucił je do niewielkiego sitka. Kiedy wkładał metalowy koszyczek do kubka, trzęsły mu się ręce. Potem uniósł garnek, rozlewając trochę wody na palenisko. Zasyczało, w powietrzu rozszedł się swąd spalenizny. Kątem oka Lukas zerknął na Bernarda, zalewając wrzątkiem suche liście herbaty.

– Po prostu tego nie rozumiem – stwierdził, chwytając kubek oburącz, żeby ogrzać sobie dłonie. – Jakim sposobem ktokolwiek...? Jak ty mogłeś zrobić coś takiego celowo? – Pokręcił głową, wbijając wzrok w kubek, gdzie krążyło już kilka listków, które wypadły z sitka. Spojrzał na Bernarda. – I wiedziałeś o tym? Jak...? Jak mogłeś o tym wiedzieć?

Bernard zmarszczył brwi. Potarł dłonią wąsy, drugą kładąc sobie na brzuchu. – Wolałbym oczywiście o tym nie wiedzieć – odparł. – I teraz już rozumiesz, dlaczego niektóre fakty, niektóre strzępy wiedzy trzeba natychmiast niszczyć. Ciekawość może jedynie podsycać płomień, który będzie w stanie spalić cały silos. – Spojrzał na swoje buty. – Doszedłem do tych samych wniosków, co ty, wiedząc to, co trzeba wiedzieć, by wykonywać tę pracę. I właśnie dlatego wybrałem ciebie, Lukas. Ty i kilku innych macie świadomość, co jest przechowywane w pamięci serwerów. Możecie poszerzać swoją wiedzę. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyś o tym powiedział komuś, kto na co dzień w robocie nosi czerwony albo zielony kombinezon?

Lukas potrząsnął głową.

– To już się kiedyś zdarzało. Tak upadł silos dziesiąty. Ja siedziałem tam... – wskazał mały gabinet, z książkami, komputerem i szumiącym radiem – ...i wszystko słyszałem. Słyszałem jak cień mojego kolegi wykrzykiwał przez nadajnik swoje szalone teorie do każdego, kto tylko chciał słuchać.

Lukas gapił się w swoją herbatę. W ciemniejącej wodzie dryfowało kilka postrzępionych listków, pozostałe zaś nie zdołały wydostać się z koszyczka. – Właśnie dlatego nadajniki znajdują się pod kluczem... Dlatego też ty musisz siedzieć w zamknięciu.

Lukas skinął głową. Tego już zdążył się domyślić.

– Jak długo cię tu trzymali? – Spojrzał na Bernarda, a oczami wyobraźni zobaczył jak szeryf Billings sprawdza swój pistolet podczas wizyty matki Lukasa. Czyżby go podsłuchiwali? Czy gdyby coś powiedział, zarówno on, jak i matka zostaliby zastrzeleni?

– Spędziłem tutaj ponad dwa miesiące, nim mój opiekun stwierdził, że jestem gotowy, że zrozumiałem i zaakceptowałem wszystko, czego się nauczyłem. – Skrzyżował ręce, opierając je na brzuchu. – Naprawdę lepiej by było, gdybyś nie zadawał tego pytania, i gdybyś sobie tego wszystkiego aż tak szybko nie poskładał. Wolałbym, żebyś dowiedziała się o tym, gdy już będziesz starszy

Lukas zacisnął wargi i skinął głową. Dziwnie było rozmawiać tak z kimś wyższym rangą, który dowiedział się więcej i był znacznie mądrzejszy. Pomyślał, że to przypominało nieco rozmowy syna z ojcem – z tą różnicą, że dotyczyło zaplanowania i przeprowadzenia zagłady całej planety.

Lukas pochylił głowę i wciągnął nosem woń namoczonych liści. Mięta momentalnie przyniosła przyjemne ukojenie jego targanemu stresem umysłowi. Długo trzymał powietrze w płucach, zanim w końcu je wypuścił. Bernard podszedł do stojącej w kącie kuchenki i zaczął parzyć własną herbatę.

– Jak im się to udało? – zapytał Lukas. – Jakim sposobem zabili tylu ludzi? Wiesz kiedy to zrobili?

Bernard wzruszył ramionami. Postukał palcem puszkę, wysypując do swojego sitka dokładnie odmierzoną ilość liści. – Z tego co wiem, mogą to robić nadal. Nikt nie mówi o tym, ile to powinno trwać. Istnieje obawa, że niewielkie grupki ocalonych mogły się skryć pod ziemią gdzieś w odległych zakątkach globu. Operacja Pięćdziesiąt straci sens, jeżeli ktoś inny ją przetrwa. Cała populacja musi być jednorodna...

– Mężczyzna, z którym rozmawiałem, mówił, że zostaliśmy tylko my. Tylko te pięćdziesiąt silosów...

– Czterdzieści siedem – wtrącił Bernard. – I z tego co wiemy, naprawdę zostaliśmy sami. Trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek inny był równie dobrze przygotowany. Ale zawsze istnieje taka możliwość. Minęło dopiero kilkaset lat.

– Kilkaset? – Lukas oparł się o ladę. Podstawił kubek pod nos, ale mięta traciła chyba swoją moc. – Więc setki lat temu zdecydowaliśmy, że...

– *Oni*. – Bernard wlał wrzątek do kubka. – Oni zdecydowali. Siebie w to nie włączaj. A mnie to już z pewnością.

– Dobra, oni zdecydowali, że zniszczą świat. Zetrą wszystko z powierzchni ziemi. Dlaczego?

Bernard odstawił kubek, żeby herbata mogła się zapatrzyć. Zdjął okulary, przetarł zaparowane szkła, a potem wskazał nimi gabinet, konkretnie ścianę, przy której stał wielki regał z książkami. – Z powodu najgorszych elementów naszego Dziedzictwa, nie inaczej. Przynajmniej tak by to moim zdaniem wyjaśniali, gdyby żyli teraz. – Po chwili nieco ciszej dodał. – Ale dzięki Bogu już nie żyją.

Lukasa przeszył dreszcz. Nadal nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek był w stanie podjąć taką decyzję, obojętne w jakich warunkach. Pomyślał o miliardach ludzi, którzy podobno setki lat temu żyli pod gwiazdami. Nikt nie zabiłby tylu ludzi. Jak ktokolwiek mógłby unieważnić tyle żyć jednocześnie?

– Ale teraz my pracujemy dla nich – rzucił Lukas. Podszedł do zlewu i wyjął sitko z kubka, a potem odstawił je na stalową suszarkę. Ostrożnie pociągnął pierwszy łyk, uważając, by się nie poparzyć. – Zabraniasz mi nas w to mieszać, a przecież sami bierzemy w tym udział.

– Nie. – Bernard odszedł od kuchenki i usiadł przed niewielką mapą świata, wiszącą nad stolikiem. – Nie uczestniczyliśmy w tym, co robili ci chorzy skurwiele. Gdybym ich dorwał, własnoręcznie bym wszystkich pozabijał. – Bernard uderzył otwartą dłonią w mapę. – Zabiłbym gołymi rękami.

Lukas nie odpowiedział, ani się nie poruszył.

– Nie dali nam szansy. I nie o to tutaj chodzi. – Wskazał gestem otaczające go pomieszczenie. – To są więzienia. Klatki, a nie domy. Nie mają nas chronić, tylko zmuszać do tego, byśmy pod groźbą śmierci wypełniali wizję tamtych.

– Wizję czego?

– Świata, w którym jesteśmy zbyt do siebie podobni i zbyt skupieni na sobie nawzajem, by tracić czas na walkę, zużywać zasoby tylko po to, by móc ich strzec. – Uniósł kubek i pociągnął łyk, głośno siorbiąc. – Przynajmniej taką mam teorię. Po całych dekadach czytania. Ci, którzy tego dokonali, rządzili potężnym państwem, które zaczęło się rozpadać. Widzieli już koniec – swój własny – i to ich śmiertelnie przeraziło. Gdy ich czas zaczął dobiegać końca – a przypominam ci, że to była kwestia dekad –

stwierdzili, że jedyną szansą, jaką mają na ocalenie samych siebie, jest wprowadzenie tego planu w życie, zanim będzie za późno.

– I nikt inny nie wiedział? Jak?

Bernard pociągnął kolejny łyk. Cmoknął i otarł dłonią wąsy. – Któż to wie? Może nikt nie mógł w to uwierzyć. Może ci, którzy dochowali tajemnicy, mogli wziąć w tym udział. W fabrykach większych, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić, oni już wcześniej konstruowali rzeczy, o których nikt inny nie wiedział. W takich właśnie fabrykach stworzyli bomby, które jak podejrzewam grały w tym wszystkim jakąś rolę. I nikt nie miał pojęcia. W księgach Dziedzictwa znajdują się opowieści o ludziach, którzy żyli w dawnych czasach, w czasach królów, którzy byli trochę jak dzisiejsi burmistrzowie, ale rządzili znacznie większą ilością ludzi. Kiedy ktoś taki umierał, pod ziemią budowano specjalne wypełnione skarbami komnaty. To wymagało pracy setek mężczyzn. I wiesz jak utrzymywano ich lokację w tajemnicy?

Lukas wzruszył ramionami. – Dali im tonę bonów?

Bernard parsknął śmiechem. Potem zdjął sobie z języka zbłąkany liść herbaty. – Nie mieli żadnych bonów. I udało im się sprawić, by tamci mężczyźni nigdy się nikomu nie wygadali. Po prostu ich zabijali.

– Własnych ludzi? – Lukas spojrzał na wypełniony książkami pokój, zastanawiając się, w której może się znajdować ta opowieść.

– Zabijanie swoich, by zachować tajemnicę, nie jest aż tak niezwykłe. – Gdy Bernard to powiedział, jego twarz przybrała srogi wyraz. – Pewnego dnia, gdy przejmiesz moje stanowisko, też będziesz musiał to robić.

Na dźwięk tych słów trzewia Lukasa przeszył ostry ból. Zobaczył pierwszy przebłysk tego, czym będzie się zajmował. W porównaniu z tym, strzelanie do ludzi wydawało się przyzwoitym zajęciem.

– Nie my stworzyliśmy ten świat, Lukas, ale to my musimy zapewnić ludziom przetrwanie. Musisz to zrozumieć.

– Nie możemy zmienić tego, co już się wydarzyło – wymamrotał. – Ale mamy wpływ na to, co ma się wydarzyć w przyszłości

– Mądre słowa. – Bernard znów napił się herbaty.

– Tak. Zaczynam je coraz bardziej doceniać.

Bernard wstawił kubek do zlewu i wetknął dłoń do kieszeni na przodzie kombinezonu. Przez chwilę wpatrywał się w Lukasa, potem znów spojrzał na mapę świata.

– Dokonali tego źli ludzie, ale już ich nie ma. Zapomnij o nich. Pamiętaj tylko, że pozamykali swoich potomków, chcąc sobie samym zapewnić jakieś popieprzone ocalenie. Oni uczynili nas uczestnikami tej gry, w której złamanie zasad oznacza śmierć nas wszystkich. Ale życie zgodnie z tymi zasadami, ich przestrzeganie, oznacza, że musimy cierpieć.

Poprawił sobie okulary na nosie i podszedł do Lukasa, a potem poklepał go po ramieniu i ruszył dalej. – Jestem z ciebie dumny, synu. Przyjąłeś to znacznie lepiej ode mnie. Teraz idź odpocząć. Zrób sobie w głowie i w sercu trochę wolnej przestrzeni. Bo jutro znów musisz wrócić do nauki. – Pomaszerował w stronę gabinetu, korytarza, w końcu odległej drabiny.

Lukas skinął głową, ale się nie odezwał. Czekał, aż Bernard sobie pójdzie, stłumiony szczęk metalu powiedział mu, że właz wrócił na swoje miejsce. Potem podszedł do jednego z wielkich planów, na którym znajdował się wykreślony silos. Spojrzał na dach silosu numer jeden, zastanawiając się, kto do diabła może tym wszystkim rządzić i czy ci ludzie też potrafią to sobie tak prosto wyjaśnić, nie czując winy, a tylko traktując własne działania jako część jakiegoś dziedzictwa, oszukańczej gry pełnej chorych reguł, w której wszyscy trzymani są w niewiedzy i zamknięciu.

Kim do kurwy nędzy byli ci ludzie? Czy on naprawdę mógłby stać się kimś takim?

Jakim cudem Bernard nie dostrzegał, że sam przecież jest jednym z nich?

71

Silos 18

Drzwi sali generatora zatrzasnęły się za nią, tłumiąc odgłosy wystrzałów. Na obolałych nogach Shirly pobiegła do pomieszczenia kontrolnego, ignorując przyjaciół i współpracowników, którzy chcieli wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz. Kulili się pod ścianami i za barierką, przerażeni wybuchem i seriami wystrzałów, które nastąpiły tuż po nim. Zanim jeszcze dotarła do pomieszczenia kontrolnego, zauważyła że niektórzy pracownicy drugiej zmiany wleźli na główny generator, igrając z potężnym, trzęsącym się układem wydechowym maszyny.

– Mam to – wydyszała, zamykając za sobą drzwi. Courtnee i Walker podnieśli wzrok, wcześniej utkwiony w leżących na podłodze częściach. Szeroko otwarte oczy Courtnee i jej rozchylone wargi dały Shirly znak, że coś ją ominęło.

– Co? – zapytała. Podała Walkerowi obydwa przekaźniki. – Słyszałaś? Walk, czy ona już wie?

– Jak to możliwe? – zapytała Courtnee. – Jakim cudem przeżyła? I co ci się stało w twarz?

Shirly dotknęła ust i obolałej szczęki. Na opuszkach palców została krew. Wytarła więc wargi rękawem.

– Jeśli to zadziała – wymamrotał Walker, majstrując coś przy jednym z przekaźników – sami będziemy mogli zapytać o to Jules.

Shirly odwróciła się i spojrzała przez okno do sali generatora. Przestała wycierać twarz rękawem. – Co Karl i reszta robią przy rurach wydechowych? – zapytała.

– Mają plan, by przekierować jakoś spaliny – odparła Courtnee. Wstała z podłogi, a Walker zaczął coś lutować. Wokół rozniosła się woń przypominająca tę z jego warsztatu. Mamrotał coś na temat swojego wzroku. Courtnee tymczasem dołączyła do stojącej przy szybie Shirly.

– Gdzie przekierować?

– Do IT. A przynajmniej tak twierdzi Heline. Rury od chłodzenia serwerowni biegną sufitem, a potem w górę, szybem Maszynowni. Ktoś to zauważył na planie, zastanawiając się, jak moglibyśmy walczyć z nimi z tego miejsca.

– Więc podusimy ich naszymi spalinami? – Shirly była tym planem zaniepokojona. Zastanawiała się, co powiedziałby Knox, gdyby oczywiście żył i nadal nimi dowodził. Z pewnością mężczyźni oraz kobiety siedzący tam przed biurkami nie stanowili problemu. – Walk, ile minie czasu, zanim będziemy mogli rozmawiać? Zanim spróbujemy się z nią skontaktować?

– Już prawie. Te przeklęte szkła...

Courtnee położyła dłoń na ramieniu Shirly. – Wszystko gra? Jak sobie radzisz?

– Ja? – Shirly zaśmiała się i pokręciła głową. Spojrzała na plamy krwi na rękawie, czując pot spływający jej po piersiach. – Jestem w zupełnym szoku. Nie mam bladego pojęcia, co tu się, do cholery, wyprawia. Po tym wybuchu na schodach dalej dzwoni mi w uszach. I chyba zwichnęłam sobie kostkę. Jestem strasznie głodna. A, i czy wspominałam, że moja przyjaciółka nie jest tak martwa, jak mi się wydawało?

Wzięła głęboki oddech.

Courtnee gapiła się na nią z widocznym zaniepokojeniem. Shirly doskonale wiedziała, że koleżanka wcale nie o to ją zapytała.

– No i tęsknię za Marckiem – dodała cicho.

Courtnee objęła ją ramieniem i przytuliła. – Przykro mi – rzekła. – Nie chciałam...

Shirly tylko machnęła ręką. Obydwie stały przez chwilę w ciszy, patrząc jak za oknem niewielka ekipa z drugiej zmiany pracuje przy generatorze, próbując skierować spaliny z tego potężnego urządzenia na trzydzieste piętra.

– Ale wiesz co? Czasami nawet się cieszę, że go tutaj nie ma. Kiedy wiem, że sama też już długo nie pożyję, bo oni w końcu się do nas dostaną. I cieszę się, że go tutaj nie ma, że nie musi się tym denerwować, martwić o to, co tamci z nami zrobią. Co zrobią mnie. I cieszę się, że nie muszę widzieć go wśród walczących, żyjącego na dziennych racjach, stającego się częścią tego obłędu. – Gestem wskazała ekipę pracującą na zewnątrz. Wiedziała, że Marck albo pracowałby z tamtymi, albo był przed wejściem, z przyciśniętą do policzka strzelbą.

– Halo. Próba. Halo, halo.

Kobiety odwróciły się i zobaczyły jak Walker wciska czerwony guzik detonatora, trzymając pod brodą mikrofon i marszcząc brwi w skupieniu.

– Juliette? – zapytał. – Słyszysz mnie? Halo?

Z niewielkich głośników dobył się cichutki głos. Shirly położyła dłoń na piersi, była tak zaskoczona odpowiedzią, że aż zaparło jej dech. Ułamek sekundy później nadzieja prysła i kobieta uświadomiła sobie, że to jednak nie Juliette. Głos brzmiał inaczej.

– To nie ona – szepnęła Courtnee, rozczarowana. Walker machnął ręką, chcąc ją uciszyć. Wcisnął czerwony guzik, przygotowując się do nadawania.

– Halo. Mam na imię Walker. Otrzymaliśmy przekaz od przyjaciółki. Czy jest tam ktoś jeszcze?

– Zapytaj gdzie są – syknęła Courtnee.

– Gdzie dokładnie się znajdujecie? – dodał Walker, a potem puścił przycisk.

Głośniczki zatrzeszczały.

– Nigdzie. Nigdy nas nie znajdziecie. Trzymajcie się z daleka.

Potem przez chwilę słychać było jedynie szum.

– A wasz przyjaciel nie żyje. Zabiliśmy go.

72

Silos 17

Woda w kombinezonie była lodowata, powietrze zimne, a ich kombinacja zabójcza. Ściskając w ręce nóż i tnąc kombinezon, Juliette słyszała głośne szczękanie swoich zębów. Wbiła ostrze w oklapłą warstwę wierzchnią, mając wrażenie, że przecież już to wcześniej robiła, bez wątpienia.

Pierwsze zeszły rękawice. Kombinezon był pocięty, a z każdego otworu wylewała się woda. Juliette pocierała ręce o siebie, ledwie je czując. Rozdarła materiał na klatce piersiowej, opuszczając wzrok na Solo, który leżał już bez życia. Brakowało jego dużego klucza nastawnego, dopiero teraz zwróciła na to uwagę. Nie było też torby z zapasami. Sprężarka została przewrócona, pod nią tkwił zwinięty wąż, a z otwartego zbiornika sączyło się paliwo.

Juliette dosłownie zamarzała. Ledwie mogła oddychać. Gdy już rozcięła kombinezon, wyciągnęła przez dziurę nogi, a potem obróciła go wokół siebie, próbując dobrać się do rzepów.

Palce miała zbyt zdrętwiałe, by tego dokonać. Przesunęła więc ostrzem po złączeniu, krojąc rzepy do momentu, aż dotarła do zamka.

W końcu, zaciskając palce aż zrobiły się białe, znalazła zamek pod kołnierzem i rozpięła, a potem odrzuciła od siebie kombinezon. Był pełny wody i przez do dwa razy cięższy niż zwykle. Teraz miała na sobie jeszcze dwie warstwy czarnego ocieplacza. Nadal przemoczona i roztrzęsiona, trzymając nóż w drżącej dłoni, siedziała przy zwłokach dobrego człowieka, który przetrwał wszystko, co przyszykował dla niego ten potworny świat, z wyjątkiem jej przybycia.

Juliette zbliżyła się do Solo i sięgnęła ku jego szyi. Ręce miała lodowate, nie mogła wyczuć pulsu, ale nie była pewna, czy w ogóle dałaby radę. Pod tymi skostniałymi palcami nie czuła nawet jego szyi.

Zdołała wstać, niemal się przewracając. Szybko złapała się poręczy. Zatoczyła się w stronę sprężarki, myśląc o tym, że musi się rozgrzać. Okropnie chciało jej się spać, ale wiedziała, że mogłaby się już nigdy nie obudzić.

Pojemnik z paliwem wciąż był pełny. Próbowała zdjąć nakrętkę, ale jej dłonie się do tego nie nadawały. Zupełnie zdrętwiały od zimna. Oddech

zmieniał się w parę, przypominając jej o cieple, które z każdą sekundą traci, choć zostało go już tak niewiele.

Chwyciła nóż. Trzymając go oburącz, wbiła czubek ostrza w nakrętkę. Łatwiej było jej ścisnąć płaską rękojeść niż plastikową nakrętkę. Przekręciła nóż, rozłupując plastik na zbiorniku. Kiedy już zakrętka została poluzowana, wyciągnęła z niej ostrze i resztę roboty wykonała gołymi rękami, z nożem leżącym na jej kolanach.

Przechyliła pojemnik w stronę sprężarki, lejąc paliwo na gumowe koła, obudowę i nawet na silnik. I tak nie będzie chciała już z niej korzystać, nie będzie polegać na tym, by jakiekolwiek urządzenie dostarczyło jej tlen. Odłożyła puszkę, nadal w połowie pełną, i odsunęła ją stopą od sprężarki. Paliwo ściekało z urządzenia, kapiąc tak dźwięcznie do wody znajdującej się pod kratą, że pomiędzy betonowymi ścianami klatki schodowej aż poniosło się echo.

Trzymając nóż ostrzem do siebie, walnęła nim o metalowe płyty wymiennika ciepła. Po każdym uderzeniu cofała rękę, spodziewając się buchającego płomienia. Ale brakowało iskry. Uderzała więc mocniej, niezadowolona, że tak naraża swoje cenne narzędzie, jej jedyną broń. Nieruchome ciało Solo przypominało jej, że nawet jeśli pokona to zimno, będzie jeszcze później potrzebować broni...

Po kolejnym uderzeniu rozległ się trzask, a w górę ręki Juliette powędrowała fala gorąca, docierając aż do twarzy.

Upuściła nóż, machając ręką. Jednak na szczęście nie stanęła w płomieniach. W przeciwieństwie do sprężarki i kawałka kraty.

Kiedy ogień zaczął przygasać, Juliette chwyciła puszkę i chlusnęła paliwem, wzbijając w powietrze nowe płomienie. Płonące koła zaczęły pękać. Juliette usiadła przy ogniu, czując żar trawiący metalową maszynę. Zaczęła się rozbierać, od czasu do czasu zerkając na Solo i obiecując sobie, że nie zostawi tak jego ciała, że po niego wróci.

Czucie wróciło, niemal od razu osiągając swój skrajny wymiar – mrowienie przeszło w ból. Naga, Juliette skuliła się nieopodal ognia, pocierając dłonie jedna o drugą i chuchając na nie. Dwukrotnie musiała karmić wygłodniałe płomienie paliwem. Tylko koła płonęły bez przeszkód i dzięki nim, nie musiała znów krzesać iskier. Ciepło roznosiło się po podłogowej kracie, rozgrzewając skórę Juliette za każdym razem, gdy tylko dotknęła metalu.

Zęby nadal mocno jej szczękały. Juliette popatrzyła na schody, bojąc się, że w każdej chwili może usłyszeć tupot butów. Czuła się uwięziona: z jednej strony miała lodowatą wodę, z drugiej agresywnych mieszkańców silosu. Sięgnęła po nóż, a potem, trzymając go oburącz przed sobą, próbowała przestać się trząść.

Odbicie własnej twarzy w ostrzu noża tylko pogłębiło niepokój Juliette. Była blada jak zjawa. Sine usta, cienie pod zapadniętymi oczami. Niemal zaczęła się śmiać, widząc jak drżą jej wargi, jak zęby stukają o siebie. Przysunęła się bliżej ognia. Pomarańczowe światło tańczyło na ostrzu, resztki paliwa kapały do wody, tworząc barwne plamy.

Gdy tylko skończyło się paliwo i ogień zaczął przygasać, Juliette postanowiła stąd odejść. Nadal się trzęsła, ale na tych kondygnacjach było przecież znacznie chłodniej niż na piętrach IT, gdzie na dodatek działała elektryczność. Poklepała czarne ocieplacze, które wcześniej z siebie zdjęła. Jeden, zwinięty w kulkę, nadal był mokry. Drugi upadł na płasko; gdyby myślała logicznie, mogłaby go gdzieś zawiesić. Był wilgotny, ale lepiej było go założyć i trochę się zagrzać, niż iść nago, by chłodne powietrze obniżyło jej z trudem podniesioną temperaturę. Udało jej się założyć ocieplacz na nogi, potem z trudem wciągnęła rękawy, a na koniec zasunęła zamek z przodu.

Na bosych, zdrętwiałych i niepewnych stopach wróciła do Solo. Teraz już była w stanie wyczuć jego szyję pod palcami. Wydawał się ciepły. Nie pamiętała, jak długo ciało może utrzymać swoją ciepłotę. Chwilę później poczuła nieznaczne dudnienie pod jego skórą. Puls.

– Solo! – potrząsnęła nim. – Ej... – Jakie imię wyszeptał wcześniej? Przypomniało jej się: Jimmy.

Kiedy nim szarpała, jego głowa opadała to na jeden, to znów na drugi bok. Pomacała czaszkę pod gąszczem włosów i zobaczyła mnóstwo krwi. Większość już zakrzepła. Juliette zaczęła rozglądać się za swoją torbą – zabrali ze sobą jedzenie, wodę i suche ubrania na drogę powrotną – ale nigdzie nie było jej widać. Chwyciła więc drugi ocieplacz. Nie była pewna, czy woda, którą nasiąknął, do czegokolwiek się nadawała, ale lepsze to, niż nic. Wykręciła materiał, aż kilka kropel kapnęło Solo do ust. Potem zwilżyła mu głowę, zaczesując włosy do tyłu i dotykając delikatnie paskudnej rany. Gdy tylko woda kapnęła na ranę, było tak, jakby wcisnęła jakiś ukryty przycisk. Solo obrócił się na bok, odsuwając się przed dłonią Juliette, w której ściskała mokry ocieplacz. Wrzasnął z bólu, żółte zęby

błysnęły w gęstwinie brody, a potem uniósł ręce i trzymał je tak, nadal półprzytomny.

– Solo. Ej, już dobrze.

Kiedy zaczął się budzić, przytuliła go mocno. Miał błędny wzrok i mrugał nerwowo.

– Już dobrze – powiedziała. – Nic ci nie będzie.

Dotknęła jego rany dłonią owiniętą w ocieplacz. Solo jęknął, łapiąc ją za nadgarstek. Ale się nie odsunął.

– Piecze – powiedział. Zamrugał, a potem rozejrzał się dookoła. – Gdzie ja jestem?

– W głębinach – przypomniała mu, ciesząc się, że znów słyszy jego głos. Czuła taką ulgę, że niemal się rozpłakała. – Chyba ktoś cię zaatakował.

Spróbował usiąść, mocno ściskając ją za nadgarstek i sycząc przez zęby.

– Spokojnie – rzekła, próbując go powstrzymać. – Masz na głowie paskudną ranę. Strasznie spuchła.

Jego ciało rozluźniło się.

– Gdzie oni są? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. Co pamiętasz? Ilu ich było?

Zamknął oczy. Juliette nadal delikatnie dotykała jego rany.

– Tylko jeden. Tak mi się wydaje. – Zszokowany wspomnieniem o ataku, otworzył szeroko oczy. – Był w moim wieku.

– Musimy dostać się na górę – stwierdziła. – Tam jest ciepło, możemy cię umyć, a mnie wysuszyć. Dasz radę iść?

– Nie oszalałem – rzucił Solo.

– Wiem, że nie.

– Te rzeczy naprawdę się przemieszczały, światła gasły, to nie byłem ja. Wcale nie oszalałem.

– Nie – zgodziła się Juliette. Przypomniało jej się, jak o sobie samej myślała w podobny sposób, zazwyczaj siedząc w głębinach tego silosu i przeszukując kondygnacje Zaopatrzenia. – Nie oszalałeś – pocieszała go. – Ani trochę.

73

Silos 18

Lukas nie mógł się zmusić do nauki, a przynajmniej do uczenia się tego, czego miał się uczyć. Otwarte Nakazy leżały na drewnianym biurku, niewielka lampka na zginanej szyi ogrzewała je swoim blaskiem. Zamiast czytać, stał przed wiszącym na ścianie planem, gapiąc się na rozmieszczenie silosów, które rozstawiono tak samo jak serwery piętro wyżej. W oddali słychać było trzaski radia, nadającego prosto z miejsca starcia.

Przystąpiono do ostatecznego ataku. Zespół Simsa stracił kilku ludzi w tej potwornej eksplozji, gdzieś na schodach – ale nie na głównej klatce schodowej – teraz zaś brali udział w końcowym natarciu na wroga. Niewielkie głośniki zaczynały szumieć za każdym razem gdy tamci uzgadniali swoje posunięcia, a Bernard – piętro wyżej – wykrzykiwał rozkazy. Oprócz ich głosów, w tle zawsze słychać było wystrzały.

Lukas zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego słuchać, ale nie potrafił przestać. Juliette mogła w każdej chwili zadzwonić i prosić o najświeższe wieści. Będzie chciała wiedzieć, co się wydarzyło, jak to wszystko się skończyło, a jedyną rzeczą gorszą od powiedzenia jej tego, byłoby przyznanie, że Lukas nic nie wie, bo nie był w stanie słuchać odgłosów walki.

Wyciągnął rękę i dotknął okrągłego dachu silosu numer siedemnaście. Czuł się niczym Bóg, widzący to wszystko z góry. Wyobraził sobie jak jego dłoń przebija się przez ciemne chmury nad Juliette i odkręca dach budowli. Potarł palcami czerwony krzyżyk, dwie kreski oznaczające tak niewyobrażalną stratę. Miał wrażenie, że narysowano je kredką świecową, albo czymś podobnym. Próbował wyobrazić sobie otrzymanie wiadomości, że cała populacja wyginęła. Będzie musiał wtedy przeszukać biurko Bernarda – własne biurko – i odnaleźć czerwoną kredkę, a potem przekreślić kolejną szansę dla ich Dziedzictwa, zgasić kolejne światełko w tunelu.

Lukas spojrzał na wiszące w górze lampy, które świeciły jednostajnie i nie migotały nawet przez sekundę. Dlaczego nie zadzwoniła?

Zaczepił palcem o jedną z czerwonych kresek, odrywając kawałek wosku, który wbił mu się pod paznokieć, nasączając papier krwią. Nie dało

się tego cofnąć, nie dało wyczyścić, naprawić...

Radio znów eksplodowało odgłosami wystrzałów. Lukas podszedł do półki, na której stało, i zaczął nasłuchiwać wykrzykiwanych rozkazów, wrzasków ofiar. Po czole lał mu się pot. Wiedział jakie to uczucie: nacisnąć spust, zakończyć czyjeś życie. Był świadomy pustki w swoich piersiach, nagle miękkich kolan. Oparł się o półkę i zerknął na zamknięty pod kluczem nadajnik. Miał wielką ochotę zadzwonić do tych mężczyzn i powiedzieć, żeby przestali, skończyli już z tym szaleństwem, z tą przemocą, bezsensownym wyżynaniem się nawzajem. Niedługo i na nich wszystkich ktoś postawi czerwony krzyżyk. Tego powinni się bać, a nie innych mieszkańców silosu.

Dotknął metalowej klatki, która odgradzała go od przycisków radia. Głupotą byłoby wyjawienie wszystkim prawdy. To było naiwne. I niczego by nie zmieniło. Może i łatwo było zareagować w ten sposób na czyjąś agresję, zasłonić na chwilę lufę czyjejś strzelby. Ale trwałe odsunięcie widma zagłady wymagało czegoś trwalszego, zbudowanego na cierpliwie tworzonej wizji zmian.

Wsunął dłoń pomiędzy kraty. Zerknął na jeden z paneli kontrolnych, którego strzałka wskazywała liczbę 18. Znajdowało się tam aż pięćdziesiąt takich liczb, każda przypisana do innego silosu. Lukas szarpnął kratą, marząc o posłuchaniu wreszcie czegoś innego. Co się teraz działo w tych wszystkich odległych miejscach? Pewnie nic groźnego. Żarty i gadanina. Plotki. Pomyślał o tym, jak ekscytujące byłoby włączenie się nagle do takiej rozmowy, przedstawienie się ludziom, którzy nie mają o niczym pojęcia. – Tutaj Lukas, z silosu numer 18 – mógłby powiedzieć. Byliby ciekawi, czemu silosy są numerowane. A Lukas poradziłby im, by byli dla siebie dobrzy, bo na świecie jest już niewielu ludzi, a wszystkie książki i wszystkie gwiazdy na niebie nie będą miały żadnego znaczenia, jeśli nikt ich nie przeczyta, nikt nie będzie ich wypatrywał pomiędzy chmurami.

Ale zostawił radio w spokoju, pogrążone w wojnie, i poszedł za biurko, gdzie w blasku lampy czekała ta ponura księga. Rozglądał się po puszkach, szukając czegoś, co przykuje jego uwagę. Był niespokojny, wiercił się jak Świnia w zagrodzie. Powinien pobiegać sobie wzdłuż serwerów, ale później musiałby wziąć prysznic, a to już było dla niego trudne do zniesienia.

Przykucnął na skraju regału, przetrząsając znajdujące się tam sterty kartek. Znajdowały się tutaj ręcznie spisywane notatki i komentarze do

Dziedzictwa, zgromadzone na przestrzeni lat. Uwagi dla przyszłych przywódców silosu, instrukcje i podręczniki, jak również przypomnienia. Wyciągnął instrukcję obsługi generatora, którą spisała Juliette. Wiele tygodni wcześniej widział jak Bernard kładł te kartki na półce, mówiąc że mogą się przydać w razie pojawienia się większych kłopotów w głębinach.

Skrzeczenie radia świadczyło, że te kłopoty były już naprawdę poważne.

Lukas wrócił do biurka i pochylił lampę, aby mógł odczytać odręczne zapiski. Niekiedy obawiał się jej telefonu, bał się, że odbierze Bernard, prosząc go potem o zrobienie czegoś, czego zrobić nie mógł i nigdy już nie będzie próbował. Teraz zaś, oświetlony jednostajnym blaskiem lamp, wciąż czekał na jej sygnał. Z takim utęsknieniem, że aż czuł ból w piersi. Jakaś jego część czuła, że to, co robiła Juliette było niebezpieczne, że mogło się stać coś złego. Żyła teraz przecież w miejscu przekreślonym na czerwono, co oznaczało śmierć każdego mieszkańca silosu.

Strony instrukcji pełne były zapisków nakreślonych ostrym ołówkiem. Potarł je palcem, wyczuwając bruzdy na powierzchni papieru. Treść była enigmatyczna. Wszystkie możliwe do wyobrażenia położenia paneli kontrolnych, rozmieszczenie zaworów, schematy elektryczne. Przewracając kolejne kartki, zauważył, ze ta instrukcja niewiele się różni od jego mapy gwiazd, stworzył ją umysł nie tak różny od jego umysłu. Ta świadomość sprawiła, że tylko mocniej odczuł dzielący ich dystans. Dlaczego nie dało się tego cofnąć? Wrócić do dni poprzedzających czyszczenie, poprzedzających kolejne pogrzeby. Każdego wieczoru po pracy siadałaby przy nim i gapiliby się w ciemność, rozmyślając i obserwując, gawędząc i czekając.

Odwrócił instrukcję i przeczytał kilka zdań z wydrukowanej na kartkach sztuki, niemal nieczytelnych. Na marginesach znajdowały się uwagi nakreślone dłonią kogoś innego. Lukas założył, że mogła to być matka Juliette, a może któryś z aktorów. Na niektórych stronach znajdowały się diagramy, strzałki wskazujące kierunek ruchu. A więc notatki aktora. Kierunki poruszania się na scenie. Sztuka musiała być upominkiem dla Juliette – kobiety, z którą połączyła go głęboka więź i której imię stanowiło część tytułu.

Przebiegał wzrokiem po kolejnych linijkach, szukając poetyckiego zdania, które uchwyciłoby jego obecny, ponury nastrój. Błądząc po tekście,

zwrócił uwagę na znajome gryzmoły, których na pewno nie nakreślił aktor. Przeglądał je strona po stronie, aż w końcu znalazł, czego szukał.

Bez wątpienia było to pismo Juliette. Podłożył kartkę pod światło, by móc odczytać wyblakłe litery.

George:

Leżysz tutaj, tak błogo. Nie widać nawet, zmarszczek na twoim czole i wokół oczu. Gdy tamci odwracają wzrok, dotykam cię, szukając śladów, ale przecież ja jedna wiem, co cię spotkało. Poczekaj na mnie. Poczekaj na mnie. Czekaj, ukochany. Niech to łagodne błaganie dotrze do twych uszu. Zabierzemy ten sekret do grobu. Nikt inny się nie dowie o naszym pocałunku. Nikt inny nie będzie wiedział niczego o naszej miłości.

Lukas miał wrażenie, jakby zimne ostrze wbiło mu się w pierś. Tęsknotę zastąpiła nagła zmiana nastroju. Kim był ten George? Miłością z czasów dzieciństwa? Juliette nigdy nie zawarła usankcjonowanego prawem związku, sprawdzał przecież rejestry po ich pierwszym spotkaniu. Może się w kimś zadurzyła? W jakimś mężczyźnie z Maszynowni, który kochał inną? W oczach Lukasa to było jeszcze gorsze. Tęskniła za jakimś mężczyzną tak, jak nigdy nie będzie tęsknić za nim. Czy to dlatego podjęła pracę tak daleko od domu? By uciec przed widokiem tego Georgea, którego nie mogła mieć, przed tymi uczuciami, które skryła na marginesie sztuki o zakazanej miłości?

Odwrócił się i opadł na fotel przed komputerem Bernarda. Potrząsnąwszy myszką, zalogował się na moment do serwerów na górze, czując jak policzki oblewają mu się rumieńcem. Owładnęło nim to nowe, chorobliwe uczucie, które zwano zazdrością, ale którego on nie znał. Dotarł do akt osobowych i zaczął przeszukiwać lokatorów najniższych kondygnacji o imieniu George. Znalazł czterech. Skopiował ich numery identyfikacyjne i zapisał je w pliku tekstowym, a potem przesłał do właściwego wydziału. W czasie, gdy wczytywały się zdjęcia, przejrzał ich archiwa, walcząc z lekkim poczuciem winy, że tak nadużywa władzy. Za to wreszcie się nie nudził i miał jakieś zajęcie.

Tylko jeden George pracował w Maszynowni. Starszy facet. Słysząc trzaski w radiu, Lukas zaczął się zastanawiać, jak potoczyły się losy tamtego, jeśli wciąż mieszkał na dole. Mógł co prawda już nie żyć, bo dane pochodziły sprzed kilku tygodni, a nie mieli danych o tym, co działo się z drugiej strony blokady.

Pozostali byli za młodzi. Jeden nie miał nawet jedenastu lat. Drugi cieniował na tragarza. Został jeszcze mężczyzna trzydziestodwuletni. Pracował na bazarze, w rubryce zawód miał wpisane „inny”, żonaty, z dwójką dzieci. Lukas gapił się na zdjęcie z biura ewidencji. Wąsy. Przerzedzone włosy. Krzywy uśmieszek. Zdaniem Lukasa miał zbyt szeroko rozstawione oczy, brwi ciemne i zbyt krzaczaste.

Podniósł instrukcję i znów przeczytał fragment wiersza.

Tamten mężczyzna nie żył. „Zabierzmy ten sekret do grobu”.

Postanowił poszukać raz jeszcze, tym razem uwzględniając też archiwalne akta z całego silosu. Pojawiły się setki trafień, nazwiska ludzi żyjących w latach nawet tuż po postaniu. To Lukasa nie zniechęciło. Wiedział, że Juliette ma trzydzieści cztery, więc przyjął okienko osiemnastoletnie, zakładając, że jeśli zakochała się przed szesnastym rokiem życia, nie ma się czym martwić, ani być zazdrosnym.

Z tej listy Georgeów, tylko trzech zmarło w Maszynowni na przestrzeni ostatnich osiemnastu lat. Jeden miał lat pięćdziesiąt, drugi – sześćdziesiąt. Obydwaj zmarli z przyczyn naturalnych. Lukas doszedł do wniosku, że mógłby odnieść ich obu do Juliette, by sprawdzić, czy nie było jakichś kontaktów w pracy, a może byli z jednego drzewa genealogicznego.

I wtedy zobaczył trzeci wynik. To był ten George. Jej George. Lukas był tego pewien. Dokonawszy szybkich obliczeń, stwierdził, że gdyby tamten żył, miałby trzydzieści osiem lat. Zmarł trzy lata temu, pracował w Maszynowni i nigdy nie był żonaty.

Przeszukał ewidencję. Zdjęcie tylko potwierdziło jego obawy. To był przystojny mężczyzna: kwadratowa szczęka, szeroki nos i ciemne oczy. Uśmiechał się do aparatu, spokojny i zrelaksowany. Ciężko było go nienawidzić. Szczególnie że już nie żył.

Lukas sprawdził przyczynę zgonu i zauważył, że w tej sporawe było prowadzone dochodzenie, a potem stwierdzono wypadek przy pracy. Dochodzenie. Pamiętał, że słyszał coś o Jules, gdy na górze powołano nowego szeryfa. Jej kwalifikacje wywołały jakieś napięcia i falę plotek. Szczególnie wśród informatyków. Ale mówiło się też, że pomogła przy pewnej sprawie przed laty i właśnie dlatego ją wybrano.

To było ta sprawa. Czy zakochała się w nim tuż przed jego śmiercią? A może już później, w jego wspomnieniu? Doszedł do wniosku, że chodziło pewnie o to pierwsze. Lukas poszukał w biurku węgla, a gdy go znalazł, spisał sobie identyfikator tego mężczyzny i numer sprawy. To

przynajmniej zajmie mu czas, a na dodatek będzie mógł lepiej poznać Juliette. Poszukiwania odwrócą jego uwagę, przynajmniej do czasu aż ona w końcu zadzwoni. Rozluźnił się, wysunął klawiaturę i zaczął szperać.

74

Silos 17

Pomagając Solo wstać, Juliette trzęsła się z zimna. Zachwiał się, ale wspierając się o poręcz zdołał odzyskać równowagę.

– Dasz radę iść? – zapytała. Wciąż zerkała w stronę spiralnych schodów, świadoma faktu, że ten, kto zaatakował Solo, niemal go zabijając, nadal gdzieś tam jest.

– Chyba tak – odparł. Dotknął dłonią czoła, a potem przyglądał się smudze krwi, która została na opuszkach palców. – Ale nie wiem, jak daleko.

Poprowadziła go ku schodom, czując nieznośny smród spalonej gumy i benzyny. Jej czarny ocieplacz wciąż był mokry, oddech zmieniał się w parę, a gdy tylko przestawała mówić, momentalnie zaczynała szczękać zębami. Pochyliła się, by wyciągnąć nóż, a tymczasem Solo stał, ściskając zewnętrzną barierkę. Popatrzyła w górę, myśląc o czekającym ich wyzwaniu. Dostanie się za jednym zamachem do IT wydawało się niemożliwe. Nurkowanie osłabiło jej płuca, a mięśnie były napięte od zimna i zmęczenia. Solo był w jeszcze gorszym stanie. Miał otwarte usta i błądził wzrokiem dookoła. Chyba nie był do końca świadomy, gdzie się znajduje.

– Dasz radę dotrzeć na posterunek? – zapytała. Juliette niekiedy spędzała tam noce, o dziwo cela okazała się dla niej przytulnym miejscem. Klucze wciąż leżały w pudełku – może więc obydwoje będą mogli sobie odpocząć, jeśli zamkną się od środka i schowają klucz.

– Ile to pięter? – spytał Solo.

Nie znał najniższych kondygnacji aż tak dobrze jak Jules. Nieczęsto zapuszczał się aż tak daleko.

– Ze dwanaście. Wytrzymasz?

Podniósł but i postawił stopę na pierwszym schodzie. – Mogę spróbować.

Wyruszyli, uzbrojeni jedynie w nóż. Dobrze że Juliette miała choć tyle. Zagadką pozostawało, jak się nie zgubił podczas jej błądzenia po Maszynowni. Trzymała go mocno, rękojeść była zimna, lecz jej dłoń zimniejsza. Zwykły kuchenny nóż stał się totemem bezpieczeństwa, zajął miejsce zegarka jako przedmiotu, który musiała mieć zawsze przy sobie.

Kiedy wspinali się po schodach, za każdym razem, gdy musiała się podeprzeć, stukała jego rękojeścią o poręcz. Drugim ramieniem obejmowała Solo, który jęcząc pokonywał powoli kolejne stopnie.

– Jak myślisz, ilu ich jest? – zapytała, patrząc najpierw pod nogi a później – z wyraźnym niepokojem – w górę.

Solo jęknął. – Nie powinno być nikogo. – Zachwiał się, ale Juliette pomogła mu odzyskać równowagę. – Wszyscy zginęli. Każdy jeden.

Zatrzymali się na następnym piętrze. – Tobie się jakoś udało – zauważyła. – Minęło tyle lat, a ty przetrwałeś.

Zmarszczył brwi i otarł brodę wierzchem dłoni. Ciężko oddychał. – Ale ja jestem Solo – rzekł. Pokręcił ze smutkiem głową. – Oni wszyscy nie żyją. Wszyscy, naprawdę.

Juliette podniosła wzrok, patrząc w przestrzeń między schodami a betonową ścianą. Zielono oświetlona spirala schodów wnikała w gęstą ciemność. Zacisnęła zęby, żeby nimi nie szczękać, i nasłuchiwała jakichkolwiek odgłosów, jakichkolwiek oznak życia. Solo, powłócząc nogami, ruszył na kolejną kondygnację. Juliette dołączyła do niego.

– Byłeś go w stanie zobaczyć? Co zapamiętałeś?

– Pamiętam... pamiętam, że pomyślałem, że on jest taki jak ja.

Juliette wydawało się, że słyszy jego łkanie, ale może tylko dyszał z wysiłku towarzyszącego wspinaczce. Popatrzyła na mijane drzwi, za którymi panował mrok, bo prąd z IT tutaj nie docierał. Czy mijali właśnie napastnika, który rzucił się na Solo? Czy zostawiali za plecami jedynie ducha, czy żywego człowieka?

Miała taką nadzieję. Przed nimi długa droga, nawet na komisariat, a co dopiero do miejsca, które mogłaby nazwać domem.

Przez półtorej kondygnacji maszerowali w ciszy. Juliette wciąż drżała z zimna, Solo pojękiwał, krzywiąc się z bólu. Od czasu do czasu pocierała o siebie dłonie, czując jak z wysiłku robią się mokre od potu. Gdyby nie mokry ocieplacz, byłaby już rozgrzana. Po pokonaniu trzech pięter już robiła się potwornie głodna i doszła do wniosku, że jej ciało zaczyna się poddawać. Potrzeba jej było jakiegoś paliwa – czegoś, co ją ogrzeje.

– Jeszcze jedno piętro i będę musiała się zatrzymać – powiedziała do Solo. Jęknął coś w odpowiedzi. Dobrze że nagrodą za ten wysiłek miał być odpoczynek na pryczy – dzięki temu stopni zdawało się być mniej, ich liczba stawała się skończona. Na sto trzydziestym drugim Solo opuścił się

na podłogę, trzymając się barierki niczym szczebli w drabinie. Kiedy wreszcie dotknął tyłkiem podłogi, położył się na wznak, zakrywając twarz dłońmi.

Juliette miała nadzieję, że to tylko drobny wstrząs mózgu, nic poważniejszego. Widziała już podobne rzeczy, pracując z facetami, którzy byli zbyt twardzi by zakładać hełmy – przestawali tacy być, gdy na głowę spadło im stalowe narzędzie albo belka nośna. Solo musiał teraz tylko odpoczywać.

Jednak z odpoczynkiem był taki kłopot, że Juliette marzła, gdy przestawała się ruszać. Dreptała więc w miejscu, by utrzymać krążenie. Pokrywający ciało pot działał na jej niekorzyść. Czuła na skórze przeciąg panujący na klatce schodowej, zimne powietrze biegło w górę od lodowatych wód Maszynowni, działając niczym naturalna klimatyzacja. Juliette trzęsły się ramiona, a nóż ściskany w dłoni drżał, przez co jej odbicie w ostrzu było rozmazane. Ciężko jej było się poruszać, ale bezruch mógł ją zabić. Na dodatek nadal nie miała pojęcia, gdzie schował się napastnik, mogła tylko liczyć na to, że ukrył się gdzieś na dole.

– Powinniśmy iść dalej – powiedziała do Solo. Popatrzyła na znajdujące się za nim drzwi, za szybą było ciemno. Co zrobi, jeśli ktoś nagle stamtąd wyskoczy i ich zaatakuje? Czy zdoła stawić jakikolwiek opór?

Solo uniósł rękę i machnął do niej. – Idź. Ja tu zostanę.

– Nie, pójdziesz ze mną. – Zatarła ręce, a potem zaczęła na nie dmuchać, starając się zebrać siły na dalszą wędrówkę. Podeszła do Solo i chciała go złapać za rękę, ale się odsunął.

– Muszę odpoczywać – stwierdził. – Dogonię cię.

– Niech mnie diabli, jeśli... – Znów zaczęła szczękać zębami. Drżała, nie mogąc opanować spazmów, więc zaczęła ruszać ramionami, żeby przywrócić w nich normalne krążenie. – ... jeśli cię tutaj zostawię.

– Chcę pić – wyszeptał.

Mimo że niedawno widziała tyle wody, że powinna mieć jej dosyć do końca życia, Juliette też czuła pragnienie. Podniosła wzrok. – Jeszcze jedno piętro i będziemy na dolnych farmach. No dalej. Tyle nam starczy na dziś. Żarcie i woda, no i znajdziemy dla mnie coś suchego. No dalej, Solo, wstawaj. Nie obchodzi mnie, czy będziemy wracać do domu przez tydzień, ale tutaj się nie zatrzymamy.

Złapała go za nadgarstek. Tym razem się nie odsunął.

Całe wieki wspinali się na kolejne piętro. Solo kilka razy się zatrzymywał; oparty o poręcz gapił się nieprzytomnie na kolejny stopień. Po szyi zaczęła mu spływać świeża krew. Juliette znów starała się rozruszać przemarznięte stopy, przeklinając się pod nosem. To była głupota. Była tak cholernie głupia.

Kilka stopni przed kolejną kondygnacją zostawiła Solo w tyle i poszła sprawdzić drzwi prowadzące do farm. Prowizoryczne kable, przeciągnięte dekady temu z IT, zostały doprowadzone tutaj przez ocalonych – takich jak Solo – którzy chcieli odsunąć w czasie swoją zagładę. Juliette zajrzała do środka i zobaczyły, że lampy grzewcze były pogaszone.

– Solo? Idę uruchomić regulatory. Ty sobie tutaj odpocznij.

Nie odpowiedział. Juliette otworzyła drzwi, a potem wsunęła nóż między kraty podłogi, by się nie zatrzasnęły. Tak się trzęsła, że ledwie mogła trafić ostrzem w szparę. Poczuła że jej ocieplacz śmierdzi spaloną gumą, dymem z niedawnego pożaru.

– Pomogę – powiedział Solo. Przytrzymał drzwi, a potem oparł się o nie, przyciskając je do barierki.

Juliette trzymała nóż przy piersi. – Dzięki.

Skinął głową i machnął ręką. Opadły mu powieki. – Wody – zawołał, oblizując wargi.

Poklepała go po ramieniu. – Zaraz wracam.

* * *

Po pokonaniu korytarza za wejściem blask padający od schodów zniknął, ustępując miejsca nieprzeniknionym ciemnościom. W oddali brzęczała pompa – dokładnie ten sam odgłos powitał Juliette wiele tygodni temu na górnych farmach. Teraz wiedziała jednak, z czym ma do czynienia, wiedziała, że gdzieś tam jest woda. Woda i jedzenie, może nawet jakieś ubrania na zmianę. Musiała tylko włączyć światła, żeby cokolwiek tu zobaczyć. Przeklinała się, że nie wzięła zapasowej latarki, a na dodatek straciła ich zapasy.

Kiedy przeskoczyła nad bramką bezpieczeństwa, mrok całkowicie ją pochłonął. Znała jednak drogę. Te farmy żywiły ją i Solo przez ostatnie tygodnie, gdy pracowali przy słabych pompach hydroponicznych i całej instalacji. Juliette pomyślała o nowej pompie, którą podłączyła – mózg mechanika kazał jej zastanawiać się, czy urządzenie zadziała i czy przed

opuszczeniem tamtego piętra nie powinna nacisnąć przełącznika. To była szalona myśl, ale nawet jeśli nie dożyje chwil, gdy będzie mogła poznać efekt swoich starań, jakaś jej część pragnęła, by silos został osuszony, by katastrofa powodzi została wreszcie zażegnana. Jej podwodna kaźń nagle wydała się czymś odległym, jakby bardziej snem niż rzeczywistością, a mimo to chciała, by to wszystko miało sens. Chciała, by odniesione przez Solo rany nie były ofiarą na marne.

Jej ocieplacz szeleścił głośno w czasie marszu, nogi ocierały się o siebie, stopy piszczały przy każdym oderwaniu od podłogi. Jedną rękę trzymała przy ścianie, w drugiej ściskała nóż. Już była w stanie poczuć ciepłe powietrze, nagrzane wcześniej przez lampy. Cieszyła się, że nie jest już na tej lodowatej klatce schodowej. Tak naprawdę już czuła się lepiej. Oczy zaczęły się przyzwyczajać do mroku. Zdobędzie trochę jedzenia, trochę wody, znajdzie jakieś miejsce, gdzie będą mogli przenocować. Jutro postarają się dotrzeć na środkowy komisariat. Będą mogli się uzbroić i nabrać sił. Do tego czasu Solo będzie już w lepszej kondycji. Będzie musiał być.

Na końcu korytarza, Juliette zaczęła macać ściany w poszukiwaniu drzwi do pomieszczenia kontrolnego. Dłoń natrafiła na znajdujący się za nimi przełącznik, ale był już włączony. Nie działał więc od ponad trzech dekad.

Na ślepo ruszyła przez pokój, wyciągając ręce przed siebie i wpadając na ścianę znacznie później, niż się spodziewała. Uderzyła ostrzem noża o jedną z jednostek sterujących. Uniosła rękę, szukając zwisającego z sufitu kabla, przyczepionego tu przez kogoś całe lata temu. Namierzyła przewód wiodący do regulatora czasowego, wymacała pokrętło i powoli przekręcała je, aż usłyszała kliknięcie.

Rozległa się seria trzasków znajdujących się na farmach przekaźników. Zapaliło się blade światło. Trzeba poczekać kilka minut, zanim lampy w pełni się rozgrzeją.

Juliette wyszła z pomieszczenia kontrolnego i ruszyła w kierunku zarośniętego przejścia, wiodącego między działkami. Te najbliższe zostały już przetrzebione. Przebijając się przez gęstą roślinność, sięgającą gałęziami środka chodnika, zdołała dotrzeć do pompy.

Znaleźć wodę dla Solo i się ogrzać. Powtarzała tę mantrę, błagając, by lampy rozgrzewały się szybciej. Wokół nadal panował mglisty półmrok, jak wczesne poranki widziane na ściennych ekranach.

Dotarła do miejsca, gdzie rósł groch, którym od dawna nikt się nie zajmował. Zerwała kilka strąków i zaczęła jeść, licząc, że brzuch wreszcie przestanie ją boleć. Pompa działała coraz głośniej, dostarczając wodę do nawadniaczy. Juliette przeżyła groszek i połknęła go, a potem przeszła przez barierkę i dotarła do niewielkiej polanki przy pompie.

Ziemia pod urządzeniem była ciemna i wydeptana, bo ona i Solo przychodzili tutaj pić i napełniać zbiorniki. Na ziemi leżało kilka kubków i szklanek. Juliette uklękła i podniosła wysoką szklankę. Światła w górze stawały się coraz jaśniejsze. W wyobraźni już czuła ich ciepło.

Przy odrobinie wysiłku udało jej się wyciągnąć korek odpływu. Woda była pod ciśnieniem i wytrysnęła z rury mocnym strumieniem. Juliette przytrzymała szklankę tuż przy pompie, by jak najmniej wody się wylało. Po chwili szklanka była pełna i woda zaczęła bulgotać.

Napiła się, napełniając już kolejną. Piach zaskrzypiał jej między zębami.

Kiedy obydwie szklanki były pełne, wbiła je w mokrą ziemię, by się nie poprzewracały, a potem zakręciła korek. Wetknąwszy sobie nóż pod pachę, podniosła obydwie szklanki. Podeszła do poręczy, uchylając się przed gałęziami, a potem przełożyła nogę nad barierką i przeszła na drugą stronę.

Teraz musiała się zagrzać. Odstawiła szklanki i sięgnęła po nóż. Za rogiem znajdowały się biura oraz jadalnia. Przypomniał jej się jej pierwszy strój w silosie siedemnastym – podziurawiony obrus. Skręcając za róg, zaczęła się głośno śmiać, mając wrażenie, że cofa się w rozwoju, jakby po tygodniach wałki o poprawę swego losu wróciła do punktu wyjścia.

Długi korytarz dzielący dwie szklarnie nie był oświetlony. Pomiędzy wiszącymi nad głową rurami ciągnęło się kilka przewodów, opadając luźno w miejscach, gdzie zostały źle przymocowane. Wisiały niczym pętle, na drodze prowadzącej do słabego blasku i niewyraźnego pomruku dochodzącego z oddali.

Juliette zajrzała do biur, lecz nie znalazła niczego, co by ją ogrzało. Żadnych kombinezonów, żadnych zasłon. Ruszyła więc ku jadalni i już miała do niej wejść, gdy usłyszała coś za kolejną działką. Kliknięcie. Trzask. Czyżby kolejne przekaźniki? Przepalone?

Popatrzyła wzdłuż korytarza, wbijając wzrok w znajdującą się w oddali farmę. Tam lampy świeciły mocniej, były już rozgrzane. Może uruchamiały się szybciej. Skradała się korytarzem, niczym ćma do

płomienia, ramiona miała pokryte gęsią skórką, podekscytowana na samą myśl, że już za moment będzie sucha i będzie jej wreszcie ciepło.

Na samym skraju farmy usłyszała coś jeszcze. Pisk czy zgrzyt, może metalu trącego o metal, może kolejnej uruchamianej pompy. Ona i Solo nie sprawdzali pozostałych pomp na tym piętrze. A przecież więcej niż dwie osoby mogły się pożywiać na tych grządkach.

Juliette zamarła, a potem odwróciła się.

Gdzie powinna rozbić obozowisko, gdyby chciała żyć w tym silosie? W IT, by mieć prąd? Czy tutaj, gdzie jest woda i jedzenie? Wyobraziła sobie mężczyznę przypominającego Solo, uciekającego przed aktami agresji, ukrywającego się i dzięki temu mogącemu przetrwać całe lata. Może już wcześniej usłyszał sprężarkę, zszedł na dół to sprawdzić, przestraszył się, uderzył Solo w głowę i uciekł. Może zabrał jej torbę tylko dlatego, bo tam leżała, a może przypadkowo ją kopnął i wpadła do wody, spadając na same dno Maszynowni.

Wyciągnęła nóż przed siebie i schowała się pomiędzy roślinami. Szła przez ścianę zieleni, rozchylając gałęzie na swej drodze. Ta okolica zarosła bardziej. Nikt o nią nie dbał, nikt nie zbierał plonów. Juliette miała sprzeczne uczucia. Musiała się pomylić, może znów umysł płatał jej figle, tak jak wcześniej, lecz jakaś jej część chciała, by te odgłosy były rzeczywiste. Chciała odnaleźć tego podobnego do Solo mężczyznę. Chciała nawiązać kontakt. Lepsze to niż życie w strachu przed kimś, kto mógł się kryć w każdym cieniu, za każdym rogiem.

Ale co jeśli było ich wielu? Czy cała grupa ludzi zdołałaby przetrwać tak długo? Jakim cudem nigdy się nie ujawnili? Silos był ogromną budowlą, ale przecież ona i Solo spędzili na dole całe tygodnie, wchodzili na te farmy po kilka razy. Dwoje ludzi, starsza para, ale nie więcej. Solo mówił, że mężczyzna był w jego wieku. To by się zgadzało.

Obliczała to sobie w myślach, przekonując samą siebie, że nie ma się czego bać. Trzęsła się, ale adrenalina krążyła już w organizmie. Juliette była uzbrojona. Liście dzikich roślin ocierały się o jej twarz, gdy parła naprzód, przez gęste zarośla, wiedząc że znajdzie coś po drugiej stronie.

Tutaj farmy były inne. Dobrze utrzymane. Okiełznane. Uprawiane ręką człowieka. Juliette poczuła zarazem przerażenie i ulgę, dwa przeciwieństwa łączące się w jedno niczym spirala schodów z poręczą. Nie chciała być sama, nie chciała by ten silos był pusty i wyludniony, ale nie chciała też, by ktoś ją atakował. Jedna jej część pragnęła zawołać coś do

tych ludzi, wyjaśnić, że żadna krzywda im się nie stanie. Druga jej część zacisnęła mocniej palce na nożu, zaciskając też zęby, każąc jej odwrócić się i uciekać.

Na końcu farmy korytarz skręcał w ciemność. Juliette zajrzała tam, widząc kolejne nieodkryte dotąd terytorium. Ciemne przejście ciągnęło się aż na drugi kraniec silosu, a w oddali widać było słaby blask, padający zapewne od kolejnych lamp ogrzewających uprawy dzięki energii pochodzącej z IT.

Ktoś tutaj był. Była tego pewna. Czuła na sobie spojrzenie czyichś oczu, którego świadoma była już od wielu tygodni, szepty podnosiły jej włoski na skórze, tylko że tym razem to nie była tylko jej wyobraźnia, nie musiała walczyć z własnym domniemanym obłędem. Z nożem przyszykowanym do zadania ciosu, wiedząc, że z jednej strony ma tego kogoś, a z drugiej zupełnie bezbronnego Solo, powoli lecz odważnie ruszyła przez pogrążony w mroku korytarz, mijając otwarte biura po obu stronach, nie odrywając jednej ręki od ściany, by nie stracić równowagi...

Zatrzymała się. Coś było nie w porządku. Czyżby coś słyszała? Jakiś płacz? Cofnęła się do miniętych wcześniej drzwi, ledwie będąc w stanie je dostrzec, a potem dotarło do niej, że są zamknięte. Jedyne na całym korytarzu drzwi, które nie były otwarte.

Cofnęła się o krok i przyklękła. Ze środka dobiegał jakiś hałas. Była tego pewna. Jakby cichy płacz. Podnosząc wzrok, zauważyła że biegnące korytarzem kable doprowadzono także do tego pomieszczenia.

Juliette podeszła bliżej. Schyliła się, przyciskając ucho do drzwi. Nic. Pociągnęła za klamkę, ale czuła, że drzwi są zamknięte na klucz. Jak mogły być zamknięte, jeśli...

Drzwi otworzyły się nagle, nim zdołała zdjąć rękę z klamki. Wpadła do środka, prosto w ciemności. Błysnęło światło. Zauważyła stojącego nad nią mężczyznę. Zamachnął się czymś, celując w jej głowę.

Upadła na tyłek. Coś srebrnego śmignęło jej przed samą twarzą. Ciężki klucz uderzył ją w ramię, przewracając Juliette na podłogę.

Gdzieś na tyłach pomieszczenia ktoś zaczął wrzeszczeć cienkim głosem, zagłuszając jęczącą z bólu Juliette. Zamachnęła się nożem, trafiając w nogę mężczyzny. Klucz upadł na podłogę. Znów rozległy się wrzaski, kilkoro ludzi krzyczało. Juliette odsunęła się od drzwi i wstała, trzymając się za obolałe ramię. Była gotowa do ataku, lecz napastnik zaczął się

wycofywać, kulejąc na jedną nogę. To był młody chłopak, czternasto- może piętnastoletni.

– Nie ruszaj się! – Juliette wycelowała w niego ostrze noża. W szeroko otwartych oczach chłopca widać było strach. Przy przeciwległej ścianie, na kocach i materacach kuliła się grupa dzieciaków. Tulili się do siebie, wpatrzeni z przerażeniem w Juliette.

Była kompletnie zdezorientowana. Przytłoczyło ją poczucie, że coś tutaj nie gra. Gdzie byli pozostali? Dorośli? Miała wrażenie, że ludzie o złych zamiarach śledzą ją po korytarzach, gotowi zaatakować. Tutaj były tylko dzieciaki, szukające schronienia. Wkrótce wrócą ich szczurze matki i będą chciały ukarać ją za to, że wdepnęła w ich gniazdo.

– Gdzie pozostali? – spytała, ręce trzęsły jej się z zimna, zagubienia i strachu. Rozejrzała się po pokoju i zobaczyła, że chłopiec, który ją zaatakował, był najstarszy. Nastoletnia dziewczyna zamarła na skłębionych kocach, dwóch młodszych chłopców i mała dziewczynka tulili się do niej.

Najstarszy popatrzył swoją nogę. Zieloną nogawkę kombinezonu splamiła krew.

– Ilu was jest? – postąpiła krok naprzód. Te dzieciaki były zdecydowanie bardziej przerażone od niej.

– Zostaw nas w spokoju! – krzyknęła starsza dziewczyna. Przyciskała coś do piersi. Dziewczyna tuląca się do niej, wcisnęła twarz w jej kolana, próbując zniknąć. Dwaj chłopcy patrzyli na nią niczym zapędzone w ślepy zaułek psy, ale się nie poruszyli.

– Jak się tu dostaliście? – zapytała ich. Celowała ostrzem noża w wysokiego chłopca, ale czuła się głupio, że grozi mu bronią. Popatrzył na nią, zdezorientowany, nie rozumiejąc pytania i Juliette wreszcie to pojęła. Oczywiście. Dekady bratobójczej walki nie zabiły w ludziach ich najstarszego popędu.

– Wy się tutaj urodziliście, prawda?

Nikt nie odpowiedział. Chłopak wykrzywił twarz, nie rozumiejąc, zupełnie jakby pytanie było zupełnie szalone. Juliette obejrzała się szybko przez ramię.

– Gdzie są wasi rodzice? Dawno poszli? Kiedy wrócą?

– Nigdy! – wrzasnęła dziewczyna, pochylając głowę z wysiłku. – Oni nie żyją!

Usta miała otwarte, drżał jej podbródek. Na jej młodej szyi widać było napięte ścięgna.

Starszy chłopak odwrócił się i poparzył na dziewczynę, jakby chciał ją uciszyć. Juliette nadal próbowała pojąć, że to są po prostu dzieciaki. Wiedziała, że nie mogły być jedynymi mieszkańcami silosu. Ktoś przecież zaatakował Solo.

Szukając odpowiedzi, spojrzała na leżący na podłodze klucz. To był przecież klucz nastawny należący do Solo. Od razu poznała znajome plamy rdzy. Jak to możliwe? Solo twierdził, że...

Juliette przypomniała sobie, co dokładnie powiedział. Uświadomiła sobie, że te dzieciaki, ten chłopak, wyglądali tak, jak sam widział siebie Solo. Był w ich wieku, gdy został całkiem sam. Czyżby ocaleni z głębin silosu wyginęli dopiero niedawno, zostawiając jednak po sobie jakąś spuściznę?

– Jak masz na imię? – zapytała chłopca Juliette. Opuściła nóż i pokazała mu drugą dłoń. – Ja jestem Juliette – powiedziała. Chciała dodać, że przyszła z innego silosu, ze znacznie bardziej normalnego świata, ale nie chciała ich przerazić.

– Rickson – burknął chłopak. Wypiął groźnie pierś.

– Moim ojcem był Rick, hydraulik.

– Rick hydraulik – powtórzyła Juliette i skinęła głową. Powiodła wzrokiem wzdłuż jednej ze ścian, przy stercie łupów i zapasów zauważając skradzioną torbę. Ze środka wysypywały się jej ubrania na zmianę. Gdzieś tam powinien być też ręcznik. Ruszyła w stronę torby, nie odrywając wzroku od kulących się na prowizorycznym łóżku dzieciaków i starszego chłopca.

– Cóż, Rickson, chcę, żebyś pozbierał swoje rzeczy. – Uklękła obok swojej torby, szukając w niej ręcznika. W końcu go znalazła i wytarła przemoczone włosy, co było teraz dla niej luksusem wręcz nie do opisania. Nie ma szans, by zostawiła te dzieci same. Odwróciła się, z ręcznikiem na karku, i zobaczyła, że bacznie ją obserwują.

– No dalej – rzekła. – Pozbierajcie swoje rzeczy. Nie będziecie przecież tak żyć...

– Zostaw nas w spokoju – rzuciła najstarsza dziewczyna. Dwaj chłopcy wstali jednak z łóżka i zaczęli przetrząsać swoje zapasy. Zerkali to na dziewczynę, to znów na Juliette, niepewni.

– Wracaj skąd przyszłaś – odezwał się Rickson. Najstarsze dzieci zdawały się wspierać jedno drugie. – Zabierz swoje hałaśliwe maszyny i odejdź.

A zatem o to chodziło. Juliette przypomniała sobie przewróconą sprężarkę, zaatakowaną chyba z większą zaciętością niż zaatakowano Solo. Skinęła na dwóch młodszych chłopców, mniej więcej dziesięcio-jedenastoletnich. – No dalej – powiedziała do nich. – Pomożecie mnie i mojemu przyjacielowi wrócić do domu. Mamy tam jedzenie. Prąd. Gorącą wodę. Zabierzcie rzeczy i...

Na dźwięk tych słów najmłodsza dziewczynka krzyknęła przeraźliwie i zaczęła płakać – to był ten sam płacz, który Juliette słyszała już wcześniej, idąc korytarzem. Rickson chodził tam i z powrotem, zerkając na leżący na podłodze klucz. Juliette podeszła do dziewczynki, chcąc ją pocieszyć. I wtedy uświadomiła sobie, że to nie ona płacze...

W ramionach dziewczyny coś się poruszyło.

Juliette zamarła o krok od łóżka.

– Nie – wyszeptała.

Rickson zrobił krok naprzód.

– Stój! – Znów wycelowała w niego ostrze noża. Zerknął na ranę w nodze, zmieniając zdanie. Dwaj chłopcy momentalnie przestali pakować torby. Nikt w pokoju się nie poruszał, z wyjątkiem niemowlęcia w ramionach dziewczyny.

– Czy to jest dziecko?

Dziewczyna pokazała jej niemowlę. To był matczyny gest, choć nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. Juliette nie wiedziała, że coś takiego jest możliwe. Zastanawiała się, czy to dlatego tak wcześnie zakładano im implanty. Opuściła rękę na biodro, zupełnie jakby chciała dotknąć tego miejsca, pomacać wybrzuszenie pod skórą.

– Odejdź – jęczała nastolatka. – Poradzimy sobie bez ciebie.

Juliette odłożyła nóż. Dziwnie było odkładać broń, ale nie chciała podchodzić do małego dziecka z nożem w ręce. – Mogę wam pomóc – powiedziała. Odwróciła się, by mieć pewność, że chłopak też to usłyszy. – Kiedyś pracowałam w miejscu, gdzie zajmowano się niemowlętami. Pozwól mi... – Wyciągnęła ręce. Dziewczyna cofnęła się do ściany, ochraniając swoje maleństwo.

– Dobrze. – Juliette podniosła ręce, pokazując, że niczego w nich nie trzyma. – Ale nie możecie tak dłużej żyć. – Skinęła na dwóch młodszych chłopców, a potem odwróciła się do Ricksona, który nawet nie drgnął. – Żadne z was. Nikt nie powinien tak żyć, nawet jeśli to jego ostatnie dni.

Skinęła głową sama do siebie. Podjęła już decyzję. – Rickson? Zbierz swoje rzeczy. Tylko te najpotrzebniejsze. Po inne wrócimy później. – Skinęła głową na młodszych chłopców, widząc że ich kombinezony mają podarte nogawki na wysokości kolan, a nogi pokrywa ziemia z farm. Potraktowali to jako nakaz dalszego pakowania. Ci dwaj wydawali się zadowoleni, że ktoś nimi dowodzi i że jest to ktoś inny niż ich brat – jeśli starszy chłopiec był ich bratem.

– Powiedzcie jak macie na imię. – Juliette usiadła na łóżku z dwiema dziewczynkami, gdy tymczasem pozostali zbierali swoje rzeczy. Starała się zachować spokój, nie poddawać się mdłościom na myśl, że dzieci mogą rodzić dzieci.

Niemowlę znów zaczęło łkać.

– Jestem tu, by ci pomoc – wyjaśniła dziewczynie Juliette. – Mogę je zobaczyć? To dziewczynka czy chłopczyk?

Matka się rozluźniła. Odsunęła koc, odkrywając zmrużone oczy i czerwone usteczka kilkumiesięcznego niemowlęcia. Wyciągało drobne ramionka do matki.

– Dziewczynka – odpowiedziała cicho.

Młodsza dziewczynka zerknęła na Juliette.

– Dałaś jej jakieś imię?

Pokręciła głową. – Jeszcze nie.

Rickson powiedział coś do chłopców, żeby przestali się sprzeczać.

– Mam na imię Elsie – powiedziała młodsza dziewczynka, wyglądając zza starszej. Pokazała swoje usta. – Kiwa mi się ząb.

Juliette parsknęła śmiechem. – Jeśli chcesz, mogę ci z tym pomóc. – Wykorzystała okazję i ścisnęła dziewczynkę za ramię. Jej umysł zalały wspomnienia spędzonego w żłobku ojca dzieciństwa, zmartwieni rodzice, ukochane dzieci, nadzieje i marzenia skupione wokół loterii. Juliette pomyślała też o swoim bracie, który nie miał prawa żyć. Do oczu napłynęły jej łzy. Przez co przeszły mieszkające tutaj dzieciaki? Solo przynajmniej pamiętał, jak było kiedyś. Wiedział, jak to było żyć w normalnym, bezpiecznym świecie. A w jakich warunkach dorastały te dzieci? Co zobaczyły? Poczuła niewysłowiony, łamiący serce żal. I przyszła jej do głowy ta chora i zła myśl, że lepiej by było, gdyby nigdy się nie urodziły...

Jednak już po chwili ogarnęło ją poczucie winy, że myśli w ten sposób.

– Wydostaniemy się stąd – powiedziała dziewczynkom. – Wy też zabierzcie swoje rzeczy.

Jeden z młodszych chłopców podszedł do niej i upuścił jej torbę. Powkładał do niej rzeczy, przepraszając Juliette. Wtedy nagle rozległ się kolejny dziwny pisk.

Co znowu?

Zakryła usta ręcznikiem, obserwując jak dziewczyny z ociąganiem wykonują jej polecenie, przeszukując zapasy i zerkając na siebie, by upewnić się, że postępują słusznie. Usłyszała jakiś szelest wewnątrz swojej torby. Rozsunęła zamek, świadoma, że w środku może siedzieć szczur. Ale wtedy jej uszu dobiegł cichutki głos.

Ktoś wołał ją po imieniu.

Upuściła ręcznik i zaczęła przetrząsać zawartość torby, odsuwając narzędzia i butelki z wodą, zapasowy kombinezon oraz pojedyncze skarpetki, aż w końcu znalazła radio. Zdziwiła się, jakim sposobem Solo może się z nią kontaktować. Drugie radio zostało przecież w jej zniszczonym kombinezonie...

– ...Proszę powiedz coś – syczało radio. – Juliette, jesteś tam? Tu Walker. Błagam, na litość boską, odpowiedz mi...

75

Silos 18

– Co się stało? Czemu nie odpowiadają? – Courtnee patrzyła to na Walkera, to na Shirly, jakby któreś z nich mogło wiedzieć.

– Popsuło się? – Shirly podniosła niewielki panel z narysowanymi kreskami, chcąc sprawdzić, czy się przypadkowo nie przesunął. – Walk, popsuliśmy je?

– Nie, nadal jest włączone – odparł. Słuchawki trzymał przy policzku, wodząc wzrokiem po różnych elementach urządzenia.

– Słuchajcie, nie wiem, ile jeszcze czasu nam zostało. – Courtnee obserwowała przez okno salę generatora. Shirly wstała i zerknęła w stronę głównego wejścia. Jenkins i część jego ludzi byli już w środku, krzycząc na innych i celując w tym samym kierunku. Pomieszczenie było dźwiękoszczelne, więc nie dało się stwierdzić, o co może chodzić.

– Halo?

Głos dobiegł spomiędzy dłoni Walkera. Słowa zdawały się przeciskać między jego palcami.

– Kto tam jest? – zawołał, naciskając przycisk. – Kto mówi?

Shirly podbiegła do Walkera. Objęła go ramieniem, nie dowierzając. – Juliette! – krzyknęła.

Walker uniósł dłoń, próbując uciszyć obie kobiety. Ręce mu się trzęsły, gdy chwytał detonator, by w końcu wdusić czerwony guzik.

– Jules? – powiedział łamiącym się starczym głosem. Shirly ścisnęła go za ramię. – Czy to ty?

Nastała chwila ciszy, a potem z głośników dobiegło łkanie. – Walk? Walk, czy to ty? Co się dzieje? Gdzie jesteście? Myślałam...

– Gdzie ona jest? – wyszeptała Shirly.

Courtnee gapiła się na nich z otwartymi ustami i rękami na policzkach.

Walker znów wdusił guzik. – Jules, gdzie jesteś?

Małe głośniki zaszumiały jej westchnieniem. Głos Juliette wydawał się tak odległy. – Walk, jestem w innym silosie. Jest ich wiele. Nie uwierzyłbyś...

Jej głos przeszedł w szum. Shirly oparła się o Walkera. Courtnee chodziła przed nimi w tę i we w tę, zerkając to na radio, to za okno.

– Wiemy o innych silosach – rzekł Walker, przyciskając mikrofon do brody. – Słyszymy je, Jules. Wszystkie.

Puścił przycisk. Znów zabrzmiał głos Juliette.

– Jak się trzymacie w Maszynowni? Słyszałam o walkach. Dotarły już do was? – Powiedziała coś jeszcze do kogoś innego, ale jej głos był ledwie słyszalny.

Walker uniósł brwi, słysząc o walkach.

– Skąd ona może o tym wiedzieć – zdziwiła się Shirly.

– Chciałbym, żeby była tutaj z nami – stwierdziła Courtnee. – Jules wiedziałaby, co trzeba zrobić.

– Powiedz jej o spalinach. O naszym planie. – Shirly sięgnęła po mikrofon. – Daj, ja mogę...

Walker skinął głową. Podał Shirly zestaw słuchawkowy wraz z detonatorem.

Wdusiła przycisk. Był twardszy niż się spodziewała. – Jules? Słyszysz mnie? tu Shirly.

– Shirly... – odparła Juliette łamiącym się głosem. – Cześć. Trzymasz się jakoś?

Kiedy Shirly usłyszała emocje w głosie przyjaciółki, do oczu momentalnie napłynęły jej łzy. – Tak... – Skinęła głową i przełknęła ślinę. – Słuchaj, ludzie tutaj planują skierować spaliny do przewodów chłodzenia biegnących do IT. Pamiętasz, jak kiedyś straciłyśmy ciśnienie zwrotne? Boję się, że silnik może...

– Nie – przerwała jej Juliette. – Musisz ich powstrzymać. Shirly, słyszysz mnie? Musisz ich powstrzymać. To w niczym nie pomoże. Chłodzenie idzie do serwerów. Jedynymi ludźmi na górze, którzy... – Odchrząknęła. – Słuchaj mnie. Zatrzymaj ich...

Shirly próbowała wcisnąć czerwony guzik. Walker chciał jej pomóc, ale w końcu sama zdołała sobie poradzić. – Czekaj. Skąd wiesz, gdzie prowadzi wentylacja.

– Po prostu wiem. Ten silos jest taki sam. Cholera, daj mi z nimi pogadać. Nie możesz im pozwolić...

Shirly znów wcisnęła guzik. Courtnee otworzyła drzwi i wybiegła na zewnątrz. – Courtnee już tam idzie – powiedziała do mikrofonu. – Idzie w tej chwili. Jules... Skąd ty?... Z kim ty tam jesteś? Mogą nam pomóc? To wszystko nie wygląda najlepiej.

Głośniczki znów zatrzeszczały. Shirly słyszała, że Juliette bierze głęboki oddech, słyszała w tle inne głosy – Jules wydawała tam komuś rozkazy. Shirly doszła do wniosku, że przyjaciółka wydaje się wyczerpana. Zmęczona. I smutna.

– Nie mogę nic zrobić – odparła Juliette. – Tutaj nikogo nie ma. Jeden mężczyzna i kilkoro dzieci. Wszyscy zginęli. Mieszkańcy tego silosu nie zdołali uratować samych siebie.

– Na linii zapadło milczenie, jednak po chwili Juliette znów się odezwała. – Musicie skończyć tę wojnę. Za wszelką cenę. Błagam... Nie ciągnijcie jej z mojego powodu. Przestańcie...

Drzwi znowu się otworzyły, Courtnee wróciła. Shirly usłyszała krzyki w Sali generatora. A potem wystrzały.

– Co to było? – zapytała Juliette. – Gdzie wy jesteście?

– W pomieszczeniu kontrolnym. – Shirly popatrzyła na Courtnee, w której oczach widać było czyste przerażenie.

– Jules, chyba nie zostało nam już dużo czasu. Ja... – Tyle pragnęła jej powiedzieć. Chciała wspomnieć o Marcku. Potrzebowała jednak więcej czasu. – Przyszli po nas – zdołała tylko dodać. – Cieszę się, że nic ci nie jest.

Radio zatrzeszczało. – O Boże, powstrzymajcie ich. Przestańcie ze sobą walczyć! Shirly, posłuchaj mnie...

– To nie ma znaczenia – odpowiedziała Shirly, jedną ręką wciskając guzik a drugą ocierając policzki. – Oni nie przestaną. – Strzały padały już coraz bliżej, słychać je było nawet przez grube drzwi. Jej ludzie umierali, a ona siedziała w pomieszczeniu kontrolnym, rozmawiając z duchem. Oni naprawdę umierali.

– Dbaj o siebie – dodała Shirly.

– Czekaj!

Podała słuchawki Walkerowi, a potem dołączyła do stojącej przy oknie Courtnee, patrząc jak ludzie za generatorem kulą się strachu, jak lufy strzelb podskakują, plując ogniem, a ktoś w niebieskim kombinezonie leży nieruchomo na podłodze. Potem kolejne stłumione wystrzały.

– Jules! – Walker zaczął szperać przy radiu. Wykrzykiwał jej imię, próbując nawiązać kontakt.

– Pozwól mi z nimi porozmawiać! – wrzasnęła Juliette, a jej głos wydawał się niewiarygodnie odległy. – Walk, czemu ja cię słyszę, a ich nie?

Muszę pogadać z zastępcami szeryfa, Peterem i Hankiem. Walk, jakim cudem się do mnie dodzwoniłeś? Muszę się z nimi skontaktować!

Walk zaczął szlochać i opowiadać o lutownicach i szkłach powiększających. Staruszek płakał w głos, tuląc do siebie płyty i przewody niczym smutne dzieci, szepcząc do nich i kiwając się to w przód, to w tył, a łzy kapały na stworzone przez niego urządzenie.

Łkał do Juliette, gdy tymczasem kolejni mężczyźni w niebieskich kombinezonach padali na podłogę, zsuwając się po poręczy i upuszczając strzelby. Ci, przed którymi ukrywali się tutaj od miesiąca, dostali się już do środka. To był już koniec. Shirly objęła Courtnee, tuląc ją, gdy obie obserwowały, co się działo, całkowicie bezradne. Za ich plecami łkania Walkera mieszały się z wyciszonymi odgłosami wystrzałów, dźwiękami jakie wydaje psująca się maszyna, której nie można już zatrzymać...

76

Silos 18

Lukas chwiał się, stojąc na przewróconym śmietniku. Czubki jego butów wginały miękki plastik, zupełnie jakby ten w każdej chwili mógł pęknąć pod jego ciężarem. Próbując utrzymać równowagę, chwytał się krawędzi serwera numer dwanaście, a pokrywająca komputer warstwa kurzu mówiła mu, że od lat nie było tutaj nikogo ze ścierką i drabiną. Przystawił nos do otworu wentylacji i znów powąchał wylatujące z niej powietrze.

Pobliskie drzwi zapiszczały, a zamki zaczęły otwierać się z głośnym szczękiem. Po chwili masywne zawiasy drgnęły i drzwi otworzyły się do wewnątrz.

Lukas niemal puścił się serwera, widząc jak do pomieszczenia wchodzi Bernard. Szef IT spojrzał na niego pytająco.

– Nigdy się tam nie wciśniesz – stwierdził. Śmiejąc się głośno, zamknął za sobą drzwi. Rygle zasunęły się, panel zapiszczał, a czerwone oko znów zaczęło bacznie obserwować pomieszczenie.

Lukas odepchnął się od zakurzonego serwera i zeskoczył z kosza, przewracając plastikowe wiadro na podłogę. Wytarł ręce jedna o drugą, a potem o tył spodni. W końcu też się roześmiał.

– Wydawało mi się, ze coś wyczułem – wyjaśnił. – Czy nie wydaje ci się, że jest tu nadymione?

Bernard zmrużył oczy i rozejrzał się. – Dla mnie tu zawsze było trochę mgliście. Ale niczego nie czuję. Z wyjątkiem rozgrzanych serwerów. – Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął kilka złożonych kartek. – Trzymaj. Listy od matki. Kazałem jej posłać je do mnie, żebym mógł ci je przekazać.

Lukas uśmiechnął się, zakłopotany, a potem przyjął przesyłkę. – Nadal sądzę, że powinieneś zapytać o... – Podniósł wzrok i spojrzał na otwór klimatyzacji, uświadamiając sobie, że przecież nie mogą zapytać o to nikogo z Maszynowni. Ostatnim, o czym usłyszał w radiu był szturm przypuszczony przez Simsa i pozostałych. Zginęły dziesiątki ludzi. Kilkukrotnie więcej zostało aresztowanych. Mieli być przetrzymywani w apartamentowych skrzydłach jednej ze środkowych kondygnacji. Brzmiało to tak, jakby kandydatów do czyszczenia starczyło na całe lata.

– Każę to sprawdzić jednemu z mechaników na zastępstwie – obiecał Bernard. – Przy okazji przypomniałem sobie, że chciałbym razem z tobą się tym zająć. Kierujemy farmerów do Maszynowni, więc będzie sporo zmian kombinezonów – z zielonych na niebieskie. Jestem ciekaw, co myślisz o pomyśle oddania dowództwa na dole Sammiemu.

Lukas skinął głową, zerkając na jeden z listów matki. – Sammi szefem Maszynowni? Chyba ma zbyt wysokie kwalifikacje, ale będzie idealny. Sporo się od niego nauczyłem. – Zerknął na Bernarda, który otwierał właśnie stojącą przy drzwiach szafę na akta i przeglądał harmonogramy. – To świetny nauczyciel, miałby pracować tam na stałe?

– Nic nie jest na stałe. – Bernard znalazł to, czego szukał, i wetknął to sobie do kieszonki. – Potrzeba ci czegoś jeszcze? – Poprawił okulary na nosie. Lukas pomyślał, że wygląda znacznie starzej niż w zeszłym miesiącu. Jest starszy i bardziej zmęczony. – Za kilka godzin przyślemy ci kolację...

Lukas jednak chciał czegoś jeszcze. Chciał powiedzieć, że jest już gotowy, zdołał pogodzić się z przerażającymi wymogami swojej przyszłej pracy i nauczył się, czego trzeba, nie popadając jednocześnie w obłęd. Czy mógłby zatem wrócić do domu?

Ale tak się stąd nie wydostanie. Sam już zdołał to zrozumieć.

– Cóż – powiedział. – Przydałoby mi się więcej materiałów do czytania...

Rzeczy, które odkrył w serwerze osiemnastym, rozpaliły mu umysł. Bał się, że Bernard będzie w stanie się o tym dowiedzieć. Lukas sądził, że już wie, ale żeby się upewnić, musiał spytać o ten katalog.

Bernard uśmiechnął się. – Nie masz wystarczającej ilości lektur?

Lukas machnął listami od matki. – To? Przeczytam je w drodze do drabiny...

– Chodziło mi o to, co masz na dole. Nakazy. Twoja nauka. – Bernard skinął głową.

Lukas westchnął. – Pewnie, mam, ale nie możesz wymagać, bym po dwanaście godzin na dobę czytał tylko to. Mówię o czymś mniej poważnym. – Pokręcił głową. – Dobra, zapomnij o tym. Skoro nie możesz...

– Czego ci trzeba? – zapytał Bernard. – Tylko się z tobą droczę. – Oparł się o szafę, splatając palce na brzuchu. Przyglądał się Lukasowi zza okularów.

– Cóż, to może dziwnie zabrzmieć, ale chodzi o akta pewnej sprawy. Bardzo starej. Według zapisów z serwera powinieneś mieć je w biurze razem z innymi zamkniętymi dochodzeniami...

– Dochodzenie? – Bernard aż podniósł głos z zaskoczenia.

Lukas przytaknął. – Owszem. Znajomy znajomego. Jestem ciekawy, jak to się zakończyło. Na serwerze nie ma żadnych kopii cyfrowych...

– Ale nie chodzi chyba o Holstona?

– O kogo? A, ten stary szeryf. Nie, skąd. Czemu pytasz?

Zamiast odpowiedzieć, Bernard tylko machnął ręką.

– Na teczce jest nazwisko Wilkins – rzekł Lukas, bacznie obserwując Bernarda. – George Wilkins.

Twarz Bernarda przybrała surowy wyraz. Wąsy mu opadły, zasłaniając wargi.

Lukas odchrząknął. Wystarczyło mu to, co odczytał z twarzy tamtego. – George zginął kilka lat temu, w Maszyno...

– Wiem jak on zginął – wtrącił Bernard. – Czemu chcesz sprawdzić te akta?

– Jestem ciekawy. Mam przyjaciela, który...

– Jak ma na imię ten przyjaciel? – Bernard wetknął dłonie w kieszenie spodni. Odsunął się od szafy na akta, przybliżając się o krok do Lukasa.

– Co takiego?

– Ten przyjaciel, dobrze znał Georgea? Trzymali się razem?

– Nie. Zresztą nie wiem. Słuchaj, jeśli to taki wielki problem, zapomnij... – Lukas po prostu chciał się dowiedzieć, dlaczego Bernard to zrobił. Ale ten zamierzał mu chyba powiedzieć wszystko bez większej zachęty.

– To ogromny problem – odparł Bernard. – George Wilkins był niebezpiecznym człowiekiem. Człowiekiem mającym swoje poglądy. I potrafił tymi poglądami zatruwać wszystkich wokół siebie...

– Co? Co masz na myśli?

– Trzynasty rozdział Nakazów. Przestudiuj go. Wszystkie rewolty zaczynają się właśnie przez takich ludzi. Musimy ich powstrzymać, zanim będzie za późno.

Bernard pochylił głowę, spoglądając na Lukasa znad okularów. Prawda wyszła na jaw bez większych starań z jego strony.

Lukas tak naprawdę wcale nie potrzebował tych akt. Odnalazł już rejestry podróżne, zbiegające się ze śmiercią George a i dziesiątkami telegraficznych próśb do Holstona, by się wszystkim zajął. Bernard nie czuł nawet odrobiny wstydu. George Wilkins nie zginął w wypadku, lecz został zamordowany. Bernard miał zamiar powiedzieć Lukasowi, czemu tak się stało.

– Co on takiego zrobił? – zapytał cicho Lukas.

– Powiem ci, co zrobił. Był mechanikiem, zwyczajnym robolem. Dotarły do nas niosące się wśród tragarzy plotki o jego planach rozbudowy kopalni, wydrążenia szybów lateralnych. Jak sam wiesz, takie drążenie jest niezgodne z prawem...

– Oczywiście. – Lukas wyobraził sobie górników z silosu osiemnastego, którzy przekopują się do tych z dziewiętnastego. To byłaby sytuacja co najmniej niezręczna.

– Po długiej dyskusji z dawnym szefem Maszynowni zdołaliśmy ukrócić te brednie, ale wtedy Wilkins wpadł na pomysł rozbudowy dolnych poziomów. Razem z kilkoma innymi narysowali plany sto pięćdziesiątej kondygnacji. A później jeszcze sto sześćdziesiątej.

– Szesnaście pięter więcej?

– Na dobry początek. Tylko o tym dyskutowali. Same plotki i szkice. Ale usłyszał to jakiś tragarz i wieść dotarła aż do nas.

– Więc go zabiliście?

– Owszem, ktoś go załatwił. Nie ma znaczenia, kto. – Bernard jedną ręką poprawił sobie okulary, nie wyjmując drugiej z kieszeni. – Pewnego dnia będziesz musiał podejmować takie decyzje, synu. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

– Jak najbardziej, ale...

– Żadnych ale. – Bernard powoli pokręcił głową. – Niektórzy ludzie są jak wirusy. Jeśli nie chcesz wybuchu epidemii, musisz zaszczepić przed nimi cały silos. Musisz się ich pozbyć.

Lukas milczał.

– W tym roku pozbyliśmy się już czternastu takich zagrożeń. Masz pojęcie, jaka będzie średnia długość życia mieszkańca, jeśli nie będziemy przeciwdziałać takim zagrożeniom?

– Ale przecież czyszczenie...

– W ten użyteczny sposób radzimy sobie z tymi, którzy chcą wyjść na zewnątrz. Którzy śnią o lepszym świecie. Obecne powstanie wywołali

właśnie tacy ludzie, ale to tylko jedna z chorób, które musimy zwalczać. Nie jestem pewien, czy ci inni chorzy w ogóle zaczęliby czyścić, gdybyśmy posłali ich na górę. Muszą chcieć coś zobaczyć, a gdy im to pokażemy, od razu przystępują do pracy.

Lukas przypomniał sobie, co słyszał o hełmach i ich przesłonach. Zakładał, że w silosie istnieje tylko jeden rodzaj choroby. Teraz żałował, że czytał więcej Dziedzictwa niż Nakazów.

– Sam słyszałeś przez radio, do czego doprowadziła ta obecna epidemia. Dałoby się temu zapobiec, gdybyśmy zaczęli działać wcześniej. I nie mów mi, że to by nie było lepsze rozwiązanie.

Lukas gapił się na swoje buty. Obok leżał przewrócony śmietnik. Wydawał się bezużyteczny, gdy nie było w nim żadnych śmieci.

– Idee są zaraźliwe, Lukas. To podstawa Nakazów. Przecież o tym wiesz.

Skinął głową. Pomyślał o Juliette, zastanawiając się, czemu od tak dawna nie dzwoniła. Była jednym z tych wirusów, o których mówił Bernard, jej słowa atakowały jego umysł, wypełniając go przedziwnymi marzeniami. Uświadamiając sobie, że sam też jest zarażony, poczuł gorąco na całym ciele. Chciał dotknął kieszeni na piersi, wymacać znajome kształty jej rzeczy osobistych: zegarka, pierścionka i identyfikatora. Zabrał je ze sobą, by móc wspominać Juliette po śmierci, ale gdy dowiedział się, że ona nadal żyje, stały się dla niego jeszcze cenniejsze.

– To powstanie nie jest aż tak potworne jak to poprzednie – stwierdził Bernard. – A nawet po tamtym sytuacja w końcu wróciła do normy, naprawiono wyrządzone szkody i ludzie w końcu zapomnieli. Teraz będzie dokładnie tak samo, rozumiesz?

– Tak sir.

– Doskonale. Czy wiesz już wszystko, co chciałeś wyczytać z tamtych akt?

Lukas skinął głową.

– Świetnie. Wygląda na to, że będziesz musiał teraz poczytać coś innego. – Uśmiechnął się, aż uniosły mu się wąsy. A potem odwrócił się do wyjścia.

– To byłeś ty, prawda?

Bernard zatrzymał się, ale nie odwrócił głowy.

– To ty zabiłeś Georgea Wilkinsa, tak?

– Czy to ma jakiekolwiek znaczenie?

– Tak. Ma znaczenie dla... dla mnie... To znaczy, że...

– A może dla twojego przyjaciela? – Bernard wreszcie odwrócił się twarzą do niego. Lukas poczuł, ze temperatura w pomieszczeniu podnosi się o kolejny stopień.

– Masz jakieś wątpliwości co do tej pracy, synu? Czy pomyliłem się względem ciebie? Bo już wcześniej mi się to zdarzało.

Lukas przełknął ślinę. – Chcę tylko wiedzieć, czy kiedyś też będę musiał... Skoro cieniuję na stanowisko...

Bernard podszedł kilka kroków bliżej. Lukas odruchowo cofnął się o pół kroku.

– Myślałem, że się co do ciebie nie pomyliłem. Ale tak właśnie jest, prawda? – Bernard pokręcił głowa. Wydawał się zniesmaczony. – Cholera jasna.

– Nie sir. Nie pomylił się pan. Po prostu już za długo tutaj siedzę. – Lukas odgarnął sobie włosy z czoła. Swędziała go głowa. Musiał skorzystać z toalety. – Może trzeba mi powietrza. Powinienem pójść do domu. Przespać się we własnym łóżku. Ile to już, miesiąc? Jak długo jeszcze będę...

– Chcesz stąd wyjść?

Lukas skinął głową.

Bernard bił wzrok w podłogę, namyślając się. Kiedy znów spojrzał na Lukasa, w oczach miał smutek, opadły mu kąciki ust.

– Naprawdę tego pragniesz? Wydostać się stąd?

Poruszył rękami wsadzonymi w kieszenie spodni.

– Tak sir.

– Więc to powiedz.

– Chcę się stąd wydostać – Lukas popatrzył na stalowe drzwi za plecami Bernarda. – Proszę. Wypuść mnie na zewnątrz.

– Na zewnątrz.

Lukas skinął głową, zirytowany. Po policzkach spływały mu krople potu, podążając za linią jego szczęki. Nagle zaczął się obawiać tego mężczyzny, który coraz bardziej przypominał mu ojca.

– Proszę – powtórzył. – Ja po prostu... czuję się tu jak w klatce. Proszę, wypuść mnie stąd.

Bernard skinął głową. Policzki zaczęły mu drżeć. Wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać. Lukas jeszcze nigdy nie widział u niego takiej miny.

– Szeryfie Billings, jesteś tam?

Wyciągnął z kieszeni niewielkie radio, przyciskając je sobie do drżących wąsów.

– Jestem, sir – odezwał się Peter.

Bernard nacisnął guzik nadajnika. – Sam to słyszałeś – powiedział, a do oczu napłynęły mu łzy. – Lukas Kyle, inżynier informatyk pierwszej klasy, mówi, że chce wyjść na zewnątrz...

77

Silos 17

– Halo? Walk? Shirly?

Juliette krzyczała do radia, a Solo wraz z sierotami przyglądali się jej, stojąc kilka stopni niżej. Popędziła ich przez farmy, pośpiesznie wydając polecenia i cały czas sprawdzając radio. Minęli kilka kondygnacji, cała grupa podążała za nią z mozołem, ale odbiornik wciąż milczał, przynajmniej od momentu, w którym ją rozłączyło, tuż po tym, jak słowa Walkera zagłuszył odgłos wystrzałów. Cały czas myślała tylko o tym, że jeśli tylko wespnie się trochę wyżej, znów będzie mogła spróbować nawiązać połączenie. Sprawdziła lampkę przy włączniku, żeby ocenić, czy bateria wciąż działa, a potem podkręciła głośność. Usłyszała szum, więc urządzenie nadal działało.

Wdusiła przycisk. Szum ucichł, radio czekało, aż Juliette się odezwie. – Błagam, odezwijcie się. Mówi Juliette. Słyszycie mnie? Powiedzcie coś.

Popatrzyła na Solo, którego podtrzymywał ten sam chłopak, który go wcześniej ogłuszył. – Wydaje mi się, że musimy wejść wyżej. No dalej. Musimy się pospieszyć.

Odpowiedziały jej jęki; ci biedacy z silosu siedemnastego zachowywali się tak, jakby Juliette postradała rozum. Ale ruszyli za nią na górę, w tempie narzuconym przez Solo, który nieco się ożywił po zjedzeniu owoców i wypiciu wody, ale z każdym piętrem szedł coraz wolniej.

– Gdzie są ci przyjaciele, z którymi rozmawiałaś? – zapytał Rickson. – Mogą nam pomóc? – Stęknął, starając się utrzymać Solo. – On jest strasznie ciężki.

– Nie przyjdą nam z pomocą – odpowiedziała Juliette. – Z tamtego miejsca nie można się dostać tutaj. – Ani vice versa, dopowiedziała w myślach.

Była tak zaniepokojona, że aż rozbolał ją brzuch. Musiała wrócić do IT i zadzwonić do Lukasa, dowiedzieć się, co się wydarzyło. Musiała mu powiedzieć, jak zawaliła to, co zaplanowała zrobić, zawodząc raz po raz. Uświadomiła sobie, że nie ma szans na powrót. Nie uratuje przyjaciół. Nie ocali tego silosu. Obejrzała się przez ramię. Teraz będzie musiała być matką dla tych sierot, dzieciaków, które przetrwały tylko dlatego, że walczące ze

sobą strony nie miały w sobie dość sił, by je pozabijać. Ani dość litości, dodała w myślach.

Teraz to wszystko spadnie na jej barki. I na Solo, choć w mniejszym stopniu. Pewnie będzie dla nich tylko kolejnym dzieckiem do wykarmienia.

Stopniowo wspinali się na kolejne piętro, Solo powoli odzyskiwał zmysły, robili postępy. Jednak przed nimi wciąż daleka droga.

Zrobili sobie małą przerwę przy toaletach, w których nie działały spłuczki. Juliette pomagała najmłodszym dzieciom. Nie chciały wcale załatwiać się w ten sposób, wolały kucać przy ziemi. Wyjaśniła im, że to nie szkodzi, ale teraz muszą skorzystać z toalet, bo są w trakcie wędrówki i nie mają innych możliwości. Nie wspomniała im, że Solo przez lata zapaskudził całe kondygnacje pełne apartamentów. Nie mówiła o chmarach much, które widywała po drodze.

Zjedli już wszystkie swoje zapasy, ale mieli jeszcze wodę. Juliette chciała dostać się do farm hydroponicznych na pięćdziesiątym szóstym zanim zdecydują się gdzieś przenocować. Tam zdobyliby tyle wody i pożywienia, by starczyło na resztę wspinaczki. Raz po raz próbowała nawiązać kontakt przez radio, lecz baterie zaczęły jej się wyczerpywać. Nie było żadnej odpowiedzi. Tak naprawdę Juliette nie była w stanie pojąć, jak w ogóle się z nimi porozumiała – każdy silos używa chyba innego sprzętu, żeby się nawzajem nie słyszeli. Pewnie Walkerowi udało się to jakoś obejść. Kiedy wróci do IT, może sama zdoła to wyjaśnić? Czy jednak zdoła skontaktować się z nim, albo z Shirly. Nie była pewna, a Lukas nie miał możliwości skontaktować się z Maszynownią, połączyć jej z tamtymi. Pytała go wiele razy.

Lukas.

I wtedy Juliette sobie przypomniała.

Radio w kryjówce Solo. Co kiedyś powiedział jej Lukas? Gadali do późna i wspomniał, że żałuje, że nie mogą pogadać ze sobą z dołu, gdzie byłoby mu znacznie wygodniej. Czy to nie tam otrzymywał komunikaty na temat powstania? Właśnie przez tamto radio. Takie jak to w kryjówce Solo, pod serwerownią, w stalowej klatce, do której nigdy nie zdołał znaleźć klucza.

Juliette odwróciła się do pozostałych. Zatrzymali się i parzyli na nią, trzymając się poręczy. Helena, młoda matka, która nie wiedziała nawet, ile ma lat, próbowała uspokoić kwilące niemowlę. Bezimienne dziecko czuło się lepiej, gdy było kołysane rytmem wspinaczki.

– Muszę dostać się na górę – wyjaśniła im. Spojrzała na Solo. – Jak się czujesz?

– Ja? Całkiem nieźle.

Wcale tak nie wyglądał.

– Dasz radę ich poprowadzić? – Skinęła głową na Ricksona. – Trzymasz się?

Chłopak przytaknął. Podczas wspinaczki jego opór zaczął słabnąć, szczególnie w czasie postoju przy toaletach. Młodsze dzieci natomiast ekscytowały się zwiedzaniem nowych rejonów silosu, czując, że mogą zachowywać się głośno i nic złego im się nie przydarzy. Zaczęły godzić się z tym, że w silosie została tylko dwójka dorosłych i żadne z nich nie wydaje się złą osobą.

– Na pięćdziesiątym szóstym będzie jedzenie – oświadczyła Juliette.

– Liczby... – Rickson pokręcił głową. – Ja nie...

Oczywiście. Skąd miałby znać liczby, których nigdy nie widział na własne oczy.

– Solo pokaże ci, gdzie to jest – odparła. – Kiedyś już się tam zatrzymaliśmy. Dobre jedzenie. Są też konserwy. Solo? – Czekała, aż na nią spojrzy; z jego oczu wyczytywała teraz głębszą przytomność niż wcześniej. – Muszę wrócić do twojej kryjówki. Muszę do kogoś zadzwonić. Sprawdzić, czy u nich wszystko gra.

Skinął głową.

– Poradzicie sobie? – Nie chciała ich porzucać, ale nie miała wyjścia. – Postaram się jutro do was wrócić. Nie musicie się już tak spieszyć, idąc do domu.

Dom. Czy już całkowicie poddała się zrezygnowaniu?

Dzieciaki skinęły głowami. Jeden z młodszych chłopców wyciągnął butelkę z wodą i odkręcił zakrętkę. Juliette odwróciła się od nich i zaczęła wspinać się po dwa stopnie naraz, mimo że jej nogi były temu przeciwne.

* * *

Juliette była w okolicy czterdziestego piętra, gdy uświadomiła sobie, że może nie dać rady. Zimny pot pokrył jej skórę, nogi pulsowały bólem, drętwiejąc ze zmęczenia. Odkryła, że ręce też mocno pracowały podczas marszu, łapiąc poręcz i pomagając jej się podciągnąć na kolejne stopnie.

Od kilku kondygnacji jej oddech zdawał się rwany. Zaczęła się zastanawiać, czy nie uszkodziła sobie płuc pod wodą. Czy to było możliwe? Ojciec na pewno by wiedział. Uświadomiła sobie, że resztę życia spędzi bez opieki lekarskiej, że zęby będzie miała w końcu tak żółte jak Solo, i będzie musiała troszczyć się o dzieci oraz dopilnować, by na razie nie rodziły się następne.

Na kolejnym piętrze znów dotyka uda, wyczuwając pod skórą implant antykoncepcyjny. W świetle tego, co zobaczyła w silosie siedemnastym, implant nabrał większego sensu. Tyle rzeczy dotyczących jej poprzedniego życia nabrało większego sensu. Nawet te, które kiedyś zdawały się zwykłym oszustwem, teraz tworzyły swoisty wzór, jak najbardziej logiczny. Koszt telegramów, rozmieszczenie poszczególnych kondygnacji, istnienie tylko jednej klatki schodowej, dzielenie silosu na sekcje, wiązanie noszonych kolorów z wykonywanym zawodem, nieufność względem zachodzenia w ciążę i rodzenia dzieci... to wszystko było częścią projektu. Mogła domyślić się wcześniej, ale nigdy tego w pełni nie pojęła. Ten pusty silos naprowadził ją na odpowiedź, naprowadziły ją na nią także żyjące tu dzieci. Wyszło na jaw, że odrzucenie pewnych chorych reguł kończyło się czymś jeszcze gorszym. Niektóre węzły nabierały sensu dopiero po ich rozsupłaniu.

Rozmyślała o tym podczas wspinaczki, chcąc odwrócić uwagę od obolałych mięśni i wszystkich cierpień, jakie ją tego dnia spotkały. Dzięki temu, docierając w okolice trzydziestego piętra, nie wygrała z bólem, ale odzyskała jasny umysł. Przestała wciąż zerkać na radio. Dobiegający z niego szum był czymś stałym i niezmiennym, a Juliette wpadła już na inny pomysł, jak skontaktować się z Walkerem, szkoda że nie wpadła na to wcześniej, wystarczyło obejść serwery i połączyć się z resztą silosów. Urządzenie cały czas tam stało, przed oczami jej i Solo. Oczywiście istniała możliwość, że po prostu się myliła, ale niby z jakiego powodu zamykano by na klucz radio, które i tak już było zablokowane? To miałoby sens tylko w wypadku, gdyby urządzenie było nadzwyczaj niebezpieczne. I właśnie na to liczyła Juliette.

Kiedy wspięła się na trzydzieste piąte ledwie stała na nogach. Jeszcze nigdy aż tak się nie nadwerężyła, nawet wtedy, gdy naprawiała małą pompę, nawet podczas wędrówki przez wzgórze. Tylko dzięki sile własnej woli mogła unosić stopę, stawiać ją wyżej, prostować nogę i podciągać się, trzymając rękę na poręczy. Stopień za stopniem. Zawadziła

palcami o stopień, nie mogąc już unosić nóg wystarczająco wysoko. Zielone światła sprawiały, że nie miała pojęcia, ile czasu mogło minąć, czy nadeszła już noc i kiedy będzie rano. Rozpaczliwie brakowało jej zegarka. Teraz został jej tylko nóż. Zaśmiała się, myśląc o tej zamianie – teraz zamiast liczyć sekundy, przyszło jej walczyć o każdą kolejną.

Trzydzieste czwarte. Kusiło ją, by paść na stalową kratę, zasnąć, zwinąć się w kłębek, dziękować, że w ogóle przeżyła. Zamiast tego otworzyła jednak drzwi, zadziwiona, ile wymagało to siły. Wróciła do cywilizacji. Światło. Prąd. Ciepło.

Zataczając się, ruszyła korytarzem, widząc jedynie niewielki wycinek tego, co znajdowało się przed nią – reszta była całkowicie rozmazana.

Otarła ramieniem o ścianę. Nawet zwykłe chodzenie wymagało ogromnego wysiłku. Pragnęła już tylko zadzwonić do Lukasa, usłyszeć jego głos. Wyobraziła sobie, jak zasypia za tym serwerem, ze słuchawkami na uszach, owiewana ciepłym powietrzem z wentylatorów. Spałaby całymi dniami, a on mamrotałby do niej o odległych gwiazdach...

Ale Lukas mógł na nią poczekać. Był zamknięty i bezpieczny. Miała jeszcze mnóstwo czasu, by do niego zadzwonić.

Weszła więc do laboratorium, zmierzając ku ścianie z narzędziami. Nie odważyła się nawet zerknąć na pryczę. Wystarczyło spojrzeć, a spałaby na niej pewnie do jutra. Albo i pojutrza.

Zdjęła szczypce przegubowe i już miała wychodzić, ale wróciła się jeszcze po mały młotek. Narzędzia były ciężkie, ale dobrze się czuła, trzymając je, po jednym w każdej ręce – ciągnęły ją ku ziemi i zapewniały równowagę.

Przy końcu korytarza naparła barkiem na ciężkie drzwi serwerowni. W końcu zdołała je nieco uchylić. Szpara była na tyle duża, by Juliette się przez nią przecisnęła. A potem, powłócząc nogami, tak szybko, jak tylko pozwalały jej obolałe mięśnie, ruszyła w stronę drabiny.

Właz znajdował się na swoim miejscu; uniosła go, rzucając na dół narzędzia. Uderzyły o podłogę z łoskotem, ale jej było wszystko jedno, mogła je nawet połamać. Następnie zeszła po drabinie. Mokre dłonie ślizgały się po szczeblach, uderzyła nawet podbródkiem o metal. Spadła na dół szybciej niż zamierzała.

Padła jak długa, uderzając goleniem o młotek. Pozbieranie się wymagało ogromnego wysiłku, ale zdołała się do tego zmusić.

Pokonała korytarz i dotarła do niewielkiego biurka. W stalowej klatce tkwiło duże radio. Przypomniała sobie dni, kiedy jeszcze była szeryfem. Miała podobne radio w swoim biurze, używała go, by połączyć się z Marnesem, gdy był na patrolu, czasem też z Hankiem albo Marshem. Ale to tutaj było inne.

Odłożyła młotek i zacisnęła szczypce na jednym z zawiasów. Ścisnęła tak mocno, że aż zaczęły jej drżeć ramiona.

Za drugim podejściem spróbowała innego rozwiązania. Przycisnęła uchwyt do szyi, napierając na niego ramieniem i obojczykiem. Drugi uchwyt złapała oburącz i pociągnęła ku sobie. Z całych sił. Poczuła, jak się poruszyły.

Rozległ się głośny trzask, brzdęk pękającej stali. To samo zrobiła z drugim zawiasem. Obojczyk bolał jak cholera, jakby to on miał pęknąć, a nie zawias.

Kolejny głośny trzask.

Juliette chwyciła za stalową klatkę i szarpnęła. Zawiasy oderwały się od płyty montażowej. Zaczęła szarpać metalową klatkę, próbując dobrać się do znajdującego się wewnątrz skarbu, myśląc o Walkerze i reszcie jej rodziny, o przyjaciołach, ludziach krzyczących wtedy gdzieś w oddali. Musiała sprawić, by wreszcie przestali ze sobą walczyć. Zmusić ich do zawieszenia broni.

Kiedy już zdołała poszerzyć szparę między stalową obudową, a ścianą, wetknęła palce w środek, starając się oderwać całą klatkę od ściany, by dostać się do urządzenia. Komu potrzebne jakieś klucze? Pieprzyć je! Napierając całym swoim ciężarem zdołała wygiąć wreszcie kraty tak, by nie stały dłużej na przeszkodzie.

Panel na radiu wydawał się znajomy. Podłączyła zasilanie i odkryła, że tutaj wciska się klawisze, zamiast kręcić tarczą. Przyklękła, dysząc z wysiłku. Po szyi spływał jej pot. Odszukała drugi włącznik, wcisnęła guzik i pomieszczenie wypełnił nagle szum biegnący z głośników.

Drugie pokrętło. To właśnie spodziewała się odnaleźć i tego najbardziej potrzebowała. Doszła do wniosku, że mogą tam być kable krosowe, jak te w serwerach, albo przełączniki DIP, jak przy pompie, ale zamiast tego zobaczyła jedynie małe cyfry wokół pokrętła. Juliette uśmiechnęła się, czując ulgę, i ustawiła pokrętło na 18. Dom. Podniosła mikrofon i wdusiła przycisk.

– Walker? Jesteś tam?

Usiadła na podłodze, opierając się plecami o biurko. Zamknęła oczy i przyciskając mikrofon do ust, wyobraziła sobie, jak zasypia w tej pozycji. Wiedziała już, co miał na myśli Lukas. Tu było naprawdę wygodnie.

Znów nacisnęła guzik. – Walk? Shirly? Proszę odpowiedzcie.

Radio zatrzeszczało.

Juliette otworzyła oczy. Wbiła wzrok w urządzenie. Ręce się jej trzęsły.

Usłyszała głos: – Czy to osoba, o której myślę?

Tembr był zbyt wysoki jak na Walkera. Skądś znała ten głos. Tylko skąd? Była zmęczona i zdezorientowana. Wdusiła przycisk.

– Tu Juliette. Kto mówi?

Czy to był Hank? Doszła do wniosku, że to mógł być on. Miał przecież radio. A może nawaliła i połączyła się z zupełnie innym silosem?

– Chcę mieć całkowitą ciszę w eterze – zażądał głos. – Wyłączcie wszystkie nadajniki. Natychmiast.

Czy te słowa były skierowane do niej? Była zupełnie skołowana. Do rozmowy włączyło się kilka głosów, później usłyszała całą serię trzasków. Czy powinna coś powiedzieć? Nie miała bladego pojęcia.

– Nie powinnaś nadawać na tej częstotliwości – odezwał się znów tamten. – Za takie coś należy ci się czyszczenie.

Ręka Juliette opadła na kolano. Rozczarowana, oparła się plecami o drewniane biurko. W końcu rozpoznała ten głos.

Bernard.

Od tygodni liczyła na to, że z nim porozmawia, po cichu błagając, by wreszcie odebrał. Ale nie teraz. W tej chwili nie miała mu nic do powiedzenia. Chciała porozmawiać z przyjaciółmi, wszystko naprostować.

Wdusiła przycisk radia.

– Skończcie tę wojnę – powiedziała. Cała silna wola kompletnie z niej uleciała. Cała chęć zemsty. Pragnęła tylko, by świat się uciszył, żeby ludzie mogli w spokoju żyć i umierać, a potem karmić korzenie roślin...

– A skoro mówimy o czyszczeniu – pisnął głos. – Jutro czeka nas pierwsze z całej długiej serii. Twoi przyjaciele już czekają w kolejce, zwarci i gotowi. I chyba potrafisz się domyślić, kto będzie miał zaszczyt wyjść jako pierwszy?

Rozległo się ciche kliknięcie, po którym usłyszała szum zakłóceń. Nie była w stanie się poruszyć. Czuła się martwa. Kompletnie odrętwiała. Wyssano z niej wszystkie siły.

– Wyobraź sobie moje zdziwienie – rzekł tamten – gdy dowiedziałem się, że przyzwoity człowiek, osoba, której ufałem, okazała się być zatruta twoim jadem.

Uderzyła pięścią w mikrofon, ale nie przystawiła go do ust. Zamiast tego podniosła głos.

– Będziesz się smażył w piekle.

– Bez wątpienia – odparł Bernard. – Ale póki co mam tutaj parę rzeczy, które chyba należą do ciebie. Identyfikator z twoim zdjęciem, śliczną bransoletkę i obrączkę, która nie wygląda zbyt oficjalnie. To ciekawe...

Juliette jęknęła. Nie czuła już nawet skrawka własnego ciała. Ledwie była w stanie słyszeć własne myśli. Zdołała się zmusić do wciśnięcia przycisku, ale to wymagało użycia wszystkich sił, jakie jeszcze miała.

– O co ci teraz chodzi, ty chory pojebie?

Ledwie wypluła te słowa, głowa opadła jej na bok, a ciało znów zaczęło domagać się snu.

– Mówię o tym zdrajcy, Lukasie. Przed chwilą znaleźliśmy przy nim twoje rzeczy. Od jak dawna z tobą rozmawiał? Jeszcze zanim trafił do serwerowni, tak? Ale wiesz co? Wyślę go do ciebie. W końcu doszedłem do tego, co zrobiłaś ostatnim razem, gdy pomogli ci tamci idioci z Zaopatrzenia, i możesz być pewna, w stu procentach, że twój przyjaciel nie będzie miał ich wsparcia. Osobiście zrobię dla niego ten kombinezon. Ja. Będę nad tym siedział całą noc, jeśli zajdzie taka konieczność. A kiedy rano wyjdzie na zewnątrz, będę wiedział, że nie dotrze nawet do tego przeklętego wzgórza.

78

Silos 18

Kiedy Lukasa prowadzono na śmierć, kilkoro dzieci zbiegało właśnie po schodach. Jedno pisnęło z radości, ale też ze strachu, jakby było gonione. Pędząc po spirali były coraz bliżej, aż w końcu pojawiły się w zasięgu wzroku, a Lukas i Peter musieli zejść im z drogi.

Odgrywający rolę szeryfa Peter krzyknął za nimi, by zwolniły i były ostrożne. Zachichotały tylko, nie przerywając szalonego pędu na dół. Dziś nie było szkoły, nie trzeba było więc słuchać dorosłych.

Przyciśnięty do zewnętrznej poręczy, Lukas przez chwilę namyślał się nad nie dającą mu spokoju pokusą. Wystarczyło skoczyć, by wreszcie być wolnym. Byłaby to śmierć z wyboru, nad którym zastanawiał się już niejednokrotnie, gdy dopadał go podły nastrój.

Zanim jednak zdążył zareagować, Peter szarpnął go za łokieć i pociągnął na górę. Mógł więc tylko podziwiać piękną stalową barierkę, zaginającą się zawsze w ten sam sposób, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Wyobraził sobie, jak wwierca się w ziemię, czuł jej wibracje niczym kosmicznej struny, wiszącej pośrodku silosu helisy DNA, wokół której skupiło się całe życie.

Z każdym piętrem takich myśli było coraz więcej. Przyglądał się spojeniom – niektóre wyglądały lepiej od innych. Jedne przypominały blizny, pozostałe z kolei były tak gładkie, że ledwie mógł je dostrzec. Każde jednak stanowiło podpis twórcy: z tego dzieła mogę być dumny, to z kolei zrobiłem pospieszne pod koniec ciężkiego dnia, to zrobił cień szkolący się do zawodu, to natomiast profesjonalista z kilkoma dekadami doświadczenia.

Przesuwał zakutymi w kajdany dłońmi po chropowatej farbie, wyczuwając nierówności i zmarszczki, brakujące odpryski, pod którymi znajdowały się liczące setki lat warstwy, kolory zmieniające się w poszczególnych epokach, albo w zależności od ceny barwników. Te warstwy sprawiły, że pomyślał o drewnianym biurku, na które gapił się przez ostatni miesiąc. Każda mała bruzda znaczyła upływ czasu, tak jak każde wydrapane na blacie nazwisko znaczyło szalone pragnienie człowieka, który chciał mieć go więcej, nie chciał, by jego dusza tak szybko wyparowała.

Przez dłuższą chwilę maszerowali w ciszy, mijając obładowanego tragarza i młodą parę o przepełnionych poczuciem winy spojrzeniach. Opuszczenie kryjówki pod serwerownią wcale nie dało Lukasowi wyzwolenia, którego pragnął od tylu tygodni. To była zasadzka, pełen wstydu przemarsz, pośród mierzących go wzrokiem twarzy w drzwiach, na poszczególnych piętrach i klatce schodowej. Wszędzie te pozbawione wyrazu twarze. Twarze przyjaciół, którzy zastanawiali się, czy Lukas stał się ich wrogiem.

Może i się stał.

Powiedzieliby, że się załamał i naruszył tabu, ale Lukas wiedział, dlaczego oni wszyscy byli tacy zmartwieni. Stał się wirusem. Wystarczyło kichnąć niewłaściwymi słowami, by wszyscy wokół poumierali. Wcześniej tą samą ścieżką kroczyła Juliette, również bez powodu. Uwierzył jej, zawsze jej wierzył, wiedząc, że nie zrobiła nic złego, ale teraz naprawdę to pojął. Przypominała go pod tyloma względami. Z tą różnicą, że on nie zdoła przeżyć, dobrze o tym wiedział. Bernard mu to wytłumaczył.

Byli dziesięć pięter nad IT, gdy w radiu Petera ktoś się odezwał. Puścił łokieć Lukasa, by pogłośnić odbiornik, sprawdzić, czy to wiadomość dla niego.

– Tu Juliette. Kto mówi?

Ten głos.

Lukasowi na moment przestało bić serce. Nasłuchiwał, nie odrywając wzroku od poręczy.

Potem odezwał się Bernard, nakazując wszystkim milczenie. Peter ściszył radio, ale go nie wyłączył. Wspinali się, słysząc rozmowę. Każdy krok i każde słowo tylko Lukasa dobijały. Wpatrując się w poręcz, znów zaczął rozmyślać o tej prawdziwej wolności.

Jeden szybki podskok i długi lot w dół.

Wyobrażał sobie, jak to robi: ugina kolana, przerzuca stopy nad barierką.

W radiu dwa głosy spierały się ze sobą. Mówiły zakazane rzeczy. Wyjawiały sekrety, nie wiedząc, że inni też mogą je usłyszeć.

Lukas wciąż odtwarzał w głowie wizję własnej śmierci. Za tą poręczą czekało na niego przeznaczenie. Wizja była tak dojmująca, że osłabiła jego nogi i niemal uniemożliwiła dalszą wspinaczkę.

Zwolnił więc, a Peter wraz z nim. Obydwaj się wahali, wsłuchani w kłótnie Juliette i Bernarda. Lukas opadł z sił, decydując, że jednak nie

skoczy.

Obydwaj mężczyźni zastanawiali się nad tym, co powinni zrobić.

79

Silos 17

Juliette obudziła się, leżąc na podłodze. Ktoś nią potrząsał. Brodaty mężczyzna. To był Solo, a ona straciła przytomność w jego kryjówce, przy jego biurku.

– Udało nam się – powiedział, szczerząc żółte zęby. Wyglądał lepiej niż gdy widziała go poprzednio. Było w nim więcej życia. Ona z kolei czuła się martwa.

Martwa.

– Która godzina? – zapytała. – Jaki mamy dzień? Spróbowała się podnieść. Każdy mięsień zdawał się rozdarty, każde ścięgno zerwane.

Solo podszedł do komputera i włączył monitor. – Tamci wybierają sobie pokoje, a potem ruszymy na górne farmy.

– Obejrzał się, by na nią spojrzeć. Juliette masowała skronie.

– Nie jesteśmy tu sami – oświadczył z powagą, jakby wciąż przeżywał ten fakt.

Juliette skinęła głową. Ale w tej chwili była w stanie myśleć tylko o jednej osobie. Znowu nawiedzały ją sny, sny o Lukasie i jej uwięzionych przyjaciołach, o pomieszczeniu, w którym przygotowuje się dla nich kombinezony, nie bacząc na to, czy przystąpią do czyszczenia, czy nie. To będzie masowe ludobójstwo, nauczka dla pozostałych. Pomyślała o ciałach leżących przed tym silosem – silosem siedemnastym. Nietrudno było sobie wyobrazić, co się wkrótce wydarzy.

– Piątek – odezwał się Solo, patrząc na ekran monitora. – A może raczej czwartek w nocy. Godzina druga. – Podrapał się w brodę. – Wydawało mi się, że spaliśmy trochę dłużej.

– A jaki dzień był wczoraj? – Potrząsnęła głową. To przecież nie miało sensu. – Którego dnia zanurkowałam do Maszynowni? Z pomocą sprężarki? – Jej mózg najwyraźniej już nie funkcjonował.

Lukas spojrzał na nią w taki sposób, jakby doszedł do podobnych wniosków. – Nurkowałaś w czwartek. Dziś jest jutro. – Podrapał się po głowie. – Zacznijmy od początku...

– Nie ma czasu. – Jęknęła, próbując się podnieść. Solo pośpieszył z pomocą i podniósł Juliette, chwytając ją pod pachami. – Laboratorium – powiedziała. Skinął głową. Widziała, że był wyczerpany, może nawet

bardziej niż ona, ale nadal chciał zrobić dla niej wszystko. Zasmuciła ją myśl, że ktoś potrafił być aż tak lojalny.

Poprowadziła go wąskim korytarzem, a potem wspięła się po drabinie, znów czując przeszywający całe ciało ból. Juliette czołgała się po podłodze serwerowni, gdy tymczasem Solo wspiął się po szczeblach, a potem pomógł jej wstać. Razem dotarli do laboratorium.

– Potrzebuję tyle taśmy grzewczej, ile tylko mamy – powiedziała, wyznaczając mu zadanie do wykonania. Szła chwiejnie pomiędzy serwerami, wpadając na jeden z nich. – To musi być ta w żółtych szpulach, która znajduje się w Zaopatrzeniu. Nie ta czerwona.

Przytaknął. – Ta dobra, której używaliśmy ze sprężarką.

– Zgadza się.

Opuścili serwerownię i ruszyli przez korytarz. Juliette słyszała za rogiem okrzyki podekscytowanych dzieci, ich tupot. To były dziwne odgłosy, niczym echa duchów. Ale też zarazem były czymś normalnym. Wreszcie w silosie siedemnastym zaczęło się dziać coś normalnego.

W Laboratorium Projektowania Kombinezonów Solo zajął się taśmą. Na jednym ze stołów rozciągał jej długie pasma, nakładał na siebie ich krawędzie, przypalał je, by połączyć taśmy razem.

– Muszą na siebie zachodzić co najmniej na szerokość cala – wyjaśniła mu, bo wyglądał, jakby wstydził się zapytać. Przytaknął. Juliette zerknęła na pryczę i do głowy przyszła jej myśl, żeby się położyć. Ale nie było na to czasu. Zabrała najmniejszy kombinezon, który jej zdaniem miał wystarczająco ciasny kołnierz. Pamiętała, jak ciężko było jej wejść do silosu siedemnastego, a nie chciała znów tego przechodzić.

– Nie ma czasu na przygotowanie przełącznika, więc w tym kombinezonie nie będę miała radia. – Sprawdzała strój kawałek po kawałku, eliminując te części, które miały się zepsuć, i zarazem szukając ich lepszych odpowiedników znalezionych w magazynach Zaopatrzenia. Inne będzie musiała po prostu owinąć taśmą grzewczą. Ten kombinezon nie będzie wyglądał tak dobrze jak ten przygotowany wcześniej przez Walkera, ale i tak będzie sto razy lepszy od tego, który założy na siebie Lukas. Zabrała wszystkie elementy, nad którymi główkowała od całych tygodni, dziwiąc się, jak rozwiniętej technologii trzeba było użyć, by coś okazało się znacznie mniej wytrzymałe niż wygląda. Ścisnęła palcami uszczelkę, co do której nie była przekonana. Ta od razu się rozpadła. Juliette zaczęła więc szukać kolejnej.

– Ile to potrwa? – zapytał Solo, hałaśliwie rozciągając kolejny odcinek taśmy. – Nie będzie cię przez jeden dzień? Czy tydzień?

Juliette podniosła wzrok i popatrzyła w stronę stołu warsztatowego, przy którym pracował Solo. Nie chciała mówić mu o tym, że przecież może jej się nie udać. Tę ponurą prawdę wolała zachować dla siebie. – Znajdziemy jakiś sposób, żeby do ciebie wrócić – odparła. – Najpierw muszę spróbować kogoś ocalić. – To brzmiało jak kłamstwo. Chciała mu powiedzieć, że być może odejdzie na dobre.

– Dzięki temu? – Solo zaszeleścił warstwami taśmy grzewczej.

Przytaknęła. – Drzwi do mojego domu otwierają się tylko wtedy, gdy wysyła się kogoś do czyszczenia – wyjaśniła.

– Tutaj też tak robiono, w bardziej szalonych czasach – odpowiedział.

Juliette popatrzyła na niego z konsternacją i spostrzegła, że się uśmiecha. Solo opowiedział właśnie dowcip. Zaśmiała się, mimo że wcale nie było jej wesoło. Ale i tak poczuła ulgę.

– Do otwarcia drzwi zostało nam jeszcze sześć czy siedem godzin – stwierdziła. – Kiedy to zrobią, muszę być na miejscu.

– I co wtedy? – Solo zgasił palnik i sprawdził wynik swojej pracy. Potem popatrzył na Juliette.

– Wtedy zobaczymy, jak spróbują wyjaśnić to, że przeżyłam. Tak mi się wydaje... – Wymieniła uszczelkę i przewróciła kombinezon na drugą stronę, by mieć dostęp do drugiego rękawa. – Wydaje mi się, że po jednej stronie walczą moi przyjaciele, w po drugiej ludzie, którzy mnie tu posłali. Reszta tylko się przygląda, i jest ich zdecydowana większość. Boją się opowiedzieć po którejkolwiek stronie.

Zamilkła, używając kleszczy, by wyciągnąć uszczelkę łączącą rękawicę z rękawem. Kiedy już to zrobiła, sięgnęła po tą sprawną.

– Myślisz, że to się zmieni? Ocali twojego przyjaciela? Spojrzała na Solo, który już niemal zakończył pracę przy taśmie.

– W ocaleniu mojego przyjaciela nie chodzi o nic więcej – odpowiedziała. – Moim zdaniem, gdy tamci zobaczą, że czyściciel wrócił z powrotem, staną wreszcie po właściwej stronie, a gdy ma się takie wsparcie, wojna przestaje mieć jakikolwiek sens.

Solo skinął głową. Sam zaczął składać posklejane taśmy, nawet nie musiała go o to prosić. Ta jego inicjatywa, wiedza o tym, co się wkrótce wydarzy, napełniła Juliette nadzieją. Może potrzebował tych dzieciaków,

potrzebował kogoś, kim mógłby się opiekować. Wydawało się, jakby w jednym momencie dojrzał o co najmniej dekadę.

– Wrócę po ciebie i pozostałych – powiedziała mu.

Skinął głową, nie odrywając wzroku od Juliette. Namyślał się nad czymś. W końcu podszedł do jej stołu i położył na nim zrobiony z taśmy grzewczej koc. Uśmiechnął się, a potem odwrócił, i zaczął drapać nerwowo policzek.

W tym względzie nadal zachowywał się jak nastolatek, stwierdziła Juliette. Nadal wstydził się łez.

* * *

Prawie cztery spośród ostatnich godzin Lukasa minęły Juliette na wnoszeniu ciężkiego sprzętu na trzecie piętro. Dzieci jej pomagały, ale odesłała je jedno piętro niżej, bojąc się o jakość powietrza na wyższych kondygnacjach. Solo po raz kolejny pomógł jej się ubrać. Przyglądał się jej z ponurą miną.

– Jesteś co do tego przekonana?

Skinęła głową, a potem podniosła taśmę grzewczą. Piętro niżej słychać było Ricksona, który przywoływał jednego z chłopców do porządku.

– Nie martw się – odparła. – Co będzie, to będzie. Ale muszę spróbować.

Solo zmarszczył brwi i podrapał się po brodzie. – Przywykłaś do tego, że jesteś wśród swoich – stwierdził. – Może tak będziesz szczęśliwsza.

Juliette ścisnęła go za ramię przez grubą rękawicę. – Nie jestem tutaj nieszczęśliwa, to fakt, ale czułabym się naprawdę fatalnie, gdybym nie spróbowała mu pomóc.

– A ja już się zacząłem przyzwyczajać do twojej obecności. – Odwrócił głowę, schylił się i podniósł hełm.

Juliette sprawdziła rękawice, by upewnić się, że dobrze je poowijała taśmą, a potem podniosła wzrok. Wspinaczka na górę w tym stroju będzie czymś potwornym. Bała się tego. Trzeba będzie brodzić przez ciała w biurze szeryfa, przedrzeć się przez drzwi śluzy. Wzięła od Solo hełm, lękając się tego, co ją czeka.

– Dziękuję za wszystko – powiedziała. Miała wrażenie, że to coś więcej niż zwykłe pożegnanie. Zdawała sobie sprawę, że z własnej woli

zrobi to, do czego przed paroma tygodniami zmusił ją Bernard. Opóźniła swoje czyszczenie, ale teraz znów do niego wracała.

Solo skinął głową i stanął za jej plecami. Poklepał rzepy, szarpnął za kołnierz. – Wszystko gra – powiedział łamiącym się głosem.

– Dbaj o siebie, Solo. – Wyciągnęła rękę i poklepała go po ramieniu. Zdecydowała, że hełm założy dopiero piętro wyżej, by oszczędzić powietrze.

– Jimmy – odparł. – Chyba teraz wolę, by mówiono na mnie Jimmy.

Uśmiechnął się do Juliette. Kręcił głową ze smutkiem, ale się uśmiechał.

– Przynajmniej już nie będę samotny – stwierdził.

80

Juliette przeszła przez drzwi śluzy i wspięła się po rampie, nie zwracając uwagi na walające się dookoła zwłoki, skupiając się wyłącznie na każdym kolejnym kroku, dopóki nie pokonała najtrudniejszego odcinka drogi. Teraz wyszła na otwartą przestrzeń, gdzie również walały się ciała. Żałowała, że nie może udawać, że to tylko kamienie. Znalezienie drogi powrotnej było łatwe. Wystarczyło odwrócić się plecami do ruin miasta w oddali, a potem ruszyć przed siebie.

Kiedy wędrowała pośród ciał, ich widok był dla niej smutniejszy niż podczas poprzedniej wyprawy. Mocniej odczuwała ich tragedię po tym, jak przez pewien czas mieszkała w ich domu. Starała się nie zakłócać ich wiecznego odpoczywania, mijając ich z powagą, na jaką zasługiwali, i żałując, że nie mogła niczego więcej dla nich zrobić.

Później tych ciał było coraz mniej, aż Juliette została sam na sam z ponurym krajobrazem. Wspinając się na wietrzne wzgórze, znów usłyszała znajomy i dziwnie pocieszający odgłos piachu uderzającego o hełm. To właśnie był świat w którym żyła, w którym wszyscy żyli. Widziała go wyraźnie przez przezroczystą przesłonę. Szare chmury, pędzące wściekle po niebie, kłęby pyłu wzbijające się gdzieniegdzie w powietrze, poszarpane skały wyglądające jak szczątki czegoś większego, być może maszyn, które usypały te wzgórza.

Kiedy dotarła na grzbiet wzniesienia, zatrzymała się na chwilę, podziwiając roztaczającą się dookoła panoramę. Wiatr uderzał w jej ciało z jeszcze większą siłą. Rozstawiła nogi szeroko, żeby się nie przewrócić, a potem spojrzała na odwróconą kopułę w dole, pośrodku której tkwił płaski dach jej domu. Czuła zarazem lęk i podekscytowanie. Słońce wisiało jeszcze nisko za wzgórzami, więc wieża z czujnikami nadal znajdowała się w cieniu. Juliette zdoła tam dotrzeć. Jednak zanim jeszcze zaczęła schodzić ze zbocza, popatrzyła, oniemiała, na sięgające horyzontu zagłębienia pośród wzgórz. Rozmieszczone równomiernie, jak na schemacie. Wszystkie pięćdziesiąt.

I nagle, z ogromną siłą uderzyła ją myśl, że niezliczeni inni tam właśnie spędzają swoje dni. Żywi ludzie. Jest znacznie więcej silosów niż ten jej i ten Solo. Silosów nieświadomych, gdzie ludzie budzą się i idą do pracy, szkoły, może nawet są posyłani do czyszczenia.

Obróciła się wokół własnej osi, zastanawiając się, czy gdzieś w oddali nie znajduje się ktoś jeszcze, ktoś w podobnym kombinezonie, ale z głową pełną zupełnie innych lęków. Gdyby tylko mogła go zawołać, zrobiłaby to. Gdyby tylko mogła pomachać ręką do wszystkich tych skrytych za wzgórzami czujników, zaczęłaby machać.

Świat zyskał nowy zasięg. Z tej wysokości miał zupełnie inną skalę. Została wygnana już całe tygodnie temu, powinna wtedy zginąć – jeśli nawet nie na zboczu wzgórza, to w zalanych korytarzach silosu siedemnastego. Tak się jednak nie stało. I jej życie dobiegnie kresu najpewniej właśnie dziś, tego poranka, przy Lukasie. Jeśli jej przeczucie się nie sprawdzi, mogą obydwoje spłonąć wewnątrz śluzy. Albo upaść na wzgórzu, a potem stopniowo się rozpadać, będąc parą, której związek scaliły desperackie rozmowy ciągnące się w ciemną noc, mimo że nigdy o tej silnej więzi nie mówili, ani się do niej nie przyznawali.

Juliette obiecała sobie, że nigdy już się w nikim potajemnie nie zakocha. Ale tym razem było jeszcze gorzej: trzymała to w sekrecie nawet przed nim. Nawet przed sobą samą.

Może tak wpływała na nią bliskość śmierci, kostucha uderzająca w jej hełm piachem i toksycznym wiatrem. Czy w ogóle wiedza o tym, jak rozległy jest świat, miała jakiekolwiek znaczenie? Jej silos pewnie będzie sobie jakoś radził. Pozostałe z pewnością też.

W Juliette uderzył nagle potężny podmuch wiatru, niemal wyrywając jej z rąk poskładany koc. Juliette odzyskała równowagę, wzięła się w garść i zaczęła wędrówkę w kierunku dawnego domu. Skryła się tuż poniżej grzbietu wzgórza, gdzie nie sięgały jej już aż tak silne podmuchy toksycznego wiatru. Potem ruszyła niewielką dolinką, w miejscu której dwa wzgórza łączyły się ze sobą, kierując się ku ciałom pogrzebanej na widoku pary, która była jej kierunkowskazem na drodze ku temu, co nieuchronne.

* * *

Na rampę dotarła wcześnie. W pobliżu nie było nikogo innego, słońce nadal kryło się za wzgórzami. Kiedy zbiegała ze zbocza, zastanawiała się, co pomyślałby ktoś, kto by ją teraz zobaczył przez obiektyw, jak pędzi w stronę silosu.

Po zejściu z rampy stanęła blisko drzwi i czekała. Obejrzała raz jeszcze koc z taśmy grzewczej, w myślach powtarzając całą procedurę. Podczas wspinaczki, w jej szalonych snach i kiedy omijała rozpadające się

ciała na zewnątrz, obmyśliła każdy możliwy scenariusz. To musi zadziałać, wmawiała sobie. Mechanika była w tym względzie bezbłędna. Nikt dotąd nie przeżył czyszczenia, bo nikt nie mógł liczyć na czyjąś pomoc, nie miał ze sobą niezbędnych narzędzi i materiałów. Ale ona je miała.

Czas stanął w miejscu. Zupełnie jak jej cenny i delikatny zegarek, gdy zapomniała go nakręcić. Piach uwięziony przy krawędziach rampy poruszał się niecierpliwie i Juliette zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie odwołano czyszczenia, czy nie umrze tu sama. Tak byłoby lepiej, stwierdziła. Wzięła głęboki oddech, żałując że nie ma większych zapasów tlenu, tak na wszelki wypadek, by móc wrócić z powrotem. Ale za bardzo była przejęta czyszczeniem, by choć raz pomyśleć, że może się ono nie odbyć.

Po ciągnącym się w nieskończoność czekaniu, z nerwami w strzępach i szaleńczo bijącym sercem, usłyszała jakiś hałas... metaliczny szczęk trybów.

Juliette aż zesztywniała, ramiona pokryła jej gęsia skórka, a krtań zacisnęła się spazmatycznie. To już się zaczęło. Poruszyła się niespokojnie, wsłuchana w zgrzyt potężnych drzwi, które miały zaraz wypluć biednego Lukasa. Rozłożyła koc i czekała. To stanie się tak szybko. Była o tym przekonana. Ale będzie panować nad sytuacją. Nikt nie zdoła wejść jej w drogę.

Drzwi silosu osiemnastego rozsunęły się z przeraźliwym zgrzytem i ze środka buchnęła sycząca chmura argonu. Juliette weszła w nią, dając się pochłonąć gęstej mgle. Na ślepo parła przed siebie, wyciągając przed siebie ręce, w których trzymała koc, obijający się głośno o jej klatkę piersiową. Spodziewała się, że po prostu wpadnie na Lukasa, który będzie przerażony i spróbuje jej się wyrwać, więc była gotowa na to, by go przytrzymać, owinąć szczelnie kocem i...

...Ale w drzwiach nikogo nie było, nikt nie wychodził na zewnątrz, nikt nie uciekał przed płomieniami wypalającymi wnętrze śluzy.

Juliette praktycznie wpadła do środka; spodziewała się jakiegoś oporu, jak ta blokada na szczycie ciemnej klatki schodowej, ale ujrzała tylko pustą przestrzeń.

Gdy argon opadł i drzwi zaczęły się zamykać, wyobraziła sobie, że jednak nie było żadnego czyszczenia. Drzwi otworzono specjalnie dla niej, ciesząc się z jej powrotu. Może ktoś ujrzał ją biegnącą po zboczu, może jej wybaczyli i teraz wszystko już będzie dobrze...

Ale gdy tylko była w stanie cokolwiek dojrzeć przez kłęby gazu, uświadomiła sobie, że wcale nie o to chodzi. Mężczyzna w kombinezonie czyściciela klęczał na środku śluzy z dłońmi wspartymi na udach, patrząc w stronę wewnętrznych drzwi.

Lukas.

Juliette popędziła do niego, a w tym samym momencie pomieszczenie rozbłysło jasną poświatą i pierwsze płomienie spłynęły na plastikowe kurtyny. Drzwi z hukiem zamknęły się za jej plecami, zamykając ich oboje wewnątrz.

Juliette rozprostowała koc i obiegła Lukasa, żeby mógł ją zobaczyć, żeby wiedział, że nie jest tutaj sam.

Gruby kombinezon nie był w stanie skryć jego szoku. Lukas przestraszył się i uniósł ręce do góry, nie bacząc na buchające po bokach płomienie.

Skinęła głową, wiedząc że widzi ją za przeźroczystą przesłoną, nawet jeśli ona nie widzi jego. Zamaszystym ruchem, który w myślach przećwiczyła tak wiele razy, założyła mu na głowę koc i uklękła, osłaniając taśmą grzewczą także siebie.

Pod warstwą taśmy było ciemno. Na zewnątrz temperatura stawała się coraz wyższa. Juliette chciała zawołać do Lukasa, że wszystko będzie dobrze, ale nawet sama ledwo słyszała swój głos wewnątrz hełmu. Szarpała za krawędzie koca niżej kolan i stóp, aż w końcu zdołała przyszpilić je do podłogi. To samo zrobiła dla niego, żeby był w pełni osłonięty przed ogniem.

Lukas zdawał się rozumieć, co próbowała zrobić. Położył dłonie na jej ramionach i nie ruszał ich stamtąd. Czuła, jaki jest spokojny i nieruchomy. Nie mogła wprost uwierzyć, że miał zamiar tutaj zostać, że wolał spłonąć niż czyścić. Nie pamiętała, by ktokolwiek zdecydował się na coś podobnego. I gdy tulili się do siebie w mroku, a temperatura nie przestawała rosnąć, Juliette ciągle martwiła się jego decyzją.

Płomienie lizały taśmę grzewczą, uderzając w posklejany koc z siłą mocnych podmuchów wiatru. Było coraz goręcej, pot spływał Juliette po czole i wargach, mimo że miała przecież na sobie ochronne warstwy kombinezonu. Sam koc nie wystarczy. Lukas nie zdoła przeżyć. Juliette lękała się tylko o jego los, mimo że sama na własnej skórze czuła buchające ciepło.

Jej panika zdawała się udzielać także Lukasowi, a może po prostu zaczął doświadczać ukropu. Jego ręce zaczęły drżeć. I Juliette dosłownie poczuła, jak coś się z nim dzieje: popada w obłęd, zmienia zdanie czy wręcz zaczyna płonąć...

Odepchnął ją od siebie. Pod ich koc wdarło się jasne światło i Lukas zaczął się wyczołgiwać na zewnątrz.

Juliette krzyknęła, chcąc, by się zatrzymał. Ruszyła jego śladem, próbując złapać go za ramię, za nogę, czy chociaż za buta, ale kopnął ją, uderzył pięściami, szaleńczo starając się uciec.

Koc spadł jej z głowy. Blask był tak rażący, że niemal ją oślepił. Czuła wszechobecne gorąco, słyszała jak jej hełm zaczyna trzeszczeć od wysokiej temperatury, a nad głową tworzy się bąbel, który zmienia swój kształt. Nigdzie nie widziała Lukasa, nie była w stanie go dosięgnąć. Widziała tylko rażące światło, czuła buchający żar, parzący jej skórę w miejscach, gdzie kombinezon przylegał do ciała. Wrzasnęła z bólu i znów zarzuciła sobie na głowę koc, próbując osłonić plastikową przesłonę hełmu.

Wokół szalały płomienie.

Nie czuła go obok siebie. Nie widziała go już. Nie ma szans, żeby go znalazła. Na ciele miała tysiące drobnych oparzeń, jak setki noży wbijających się w ciało. Siedziała samotnie pod cienką warstwą ochronną, czując jak zaczyna płonąć, starając się przetrwać trawiący wszystko wokół pożar. Z oczu roniła gorące łzy. Jej ciałem wstrząsały spazmy, powodowane zarazem gniewem i łkaniem, przeklinała ogień, ból, silos i cały świat.

Aż do chwili, gdy zabrakło jej łez, a paliwo płomieni całkiem się wyczerpało. Temperatura z wrzącej opadła do ledwie piekącej, więc Juliette mogła bez obaw zrzucić z siebie parujący koc. Miała wrażenie, jakby jej skóra płonęła. Ból przeszywał jej ciało za każdym razem, gdy dotknęła skórą wewnętrznej warstwy kombinezonu. Zaczęła rozglądać się za Lukasem i wyszło na jaw, że wcale nie musiała szukać daleko.

Leżał oparty o drzwi, z jego kombinezonu zostały tylko zwęglone strzępy. Hełm nadal tkwił na jego głowie – więc Juliette nie musiała oglądać jego spalonej twarzy – lecz był stopiony i zniekształcony dużo bardziej niż ten jej. Podczołgała się bliżej, świadoma, że drzwi za nią zaczęły się otwierać, że już tu po nią szli, że wszystko skończone. Nie powiodło jej się.

Widząc miejsca, w których spalony materiał opadł z ciała, Juliette zaszlochała. Widziała jego zwęgloną rękę, zupełnie czarną. Jego brzuch,

dziwnie wzdęty. Jego maleńkie dłonie, tak drobne i zupełnie spalone...

Nie.

Nie mogła tego pojąć. Znów się rozpłakała. Położyła odziane w parujące rękawice dłonie na zniekształconej kopule swojego hełmu, i zszokowana zaczęła aż krzyczeć. Czuła jednocześnie wściekłość i ulgę.

To nie było wcale ciało Lukasa.

Ten mężczyzna nie zasługiwał na jej łzy.

81

Silos 18

Raz po raz traciła przytomność, to znów ją odzyskiwała – tak jak pojawiał się i znikał ból jej poparzonego ciała.

Juliette pamiętała falującą mgłę, tupanie butów dookoła, leżenie na boku w rozgrzanym wnętrzu śluzy. Widziała świat zmieniający swój kształt, zupełnie jak przesłona jej hełmu, która topiąc się opadała ku jej twarzy. W polu widzenia dostrzegła srebrną gwiazdę, którą ktoś trzymał po drugiej stronie zniekształconego plastiku. Peter Billings patrzył na nią, potrząsając jej poparzonymi ramionami, wołał do kręcących się w pobliżu ludzi, żeby mu pomogli.

Podnieśli ją i wyprowadzili z pełnego skłębionej pary pomieszczenia. Kiedy rozcinali jej stopiony kombinezon, widziała pot spływający im po twarzach.

Juliette przeleciała przez swoje dawne biuro niczym duch. Leżała na plecach, minęli rzędy stalowych krat, pustą pryczę w pustej celi.

Nieśli ją, krążąc w kółko.

Zmierzając w dół.

Obudziła się, słysząc przerywany sygnał własnego serca, podłączona do tych wszystkich maszyn, obok mężczyzny ubranego jak jej ojciec.

On pierwszy zauważył, że się obudziła. Uniósł brwi, uśmiechnął się, a potem skinął do kogoś stojącego za nią.

I nagle pojawił się Lukas, jego twarz – tak znajoma i zarazem tak dziwna – pojawiła się w zasięgu jej zamglonego wzroku. Poczuła, jak ścisnął jej dłonie. Wiedziała, że był przy niej już od dłuższego czasu. Śmiał się i płakał, gładząc jej policzek. Jules była ciekawa, z czego się tak śmieje. I co było takie smutne. Zobaczyła, jak kręci głową, a potem znów osunęła się w sen.

* * *

Nie chodziło tylko o to, że poparzenia były poważne, ale też, że były aż tak rozległe.

Juliette powoli wracała do zdrowia, tkwiąc na granicy między przytomnością a nieprzytomnością, gdzie wszystko spowijała gęsta mgła środków przeciwbólowych.

Za każdym razem, gdy widziała Lukasa, zaczynała go przepraszać. Wszyscy robili straszne zamieszanie. Przyszedł też Peter. Dotarły sterty liścików z głębin, jednak nikt mieszkający na dolnych kondygnacjach nie miał prawa jej odwiedzić. Widywać mogli ją jedynie mężczyzna ubrany jak jej ojciec oraz kobieta, która przypominała jej matkę.

* * *

Jej umysł rozjaśnił się, kiedy tylko mu na to pozwolono.

Juliette wybudziła się z czegoś w rodzaju głębokiego snu, tygodni nieprzytomności, koszmarów, w których na przemian tonęła i płonęła, błądziła na zewnątrz, widząc dziesiątki silosów zupełnie takich jak ten jej. Leki tłumiły ból – ale zarazem utrzymywały ją w nieświadomości. Chciała odzyskać władzę nad swoim umysłem, nawet jeśli oznaczało to ból i pieczenie. Wybór był oczywisty.

– Hej.

Obróciła głowę na bok – Lukas znów był przy niej. Czy wyszedł stąd chociaż na chwilę? Pochylił się, by wziąć ją za rękę, i wtedy koc zsunął mu się z piersi. Uśmiechnął się.

– Wyglądasz dużo lepiej.

Juliette oblizała wargi. Zaschło jej w ustach.

– Gdzie ja jestem?

– W szpitalu na trzydziestym trzecim. Nie denerwuj się. Chcesz, żebym ci coś przyniósł?

Potrząsnęła głową. Niesamowicie było znów móc się poruszać, móc reagować na jego słowa. Spróbowała ścisnąć jego dłoń.

– Wszystko boli – powiedziała słabym głosem.

Lukas parsknął śmiechem. Chyba poczuł ulgę, słysząc, co Juliette właśnie powiedziała. – Nic dziwnego.

Zamrugała i popatrzyła na niego. – Na trzydziestym trzecim jest szpital? – To, co mówił, rozumiała z nieznacznym opóźnieniem.

Skinął głową, mając ponurą minę. – Przykro mi, ale ten jest najlepszy w całym silosie. Jesteś tu bezpieczna. Ale teraz o tym nie myśl. Odpoczywaj. Zawołam pielęgniarkę.

Wstał, a wtedy z jego kolan na krzesło spadła gruba księga, znikając między zwiniętym kocem a poduszkami.

– Dasz radę coś zjeść?

Skinęła głową, a potem odwróciła się, patrząc na sufit i rażące światła. Wszystko zaczęło do niej wracać, wspomnienia wyskakiwały jedno po drugim, niczym bąble po oparzeniach na skórze.

* * *

Całymi dniami czytała liściki i płakała. Lukas siedział obok, zbierając karteczki, które pospadały na podłogę, niczym papierowe samolociki puszczane na klatce schodowej. W kółko ją przepraszał, jakby to on był za wszystko odpowiedzialny. Juliette czytała każdy liścik po kilkanaście razy, żeby zapamiętać, kto zginął, a kto żył i mógł się jeszcze podpisać. Wprost nie mogła uwierzyć w koszmarne wieści na temat Knoxa. Niektóre rzeczy zdawały się niezmienne, jak na przykład wielka klatka schodowa. Opłakiwała Knoxa i Marcka, rozpaczliwie chciała się widzieć z Shirly, lecz jej zabroniono.

Kiedy gasły światła, odwiedzały ją duchy. Juliette budziła się na mokrej od łez poduszce, a Lukas gładził jej czoło, powtarzając, że wszystko będzie dobrze.

* * *

Często odwiedzał ją Peter. Juliette nie przestawała mu dziękować. W kółko tylko Peter i Peter. To on podjął decyzję. Lukas opowiedział jej, jak maszerował schodami na czyszczenie, a potem usłyszeli jej głos w radiu Petera, potwierdzający, że Juliette żyła.

Peter zaryzykował i nie wyłączył radia. Później on i Lukas zaczęli rozmawiać. Lukas nie bał się już, skoro i tak miał być posłany na czyszczenie, i głośno wypowiadał zakazane słowa, wspominał też coś o Juliette jako groźnym wirusie, którym się zaraził. W radiu słychać było komunikaty o kapitulacji pracowników Maszynowni. Bernard wszystkich skazywał na śmierć.

Peter musiał wybrać. Czy sam był ostateczną instancją, czy też był coś winny tym, którzy powołali go na to stanowisko? Czy zrobi to, co słuszne, czy to, czego się od niego oczekuje? Najprościej by było uczynić to ostatnie, ale Peter Billings był dobrym człowiekiem.

Lukas przekonał go do tego na klatce schodowej. Wyjaśnił, że znaleźli się tu za sprawą przeznaczenia, ale mogą sami ukształtować swoją przyszłość. To, jacy będą.

Powiedział Peterowi, że Bernard kogoś zamordował. Miał na to dowody. Lukas nie zrobił nic tak złego, żeby posyłać go na czyszczenie.

Peter zauważył, że cała ochrona IT jest ponad sto pięter niżej. Na górze był tylko jeden mężczyzna z pistoletem. Tylko jedno prawo.

Jego prawo.

82

Kilka tygodni później
Silos 18

Usiedli we troje przy stole konferencyjnym. Juliette poprawiła sobie bandaż, by zakryć bliznę na dłoni. Żeby zminimalizować ból, dali jej luźny kombinezon, ale podkoszulek wywoływał swędzenie za każdym razem, gdy tylko dotknął jej skóry. Juliette siedziała w pluszowym fotelu, bujała się zniecierpliwiona to w przód, to w tył, chcąc już stąd wyjść. Ale Lukas i Peter musieli parę spraw przedyskutować. Doprowadzili ją tak blisko wyjścia, tak blisko klatki schodowej, tylko po to, żeby teraz trzymać ją tutaj. Twierdzili, że tu mają więcej prywatności. Ale miny mieli takie, że zaczęła się denerwować.

Przez pewien czas nikt się nie odzywał. Peter posłał jednego z techników po wodę, ale gdy ten postawił przed nimi dzbanek, a potem napełnił szklanki, nikt po nie nie sięgnął. Lukas i Peter wymieniali nerwowe spojrzenia. Juliette była coraz bardziej znużona czekaniem.

– O co chodzi? – zapytała. – Mogę już stąd iść? Mam wrażenie, że opóźniacie tę rozmowę już od wielu dni. – Zerknęła na zegarek, potrząsając ramieniem, by wyłonił się spod bandaża. Potem wbiła wzrok w Lukasa, śmiejąc się z jego zmartwionej miny. – Będziecie mnie tu trzymać przez całą wieczność? Bo mówiłam już wszystkim w głębinach, że jutro wieczorem się z nimi spotkam.

Lukas odwrócił się do Petera.

– No dalej, koledzy. Wyduście to wreszcie. Co was niepokoi? Lekarz twierdzi, że mogę bezpiecznie zejść na dół. Poza tym mówiłam już, że w razie problemów zgłoszę się do Marsha albo Hanka. Jeśli niedługo nie wyruszę, to się do nich spóźnię.

– Dobra – odezwał się Lukas, głośno wzdychając. Wyglądało, że przestał liczyć na to, że Peter zacznie mówić. – Minęło już kilka tygodni...

– A przez was mam wrażenie, że to były całe miesiące. – Juliette zaczęła nakręcać zegarek i po chwili znów zaczął tykać, jakby nigdy nie zamilkł.

– Chodzi o to, że... – Lekarz kaszlnął w zaciśniętą pięść, a potem odchrząknął. – ...Nie mogliśmy przekazać ci wszystkich liścików, które do ciebie wysłano. – Zmarszczył brwi, wyglądając na skruszonego.

Serce zamarło jej w piersi. Pochyliła się do przodu, czekając na ciąg dalszy. Kolejne nazwiska dołączą zaraz do jej smutnej listy...

Lukas uniósł ręce. – Nie chodzi o to – dodał szybko, widząc rozpacz na twarzy Juliette. – Boże, przepraszam, nie to miałem na myśli...

– Chodzi o dobre wieści – wtrącił Peter. – Listy z gratulacjami.

Lukas spiorunował go wzrokiem i Juliette już wiedziała, że ona sama może mieć na ten temat zupełnie inne zdanie.

– Cóż... bez wątpienia są to... wieści. – Popatrzył na nią nad stołem. Złożone ręce opierał o zniszczony drewniany blat, tak jak ona. Zdawało się, że zaraz obydwoje przysuną się do siebie, aż ich palce się spotkają. Po tygodniach praktyki, to byłoby coś zupełnie naturalnego. Ale tak zachowywali się zmartwieni przyjaciele odwiedzający nas w szpitalach, prawda? Juliette zastanawiała się nad tym, gdy tymczasem Lukas i Peter zaczęli mówić o wyborach.

– Moment. Co takiego? – Słysząc ostatnie wypowiedziane zdanie, Juliette przestała gapić się na swoje dłonie.

– To była kwestia terminu – wyjaśnił Lukas.

– Wszyscy rozmawiali tylko o tobie – dodał Peter.

– Jeszcze raz. Co przed chwilą powiedziałeś?

Lukas wziął głęboki oddech. – Bernard nie miał kontrkandydata. Kiedy wysłaliśmy go na czyszczenie, wybory odwołano. Ale w tym samym czasie rozeszła się wieść o twoim cudownym powrocie i ludzie i tak zaczęli głosować...

– Mnóstwo ludzi – wtrącił Peter.

Lukas skinął głową. – Frekwencja była naprawdę niezła. Ponad pół silosu.

– No tak, ale... Burmistrz? – Parsknęła śmiechem, wodząc wzrokiem po porysowanym blacie stołu konferencyjnego, na którym stały tylko nietknięte szklanki z wodą. – Nie powinnam czegoś podpisać? Żeby oficjalnie zakończyć ten absurd?

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– W tym właśnie rzecz – odparł Peter.

Lukas pokręcił głową. – Przecież ci mówiłem...

– Mieliśmy nadzieję, że się zgodzisz.

– Ja? Panią burmistrz? – Juliette skrzyżowała ramiona, boleśnie opadając na oparcie fotela. Potem znów się zaśmiała. – Chyba sobie żartujecie. Nie mam o tym bladego pojęcia...

– Nie musisz mieć – stwierdził Peter, nachylając się w jej stronę. – Masz biuro, witasz się z ludźmi, podpisujesz dokumenty i sprawiasz, że wszyscy czują się lepiej...

Lukas klepnął go w ramię i pokręcił głową. Juliette poczuła, jak po jej ciele rozchodzi się fala ciepła, przez co rany i blizny zaczęły swędzieć jeszcze bardziej.

– Chodzi o to – zaczął Lukas, gdy Peter znów usiadł na miejscu. – Że potrzebujemy właśnie ciebie. Na górze pojawiła się poważna pustka we władzach. Peter jest na stanowisku dłużej niż ktokolwiek, sama przecież wiesz.

Słuchała uważnie.

– Pamiętasz nasze nocne rozmowy? Pamiętasz, jak mówiłaś, jak jest w tym drugim silosie? Zdajesz sobie sprawę, że byliśmy blisko, by i u nas tak było?

Przygryzła wargę, sięgnęła po szklankę i pociągnęła duży łyk wody. Czekała, co jeszcze doda, gapiąc się na niego znad szkła.

– Mamy szansę, Jules. Razem utrzymamy ten silos. Zdołamy wrócić do...

Odstawiła szklankę na blat i uniosła rękę, dając mu znak, by zamilkł.

– Jeżeli mamy to zrobić – odezwała się chłodno, patrząc to na jednego mężczyznę, to na drugiego. – To zrobimy to po mojemu.

Peter zmarszczył brwi.

– Koniec kłamstw. Teraz damy szansę prawdzie.

Lukas roześmiał się nerwowo. Peter tylko kręcił głową.

– Posłuchajcie uważnie – rzekła. – To wcale nie jest szalony pomysł. Nie wpadłam na to w tej chwili. Cholera, przez całe tygodnie mogłam się nad tym namyślać.

– Nad prawdą? – zapytał Peter.

Skinęła głową. – Wiem co sobie myślicie. Wydaje wam się, że potrzebujemy kłamstw, strachu...

Peter przytaknął.

– Ale nie wymyślimy niczego bardziej przerażającego niż to, co naprawdę istnieje. – Skierowała palec w stronę dachu i czekała, aż dotrze do nich ta myśl.

– Kiedy budowano te silosy, twierdzono, że tkwimy w tym wszyscy razem. Razem, ale osobno, nieświadomi jedni drugich, żebyśmy nie

zarażali reszty, kiedy niektórzy z nas się pochorują. Tyle że ja nie mam zamiaru grać dla tamtej drużyny. Nie zgadzam się z ich pomysłami. Odmawiam współpracy.

Lukas skinął głową. – No dobra, ale...

– Teraz jesteśmy my przeciwko nim. Nie przeciwko ludziom w silosach, którzy każdego dnia ciężko pracują, z niczego nie zdając sobie sprawy, ale przeciwko tym na górze, którzy o wszystkim wiedzą. Silos osiemnasty będzie inny. Wszyscy tu zyskają wiedzę i cel swych działań. Tylko o tym pomyślcie. Zamiast manipulować ludźmi, czemu nie oddać władzy w ich ręce? Uświadomić im, z czym będą musieli się zmierzyć. I niech to napędza całą naszą zbiorowość.

Lukas uniósł brwi. Peter przesunął dłońmi po włosach.

– Powinniście się nad tym zastanowić. – Odsunęła się od stołu. – Bez pośpiechu. Idę odwiedzić rodzinę i przyjaciół. Jednak albo zrobimy jak powiedziałam, albo będę przeciwko wam. Ludzie i tak poznają prawdę.

Uśmiechnęła się do Lukasa. To było wyzwanie, ale wiedział, że wcale nie żartowała.

Peter wstał, unosząc ręce do góry. – Możemy chociaż ustalić, że nie będziesz niczego robić do czasu następnego spotkania?

Juliette skrzyżowała ramiona i skinęła głową.

– Świetnie – odparł Peter, wzdychając z wyraźną ulgą.

Juliette odwróciła się do Lukasa. Przyglądał się jej z zaciśniętymi wargami i doskonale wiedziała, że on też o tym wie. To była jedyna szansa pójścia naprzód, co cholernie go wystraszyło.

Peter otworzył jej drzwi. Potem obejrzał się na Lukasa.

– Możesz dać nam chwilkę? – poprosił Lukas, wstając i podchodząc do drzwi.

Peter skinął głową. Uścisnął dłoń Juliette, ta zaś znowu – już chyba po raz milionowy – mu podziękowała. Sprawdził wiszącą mu krzywo na piersi gwiazdę, a potem wyszedł z Sali konferencyjnej.

Lukas stanął z dala od okna, złapał rękę Juliette i pociągnął ją ku drzwiom.

– Żarty sobie robisz? – zapytała. – Naprawdę sądziłeś, że tak po prostu przyjmę tę robotę i...?

Lukas docisnął dłonią drzwi, zatrzaskując je. Juliette patrzyła mu w oczy, zdezorientowana, czując jak delikatnie obejmuje ją w pasie, uważając na oparzenia.

– Miałaś rację – wyszeptał. Nachylił się ku niej, kładąc głowę na jej ramieniu. – Zwlekam, bo nie chcę, żebyś mnie tutaj zostawiła.

Czuła na karku ciepło jego oddechu. Juliette rozluźniła się. Zapomniała już, co chciała powiedzieć. Objęła go mocno, kładąc mu rękę na szyi. – Już dobrze – powiedziała, czując ulgę po tym, co właśnie usłyszała, do czego w końcu on zdołał się przyznać. Czuła jak drżał, słyszała jego ciężki oddech.

– Już dobrze – powtórzyła szeptem, wtulając się w jego policzek swoim, i próbując go pocieszyć. – Przecież nie odchodzę na zawsze.

Lukas odsunął się, by na nią spojrzeć. Widziała napływające mu do oczu łzy. Jego ciało zaczęło się trząść.

I wtedy, gdy przytulił ją mocniej, przyciskając usta do jej ust, uświadomiła sobie, że wcale nie wyczuwała w nim strachu. Tylko zdenerwowanie.

Adrenalina, która uderzyła jej do głowy od tego pocałunku, zadziałała mocniej niż leki. Nie czuła już nawet bólu wywołanego tym, że Lukas trzymał ją w ramionach. Nie pamiętała nawet, kiedy ostatni raz czuła czyjeś wargi na swoich. Odwzajemniła pocałunek, ale ten i tak skończył się zbyt szybko. Lukas odsunął się, trzymając ją za ręce, a potem zerknął nerwowo w stronę okna.

– To... było... ech...

– To było miłe – stwierdziła, ściskając jego dłonie.

– Chyba powinniśmy już... – Skinął głową w kierunku drzwi.

Juliette uśmiechnęła się. – Tak. Chyba powinniśmy.

Przeprowadził ją przez korytarz wejściowy IT, idąc aż do klatki schodowej. Czekał tam na nią technik, trzymający jej torbę. Juliette przekonała się, że Lukas owinął pasek torby, martwiąc się zawczasu o jej oparzenia.

– Na pewno nie potrzebujesz eskorty?

– Nic mi nie będzie – odparła, wtykając sobie włosy za ucho. Potem założyła sobie torbę na ramię. – Widzimy się mniej więcej za tydzień, dobrze?

– Możesz się odezwać przez radio – zasugerował Lukas.

Juliette wybuchnęła śmiechem. – Przecież wiem.

Ścisnęła jego dłoń, a potem ruszyła ku wielkiej klatce schodowej. Ktoś idący w mijanym właśnie tłumie skinął do niej głową. Nie była pewna, czy go zna, ale też się ukłoniła. Inni odwracali się, śledząc ją

wzrokiem. Mijała ich, aż dotarła do poręczy schodów, chwytając stalową barierę wiodącą przez środek tego wszystkiego i utrzymującą zniszczone, odkształcające się stopnie, po których stąpały kolejne pokolenia. Juliette uniosła stopę, rozpoczynając nieskończenie długą wędrówkę...

– Hej!

To Lukas za nią wołał. Wbiegł na schody, marszcząc brwi z zakłopotania. – Myślałem, że idziesz na dół, by spotkać się z przyjaciółmi.

Juliette uśmiechnęła się do niego. Minął ich tragarz, dźwigający ciężki ładunek. Juliette pomyślała o tym, jak wielu bliskich ostatnio wyślizgnęło się jej z rąk.

– Najpierw rodzina – odparła. A potem zerknęła na wielki szyb biegnący środkiem silosu i postawiła stopę na kolejnym stopniu. – Muszę zobaczyć się z ojcem.

Epilog

Silos 17

– Trzydzieści dwa!

Elise tanecznym krokiem wspinała się po schodach, wydychając w powietrze kłęby pary i głośno stukając niezdarnymi stopami o mokrą stal schodów.

– Trzydzieści dwa kroki, panie Solo!

Wróciła na półpiętro, potykając się o ostatni stopień i lądując na czworakach. Przez chwilę nie ruszała się. Zamarła ze spuszczoną głową, zastanawiając się, czy się rozpłacze, czy po prostu wstanie.

Solo sądził, że zacznie płakać.

Ale zamiast tego dziewczynka spojrzała na niego, uśmiechając się szeroko na znak, że nic jej nie jest. Brakowała jej jednego ząbka, a nowy w tym miejscu nie zdążył jeszcze wyrosnąć.

– Opada – stwierdziła, wycierając ręce o kombinezon i podbiegając do mężczyzny. – Woda opada!

Kiedy wskoczyła na niego, chwytając się go na wysokości pasa, Solo aż jęknął. Objął ją ramieniem, żeby nie spadła.

– Wszystko będzie dobrze!

Drugą ręką Solo trzymał się poręczy, patrząc w dół pomiędzy kratami. Pod nogami miał rdzawe plamy krwi, niczym blednące wspomnienie, o którym teraz – patrząc na wodę poniżej – wcale nie miał zamiaru myśleć.

Sięgnął po umocowane na biodrze radio. Juliette będzie podekscytowana, słysząc te wieści.

– Chyba masz rację – powiedział małej Elise, unosząc radio na wysokość twarzy. – Wygląda na to, że naprawdę wszystko będzie dobrze...

Spis treści

Część 1 – Holston
1
2
3
4
5
6
7
Część 2 – Właściwa miara
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
Część 3 - Porzucona
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30

Część 4 - Rozdarcie
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
Część 5 - Opuszczeni
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65

66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
Epilog